

Błogostawieństwo ziemi





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

KNUT HAMSUN

Błogosławieństwo ziemi

TLUM. CZESŁAW KĘDZIERSKI

CZĘŚĆ PIERWSZA

I

Przez trzęsawisko wiedzie do boru ścieżka długa, niezmierzona. Kto ją wydeptał? — Człowiek, pierwszy, który się tu pojawił. Przed jego przybyciem nie było jej jeszcze. Później wątlm jego śladem podążyło poprzez bagna i trzęsawice zwierzę jedno i drugie, a jeszcze później ścieżynkę zwęszył i używał jej stale ten i ów Lapończyk¹ goniący w górach za swoimi reniferami. Tak powstała droga nienależąca do nikogo, wiodąca przez rozległą ziemię bezpańską.

Drogą tą kroczy w kierunku północnym człowiek. Dźwiga worek, a w nim zapasy żywności i trochę narzędzi rzemieślniczych. Chłop to rosły i silnie zbudowany, z rudym zarostem, na twarzy i rękach ma liczne drobne blizny, zdobyte może w pracy, a może i w walce. Spieszy może wprost z więzienia i pragnie się ukryć, a może jest filozofem i szuka spokoju. Dosyć, że tu, wśród tej przeogromnej samotni znalazł się człowiek. Idzie naprzód i idzie, a dokoła cisza, ani ptak się nie odezwie, ani innego zwierza nie słyhać. Idzie i idzie, niekiedy rozmawia z sobą, a wtedy mówi: — Hej, mocny Boże! — Gdy podczas wędrówki natrafi na mokradła i większe płaszczyny lub polany leśne, zdejmując worek, obchodzi dokoła i bada ziemię. Po chwili wraca, zarzuca worek na plecy i idzie dalej. Tak robi przez dzień cały bez przerwy. Według słońca poznaje porę dnia, a gdy noc zapadnie, kładzie się we wrzosowisku i zasypia z głową na ramieniu.

Po kilku godzinach idzie dalej. — Hej, mocny Boże! — Idzie wciąż prosto na północ, według słońca, poznaje porę dnia, urządza postój obiadowy, spożywa kawał wyschłego razowca z kozim serem, popija wodę z pobliskiego strumyka i idzie dalej.

I tego dnia wędruje bez przerwy, ponieważ pragnie zbadać bardzo wiele polan leśnych. Pragnie je zbadać pod względem położenia czy też pod względem właściwości ziemi? A może jest on wychodźcą ze wsi, gdyż rozgląda się wszędzie uważnie, czasami zaś wchodzi na któryś z pagórków i wodzi dokoła wzrokiem badawczym.

Słońce znowu zachodzi. Znajduje się właśnie na zachodniej stronie rozciągającej się w dal doliny z lasem mieszanym; jest tu i las czarny, są i pastwiska duże, ciągnie się to godzinami całymi. Zmierzcha już, ale człowiek słyszy nagle poszum rzeki; poszum ten jest czymś żywym, więc podnieca go. Wdarł się na wzgórze, widzi przed sobą w półmroku tonącą dolinę, a daleko na południe niebo. Teraz kładzie się na spoczynek.

Rano oczom jego przedstawia się krajobraz barwny, lasy i pastwiska, rozłożony u stóp wzgórza. Schodzi na dół: tam widnieje zielona polana, w oddali połyskuje rzeczulka, którą „bierze” właśnie w zuchowatym skoku zając, śmiałek nie lada. Człowiek skinął głową jakby na znak zadowolenia, że rzeczka nie szersza nad skok zająca. Spod stóp jego zerwała się pardwa², sycząc złowrogo, spłoszona widocznie z swego gniazda. I człowiek po raz wtóry skinął głową, jest zwierzyzna i ptactwo — dobrze się składa, bardzo dobrze!

Stopy jego brnęły przez gęste krzaczki jagód czarnych i borówek, przez kępki paproci i gwiazdnic³. Zatrzymując się tu i ówdzie i grzebiąc żelazem w ziemi, znajduje tu ziemię borowinową, tam znów próchnicę, liśćmi i zgniłymi gałęziami od lat tysięcy użyźnianą. Człowiek skinął głową, tu chce się osiedlić, tak, tu osiedli się.

Następne dwa dni wałęsa się jeszcze po okolicy, co wieczór jednak wraca do swej hali. Nocą sypia na posłaniu z jedlinek, czuje się tu zupełnie jak u siebie, wszakże pod nawisem skalnym ma już swoje legowisko.

Rzeczą najważniejszą było wynaleźć miejsce nienależące do nikogo, miejsce, które by mogło stać się jego własnością; obecnie nadszedł czas pracy. Przystąpił natychmiast do odzierania kory z brzoź rosnących w nieco oddalonych lasach. Następnie korę prostował, układał równo jedną na drugą, obciążał kamieniami i czekał, aż wyschnie. Zebrałszy

¹Lapończyk (*Saamowie*) — lud zamieszkujący Laponię, krainę hist.-geogr. w Europie Płn., obejmującą północne krańce Norwegii, Szwecji, Finlandii oraz Rosji (Płw. Kolski). [przypis edytorski]

²pardwa — średniej wielkości ptak z rodziny kurowatych. [przypis edytorski]

³gwiazdnica — rodzaj pospolitych roślin zielnych o białych, głęboko wciętych płatkach kwiatów. [przypis edytorski]

w ten sposób większy ładunek zaszuszonej kory, znosił ją do odległej o kilka mil⁴ wioski i sprzedawał jako materiał budowlany. Po czym do swej hali, hen wysoko, wnosił coraz to nowe wory żywności i narzędzi: mąkę, linę, garnek żelazny, szpadel; wędrował ścieżką wytrwale tam i z powrotem i zamęczał się dźwiganiem. Urodzony tragarz, prom kursujący w lasach, o, zdawało się, jakoby ukochał był to swoje powołanie: ustawiczną wędrowkę i dźwiganie wielkich ciężarów, jakoby w tym właśnie widział źródło i dowód swego bytowania, a upatrywał śmierć w braku ciężaru na swych barkach.

Pewnego dnia przyszedł obarczony jak zwykle ciężkim ładunkiem, prowadząc nadto na powróżku dwie kozy i koźlę. Kozami swymi czuł się tak uszczęśliwiony, jakby to co najmniej były krowy, i bardzo był dla nich dobry. Pojawił się pierwszy obcy człowiek, wędrowny Lapończyk, ten odgadł od razu, że natrafił na takiego, który się tam osiedlił, i rzekł:

— Chcesz tu zamieszkać na stałe?

— Tak — brzmiała odpowiedź.

— Jak się nazywasz?

— Izak. Nie masz jakiej dziewczki dla mnie?

— Nie, ale popytam tam, dokąd idę.

— Dobrze! Powiedz, że mam bydelko, a nie mam nikogo do oprzętu.

Izak zatem i tego pragnął dopiąć. Człowiek z hali więc nie był zbiegiem — wyjawił swoje imię. On zbiegiem? Ależ w takim razie wytropiono by go. Był to tylko niestrudzony pracownik: gromadził paszę zimową dla swych kóz, karczował ziemię, uprawiał pole, usuwał kamienie, wznosił mur kamienny. Na jesieni miał już gotowe mieszkanie, chałupę, czyli „gamme” solidną i ciepłą. Gdy zechciał, mógł być wejść do swego przybytku, zamknąć drzwi za sobą i pozostać wewnątrz, gdy zaś pojawił się jakiś przechodzień, mógł być stanąć w drzwiach i przedstawić się jako pan domu. Gamma podzielona była na dwie izby, w jednej on sam zamieszkał, w drugiej umieścił kozy. Zupełnie w głębi pod skałą urządził swoją szopę. Wszystko tam było.

Znowu jawią się dwaj Lapończycy, ojciec i syn. Przystają, na swych długich kijach wspierają się oburącz, przyglądają się chacie i wykarczowanej ziemi i przysłuchują się pobrzękowi dzwoneczków kóz pasących się na hali.

— Klaniamy się pięknie! — powiedzieli. — Jak widzimy, wielki pan tu zamieszkał. — Lapończycy próbują zawsze uniżonością i pochlebstwem.

— Wy pewnie nie wiecie o jakiej dziewczce dla mnie? — odzywa się Izak, któremu myśl ta nie daje spokoju.

— Dziewkę do posługi? Nie. Ale rozpowiemy wszędzie.

— Tak, bądźcie tak dobrzy. I powiedzcie, że mam dom i rolę, i bydło, ale brak mi dziewczki do pomocy.

Ach, o tę dziewczkę dowiadywał się za każdym razem, gdy z ładunkiem kory brzozonej znalazł się na dole we wsi, ale zawsze na próżno. Przyglądały się mu pewna wdowa i kilka starszych dziewczyn, żadna jednak nie miała odwagi zgodzić się dać niego; jaka mogła być tego przyczyna, Izak nie wiedział. Czy naprawdę nie wiedział? Kto bowiem zechciałby pójść w służbę do samotnika, tam na pustkowiu tak bardzo odległe, ba, prawie dzień drogi oddalone od najbliższej sadyby ludzkiej? A on sam nie był ani okruszynę miły, ani urodziwy, przeciwnie, gdy mówił, nie było w nim nic z tenora z oczyma wzniesionymi ku niebu, głos jego przypominał raczej ochryple szczekanie dużego kundla.

Nie pozostało mu więc nic innego, jak wieść nadal życie samotne.

Zimą majstrował, robił duże dzieże⁵ drewniane, sprzedawał je we wsi i brodząc w śniegu, wracał obładowany worami z żywnością i narzędziami. Ciężkie to były czasy, wielki w ogóle dręczył go kłopot. Przecież miał bydelko, którego nie mógł być opuszczać na czas dłuższy. Jak przeto⁶ się urządzał? Potrzeba jest matką wynalazków, miał łeb na karku, mocny i niezużyty, i ustawicznie czynny. Wychodząc, wypuszczał kozy na wolność, aby głód swój zaspokajając mogły ogryzaniem gałązek w lesie. Ale oprócz tego wymyślił

⁴mila — dawna miara odległości o różnej wartości; tu: mila skandynawska, stosowana do określania odległości pomiędzy gospodarstwami, równa ok. 10 km. [przypis edytorski]

⁵dzieża — drewniane naczynie do wyrabiania ciasta. [przypis edytorski]

⁶przeto (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

jeszcze inny sposób. Nad rzeką, tuż przy brzegu, uwiesił dużą dzieżę drewnianą, przeprowadzając do niej małą strugę; do napełnienia naczynia było potrzeba czternastu godzin. Dzieża napełniona wodą po brzegi zyskiwała swoją właściwą wagę i wtedy opadała w dół, a spadając, pociągała za sobą linkę połączoną z szopą; w tej chwili otwierała się szpara, wypadały trzy odmierzone porcje posiłku koziego i zwierzęta otrzymywały swoje pożywienie.

Genialny wynalazek, może nawet podszept samego Boga — człowiek pozbył się kłopotu. Wszystko szło sprawnie aż do późnej jesieni, potem spadł śnieg, potem deszcz, potem znowu śnieg, śnieg i śnieg. Wtedy wynalazek zaczął działać przekornie: naczynie napełniało się wodą deszczową i szpara otwierała się przed właściwym czasem. Człowiek przeto nakrył naczynie i znowu czas jakiś szło wszystko dobrze. Gdy jednak nastała zima, struga zamarzła i urządzenie całkiem już zawiodło.

I wtedy zwał się czas postu na kozy, a nawet i na samego człowieka.

Były to ciężkie dni, człowiek potrzebował pomocy, a nie miał jej. Ale nie opuścił rąk z tego powodu. Pracował dalej nad urządzeniem swego domostwa, zrobił okno w swej chałupie, prawdziwe okno z dwiema szybami. Był to w życiu jego dzień wielki i jasny. Nie potrzebował już rozniecać ognia na palenisku, aby izbę oświetlić, teraz mógł tam siedzieć spokojnie i przy świetle dziennym wykonywać niecki drewniane. Poprawił się teraz i mówił: — Hej, mocny Boże! — W księdze nigdy się nie zatapiał, ale myśli jego często krążyły koło Boga, nie mógł inaczej, ufność i cześć miały w duszy jego silne korzenie. Niebo gwiaździste, poszum boru, samotność, zasypane śnieżne, wszelkie potęgi ziemskie i nadziemskie nakłaniały go do rozmyślań i nabożności; czuł się grzeszny, więc był bogobojny; w niedzielę mył się gwo⁷ uczczenia dnia świątecznego, poza tym jednak pracował jak w dni powszednie.

Zbliżał się czas wiosenny, uprawił przeto swoje małe pole i zasadził ziemniaki. Inwentarz jego powiększył się obecnie: obie kozy okociły się, każda miała bliźnięta, ogółem było więc siedem sztuk dużych i małych. Mając przyszłość na względzie, powiększył stajenkę, a i tam wstawił parę szyb okiennych. Wszędzie docierało światło dzienne.

Pewnego dnia nadeszła pomoc. Długo krążyła tu i tam w górze na hali, zanim zdobyła się na odwagę. Był już wieczór, gdy się zbliżyła, ale wtedy już przyszła — wysoka, piwnooka dziewczyna, bujna i rozłożysta w biodrach; miała ręce mocne, w sam raz, i nogi w komagrach⁸, jakkolwiek nie była Laponką, na plecach dźwigała wór ze skóry cielej. Nie była już pierwszej młodości, nie ubliżając, miała około trzydziestki.

Czego właściwie miała się obawiać? Pozdrowiła go, dodając jednak pośpiesznie:

— Droga moja prowadzi przez góry.

— Aha — warknął. Rozumiał ją piąte przez dziesiąte, mówiła niewyraźnie, a nadto odwracała się od niego twarzą.

— Tak — odezwała się znowu — bardzo jeszcze daleka droga.

— Chcesz się przedostać przez góry?

— Tak.

— Czego tam szukasz?

— Idę do swojaków.

— Aha, idziesz do swojaków? Jak się nazywasz?

— Inger, a ty?

— Izak.

— Aha, Izak. Czy tu mieszkasz?

— Tak, tu mieszkam i mam tak, jak widzisz.

— Wcale ładnie — pochwaliła.

Pod względem rozumowania był Izak człekiem całkowicie dojrzałym i teraz oto pomyślał od razu, że dziewczyna przyszła zapewne z czyjegós polecenia lub że przyszła prosto z domu, aby tu pozostać. Prawdopodobnie słyszała, że potrzeba mu pomocy kobiecej.

— Wejdz i wypocznij! — powiedział.

⁷gwo^{li} (daw.) — dla, w celu. [przypis edytorski]

⁸komagry — trzewiki lapońskie. [przypis redakcyjny]

Weszli do chałupy, pożywiali się z jej zapasów i popijali jego kozie mleko, następnie ugotowali kawy, którą miała zapakowaną w pęcherzynię⁹. Raczyli się nią przed pójściem na spoczynek. W nocy opadły go nieposkromione żądze i ona uległa mu...

Nazajutrz nie odeszła i następnego dnia także nie. Była użyteczna, doila kozy i piaskiem wyszorowała kubelki, aż lśniły. Pozostała. Inger — to ona, a Izak — to on.

Teraz więc zaczęło się inne życie dla samotnika. Z jednym tylko była bieda: żona jego mówiła niewyraźnie, przy czym odwracała zawsze twarz, ponieważ miała zajęczą wargę. Ale to nie powód do skargi. Gdyby nie miała ust tak oszpeconych, nie byłaby zapewne nigdy do niego przyszła; zajęcza warga była jego szczęściem. A on sam, czyż był bez wad? Izak kudłaty, brodaty i przysadzisty, potężny niby pniak dębu kilkuwiekowego. A ponury wyraz jego twarzy, czyż miał kto podobny na całym bożym świecie?

Nie odeszła. Gdy wracał ze wsi, z pola lub z lasu, zastawał Inger w chacie. Inger i chata to całość jedna, nierozdzielna.

Musiał teraz dbać o wyżywienie drugiej gęby, ale to się opłacało, mógł dłużej pozostawać poza domem, mógł się ruszać. Ot tam płynęła rzeka, kochana rzeka, głęboka i o wartkim prądzie, nie była to, Boże broń, mała rzeczulka, ale całą gębą rzeka, wypływająca z pewnością z wielkich jezior górskich. Izak więc sprawił sobie przybory rybackie i udał się nad rzekę; wróciwszy wieczorem, przyniósł sporo pstrągów i łososi. Inger powitała go z ogromnym podziwem, była po prostu oszołomiona, klasnęła w dłonie i zawołała:

— Widział to świat!

Zmiarkowawszy¹⁰, jaką radością i dumą napęliła go jej pochwała, chwaliła go jeszcze więcej, a mianowicie, że czegoś podobnego nigdy jeszcze nie widziała i że wcale zrozumieć nie może, jak on to mógł urządzić.

Ale i pod innym względem Inger wniosła mu szczęście. Jakkolwiek wyposażona w niezbyt ładne lica i krótki rozum, to przecież posiadała u swojaków po drugiej stronie własne dwie owce z jagniętami. Przyprowadziła je. Był to prawdziwy skarb dla gammy, pomyśleć: dwie owce z wełną i z jagniętami, cztery żywe stworzenia. Inwentarz powiększył się teraz znacznie, aż dziw, jak się powiększył. Oprócz tego przyniosła Inger swoje rzeczy i inne cudowności, a więc zwierciadelko, sznur pereł szklanych, gręplę¹¹ i kołowrotek¹². Hej, jeśli tak dalej pójdzie, zapełni się wszystko od podłogi do pułapu i gamma będzie za ciasna! Widokiem wszystkich tych bogactw Izak oczywiście bardzo się wzruszył, ale ponieważ z natury był małomówny, przeto nie umiał tego wypowiedzieć, wyszedł więc przed dom, rozejrzał się po niebie i wrócił. Niechybnie wielkie miał szczęście i czuł, jak coraz bardziej rozpiera go gorącość jakaś, przyjaźń czy miłość, czy jak inaczej to nazwiemy.

— Tyle przyniosłaś, że więcej już nie potrzeba — przemówił.

— O, ja mam gdzie indziej jeszcze więcej. Mam wuja Sywerta, brata matki, znasz go?

— Nie.

— O, to wielki bogacz, jest kasjerem powiatowym.

Przez miłość człek staje się głupszy; Izak pragnął się przypodobać na swój sposób i dlatego posunął się za daleko.

— Co ja właściwie chciałem powiedzieć — rozpoczął — ziemniaków nie będziesz obdziabywać. Ja sam to robię, gdy przyjdę wieczorem.

Potem wziął siekiere i poszedł do lasu. Słyszała, jak w lesie ścinał drzewa, było to w pobliżu, a po trzasku poznała, że ścina wielkie pnie. Chwilę nasłuchiwała, po czym wyszła do obdziabywania ziemniaków. Przez miłość człek staje się mędrszy.

Wieczorem wrócił, ciągnąc za sobą na powrozie ogromną belkę. Ach, ten Izak, niezdamny, pocziwy Izak, ileż hałasu narobił swym kłosem, jakże chrząkał i kaszlał, i wszystkim, aby ją z domu wywabić i wzbudzić jej podziw.

Nie omylił się; gdy już dostatecznie się zbliżył, stanęła na progu i zawołała:

— Pewnikiem zwariowałeś! A może ty jesteś czarownikiem!?

⁹pęcherzyna (daw.) — wysuszony pęcherz moczowy lub pławny zwierząt służący jako rodzaj woreczka. [przypis edytorski]

¹⁰miarkować (daw.) — zauważać, orientować się. [przypis edytorski]

¹¹grępla — przyrząd do rozczesywania surowych, zmierzwionych włókien wełnianych, lnianych itp. [przypis edytorski]

¹²kołowrotek — dawne urządzenie do wytwarzania przędzy z włókien. [przypis edytorski]

Milczał. Nie wiedział po prostu, co odpowiedzieć. Co za wielka rzecz taka belka, szkoda słów.

— Co znów zamyślasz majstrować?

— Ech, tego sam jeszcze nie wiem — odparł zagadkowo.

Teraz dopiero zauważył, że ziemniaki już obdziabane, czyli że okazała się prawie równie jak on dzielna. A to nie było po jego myśli, więc odczepił powróż od pnia i zawrócił do boru.

— Znowu idziesz? — zapytała.

— Tak — odpowiedział tonem obrażonego.

Powrócił z drugą belką, ale już nie sapał ani hałasował, jeno¹³ podciągnął ją pod samą gammę i tam ją pozostawił.

Podczas lata przywłókł przed gammę wiele jeszcze takich belek.

II

Pewnego dnia Inger spakowała do swego worka skórzanego nieco żywności i rzekła:

— Pójdę do krewnych, muszę ich odwiedzić.

— Hm — mruknął Izak.

— Tak, muszę tam być jak najprędzej, aby pogadać z nimi o różnych sprawach.

Poszła. Izak kręcił się po gammie, łącząc z kąta w kąt za tym i owym. Gdy wreszcie stanął na progu chałupy, obojętnością pokrywając złe przeczucia, postrzegł Inger znikającą właśnie na skraju lasu.

— Hej, a wrócisz? — krzyknął za nią mimo woli.

— Nie! — odkrzyknęła.

— Żartujesz!

— Ehe!

Więc znowu pozostał sam jeden. — Hej, mocny Boże! — Z krzepą swoją i swoją ochotą do pracy nie umiał być długo bezczynny. Zabrał się do ociosywania i obrabiania pni na belki. Pracował tak aż do wieczora, potem wydoił kozy i udał się na spoczynek.

Pusto i głucho było teraz w gammie, cisza niesamowita wiała z każdego kąta. Kołowrotek jednak i gręple stały na swoim miejscu, a perły, schowane w woreczku, wisiały na ścianie. Inger pozostawiła wszystko. Izak jednak był tak nieskończenie głupi, że w jasną noc letnią bał się ciemnicy i co chwila widział jakieś cienie czające się w oknie. Gdy około godziny drugiej zaświtało, odetchnął, wstał i zjadł śniadanie. Ugotował olbrzymią misę kaszy, aby starczyło na cały dzień. Do wieczora uprawił nowy kawał ziemi pod ziemniaki.

Przez trzy dni z rzędu obrabiał kolejno pnie i uprawiał ziemię; nazajutrz Inger zapewne wróci. Pomyślał, że byłoby nieźle, gdyby na jej przyjęcie nałowił trochę ryb. Idąc jednak do rzeki drogą prostą, mógłby się z nią spotkać, dlatego nadłożył drogi i poszedł krętymi ścieżkami. Tym sposobem dotarł w nieznanie sobie dotychczas strony gór. Były tam skały szare i brunatny piarg¹⁴, bardzo ciężkie kamienie zawierające może ołów, może i miedź, a może srebro i złoto. On się na tym nie znał i dlatego było mu to obojętne. Dotarł do rzeki; ryby szły dobrze na przynętę, nałowił znowu sporą ilość łososi i pstrągów, tak że Inger na pewno się zdziwi. Wracając nad ranem tą samą drogą, zabrał ze sobą z piargu kilka kamieni brunatnych z granatowymi plamami. Były bardzo ciężkie.

Inger nie wróciła jeszcze. Czwarty dzień już mijał. Doił kozy jak ongi¹⁵, czasu zupełnej samotności, gdy nie miał nikogo do pomocy. Następnie znosił w pobliże gammy wielkie stopy kamieni przydatnych do murowania. Zaprawdę wielkie były jego zamysły.

Piątego wieczoru kładł się na spoczynek z cichą goryczą, ale wszakże kołowrotek i gręple stały na swoim miejscu!... Ta sama pustka w chałupie i cisza! Godziny wlokły się, ach, jak się wlokły. Usłyszawszy nareszcie z zewnątrz coś jakby szelest kroków, pomyślał, że to przywidzenie.

— Hej, mocny Boże! — powiedział w swym rozgoryczeniu, a słów takich Izak nie wypowiadał na wiatr. Teraz usłyszał ponownie stukot kroków na dworze, a po chwili ujrzał

¹³jeno (daw., gw.) — tylko. [przypis edytorski]

¹⁴piarg — rumowisko skalne; okruchy skalne nagromadzone u wylotu żlebu u podnóża stromych, skalistych stoków. [przypis edytorski]

¹⁵ongi (daw., gw.) — kiedyś, dawniej. [przypis edytorski]

w oknie przesuwający się cień; co by nie było, ale to coś miało rogi, dalibóg! Zerwał się i wypadł z chałupy, i wtedy ujrzał coś niezwykłego!

— Bóg albo!¹⁶ bies! — warknął, a czegoś podobnego Izak nie wymawiał nigdy bez powodu. Ujrzał krowę, Inger i krowę znikającą w obórce.

Gdyby nie był usłyszał Inger rozmawiającej z krową głosem przyciszonym, nie byłby dowierzał własnym oczom. Ale on słyszał, widział i słyszał, i tejże chwili zrodziło się w nim całkiem złe przeczucie: „Mocny Boże! Dzielna, ho, ho, diabelska baba, ale co za wiele, to za wiele. Kołowrotek i gręple, to jeszcze, perły, chociaż nadzwyczajne, i to jeszcze. Ale krowa, może zabłąkana gdzieś na drodze, może zabrana z cudzej łąki, krowa, której poszukiwać będzie prawy jej właściciel”.

Inger, wychodząc z obórki, rzekła z chępliwym uśmiechem:

— Przyprowadziłam sobie moją krowę!

— Hm — odpowiedział Izak.

— Spóźniłam się, marudziła w górach, cielna.

— Przyprowadziłaś więc krowę?

— Jak widzisz — odparła, a tak się przy tym puszyła, o, jak się puszyła. — A może myślisz, że kłamię? — dodała.

Izak obawiał się czegoś najgorszego, ale trzymał się na wodzy, powiedział tylko:

— Chodź już i zjedz co.

— Widziałeś krowę? Ładna?

— Śliczna. Skąd ją masz? — silił się na największą obojętność.

— Wabi się Złotoroga. A do czego wznosisz ten mur? Ty się jeszcze kiedy na śmierć zaharujesz, zobaczysz. No, chodź i zobacz sobie krowę!

Wyszli, Izak był w gatkach, ale to głupstwo. Przyjrzeni się krowie dokładnie ze wszystkich stron, łeb, wymiona, grzbiet, lędźwie, łaciata, dobrze zbudowana.

Izak wtrącił ostrożnie:

— Na ile lat ją liczysz?

— Na ile? Jest akurat w czwartym roku. Sama ją wychowałam i wszyscy mówili, że to najlepsza krowa, jaką zdarzyło się im widzieć. A będziemy mieli dla niej paszę?

Izak zaczął wierzyć w to, w co wierzyć pragnął, i oświadczył:

— Z paszą nie będzie kłopotu.

Potem weszli do izby, najedli się i napili, i udali się na spoczynek. Ale długo jeszcze rozmawiali o wielkim tym zdarzeniu, o krowie.

— Powiedz, czy nie ładna krowa? Teraz będzie miała już drugie ciele. Wabi się Złotoroga. Izak, ty śpisz!

— Nie.

— I pomyśl, poznała mnie od razu i szła wczoraj za mną niby jagniątko. W górach odpoczywałyśmy trochę.

— Aha.

— Ale na lato będziemy musieli ją na pastwisku przywiązać, inaczej zemknie, bo krowa jest krowa.

— A gdzie była przedtem? — zapytał nareszcie Izak.

— U moich krewnych, oni się nią opiekowali. Nie chcieli jej wydać, a dzieci aż się pobeczały, gdy ją zabierałam.

Możliwe to, aby Inger kłamała tak bez zachłyśnięcia? Mówiła oczywiście prawdę, krowa była jej własnością. Teraz było u nich naprawdę wspaniale, maluczko, a nie zabraknie im już niczego! O, ta Inger, kochał ją i ona jego kochała, poprzestawali na małym, żyli jak za czasów łyżki drewnianej i czuli się dobrze. „No, czas spać” — pomyśleli. I spali. O brzasku zbudzili się do dalszej pracy; różne tam były sprawy, nad którymi trzeba się było namozolić, a jakże, walki i radości, zwyczajnie jak w życiu.

Na przykład sprawa z belkami. Czy ma spróbować je stawiać? Ho, ho! Izak, będąc we wsi, dobrze się rozglądał i wymyślił sobie potrzebną strukturę, on to potrafi. A czy nie było to po prostu konieczne? Przybyły przecież owce, przybyła krowa, kozy się rozmnożyły i rozmnażają się coraz więcej. Słowem, inwentarz rozsadzał gamnę, trzeba było wynaleźć

¹⁶alboli (daw.) — albo też; czy może. [przypis edytorski]

na to radę. Najlepiej zabrać się do tego zaraz, póki ziemniaki kwitną i sianozęcie jeszcze nie rozpoczęte; kiedy niekiedy będzie musiała i Inger się przyłożyć.

W nocy Izak budzi się i wstaje. Inger śpi po swej wędrownie snem kamiennym. Izak idzie do obórki. Nie prawi krowie obrzydłych pochlebstw, ale klepie ją po przyjacielsku i bada na nowo z wszystkich stron, czy nie znajdzie jakiego znaku, który by wskazywał na obcego właściciela. Ale znaku nie znajduje, przeto odchodzi z łżejszym sercem.

Tam leży budulec. Układa belki na ściany w czworoboki, duży czworobok na izbę, mały czworobok na komorę. Była to ciężka praca, a tak go pochłoneła, że stracił rachubę czasu. W otworze w dachu gammy ukazał się dymek, Inger stanęła na progu, oznajmiając, że śniadanie gotowe.

— Nad czym tam znowu się mozolisz? — zapytała.

— Wstałaś już? — odparł Izak.

Patrzcie tylko, jaką Izak otacza się tajemniczością. Ale bardzo mu to schlebiali, że się dopytywała, że wzbudził w niej ciekawość, że zabił jej klina swym zamysłem. Najadłszy się, pozostał w gammie dość długo, właściwie bez powodu. Na co czekał?

— Hej, ja tu siedzę, a tam czeka mnie wielka robota — odezwał się w końcu, zabierając się ku wyjściu.

— Czy budujesz dom? — zapytała. — Nie możesz odpowiedzieć?

Odpowiedział, ale z łaski, czuł się nadzwyczaj wielki, wszakże budował dom i był głową wszystkiego, więc odpowiedział:

— Toć¹⁷ widzisz, że buduję.

— Tak. No no!

— Czy mogę inaczej? — dodał. — Przyprowadziłaś przecie krowę, więc potrzebna dla niej obora.

Biedna Inger, nie była tak mądra jak on, Izak, pan i władca. Nie знаła go jeszcze, nie rozumiała jeszcze jego sposobu wyrażania myśli, dlatego zapytała:

— Ale chyba nie będziesz budował obory?

— Hm — odparł.

— Ty mnie pewnikiem wystrychnąć chcesz na dudka, przecie o wiele lepiej by było, gdybyś dom zbudował.

— Hm, tak myślisz? — odpowiedział i zrobił przy tym rozmyślnie tak głupią minę, jak gdyby teraz dopiero zaczęło mu w głowie świtać.

— No tak, wtedy gammę można by zmienić na oborę.

Namyslał się, rozważał, a potem przyznał:

— Dalibóg, tak będzie najlepiej!

— A widzisz — powiedziała Inger triumfująco — ja także mam swój rozum.

— Tak. A jakby to było z komorą¹⁸ obok izby?

— Z komorą? Tożby wtedy było u nas jak u wielkich państwa. Tak, gdyby nam się to udało...

I udało się im. Wycinał fugi, wiązał belki w czworoboki, a jednocześnie zbudował z odpowiednich kamieni palenisko. Ale to ostatnie nie udało się mu i był z siebie bardzo niezadowolony. Gdy nastał czas sianozęcia, musiał opuścić budowlę, aby wykosić trawę na hali, po czym w olbrzymich snopach znosił siano do domu.

Pewnego dnia dżdżystego oznajmił Izak, że musi zejść na dół do wsi.

— Po co tam? — zapytała Inger.

— Nie wiem jeszcze dokładnie — odparł.

Poszedł. Był nieobecny przez całe dwa dni; nareszcie wrócił, dźwigając na plecach duży piec żelazny.

— Ty już nic a nic o sobie nie dbasz — powiedziała Inger.

Izak zerwał teraz palenisko szpecące nowy dom, a na jego miejscu ustawił piec.

— Nie wszyscy mogą poszczycić się takim piecem, a my możemy! — powiedziała Inger.

Sianokosy szły swoim trybem. Izak w dalszym ciągu znosił siano, znosił niestrudzenie. Budowę domu mógł być zajmować się już tylko dorywczo w dni deszczowe, stąd budowa

¹⁷toć (daw., gw.) — przecież; to przecież. [przypis edytorski]

¹⁸komora (daw.) — pomieszczenie przeznaczone do przechowywania rzeczy, służące jako skład, magazyn. [przypis edytorski]

postępowała żółtym krokiem, tak że w sierpniu, po sprzątnięciu wszelkiego siana pod nawisem skalnym, miał dom wykończony dopiero w połowie.

— We wrześnie rzekł Izak do Inger:

— Tak dalej nie pójdziesz, myślę, że będziesz musiała zejść do wsi i sprowadzić mi jakiego człowieka do pomocy.

Inger trapiła wprawdzie w ostatnim czasie nieznośna dychawica¹⁹, a nadto nie mogła się już tak żwawo poruszać, ale mimo to ochoczo przygotowała się do drogi.

Tymczasem jednak Izak rozmyślił się, stał się znowu butny i postanowił obejść się bez cudzej pomocy.

— Właściwie nie warto ludzi z tego powodu fatygować, już tam jakoś sam sobie poradzę.

— Nie, to za wiele na ciebie jednego — zaprotestowała Inger.

— Zobaczysz, pomóż mi tylko trochę przy wciąganiu belek.

W październiku Inger oświadczyła:

— Już nie mogę!

Bardzo niedobrze. Więzbę dachu należało zbudować jak najprędzej, aby pokrycie wykończyć, zanim nastaną deszcze jesienne. A tu już gwałt. Co się stało z Inger? Chyba nie chora?

Od czasu do czasu zajmowała się jeszcze wyrobem sera koziego, poza tym jednak nie zabierała się do innej roboty z wyjątkiem przeprowadzenia krowy na pastwisku z miejsca na miejsce kilka razy dziennie.

— Gdy znowu kiedy pójdziesz do wsi, pamiętaj przynieść mi duży kosz albo coś w tym rodzaju.

— Do czego ci to? — zapytał Izak.

— Potrzebuję — odpowiedziała krótko.

Izak wciągał jęty²⁰ na powrozach, a Inger podpierała je jedną ręką; zda się, że pomaga już samą swoją obecnością. Robota postępowała jednak powoli, dach nie był przecież zbyt wysoko, ale belki jak na ten mały domek były potwornie wielkie i grube.

Pogoda jesienna dopisała jako tako; Inger wykopała sama jedna wszystkie ziemniaki, a Izak wykończył dach, zanim rozpadało się na dobre. Kozy sprowadzano już na noc do chałupy, ale i to uszło, wszystko uszło. Nie było powodu do narzekań. Izak przygotował się znowu do jednej ze swych zwykłych wycieczek do wsi.

— A przynieś mi duży kosz albo skrzynię — przypomniała Inger, a brzmiało to jak prośba pokorna.

— Zamówiłem sobie kilka okien z szybami, muszę je przynieść — odparł Izak. — I parę drzwi pomalowanych także zamówiłem — dodał po namyśle.

— Ano, w takim razie z koszem trzeba się wstrzymać.

— Do czego potrzebny ci kosz?

— Do czego? Nie masz to oczu?

Głęboko zamyślony udał się Izak w swoją drogę, a wróciwszy po dwóch dniach, przyniósł nie tylko okna, drzwi do izby i drzwi do komory, ale nadto miał na piersiach przytroczoną skrzynię dla Inger, a w skrzyni różne prowianty.

Inger powiedziała:

— Ty się którego dnia podźwigasz na amen!

— Ho, ho, zaraz na amen!

Było to czymś tak nieprawdopodobnym, aby Izak podźwigać się miał „na amen”, że co prędzej wyjął z swej kieszeni butelkę z lekarstwem, z naftą, i upomniał Inger, aby rzetelnie z niej pociągała, to na pewno wyzdrowieje. Ot i miał nareszcie okna i drzwi pomalowane, którymi mógł być fanfaronować²¹; zaraz też zabrał się do ich wprawienia. Ach, te małe drzwi, używane już, ale jakże ślicznie pomalowane na białą i czerwono, zdobiły one izbę niby obrazki na ścianie.

¹⁹dychawica (pot.) — zapalna choroba płuc, zaburzenie powodujące duszności. [przypis edytorski]

²⁰jęta, właśc. jętka (bud.) — pozioma belka rozpostarta pomiędzy dwoma przeciwległymi krokwiemi dachu. [przypis edytorski]

²¹fanfaronować — chępić się, przechwalać się. [przypis edytorski]

Zasię²² wprowadzili się do nowej chaty, a inwentarz rozmieścili teraz w całej gammie. Maciorkę i jagnięta ulokowali przy krowie, aby miała weselej.

Wiele już zdziałali ludzie na pustkowiu, nad podziw wiele.

III

Póki ziemia była miękka, dobywał Izak kamienie i karcze²³, by zdobyć nowe pole pod zasiewy na rok następny. A gdy ziemię ściał mróz, chodził do boru i ścinał wielkie masy drzew na sążnie²⁴.

— Do czego ci tyle drewna? — mogła Inger śmiało zapytać.

— Tego jeszcze dokładnie nie wiem — odpowiedział Izak, ale on wiedział, wiedział doskonale.

Prastary, ponury, dziewiczy las nie będzie już teraz dotykał tak bezpośrednio do domu, a tym samym rozszerzy się pastwisko; niezależnie od tego będzie miał drewno, które w jakiś sposób dostawi w ciągu zimy do wsi i rozprzeda między ludzi. Drzewo opałowe zimą, ho! ho! Izak był przekonany, że to myśl bardzo szczęśliwa, i dlatego gorliwie ścinał drzewa, rozrąbał je i układał w sążnie. Inger przychodziła do niego często i przyglądała się jego robocie; on wprowadził zachowywał się wobec tych odwiedzin całkiem obojętnie, jak gdyby mu na nich wcale nie zależało, ona jednak wyczuwała instynktownie, że odwiedzinami swymi sprawia mu przyjemność.

Czasami zamieniali ze sobą przy tej sposobności słowa osobliwe.

— Nie masz to nic innego do roboty, jak tu przybiegać i przeziębzać się? — mówił Izak.

— Mnie nie zimno, ale ty od tej roboty jeszcze się rozchorujesz — odpowiedziała Inger.

— Przyodziej się zaraz w moją kurtkę, która tam leży.

— Jeszcze czego, przecież nie mogę tu siedzieć, skoro Złotoroga właśnie się cieli.

— Aha, Złotoroga się cieli?

— Nie wiedziałeś o tym? Czy będziemy cielę chować, jak myślisz?

— Nie wiem, zrób tak, jak zechcesz.

— Tyle wiem, że go nie zjemy. Inaczej mielibyśmy wciąż jedną tylko krowę.

— Toć wiem, że nie chciałabyś, abyśmy cielę zjedli — powiedział Izak.

Ach, ci samotnicy, tak nieokrzesani i tak bardzo ulegli swym popędom, ale jakże dobrzy względem siebie nawzajem, względem bydła i względem Matki Ziemi!

Złotoroga ocieliła się. Był to na pustkowiu dzień wielki, wielka radość i szczęście wielkie. Złotorogiej dano sporą porcję pożywej zupy z mąki, a Izak rzekł:

— Nie szczędź mąki! — jakkolwiek z trudem ją przydźwigał na swych barkach. Leżało tam więc cielę śliczne, prawdziwa piękność z świata cielęcego, było różowe, oszołomione jeszcze cudem, jaki dopiero co przeżyło. Po kilku latach i ono zostanie matką.

— O, to będzie wspaniała krowa — powiedziała Inger — nie wiem wcale, jak ją nazwać. — Inger była nieco dziecinna i w takich sprawach brakło jej pomysłowości.

— Jak ją nazwać? Srebrnoroga! — odparł Izak.

Spadł pierwszy śnieg, a gdy tylko śnieg się ostał i utrwalił, Izak powędrował na dół do wsi. Jak zwykle, tak i tym razem osłonił się tajemniczością i zamysłów swych przed Inger nie wyjawiał. Wrócił ze wsi — o dziwo! z koniem i saniami.

— Kiepskie żarty, tego konia nie zabrałeś chyba komu? — wykrzyknęła Inger.

— Zabrałem!

— Chciałam powiedzieć, że go nie znalazłeś?

Ach, gdybyż Izak mógł być teraz powiedzieć: „To mój koń, nasz koń!”. Lecz on wypożyczył go tylko, aby sążnie zwieźć do ludzi z dołu.

Zwoził Izak drewno do wsi i w zamian za nie przywoził wszelkiego rodzaju wiktuały i mąkę, i śledzie. Pewnego zaś razu przywiózł na saniach młodego byczka: we wsi brakło paszy, więc kupił go za bezcen. Był chudy i włochaty i słabo buczał, ale przy odpowiedniej pielęgnacji wyliże się rychło, miał przecież dopiero dwa lata.

²²zasię (daw.) — zaś; natomiast. [przypis edytorski]

²³karcz — pniak pozostały po wycięciu drzewa. [przypis edytorski]

²⁴sążeń (daw.) — sąg: stos drewna. [przypis edytorski]

Inger orzekła:

— Ależ ty, jak widzę, o wszystkim myślisz i sprowadzasz tu wszystko!

Tak, Izak wszystko sprowadzał: przywoził dyle²⁵ i tarcice w zamian za drewno opałowe, przywoził toczydło²⁶, żegadło²⁷, narzędzia ciesielskie, wszystko w zamian za drewno sążniowe. Inger rosła na widok tego bogactwa i powtarzała za każdym razem:

— Co jeszcze przywieziesz? Mamy już byczka i wszystko, o czym się tylko zamarzy!

A pewnego dnia oświadczył Izak:

— Nie, już nic więcej nie przywiozę.

Mieli teraz dosyć na długi czas i byli ludźmi zamożnymi. Co też Izak przedsięwzięcie znowu na wiosnę? Setki razy krocząc za obładowanymi saniami, myślał, myślał i wymyślał. A więc postanowił karczować hałę w dalszym ciągu, uprawiać glebę, ciąć drewno na sążnie, aby wyszło przez lato i aby dwa razy tyle przygotować go dla wsi na przyszłą zimę. Kalkulacja była dobra, bez najmniejszego zarzutu. I setki razy myślał Izak równocześnie o czymś innym, mianowicie o Złotorogiej. Skąd przyszła? Czyją była własnością? Takiej jak Inger szukać choćby ze świecą. O, szalona to była dziewczka i pragnęła tego wszystkiego, czego on pragnął, i na tym poprzestawała. Ale pewnego pięknego ranka mógłby ktoś niespodzianie przyjść, upomnieć się o Złotorogę i uprowadzić ją na powróżku. I jeszcze coś o wiele gorszego mogłoby z tego wyniknąć. „Chyba konia nie zabrałeś ani nie znalazłeś?” — powiedziała wtedy Inger. Taka była jej pierwsza myśl, czyli, że nie można jej tak bardzo dowierzać. Co tedy²⁸ ma zrobić? Nad tym rozmyślał. Czy nie nabył byczka dla Złotorogiej, krowy, kto wie, może skradzionej?

Teraz trzeba było konia oddać. Szkoda, bo koń zaakraglił się i bardzo się do nich przywiązał.

— Ano, toś nie próżnował, dosyć nim przecie ujeżdżałeś — pocieszała Inger.

— Ale na wiosnę znowu będzie mi potrzebny, i to bardzo — odparł Izak.

Pewnego poranku o świcie wyruszył z swym ostatnim ładunkiem drewna i pozostał poza domem całe dwa dni. Powrócił nareszcie pieszo; tuż przed chałupą jednak usłyszał coś osobliwego. Co to takiego? Zatrzymał się pod drzwiami i nasłuchiwał. Płacz dziecka. — Hej, mocny Boże! Nic innego, jeno płacz dziecka. Było to okropne i dziwne zarazem; czemu Inger nic mu o tym nie powiedziała?

Wszedł i spojrzał najpierw na skrzynię, której Inger tyle razy się dopraszała, a którą przyniósł na swych piersiach! Wisiała oto na dwóch powrozach przyczepionych do kalenicy²⁹ i tworzyła kołyskę i huśtawkę zarazem. Inger krzątała się półubrana, ba, ona przy tym wszystkim nawet krowę wydoiła i kozy!

Gdy dziecko przycichło, Izak zapytał:

— To już ze wszystkim się uporałeś?

— Tak, już po wszystkim.

— Aha.

— Przyszło wieczorem, kiedyś odjechał.

— Aha.

— Miałam jeno trochę roboty z zawieszeniem skrzyni, bo poza tym miałam wszystko już przygotowane, tym się jednak nadwreżyłam i zaraz potem zrobiło mi się słabo.

— Czemuś mi przedtem o tym nie powiedziała?

— A czy ja mogłam przewidzieć, kiedy to nastąpi? Jest chłopak.

— Aha, chłopak.

— I gdybym tylko wiedziała, jakie mu dać imię! — powiedziała Inger.

Pozwoliła mu spojrzeć na dziecko: czerwony, mały, okrągły buziaczek bez wargi zajęczej, z dużą czupryną na głowce. Śliczny chłopaczek. Izak czuł, że dzieją się z nim dziwne rzeczy, było mu dziwnie miękko koło serca i uczuł się naprawdę słaby. Siłacz stanął w ob-

²⁵dyl — bal, drewniana belka; gruba deska. [przypis edytorski]

²⁶toczydło — kamienny krąg do ostrzenia narzędzi. [przypis edytorski]

²⁷żegadło — narzędzie do przyżegania, wypalania piętna na skórze zwierząt, w celu ich oznakowania. [przypis edytorski]

²⁸tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

²⁹kalenica — górna pozioma krawędź dachu, na przecięciu dwóch przeciwległych połaci dachowych; także: belka, która tworzy taką krawędź. [przypis edytorski]

liczu cudu; niegdyś w świętej tajemnicy poczęty, ukazał się w życiu z małą twarzyczką jak gdyby symbol. Dni i lata wykują z cudu tego człowieka.

— Siadaj i jedz — powiedziała Inger.

Izak ścina drzewa i układa w sążnie. Robota postępuje teraz o wiele składniej niż przedtem. Posiada piłę. Piłował polana, a stopy drewna rosły coraz więcej w dwóch coraz to wydłużających się rzędach. Inger, więcej teraz uwiązana w domu, nie może odwiedzać męża przy robocie, za to Izak zagląda do niej często w ciągu dnia. Taki człeczek w skrzyni to rzecz doprawdy śmieszna! Izakowi nie przyszło oczywiście na myśl, aby się nim zajmować, taki malec, niech tam sobie leży! Ale przecież był człowiekiem, więc płaczu dziecka nie umiał słuchać bez współczucia, taki cichy, bezradny głosik!

— Daj pokój, nie chwytaj go! — broniła Inger. — Masz na pewno żywicą powalane ręce!

— Żywicą powalane ręce? Zbzikowałaś! Daj mi chłopaka, ukołysz go!

— Nie potrzeba, zaraz się uspokoi...

W maju zawitała do samotnych osadników obca kobieta z tamtej strony gór; jest krewniaczką Inger i znajduje miłe przyjęcie. Powiedziała na wstępie:

— Przyszedłam zobaczyć tylko, jak się miewa Złotoroga, odkąd ją od nas zabrano!

— O ciebie, okruszyno, nikt się nie zapytał — szepnęła Inger żałośnie.

— Ach on, dyć³⁰ widzę; jak się miewa? Okazały chłopak, widzę to! No, patrzajcie, gdyby mi kto przed rokiem powiedział, że ciebie tu spotkam z mężem, dzieckiem, domem i tym wszystkim!

— Nie mów o mnie, szkoda słów. Ale tam jest ten, który mnie wziął taką, jaką byłam!

— Jesteście po ślubie? Aha, jeszcze nie po ślubie?

— Ale urządzimy to razem z chrzczinami dziecka — odparła Inger. — Właściwie to myśmy już przedtem chcieli wziąć ślub, ale jakoś się nie składało. Izak, co ty na to?

— Tak, weźmie się ślub, to się wie.

— Olino, czy po sianokosach nie mogłabyś przyjść do nas i zaopiekować się inwentarzem podczas naszej nieobecności? — zapytała Inger.

A jakże, przyjdzie na pewno.

— Wynagrodzimy cię za to.

O, co do tego jest spokojna.

— Jak widzę, będziecie znowu budowali. Co będziecie budowali? Nie macie to już dosyć?

Inger potrząsnęła głową:

— Ja tam nie wiem, zapytaj jego.

— Co ja buduję? — odparł Izak. — Nie warto gadać. Małą szopeę, może się kiedy przyda. Ale pytałaś o Złotorogę, chcesz ją zobaczyć?

Idą do obory i prezentują krowę i cielę. Ach, co za piękny okaz byczka! Gość kiwa głową z uznaniem dla inwentarza i obory i oświadcza, że wszystko znajduje³¹ w najprzedszytniejszym stanie, a dla czystości i porządku nie ma dość słów uznania.

— Ho, ho, ja to wiem najlepiej, Inger umie się z bydelkiem obchodzić, ho, ho! — powiedziała krewna.

Izak zapytał:

— Hm, to Złotoroga stała przedtem u ciebie?

— Aha, od cielęcia! Właściwie nie u mnie, tylko u mego syna, ale to jakby to samo. Tak, matkę jej mamy dziś jeszcze w naszej oborze!

Tak przyjemnej wiadomości nie słyszał Izak od dawna. Kamień spadł mu z serca. Złotoroga była teraz już naprawdę krową jego i Inger. Bo prawdę mówiąc, długo się z tego powodu biedził i wymyślił sobie żałośliwy w swej niepewności wybieg: aby na jesieni Złotorogę zabić, sierść ze skóry zeszkrobać, rogi w ziemi zakopać i zatrzeć tym sposobem wszelkie po niej ślady. Teraz okazało się to wszystko niepotrzebne. I nagle stał się z Inger tak dumny, że aż go rozpierało, musiał gadać:

— Czysto tu, mówisz? Hej, drugiej takiej jak Inger nie znajdziesz na świecie. Sam Bóg mi ją zesłał, taką bogaczkę!

³⁰dyć (daw., gw.) — przecież. [przypis edytorski]

³¹znajdować (daw.) — przekonywać się o czymś; oceniać; odnosić wrażenie. [przypis edytorski]

— Pewnie, pewnie, nie inaczej! — przyznała krewniaczka.

Kobieta z tamtej strony gór, osoba miła, wygadana i rozumna, imieniem Olina, pozostała oto kilka dni u nich i sypiała w komorze. Odchodząc, otrzymała od Inger trochę wełny, którą jednak, obojętnie z jakiego powodu, ukryła przed Izakiem.

Dziecko, Izak i Inger — wszystko znowu po dawnemu, codzienna robota, wiele drobnych i dużych radości. Złotoroga dawała dużo mleka, kozy miały kozłeta i dawały również dużo mleka. Inger wyrabiała sery białe i brązowe. Zamyślała wyrobić tyle serów, aby wystarczyły na kupno krosien³². O, ta Inger, ona i tkać umie!

Izak zaś budował szopę i on miał swoje zamysły. Nową przybudówkę połączył z gamma za pomocą podwójnej ściany z desek, wstawił tam drzwi i zgrabne małe okienko o czterech szybach, następnie, zanim ziemia odtaje i będzie mógł torf dobywać, pokrył ją dachem tymczasowym z kory brzozonej.

Zrobił tylko to, co najniezbędniejsze, Ściany dał nieoheblowane, podłogi nie wyłożył deskami, jedno tylko miejsce wymurował, jakby dla konia, i zbudował żłób.

Zanim słońce przegrzało należycie wzgórze i pagórki, tak że dach szopy można było obrzucić torfem, miało się już pod koniec maja i teraz oto przybudówka była całkiem gotowa. Następnie pewnego ranka Izak spożył śniadanie, które starczyłoby dla trzech, spakował dużo żywności, motykę i szpadel wziął na ramię i powędrował na dół do wsi.

— Mógłbyś też przynieść ze cztery łokcie cycu³³! — krzyknęła za nim Inger.

— Do czego ci to? — odwrócił się Izak i szedł dalej.

Wyglądało to tak, jak gdyby opuszczał ją na zawsze. Inger dzień po dniu spoglądała na niebo, patrzyła, jaka pogoda, skąd wiatr wieje, nocą wychodziła z chaty i nasłuchiwała, myślała nawet o tym, by wziąć dziecko na rękę i pogonić za Izakiem...

Nareszcie! Nareszcie wrócił! Z koniem i wozem!

— Ho, ho! — wykrzykiwał Izak tuż przed domem i jakkolwiek konisko stało spokojnie jak baran, rżąc na widok znanej sobie chałupy, mimo to Izak wrzasnął:

— Wylaż no co tchu i potrzyмай mi konia!

Inger wyszła.

— Co to takiego? — wykrzyknęła. — Udało ci się znowu go wypożyczyć? Gdzieś bywał tak długo? Dziś siódmy dzień.

— Gdzie miałem być? Toć w wielu miejscach musiałem drogę wyrąbywać, aby z moim wozem przejechać. Mówiłem ci, potrzyмай trochę konia!

— Z twoim wozem? Chyba go nie kupiłeś?

Izak milczał, niemota aż go rozdymała. Zabrał się do wyładowywania wozu: pług i brona, gwoździe, prowianty, nowa łopata, worek z ziarnem do siewu.

— Jakże się dzieciak miewa? — zapytał.

— Dobrze. Ale powiedzże, czy wóz naprawdę kupiłeś? A o krosnach nie pamiętałeś, co? — żartowała uszczęśliwiona jego powrotem.

Izak znowu milczał, miał dosyć z sobą roboty. Rozwahał i rozglądał się dokoła, gdzie by ułożyć przywiezione towary i sprzęty. Nie było wcale tak łatwo znaleźć na podwórzu odpowiednie miejsce dla wszystkiego. Inger, nie doczekawszy się odpowiedzi, zaniechała dalszych pytań i gwarzyła³⁴ już tylko do konia. Wtedy Izak przemówił:

— A bo to widziałas kiedy gospodarstwo bez konia i wozu, bez pługa, brony i wszystkiego, co do tego należy? A skoro chcesz wiedzieć, to ci powiem, że kupiłem konia i wóz, i wszystko, co przywiozłem.

Wtedy Inger zabrakło słów, potrząsnęła tylko głową i powiedziała:

— Widział to świat?!

Teraz dopiero Izak nabrał rozmachu: Za Złotorogą zapłacił iście po królewsku, bo proszę — koniem! A krzepę miał, pług uchwycił jedną ręką i zaniósł go pod samą cha-

³²krosno (zwykle w lm) — urządzenie do wytwarzania tkanin z przędzy poprzez przeplatanie przez siebie dwóch prostopadłych względem siebie układów nitek: osnowy i wątku; tu: krosno ręczne, czyli warsztat tkacki. [przypis edytorski]

³³cyć — tkanina bawełniana we wzory, rodzaj perkalu. [przypis edytorski]

³⁴gwarzyć (gw.) — mówić; dziś: prowadzić poufałą rozmowę, gawędzić. [przypis edytorski]

lupe. Taki to był mocz! A potem zaniósł do szopy bronę, rydel, nowe widły, wszystkie te drogie narzędzia rolnicze, klejnoty, które był kupił. Wspaniałe wyposażenie gospodarstwa, teraz nic już nie brakło!

— Hm. A na krosna starczy również — powiedział — naturalnie, jeżeli będę zdrow. Tu jest cich, nie mieli nic innego jak tylko ten granatowy perkalik.

Był niewyczerpany. Tak było zawsze, gdy wracał ze wsi.

— Szkoda, że Olina nie zobaczyła tego wszystkiego — odezwała się Inger.

Na ten dowód chępliwości uśmiechnął się pogardliwie. Chociaż tak po prawdzie nie byłby miał nie przeciwko temu, gdyby Olina wspaniałości te była ujrzała.

Dziecko zapłakało.

— Biegnij do chłopaka, szkap już spokojna!

Wyprzągnął konia i zaprowadził do szopy, tam go umieścił. Dał mu obroku, ochędożył³⁵ starannie i oklepywał pieszczotliwie. Ile jest dłużny za konia i wóz? Wszystko, wielką, bardzo wielką kwotę, ale on ją szybko spłaci, zaraz po żniwach. Ma już sporo drewna w sążniach, posiada z zeszłego roku wysuszoną korę brzożową, a wreszcie i kilka porządnych belek. Ale sprawa nie była łatwa. Gdy minął pierwszy impet i ostygł nieco zadzierzasty animusz, coraz częściej przychodziły chwile gorzkie, chwile lęku i czarnej troski. Zależało teraz wszystko od lata i jesieni!

Dni schodziły na coraz zwiększającą się robocie w polu. Coraz nowe połacie ziemi oczyszczał z pniaków i kamieni, przeorywał je, mierzwił³⁶, orał, okopywał, rozkruszał bryły rękami i piętami, słowem, wszędzie i na każdym kroku był to rolnik pilny i przezorny. Pola jego były niby stół gładkie i równe, i pulchne. Następnie przeczekał dni kilka, a gdy się na deszcz zaniosło, rzucił siew żyta.

Przodkowie jego siali zapewne żyto od wielu setek lat! Była to praca dokonywana w skupieniu podniosłym w wieczór cichy, łagodny, najchętniej, gdy mży lekki kapuśniaczek i o ile możliwości w porze ciągu dzikich gęsi. Ziemniak to roślina nowoczesna, pozabawiona wszelkiego tajemniczego uroku, jakiegokolwiek obrzędowości. Sadzeniem mogły się zajmować kobiety i dzieci, znakomity produkt żywnościowy, przywieziony z obcych krajów. Inna rzecz — żyto! Żyto to chleb, żyto lub nie-żyto to życie lub nie-życie, śmierć.

Izak z gołą głową i imieniem Chrystusa na ustach wyszedł na pola i siał; był ogromny i niezdarny jak pniak, do którego przyczepiono dwa ludzkie ramiona, ale w piersiach jego biło serce dziecka. Rzucił ziarno w nabożnym skupieniu, w pogodnej pokorze ducha, spełniał jakoby obrzęd mistyczny, religijny.

Patrzajcie, oto ziarno wschodzi i zamienia się w kłos obfitujący w ziaren wiele, bardzo wiele i tak dzieje się na całej ziemi, wszędzie, gdzie ziarno sieją. Na Wschodzie i w Ameryce, i w Gudbrandsdalen³⁷ — ach, jakże wielka jest ziemia, a jakże małe było pole obsiewane przez Izaka! Ale ono stanowiło ośrodek wszystkiego. Z dłoni Izaka padało ziarno w ziemię. Niebo zachmurzone, jak gdyby sprzyjało siewcy, zanosilo się na bardzo drobny kapuśniaczek.

IV

Sianokosy ukończone, mijały dni i tygodnie, a Oliny jak nie widać, tak nie widać.

Izak miał już pola uprawione, przygotował dwie kosy i dwoje grabi do sianobrania, przygotował wóz do zwózki siana, przygotował płozy i to wszystko, co potrzebne do sań drewnianych na zimę. Nie próżnował. Przymocował nawet do ściany izdebnej dwie police³⁸, na których można było układać najróżniejsze przedmioty, a więc kupiony nareszcie kalendarz³⁹, więc mąteвки i czerpaki, i miski. Inger oświadczyła, że police bardzo się przydadzą.

Inger była w ogóle ze wszystkiego zadowolona. Patrzajcie, Złotoroga już nie bryka, nie ucieka, ustatkowała się do cna i pasie się w borze w przykładowej zgodzie z cielęciami

³⁵ochędożyć (daw.) — doprowadzić do porządku; oczyścić, oporządzić. [przypis edytorski]

³⁶mierzwić — użyźniać ziemię mierzwą, obornikiem. [przypis edytorski]

³⁷Gudbrandsdalen — duża dolina i tradycyjny okręg administracyjny w Norwegii. [przypis edytorski]

³⁸polica (daw., gw.) — półka. [przypis edytorski]

³⁹kalendarz — dawniej dużą popularnością cieszyły się książki zawierające kalendarz uzupełniony dużą liczbą informacji praktycznych z różnych dziedzin, porad gospodarskich, krótkich opowiadań, ciekawostek itp. [przypis edytorski]

i byczkiem. Patrzajcie, kozy darzyły się tak, że ciężkie swe wymiona wlokły prawie po ziemi. Z granatowego perkaliku uszyła Inger dla dziecka długą sukienkę i czapczkę; była to sukienka do chrztu, ale jaka, śliczności nieustające! A dziecko leżało ciche jak trusia i coraz ciekawiej rozglądało się po świecie. Był to już łebski chłopak i Izak nie srożył się już na to, by dać mu na imię Elizeusz, niech tam! Sukienka miała powłokę na kilka łokci⁴⁰ i za każdy łokieć płacić musiała Inger ze swych pieniędzy, ale nic to, chłopak był pierworodny.

— Teraz też pewnie pomyślisz o swych perłach — zauważył Izak.

O, Inger myślała już o perłach, nie na darmo przecież była matką. Na szyję chłopaka były za ciasne, więc ozdobi nimi przód czapczki, tak będzie ładnie.

A Oliny jak nie widać, tak nie widać.

Gdyby nie inwentarz, mogliby pójść i po trzech, czterech dniach wrócić z dzieckiem ochrzczonym. I gdyby nie sprawa ślubu, Inger mogłaby sama udać się w drogę.

— Nie można by ślubu odłożyć na inny czas? — zapytał Izak.

Ale Inger odparła:

— Potrwa jeszcze z dziesięć do dwunastu lat, zanim Elizuś będzie mógł pozostać bez opieki i krowę i kozy doić.

Więc Izak musiał się wziąć na rozum. Prawdę mówiąc, cała ta sprawa była od samego początku trochę nie w porządku, ślub był właściwie tak samo konieczny jak chrzciny. I oto zapowiadała się susza, taka prawdziwa, brzydka susza; jeżeli nie przyjdzie trochę deszczu, wypali się cały plon. Trudno, wszystko w ręku Boga. Izak zabierał się w drogę do wsi, aby wyszukać kogoś na zastępstwo. Znowu więc kilka mil drogi.

Wszelkie te udutki jedynie z powodu ślubu i chrztu! Tak, dużo małych i wielkich kłopotów mają ludzie wsi.

Nareszcie zjawiała się i Olina...

Więc ślub wzięty i Elizeuszek ochrzczony. Wszystko było w najlepszym porządku, nawet akt ślubu odbyli przed aktem chrztu, żeby dziecko było ślubne. Ale susza trwała, wypaliły się półka żytnie, wypalały się łąki i czemu to? Wszystko w ręku Boga! Izak kosił łąki, ale trawa była licha, mimo że ją na wiosnę zamierzwiał. Kosił i kosił także i na dalej położonych halach, niestrudzenie kosił i zwoził siano z wszystkich stron, przecież miał konia i liczny inwentarz. W połowie lipca jednak musiał skosić i żyto, żyto na zieloną paszę, do czego innego nie było przydatne. Tak tedy cała nadzieja jeszcze tylko w ziemniakach.

Ziemniaki? Czy to naprawdę tylko zbytkowna roślina zamorska, bez której można się obyć? O, ziemniaki to roślina niezrównana, susza czy deszcze, ona rośnie. Na przekór pogodzie. Wytrzymuje dużo, opłaca się pięciokrotnie, byleby człowiek jako tako nią się zaopiekował. Patrzajcie, ziemniak nie posiada krwi winogron, ale posiada mięso kasztana, można go upiec i ugotować, i w ogóle użyć do wszystkiego. Człowiek może odczuwać brak chleba, gdy jednak ma ziemniaki, ma pożywienie. Ziemniaki można upiec w popiele i wieczerza gotowa, można je ugotować w wodzie i jest śniadanie. Mało potrzeba do nich dodatków. Wystarczy miska mleka, śledź wystarczy. Bogacze dobierają masła, biedota zadowala się szczyptą soli. Izak spożywał je jako potrawę odświętną z odrobiną śmietany z mleka Złotorogiej. Te ziemniaki pogardzane, a przecież błogosławione...

Ale z ziemniakami mogło być też niedobrze.

Izak co chwila spozierał ku niebu... Błękit nieba czysty, niezachmurzony. Niektórego wieczora zanosilo się na deszcz. Wtedy Izak wchodził do izby i mówił:

— Jestem ciekaw, czy dziś się rozpada!

Ale mija kilka godzin — i nic, rozprysły się wielkie nadzieje.

Susza trwała już siedem tygodni, upały coraz większe. Ziemniaki kwitły w tym czasie w całej pełni, kwitły niezwykle wprost i cudownie. Pola wyglądały z dala niby puchem śniegowym pokryte. Jak to się skończy? Kalendarz nie daje żadnych co do tego wiadomości, w ogóle dzisiejsze kalendarze są psa warte, dawniej bywały o wiele lepsze. Dziś znowu nadciągają chmury, więc Izak zwraca się do Inger:

— Łaska boża, dzisiejszej nocy dostaniemy deszcz!

— Czy się na to zanoszą?

⁴⁰łokieć — dawna miara długości, równa ok. 60 cm. [przypis edytorski]

— Ano i szkapa gryzie uździenicę⁴¹.

Inger spogląda przez okno i powiada:

— Ano, zobaczmy!

Spadło kilka kropel. Mijały godziny, poszli spać oboje, a gdy w nocy Izak, zbudziwszy się, wyszedł na dwór, niebo było roz pogodzone.

— Hej, mocny Boże! — westchnął Izak.

— Za to wyschną twoje ostatnie liście — pocieszała Inger na swój sposób.

A jakże, Izak zgromadził także sporo najprzedniejszego liścia. Była to cenna pasza, obchodził się z nią jak z sianem i nakrył ją w lesie korą brzożową. Niewiele liści tam jeszcze pozostało, przeto odpowiedział do głębi stroskany i zobojętniały:

— Niech tam wyschną i tak ich sprzątać nie będę.

— Bajesz — odparła Inger.

Nazajutrz liści nie sprzątnął, powiedział, więc nie sprzątnął. Niech sobie leży do diaska i niech zmoknie! Niech tam!

Z żalości wielkiej zdrętwiały siedział na progu domu i obojętnym zgoła okiem wodził po swej posiadłości. Oto rozciągały się tam pola ziemniaczane, kwitły po prostu bujnie i wędły. Co wobec tego znaczy pozostała tam kupka liści! Niech leży, niech się spali! O, ale Izak, kto go tam wie, w prostocie swego ducha żywił może jakąś ukrytą, chytrą myśl, może postępował tak z wyrachowania, próbując sprowokować niebo teraz przy zmianie miesiąca.

Wieczorem znowu się zachmurzyło.

— Powinieneś był liście sprzątnąć — zauważyła Inger.

— Czemu? — zapytał Izak, udając, że nie rozumie, o co chodzi.

— Tak, tak, niby to nie wiesz, że może dziś przyjść deszcz.

— Toć widzisz, że w tym roku deszczu wcale nie będzie...

Ale właśnie tej nocy zdawało się, że szyby poczerwieniały i że coś po nich trzaska i pluska.

Inger zbudziła się i rzekła:

— Pada, patrz jeno na okna!

Izak uśmiechnął się lekceważąco i odparł:

— Pada? Co ty pleciesz? Przecie to nie deszcz.

— Ach, nie udawaj!

Izak udawał, nie inaczej. Siebie samego okłamywał. Deszcz bowiem lał jak z cebra, lecz ustał, gdy liście Izaka rzetelnie już przemokły. Niebo wypogodziło się znowu.

— A co, nie mówiłem, że nie będzie deszczu? — powtarzał Izak z zawziętością do prawdy grzeszną.

Ziemniakom ulewa ta niewiele pomogła. Dni mijały, niebo pozostało czyste. Wtedyabrał się Izak do budowy swych sani. Oddał się tej pracy całą duszą. Upokorzył się w swym sercu i heblował cierpliwie płozy i dyszle. — Hej, mocny Boże! — Dzień mijał za dniem, dziecko rozwijało się, Inger wyrabiała masło i ser, hej, przecież nie było znowu tak rozpaczliwie, jeden nieurodzaj nie złamie dzielnych mieszkańców pustkowi. A zresztą, gdy minęło dziewięć tygodni, spadło z nieba prawdziwe złoto, padało bez przerwy dzień cały i całą noc, przez szesnaście godzin lało strumieniami, prawdziwe oberwanie chmur. Przed dwoma tygodniami byłby Izak na pewno orzekł: „Za późno!”, dziś jednak oświadczył:

— Hej, zobaczysz, jak ten deszcz wygoi nasze grule⁴².

— O tak — powiedziała Inger z otuchą — wszystko będzie dobrze.

Od tego dnia miało się ku lepszemu. Deszcz padał codziennie, trawa zazieleniła się na nowo jakby zaczarowana, ziemniaki kwitły, a jakże, więcej niż poprzednio, a na łąkach rosły duże, zielone jagody. I było właściwie tak, jak miało być. Co jednak działo się pod krzami⁴³, nie wiadomo; można było zajrzeć, ale Izakowi brakło odwagi. I oto któregoś dnia Inger poszła na pole, odgrzebała jeden kierz i znalazła dwanaście małych ziemniaków. — O, ta Inger, ona swą wargą zajęczką wciąż tylko pocieszać musi i dodawać otuchy! A jaki

⁴¹uździenica — tu: wędzidło, część uprzęży końskiej, metalowa część uzdy wkładana koniowi do pyska, służąca do kierowania zwierzęciem. [przypis edytorski]

⁴²grule (reg.) — ziemniaki. [przypis edytorski]

⁴³kierz (daw., reg.) — krzak; tu N. lm: *krzami*, tj. krzakami. [przypis edytorski]

przy tym miała głos okropny, był to raczej syk-świsł otwartego nieco wentylu parowego, ale jej słowa pociechy były na pustkowiu dobrodziejstwem. Była także pogodna i wesoła.

— Mógłbyś też zrobić kiedy drugie łóżko — rzekła do Izaka.

— Hm.

— Tak, ale to nic gwałtownego — dodała.

Zabrali się do wybiórki ziemniaków i uporali się z tym, jak kazał zwyczaj, na świętego Michała⁴⁴. Był to rok nie najgorszy i nie najlepszy, właściwie dobry; okazało się znowu, że ziemniaki wytrzymują wiele na przekór wszelkiej pogodzie. Inna rzecz, gdy zaczęli liczyć dokładnie, to rok ten nie należał do dobrych ani nawet średnio dobrych, ale trudno było w tym roku tak dokładnie liczyć. Jakiś Lapończyk zatrzymał się pewnego dnia w swej wędrówce i dziwował się, że tak dużo sprzątnęli na pustkowiu ziemniaków:

— Po wsiach jest o wiele gorzej — powiedział.

Pozostało jeszcze kilka tygodni, Izak spieszył się z orką, aby skończyć, zanim nastaną mrozy. Bydło pasło się na łąkach i ściernisku, i na brzegu lasu. Napawał się bliskością tych stworzeń i pobrzękiem ich kołatek. Wprawdzie odrywały go często od roboty, to byczek uderzał z pasją w kupki zebranego listowia, rozrzucając je dokoła, to znowu kozy się rozpierzchnęły, psociły to tu, to tam, włożyły nawet na dach gammy.

Ot, zwykle kłopoty, małe i duże kłopoty!

Któregoś dnia usłyszał Izak głośny krzyk. Inger, stojąc z dzieckiem na ręku, wskazywała na byczka i małą Srebrnorogą: awantura miłosna. Izak odrzuca motykę i biegnie co tchu, ale już za późno, stało się.

— A to ciota, rychło zaczyna, dopiero ma rok, pół roku za rychło, taka ciota, taka smarkuła! — Izak pędzi ją do obory, ale pewnością już za późno.

— Ano — uspokaja Inger — może i dobrze się stało, bo inaczej obie byłyby na jesieni cielne.

Ach, ta Inger, nie grzeszyła ona zbyt dużym rozumem, ale może jednak wiedziała, co czyni, wypuszczając nazajutrz Srebrnorogą wspólnie z byczkiem.

Nastała zima. Inger gręplowała⁴⁵ wełnę i przędła. Izak na swych saniach zwoził do doliny sagi, olbrzymie ładunki wyschłego drewna. Spłacił wszystkie długi: koń i wóz, pług i brona, wszystko to należało do niego, wyłącznie do niego. Kozi ser Inger zabrał również do wsi i w zamian za to przywiózł przędzy⁴⁶, krosna, motowidło⁴⁷. Innym znów razem przywiózł mąkę i prowianty, to znowu tarcice, gwoździe i żelazko, pewnego zaś dnia powrócił nawet z lampą.

— Na Boga — zawołała Inger — tyś chyba zwariował!

Ale ona od dawna już odgadła, że lampę przywiezie. Wieczorem zapalili ją i zdawało się im, że są w maju, a Elizuś przypuszczał z pewnością, że to słońce świeci.

— Popatrz no, jak się dziwuje! — powiedział Izak.

Odtąd Inger mogła już pruć wieczorami przy świetle lampy.

Izak przywiózł płótna na koszule i nowe trzewiki dla Inger. Prosiła go o różne barwniki do barwienia wełny — i to przywiózł. Lecz któregoś dnia powrócił z prawdziwym zegarem! Wtedy zdawało się Inger, że z obłoków spadła, i tak ją zatkało, że przez długą chwilę nie mogła ni słowa wykrztusić.

Izak zawiesił zegar ostrożnie i nastawił wskazówki, potem go nakręcił. Zegar wybijał godziny. Dziecko pogoniło swymi ślepkami w kierunku zegara, a potem spojrzało na matkę.

— Ehe, dziwisz się! — powiedziała i wzięła chłopaka na ręce. Była wzruszona. Wszelkie bowiem bogactwa na pustkowiu były niczym w porównaniu z zegarem, który przez całą ponurą zimę i jasne lato bez przerwy będzie posuwał swe wskazówki i wydzwaniał godziny.

Następnie odstawiono i sprzedano wszystkie zapasy drewna. Izak chodził znowu do boru i znowu ścinał drzewo; z sążni tworzył długie ulice, miasto całe — zapasy na przyszłą

⁴⁴*dzień św. Michała Archaniola* — święto katolickie obchodzone 29 września, tradycyjnie związane na wsi z zakończeniem prac polowych. [przypis edytorski]

⁴⁵*gręplować* — rozplątywać przy pomocy specjalnego urządzenia włókna wełny, bawełny lub lnu. [przypis edytorski]

⁴⁶*przędziwo* — naturalne włókna, które można przetworzyć na przędzę; przędza. [przypis edytorski]

⁴⁷*motowidło* — przyrząd do odmierzania i zwijania w motki nici lub przędzy. [przypis edytorski]

zimę. Droga jego z domu do boru zwiększała się coraz bardziej, rozległa poręba była gotowa pod uprawę. Tymczasem miał dosyć ziemi, odtąd postanowił trzebić jedynie drzewa najstarsze i chore z zaschniętymi wierzchołkami.

Oczywiście dawno już się był domyślił, dlaczego Inger wspominała o drugim łóżku; tym razem nie będzie zwlekał, musi robotę przyspieszyć. Gdy wrócił któregoś dnia z boru późnym wieczorem, było już po fakcie dokonanych: rodzina powiększyła się znowu o chłopaka. Inger leżała w łóżku. O, ta Inger! Nie dalej jak rano wysyłała go do wsi, czyniła to nawet nieco natarczywie.

— Dobrze by było, żeby szkapa się trochę przeszła — powiedziała — bo inaczej zastoi się.

— Na takie głupstwa nie mam czasu — odparł Izak i poszedł do boru. Teraz zrozumiał, że chciała się go pozbyć po prostu, ale czemu, z jakiego powodu? Przecież byłoby może właśnie dobrze, gdyby go w takiej chwili miała w pobliżu.

— Jak to być może, że ty nigdy tego nie przewidzisz? — zapytał.

— Teraz musisz urządzić sobie osobne legowisko i spać w komorze — odparła.

Ale z tym legowiskiem sprawa nie była łatwa: była potrzebna derka. Dotychczas mieli jedną, o drugiej nie może być mowy przed jesienią, kiedy to będzie można zarżnąć kilka skopów⁴⁸, ale skóra choćby z dwóch skopów nie starczy na derkę. Kiepski czas nastał dla Izaka, nocami marzył. Próbował zagrzebać się w siano pod nawisem skalnym, próbował spać o oborze. Był bezdomny. Na szczęście był już maj, potem już czerwiec, lipiec...

Rzecz doprawdy osobliwa, ile tu w tych trzech latach zrobiono: chatę ludzką, oborę, stajnię i tyle roli. A teraz coś tam znowu Izak budował? Nową szopę, spichlerz, przybudówkę przy chacie? Aż grzmiało w chałupie, gdy wbijał gwoździe ośmiocalowe, i wtedy Inger wychodziła raz po raz i prosiła o zmiłowanie dla dzieciaków.

— Aha, dzieciaki! Zabaw je tymczasem! Zaśpiewaj im co. Elizeuszkowi daj pokrywkę, niech sobie trochę pożałuje! Z ośmiocalówkami wnet skończę. Potem będzie sprawa tylko z deskami i gwoździami trzycałowymi, ot głupstwo.

Czyż mógł przestać kuć? Toć beczkę ze śledziami, mąkę i inne prowianty przechowują dotychczas w stajni, bo trudno je trzymać na dworze pod gołym niebem. Ale słonina przeszła zupełnie stajnię, konieczna więc jest spiżarnia. Trudno, dzieciaki muszą się do huków przyzwyczaić. Elizeusz był wprawdzie trochę chuchrowaty i słabowity, ale młodszy za to ssal jak hipopotam i jeżeli się nie darł, to na pewno spał. Tęgi łobuz! Izak nie sprzeciwiał się, aby dać mu na imię Sywert, jakkolwiek ponownie myślał o Jakubie. Inger miała słuszość, rzadko jej się to zdarzało, ale zdarzało się. Bo proszę: Elizeuszkowi dano na chrzcie świętym imię jej proboszcza, imię pańskie, lecz Sywert było to imię jej wuja, kasjera obwodowego, który był kawalerem i bogaczem bez żadnych spadkobierców. Czy więc mogło być imię lepsze nad Sywerta?

Potem nastąpił czas robót wiosennych, ukończono wszystko przed Zielonymi Świątkami⁴⁹. Wtedy, gdy był sam Elizeusz, Inger obiegała swego pierwotnego tak, że brakło jej czasu na pomoc w polu. Teraz gdy miała dwoje dzieciaków, wyrывała chwasty i robiła wiele innych rzeczy: godzinami całymi pomagała przy sadzeniu ziemniaków, siała marchew i brukiew. Szukać na świecie drugiej takiej kobiety! A na krosnach nie miała⁵⁰ to już sukna? Wyzyskiwała każdą chwilę, aby pobiec do komory i utkać bodaj kilka cewek; był to materiał półwełniany na bieliznę zimową. Po ufarbowaniu nici tkala sukno niebieskie i czerwone na przyodziewek dla siebie i dzieci. Następnie dodała więcej barw i utkała powłoki na pościel dla Izaka. Same nieodzowne, użyteczne i trwałe rzeczy.

Popatrzcie jeno, jak się gospodarstwo na pustkowiu już rozrosło, a jeżeli ten rok dopisze, wtedy osadnikom będzie można wręcz pozazdrościć. Czego im jeszcze brakło? Oczywiście szopy na siano i stodoły z klepiskiem pośrodku! Ale to się robi, podobnie

⁴⁸skop — kastrowany baran a. kozioł. [przypis edytorski]

⁴⁹Zielone Świątki — dawne święto wiosny, w polskiej tradycji katolickiej ludowa nazwa ruchomego święta Zesłania Ducha Świętego, obchodzonego 7 tygodni po Niedzieli Wielkanocnej, tj. w maju lub czerwcu. [przypis edytorski]

⁵⁰miała — konstrukcja z partykulą -że, skróconą do -ż; inaczej: czyż miała, czy miała. [przypis edytorski]

jak się tyle innych rzeczy zrobiło. Trochę cierpliwości! Teraz oto Srebrnoroga miała cielaczka, a owce znów się okociły, na pastwisku roiło się od bydlatek. A ludzie? Elizeusz chodził już o własnych siłach, włóczył się wszędzie, a mały Sywert był już chrześcijaninem. A Inger? Zapewne była już znowu przy nadziei, bo wyglądała wcale okrągławo. Czymże zresztą dla niej było dziecko? Niczym, to znaczy czymś wielkim. Kochane dzieciśka, była z nich dumna i dawała do zrozumienia, że Pan Bóg nie wszystkim powierza takie duże, ładne dzieci. Inger miała krzepę i była młoda. Twarz miała zeszpeconą, więc niewesoła była jej pierwsza młodość. Parobczaki nie zwracały na nią uwagi, jakkolwiek była, jak to mówią, do tańca i różańca, na kiel brali jej dobroć i grzeczność, uciekali od niej jak od zapowietrzonej. Teraz dopiero nastał jej czas, rozwinęła się, wybijała i ustawicznie znajdowała się w pełnym rozkwicie i — przy nadziei. Izak zaś, pan domu, był i pozostał człowiekiem poważnym, ale poszczęściło się mu, więc był zadowolony. Jakie tam było jego życie przed przybyciem Inger, pozostało zagadką; żywił się ongi ziemniakami i kozim mlekiem, a często nawet strawą jakąś o nieokreślonej nazwie. Teraz całkiem co innego, miał wszystko, czego tylko zapragnął.

I znowu panoszyła się straszna susza, rok nieurodzajny. Lapończyk Os-Anders, który z psem swoim zatrzymał się na pustkowiu, mógł być zaświadczyć, że ludzie we wsi skosili już całe zboże na paszę.

— Hm, to już pozbyli się wszelkiej nadziei? — zapytał Izak.

— O, co to, to nie, mają za to dużo śledzi. Twój wuj, Sywert, otrzyma swoją część. A przecie pozostały mu jeszcze łońskie⁵¹ zapasy. Tak, a jak u ciebie, Inger?

— Ano, Bogu dzięki, nie mogę narzekać. A co tam o mnie gadają?

Os-Anders kręcił głową, uśmiechnął się i oświadczył pochlebco, że brak mu po prostu słów!

— Jeżeli chcesz, dam ci kubek słodkiego mleka — odparła Inger.

— Nie szkoduj⁵² się... Ale może masz co dla mojego psa?

Przyniosła mleko i strawę dla psa również. Lapończyk usłyszał muzykę w izbie i nasłuchiwał:

— Co to jest?

— To nasz zegar, bije właśnie godzinę — wyjaśniła Inger, taka przy tym dumna, że aż strach.

Lapończyk znowu pokręcił głową i rzekł:

— Macie szkapę, chałupę i dobrobyt, czy mogłabyś mi powiedzieć, czego wy nie macie?

— O nie, Pan Bóg jest dla nas bardzo łaskaw.

— Olina kazała cię pozdrowić.

— Aha. Jak jej się wiedzie?

— Ujdzie. A gdzie twój mąż?

— Na polu.

— Mówią, że tego wszystkiego nie kupił — rzucił gość od niechcenia.

— Nie kupił? Kto to powiedział?

— Tak mówią.

— A od kogo miał kupić? Przecież tu puszcza.

— Ano, ano.

— I w tę ziemię tu wsiąkło dużo jego potu.

— Powiadają, że wasze grunta to własność rządowa.

Inger nic z tego nie rozumiała:

— Ano, może być. A może to powiedziała ona, Olina?

— Nie pomnę⁵³ już, kto mówił — odparł Lapończyk, a niespokojne jego oczy goniły po wszystkim dookoła.

Inger dziwiła się, że o nic nie prosił, Os-Anders żebrał zawsze, wszyscy Lapończycy żebrzą. Lecz Os-Anders siedzi spokojnie, napycha swoją fajeczkę i zapala ją powoli. Och, ta fajka! Kopcił, splotał i pykał, a pomarszczona twarz jego podobna była do kawałka kory.

⁵¹łoński (daw., gw.) — ubiegłoroczny; o roku: zeszły. [przypis edytorski]

⁵²szkodować się (gw.) — przysparzać sobie uszczerbku, wykostowywać się. [przypis edytorski]

⁵³pomnieć (przestarz.) — pamiętać, przypominać sobie. [przypis edytorski]

— No, nie potrzebuję chyba pytać, że to twoje dzieci — schlebiał. — Podobne do ciebie jak dwie krople wody. Akurat takie ładne jak ty, gdy byłaś taka mała.

Inger wiedziała o tym, że od urodzenia patrzeli na nią wszyscy jak na dziwolągę i wyrzutka, że gość dopuścił się w tej chwili obłudy, mimo to duma rozpierała jej serce. Nawet taki Lapończyk może rozradować serce matczyne.

— Gdyby wór twój nie był tak wypchany, dołożyłabym coś niecoś — powiedziała.

— Nie potrzeba się szkodować!

Inger z dzieckiem na ręku wchodzi do izby, a Elizeusz pozostaje z gościem przed chatą. Zaprzyjaźnili się z sobą. Stary dobywa z worka coś bardzo ciekawego, coś włochatego i daje dzieciakowi do pogłaskania. Na widok tego czegoś pies skomli i szczeka. Inger, wyszedłszy z izby z paczką żywności, krzyknęła, jęknęła i osunęła się na próg domostwa...

— Co ty tam masz? — zapytała po chwili.

— Ach, nic takiego, to zajęc.

— Toć widzę.

— Dzieciak chciał go zobaczyć. Piesek mój upolował go dzisiaj.

— Masz tam swoje jadlo. — Inger rzuciła mu tłumoczek pod nogi.

V

Doświadczenie odwieczne poucza, że gdy nastąpi nieurodzaj, trwa on co najmniej dwa lata. Izak stał się cierpliwy i dostosował się do danych warunków. Zboże wypaliło się, a sianokosy były średnie, lecz ziemniaki wyglądały znowu tak, jakby się miały poprawić. Było zatem wprawdzie źle, ale nie rozpaczliwie. Izak miał jeszcze na wszelki wypadek drewno sążniowe i belki przeznaczone na dostawę do wsi, ponieważ zaś połów śledzi dopisał na całym wybrzeżu, przeto ludziska będą mieli dosyć pieniędzy i na zakup drewna. Było to poniekąd nawet szczęśliwe zrzędzenie losu, że zboże w tym roku zawiodło, bo jakże mógłby młócić, nie posiadając spichlerza z klepiskiem? Bądź co bądź jakoś to będzie!

Gorsza rzecz w tym, co wypłynęło niespodzianie i mocno go niepokoiło. Co miały znaczyć owe słowa Lapończyka, że gruntów tych nie kupił? Miałże je kupować, czemu? Ziemia przecież była, był i bór, wszystkie te pola karczował własnoręcznie, na pustoszy urządził sobie dom, utrzymywał swoją rodzinę i swój inwentarz, nikomu nie był nic dłużny, pracował, pracował bez wytchnienia. Idąc do wsi, kilka razy już wybierał się do sołtysa, aby z nim pogadać, ale zawsze jakoś gadanie to odkładał na później. Sołtys nie był lubiany, a Izak był mrukiem. Co zresztą miał powiedzieć, od czego zacząć, jaki podać powód swego przybycia?

Tymczasem pewnego dnia zimowego sołtys sam przyjechał na osadę, przyjechał w towarzystwie innego mężczyzny i przywiózł tekę wypchaną aktami. Był to sam sołtys Geissler. Rozejrzał się po rozległej hali, która równa jak stół rozciągała się pod całunem śniegowym, i domyślił się zapewne, że cała ta przestrzeń to grunt uprawny. Dlatego też rzucił na wstępie:

— Jak widzę, to tu spora posiadłość, myślisz, że dostaniesz ją za darmo?

Stało się! Izak przeraził się i nic nie odpowiedział.

— Powinieneś być zgłosić się do mnie i grunta te kupić — ciągnął dalej sołtys.

— Tak.

Sołtys mówił o taksie, o ustaleniu granic, o podatku państwowym. Zorientowawszy się po trosze, Izak widział coraz jaśniej, że to wszystko nie bez kozery⁵⁴. Sołtys przywołał do izby swego towarzysza i zapytał:

— A więc, taksatorze, jak wielka jest osada?

I nie czekając odpowiedzi, zapisał wielkość na chybił trafił. Następnie wypytywał Iza, ile miał kopiec siana i kopców ziemniaków i w jaki sposób oznaczą granicę. Przecież nie mogą jej wymierzyć teraz, w takim śniegu, a latem trudno się tu wdrapać. Ile Izak przeznacza gruntu na pastwiska, a ile na las?

Tego Izak nie wiedział, dotychczas myślał, że wszystko, dokąd okiem sięgnie, należy do niego. Sołtys oświadczył, że rząd ustanowi granice.

— A im więcej otrzymasz gruntu, tym większy będzie podatek.

— Aha.

⁵⁴nie bez kozery (fraz.) — nie bez przyczyny. [przypis edytorski]

— A tak, nie dostaniesz tyle, ile byś sam chciał, lecz tyle, ile ci potrzeba.

— Aha.

Inger podała mleko, które sołtys i jego towarzyszy wypili. Inger przyniosła więcej mleka. To ten osławiony sołtys, co miał być taki ostry? Toć on pogłaskał nawet Elizeuszkę i zapytał:

— Jak widzę, bawi się kamieniami. Pokażcie mi je! Co to za kamienie? Ciężkie, na pewno zawierają jakiś kruszec!

— Nie wiem, przyniosłem je z pobliskich gór — powiedział Izak.

Sołtys wrócił do właściwej sprawy:

— A więc najkorzystniejsza dla ciebie będzie zapewne strona południowa i zachodnia? — zapytał Izaka. — Powiedzmy jakie ćwierć mili!

— Co, całe ćwierć mili!? — zawołał towarzyszy sołtysa.

— Ty naturalnie nie potrafiłbyś wykarczować ani dwustu łokci — rzucił sołtys krótko i stanowczo.

Izak zapytał:

— Co kosztuje⁵⁵ ćwierć mili?

— Tego nie wiem — odparł sołtys — tego nikt nie wie. Lecz podam cenę najniższą. Osada twoja leży przecie w głębi pustoszy bez nijakiego dojazdu.

— Tak, ale całe ćwierć mili! — mruknął znowu towarzyszy.

Sołtys zapisał w aktach ćwierć mili na południowy zachód, po czym zapytał:

— A w wyż ku góróm?

— Tak, tam muszę mieć dostęp do wody. Tam jest duży potok — odparł Izak.

Sołtys pisał dalsze uwagi.

— A teraz północ?

— Tego nie wiem tak dokładnie, są tam mokradła, a na nich lichey las — zauważył Izak.

Sołtys zanotował według własnego uznania jedną ósmą mili.

— A na wschód?

— Tego również nie wiem tak dokładnie. Są tam góry graniczące ze Szwecją.

Sołtys pisał.

Ukończywszy pisanie, zliczył całość błyskawicznie i oświadczył:

— Będzie to oczywiście duży folwark; gdyby znajdował się na dole w obrębie powiatu wiejskiego, byłby w ogóle nie do nabycia, byłby za drogi. Wyznaczę na wszystko to razem wzięwszy sto talarów⁵⁶. Jak myślisz? — zwrócił się do swego towarzysza.

— To przecież za bezcen — brzmiała odpowiedź.

— Sto talarów! — wmieszała się Inger. — Tyle gruntu przecież ci nie potrzeba.

— Nie — odparł Izak.

Towarzysz zawołał skwapliwie:

— A co, nie mówiłem? Co byście robili z takim sporym szmatem ziemi?

— Wykarczuje i będzie uprawiał — odezwał się sołtys. Zamyślił się na chwilę, po czym ruchem zdecydowanym wsunął dokument do teki. — Idź i zaprzęgaj! — rozkazał swemu towarzyszowi. Następnie zwrócił się do Izaka: — Właściwie powinieneś otrzymać to wszystko za darmo, a w dodatku rząd powinien ci wypłacić nagrodę za to, co dotychczas zdziałaleś. Taką też propozycję uczynię. A potem zobaczymy, ile rząd zażąda za swoją opiekę.

Bóg tam wie, jak Izakowi było na duszy. Zdawało się, że nie miałby nie przeciwko wysokiemu oszacowaniu swej osady i swej ogromnej pracy. Suma stu talarów widocznie go nie przerażała, zapłacenie jej z czasem nie przedstawiało snadź⁵⁷ dla niego rzeczy niemożliwej. Dlatego też milczał. Wolno mu przeto nadal pracować, uprawiać ziemię, stary bór zamieniać na drewno sążniowe. Izak nie był z tych, co to jeno węższą i czatującą na szczęśliwy przypadek, nie — on pracował.

Inger dziękowała sołtysowi, prosząc, aby dobrym słowem poparł ich u rządu.

⁵⁵co kosztuje — tu gw.: ile kosztuje. [przypis edytorski]

⁵⁶talar norweski — dawna waluta norweska, w 1875 zastąpiona przez koronę, wartą wówczas 1/4 talara. [przypis edytorski]

⁵⁷snadź (daw., gw.) — widocznie; zapewne, być może. [przypis edytorski]

— Owszem. Rozstrzygnięcie jednak nie ode mnie zależy, do mnie należy tylko dostarczenie opinii... Ile ma to najmłodsze?

— Przeszło pół roku.

— Chłopak czy dziewczynka?

— Chłopak.

Sołtys nie był sztywny i srogi, lecz trochę jakby powierzchowny, nie był także formalistą. Wcale na to nie zważał, co mówi jego taksator i woźny sądowy, Brede Olsen. Ważną tę sprawę rozstrzygnął na chybił trafił według własnego widzimisię, wielką tę sprawę, decydującą o losie Izaka i żony jego oraz ich potomstwa, rozstrzygnął na ślepo, spisywał wszystko, ot, aby coś napisać. Okazał jednak osadnikom wiele życzliwości, dobył z kieszeni srebrną koronówkę⁵⁸ i wcisnął ją w rączkę małego Sywerta. Po czym skinął przyjaźnie i opuścił izbę.

Przed domem zapytał nagle:

— A jaka nazwa waszej osady?

— Nazwa?

— Jak nazwaliście ją? Przecie musimy ją jakoś nazwać.

O tym dotychczas nie pomyśleli, więc Izak i Inger spojrzeli na siebie bezradni.

— Sellanrå? — rzucił sołtys. Nazwę tę wymyślił zapewne na poczekaniu, może ona coś oznaczała, a może i nie, dosyć, że powtórzył: — Sellanrå! — skinął raz jeszcze i odjechał.

Wszystko bez długiego namysłu: oznaczenie granic, cena, nazwa...

W kilka tygodni później Izak, będąc we wsi, dowiedział się, że z sołtysem niedobrze. Poszukiwano pieniędzy, z których nie umiał się wyliczyć, i z tego powodu podano go do sądziego okręgowego. Tak, do tak smutnego końca można doprowadzić; niektórzy pędzą przez życie w odurzeniu, aż wreszcie rozbijają sobie czerep o tych, co kroczą powolnie a rozważnie!

Pewnego dnia, gdy Izak, zawiózłszy do wsi ostatnią furę drewna, wracał do domu, zdarzyło się, że spotkał sołtysa. Z torbą podróżną w ręku wychynął z lasu i powiedział bez ogródek:

— Wsiądę do ciebie na wóz!

Długą chwilę jechali w milczeniu. Kiedy niekiedy sołtys wyciągał butelkę i pociągał z niej, częstował także Izaka, ale Izak podziękował grzecznie.

— Boję się o swój żołądek podczas tej podróży — powiedział sołtys.

Następnie mówił o sprawie folwarku Izaka i powiedział:

— Całą sprawę pchnąłem natychmiast dalej i poleciłem ją gorąco. Sellanrå to ładna nazwa. Grunt ten powinieneś otrzymać właściwie za darmo, ale gdybym to był napisał, rząd mógłby stać się łatwo bezwstydnym i ustanowić własną cenę. A ja podałem pięćdziesiąt talarów.

— Ach tak, to pan nie zapisał stu talarów?

Sołtys nastroszył brwi, zastanowił się, po czym rzekł:

— O ile sobie przypominam, zapisałem pięćdziesiąt talarów.

— A teraz dokąd pan jedzie? — zapytał Izak.

— Do Vesterbotten⁵⁹, do rodziny mojej żony.

— O tej porze? Przeprawa przez góry niebezpieczna.

— Jakoś tam będzie. Nie chciałbyś mi trochę towarzyszyć?

— Ano! Nie radzę panu iść samemu.

Zajechali do osady i sołtys przenocował w komorze. Nazajutrz pociągnął znowu ze swej butelki i rzekł:

— W tej podróży zmarnuję sobie do reszty mój żołądek.

Poza tym zachował się jak podczas pierwszej bytności: pod każdym względem życzliwie, ale nieco nerwowo, jakby podrażniony własnym losem, a może sprawa jego nie przedstawiała się tak beznadziejnie. Na uwagę Izaka, że nie cała hala znajduje się pod uprawą, lecz tylko mała jej część, kilka pól zaledwie, dał sołtys odpowiedź zgoła nieoczekiwaną:

⁵⁸korona — norweska jednostka monetarna, dzieląca się na 100 øre. [przypis edytorski]

⁵⁹Västerbotten — prowincja hist. w płn. części Szwecji. [przypis edytorski]

— Siedząc tu wówczas i pisać, wiedziałem o tym doskonale. Ale woźnica mój, Brede, nie znał się na tym, bo głupi jak stołowe nogi. Ministerstwo posiada pewnego rodzaju tabelę. Jeżeli tedy na tak wielkim obszarze tak mało sprząta się siana i ziemniaków, natenczas tabela ministerium wykazuje, że ziemia danej miejscowości⁶⁰ jest licha, nędzna, a więc tania. Trzymałem twoją stronę i psikusa tego biorę chętnie na swoje sumienie. Tak, tak, gdybyż ojczyzna nasza miała dwa do trzech tysięcy takich jak ty pracowników!

— Sołtys skinął głową i zwrócił się następnie do Inger:

— Ile ma najmłodsze?

— Trzy kwartały.

— Chłopak?

— A jakże.

— Ale sprawę swego folwarku musisz doprowadzić do porządku ile możności jak najszybciej. Zgłosił się bowiem drugi człowiek, który pragnie się okupić mniej więcej na połowie drogi pomiędzy waszą osadą a wsią. A wtedy podniesie się wartość ziemi. Postaraj się kupić pierwszy, a potem niech drożeje. Wtedy przynajmniej będziesz miał coś za swoją pracę. Tyś zrobił początek tu na pustkowiu, tobie więc, a nie komu innemu, należy się nagroda.

Izak i Inger byli mu wdzięczni za radę i zapytali go, czy on sam nie przeprowadzi sprawy tej do końca. Oświadczył, że wszystko, co było w jego mocy, uczynił, reszta zależy już tylko od rządu.

— Teraz wyjeżdżam do Vesterbotten i nigdy już tu nie powrócę — rzucił bez ogródek.

Inger dał koronę, było to naprawdę o wiele za dużo.

— A pamiętaj też czasem o mojej rodzinie we wsi, gdy będziesz miał jakiegoś cielaka albo skopa na zabicie, moja żona zapłaci rzetelnie. Od czasu do czasu zawieź też trochę koziego sera, dzieci moje przepadają za nim — powiedział, zabierając się do odejścia.

Izak towarzyszył mu w drodze przez góry; grzbiet górski pokryty był grubą warstwą mocnego, zamrożonego śniegu, droga więc była łatwiejsza. Przy pożegnaniu otrzymał Izak całego talara.

Tak tedy sołtys Geissler opuścił wieś i nigdy już do niej nie powrócił. Ludzie twierdzili, że im to zgoła obojętne — uważali go za pędziwiatra i awanturnika. Nie wynikało to stąd, jakoby za mało był umiał, o nie, to był człowiek bardzo mądry, wielce uczony, ale postępował zbyt według swego widzimisię i zużywał cudze pieniądze. Rozgłoszono, że zemknął skutkiem ostrego napomnienia starosty Pleyma. Rodzinie jego nie stało się jednak nic złego, składała się ona z żony i trojga dzieci. Pozostali we wsi jeszcze czas dłuższy. Zresztą na zwrot brakujących pieniędzy nie czekano długo, nadesłano je ze Szwecji; rodzina sołtysa więc pozostawała we wsi nie pod przymusem, w charakterze zakładników, lecz wolna, z własnej woli.

Sołtys w oczach Izaka i Inger nie był złym człowiekiem. Przeciwnie. Bóg raczy wiedzieć, jak teraz nowy sołtys odnosić się będzie do ich sprawy i czy w ogóle nie unieważni zabiegów poprzednika.

Starosta przysłał do wsi jednego ze swych pisarzyków, był to nowy sołtys. Miał około czterdziestki, był synem włodarza i nazywał się Heyerdal. Za biedny był, aby studiować i zostać urzędnikiem, ale uczył się w kancelarii sądowej i był pisarczykiem już od lat piętnastu. Ponieważ brakło mu pieniędzy na ożenek, przeto trwał w stanie starokawalerskim; starosta Pleym odziedziczył go w spadku po swym poprzedniku i wypłacał mu nadal tę samą głodową pensję. Heyerdal pobierał swoją pensję i pisał a pisał. Z czasem zgorzkniał zupełnie i wysechł; był jednak pracownikiem niezawodnym i uczciwym, a nadto w miarę swego uzdolnienia bardzo dzielnym w czynnościach, których niegdyś był się wyuczył. Teraz, gdy zajął stanowisko sołtysa, wzrosło znacznie jego poczucie własnej godności.

Izak uzbroidł się w odwagę i poszedł do niego.

— Sellanrå... tak, ministerium zwróciło właśnie wszystkie akta tej sprawy. Panowie ci żądają wielu jeszcze wyjaśnień, protokół Geisslera bowiem to wielka gmatwanina — oznajmił sołtys. — Rząd królewski zapytuje, czy tam nie ma przypadkiem większych i urodzajnych terenów malin bagiennych. Czy jest las wysokopienny. Czy góry tamtejsze

Pieniądz, Praca, Chłop

⁶⁰miejscowość (daw.) — miejsce, okolica. [przypis edytorski]

nie zawierają przypadkiem rudy lub innych jakichś kruszców. Czy duży potok górski wymieniony w aktach obfituje w ryby. Geissler wprawdzie udzielił tych i owych wyjaśnień, ale na nim nie można przecież polegać. Muszę sprawdzić wszystko dokładnie. Gdy więc tylko będzie możliwe, przybędę do ciebie na Sellanrå, a wtedy zbadam wszystko osobiście i oszacuję. Jak daleko jest do twojej osady? Rząd królewski żąda dokładnego odmierzenia twych granic.

— Będzie to bardzo trudne przed nastaniem lata — rzekł Izak.

— Ach, jakoś to się zrobi. Nie mogę przecież pozwolić na to, aby ministerium czekało na odpowiedź aż do lata — odparł Heyerdal. — Przybędę tam w najbliższych dniach. Przy tej sposobności odbędzie się sprzedaż kawałka ziemi innemu osadnikowi.

— Czy temu, który chce osiedlić się na połowie drogi pomiędzy mną a wsią?

— Tego nie umiem powiedzieć, ale możliwe. Zresztą on stąd pochodzi, jest to mój taksator i woźny. Starał się o kupno już u Geisslera, ale Geissler odprowadził go z kwitkiem, twierdząc, że nie umiałby wykarczować nawet dwustu łokci. Wobec tego napisał do sądu powiatowego i teraz sprawę tę przysłano mnie do zaopiniowania!

Sołtys Heyerdal przybył do Izaka w towarzystwie taksatora Bredego. Zmachali się rzetelnie w drodze przez grzęzawiska, a już doszczętnie przemokli, przeprawiając się przez skały zasypane topniejącym śniegiem wiosennym. Pierwszego dnia wykazał sołtys ogromną gorliwość, był po prostu nieustrudzony. Drugiego dnia jednak czuł się zmęczony, leniwym krokiem zawlókł się w pole, przystanął i już tylko nawoływał raz po raz i wskazywał ręką tu i tam. Nie, nie było już mowy o tym, aby obejść cały folwark, a czy na bagnach rosną maliny, zbada się w drodze powrotnej.

Ministerium postawiło liczne zapytania, widocznie według swej tabeli. Ale z nich wszystkich jedno tylko posiadało jakiś sens, a mianowicie dotyczące lasu. Istotnie, było tam trochę lasu wysokopiennego, ale drzewa sążniowego na sprzedaż nie było, a to, co było, wystarczyło zaledwie do użytku domowego. Zresztą, choćby i były tu pnie liczniejsze, któż by chciał się trudzić dostawą ich do tak odległej wsi? Tego mógł być dokonać jedynie mocny człowiek, Izak, który zimą zwiózł do wsi kilka pni i otrzymał za nie gotowe deski.

Okazało się, że ten dziwak, Geissler, spisał sprawozdanie, którego istotnie nie można było obalić. Siedział tam więc nowy sołtys, który usiłował za wszelką cenę przyczepić jakąś łatkę swemu poprzednikowi i wynaleźć błędy, ale wysiłał się na próżno. Tak tedy częściej niż Geissler zapytywał swego towarzysza i taksatora o radę i wskazówki. Ów taksator zaś jakoś się zmienił i snadź innego nabrał przekonania, odkąd sam ubiegał się o kupno gruntu na pustkowiu.

— Co myślisz o tej cenie? — zapytał sołtys.

— Pięćdziesiąt talarów aż nadto dosyć dla tego, kto kupić musi — odparł taksator.

Sołtys spisał swoją opinię w pięknych a kunsztownych słowach. Geissler pisał w swoim sprawozdaniu: „Izak będzie teraz opłacał podatek roczny. Za oznaczony grunt nie może jednak więcej zapłacić niż pięćdziesiąt talarów w dziesięciu ratach rocznych. Warunki te rząd powinien przyjąć i zatwierdzić, inaczej pozbawiłoby się uczciwego człowieka jego ziemi i warsztatu pracy”. Heyerdal natomiast pisał: „Izak uprasza Wysokie Ministerium najuniżej o pozwolenie zatrzymania gruntu, który nie jest jego własnością, lecz w który włożył bardzo dużo pracy, za cenę pięćdziesięciu talarów, płatnych w ratach oznaczonych według łaskawego uznania Ministerium”.

— Sądzę, że uda mi się grunt ten przewłaszczyć dla ciebie — rzekł sołtys Heyerdal do Izaka.

VI

Dziś ma nastąpić rozłąka z wielkim bykiem. Rozrósł się do potwornych rozmiarów i był zbyt cenny, aby mógł dłużej przebywać w osadzie. Izak poprowadzi go do wsi, sprzeda i w zamian przyprowadzi byczkę młodego.

Był to pomysł Inger. Wiedziała ona dobrze, co robi, pragnąc pozbyć się Izaka z domu na dzień dzisiejszy.

— Jeżeli chcesz iść, musisz iść dziś — rzekła. — Byk utuczony jak się patrzy, a za taki towar płacą na wiosnę dobrą cenę. Mogą go wysłać do miasta, dostaną dwa razy tyle.

— Ach tak — odparł Izak.

— Jednego tylko się boję, że byk mógłby się w drodze ku wsi rozbawić — ciągnęła dalej Inger. Izak nic na to nie odpowiedział. — Chociaż od tygodnia wypuszczałam go po trochu na dwór, aby się przyzwyczaił do powietrza.

Izak milczał, opasał się jednak rzemieniem, przytroczył do boku duży nóż i wyprowadził byka.

Ach, co za opas, wspaniały i groźny zarazem, lędźwie jego chybotwały się za każdym stąpnieniem! Był krótkonogi, kiedy kroczył ku wsi, piersią swoją łamał młode zagaiska, wyglądał niby lokomotywa. Kark jego potężny i nieforemny niby bryła skalna, a w tym karku mieściła się krzepa słonia.

— Żeby tylko się nie rozbawił i nie uderzył na ciebie — rzekła Inger.

— Ano, w takim razie musiałbym go zarznąć w drodze i dźwigać mięso — odpowiedział Izak po dłuższej chwili.

Inger siadła na progu chaty. Słabość ją opadła, na twarz jej wystąpiły ogniste wypieki. Dopóki Izak znajdował się w pobliżu, trzymała się, teraz gdy wraz z bykiem zniknął w lesie, mogła swobodnie stękać. Elizeuszek umie już mówić i pyta:

— Matkę boli?

— O boli!...

Chłopak naśladuje matkę, chwytając się za krzyż i także stęka. Mały Sywert śpi.

Inger wprowadza Elizeusza do izby, daje mu różności do zabawy na podłodze, a sama kładzie się do łóżka. Nadeszła jej godzina. Ani na chwilę na traci przytomności, pilnuje Elizeusza, daje baczenie na kołyskę i jednocześnie spogląda na zegar na ścianie. Nie krzyczy, prawie wcale się nie rusza, w wnętrznościach jej dokonuje się walka, ciężar jakiś osuwa się nagle z jej łona. W tejże nieomal chwili słyszy w swym łóżku krzyk obcy — anielski płacz dziecka. I teraz Inger nie ma już spokoju, siada i patrzy przed się. Cóż takiego zobaczyła? Twarz jej poszarzała i zmartwiała w okamgnieniu, oczy jej zastygły w tępy wyrazie, z piersi jej wydarł się jęk głośny, tak niesamowity, tak wstrząsający jak wycie z głębi puszczy.

Opadła z powrotem. Mija minuta, smaga ją niepokój, płacz w łóżku staje się coraz głośniejszy, siada znowu i patrzy: — Ach, Boże, najgorsze z wszystkiego, że bez chrztu, a nadto, że dziewczynka!...

Izak znajduje się może na jakie pół mili od chaty, niespełna godzina jak wyszedł. Dziesięć minut to długi czas. Przez dziesięć minut można dziecko urodzić i udusić...

Trzeciego dnia wrócił Izak. Przeprowadził na powrozie byczka wymizerowanego, zagłodzonego, który z biedą tylko włócił się nogą za nogą. Z tego tylko powodu wyprawa trwała tak długo.

— Jakże tam poszło? — spytała Inger, choć sama była przygnębiona jakaś i chora.

O, nieźle. Tak, tak, byk rozbawił się w samej rzeczy, było to na pół mili od wsi. Izak spętał go i sprowadził pomoc ze wsi. Zanim wrócił, byk się zerwał i długo musieli go szukać. Hej, ale koniec końców wszystko się szczęśliwie udało. Handlarz skupujący bydło dla miasta zapłacił dobrze.

— I teraz oto stoi tam nowy byczek — zakończył Izak — zabierz dzieci i obejrzyjcie go sobie!

Zawsze to samo zainteresowanie dla każdej nowej sztuki bydła. Inger przyglądała się bykowi, obmacała na wszystkie strony i zapytała o cenę. Małego Sywerta usadowiono na grzbiecie byczka.

— Żal mi naszego dużego byka — rzekła Inger — był taki śliczny i poczciwy. Żeby go tylko długo nie męczyli!

Dni mijały na robocie wiosennej. Inwentarz wypuszczono, w pustej oborze stały pudła pełne sadzonek. W tym roku zasiał Izak więcej zboża niż zazwyczaj. Porobił też zagony pod marchew i rzepę, a Inger zasiała nasienie. Wszystko szło po dawnemu.

Inger nosiła przez pewien czas na brzuchu poduszkę z siana, aby być grubą. Coraz jednak ubierała nieco siana, aż w końcu pozbyła się go zupełnie. Któregoś dnia jednak zwróciło to uwagę Izaka, więc zapytał zdziwiony:

— Co się stało? Tym razem nic z tego?

— Nie — odparła — tym razem nic z tego.
— Tak, a czemu?
— Ano, nie udało się. Jak myślisz, do kiedy też oczyścisz tę wszystką ziemię, która tam się przed nami rozciąga?
— Zepsuło się? — zapytał.
— Tak.
— Hm. I nie zaszkodziło ci?
— Nie. Słuchaj jeno, czy nie byłoby dobrze, gdybyśmy świnie trzymali?
Izak zadumał się na chwilę, potem rzekł:
— Tak, świnie. Myślałem o tym każdej wiosny. Ale czym byśmy je żywili? Gdyby było trochę więcej ziemniaków i ziarna... Ano zobaczymy, jak będzie w tym roku.
— Byłoby bardzo ładnie, gdybyśmy świnie mieli.
— Tak.

Dni mijają. Opady są; pola i łąki przedstawiają się ślicznie. Tego roku można być dobrej myśli! Snuje się splot życia powszedniego umiarkowany, równy, spokojny, z drobnymi swymi zdarzeniami. Wszystko dzieje się o swoim czasie — jedzenie, spoczynek i praca; w niedzielę powszechne mycie się i czesanie, wtedy też Izak ubiera się w nową, czerwoną koszulę, utkaną i uszytą przez Inger... Aż oto spokojną falę życia osiedla burzy zdarzenie niepowседневne. Maciorka wraziła się ze swym jagnięciem w szczelinę skalną. Gdy owce wróciły wieczorem do domu, Inger zauważyła natychmiast, że dwu braknie. Izak wyszedł na poszukiwanie zaginionych. Jedno przynajmniej dobre, że to niedziela, że nie potrzebuje odrywać się od roboty — taka była pierwsza jego myśl na wiadomość o nieszczęściu. Godzinami całymi szuka, pastwiska ciągną się nieskończenie daleko. Idzie tu i tam, szuka i szuka. A w osiedlu cały dom w poruszeniu.

— Cicho, zaginęły dwie owce! — tymi słowy uspokaja matka swoje dzieci.

Wszyscy są skłopotani, cała ta mała gromada, nawet krowy miarkują, że stało się coś nadzwyczajnego i ryczą żałośliwie. Raz po raz wybiega Inger na dwór i nawołuje w stronę lasu, mimo że noc już zapadła. Zdarzenie to wielkie na pustkowiu, wielkie nieszczęście. Ułożywszy dzieci do snu, wyszła i Inger na poszukiwanie.

— Basia, basia, baś, baś!... Izak, Izak!... Basia, baś!... — nawołuje co chwila, lecz nikt się nie odzywa.

Gdzie się podziały, co im się stało? Czy niedźwiedź jaki się tu zabłąkał? A może wilki nadciągnęły przez góry ze Szwecji i z Finlandii? Ani jedno, ani drugie. Izak znalazł je wszczepione w szczelinę skalną, maciorka miała nogę złamaną i rozplataną wymię. Izak wydobył ją ostrożnie. Uwolniona z matni, rzuciła się natychmiast do skubania trawy. Jagnię zaś przyczepiło się do matki, ssąc ją łapczywie; było to prawdziwym ratunkiem dla biednego, zranionego wymienia.

Tymczasem Izak zbiera kamienie i wrzuca w szczelinę, zasypie ją w zupełności. Nie będzie ona stała na zdradzie, nie będzie powodem złamania nogi owczej! Izak ma na sobie pasek skórzany, zdejmuje go i opasuje nim maciorkę, aby podtrzymać naddarte wymię. Następnie bierze ją na ramię i wraca do chaty.

A potem? — Łupki i szmaty. Po kilku dniach owca poczyni chorą nogą trzepać i rzucać niespokojnie, ponieważ rana swędziała i goiła się. Tak powoli doszło wszystko do porządku — aż nie przydarzyło się coś nowego.

Życie, powszednie zdarzenia zaprzatają w zupełności umysły osadników. Ach to, dajlibóg, nie drobiazgi — to los, idzie o szczęście, zadowolenie i dobrobyt.

Czas wolny pomiędzy robotami wiosennymi a letnimi Izak wyzyskuje do obróbki kilku nowych pniaków; zapewne miał w planie coś nowego. Oprócz tego dobywał z dalszych obszarów dużo pożytecznych kamieni, zwłaszcza okrągłaki, i na podwórzu je znosił. Uzbierawszy ich dostateczną ilość, zbudował z nich mur. Gdyby wszystko było tak jak przed rokiem jeszcze, Inger byłaby się niezawodnie zaciekała i dopytywała o nowe jego zamysły, teraz jednak chętniej krzątała się około swoich spraw i nie pytała o nic. Inger jest tak samo pilna jak dawniej, zabiega około domu, dzieci i inwentarza. Ale od niejakiego czasu zaczęła pośpiewywać, nauczyła Elizeusza modlitwy wieczornej — dawniej tego nie czyniła. Izak odczuwał brak jej zapytań; jej ciekawość i pochwała dla jego pracy stanowiły coś, co dawało mu zadowolenie i podnosiło w własnych oczach. Teraz Inger przechodzi

mimo⁶¹ niego i rzeknie co najwyżej, że chyba na śmierć się zaharuje. Ostatnim razem poszło pewnie bardzo źle — myśli Izak.

Olina przybyła znowu w odwiedziny. Gdyby wszystko było tak jak w roku zeszłym, byłaby widziana bardzo mile. Ale obecnie jest inaczej. Inger odnosi się do niej od pierwszej chwili wrogo.

— Pocieszałam się, że zdążę na czas — rzekła Olina z delikatną przymówką.

— Niby czemu?

— Niby temu, że z trzecim będzie trzeba do chrztu. Gdzie ono?

— Ach — odparła Inger — dlatego przecie nie potrzebowałaś się trudzić.

— Aha.

Następnie Olina zaczyna podziwiać i chwalić:

— Jakież to już duże i śliczne chłopaki, a Izak, jaki on pracowity i tak tu wygląda, jakby znowu chciał budować. Aż dziw, jak tu pięknie, takiego drugiego gospodarstwa nie znajdzie w całej Norwegii! A co też teraz zamierza budować?

— Tego ja nie wiem, musisz jego zapytać.

— Mniejsza o to — rzekła Olina — Chciałam jeno zobaczyć, jak się wam wiedzie, zawsze to dla mnie wielka radość i ulga. O Złotorogą wcale już się nie pytam, ma ona przecie u was tak dobrze jak nigdzie.

Czas upływa na miłej pogawędce i Inger rozkrochmała się już nieco. A gdy zegar na ścianie wydzwonił swoje wspaniałe tony, Olina miała łzy w oczach, powiedziała, że nigdy jeszcze w całym swym biednym życiu nie słyszała podobnych organów kościelnych. Wtedy Inger czuje się znowu bogaczką i usposabia się wspaniałomyślnie względem biednej krewniaczki, i rzecze:

— Chodź do komory, pokażę ci moje krosna.

Olina zatrzymała się tu na cały dzień. Rozmawia z Izakiem i wychwala wszystko, co dotychczas uczynił.

— Słyszałam, że kupiłeś kilka mil gruntu, czy to nie mogli ci dać za darmo? Kto ci zawiścił?

Raz przecież usłyszał Izak pochwały, których mu brakło, i uczył się znowu czymś więcej niż panem.

— Kupuję od rządu — odpowiedział.

— Toć wiem, ale rząd nie powinien być względem ciebie drapieżnikiem. Co budujesz teraz?

— Tego jeszcze nie wiem. Nie będzie z tego nie wielkiego.

— Harujesz i budujesz, masz już drzwi pomalowane i zegar w izbie, teraz to już chyba przybudujesz wielką świetlicę.

— Ach, bajesz trzy po trzy! — odparł Izak. Ale zadowolony jest bardzo i zwraca się do Inger: — Nie masz tam dla naszego gościa trochę kaszy ze śmietaną?

— Nie — odparła Inger — dopiero co zrobiłam masło.

Olina wmieszała się pośpiesznie:

— Ja tam nie baję trzy po trzy, jestem sobie tylko taka prosta babina, co to chce się czegoś nowego dowiedzieć. Ale jeżeli to nie ma być świetlica, to już chyba będzie wielki spichrz. Masz rolę i łąki, masz urodzaj i wszystko jest tak jak w Biblii: ziemia tu mlekiem i miodem płynąca.

— Jak się tam u was zapowiadają żniwa tegoroczne? — zapytuje Izak.

— Ach, ujdzie. Gdyby tylko Pan Bóg — Boże, odpuść mi moje grzechy! — nie zesłał znowu żywego ognia na nasze pola. Wszystko w ręku Wszechmocnego. Ale nigdzie u nas nie jest tak pięknie jak u was!

Inger wypytuje o niektórych ze swych krewniaków, a zwłaszcza o wuja Sywerta, kassjera powiatowego. Chłuba o rodziny, ma prawo pobierania rybnego i wodnego⁶², ma-luczko, a nie będzie w ogóle wiedział, co począć z wszelkim swoim bogactwem.

⁶¹mimo (daw.) — obok. [przypis edytorski]

⁶²rybnego i wodnego — domyślnie: podatku. [przypis edytorski]

Podczas tej pogawędki Izak zapadał w coraz większą zadumę, zapomniano o jego nowym planie budowlanym. W końcu odezwał się:

— Ano, skoro już koniecznie chcesz wiedzieć, Olino, to ci powiem: zbuduję teraz mały spichrz z klepiskiem.

— A co, nie mówiłam?! — odparła Olina. — Dzielni ludzie przewidują wszystko i wszystko mają w głowie. Nie masz tu przecie ani jednej konwi⁶³, ani kubła, którego byś sobie nie był z góry obmyślił! A więc i bojowica tam będzie, mówiłeś, tak?

Izak, o, to duże dziecko, kadzidła Oliny uderzają mu do głowy i stąd staje się nieco śmieszny.

— Tak, w nowym budynku musi być bojowica⁶⁴, taki jest mój zamiar i moje przekonanie — rzekł.

— Bojowica! — zawołała Olina z podziwem i kiwa głową w lewo i prawo.

— Tak, bo po co siać ziarno, jeżeli nie ma gdzie młócić? — rzekł.

— A co, nie mówiłam? Ty wszystko w swojej głowie wymyślisz — odparła Olina.

Inger znowu się nadąsała. Rozgniewała ją zapewne rozmowa Oliny z Izakiem, bo nagle się odezwała:

— Kaszę ze śmietaną! Skąd mam wziąć śmietaną? Może z rzeki?

Olina usiłuje wyminąć niebezpieczeństwo.

— Kochana, droga Inger, chciej mnie przecie zrozumieć! Nie turbuj⁶⁵ się z powodu kaszy ze śmietaną. Dla takiej biedoty, co tuła się od wsi do wsi, nie warto się nadwierać, szkoda każdego słowa!

Izak pozostaje jeszcze chwilę, potem wstaje i mówi:

— Hej, ja tu marudzę, a powinienem właściwie znosić kamienie do mojej budowli.

— Tak, do takiego gmachu potrzeba wiele kamieni!

— Wiele kamieni? — odparł Izak. — Ano, zawsze ich za mało.

Po wyjściu Izaka obie kobiety stają się znowu gadatliwe, łączy je wieś rodzinna, o której tak wiele jest do gadania. Godziny mijają. Wieczorem pozwolono Olinie podziwiać inwentarz. Dwie krowy i byk, dwa cielaki, mnóstwo kóz i owiec.

— Rany boskie, ile tego! — woła Olina i wywraca oczy ku niebu.

Pozostaje na noc.

Ale następnego dnia odchodzi. Do jej tłumoczka włożono znowu coś niecoś. Ponieważ zaś Izak znajduje się przy kamieniołomach, przeto Olina nakłada drogi, aby się z nim nie spotkać.

Minęły zaledwie dwie godziny, a Olina jawi się znowu w osiedlu, wchodzi do chaty i pyta:

— Gdzie Izak?

Inger pomyślała właśnie statki⁶⁶. Domyśla się, że Olina musiała była przejść obok kamieniołomów, gdzie znajdował się Izak z dziećmi, i odgaduje błyskawicznie, że coś się święci:

— Czego chcesz od Izaka? — zapytuje.

— O, nic takiego! Nie pożegnałam się z nim.

Milczenie, Olina osunęła się na pobliską ławę jakby nie mogąc się dłużej na nogach utrzymać. Zachowuje się naumyślnie tak, aby dać poznać, że stało się coś niezwykłego. Inger nie umie już dłużej zapanować nad sobą, twarz jej wykrzywia wściekłość i przerażenie. Wybuch:

— Os-Anders przyniósł mi pozdrowienie od ciebie. Śliczne to było pozdrowienie!

— Co takiego?

— Zająca!

— Co ty mówisz? — odparła Olina w tonie szczególnie przyjacielskim.

⁶³konew — duże naczynie do noszenia i przechowywania płynów. [przypis edytorski]

⁶⁴bojowica (gw.) — klepisko, plac w stodole, z twardo ubitej ziemi, służący jako miejsce ręcznej młócki zboża. [przypis edytorski]

⁶⁵turbować się — martwić się czymś; kłopotać się o coś. [przypis edytorski]

⁶⁶statki (daw.) — naczynia kuchenne; najczęściej w znaczeniu: naczynia pozostałe po posiłku, wymagające pozmywania. [przypis edytorski]

— Może to nieprawda, może się tego wyprzesz? — krzyczy Inger z błędnymi oczyma.
— Tą kopyścią⁶⁷ łeb ci rozwalę, ty ścierwo przeklęte! Masz, masz!

Uderzyła? Tak, oczywiście! A ponieważ Olina nie uciekła, lecz przeciwnie, stawiała się hardo i odgrażała:

— Strzeż się! Bo co o tobie wiem, to wiem!

Przeto Inger poczęła śmigać kopyścią, gdzie się dało, rzuciła Olinę na ziemię i przyniotła kolanem.

— Chcesz mnie zabić? — pyta Olina. Widzi przed sobą szkaradną wargę zajęczą, wielką, mocną kobietę z ogromną kopyścią w ręku. Olina ma już pełno guzów, tu i ówdzie krew się sączy, ale mimo to nie ustąpiła i warczała coraz zawzięciej. — To tak, to mnie też chcesz zabić?!

— Tak, zabić ciebie — odpowiada Inger i bije w dalszym ciągu. — Tak, tak! Masz, masz! Zabiję cię, zakatrupię! — Teraz dopiero nabrała pewności, że Olina zna jej tajemnicę, teraz było jej już wszystko jedno. — Masz w pysk, w ten twój psi pysk!

— Psi pysk! A ty masz pysk zajęczy! — jęczy Olina. — Pan Bóg nazначzył twój pysk krzyżem...

Olina ma twardy żywot, tak, wściekle twardy, nie tak łatwo ją dobić. Wszystko na nic, Inger aż się zasapała. Przestaje bić, ale grozi — o, jak grozi Olinie kopyścią, o, ona jeszcze dostanie, ale tak, że jej się wszystkiego odechce!

— Mam jeszcze nóż kuchenny, zaraz ci go pokażę.

Podnosi się, aby sięgnąć po nóż, duży ostry nóż kuchenny, ale teraz już minęła pierwsza złość, więc tylko jeszcze gębuje. Olina również wstała i usiadła z powrotem na ławie. Twarz jej strasznie pokiereszowana, pełno na niej sińców i guzów, i krwi. Ogarnia sobie włosy, poprawia chustę na głowie, spluwa, gęba jej napuchła.

— Ty zbój! — rzekła.

— Byłaś w lesie i węszyłaś! — krzyczy Inger. — Po to tylko przyszedłaś i znalazłaś mogiłkę. Żebyś tam szczęła była na miejscu, ty psiaduszo.

— Ty mnie jeszcze poznasz! — odparła Olina i w oczach jej zamigotały złe błyski. — Tyle tylko ci powiem, że nie będziesz ty już miała izby z komorą i zegarem.

— To nie twoja rzecz!

— O, zobaczysz, zobaczysz, co może Olina!

Obie kobiety nie przestają się klócić. Olina nie jest tak ordynarna i głośnie; w strasliwej swej zajadłości jest wprost jakby zgodliwa, ale tym bardziej zawzięta i niebezpieczna.

— Szkoda, że tłumoczek swój zostawiłam w lesie. Oddam ci twoją wełnę, nie chcę jej.

— Tak, myślisz pewnie, że ją ukradłam.

— To już ty sama najlepiej musisz wiedzieć.

I znowu się klóć. Inger oświadcza, że pokaże owcę, z której strzygła wełnę. Olina odpowiada spokojnie, od niechcenia:

— Tak, tak, ale kto tam wie, skąd wzięłaś pierwszą owcę.

Inger wymienia nazwisko i miejsce, gdzie jej owce i jagnięta po raz pierwszy znajdowały się na utrzymaniu.

— I tyle ci tylko powiem: raz na zawsze miej się na baczności ze swoim szczekadłem!

— Ha, ha! — śmieje się Olina lekceważąco. Ona ma zawsze jakąś odpowiedź w zanadrzu. — Z moim szczekadłem! A twoje własne szczekadło, to co?! — Wskazuje na zajęczą wargę Inger i nazywa ją szkaradą, postrachem Boga i ludzi.

Inger odpowiada, sapiąc z wściekłości, a ponieważ Olina jest sobie dosyć opieklą, przeto nazywa ją kałdunem zatłuszczonym:

— Ty kałdunie zatłuszczony, ty tuczniaku śmierdzący! I Bóg ci zapłaci za tego zajęcia, któregoś mi przysłał!

— Zajęcia? Obym tak bez grzechu była, jak wiem co o zajacu! Jakże on wyglądał?

— Jak może zajac wyglądać?

⁶⁷kopyść — drewniana łyżka o długim trzonku, służąca do mieszanego gotujących się potraw. [przypis edytorski]

— Tak jak ty! Akurat tak ślicznie jak ty? I do zapatrzienia⁶⁸ się nie był ci wcale potrzebny aż zając.

— Teraz dosyć tego, wynoś się zaraz! — krzyczy Inger. — Tyś mi nasłala Os-Andersa z zającem. Każę cię ukarać!

— Mnie ukarać?! Ty każesz mnie ukarać, powiedziałas?!

— Żółć cię zalewa, zazdrościsz mi wszystkiego, co posiadam, i pękasz po prostu z zawiści! — krzyczy Inger. — Zawieść nie daję ci spokoju, odkąd wyszłam za męża i dostałam Izaka i wszystko, co tu jest... Wielki Boże, Panie Miłosierny, czego ty chcesz ode mnie? Czy to moja wina, że dzieci twoje wyrosły na ładaca? Ścierpieć nie możesz, że moje dzieci są udule⁶⁹ i ładne i ładniejsze mają imiona niż twoje, ale co ja temu winna, że w nich lepsza krew płynie niż w twoich?!

Jeżeli Olinę w ogóle cokolwiek mogło doprowadzić do wściekłości, to to właśnie. Tyle urodziła dzieci i nie doczekała się po nich niczego innego jak tego, że dzieci jej były właśnie takie, jakie były. Opowiadała, że są dobre i chępiła się nimi, wychwalała ich zasługi, które nie istniały, i skrzętnie ukrywała ich grzechy.

— Coś powiedziała? — syknęła zapalczywie. — Że się też ze wstydu w ziemię nie zapadniesz! Moje dzieci, które w porównaniu z twymi wyglądały jak aniołki betlejemskie! Ty śmiesz paskudzić swym pyskiem moje dzieci? Siedmioro ich miałam; gdy były małe, były jak te istotki niebiańskie, a teraz, gdy wyrosły, wszystkie proste jako świece, a jak malowanie urodne. Trzymaj pysk na pętlicy, ty!

— A Ludwika nie siedziała w kozie⁷⁰? Jak to tam było z nią? — pyta Inger zjadliwie.

— Moja Ludwika nic takiego nie zrobiła, była niewinna jako kwiatuszek. Zresztą teraz jest zamężna w Bergen⁷¹ i parady w kapeluszu. A co robisz ty?

— A jak to było z Nilsem?

— Co ja będę sobie gębę strzępiła dla ciebie! Ale ty masz tam jedno w lesie! Coś z nim zrobiła? Zabiłaś je!

— Wynoś mi się zaraz, ty wiedźmo przekłeta! — Inger wpada w furję na nowo, krzyczy i zamierza się.

Ale Olina nie ucieka, nawet z miejsca nie wstaje. Ta nieustraszonosc, jakby zapamiętałość, paraliżuje Inger ponownie, więc odgraża się tylko:

— Teraz to już naprawdę pójdę po tasak!

— Nie rób tego, już idę, idę — odpowiada Olina. — Ale swoją drogą świństwo jest, że swych własnych krewnych za drzwi wyrzucasz!

— Dobrze już, dobrze, tylko się wynoś.

Ale Olina nie rusza się. Przez długą jeszcze chwilę kłóć się i wymyślać sobie od ostatnich. Ale ile razy zegar wydzwoni kwadrans, pół lub godzinę, Olina wybucha chichotem szyderczym, co znowu Inger do większej pobudza wściekłości. W końcu uciszają się nieco i Olina zabiera się do wyjścia.

— Wielka mnie czeka droga — powiada — i na dobitek noc na karku. Głupia ze mnie, że nie wzięła ze sobą trochę jedzenia.

Inger milczy, jest znowu rozsądna, do misy nalewa wody i powiada:

— Chcesz, to się obmyj!

Olina przyznaje, że przed wyjściem powinna się obmyć, ale ponieważ nie wie, gdzie jest okrwawiona, przeto zmywa akurat tam, gdzie nie potrzeba. Inger przygląda się jej, po czym pokazuje:

— Tam... koło ucha, toć ci pokazałam.

— Przecie nie mogę wachać, po której stronie! — odpowiada Olina. — Na twojej gębie także coś siedzi. Wody się boisz?

Koniec końców Inger sama musi obmyć pokiereszowaną.

— Co ja to chciałam powiedzieć — zaczęła Olina wycierając się, w tonie zupełnie już pojednawczym — jak też teraz będzie z Izakiem i dziećmi?

⁶⁸zapatrzanie się — intensywne przyglądanie się komuś lub czemuś przez kobietę w ciąży, które wg przesądu może spowodować wystąpienie analogicznych cech u nowo narodzonego dziecka. [przypis edytorski]

⁶⁹udaly (daw.) — udany. [przypis edytorski]

⁷⁰koza (pot.) — areszt, więzienie. [przypis edytorski]

⁷¹Bergen — nadmorskie miasto w pld.-zach. Norwegii; do poł. XIX w. największe miasto i główny port Norwegii. [przypis edytorski]

— Czy on wie o tym? — pyta Inger.
— Czy wie? Przyszedł tam akurat i widział.
— Co mówił?
— Co miał mówić? Oniemiał tak samo jak ja.

Milczenie.

— Wiesz, tyś wszystkiemu winna! — skarży się Inger i wybucha płaczem.
— Obym tak we wszystkim bez grzechu była!
— Bądź pewna, że zapytam jeszcze Os-Andersa.
— Tak, zapytaj!

Rozmawiają o tym spokojnie i Olina zdaje się nie być już mściwa. O, nie łąda z niej polityk, zawsze znajdzie jakiś wybieg. Teraz wypowiada nawet coś w rodzaju współczucia, że jeśli wszystko się wyda, żal jej będzie serdecznie przede wszystkim Izaka i dzieci.

— Tak — powiada Inger i zanosi się od płaczu. — Wciąż o tym myślę, dzień i noc myślę o tym.

Olina znajduje nagle słowa pociechy, gdy mianowicie Inger zamkną w więzieniu, ona, Olina, gotowa tu zamieszkać i wyręczyć biedaczkę.

Teraz Inger przestaje nagle płakać i słucha, i rozważa.

— Ty mi dziećmi opiekować się nie będziesz — powiada wreszcie.

— Nie mam opiekować się dziećmi? Bzdurzysz!

— Tak.

— Co jak co, ale właśnie dzieci kocham całym sercem.

— Tak, swoje własne, ale jaka byłabyś dla moich? I gdy pomyślę, żeś przysłała mi zającą, aby mnie zgubić, wtedy widzę, że ty jesteś wszystkiemu winna.

— Ja? — pyta Olina. — Mówisz, że ja winna?

— Tak, ty, ty! — odpowiada Inger, głośno łkając. — Ty stałaś mi na zdradzie i ja tobie już w ogóle nie dowierzam. A zresztą, gdybyś tu pozostała, ukradłabyś nam wszystką wełnę. I sery kozie rozdałabyś swoim, a nie moim.

— Łotrzyca! — rzekła Olina.

Inger płacze, ociera łzy i raz po raz wyrzuca z siebie kilka słów. Olina oświadcza, że nie myśli się narzucać, bo może być u swego syna, Nilsa, gdzie od dawna już mieszka. Jeżeli jednak Inger pójdzie do więzienia, Izak z niewinnymi dziećmi pozostanie sam i wtedy mogłaby tu przyjść i opiekować się nimi. Przedstawia to bardzo ładnie i ponętnie, tak byłoby na pewno najlepiej.

— Zastanów się nad tym — powiada.

Inger zupełnie już zgnębiona płacze i potrząsa głową, i tępo patrzy przed siebie. Niby lunatyczka idzie do spiżarni i przygotowuje zapasy dla gościa na drogę.

— Nie, nie potrzebujesz się szkodować — rzecze Olina.

— Nie puszczę cię w góry bez poczęstunku — odpowiada Inger.

Po wyjściu Oliny Inger wykrada się z chaty, rozgląda się dokoła, nasłuchuje. Przy kamieniołomach panuje cisza. Podchodzi nieco i słyszy dzieci: bawią się kamykami. Izak siadł opodal, wspiera się na łopacie jakby na lasce. Tam siedzi Izak.

Inger podkrada się do skraju lasu. Krzyżyk mały zatknęła ongi na mogiłce, krzyżyk wała się na ziemi, ale tam, gdzie stał, darń podebrana i ziemia rozkopana. Inger siada i rękami zgarnia ziemię na dawne miejsce. Tak, tu siedzi Inger.

Z ciekawości tam poszła, aby przekonać się, jak głęboko Olina ryła w mogiłce. Teraz siedzi, ponieważ bydełko jeszcze na pastwisku. Płacze i potrząsa głową, i tępo patrzy przed siebie.

VII

Dni mijają.

Pogoda dla pól wspaniała, z słońcem i deszczem na przemian i odpowiednio do tego też wszystko rośnie i dojrzewa. Osadnicy mają sianokosy już prawie na ukończeniu. Sprzęt siana olbrzymi, trudno wszystko pomieścić pod dachem, więc pakują je pod wiszary⁷², do stajni, do chaty, wypróżniają szopę i zapychają sianem aż pod sam dach. Od wczesnego ranka do późnego wieczora Inger pracuje jako pomocnica dzielna i niestrudzona.

⁷²wiszar — tu: skała, nawis skalny. [przypis edytorski]

Izak wyzyskuje wszelki czas deszczu w celu wykończenia nowej stodoły, a przynajmniej południowej jej ściany, bo wtedy będzie mógł tam złożyć wszystko siano, choćby jeszcze raz tyle. Robota posuwa się raźnie naprzód — wszystkiemu poradzi!

Wypadek wielki i przykry ze swą troską istniał, czyn był dokonany i niechybne będą jego następstwa. Dobro kroczy często szlakiem niewidocznym. Zło wlecze zawsze za sobą swoje następstwa. Izak odniósł się do całej sprawy od samego początku w sposób rozumny i nie powiedział nic więcej jak to:

— Co też tobie do głowy strzeliło?

Inger milczała. Więc po chwili Izak odezwał się znowu:

— Zaduśiłaś?

— Tak — odparła Inger.

— Tego nie powinnaś była robić.

— Nie — odpowiedziała.

— I nie rozumiem, jak mogłaś to przenieść⁷³ na siebie.

— Wyglądała tak jak ja.

— Niby jak?

— Na ustach.

Izak długo myślał i myślał, po czym rzekł: — Tak, tak...

Na tym też poprzestano, do sprawy tej już nie wracano. A gdy dni upływały tak spokojnie jak dawniej i gdy nadszedł czas sprzętu siana i wielu innych robót w polu, wtedy występek cofnął się w myślach powoli na plan dalszy. Ale istniał, przez cały czas ciążył na ludziach i na całym osiedlu. Małżonkowie nie mogli łudzić się co do tego, czy Olina zachowa milczenie, to było aż nadto niepewne. A choćby Olina nawet milczała, czy w takim razie nie mogliby przemówić wszyscy owi niemi świadkowie, ściany chaty lub drzewa w lesie dokoła mogiłki? Os-Anders mógł być dawać do zrozumienia, sama Inger mogła była się zdradzić na jawie lub we śnie. Przygotowani byli na najgorsze.

Jak wobec tego miał zachować się Izak? Rozsądnie, to wszystko! Teraz dopiero zrozumiał, czemu Inger za każdym razem chciała być sama podczas połogu, wielki lęk o nadobność⁷⁴ dzieci pragnęła przecierpieć sama, bez świadków, sama też chciała iść naprzeciw niebezpieczeństwu. Trzy razy się to powtarzało. Izak potrząsał głową i żał mu było bardzo Inger, biednej, nieszczęśliwej Inger. A gdy na domiar dowiedział się o Laponczyku z zającem, wtedy uwolnił Inger od wszelkiej winy. To zrodziło wielką wśród nich miłość, miłość fałszywą — w obliczu niebezpieczeństwa tulili się do siebie. Ona była pełna względem niego naturalnej słodyczy, on zaś, ten człek spiżowy, ten kloc, on stał się dziki, w pożądaniu jej nienasycony. Nogi miała obute w komagry lapońskie, poza tym jednak nie miała w sobie nic lapońskiego, nie była niskiego wzrostu i chuda, lecz przeciwnie, rosła i kształtów foremnych. Teraz latem chodziła boso i w krótkiej spódnicy, te długie bosc nogi Izak oczami wręcz pożerał.

Przez całe lato śpiewała pieśni nabożne i uczyła Elizeusza wielu drobnych modlitewek. Laponczyków jednak nienawidziła całkiem nie po chrześcijańsku i wypowiadała im to, o ile pojawili się na osiedlu, otwarcie i bez ogródek. Mogli być znowu przez kogoś nasłani, mogli mieć znowu zającą za pazuchą, niech zmykają co prędzej!

— Zającą? Jakiego zającą?

— Jak to, nie słyszałeś, co zrobił Os-Anders?

— Nie.

— Mogę ci to sama powiedzieć, Przywędrował tu z zającem, kiedy byłem przy nadziei.

— Coś podobnego! I co, ucierpiałas z tego powodu?

— To nie twoja rzecz, a teraz fora stąd. Tu masz trochę do jedzenia i zaraz mi się wynoś!

— Nie masz na zbyciu trochę skóry na moje dziurawe buty?

— Nie, ale mogę ci kijem skórę wygarbować, jeżeli się stąd zaraz nie wyniesiesz!

Laponczyk, żebrząc, jest pokorny, gdy jednak odprawia go z kwitkiem, wtedy staje się mściwy i wygraża. Teraz zjawiła się na osiedlu para lapońska z dwojgiem dzieci, dzieci wysłano do chaty po jałmużnę, ale wróciły niebawem z oznajmieniem, że w chacie pusto.

⁷³przenieść (daw., gw.) — tu: przetrzymać, wytrzymać. [przypis edytorski]

⁷⁴nadobność (daw.) — uroda, powab. [przypis edytorski]

Rodzina naradzała się przez chwilę, po czym Lapończyk sam udał się do chaty, aby przekonać się naocznie. Nie wracał. Wtedy poszła za nim kobieta, a wreszcie i dzieci. Stali na środku izby i szwargotali społem⁷⁵ po lapońsku. Lapończyk zajrzał do komory, ale i tam nie zastał nikogo. Teraz odzywa się nagle zegar na ścianie, rodzina słucha ze zdziwieniem i wszyscy rozwierają szeroko usta.

Inger, jakby przeczuwając, że obcy ludzie znajdują się w chacie, biegła co tchu z hali górskiej. Ujrawszy Lapończyków, i to nieznanych sobie, rzekła ostro:

— Czego tu szukacie? Nie widzieliście to, że nie ma nikogo w domu?

— O tak — powiada chłop.

— Wyñoście się! — mówi Inger.

Rodzina wychodzi powoli i niechętnie.

— Myśmy tylko przystanęli i przysłuchiwali się zegarowi — odzywa się chłop. —

Grał tak ślicznie.

— Nie masz dla nas kawałka chleba? — wtrąciła kobieta.

— Skąd jesteście? — pyta Inger.

— Z tamtej strony wody. Całą noc wędrowaliśmy.

— Dokąd idziecie?

— Za góry.

Inger udaje się do chaty, aby przygotować trochę żywności. Gdy wraca, słyszy prośbę kobiety o kawałek sukna na czapkę, o pęczek wełny, o kawałek sera koziego — ona wszystkiego może potrzebować. Inger się spieszy, Izak i dzieci znajdują się na skoszonej łące.

— Idźcie już — powiada.

— Widzieliśmy na pastwisku twój inwentarz — kobieta próbuje schlebiać — tyle tam bydła, ile pewnie gwiazd na niebie.

— Jak żyję, nie widziałem tyle! — powtórzył chłop. — Nie mogłabyś nam dać pary znoszonych komagrów?

Inger zamyka drzwi chaty i wraca do roboty. Wtedy chłop krzyknął coś za nią, ona jednak udała, że nie słyszy, i szła dalej. Ale ona dobrze słyszała:

— Czy to prawda, że kupujesz zające?...

Nie należało tego źle rozumieć. Możliwe, że Lapończyk zapytał w dobrej wierze, może mu ktoś nacyganił⁷⁶, możliwe też, że chciał jej dokuczyć. W każdym razie Inger otrzymała przestrozę. Przeznaczenie zgłaszało się...

Dni mijały. Osadnicy byli to ludzie zdrowi; co się ma stać, niech się stanie, pracowali i czekali. Żyli tuż przy sobie jak zwierzyna w lesie, spali i jedli. Czas posunął się już o tyle naprzód, że próbowano nowych ziemniaków, były duże i mączyste. A cios — czemu opóźniał się cios? Teraz już koniec sierpnia, niebawem nastąpi wrzesień, czy zimę mieli przeżyć razem, nietknięci przez los, oszczędzeni? Nieustannie trwali na posterunku, co wieczór, skradając się, odnajdywali się w swej chacie, radośni, że dzień minął szczęśliwie bez kataklizmu. Nastął październik, wtedy niespodzianie zjawił się na osiedlu sołtys z asystentem i z teką pod pachą. Prawo zastukało do drzwi chaty.

Śledztwo zajęło sporo czasu, Inger przesłuchano w cztery oczy. Nie przeczyła; mogiłkę w lesie rozkopano i opróżniono, i wysłano zwłoki do sekcji. Trupek był zawinięty w sukienkę Elizeusza do chrztu, a na główce miał nasadzoną czapeczkę z koralikami.

Wtedy to Izak odzyskał znowu mowę i rzekł:

— Tak, tak, teraz przyszło nieszczęście na nas największe. Wciąż to powtarzam, żeś nie powinna była tego robić.

— Nie powinnam — przyznaje Inger.

— Jakżeś to zrobiła?

Inger milczy.

— I że to tak lekko przeniosłaś na siebie!

— Była taka sama jak ja. Wtedy położyłam ją na twarzyczkę.

Izak potrząsa głową.

— I potem umarła — kończy Inger i wybucha głośnym płaczem.

⁷⁵społem (daw.) — wspólnie, razem. [przypis edytorski]

⁷⁶nacyganić (pot.) — zmyślać; oszukiwać. [przypis edytorski]

Izak milczy chwilę.

— Tak, tak, teraz już za późno na płacze.

— Na czubku główki miała włosy kasztanowate — powiedziała Inger, łkając.

Na tym sprawę zakończono.

I znowu mijały dni. Inger nie aresztowano, władza okazywała pobłażliwość w postępowaniu. Sołtys Heyerdal wypytywał ją spokojnie, nieledwie obojętnie, i powiedział tylko:

— Smutne, że podobne rzeczy się dzieją!

Na zapytanie Inger, kto ją zadenuncjował, odparł sołtys, że właściwie nikt, że podawano mu z różnych stron różne pogłoski. Czy ona sama nie zdradziła się przed niektórymi Lapończykami? Inger odpowiedziała, że owszem, kilku Lapończykom opowiadała o Os-Andersie, który w lecie przyszedł do niej z zającem i z tego powodu dziecko w łonie dostało zajęczą wargę.

— Zająca tego przysłała pewnikiem Olina!

Sołtys nie o tym nie wiedział. Ale jakkolwiek było, podobnej ciemnoty i podobnych przesądów nie może nawet wciągnąć do protokołu.

— Gdy mnie matka miała urodzić, zobaczyła także zająca — dodała Inger...

Spichrz wykończony; był to duży budynek z przepierzeniem na siano po obu stronach i z klepiskiem pośrodku. Siano więc, nagromadzone w szopie i innych miejscach, zniesiono obecnie do spichrza. Żyto skoszono i wysuszono w mendlach⁷⁷, Inger wykopała marchew i rzepę. I oto wszystko pomieszczono już pod dachem. Teraz byłoby po tarapatach, na osiedlu panował dobrobyt. Izak karczował nowe szmaty ziemi i powiększał swe pola pod zboże, był rolnikiem z krwi i kości. Ale jesienią odezwała się Inger:

— Teraz miałyby pół roku i już by nas wszystkich rozpoznawała!

— Co się stało, to się stało, tego się już nie odmieni — odparł Izak.

Zimą młócił Izak żyto na nowym klepisku w spichrzu, a Inger pomagała mu całymi godzinami, wywijając cepem nie gorzej od niego, dzieci tymczasem baraszkowały w sianie. Kłosa sypały duże, grube ziarno. Około Nowego Roku była sanna⁷⁸ co się zowie, więc Izak począł zwozić do wsi drewno sążniowe. Posiadał już stałych odbiorców płacących dobre ceny za jego drewno doskonale latem wyschłe.

Pewnego dnia uradził z Inger, że opasłego cielaczka po Złotorogiej zabierze z sobą i ofiaruje go pani Geisslerowej wraz z paczką koziego sera. Pani eks-sołtysowa była zachwycona i zapytała, ile za to wszystko ma zapłacić.

— Ani grosza — odrzekł Izak — pan sołtys zapłacił już.

— Tam do licha, naprawdę zapłacił? — wykrzyknęła pani Geisslerowa do głębi wzruszona. Wręczyła więc Izakowi kilka książeczek obrazkowych i kawał placka, i różne zabawki, wszystko dla Elizeusza i Sywerta.

Gdy Izak wrócił do domu i Inger ujrzała książeczki, placek i zabawki, odwróciła się i poczęła płakać.

— Co ci jest? — pytał Izak.

— Nic — odparła. — Ale teraz miałyby właśnie roczek i mogłaby oglądać wszystkie te śliczności.

— Ano, ale wiesz przecie, jak ona wyglądała — rzekł Izak, aby ją pocieszyć. — Zresztą możliwe, że nie będzie tak źle. Dowiadywałem się, gdzie przebywa Geissler.

Odwróciło to uwagę Inger.

— Tak, czy on mógłby nam dopomóc? — spytała.

— Tego ja nie wiem.

Następnie Izak zawiózł ziarno do młyna i przywiózł do domu mąkę. Potem chodził znowu do lasu i ścinał drzewo na sążnie, przygotowując zapasy na przyszłą zimę. Życie jego schodziło na ustawiczną pracę; od jednej pracy przechodził do drugiej, już to w polu, już to w lesie, już w lesie, już też znowu w polu — zależnie od pory roku. Sześć lat już pracował Izak na swym osiedlu, a Inger pięć lat: wszystko działo się, jak należy, gdybyż

⁷⁷mendel — 15 sztuk, ćwierć kopy; 15 snopów zboża ustawionych razem. [przypis edytorski]

⁷⁸sanna — droga pokryta śniegiem, dogodna do jazdy saniami; jeżdżenie saniami. [przypis edytorski]

tak szło i nadal. Ale tak nadal iść nie miało... Inger przędła pilnie i tkła, i zabiegała około inwentarza, śpiewała też żarliwie pieśni nabożne, ale — miły Boże! — śpiew jej był niby dzwon bez serca!

Gdy po roztopach wiosennych droga jako tako obeschła, sprowadzono Inger na dół do wsi — na przesłuchanie. Izak musiał być pozostać w domu. Znalazszy się sam, postanowił przejść na tamtą stronę gór do Szwecji i odnaleźć Geisslera. Dobry sołtys nie odmówi może pomocy biedakom na Sellanrå. Ale Inger, wróciwszy, wypytała się poprzednio o wszystko i wiedziała już mniej więcej, jaki czeka ją wyrok. Właściwie jest to sprawa dożywotniego więzienia, ale paragraf pierwszy... — Patrzcie jeno, ona stanęła przed świętym trybunałem sprawiedliwości i po prostu do wszystkiego się przyznała. Świadkowie z obu wsi patrzyli na nią ze współczuciem i przewodniczący wypytywał ją życzliwie. Ale mądre głowy panów od prawa wzięły przecież nad nią górę. Dostojni panowie prawnicy są tak dzielni, oni znają swoje paragrafy, wyuczyli się ich na pamięć, takie to są mądre głowy. I w urzędowaniu swym również nie są pozbawieni rozumu, a nawet i serca. Inger nie mogła była uskarżać się na sąd. Słowem nie wspomniała o zającu, lecz gdy wśród łez wyznała, że zniekształconemu dziecku swemu oszczędzić chciała bolesnej udręki życia, wtedy przewodniczący skinął głową energicznie i poważnie powiedział:

— Ale przecież ty także masz zajęczą wargę, a mimo dobrze ci się działo.

— Tak, Bogu dzięki! — rzekła Inger. Słowem nie wspomniała o ukrytych cierpieniach swego dzieciństwa i swej młodości.

Przewodniczący jednak snadź domyślił się tego i owego, przecież był szpotawy⁷⁹ i nigdy z tego powodu nie zaznał rozkoszy tańca.

— Wyrok? Nie, tego jeszcze powiedzieć nie mogę. Właściwie jest za to więzienie dożywotnie, ale... I nie umiem też powiedzieć, czy uda się wymiar kary złagodzić, przenieść do drugiego lub trzeciego stopnia, na piętnaście do dwunastu lub dwanaście do dziewięciu lat. Siedzą tam ci panowie i głowią się nad kodeksem karnym, i nie tak prędko dadzą sobie radę. No, ale bądźmy dobrej myśli. — Tyle powiedział przewodniczący.

Inger stawiała się na przesłuchanie pogrążona w tępej rezygnacji, nie było powodu zatrzymywać jej w areszcie.

Minęło kilka miesięcy. I znowu przyszedł na Sellanrå sołtys ze swym nowym woźnym. Izaka nie było w domu, był nad rzeką i łowił ryby. Gdy wrócił wieczorem, Inger okazywała mu wiele dobroci i serdeczności i chwaliła go, jakkolwiek połów się nie udał i niewiele przyniósł ryb.

— Co ja to chciałem powiedzieć, byli tu goście? — zapytał.

— Goście? Czemu pytasz o to?

— Widzę świeże ślady na dworze. Ślady butów.

— Był tylko sołtys z drugim jeszcze.

— Tak. Czego chcieli?

— Nietrudno się domyślić.

— Chcieli ci zabrać?

— Mnie zabrać? Nie, przynieśli wyrok. I tyle mogę ci powiedzieć; łaska boża, a więc nie to, czego się bałam.

— Tak — rzekł Izak w naprężonym oczekiwaniu. — Na długo?

— Nie, tylko na kilka lat.

— Ile?

— Tak, tak, myślisz pewnie, że na wiele lat, ale ja Bogu dziękuję, że wychodzę przynajmniej z życiem.

Inger nie powiedziała, na ile lat ją skazano. Późnym wieczorem zapytał Izak, kiedy przyjdą po nią, ale ona tego nie wiedziała lub też powiedzieć nie chciała. Stała się znowu bardzo zamyślona, zastanawiała się głośno nad tym, jak Izak będzie sobie radził bez niej, chyba przyjdzie Olin. Izak również nie widział innej drogi wyjścia. Ale gdzie szukać Oliny? W tym roku wcale się tu nie pokazała. A może ona tu po tym wszystkim, co

⁷⁹szpotawy — krzywonogi, mający wykrzywione stopy. [przypis edytorski]

im wyrzuciła, w ogóle już nie przyjdzie?... Siano sprzątnięto, a Oliny jak nie widać, tak nie widać. Czy sprowadzić ją? Ach, ona by się już na pewno przytryndła, ten kałdun zatłuszczony, ten potwór!

Nareszcie przyszła. Co za osoba! Zachowała się tak, jakby między nimi nic nie zaszło, przyniosła nawet parę pończoszek dla Elizeusza.

— Chciałam tylko zobaczyć, jak tu u was wygląda — rozpoczęła.

Okazało się, że łachy swoje i różne rzeczy, spakowane w worku, pozostawiła w lesie i w ogóle przygotowana była na pozostanie tu na stałe.

Wieczorem Inger wzięła męża swego na bok i rzekła:

— Mówiłeś niedawno, że chcesz odszukać Geisslera... Teraz byłaby odpowiednia pora.

— Tak — odparł Izak — ponieważ Olina już przyszła, przeto wybiorę się zaraz jutro z rana.

Inger powiedziała, że byłaby mu bardzo za to wdzięczna.

— Ale zabierz ze sobą wszystkie pieniądze, jakie masz w domu — dodała.

— Dobrze. A czy ty nie mogłabyś ich przechować?

— Nie.

Inger przysposobiła spory tłumoczek z żywnością. A gdy Izak zbudził się nad ranem, zerwał się natychmiast i przygotował do drogi. Inger odprowadziła go aż na podwórze, nie płakała ani też jęczała, ale powiedziała:

— Łada dzień mogą przyjść po mnie.

— Czy wiesz co o tym?

— Nie, skądżebym miała o tym wiedzieć? A zresztą, może to nie tak prędko nastąpi, chociaż... Gdybyś jeno Geisslera odszukał, on by może wynalazł radę.

Jaką radę mógłby teraz jeszcze wymyślić Geissler? — Żadną. Lecz Izak mimo to poszedł.

Ano, kto ją tam wie, tę Inger, ona z pewnością wie najlepiej. I ona też prawdopodobnie zawiadomiła jakimś sposobem Olinę. Izak, powróciwszy ze Szwecji, nie zastał już Inger. Zabrano ją i przy obu dzieciach pozostała Olina.

Była to dla Izaka chwila smutna, bardzo smutna, gdy zbliżając się do chaty, zawołał głośno na Inger i nie otrzymał odpowiedzi.

— Zabrali ją? — zapytał.

— Tak — odparła Olina.

— Kiedy?

— Akurat tego dnia, kiedyś poszedł.

Teraz dopiero Izak odgadł, że Inger w chwili rozstania się z chatą pragnęła być znowu sama i dlatego tylko prosiła go, aby zabrał z sobą pieniądze. Ach, trochę grosza byłoby się jej na pewno przydało na tę wielką podróż!

Ale uwagę chłopców porwało z miejsca śliczne prosiątko, które przyniósł Izak. Zresztą była to jedyna rzecz, jaką przyniósł z swej wędrówki. Adres Geisslera był przestarzały. Geisslera nie było już w Szwecji, bawił teraz w Trondheim⁸⁰. Ale ze Szwecji przyniósł w swych rękach prosiątko, w drodze karmił je mlekiem z butelki i w górach spał z nim na swej piersi. Pragnął uradować Inger, a teraz Elizeusz i Sywert bawili się zabawnym stworzonkiem i mieli z nim sto pociech. To Izaka nieco rozchmurzyło. Do tego przyczyniło się jeszcze jedno: Olina oznajmiła, że sołtys kazał się kłaniać, tudzież że rząd zgodził się ostatecznie na sprzedaż osiedla Sellanrå i że Izak ma tylko zgłosić się i zapłacić. Wiadomość to była dobra i wyrwała Izaka ze stanu przygnębienia. Jakkolwiek był jeszcze mocno strudzony podróżą do Szwecji, spakował co prędzej trochę chleba i sera i powędrował na dół do wsi. Pocieszał się zapewne, że spotka tam jeszcze Inger.

Ale nadzieja jego nie ziściła się, Inger już nie zastał, zamknięto ją na osiem lat. Izaka aż zamroczyło i już tylko piąte przez dziesiąte rozumiał z tego, co mówił do niego sołtys. Niewesołe to, że podobna rzecz mogła się zdarzyć. Ma nadzieję, że będzie dla Inger nauczka, że się nawróci, że stanie się lepsza i już więcej dzieci swych mordować nie będzie.

Sołtys Heyerdal był żonaty od zeszłego roku. Żona nie chciała zostać matką, nie chciała mieć dzieci — oświadczyła, że nic z tego nie będzie i kwita. No i nie miała dzieci...

⁸⁰Trondheim — duże miasto portowe w Norwegii. [przypis edytorski]

— Nareszcie też mogę zamknąć akta sprawy Sellanrå — rzekł następnie sołtys. — Rząd królewski zgodził się poniekąd na mój wniosek sprzedaży.

— Tak — rzekł Izak. — Ile mam zapłacić?

— Rocznie dziesięć talarów. Tu wprowadzie zaszła zmiana o tyle, że ministerium zamiast pięciu talarów ustanowiło dziesięć. Nie wiem, jak się na to zapatrujesz?

— Żeby tylko temu podolał — odparł Izak.

— I to na dziesięć lat. — Izak spojrzał przerażony. — Tak, na inne warunki ministerium nie chce przystać — rzekł sołtys. — I jest to właściwie za bezcen, taki spory szmat ziemi wykarczowanej i tak uprawionej.

Na ten rok posiadał Izak dziesięć talarów, zebrał je za drewno i za kozie sery, zrobione przez Inger. Zapłacił i jeszcze coś niecoś mu pozostało.

— Całe szczęście, że ministerium nie dowiedziało się o zbrodni twojej żony — rzekł sołtys. — Inaczej by może komu innemu sprzedali.

— Tak — rzekł Izak, a po chwili zapytał: — Więc na całe osiem lat ją zamknięto?

— Tak, tego zmienić już nie można. Trudno, sprawiedliwości musiało się stać za-
dość. Zresztą kara jej jest więcej niż łagodna. A twoim najbliższym zadaniem będzie teraz przeprowadzić wyraźną granicę pomiędzy ziemią twoją a państwową. Wykarczuj wszystko w równej linii ściśle według znaków, jakie tam pozostawiłem i jakie zapisałem w protokole. Drzewa należą do ciebie. Później przyjdę tam na górę i sprawdzę.

Izak powędrował za powrotem.

VIII

Lata szybko mijają. Tak, dla tego, kto się starzeje.

Izak ani był stary, ani osłabiony, jemu lata wydawały się nieskończenie długie. Pracował na swym gospodarstwie i pozwalał swej brodzie zarastać na dziko.

Monotonia na pustkowiu przerywała się od czasu do czasu, mianowicie gdy pojawiał się jaki Lapończyk lub gdy to i owo przydarzyło się z inwentarzem. Pewnego razu przywędrowało wiele ludzi; na Sellanrå wypoczęli, jedli i popijali mleko, i wypytywali Izaka i Olinę o dalszą drogę poprzez góry. Mieli oni — jak twierdzili — wymierzyć linię telegraficzną. Innym razem przybył Geissler. Przyszedł ze wsi wesół i szczęśliwy, prowadząc z sobą dwóch mężczyzn z narzędziami górniczymi, z kilofami i łopatami.

Ach, ten Geissler! Był zupełnie taki sam jak ongi, nic się nie zmienił. Rzekł: „Dzień dobry”, pogadał z dziećmi, wszedł do chaty i znowu wyszedł, przyjrzał się polom, zajrzał do stajni i stodoły.

— Doskonale! — zawołał. — Izak, czy masz jeszcze u siebie te małe kamienie?

— Małe kamienie?

— Tak, małe, ciężkie kamienie, którymi bawili się chłopcy podczas mej ostatniej bytności?

Kamienie leżały w szopie, służyły jako ciężarki przy łapkach na myszy. Przyniesiono je. Sołtys i dwaj towarzysze badali je, naradzali się, uderzali o nie i w ręce ważyli.

— Miedź! — orzekli.

— Chciałbyś pójść z nami i wskazać nam miejsce, gdzieś kamienie te znalazł? — spytał sołtys.

Wszyscy czterej wdrapali się na skały, było to niedaleko. Mimo to zatrzymali się w górach kilka dni, łazili od skały do skały, poszukiwali kruszców i tu i ówdzie rozsadzali jakąś większą skałę. Wracając do chaty, zabrali z sobą dwa ciężkie wory pełne kamieni.

Izak podczas tego przedstawił Geisslerowi całe swoje położenie, a także i to, że rząd policzył za gospodarstwo zamiast pięćdziesięciu — sto talarów.

— Ach, wszystko to jest bez znaczenia — rzekł Geissler bez zastanowienia. — Skały twoje zawierają może skarby, które przyniosą ci tysiące.

— Tak — rzekł Izak.

— Wystaraj się jeno jak najprędzej o sądowe zatwierdzenie dokumentu.

— Tak.

— Żeby ci rząd w ostatniej chwili nie rzucił jakiego kamienia pod nogi, rozumiesz?

Izak rozumiał.

— Tak, tak, ale najgorsze ze wszystkiego to sprawa z Inger — rzekł.

— Ach, racja — odrzekł Geissler i wbrew swemu usposobieniu i zwyczajowi zastanawiał się i rozważał niezmiernie długo.

— Nie jest wykluczone, że można by przeprowadzić rewizję wyroku. Gdyby wszystko wyszło na jaw, może by się udało karę nieco obciąć. Albo wnieść po prostu o ulaskawienie, co mniej więcej na jedno by wyszło.

— Tak pan myśli?

— Na razie nie można jeszcze stawiać wniosku o ulaskawienie, trzeba wpierw trochę poczekać. Ale, ale, tyś dostarczył mojej żonie cielaka i kilka serów kozich, ile jestem ci dłużny?

— Ani grosza, pan sołtys zapłacił już za wszystko.

— Ja?

— Pan nam tyle już dobrego wyświadczył.

— Nie! — zawołał Geissler i roześmiał się. I wyciągnawszy kilka banknotów, położył je na stole i rzekł:

— Weź to!

Był to człowiek, który za wszystko płacił, i zdaje się, że portfel jego był gruby od banknotów. Bóg jeden wie, czy on naprawdę taki bogaty!

— Ale ona pisze, że jej tam dobrze — rzekł Izak, który tylko o tym jednym myślał.

— Aha, twoja żona?

— Tak, od chwili, gdy ma dziewczynkę — urodziła tam zdrową i ładną dziewczynkę.

— A, to doskonale!

— Tak, i wszyscy jej pomagają, i wszyscy są dla niej bardzo dobrzy, tak pisze.

Geissler oświadczył:

— Teraz poślę kamienie do zbadania, aby przekonać się, co zawierają. Jeżeli będzie to prawdziwa miedź, otrzymasz dużo pieniędzy.

— Tak — rzekł Izak. — Jak pan myśli, kiedy będzie można wnieść o ulaskawienie?

— Niezadługo. Napiszę w twoim imieniu i później przyjdę tu znowu, Ale, ale, coś ty powiedział, żona twoja urodziła w więzieniu dziecko?

— Tak.

— To znaczy, że zabrali ją, gdy była w odmiennym stanie? Toż to niedozwolone!

— Nie?

— Nie, mamy więc jeszcze jeden powód do wcześniejszego jej uwolnienia.

— Ach, to by było dobrze — rzekł Izak z wdzięcznością.

Izak nie wiedział nic o tym, że sprawa ciąży Inger wywołała dużo pisaniny między jedną władzą a drugą. Dwa powody złożyły się na to, że nie zaaresztowano jej w swoim czasie. Po pierwsze brakło pomieszczenia w więzieniu, a po wtóre litowano się nad nią. Następstwa były nieobliczalne. Później, gdy Inger uwięziono, nie pytano się o jej stan, a ona sama nic o tym nie powiedziała. Milczała może z rozmysłu, aby w dniach ciężkich mieć w pobliżu dziecko; jeżeli sprawować się będzie dobrze, wolno jej będzie raz po raz przybliżyć się do dziecka. A może też zwyczajnie była tępa i obojętna na wszystko.

Izak pracował na swym gospodarstwie, osuszał łąki, karczował, przekopał granicę, a ścięte przy tej sposobności drzewo dało drewno sążniowe na cały rok. Ale ponieważ nie było Inger, która go zagrzewała pochwałami, przeto pracował więcej z przyzwyczajenia niż z ochoty. Minęły już dwie kadencje sądowe, a on wciąż jeszcze nie zgłaszał się po zatwierdzenie aktu kupna — zobojętniał na wszystko. Ocknął się dopiero teraz, jesienią. Było u niego nie ze wszystkim, jak być powinno. Cierpliwość i rozwaga, oczywiście, tego mu nie brakło, ale cierpliwy był i rozważny dlatego tylko, ponieważ taki był od urodzenia. Zebrał wszystkie swoje skóry kozie i cielęce, rozłożył je w rzece, później zeszkrobał z nich sierść i wygarbował je. Miał więc skórę na buty. Zimą, gdy spadły pierwsze śniegi, przysposobił ziarno na siew wiosenny, zawszeć lepiej, gdy już przygotowane — był to człowiek zamilowany w porządku, ale znowu smutny i samotny, był znowu nieżonaty.

Bo jakież zadowolenie mogło mu dać teraz siedzenie w chacie w niedzielę, w ubraniu odświętnym, w czerwonej koszuli, skoro brakło tej, dla której warto by się wystroić? Niedziele były to dni najdłuższe, niedziele skazywały go na próżniactwo i na myśli żałośliwe, w niedzielę wałęsał się tylko po gospodarstwie i obmyślał, co zrobić należy w dniach następnych. Za każdym razem zabierał z sobą swych chłopaków, młodszego niosąc zawsze na ręku. Inna rzecz, że paplanina ich i ustawiczne zapytania sromotnie go męczyły.

Miał u siebie starą Olinę, ponieważ nie miał nikogo innego. Ostatecznie najgorzej z nią nie było. Gręplowała wełnę i przędła, robiła pończochy i rękawice, robiła też ser kozi. Ale szczęśliwej ręki ona nie miała i pracowała bez zamilowania — przecież wszystko, co wzięła do ręki, nie jej było własnością. Jeszcze za czasów Inger kupił Izak u wędrownego handlarza prześliczne naczynie gliniane z psim łbem na pokrywcę, coś w rodzaju dużej tabakiery. Zdobiło ono półkę ścienną. Olina sięgnęła po nie, aby się przyjrzeć, i zbiła psi łeb. Inger pozostawiła w skrzynce pod szkłem kilkanaście sadzonek fuksji; Olina zdjęła szybki, a następnie przytłoczyła nimi nieuważnie roślinki. Następnego dnia wszystkie sadzonki zwiędły i już nie ożyły. — Czy wszystko to mogło nie obchodzić Izaka? O nie, on też wcale nie miał łagodnej twarzy, często tak się nasrożył, że wyglądał wręcz niebezpiecznie. Olinie nie zbywało jednak na bezczelności i obrotności ozora.

— Co ja temu winna? — rzekła.

— Nie wiem — odparł Izak — ale po co to bierzesz do ręki?

— Nie bój się, już więcej jej kwiatów nie ruszę — powiedziała Olina, ale kwiaty już nie żyły.

I czemu też teraz tak wielu przybywa Lapończyków na Sellanrå? Przychodzą o wiele częściej niż dawniej. Czego tam szukał Os-Anders? Pewnego lata przywędrował tu aż dwa razy, przecież nie miał reniferów, żeby ich szukał, lecz żył z żebraniny. Na widok jego Olina rzucała wszelką robotę, plotkowali o wszystkich i wszystkim, a gdy zagrodę opuszczał, wór jego wypchany był różnościami. Izak milczał cierpliwie rok jeden i drugi.

Potem zachciało się Olinie nowych trzewików i wtedy Izak przestał milczeć. Było to na jesieni i Olina, zamiast chodzić w komagrach lub drewniakach, paradowała stale w trzewikach skórkowych. Izak rzekł:

— Ładna dziś pogoda. Hm! — Tak zaczął.

— Aha — rzekła Olina.

— Elizeuszu, dziś rano naliczyłeś przecie dziesięć serów kozich, prawda? — spytał Izak.

— Tak, dziesięć.

— A teraz jest ich tylko dziewięć!

Elizeusz liczył na nowo, zamyślił się, a potem rzekł:

— Tak, ale razem z tym, który dostał Os-Anders, jest dziesięć...

W izbie zapanowało milczenie. I tylko mały Sywert, udając, że także umie liczyć, powtarzał za bratem: — Tak, dziesięć.

I znowu milczenie. Ostatecznie Olina winna była jakieś wyjaśnienie.

— Ano, dałam mu taki mały, najmniejszy serek, myślałam, że to nic takiego. Ale dzieci takie małe jeszcze, a już widać, jakie z nich ziółka. Nietrudno poznać, w kogo się wdały! W każdym razie nie w ciebie, to jedno wiem.

Był to przytyk, którego Izak nie mógł przemilczeć.

— Dzieci moje są uczciwe — rzekł. — Ale czy nie mogłabyś mi powiedzieć, jakie to dobrodziejstwa wyświadczył mnie i moim Os-Anders?

— Dobrodziejstwa? — odparła Olina.

— Tak.

— On, Os-Anders?

— Tak, skoro dłużny mu jestem sery kozie.

Olina zyskała czas do namysłu i taką dała odpowiedź:

— Boże miłosierny! Jeżeli to prawda, że ja zaczęłam z Os-Andersem, niech mnie na tym miejscu paraliż ruszy!

Wyśmienicie! Izak musiał ustąpić nie po raz pierwszy. Olina dała folę⁸¹ swemu językowi:

— I jeżeli teraz, gdy się ma na zimę, mam tu chodzić boso i nie mam dostać tego, co Bóg stworzył dla obucia nóg, to lepiej od razu to powiedz. Już przed miesiącem gadałam ci o trzewikach, ale wciąż jeszcze ich nie widzę i wciąż w takich tylko papciach muszę tu oblatywać.

— A co braknie twym drewniakom, że w nich nie łazisz? — zapytał Izak.

⁸¹ *dać folę swojemu językowi* (daw.) — nie powstrzymywać się, nie pohamowywać się w mówieniu czegoś. [przypis edytorski]

— Co im braknie?

— Tak, chciałbym wiedzieć.

— Drewniakom?

— Tak, drewniakom.

— A o tym nie wspomnisz, że ja wełnę grępluję i przędę, że oprzątam bydło i dzieci twoje wychowuję, o tym nic nie mówisz. A twoja żona, do diaska, co w więzieniu siedzi, ona na pewno nie chodziła boso po śniegu.

— Nie, bo miała drewniaki — rzekł Izak. — A gdy szła do kościoła albo między ludzi, wtedy brała komagry.

— Tak, tak, bo ona była coś lepszego ode mnie — odparła Olina.

— Tak, to na pewno. A gdy latem przywdziewała komagry, to wypakowała je sobie szczyptą siana. A ty co? Przez cały boży rok łazisz w pończochach i trzewikach!

— Jak o to idzie, to już będę chodziła w własnych drewniakach. Nie wiedziałam tylko, że będę musiała tu własne swe drewniaki zdzierać. — Mówiła głosem cichym i przytłumionym, mrużąc przy tym oczy, o, była to sztuka mądra i chytra! — Inger, ten podrzutek, tak nazywaliśmy ją wszyscy, wychowywała się razem z moimi dziećmi i nauczyła się u mnie tego i owego. Teraz doczekałam się podziękowania za wszystko. Moja córka w Bergen chodzi w kapeluszu, może Inger chodzi tak samo w kapeluszu, co? A może ona wyjechała do Trondheim po kapelusz, ha, ha?

Izak wstał z ławy i chciał wyjść bez słowa. Ale teraz dopiero otwarło się serce Oliny, ukazując, jak czarne było, jak zionęło czarną wręcz otchłanią. Wyrzuciła z siebie potok słów, język jej warczał jak kołowrotek. Powiedziała, że żadna z jej córek nie miała podobnego pyska jak Inger, która wyglądała niby ogniem plujący potwór, ale dlatego też córkom jej, Oliny, poszczęściło się. Tak, tak, nie każdy umie mordować swe dzieci.

— Stul pysk! — krzyknął Izak i dla lepszego snadź zadokumentowania swego gniewu dodał: — Ty jędzo przekłeta!

Lecz Olina pyska nie stuliła.

— Ha, ha! — zachichotała, spojrzała ku niebu i odcięła się, że właściwie nie rozumie, jak potwory z takimi zajęczymi wargami w ogóle oblatywać mogą po świecie.

Izak uczuł zapewne ulgę, znalazłszy się nareszcie poza domem. I nie pozostało mu nic innego, jak sprawić Olinie trzewiki skórkowe!

Był osadnikiem w lesie i tak mało podobnym do bogów, że nie mógł skrzyżować na piersi swych rąk i rozkazać swej służbie: „Odejdź!”. Tak niezbędna zarządczyni domu jak Olina czuła się mocno w siodle i dlatego mogła była sobie pozwolić na wszystko.

Noce były chłodne i był czas pełni; grzęzawiska tężeją w takim stopniu, że człowiek może od biedy przejść. We dnie tajały pod słońcem. W taką noc chłodną powędrował Izak do wsi, żeby kupić dla Oliny trzewiki. W zawiniątku miał dwa sery dla pani Geisslerowej.

Nowy osadnik osiadł na połowie drogi do wsi. Był zapewne człowiekiem zamożnym, bo sprowadził ze wsi cieśli do budowy chaty, a nadto wyrobników do uprawy kawałka piasków pod ziemniaki, on sam zaś nie prawie nie pracował. Osadnikiem tym był Brede Olsen, woźny sądowy, człowiek, do którego we wsi trzeba było się zwracać, gdy zachodziła potrzeba sprowadzenia lekarza lub gdy na plebanii miał być bity tucznik. Brede Olsen nie miał jeszcze trzydziestki, a był już ojcem czworga dzieci i mężem kobiety, która właściwie także jeszcze była dzieckiem. Ach, majątek Bredego nie był chyba tak wielki, jego natrętnie pieczeniarnstwo nie przynosiło tak znacznych dochodów. Teraz próbował szczęścia na roli. Pieniądze na budowę domostwa podjął z banku. Jego nieruchomość nosiła nazwę „Bredablik”; piękną tę nazwę wymyśliła małżonka sołtysa Heyerdala.

Izak przechodzi obok nowej osady i nie wstępuje, żal mu czasu. Ale jakkolwiek bardzo jeszcze wcześniej, już dzieci Bredego tłoczą się przy oknie. Izak spieszy się, chce wracać nocy następnej. Wprawdzie na gospodarstwie nie czeka go zbyt wiele roboty, ale tęskni za dziećmi, które pozostały tam same pod opieką Oliny.

W drodze wspomina sobie pierwszą swoją w tej okolicy wędrówkę. Dużo upłynęło czasu, ostatnie dwa lata bardzo były długie. Wiele dobrego doznał na Sellanrå, ale z jednym było bardzo niedobrze, hej, mocny Boże!

I oto powstała tu nowa osada; Izak przypominał sobie dobrze to miejsce: był to jeden z podatniejszych gruntów, jakie badał tu podczas swej pierwszej wędrówki. Mimo to nie osiadł tu, lecz zapuścił się dalej w poszukiwaniu czegoś korzystniejszego. Tu było bliżej wsi, to prawda, ale las był lichter; była tu równina, ale zarazem i grzęzawica; ziemia była tu podatniejsza pod orkę, ale odwodnienie jej było trudne. Poczciwy Brede nie posiadał jeszcze kawałka uprawionego pola. A co to miało znaczyć, czyżby Brede chciał przybudować z drugiej strony chałupy szopę do narzędzi i wozów? Izak spostrzegł wóz, stojący pod gołym niebem, tuż przed chatą.

Sprawę u szewca załatwił, ale pani Geisslerowa na dobre już wyjechała, przeto sery kozie sprzedał przekupniowi. Wieczorem wraca. Mróz ściska coraz większy, tak że droga przez grzęzawicę nie nastręcza trudności. Ale Izak idzie krokiem ociężałym. Bóg jeden wie, kiedy znów ujrzy Geisslera, skoro żona jego wyjechała, możliwe, że Geissler nie przyjdzie tu już nigdy. Inger nie ma, czas uchodzi.

I teraz nie wstępuje do Bredów, nie, nawet z dala omija Bredablik. Nie ma ochoty na gadanie z ludźmi, pragnie tylko iść dalej a dalej. Wóz Bredego wciąż jeszcze stoi pod gołym niebem. Izak myśli: „Chciałbym wiedzieć, jak długo on tam postoi? Ano, każdy ma swoje!”. Teraz na przykład on, Izak, posiada wóz i szopę do niego, a mimo to nie powiodło mu się lepiej, ognisko jego rozbite i zimne, niegdyś było całe i ciepłe, obecnie brak połowy.

Słońce wysoko już wzeszło, gdy Izak przybliżył się o tyle, że ujrzał wysoko na hali swoją chałupę. Zaraz też lżej mu się zrobiło na sercu, jakkolwiek dwudniową wędrówką bardzo był zmęczony. Budynki stoją na swoim miejscu. Z komina chaty się dymi. Obaj chłopcy znajdują się już na dworze, zaledwie go spostrzegli, a już pędzą naprzeciw niemu na wyścigi. Olina zrywa się z ławy i woła:

— Jak to? Już wróciłeś? — Olina gotuje kawę... Kawę?

Izak dawno już był zauważył: po każdej wizycie Os-Andersa lub innych Laponczyków Olina warzy sobie kawę, i to w małym kociołku Inger. Czyni to zawsze w nieobecności Izaka, gdy Izak jest w lesie lub w polu. A gdy wróci czasem niespodzianie i ujrzy, co się święci, wtedy milczy. Ale on dobrze wie, ile go ta kawa kosztuje kłębków wełny i kawałków sera koziego. Toteż bardzo wiele ze strony Izaka, że w tej chwili nie schwycił Oliny i nie zdeptał za taką nikczemność. Tak, prawdę mówiąc, Izak usiłował zawsze być człowiekiem lepszym, obojętnie z jakich pobudek, czy to dla miłego spokoju, czy też może w ukrytej nadziei, że w nagrodę Bóg zwróci mu wcześniej Inger. Jest dociekliwy i przesądny, jest szczerzy nawet w swej przebiegłości chłopskiej. Teraz właśnie, jesienią, okazało się, że dach torfowy stajni grozi zawaleniem i zasypaniem konia, Izak kilkakrotnie zgrzytnął zębami, żuł końce swego wąsa i brody, ale w końcu uśmiechnął się jako ten, co zna się na żartach, naprawił dach i podparł go krokwiami⁸². Ani jedno złe słowo nie wymknęło się z ust jego. Inny przykład: spiżarnia, w której składano wszelkie zapasy żywności, miała właściwie duże otwory w murze. Przez te otwory wpadało do wnętrza ptactwo i rozgościło się tam na dobre. Olina złościła się, że ptaszki wszystko wyjadają, spacerują po słoninie, ba, robią nawet coś znacznie gorszego — niby na słoninę.

Izak rzekł tyle tylko:

— Amo, szkoda biednych ptaszków, wlatują do środka i nie mogą znaleźć drogi powrotnej, biedactwa! — I w czasie największej roboty wyłamał kamienie i замуrował zdradzieckie dla ptaszków otwory.

Bóg raczy wiedzieć, co on przy tym sobie myślał, czy łudził się, że takim dobrym sprawowaniem się przyspieszy uwolnienie Inger?

IX

Lata mijają.

Znowu zjawił się na Sellanrå jakiś inżynier z przodownikiem i dwoma robotnikami w celu wykreślenia poprzez stoki górskie linii telegraficznej. Według obecnej decyzji linia miałaby przeciągać opodal chaty Izaka, a przez las przeprowadzono by dogodną drogę. Twierdzili, że na tym zyska sama miejscowość, pustoszyć się ożywi, stanie się dostępniejsza, świat tu przyjdzie i rozjaśni ją.

⁸²krokiew — pochyła belka stanowiąca część konstrukcji nośnej dachu. [przypis edytorski]

— To miejsce stanie się punktem centralnym pomiędzy dwoma dolinami i tobie prawdopodobnie poruczy się nadzór nad linią w jedną i drugą stronę — oświadczył inżynier.

— Hm — rzekł Izak.

— Otrzymasz za to dwadzieścia pięć talarów rocznie.

— Hm, ale co będę musiał za to robić?

— Utrzymywać w porządku przewód, druty zużyte i zerwane naprawiać, wycinać krzaki zarastające linię. W izbie twej przyczepimy do ściany mały, ładny aparat, wskazujący, dokąd w danej chwili powinieneś się udać. Wtedy musiałbyś rzucić wszystko i spieszyć tam, gdzie należy.

Izak zamyślił się, po czym rzekł:

— Zimą mógłbym się podjąć tej roboty.

— Nie, to jest robota na cały rok, zimą i latem.

Lecz Izak oświadczył:

— Wiosną, latem i jesienią mam swoją robotę w polu i wtedy brak mi czasu do innych spraw.

Inżynier przyjrzał się Izakowi uważnie, zanim zadał mu następujące, pełne zdziwienia pytanie:

— Czy osiągniesz przez to większy zarobek?

— Zarobek? — rzekł Izak.

— No tak, czy robotą w polu zarobisz więcej?

— Tego powiedzieć nie umiem — odrzekł Izak. — Ale to jest tak, że ja siedzę tu właśnie jeno dla tych pól. Muszę pracować na wyżywienie ludzi, a jeszcze więcej na wyżywienie inwentarza. My wszyscy żyjemy z tej ziemi.

— Tak, tak, jak chcesz, urząd ten mogę oddać komu innemu — odparł inżynier.

Groźbę tę przyjął Izak z prawdziwą ulgą; dostojnemu urzędnikowi nie chciał tak bez wszystkiego dać odpowiedzi wręcz odmownej i dlatego rzekł:

— Mam konia, pięć krów i stadnika⁸³. Oprócz tego mam dwadzieścia owiec i szesnaście kóz. Bydlątka te dają nam pożywienie i wełnę, i skórę, dlatego trzeba im dać paszy.

— Tak, to jasne — rzekł krótko inżynier.

— Ano. A skąd wziąłbym paszę, gdybym w czasie sprzętu siana musiał się odrywać od roboty i naprawiać druty telegraficzne?

— Rozumiem; wobec tego nadzór otrzyma ten z dołu, Brede Olsen, on pewnie chętnie to przyjmie — odrzekł inżynier. Po czym zwrócił się do swych towarzyszków: — Chodźcie, pójdziemy dalej!

Olina odgadła zapewne, że Izak postąpił niezręcznie i nierozsądnie, pragnęła to wyzyskać dla siebie.

— Coś ty powiedział, Izaku? Szesnaście kóz? Jest przecie piętnaście jeno.

Izak spojrzał na Olinę. Olina spojrzała na niego, spojrzała mu prosto... w nos.

— Nie ma szesnastu kóz?

— Nie — odparła i spojrzała na inżyniera, wzruszając ramionami nad głupotą Izaka.

— Hm — mruknął Izak z cicha. Kosmyk brody wsadził w zęby i począł żuć zawzięcie.

Inżynier i robotnicy oddalili się.

Gdyby Izakowi chodziło o okazanie niezadowolenia z Oliny i wymłócenie jej co się zowie, teraz miałby sposobność, o, sposobność wymarzoną! Byli znów sami w izbie, dzieci pobiegły za przybyszami. Izak stał na środku izby, Olina przykucnęła przy palenisku. Izak odchrząknął kilka razy, by dać poznać, że dużo ma do powiedzenia. Lecz milczał. Taki był hart jego ducha. Czyżby nie miał wiedzieć, ile kóz posiada, czyż nie liczył ich na palcach, baba chyba zwariowała? Jakimże cudem miała zginąć ze stajni koza, przecież oprzątał je osobiście, codziennie z nimi rozmawiał, znał każdą z osobna, szesnaście ich było! A może Olina dała komu kozę w zamian za coś innego, może akurat wczoraj, gdy była tu Bredowa i za czymś się rozglądała?

— Hm! — rzekł Izak, a język go śwędział. Cóż zrobiła Olina? Nie było to może wręcz zabójstwo, ale coś, co od zabójstwa nie bardzo odbiegało. O owej szesnastej kozie mógł być mówić z zabójczą srogością.

⁸³stadnik — samiec rozplodowy bydła hodowlanego. [przypis edytorski]

Nie wypadło mu jednak stać tak wiecznie na środku izby i milczeć. Więc rzekł:

— Hm, tak, więc nie ma więcej nad piętnaście kóz?

— Nie — odparła Olina przyjaźnie. — Możesz przecie sam policzyć, ja doliczyłam się jeno piętnastu.

W tej chwili ręce go swędziały. Teraz mógł być uczynić to: wyciągnąć pięści i Olinę pokiereszować, i to jednym tylko dobrym chwytem. Mógł być tak uczynić. A jednak nie uczynił, lecz powiedział dobitnie, zmierzając ku drzwiom.

— Teraz nic więcej nie powiem! — Z tymi słowy opuścił izbę, jakby dla zadokumentowania, że następnym razem nie zabraknie mu słów wyraźniejszych.

— Elizeuszu! — zawołał przed chatą.

Gdzie był Elizeusz, gdzie podzieli się obaj chłopcy?

Ojciec zamierzał zadać im pewne pytanie, ponieważ były to już duże chłopaki z bystrymi ślepami. Znalazł ich w stodole, na samym spodzie sásieka⁸⁴, zupełnie się tam zagrzebali, a zdradzili się lęklwym szeptem. Wyleźli niby dwaj złoczyńcy.

Jakiż powód dziwnego ich zachowania się? — Elizeusz znalazł kawałek kolorowego ołówka, własność inżyniera, chciał pogonić za nim, ale inżynier znikł już w lesie. Wówczas zrodziła się w nim myśl, żeby ołówek przywłaszczyć sobie — ach, gdybyż to było można! Pociągnął za sobą małego Sywerta, by podzielić się ciężarem odpowiedzialności, po czym obaj ukryli się z łupem w sásieku. Ach, ten kawałek ołówka — jakaż to w ich życiu osobliwość, dziw nad dziwy! Wyszukiwali wióry i pokrywali je najróżniejszymi kreskami. Ołówek był prawdziwie czarodziejski: jedną stroną pisał na czerwono, drugą na niebiesko! Chłopcy kreślili nim na przemian. Usłyszawszy ostre wołanie ojca, Elizeusz szepnął:

— Pan inżynier wrócił pewnie po ołówek!

I w tejże chwili pierzchnęła wszelka radość z posiadanego skarbu, a serca ich załomotały lęklwym. Wygramolili się z sásieka; Elizeusz stanął przed ojcem, trzymając w wyciągniętej ręce ołówek, jakby pokazując, że go nie złamali. Lecz serca ich uspokoiły się, gdy nie zobaczyli inżyniera.

— Była tu wczoraj jaka kobieta? — zapytał ojciec.

— Była.

— Czy ta z dołu? Widzieliście ją, jak odchodziła?

— Tak.

— Prowadziła ze sobą kozę?

— Nie — odpowiedzieli chłopcy. — Kozę?

— Odchodząc stąd, nie miała kozy?

— Nie. Jaką kozę?

Izak zastanawiał się i dociekał, a wieczorem, gdy bydło wróciło z pastwiska, przeliczył najpierw kozy: było ich szesnaście. Liczył jeszcze raz, liczył pięć razy — kóz było szesnaście. Nie brakło ani jednej.

Izak odetchnął. Co to miało znaczyć? Olina, ten wół, nie umie snadź rachować do szesnastu. Rzekł więc do niej gniewnie:

— Coś ty znowu naplotła, przecie jest szesnaście kóz!

— Naprawdę szesnaście? — zapytała naiwnie.

— Ano, tak, tak.

— Tak, jak widzę, dobry z ciebie rachmistrz.

Olina odpowiedziała spokojnie, choć niby obrażona:

— Ano, jeżeli kozy są wszystkie, to widać Olina, dzięki Bogu, żadnej nie pożarła. Bardzom z tego rada!

Był to fortel, którym chciała uśpić jego czujność. I uśpiła. Izak nie przeliczał już swego inwentarza, ani kóz, ani nawet owiec. Olina — tak myślał teraz — nie była widocznie taka zła, prowadziła mu jako tako gospodarstwo domowe, oprzątała bydło, jeno głupia była bardzo, ale głupotą swoją szkodziła sobie, a nie jemu. Niechajże pozostanie na osiedlu, niech tam! Ale w warunkach takich być Izakiem było rzeczą smętną i ponurą.

⁸⁴sásiek — wydzielona część stodoły, w której przechowuje się siano, zboże lub słomę. [przypis edytorski]

Minęły lata. Dach chaty porósł trawą, a nawet dach stodoły, mimo że stodoła powstała o kilka lat później. Stała mieszkanka tych lasów, mysz polna, dawno już odbywała swój triumfalny wjazd do spiżarni Izakowej. Sikorek tudzież innego ptactwa było na osiedlu zatrzęsienie. Na hali były głuszce⁸⁵, a nawet przyciągnęły wrony i sroki. Największa jednak osobliwość przytrafiła się zeszłego lata. Oto znad wybrzeża morskiego nadleciały mewy i zapadły na gruncie Izaka. Tak znane stało się osiedle wśród stworzenia wszelakiego! I co sądzicie, jakie myśli zrodziły się na widok mew w Elizeuszu i małym Sywercie? O, były to dziwne ptaki, z dalekich stron, bardzo nieliczne. Ogółem było ich sześć sztuk, wszystkie białe, wszystkie do siebie podobne. Spacerowały po polach, skubiąc niekiedy trawę.

— Ojciec, czemu one tu przyleciały? — pytali chłopcy.

— Bo na morzu zanoszą się, widać, na burzę.

Ach, jakże dziwne i tajemnicze były owe mewy!

I wiele innych pożytecznych wiadomości udzielił Izak swym dzieciom. Byli teraz w wieku szkolnym, ale szkoła znajdowała się w dolinie, we wsi, bardzo daleko, dlatego niedostępna. Niedziela to jedyny dzień nauki chłopów; w niedzielę Izak wkuł w ich mózgownice abecadło. Do wyższych nauk wszelako Izak nie dorósł, był to przecież rolnik z zawołania. To było też powodem, że katechizm i „bibliczka” spoczywały spokojnie na policy obok serów kozich. Jakże były myśli Izaka o wychowaniu? Ano snadź te, że brak mądrości książkowej daje człowiekowi do pewnego stopnia siłę. Chłopcy owi to radość jego nieopisana. Izak często myślał o tym, jak to Inger zabraniała mu dotykać się ich, ponieważ ręce jego powalane były żywicą. O, żywica, najczystsza w świecie! Dziegieć⁸⁶ i mleko kozie, i na przykład mięksiz — to rzeczy równie zdrowe jak wyborne, ale żywica, żywica jodłowa — o, nie mówcie o niej!

Tak tedy hodowały się dzieci w raju brudu i nieświadomości, ale były to ładne dzieci, zwłaszcza gdy się umyły. Wprawdzie nieczęsto się to zdarzało, ale zdarzało się. Sywert, o, to był chwyt nad chwaty, Elizeusz natomiast był usposobienia bardziej delikatnego i głębszego.

— Tak, ale skąd mewy wiedzą, że ma być burza? — zapytał.

— Czują to w kościach, czy coś takiego — odparł ojciec. — To jest ich choroba, taką samą chorobę mają przed burzą muchy. A pamiętajcie, much nie należy zabijać! A giez to znów wcale co innego, on umiera sam w sobie. Pewnego dnia latem przyleci taki gzik całkiem niespodzianie i ani się spodziewasz, już go nie ma!

— A gdzie się podziewa? — zapytał Elizeusz.

— Gdzie się podziewa? Tłuszcz w nim tężęje i dlatego zdycha!

Co dzień więcej uczoności. Zeskakując z wysokich głazów skalnych mieli chłopcy pilnować przede wszystkim języka, aby nie dostał się między zęby. Gdy podrosną i idąc do kościoła, będą chcieli ładnie pachnąć, niechaj się natrą miętą, która rośnie na hali. Ba, ojciec był człkiem mądrym. Opowiadał chłopcom o kamieniach i krzemieniu oraz że biały kamień jest twardszy od szarego; znalazłszy jednak krzemień, trzeba poszukać i huby, następnie należy hubę ugotować w ługu, żeby uzyskać hubkę do krzesania ognia⁸⁷. Opowiadał im o księżycu i tak im tłumaczył: jeżeli w półksiężyc mogą włożyć lewą rękę, księżyc przybywa, jeżeli zaś mogą włożyć rękę prawą, wtedy księżyc ubywa.

— Zapamiętajcie to sobie, chłopcy!

Czasami jednak Izak zapuścił się za daleko i wtedy stawał się tajemniczy i niezrozumiały: pewnego razu wygłosił zdanie, że łatwiej wielbłądowi dostać się do nieba, niż człowiekowi przeleźć przez ucho igły⁸⁸. Innym razem, opowiadając o świetności aniołów,

⁸⁵głuszce — duży ptak z rodziny kurowatych. [przypis edytorski]

⁸⁶dziegieć — gęsta, smolista substancja o charakterystycznym, przykrym zapachu, używana do celów leczniczych oraz do impregnacji materiałów, uszczelniania beczek, jako smar, klej itp., wytwarzana dawniej przez węglarzy przez wypalanie węgla drzewnego w kopcach ziemnych. [przypis edytorski]

⁸⁷hubka do krzesania ognia — zanim zapalki stały się powszechnie stosowane, do rozniecania ognia używane było krzesiwo (kawalek żelaza wygięty w formę łuku), krzemień (skałka), o którą uderzano krzesiwem, tak by powstały iskry, i hubka (sproszkowany i wysuszony miąższ huby, drzewnego grzyba). By wzniecić ogień należało tak trzeć krzesiwo o krzemień, by iskry spadały na hubkę, która jest łatwopalnym proszkiem, a gdy ta zaczęła się tlić, dodawać inne łatwopalne materiały. [przypis edytorski]

⁸⁸łatwiej wielbłądowi dostać się do nieba, niż człowiekowi przeleźć przez ucho igły — przekręcone biblijne słowa Jezusa (Mt 19, 24): „Łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne niż bogatemu wejść do królestwa niebieskiego” (tłum. BT). [przypis edytorski]

powiedział, że aniołowie zamiast podkówki mają poprzybijane do butów gwiazdy. — Była to nauka naiwna, szczerą, w sam raz dla osiedla. Pan nauczyciel ze wsi wyśmiałyby ją, na wyobraźnię przecież dzieci Izaka działała dość silnie. Wychowywano je i poduczano dla własnego ich małego światka, czegoż więcej było potrzeba? Czymś niepomiernym było dla chłopców bicie jesienne; lęk straszny cierpieli o bydłatka przeznaczone na rzeź, a serca ich przepełniał rzewny smutek. Izak oto jedną ręką przytrzymywał bydlaczka, a drugą dźgał, Olina zaś zbierała krew do garnka. Tym razem wyprowadzono sędziwego capa, biały był i brodaty; chłopcy ukryli się za węglem chaty i spozierali ciekawie.

— O, jaki dziś wiatr paskudny — rzekł Elizeusz i odwrócił się, i kulakiem ocierał oczy.

Sywert płakał mniej skrycie, nie umiał opanować swej żalości i zawołał:

— Ach, ty biedny, stary capie!

Po zakłuciu kozła Izak przystąpił do chłopców i taką dał im naukę:

— Podczas bicia bydła nie trzeba się nigdy głośno litować, bo przez to powiększa się jeno męczarnię ofiary. Zapamiętajcie to sobie, chłopcy!

Tak tedy mijały lata i oto znowu miało się na wiosnę.

Inger znowu pisała; donosiła, że w zakładzie dobrze jej się dzieje i że bardzo dużo się uczy. Jej dziecina wyrosła już na dużą dziewczynkę, imię jej Leopoldyna, już od drugiego dnia po urodzeniu, czyli od 15 listopada. Umie ona wszystko i jest prawdziwą mistrzynią w szyciu i szydełkowaniu.

Jedną posiadał osobliwość list ostatni: Inger napisała go własnoręcznie. Izak nie był tak w piśmie uczony, poszedł więc do sklepikarza we wsi, który mu list wolno i głośno odczytał. Ale wtedy też Izak zapamiętał sobie każde słowo, a wróciwszy do chaty umiał go na pamięć.

Teraz oto zasiadł uroczyście przy stole, rozpostarł list i odczytał go swym chłopcom. Niech widzi Olina, jak on płynnie umie czytać pisane, ani słowem jednak nie odezwał się do niej. Gdy skończył czytanie, rzekł:

— Jakżeście tedy słyszeli, ty, Elizeuszu, i ty, Sywercie, list ten pisała wasza matka własną ręką i nauczyła się wielu mądrych rzeczy. A wasza mała siostrzyczka umie dziś już więcej niż my wszyscy razem. Zapamiętajcie to sobie, chłopcy!

Chłopcy siedzieli jak trusie i okrutnie się dziwowali.

— Tak, to aż dziwno — rzekła Olina.

Co właściwie chciała przez to powiedzieć? Czy nie dowierzała pisaniu Inger? Czy też nie wierzyła Izakowemu czytaniu? Rzecz niełatwa odkryć prawdziwe oblicze Oliny, zwłaszcza gdy przykucnęła i z uśmiechem słodkim gadała dwuznaczniki. Izak postanowił nie zważać na nią.

— A gdy wasza matka powróci, nauczycie się także pisać — rzekł do chłopców.

Olina przewiesiła kilka łachów suszących się przy piecu, posunęła kociołek tu i tam, a głośno, jakby go rozbić chciała, suszące się łachy przewiesiła na nowo i w ogóle udawała bardzo zapracowaną. Lecz przez cały ten czas zawzięcie rozpamiętywała.

— Skoro potem tu w borze ma być tak wspaniale, to należało kupić choćby z pół funta⁸⁹ kawy — wycedziła nareszcie.

— Kawy? — rzekł Izak, a słowo to wymknęło się mu mimo woli.

Olina odpowiedziała spokojnie:

— Do tego czasu kupowałam ją za własne pieniądze.

Kawa to dla Izaka coś jakby marzenie niedościgłe lub baśń, jakby tęcza cudna! Olina oczywiście kłamała, nie gniewał się na nią. W końcu jednak przypomniał sobie handel zamienny Oliny z Lapończykami i dlatego rzekł gniewnie:

— Tak, kupię ci kawę! Tylko pół funta chciałaś? Czemu nie funt od razu! Naturalnie, że kupię funt, albo lepiej dwa funty.

— Nie potrzebujesz tak ze mnie kpić, nie, to niepotrzebne — odpowiedziała. — Brat mój, Nils, ma kawę i Bredowie na dole mają kawę.

— Tak, bo nie mają mleka, ani krzty mleka.

⁸⁹ *funt* — dawna jednostka wagi, równa ok. 0,5 kg. [przypis edytorski]

— Ano, tego ja nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Ale ty jesteś taki mędrzec, co to pisane umiesz czytać tak, jak reniferzyca umie biegać, ty przecie powinienes wiedzieć, że kawę piją dziś we wszystkich chałupach.

— Podła! — rzekł Izak.

Wówczas Olina siadła na ławie i żadną miarą nie chciała zamilknąć.

— A co się tyczy Inger — powiedziała — jeżeli w ogóle wolno mi mówić tak dostojne słowo...

— Możesz czekać, co ci się żywnie podoba, nic mnie to nie obchodzi.

— Ona powróci tu wielce uczona. Pewnie perły i pióra będzie miała na kapeluszu?

— Ano, pewnie, że tak.

— Tak, tak — rzekła Olina — wszystko to ma do zawdzięczenia mnie.

— Tobie? — przerwał Izak.

Olina odparła pokornie:

— A bo to moja skromna zasługa, że się stąd wydostała.

Na to wyznanie Izak zamilkł. Słowa uwięzły mu w gardle, siedział cicho i patrzył przed się zdretniały. Czy dobrze słyszał? Olina wyglądała tak, jakby nic takiego nie była powiedziała. Ano, Izak nie był urodzony do walki na słowa.

W ponurym usposobieniu wyszedł z izby i długo wałęsał się w polu i lesie. Olina, to bydlę, co to złością się żywiła i od niej tyła, o, głupio zrobił, że w pierwszym zaraz roku nie zabił jej.

Tak sobie myślał i chłostał się w myślach. Był do tego jakby stworzony, myślał dalej. On — do tego? O, tak, nikt by go nie przewyższył w okrucieństwie.

I teraz zdarza się coś prawdziwie zabawnego. Idzie do stajni i liczy swe kozy, są wszystkie. Liczy krowy, świnię, kur czternaście, dwa cielce.

— Hej, a o owcach byłbym prawie zapomniał! — mówił do siebie głośno.

Liczy więc owce i udaje wielce zaciekawionego, czy istotnie są wszystkie. Izak wie doskonale, że brak jednej, ba, wie o tym już od dawna. Po co więc cała ta komedia? Sprawa tak się miała: Olina, twierdząc ongi, że brak jednej kozy, wystrychnęła go na dudka. Wówczas też postawił się jak należy i strzelił kulą w płot. Klótnia z Oliną — trud daremny. Gdy jesienią zabierał się do bicia, zauważył natychmiast, że brak jednej maciorki, lecz wtedy zabrakło mu odwagi do natychmiastowego porachunku, a później odwagi też nie stało⁹⁰.

Dziś atoli⁹¹ jest odważny, tak, dziś Izak jest odważny, Olina go rozsierzdziła. Jeszcze raz przelicza owce, liczy na palcach i głośno. Niech Olina słyszy, jeżeli tam gdzieś stoi w pobliżu i nasłuchuje. I głośno, prawie krzycząc, lży Olinę, co się zmieści. Olina, to szczwane nasienie złodziejskie, czy ona to rozumie? O, niech sobie Olina stoi pod drzwiami, niech słucha i niech się diablo strzeże!

Teraz idzie do koni i przelicza je. Stąd zamierza udać się do chałupy i wygadać się. Spieszy się, jest wściekły. Lecz Olina, zauważywszy snadź przez okno to i owo, wychodzi z chaty najspokojniej w świecie, w ręku dzierży dwa skopki⁹² i zmierza prosto do stajni.

— Coś zrobiła z maciorką z rozpląszczonymi uszami? — zapytał.

— Z maciorką?

— Tak, i gdybyś nie była jej prehandlowała, byłaby teraz miała dwa jagnięta. Coś z nią zrobiła? Ona zawsze miała parę jagniąt. W ten sposób wzięłaś mi trzy owce, słyszysz?

Takie oskarżenie! Olina jest całkiem zgnębiona, och, po prostu złamana. Głowę chwile bezradnie w lewo i prawo, nogi uginają się pod nią bezsilnie, słania się, jakby lada chwila miała runąć. Ale jej chytry mózg pracuje bez przerwy, przytomność umysłu nigdy jej nie opuszczała i ratowała ją w każdej opresji.

— Kradnę kozy i owce kradnę — odezwała się nareszcie spokojnie. — Chciałabym wiedzieć, co mi po nich. Może je pożeram?

— Tak, ty najlepiej wiesz, co z nimi robisz!

— Tak, musiałabym kraść, gdybym w twoim domu głodowała, gdybyś mi szczędził jedzenia i picia, ale tego wszystkiego mam w bród u ciebie. Na co mi kraść?

— Ale co stało się z maciorką? Może ją dałaś Os-Andersowi?

⁹⁰nie stało (daw.) — nie wystarczyło; brakło. [przypis edytorski]

⁹¹atoli (daw.) — jednak. [przypis edytorski]

⁹²skopek — drewniane naczynie na mleko. [przypis edytorski]

— Os-Andersowi? — Olina stawia pospiesznie skopki i składa ręce na piersiach. — Żeby tak bez grzechu była! Co ty gadasz o jakiejś maciorce z jagniętami? Może ta koza ze splaszczonymi uszami?

— Jędz! Ty! — zgrzyta Izak i zabiera się do odejścia

— Izak, z ciebie jest przecie dziwak. Tak dużo już masz wszelakiego bydełka, a wciąż ci mało! Skąd ja mogę wiedzieć, o jaką maciorkę ci chodzi? Na klęczkach powinieneś dziękować Panu Bogu za tyle dobroci. Niech jeno lato minie i trochę zimy, a owce twoje znowu się okocą i będziesz miał wtedy trzy razy tyle co teraz!

A niechże ją, tę Olinę!

Izak odszedł, mrucząc niby niedźwiedź.

— Jaki osieł ze mnie, że zaraz pierwszego dnia jej nie zabiłem! — rzekł do siebie ze złością. — Tak, tak, osieł ze mnie, głupiec i świnia! Ale jeszcze nie za późno, poczekaj, niech jeno do stajni zajdzie! Nie byłoby dobrze zaczynać z nią dzisiejszego wieczora, ale jutro — będzie dobrze. Trzy owce stracone! Trzy owce! Ano, kawa!

X

Następny dzień był dniem wielkiego zdarzenia: na osiedle przybyli goście, przyszedł Geissler. Na torfowiskach daleko jeszcze było do lata, ale Geissler nie dbał o stan drogi, przybył pieszo w pięknych, lakierowanych butach z cholewami, na rękach miał żółte rękawice, wyglądał imponująco. Parobek ze wsi niósł za nim walizę.

Przybywa nareszcie, żeby kupić kawał góry Izakowej, górę miedzianą, ile żąda za nią? Zresztą przywozi pozdrowienia od Inger — dzielna kobieta, bardzo lubiana; był w Trondheim i rozmawiał z nią.

— Jak widzę, toś tu wcale nie próżnował!

— Ano. Tak, to pan rozmawiał z Inger?

— Cóż tam znowu nowego? Zbudowałeś młyn? I młynarzujesz u siebie? Doskonale! Sporo znowu wykarczowałeś ziemi w ostatnich czasach. Paradnie⁹³!

— I dobrze jej się wiedzie?

— Tak, dobrze. Ach tak, twojej żonie! Tak, muszę ci coś powiedzieć. Chodź, pogadamy w komorze.

— Lepiej tu, w komorze nie jest tak ładnie — wtrąca się Olina, mając kilka ku temu powodów.

Mimo to jednak udali się do komory i zamknęli za sobą drzwi. Olina pozostała w izbie sama i nie zasłyszała ani słowa.

Sołtys Geissler siadł i trzepnął się kilka razy po kolanach, los Izaka dzierzył w swych rękach.

— Chyba nie sprzedałeś góry miedzianej? — spytał.

— Nie.

— Dobrze. Ja kupię. Tak, rozmawiałem z Inger i kilku innymi. Wkrótce zapewne będzie wolna, cała sprawa spoczywa teraz u króla.

— U króla!

— U króla. Poszedłem do twojej żony, wpuszcili mnie naturalnie bez trudności i gadaliśmy z sobą długo. — No, Inger, jakże ci tu, dobrze, naprawdę? — spytałem.

— Tak, nie mogę się na nic uskarżać.

— A nie tęsknisz za domem?

— Tak, bardzo.

— Niedługo pojedziesz do domu — powiedziałem. Tak, tak, Izaku, dzielna z niej kobieta, nie płakała, przeciwnie, cieszyła się i śmiała się, aha, wargę jej operowali i zaszyli. — No, bądź zdrowa — powiedziałem jej na odchodnym — już niedługo tu pobędziesz, daję ci słowo.

Potem udałem się do dyrektora, niechby tylko nie był mnie przyjął! I rzekłem:

— W więzieniu pańskim znajduje się kobieta, która właściwie dawno już powinna być na wolności, jest to Inger Sellanrå.

— Inger? — odpowiedział — Tak, to bardzo dobry człowiek, zatrzymałbym ją tu najchętniej na całe życie.

⁹³paradnie (daw., pot.) — świetnie, wyśmienicie. [przypis edytorski]

— Gadanie — rzekłem — ona już i tak za długo tu siedzi. Tak, znam ją gruntownie, byłem jej sołtysem.

Wtedy rzekł:

— Proszę, niech pan siada... Tak, bardzo się nią opiekujemy, tak samo jej córką. Tak, więc ona pochodzi z pańskiej gminy? Dopomogliśmy jej do nabycia własnej maszyny do szycia, nauczyliśmy ją różności pożytecznych, porządnego szycia, tkactwa, farbowania i kroju. I pan twierdzi, że ona tu już za długo siedzi?

Wiedziałem, co odpowiedzieć, ale naumyślnie nie odpowiedziałem, a jeno rzekłem:

— Tak, sprawa ta błędnie była przeprowadzona i dlatego trzeba ją będzie wznowić; teraz po rewizji ustawy karnej uniewinniono by ją z pewnością zupełnie. Przysłano jej zającą wtedy właśnie, gdy była w ciąży.

— Zająca? — spytał dyrektor.

— Tak, zająca. I dziecko urodziło się z zajęczą wargą.

Dyrektor uśmiechnął się:

— To tak. Pańskim zdaniem więc zwrócono na szczegół ten za mało uwagi?

— Gorzej — odparłem — bo go wcale nie poruszono.

— Myślę, że to nie była rzecz tak bardzo niebezpieczna.

— Dla niej była to rzecz bardzo niebezpieczna.

— Czy pan sądzi, że zając może robić cuda?

Odpowiedziałem:

— Panie dyrektorze, nie mam zamiaru gawędzić z panem o tym, czy zając może robić cuda czy nie. Rzecz cała w tym, jakie wrażenie w pewnych okolicznościach może wywrzeć widok zająca na kobietą oszpeconą zajęczą wargą!

Dyrektor zastanawiał się przez chwilę, po czym rzekł:

— Rozumiem, ale rzeczą zakładu jest umieszczanie zasądzonych, a nie rewizja wyroków. Według wyroku Inger nie siedzi tu za długo.

Teraz dopiero wystrzeliłem tym, co miałem w zanadrzu.

— Podczas uwięzienia Inger Sellanrą dopuszczono się wielu błędów.

— Błędów?

— Po pierwsze, przetransportowano ją do więzienia, gdy była w stanie odmiennym, a to jest rzecz niedozwolona.

Dyrektor spojrzał na mnie ostro i rzekł:

— To prawda. Ale to nie wina zarządu więziennego.

— Po wtóre, zarząd więzienia nie potrzebował był nawet dwu miesięcy, żeby ujrzeć, w jakim Inger znajduje się stanie.

To zrobiło swoje. Dyrektor milczał długo.

— A posiada pan odpowiednie pełnomocnictwo? — spytał.

— Oczywiście — odparłem.

— Jak powiedziałem, z Inger mamy tu dużo pociechy i odpowiednio też do tego ją traktujemy — paplał dyrektor i znowu wyliczał wszystko, czego się tam Inger nauczyła, ba, nauczyli ją nawet czytać i pisać. A córkę oddali do bardzo porządnej rodziny na wychowanie i tak dalej.

Wyjaśniłem mu, w jakich warunkach żyje rodzina jej: że jest dwóch małych chłopaków, że wynajęliście pomocnicę do opiekowania się dziećmi i domem i tak dalej.

— Mam przy sobie podanie jej męża — powiedziałem — można będzie dołączyć je bez względu na to, czy wyrok będzie poddany rewizji, czy też wniesie się o ulaskawienie Inger.

— Może mi pan pokaże podanie — rzekł dyrektor.

— Przyniosę je panu jutro rano — odpowiedziałem.

Izak przysłuchiwał się uważnie, była to opowieść zachwycająca, brzmiała jakby baśń wschodnia. Czy jego przylgnęły po prostu do ust Geisslera.

Geissler opowiadał dalej.

— Powróciłem do hotelu, napisałem podanie i podpisałem jako Izak Sellanrą. I dnia następnego zaniósłem dokument.

— Proszę, niech pan siada! — rzekł dyrektor zaraz, gdy mnie zobaczył. Zaczął czytać moje podanie, raz po raz kiwnął głową, a w końcu zawołał: — Doskonale! Wprawdzie nie wystarcza to do wznowienia sprawy, ale...

— O, najzupełniej wystarczy, z tym naturalnie załącznikiem — powiedziałem i wręczyłem mu drugie pismo. To znowu zrobiło swoje. Dyrektor rzekł teraz pospiesznie:

— Wczoraj jeszcze zastanawiałem się nad całą sprawą i znalazłem dosyć powodów i argumentów do złożenia prośby o ulaskawienie.

— Którą w danym razie pan poprze? — spytałem.

— Ma się rozumieć, poprę jak najgoręcej.

Ukloniłem się i powiedziałem:

— W takim razie ulaskawienie jest pewne. Dziękuję panu w imieniu nieszczęśliwego męża i opuszczonego domu.

— No, Izaku, teraz wiesz już wszystko. — Geissler spojrzał na zegarek. — A teraz do sprawy! Pójdziesz ze mną na górę miedzianą?

Izak to człek kamienny i kłocowaty, nie umie się tak szybko przerzucać z jednej sprawy do drugiej. Siedział zachwycony i nie ruszał się z miejsca. Pytał jeszcze o to i owo. I dowiedział się, że prośbę wysłano wprost do króla i że niebawem nastąpi rozstrzygnięcie.

— Prawdziwy cud! — rzekł Izak.

Poszli na stok górski, Geissler, jego tragarz i Izak. Kilka godzin tam zabawili. W krótkim tym czasie Geissler zbadał bieg żyły miedzianej na dalekiej przestrzeni i oznaczył granicę części, którą zamierzał kupić. Uwijał się niby łasica. Ale nie był to człek głupi, jego nagle, piorunujące decyzje były zastanawiająco trafne.

Powróciwszy do chałupy z workiem nowych prób kruszczowych, kazał sobie podać pióro, atrament i papier i zasiadł do pisania. Pisał błyskawicznie, ale z przerwami wtedy gawędził.

— Tak, tak, wiele tym razem nie dostaniesz za swoją górę, ale kilkaset zapłacę ci w każdym razie! — Po czym znowu pisał. — A przypomnij mi, żebym młyn twój obejrzał przed odejściem — rzekł. Potem spostrzegł jakieś niebieskie i czerwone kreski na krosnach i zapytał: — Kto to rysował?

Patrzcie jeno, Elizeusz narysował konia i kozła, nie miał papieru, przeto próbował swego ołówka na ramie krosien, na ławkach i nogach stołowych.

— Wcale nieźle zrobione — oświadczył Geissler i dał Elizeuszowi srebrną koronę.

I znowu zabrał się do pisania, pisał i pisał, po czym rzekł:

— Pustkowie przyciągnie pewnie wkrótce nowych osadników!

— Już przyciągnęli — wtrącił tragarz.

— Kto taki?

— Najpierw przyciągnął Brede...

— Ach, ten! — uśmiechnął się Geissler lekceważąco.

— Tak, a później kilku innych jeszcze kupiło tu ziemię i lasy.

— Żeby tylko byli coś warci — rzekł Geissler.

A ponieważ w tejsze chwili spostrzegł w izbie i drugiego chłopca, przeto przyciągnął go do siebie i dał mu również koronę. Osobliwy człek z tego Geisslera! Czy miał teraz jakby nieco zaognione, okrażone były czerwoną obwódka. Powodem tego mogły być noce bezsenne, czasami jednak pochodzi to podobno z nadmiaru alkoholu. Lecz w tej chwili nie robił wrażenia pijanego. O wszystkim gadając, myślał z pewnością bez przerwy o swym dokumencie, bo nagle porwał za pióro i znowu pisał.

Teraz, zdaje się, ukończył swe pisanie. Zwrócił się do Izaka:

— Tak, jako się rzekło, nie wzbogacisz się na tym interesie. Ale zobaczmy, Spiszemy taką umowę, żebyś później więcej dostał. Tymczasem dam ci dwieście.

Izak niewiele z tego wszystkiego rozumiał, ale dwieście talarów to był w każdym razie nowy cud i zapłata wręcz królewska. Mimo wszystko myśl jego zaprzętało coś całkiem innego.

— I wierzy pan, że będzie ulaskawiona? — zapytał.

— Twoja żona? Gdyby we wsi był telegraf, zapytałbym zaraz w Trondheim, czy już ją wypuścili.

Izak słyszał już coś niecoś o telegrafie; było to coś wielce osobliwego — drut na wysokich drągach, coś nadziemskiego. I w tejsze chwili wpęzło do jego serca jakby niedowierzanie wielkim słowom Geisslera. I dlatego wtrącił nieśmiało:

— A jeżeli król prośbę odrzuci?

— Wtedy poślę mój memoriał⁹⁴ i będą musieli twoją żonę uwolnić. Bądź spokojny, mnie możesz wierzyć!

Potem przeczytał głośno dopiero co spisany kontrakt kupna góry:

— Dwieście talarów zaraz, a później, po uruchomieniu kopalni lub dalszej transakcji odpowiednio wysokie procenty. Masz, podpisz tu! — rzekł Geissler.

Izak byłby podpisał natychmiast, ale nie był on biegły w piśmie. Ach, i na dobitkę szkaradna Olina stała w kącie i wytrzeszczała swe gały! Chwycił za pióro — zgroza, jakie to lekkie! Jeden koniec pochylił ku dołowi i pisał — pisał swe imię. Potem Geissler jeszcze coś dopisał, przypuszczalnie jakieś zaświadczenie, a jako świadek podpisał się tragarz.

Gotowe.

Lecz Olina wciąż jeszcze stała w miejscu jak wryta. Co się to stało?

— Olino, podaj jadło! — rzekł Izak; od chwili, jak pisał na papierze, stał się może trochę zarozumiały. — Ano, musi pan się zadowolić tym, co jest! — rzekł do Geisslera.

— Ho, ho, czuję mięso i rosół! — mówiąc to, wydobyl pękaty portfel, wyjął dwie paczki banknotów, przeliczył je i na stół położył: — Przelicz, czy się zgadza!

Milczenie. Cisza.

— Izak! — zawołał Geissler.

— Tak. Ano — rzekł Izak i bełkotał oszołomiony: — Tak nie... ja ich nie wezmę... po tym wszystkim, co pan dla nas zrobił...

— Bierz i kwita — przerwał Geissler. — Mam nadzieję, że kiedyś dostaniesz znacznie więcej.

Wtedy Olina ocknęła się. Dziw nad dziwy!... Podała wienzerę.

Następnego dnia rano Geissler podszedł ku rzece i obejrzał młyn. Małe to było i zbudowane niezdarne, ale mocne i użyteczne. Izak zaprowadził swego gościa także nieco dalej w górę rzeki i pokazał mu drugie porohy⁹⁵, gdzie również zaczął już pracować; jeśli Bóg zachowa go przy zdrowiu, zbuduje tam tartak.

— Z jednym tylko bieda, że tak daleko mamy do szkoły — rzekł — będę musiał oddać chłopaków na stancję we wsi.

Ruchliwy Geissler i tu nie widział tak wielkich trudności.

— Teraz właśnie osiedla się na pustkowiu coraz więcej przybyszów, dostaniecie więc i szkołę.

— Tak, ale kiedy? Moi chłopcy tymczasem wyrosną.

— A co by to szkodziło, gdybyś ich w dolinie umieścił? Zawieziesz chłopaków z prowiandami do wsi i po trzech albo sześciu tygodniach przywieziesz ich z powrotem, przecie to fraszka dla ciebie.

— Ano.

Tak, właściwie była to fraszka wobec powrotu Inger. Miał chatę i gospodarstwo, żywności pod dostatkiem i wiele innych ładnych rzeczy, a teraz miał i dużo pieniędzy, i w dodatku żelazne zdrowie. O, to zdrowie, silne i pod każdym względem niestępiene, zdrowie człeka spiżowego!

Po odejściu Geisslera opadły Izaka myśli butne. Tak jest, ponieważ pocziwy Geissler zapowiedział na odchodnym, że przyśle mu niebawem wiadomość telegraficzną o Inger. „Za czternaście dni możesz się zgłosić na dole na poczcie po telegram” — powiedział. Już to samo było czymś wielkim. Teraz też zabrał się Izak do urządzania ławy na wozie. Zaiste, ławy wygodnej, którą by można zdejmować do roboty w polu, a zakładać na drogę do wsi. Wykończywszy, pomalowali ją na ciemno. A oprócz tego ileż było jeszcze do zrobienia! Pomalować należało wszystkie budynki gospodarskie. A czyż od dawna już nie nosił się z zamiarem wybudowania jeszcze jednej dużej stodoły z klepiskiem? I czyż nie zamierzał wykończyć w najbliższym czasie tartaku, aby zdobyć jak najwięcej desek? Wszakże pragnął ogrodzić całą swoją zagrodę, a nadto zbudować chciał łódź, potrzebną na jezioro górskie.

⁹⁴memoriał (z łac.) — oficjalne pismo zawierające wyjaśnienie sprawy lub uzasadnienie prośby. [przypis edytorski]

⁹⁵poroh — naturalna zapora skalna na rzece, uniemożliwiająca swobodną żeglugę. [przypis edytorski]

Wiele czekało go roboty. Ale nic na to nie poradzi; choćby pracował dzień i noc, nie starczy czasu. Ani się spostrzegł, a już przeszła i jedna, i druga niedziela.

Co najmniej jednak chciał pomalować budynki. Były przecież takie odrapane i szare, takie biedne. Jeszcze był czas na roboty w polu, wszakże ziemia wszędzie jeszcze zamrznięta.

Izak pakuje kilka mendli jaj na sprzedaż, schodzi do wsi i wraca z farbą. Starczyło jej na jeden zaledwie budynek: na stodołę; pomalował ją na czerwono. Przyniósł nową farbę i żółtą ochrę dla pomalowania chaty.

— A co, nie mówiłam, tu robi się teraz coraz więcej po pańsku — mruczy Olina co chwila.

O, Olina, ona nie w ciemną bita, miarkuje doskonale, że kończą się jej dobre czasy na Sellanrâ; miała w sobie dosyć odporności i siły, aby się z tym pogodzić, ale obojętne to jej nie było. Izak ze swej strony przestał ją kontrolować, jakkolwiek w ostatnim czasie rzetelnie go okradała i oszukiwała. Ba, nawet młodego barana jej darował, przecież wysługiwała mu się dość długo i za nędzną płacę. Zresztą dla dzieci jego nie była zła; nie była wprawdzie ostra i uczciwa i tym podobne, ale postępowała wobec dzieci wygodnie dla siebie i dla nich, rozmawiała z nimi, odpowiadała. Gdy przybiegli w czasie robienia sera, wolno im było próbować i zjadać się, a gdy którejś niedzieli usiłowali drapnąć przed myciem, nie goniła ich.

Izak podążył jeszcze raz do wsi po farbę. Pomalował gruntownie wszystkie budynki: stodołę, szopę, stajnię, chatę; okna i spoiny pomalował białą farbą. Gdy wracał teraz ze wsi i spoglądał z hali w górę ku swemu domostwu, zdawało mu się, że tam zaklęty zamek się wznosi, prawdziwy zamek z baśni! Zabudowane było pustkowie i zmienione nie do poznania, spoczęło na nim błogosławieństwo, z odwiecznego snu powstało życie, ludzie tam żyli i dokoła domów bawiły się dzieci. Hen, w górę, aż do szczytów niebieskich rozciągał się wielki, piękny las.

A gdy Izak któregoś dnia znowu zaszedł do kupca, zastał zaadresowany do siebie list. List w niebieskiej kopercie z herbem państwa kosztował 10 öre. Był to telegram, przesłany do wsi w liście pocztowym. Telegram od sołtysa Geisslera. Ach, ten Geissler, co to jednak za osobliwy człek! Donosił krótko: „Inger wolna, przyjedzie wkrótce. Geissler”.

Teraz atoli Izakowi zaćmiło się w oczach, wszystko zaczęło kołować i tańczyć dokoła niego; lada i obecni — wszystko to wydłużało się dziwnie i uciekało, uciekało hen, w przepaść bezdenną. Nie słyszał, co do niego mówią, słów własnych nie słyszał, czuł je tylko, o, czuł głęboko, gdy mówił:

— Bogu najwyższemu dzięki i chwała!

— Jeżeli wczoraj rano wyjechała z Trondheim, może być tu jutro rano — objaśnił kupiec.

— Tak — rzekł Izak.

Zatrzymał się we wsi do następnego dnia. Szalupa przyjechała wprawdzie, przywiozła transport pocztowy ze stacji żeglugi parowej, lecz Inger tam nie było.

— W takim razie może przyjechać nie wcześniej jak dopiero za tydzień — rzekł kupiec.

To i dobrze, prawie dobrze, że tyle jeszcze pozostaje czasu, bo Izaka czeka bardzo dużo roboty. Czyż miał zapomnieć o świecie całym i o swych polach? Przeto wraca i mierzwę⁹⁶ nawozi. Z tym szybko się uporał. Słońce teraz mocne i wielkie. Zniknął śnieg, zieleni się wszędzie, ze stajni wypuszczono bydło. Jednego dnia orze, następnie sieje ziarno i sadi ziemniaki. Chłopacy pomagają przy ziemniakach, ich ręce jakby anielskie, takie zręczne, zręczniejsze od ojcowskich.

Następnie Izak wóz w rzecę ochędożył i ławę na nim przytwierdził. Potem opowiedział dzieciom o wycieczce, jaką odbyć musi do wsi.

— Alboż tym razem nie pójdziesz, ojciec, na piechotkę? — spytali.

— Nie, tym razem pojedę.

— My byśmy też chcieli jechać.

⁹⁶mierzwa — tu: odchody zwierzęce, zwykle ze ściółką, używane jako naturalny, organiczny nawóz; gnój, obornik. [przypis edytorski]

— Nie, musicie być grzeczni i w domu czekać. Teraz przywiozę wam matkę i od niej dużo będziecie mogli się nauczyć.

Elizeusz więc myślał o tym, czego się od matki nauczy, i cieszył się, że będzie umiał pisać. Ale Sywercik — on wcale nie myślał o nauce i pisaniu, on marzył o siedzeniu na wozie, o powożeniu i jeździe szybkiej, co koń wyskoczy. On też tyle prosił i napierał się, i skomlał, że ojciec uległ i zabrał ich obu na wóz, i powiózł godny kawałek drogi. Potem chłopcy wrócili piechotą, a Izak pojechał dalej.

XI

Izak jedzie i zatrzymuje się w pobliżu „oka” trzęsawicy. Czarna, głęboka dziura w torfowisku, błękitna powierzchnia wody, gładka i nieporuszona; Izak wiedział, do czego ona przydatna — to było jego zwierciadło, innego nie używał. Patrzajcie, jak on dziś ślicznie ubrany, bardzo mu ładnie w jego czerwonej koszuli. Dobywa nożyc i przykładą do brody. Czyżby ten spiżowy człowiek był tak próżny i zamierzał teraz rozłączyć się ze swym od pięciu lat niestrzyżonym zarostem? Strzyże i strzyże, i przegląda się w wodzie. Rzecz oczywista, że mógł być uładzić się z tym w domu dziś rano, lecz bał się Oliny; już i tak dokazał wiele, ubierając się tuż przed jej nosem w czerwoną koszulę. Strzyże i strzyże, a kosmyki obficie spadają na zwierciadło. Koń zaczyna się niepokoić, wtedy i Izak przerywa swoją czynność. Dosyć tego. O, w rzeczy samej, czuje się znacznie młodszy. — Tam do licha, był teraz niczego sobie, stał się o wiele szykowniejszy.

Potem jedzie już prosto do wsi.

Następnego dnia przyjeżdża szalupa. Izak siedzi na skale obok szopy kupca i spoziera na pomost przystani, ale i tym razem Inger nie widać. Mocny Boże, podróżynych wysiadło dużo, dorośli i dzieci, ale Inger między nimi ani śladu. Izak zrazu trzymał się na uboczu, z dala siedząc na bloku skalnym. Teraz wszelako nie miał powodu do dalszego wyczekiwania, dlatego też podszedł ociężałym krokiem ku szalupie. Wciąż jeszcze wyładowywano skrzynie beczki, wysiadali przyjezdni, wynoszono paczki i listy, ale swojej Inger Izak nie widział. Zauważył natomiast pewną kobietę z dziewczątkiem stojącą już przy szopie przystani, lecz owa kobieta była ładniejsza od Inger, jakkolwiek Inger brzydka nie była. Ale cóż to, przecież to Inger!

— Hej, mocny Boże! — rzekł Izak i pobiegł w tamtą stronę.

Przywitali się; Inger powiedziała „dzień dobry” i podała mu rękę, zziębnięta nieco i błada po podróży i morskiej chorobie. Izak stał przed nią całkiem niemy, w końcu przemówił:

— Tak, pogoda bardzo ładna!

— Już z daleka cię zobaczyłam — rzekła Inger — ale nie chciałam się tłoczyć. Czy znalazłeś się tu przypadkiem?

— Tak. Hm.

— Zdrowi jesteście wszyscy?

— Tak, dzięki za pytanie.

— Oto Leopoldyna, ona w drodze o wiele mniej chorowała ode mnie. Popatrz, Poldynko, to twój ojciec, przywitaj się z ojcem.

— Hm! — rzekł Izak ponownie, dziwnie mu było na duszy, jakoś bardzo nieswojo, czuł się obco między nimi.

— Jeżeli zobaczysz na statku maszynę do szycia, wiedz, że to moja maszyna. A oprócz maszyny jest tam jeszcze moja skrzynia.

Izak pobiegł co prędzej — jakże chętnie się oddalił. Skrzynię marynarze wyszukali, ale co do maszyny, konieczna była pomoc Inger. Trudno ją było odnaleźć. Było to śliczne pudło nieznanego kształtu z uchem do niesienia. W tych stronach maszyna do szycia! Izak wziął skrzynię na plecy, a maszynę do ręki i rzekł:

— Zaniosę to naprzód do wsi, a potem wrócę zaraz i ją przeniosę.

— Kogo? — odparła Inger z uśmiechem. — Myślisz, że taka duża dziewczyna nie umie iść sama?

Szli więc razem, zbliżając się powoli do wozu i konia Izakowego.

— Kupiłeś sobie nowego konia? — spytała Inger. — O, i wóz masz z wygodnym siedzeniem?

— Tak, ma się rozumieć. Ale co właściwie chciałem powiedzieć? Może sobie podjesz trochę przed drogą? Zabrałem prowianty.

— Będzie na to dosyć czasu później, gdy znajdziemy się poza wsią — odpowiedziała.
— Jak myślisz, Poldynko, usiądziesz tam sama?

Ale ojciec sprzeciwił się temu stanowczo:

— Nie, mogłaby łącno⁹⁷ wypaść i dostać się pod koła. Siedź przy niej i sama powoź. Tak tedy ruszyli, a za wozem kroczył Izak.

Przyglądał się im ciekawie. Miał przed sobą Inger, naprawdę Inger, ale obcą z ubrania i wyglądu, noszącą się z pańska, bez wargi zajęczej, a tylko z czerwoną prążkiem na górnej wardze. Wymowa jej zupełnie czysta, nie syczała już jak ongi, i to właśnie było najdziwniejsze. Odwróciła się do niego i rzekła:

— Szkoda, żeś nie zabrał ze sobą kożuszka dla Poldynki; wieczorem może być zimno.

— Tymczasem może wziąć mój kaftan, a kożuszek znajdzie się, gdy zajedziemy do lasu; tam go zostawiłem.

— Tak, w lesie masz kożuch?

— Tak, nie wiedziałem, czy przyjedziecie, dlatego ukryłem go w lesie.

— Aha. A chłopcy zdrowi?

— Tak, dzięki za pamięć.

— Mogę sobie wyobrazić, jak w tym czasie wyrosli.

— Tak, niczego im nie brak. Teraz właśnie sadzili ziemniaki.

— Ach tak — rzekła matka zdziwiona — to oni już ziemniaki potrafią sadzić?

— Elizeusz sięga mi dotąd, a Sywert dotąd — odparł Izak, objaśniając ich miarę na swej posturze.

Poldynka odezwała się, była bardzo głodna. Ach, to rozkoszne małe stworzenie, wygląda na wozie niby biedroneczka! Mówiła dziwnie śpiewnie, w charakterystycznym narzeczcu trondhejskim; to i owo trzeba mu było tłumaczyć. Podobna była do chłopaków: te same piwne oczy i szerokie usta, które wszyscy troje odziedziczyli po matce. Wszyscy troje podobni byli do swej matki i tak właśnie było dobrze! Wobec córeczki czuł się Izak nieco onieśmielony, zwłaszcza na widok jej prawdziwie lilipucich trzewiczków, długich, wełnianych pończoch i krótkiej sukienki! Witając się z nieznanym sobie ojcem, ukłoniła się i podała mu swoją drobną rączkę.

Zajechawszy do lasu, zatrzymali się. Koniowi dali obroku, sami jedli, a Poldynka z kawałkiem chleba w ręku wyskakiwała wśród wrzosów.

— Niewiele się zmieniłeś — rzekła Inger, przyglądając się mężowi.

Izak, spoglądając w bok, odpowiedział:

— Tak myślisz? Ale z ciebie teraz prawdziwa pani!

— Ha, ha! Nie, przeciwnie, postarzałam się, ze mnie teraz staruszka — odparła żartobliwie.

Onieśmienie Izaka było widoczne, był powściągliwy, jakby zastraszony. Ile lat mogła mieć jego żona? Nie miała mniej niż trzydzieści, ale też nie więcej, wykluczone. I jakkolwiek Izak zajęty był jedzeniem, to przecież urwał gałązkę wrzосу i żuł ją równocześnie.

— Jak to, i wrzos jadasz? — spytała Inger, śmiejąc się.

Izak odrzucił gałązkę i wziął spory kęs chleba do ust, potem podszedł do konia i uniósł obie jego przednie nogi jednocześnie. Inger przyglądała się ze zdziwieniem, ujrzała, jak koń stanął na dwóch nogach.

— Czemu to robisz? — spytała.

— On taki łagodny — rzekł i puścił nogi końskie.

Czemu jednak to zrobił? — Zapewne z nadmiaru radości wewnętrznej. A może dlatego tylko, aby ukryć swe zakłopotanie. Po chwili ruszyli w dalszą drogę; wszyscy troje szli teraz pieszo obok wozu. Znaleźli się w pobliżu osady.

— Cóż to takiego? — zapytała Inger.

— Gospodarstwo Bredego, wkupił się tu.

— Brede?

— Tak, i nazywa się Bredablik! Dobrze tu torfowiska, ale lasu mało.

⁹⁷ łącno (daw., gw.) — łątwo. [przypis edytorski]

Przejechawszy przez osiedle, mówili na ten temat w dalszym ciągu; Izak przecież zauważył, że wóz Bredego wciąż jeszcze stał pod gołym niebem.

Dziecko było znużone i senne, ojciec przeto wziął je troskliwie na rękę i niósł. Wędrowali dalej, Poldynka wnet też zasnęła.

— Teraz możemy ją zawinąć w kożuch, ułożyć na wozie i niech sobie śpi — rzekła Inger.

— Na wozie bardzo się wytrzęsie — zauważył ojciec i niósł dziecko w dalszym ciągu.

Gdy już wydostali się z trzęsawisk i na nowo wjechali do lasu, wtedy Inger zawołała: „Prrrr!”. Zatrzymała konia, wzięła dziecko z rąk Izaka i oświadczyła, żeby odsunął skrzynię i maszynę do szycia i zrobił w ten sposób miejsce dla Poldynki na wozie. Izak jest posłuszny, otula córeczkę w kożuch i swoją kurtkę, złożoną na kilka części, podsuwa pod jej główkę. Potem jadą dalej.

Małżonkowie idą pieszo i gadają o różnych sprawach. Słońce świeci do późnego wieczora, jest ciepło.

— A gdzie też sypia Olina?

— W komorze.

— Aha, a chłopcy?

— W izbie, we własnym łóżku. W izbie stoją dwa łóżka tak samo jak wtedy, gdyś odeszła.

— Wciąż się tobie przyglądam — rzekła Inger — i widzę, żeś wcale się nie zmienił... I ciężary wszelakie dźwigałeś tu przez tyle lat, a ręce twoje wcale nie osłabły.

— O nie. Ale co ja to chciałem powiedzieć: czy miałaś tam dosyć dobrze przez cały ten czas? — O, Izak zadając to pytanie, był do głębi wzruszony, nawet mu głos zadrżał. Inger odpowiedziała, że owszem, nie może się żalić.

Nastąpiły teraz czułe między nimi zwierzenia i Izak zapytał, czy nie czuje się zmęczona i czy nie wołałaby jechać.

— Nie, dziękuję — odrzekła. — Ale nie wiem, co się ze mną dzieje, po przebyciu morskiej choroby jestem wciąż głodna.

— Może zjesz co?

— Owszem, ale czy to nie opóźni zbytnio naszego powrotu?

O, Inger! Ona na pewno nie była głodna, ale ona pragnęła mu czegoś użyczyć; wszakże ostatnio przerwał swój posiłek gałązką wrzосу... Ponieważ zaś wieczór był ciepły i jasny i daleka jeszcze czekała ich droga, przeto przystanęli i zaczęli jeść na nowo.

Inger wyjęła ze swej skrzynki jakąś paczkę i rzekła:

— Mam tu dla chłopców kilka podarków. Chodź, siądziemy tam naprzeciwko koło krzaków.

Usiedli pod krzakiem; Inger jęła⁹⁸ pokazywać owe podarki: śliczne szelki ze sprzączkami, zeszyty z wzorami pisma, dwa ołówki i dwa szczyryki. Dla siebie przywiozła książkę pierwszorzędną.

— Popatrz jeno, tu wypisano moje imię, jest to modlitewnik.

Otrzymała go od dyrektora na pamiątkę. Izak podziwiał wszystko cichymi słowy. Pokazała też szereg kołnierzy Poldynki, Izakowi zaś wręczyła szalik czarny i niby jedwab lśniący.

— To dla mnie? — spytał.

— Tak, dla ciebie.

Izak wzięła szalik do ręki i głaskał ostrożnie.

— Ładny?

— O, i jak jeszcze! W nim mógłbym chyba jechać i największego państwa.

Ale palce jego były tak szorstkie, że o osobliwy ten jedwab ustawicznie się zahaczały.

Wszystkie te śliczności zapakowała Inger z powrotem, przy czym jednak tak dziwnie jakoś usiadła, że odsłoniła swe łydki, ubrane w czerwono-pasiaste pończochy.

— Hm! Pewnie to pończochy miastowe? — spytał.

— Tak, nic fabryczna, ale ja sama je zrobiłam. A jakie one długie, sięgają aż tu, za kolana, popatrz jeno...

Wkrótce potem, tak, wkrótce potem już tylko szeptał jej się rozlegał:

⁹⁸jęć (daw., gw.) — zacząć; zabrać się do czegoś. [przypis edytorski]

— Och, ty... ty wciąż jeszcze całkiem ten sam jak dawniej!...

Po chwili jadą dalej, Inger siedzi teraz na wozie i powozi.

— Kupiłam także paczkę kawy — rzekła — ale dziś nie będziesz mógł jej spróbować, bo niepalona.

— Nie turbuj się tym — odpowiedział.

Niebawem też słońce zaszło i powiał chłód. Inger pragnie iść razem z Izakiem. Jeszcze szczerzej otulili Poldynkę i uśmiechają się, że tak długo śpi. I gawędzą sobie podczas dalszej wędrówki. Zaiste, prawdziwa przyjemność słuchać obecnie mowy Inger. Czyż może kto ładniej mówić od Inger?

— Ilu też dochowaliśmy się krów? Czy będzie ich ze cztery? — spytała.

— O nie, mamy już więcej — odparł z pewną dumą — mamy ich osiem.

— Osiem krów!

— Tak, i byczek także jest.

— I sprzedawaliście masło?

— Aha, i jaja też.

— Czy kury także mamy?

— Tak, rozumie się. I świnię.

Zdumienie Inger nie ma granie, własnym uszom nie dowierza i na chwilę zatrzymuje konia: „Prrrr!”. I дума Izaka rośnie jak na drożdżach, pragnie jeszcze więcej ją zadziwić.

— Geissler — rzekł — pamiętasz, Geissler był tu niedawno.

— Tak?

— Tak, i odkupił od nas kawał góry miedzianej.

— Tak, a co to takiego, góra miedziana?

— Góra z miedzi. Zajmuje ona całą północną stronę jeziora.

— Tak. I to jest coś, za co dostałeś pieniądze?

— Aha, Geissler człek honorowy, on za wszystko płaci.

— Ile dostałeś?

— Hm, nie uwierzysz wcale — dwieście talarów.

— Tyle pieniędzy dostałeś?! — wykrzyknęła Inger i znowu na chwilę zatrzymuje konia: — Prrrr!

— Aha, tyle dostałem. I za grunty też już dawno zapłaciłem.

— Ach, ty jesteś zadziwiający!

Wywołanie podziwu Inger i zrobienie z niej bogaczki, zaiste, to największa przyjemność, dlatego Izak dodał jeszcze, że nie ma ani grosza długu oraz że owych dwustu talarów od Geisslera nie tylko nie naruszył, ale przeciwnie, dołożył do nich jeszcze sto sześćdziesiąt. Mieli więc wszelki powód do składania Bogu dzięków. Mówili o Geisslerze i Inger opowiadała, jak on się starał o jej uwolnienie. Sprawa nie była łatwa, miał z nią dużo korowodów i często był u dyrektora. Oprócz tego wysłał wielkie pismo do ministerium i do innych władz, i to bez wiedzy dyrektora. Dowiedziawszy się o tym, dyrektor rozgniewał się i czuł się tym bardzo dotknięty. Nic dziwnego. Geissler jednak nie uląkł się, domagał się nowego śledztwa i nowej rozprawy, i wielu innych rzeczy. I wtedy zmusił króla do podpisania aktu ulaskawienia.

Były sołtys, Geissler, okazywał im zawsze bardzo wiele troskliwej dobroci i często też zastanawiali się nad tym, z jakiego powodu tak dużo dobrego im świadczył. I to za zwykłe podziękowanie! Niepojęte! Inger rozmawiała z nim w Trondheim, ale trudno jej było się pomiarkować.

— Wszyscy inni we wsi nie obchodzą go wcale — oświadczyła Inger.

— Powiedział to?

— Tak, jest po prostu wściekły na naszą wieś. Powiedział, że wieś go jeszcze popamięta.

— Hm.

— Powiedział też, że nieraz jeszcze będą żałować, że go się pozbyli.

Teraz właśnie wyjechali z lasu i oto oczom ich ukazuje się Sellanrå. Budynków obecnie więcej niż ongi, a wszystkie pięknie pomalowane. Inger trudno rozeznąć się, zatrzymuje nagle konia i woła:

— Chyba nie będziesz chciał wmówić we mnie, że tamto... to nasze!

Poldynka zbudziła się nareszcie i wygramoliła spod kożucha. Wypoczęta dreptała teraz z ojcem.

— Czy tam nasz dom? — zapytała.

— Tak, podoba ci się?

Przed chatą kręciły się małe postacie, byli to Elizeusz i Sywert, którzy stali na czatach i teraz oto poczęli biec naprzeciw jadącym. Inger napadło jakby nagłe przeziębienie i katar, poczęła kaszleć i pociągać nosem. Ba, katar snadź wszedł jej nawet do oczu, tak pełne były łez.

Lecz chłopcy, zbliżywszy się znacznie, stanęli nagle jak wryci. Zapomnieli już, jak wygląda ich matka, a małej siostrzyczki nigdy przecież nie widzieli. Ale ojciec? — Tak, poznali go wtedy dopiero, gdy stanął zupełnie już blisko nich. Nic dziwnego, wszakże obciążł olbrzymią swoją brodę.

XII

Teraz już wszystko w porządku.

Izak sieje owies i walcuje pole. Poldynka zbliża się do ojca i naprzykrza się, żeby pozwoił jej siąść na walcu. Co, na walcu siadać? — Ona mała jeszcze i nie wie, że na walcu ojcowym brak ławy do siedzenia, bracia jej lepiej się na tym znają.

Ale ojciec raduje się w skrytości, że Poldynka przyszła do niego i już się z nim oswoiła. Rozmawia z nią i naucza, że na polu powinna chodzić ostrożnie, żeby trzewiczków nie powalała.

— I co ja widzę, masz dziś niebieską sukienkę. Bardzo ładna i z paskiem w dodatku, ho, ho! A pamiętasz jeszcze wielki okręt, którym jechałaś? Widziałaś te duże maszyny na okręcie? Ano, teraz idź już z braciszkami do izby, oni będą się z tobą bawić.

Odkąd Olina odeszła, Inger stanęła znowu przy dawnej swojej pracy w chacie i stajni. Przesadza może nieco pod względem czystości i porządku, żeby pokazać, iż teraz całkiem inaczej. I naprawdę rzecz osobliwa, jak wielkie w kilku dniach zaszły zmiany, nawet szyby w gammie bydlęcej wymyte i wszystkie podłogi wyszorowane.

Ale tak było w pierwszych tylko dniach, w pierwszym tygodniu. Potem Inger ustala. Właściwie było niepotrzebne, żeby w stajni tak wszystko błyszczało, czas ten można było znacznie korzystniej zużyć. Inger nauczyła się w mieście bardzo wiele i umiejętności te należało obecnie wykorzystać. Wzięła się znowu do kołowrotka i krosien i doprawdy zręczność jej i zwinność przechodziły wszelkie pojęcie, ręce jej latały jak błyskawice. Izakowi, oj, aż w oczach się ćmiło, gdy się temu przyglądał. Nie wyobrażał sobie nigdy, żeby człowiek mógł kiedykolwiek nauczyć się tak szybkiego manewrowania palcami, och, te długie, śliczne palce u rąk Inger! Lecz najniespodziewaniej w świecie Inger przerywa robotę w połowie i zabiera się do czegoś innego. A jakże, na jej głowie spoczywa teraz znacznie więcej niż ongi, dzieci większe, większe gospodarstwo! A może i brak jej dawnej cierpliwości, do pocziwego jej serca zakradło się zapewne trochę niepokoju.

Najpierw zaopiekowała się kwiatami, jakie z sobą przyniosła. Były to cebulki i sadzonki, nikłe żywoty, o których również należało pamiętać. Okna okazały się za małe, gzymisy za wąskie, doniczki nie zmieściły się na nich. A doniczek brakło, przeto Izak musiał co prędzej zbici szereg małych pudełeczek do begonii, fuksji i róż. Poza tym nie wystarczyło też już jedno okno, przecież jedno okno na całą izbę to stanowczo za mało!

— Oprócz tego — rzekła — brak mi żelazka do prasowania rzeczy i bielizny. Jeżeli się chce coś porządnie uszyć, nie można się obejść bez żelazka do prasowania.

Izak przyobiegał zamówić dobre żelazko u kowala. O, Izak pragnął spełniać wszelkie żądania Inger, on zmiarkował, że Inger nauczyła się bardzo wiele i stała się nadzwyczaj dzielna. I zmienił się także jej sposób wyrażania się, wyszlachetniał, spańszczał. Nie wołała go już dawnym zwyczajem: „Chodź jeść”, lecz mówiła: „Proszę do stołu!”. Wszystko się zmieniło. Dawnego czasu co najwyżej mruknął sobie pod nosem: „Dobrze” i dalej pracował, długa nieraz minęła chwila, zanim zjawił się w izbie. Teraz natomiast odpowiada: „Owszem, dziękuję!” i przychodzi natychmiast. Przez miłość człek głupieje, Izak powtarzał czasami: „Dzięki, dzięki!”. Istotnie wszystko się zmieniło, czy jednak nie pachniało to nieco za bardzo pańskością? Gdy Izak w swej typowej gwarze rolniczej użył słowa gnój, Inger poprawiała je na mierzwę — ze względu na dzieci...

Dziećmi zajmowała się bardzo troskliwie, uczyła je wszystkiego; mała Poldynka robiła postępy w robótkach szydełkowych, a chłopcy w pisaniu i innych przedmiotach szkolnych; gdy zaczęli chodzić do szkoły, nie będą już takimi głabami. Zwłaszcza Elizeusz garnął się do nauki. Sywert natomiast, szczerze mówiąc, to wielkie nic dobrego, żartowniś, swawolnik, odważył się majstrować przy maszynie do szycia, a na stole, ławach i stołkach pełno śladów jego noża. Zagrożono mu nawet odebraniem kozika.

Poza tym cały inwentarz osiedla należał do dzieci, każde miało swych faworytów. A Elizeusz posiadał nadto ołówek kolorowy. Obchodził się z nim starannie i najniechętniej w świecie pożyczal go młodszemu bratu; z czasem wszystkie ściany pokryły się rysunkami, na czym ołówek dotkliwie ucierpiał. Aż w końcu Elizeusz zmuszony był zastosować system najdalej posuniętej oszczędności: wypożyczał go Sywertowi jedynie w niedzielę, i to na jeden rysunek. Sywertowi nie bardzo się to podobało, ale Elizeusz był człowiekiem stanowczym i nieustępliwym. Nie dlatego, jakoby może był mocniejszy, ale posiadał dłuższe ręce i podczas sporów umiał się zręcznie wykręcić.

Ale Sywert! Od czasu do czasu znajdował w lesie gniazdo śnieguły⁹⁹, plótł coś o gniazdku myszy polnej, to znowu o jakimś pstrągu na rzece, który był co najmniej taki duży jak człowiek, lecz wszystko to było jego wymysłem, nie był od tego, żeby czarne białym nazywać, ale w gruncie rzeczy dobre to było chłopaczysko. Gdy kotka się okociła, Sywert podawał jej mleko — na widok Elizeusza prychnęła z daleka, Sywert też niestrudzenie zaglądał do skrzynki, w której mieściło się kocie ognisko rodzinne i gdzie gramoliły się niezdarne liczne kociaki.

A potem owe kury, których był codziennym obserwatorem! Był tam duży kogut z ogromnym grzebieniem i wspaniałym upierzeniem, były kury, które ustawicznie w piasku dziobały i gdakały, a gdy zniosły jajo, wrzeszczały aż strach. Był też i stary baran. Sywert był już bardzo czytany, nie to co dawniej, nie umiał wprawdzie wyrazić nad baranem zachwyty: „Boże, jaki go zdobi rzymski nos”. Nie, tego jeszcze nie znał. Ale poznał on coś znacznie lepszego: znał barana od małego jagnięcia, kochał go i bawił się z nim — baran i Sywert, Sywert i baran to jakby jedno, jakby bracia mleczni. Pewnego razu przeleciało błyskawicą przez jego zmysły tajemnicze jakieś prawrażenie, a była to chwila, której Sywert nigdy nie zapominał. Baran był na łące i skubał trawę, nagle łeb w tył odrzucił i przestał żuć, stał jeno zdrętwiały i zapatrzony w przestrzeń. Sywert spojrzał mimo woli w tym samym kierunku. Nie, nic osobliwego! Lecz wtedy uczuł w sobie coś wielce szczególnego.

— Wygląda tak, jakby widział rajski ogród — pomyślał Sywert.

Każde z dzieci miało także po dwie krowy, bydła ogromne, o ciężkim chodzie, pocziwe i przyjacielskie, pozwalające się głaskać. Potem była tam świnia, biała i skrupulatnie czysta po każdorazowym oprzątnięciu, posłuszna na każde wezwanie i zabawnie żarłoczna, przy tym łaskotliwa i płochliwa niby panienka. A następnie cap — na Sellanrå musiał być zawsze starszy kozioł; gdy jeden kończył swój żywot doczesny, inny zajmował jego miejsce. Lecz żaden nie posiadał pyska tak kozłowego jak obecny cap. W tych dniach właśnie miał do czynienia z bardzo wielu kozami, chwilami jednak, znudzony ich towarzystwem, rozciągał się na trawie zamyślony poważnie i długobrody — ojciec Abraham¹⁰⁰! Lecz niebawem zrywał się nagle i kłusował za kozami. A kędy¹⁰¹ przeszedł, pozostawiał za sobą chmurę ostrego smrodu.

Iszak pracuje i pracuje, a przed każdą robotą radzi się swego kalendarza, baczy na zmianę księżyca i stosuje się do znaków meteorologicznych. — Pracuje i pracuje.

Przez grunt swój przeprowadził teraz wygodny trakt w kierunku wsi, najczęściej jednak i najchętniej idzie tam pieszo, obciążony jak ongi. Niesie wtedy sterty serów kozich lub skór, lub kory brzoźowej, masło i jaja, które sprzedaje i za które skupuje znów inne towary. Nie, latem nie jeździ często, ponieważ droga, począwszy od Bredablik aż do sa-

⁹⁹śnieguła — mały ptak wędrowny zamieszkujący obszary podbiegunowe, zimujący w krajach strefy umiarkowanej. [przypis edytorski]

¹⁰⁰Abraham (rel.) — biblijny patriarcha hebrajski, praojciec narodu żydowskiego. [przypis edytorski]

¹⁰¹kędy (daw., gw.) — gdzie, dokąd. [przypis edytorski]

mej wsi, bardzo wyboista. Zachęcał Bredego, żeby do wyrównania drogi także się nieco przyłożył, na co Brede oczywiście się zgodził, ale słowa nie dotrzymał. Izak postanowił obecnie więcej tej sprawy nie wznawiać. Woli dźwigać ciężary pieszo. Inger mówi z tego powodu:

— Nie pojmuję wcale, jak możesz temu podołać! Ty, zdaje się, wszystko zdzierzysz!

Tak, on zdzierzył wszystko. Miał buty, a były one bajecznie grube i ciężkie, o podszwach w całości żelazem podbitych, nawet rzemyki do sznurowania były przytwierdzone nitami — już samo to, że ktoś w takich butach chodzi, było czymś niezwykłym.

Pewnego razu, schodząc znów do wsi, spotkał w kilku miejscach małe gromadki robotników. Zakładali oni kamienne podwaliny i ustawiali na nich drągi telegraficzne. Robotnicy pochodzą w znacznej części ze wsi, jest tam także Brede Olsen, jakkolwiek osiadł tu, żeby rolę uprawiać. „Że też nie żał mu na to czasu!” — myśli Izak.

Dozorca zapytał Izaka, czy nie zechciałby sprzedać drągów telegraficznych.

— Nie.

— Ani za dobrą zapłatą?

— Nie.

O, Izak wiedział, co robi. Gdyby drągowinę teraz sprzedał, powiększyłby nieco swoją gotówkę, ale wtedy zniszczyłby las, jakąż więc korzyść z tego? A oto nadchodzi sam inżynier i ponawia zapytanie, lecz na próżno, Izak trwa przy swoim.

— Posiadamy wystarczające zapasy drągów — rzekł inżynier — lecz wygodniej by nam było znosić je z lasu, oszczędziłoby się na czasie.

— Mnie także potrzeba drągów i desek — odparł Izak — i dlatego chciałbym już zbudować sobie tartak, bo brak mi stodoły i budynków gospodarczych.

Brede Olsen wtrąca się do rozmowy:

— Wiesz, Izak, gdybym ja był tobą, sprzedałbym drągi bez długiego namysłu.

Patrzcie jeno, jak nagle zaświeciły się oczy potulnego Izaka i jak ostro spojrzał na Bredego, odpowiadając:

— Co to, to już wierzę.

— Jak to? — spytał Brede.

— Ale ja właśnie nie jestem tobą — rzekł Izak.

Jeden z robotników roześmiał się na tę odpowiedź.

Tak jest, Izak miał słuszny powód, żeby sąsiadowi swemu nieco pieprzu w nos natrzeć. Akurat dzisiaj zauważył na pastwisku Bredego trzy owce, z których jedną poznał od razu: była to ta z płaskimi uszami, przehandlowana przez Olinę. „Niech tam Brede zatrzyma sobie moją owcę — pomyślał wtedy i szedł dalej swoją drogą — i owszem, niech się Brede i jego żona moją owcą utuczają”.

I słusznie. Wciąż się nosił z myślą o tartaku. O tak, wszakże już zimą sprowadził od kupca z Trondheim i przydźwigał wielką piłę obrotową i niezbędne przybory. W szopie spoczywało to wszystko, pociągnięte olejem lnianym w celu ochrony przed rdzą. Również i belki już zwiózł na budowę zapory, tak że tylko zacząć budować. Mimo to zwlekał z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień. Czemu? Czyżby siły jego powoli wylały? Inni by z łatwością zrozumieli i nie dziwiliby się z tego powodu. Ale Izakowi się to w głowie pomieścić nie chciało. Jak to, on miałby osłabnąć? A może się mu w głowie pokręciło? Dawniej nie cofał się przed żadną robotą, od czasu jednak, gdy nad wielkim spadem rzeczonym zbudował młyn wodny, coś się w nim zmieniło. Mógł być przecież pomoc sprowadzić ze wsi. Ale nie, wpierw sam spróbuje i weźmie się do tego w najbliższych dniach; Inger pomoże mu nieco.

— Hm — rzekł do Inger — jeśli będziesz miała trochę czasu, mogłabyś mi pomóc przy tartaku.

— Tak, gdybym mogła — rzekła Inger po namyśle. — Więc chcesz budować tartak?

— Tak, taki mam zamiar. Wszystko już dokładnie obmyślałem.

— Czy trudniejsza to robota niż z młynem?

— O wiele trudniejsza, dziesięć razy trudniejsza — przechwalał się. — Masz ty pojęcie?! Tam musi być wszystko na włos dopasowane, a wielką piłę obrotową trzeba umieścić w samym środku.

— Żebyś tylko to potrafił — odparła Inger w swej beznamiętności.

Dotknięty do żywego tymi słowami, rzekł krótko:

— To się pokaże.

— Nie byłoby lepiej, żebyś sprowadził kogo do pomocy, kto się na tym zna?

— Nie.

— Ano, toteż sam nie potrafisz tego zrobić — rzekła i zabrała się do swojej pracy.

Izak uniósł powoli do swej głowy rękę, a wyglądało to, jakby niedźwiedź łapę podnosił.

— Toć tego właśnie się bałem, że sam jeden nie podolam tej robocie — odezwał — dlatego chciałem, żebyś ty mi pomogła, boś ty przecie uczona.

Istotnie, niedźwiedź uderzył, lecz nie zwyciężył. Inger zadarła głowę i odpowiedziała hardo, iż przy tartaku pomagać nie będzie.

— Hm — mruknął Izak.

— Tak, bo czy chcesz, żebym stała w rzece i narażała swe zdrowie? A kto będzie szył na maszynie i bydło oprzątał, i dbał o dom i o wszystko?

— Nie, już nie — rzekł Izak.

Ach, wszakże szło tu jeno o cztery belki narożne i dwie belki środkowe po obu stronach podłużnych, do tego jeno miała być pomocną, do niczego więcej! Miałaby Inger podczas swego długiego pobytu w mieście stać się tak przesadnie wstydliva?

W rzeczy samej, Inger bardzo się zmieniła i nie myślała już wyłącznie o ich wspólnym dobru, lecz tylko o sobie. Owszem, wróciła znowu do gręplarki i kołowrotka, i krosien, ale najchętniej siadywała przy maszynie do szycia, a gdy kowal wykończył dla niej żelazko do prasowania, wtedy już nie było z nią rady. Krawiectwo uważała za jedyny swój zawód. Najpierw uszyła kilka sukienek dla Poldynki. Izakowi podobały się i za bardzo ją może z tego powodu chwalił; Inger dała do zrozumienia, że to jest niczym w porównaniu z tym, co ona umie.

— Ale one są za krótkie — zauważył Izak.

— Takie nosi się w mieście — odparła Inger — na tym właśnie się nie znasz.

Izak posunął się zatem za daleko i dlatego obiecał kupić dla niej sukna.

— Sukna na płaszcz? — spytała Inger.

— Tak, albo na co innego, jak wolisz.

Inger zdecydowała się na sukno na płaszcz i opisała Izakowi, jakie ma być.

Jednak wykończywszy płaszcz, trzeba było w nim poparadować trochę, pokazać się innym. Dlatego sama odprowadziła chłopców do wsi, aby ich w szkole umieścić. I podróż ta miała niemałe znaczenie, pozostawiła ślady.

Pierwsze — Bredablik. Pani Brede z dziećmi wybiegła z chaty i osłupiałym ze zdziwienia wzrokiem patrzyła na przejeżdżających. Na wozie siedzieli Inger i dwaj jej chłopcy, jechali niby wielcy państwo, chłopcy do szkoły, a Inger w płaszczu sukiennym! Na widok ten ostry ból przeszył serce Bredowej. Mniejsza o płaszcz — próżna, dziękować Bogu, nie była — ale ona także miała dzieci, duże dziewczynki, Barbro, Helgę i Katarzynę, wszystkie w wieku szkolnym. Oczywiście dwie starsze chodziły już do szkoły, gdy mieszkali we wsi, odkąd jednak przenieśli się na odległe pustkowia, dzieci musiały wychowywać się w ciemnocie pogańskiej.

— Zabrałaś też prowianty dla chłopców? — spytała Bredowa.

— Prowianty? Naturalnie. Nie widzisz w skrzyni? To mój kufer, jaki z sobą przywiozłam, pełno w nim prowiantów.

— A co takiego zabrałaś?

— Co zabrałam? Słoninę i mięso do obiadów, a chleb i masło, i ser na resztę posiłku.

— Tak, wy tam na waszej wysoczyźnie macie wszystko — westchnęła Bredowa, a jej zbiedzone dzieci, słysząc o tylu wspaniałościach, rozwarły szeroko usta i oczy. — Gdzie je pomieścisz?

— U kowala.

— Tak — rzekła Bredowa. — Moje pójdą teraz także do szkoły i zamieszkają u sołtysa.

— Aha — rzekła Inger.

— Tak, a może u doktora albo na probostwie. Brede przecie zna się dobrze z nimi wszystkimi, więc nie ma o to kłopotu.

Wtedy Inger wygładziła swój płaszcz i uporządkowała wszystkie czarne jedwabne frędzelki.

— Gdzie kupiłaś ten płaszcz? Przywiozłaś go z sobą?

— Sama go uszyłam.

— Tak, tak, zawsze to mówię, wy tam na wysoczyźnie siedzicie po uszy w złocie i przepychu.

Inger jedzie dalej i bardzo jej wesoło na duszy. Ho, ho, jak ona teraz nosa zadziera, zwłaszcza we wsi, aż trochę za wiele tego. Bądź co bądź pani sołtysowa Heyerdal, zobaczywszy Inger w płaszczu, strasznie się rozsierdziła. Powiedziała też zaraz, że pani na Sellanrå zapomniła już widocznie, kim jest, co robiła i gdzie przez sześć lat przebywała. Inger w każdym razie zrobiła furorę, o to przecież chodziło. Ani pani kupcowa, ani pani kowalowa. ani wreszcie pani nauczycielowa nie byłyby się z tego powodu gorszyły, gdyby same były posiadaczkami takiego płaszcza, ale przyjdzie czas, znajdzie się rada.

Jako też Inger nie czekała długo na klientelę. Z tamtej strony gór przyszły niektóre kobiety, ot z ciekawości; Olina, zapewne wbrew swej woli, opowiadała o Inger wszelkiego rodzaju cudactwa. Te, które przywędrowały, przynosiły wiadomości o miejscu rodzinnym Inger, za to otrzymywały poczęstunek i oglądać mogły maszynę do szycia. Młodsze dziewczyny przychodziły po dwie, a dwie znalazły się tu nawet ze wsi nadmorskiej i naradzały się z Inger: jest jesień, uzbierały sobie trochę grosza na nową suknię i oto przyszły do Inger dowiedzieć się o modę, jaka obecnie panuje w świecie, no i przykroć przy tej sposobności materiał. Inger podczas tych wizyt odżywała, po prostu kwitła, była uprzejma i szczodra w udzielaniu wskazówek i pomocy, a przy tym w swym zawodzie tak dzielna, że umiała przykrawać z wolnej ręki. Niekiedy szła na swej maszynie długie obręby, i to całkiem za darmo, a wręczając im tak przygotowany materiał, wypowiadała te wyśmienicie krotchwilne¹⁰² słowa:

— Tak, a guziki to już sama możesz sobie przyszyć!

Później proszono Inger nawet o przybycie do wsi i szycie dla dostojników miejscowych. Lecz było to niewykonalne — miała przecież swoją rodzinę i inwentarz, i różne inne obowiązki domowe, a nie miała służącej. Czego nie miała? — Służącej!

Rzekła do Izaka:

— Gdybym miała kogo do pomocy, miałabym więcej czasu i spokoju do szycia.

Izak nie mógł się połapać, o co właściwie chodzi, dlatego zapytał:

— Do pomocy?

— Tak, do pomocy przy gospodarstwie, służącą.

Wtedy, zdaje się, zatańczyło mu wszystko w oczach, bo zachichotał półgębkiem, uważając powiedzenie Inger za żart:

— Aha, powinniśmy mieć służącą — rzekł.

— W mieście każda pani ma służącą.

— Aha — rzekł Izak i wyszedł.

Był on może nie bardzo w humorze. Właśnie teraz. Wszakże rozpoczął już budowę swego tartaku i robota nie szła tak składnie. Bo jakże jedną ręką przytrzymywać słup, a drugą prowadzić poziomo i przytwierdzać jednocześnie belki ukośnie? Gdy jednak chłopcy ze szkoły wrócili, wtedy szło już zupełnie inaczej, złote chłopaki, jakąż mu byli pomocą! W szczególności Sywert wykazywał niezrównaną zręczność przy wbijaniu gwoździ. Elizeusz natomiast był dzielniejszy przy pionowaniu. W ciągu tygodnia Izak i chłopcy ustawili istotnie wszystkie słupy i przymocowali wszelkie belki ukośnie i poziome. Lwia część pracy ukończona.

Powiodło się — wszystko się powiodło. Lecz jakkolwiek by było, Izak był teraz wieczorami coraz częściej zmęczony. Nie szło przecież tylko o wybudowanie tartaku, czekały go także wszelkie inne roboty. Siano było pod dachem, ale kłosie stało jeszcze na polu i powoli zabarwiała się na kolor złoty, niebawem trzeba będzie je skosić i zwieźć; a i czas kopania ziemniaków szybkim zbliżał się krokiem. Lecz Izak posiadał był doskonałą pomoc w swych chłopakach. Nie wyrażał im z tego powodu słów podziękowania — nie było to u nich w zwyczaju — ale był zadowolony z nich nadzwyczajnie. Czasami, oczywiście rzadko, kiedy odpoczywali pomiędzy jednym a drugim posiłkiem, siadali wszyscy trzej i gawędzili, i wtedy też ojciec naradzał się z synami, co zamyślają zrobić najpierw, a co potem. Były to dla Elizeusza i Sywerta chwile wielkie, namaszczone; wtedy też zapewne uczyli się rozważać dokładnie, co należy powiedzieć, żeby uzyskać uznanie ojcowe.

¹⁰²krotchwilny (daw.) — śmieszny, dowcipny. [przypis edytorski]

— Byłoby źle, gdybyśmy tartaku nie mieli doprowadzić pod dach, zanim nastaną burze jesienne — rzekł ojciec.

Gdybyż tylko Inger pozostała była taka jak za dawnych czasów! Ale ze zdrowiem jej nie było już widocznie tak jak dawniej — nie dziwnego po tylu latach więzienia. Inna rzecz, że zmieniło się jej usposobienie, nie rozmyślała już, za to stała się płytsza i lekkomyślniejsza. O dziecku, które zabiła, powiedziała:

— Byłam wtedy doprawdy głupia, można było kazać zoperować jej wargę i takim sposobem nie byłabym potrzebowała jej udusić.

Nigdy też nie wychodziła do lasu na mogilkę, gdzie zgarniała niegdyś ziemię własnymi rękami i krzyżyk na niej zatknęła.

Ale Inger nie była matką bez serca; owszem, około swych pozostałych dzieci zabiegała rzetelnie, utrzymywała je w czystości, szyła dla nich i nieraz do późnej nocy latała ich przyodziewek. Marzeniem jej było wychować ich na „coś porządnego”.

Następnie zwieziono snopki, potem uporano się z ziemniakami, a wreszcie nastała zima. Ach, prawda, tartaku nie doprowadzono pod dach! Ale trudno, nie była to przecież sprawa gardłowa, a do lata znajdzie się czas i rada.

XIII

Zimą przyszła kolej na zwykłe roboty: zwożono drzewo, naprawiano stare i robiono nowe narzędzia i sprzęty gospodarcze, i wozy. Inger krzątała się koło domu i szyła, a chłopców oddano znowu do szkoły na czas dłuższy. Od kilku już lat posiadali chłopcy parę nart i ta jedna para wystarczała im dopóty, dopóki pozostawali w domu. Wtedy to jeden jeździł, drugi czekał albo wreszcie jeden ustawiał się tuż za drugim na płozach. O, doskonale tak było, nic lepszego ponad to nie znali, wielka była ich prostota. Ale na dole we wsi to zupełnie coś innego, w szkole roiło się od nart, ba, okazało się, że nawet każde z dzieci Bredego posiada swoją własną parę. Wobec tego Izak był zmuszony zrobić nową parę nart dla Elizeusza, a stare dał Sywertowi.

Izak uczynił jeszcze więcej: kupił chłopakom zimowe ubranka i buty niezdarne. A następnie poszedł do kupca i zamówił pierścionelek.

— Pierścionelek? — spytał kupiec.

— Tak, pierścionelek. Jestem teraz taki dumny z mojej żony, że pragnę ofiarować jej pierścionelek.

— Srebrny czy złoty, czy też tylko mosiężny złocony?

— Niech będzie srebrny.

Kupiec długo się zastanawiał, po czym rzekł:

— Jeżeli żonie swojej chcesz ofiarować pierścionelek, którego by nie potrzebowała się powstydzić, to kup jej lepiej złoty pierścionelek.

— Co? — spytał głośno Izak. Ale w głębi serca zapewne sam marzył o pierścionku złotym.

Długo na ten temat rozmawiali, aż w końcu ugodzili się co do wielkości ceny. Wracając do chałupy Izak czuł się właściwie zadowolony ze swego postanowienia, jakkolwiek przerażała go jednocześnie myśl o wydatkach, do jakich popchnąć może miłość.

Śnieg był tej zimy bardzo obfity. Około Nowego Roku robotnicy zaczęli zwozić z doliny drągi telegraficzne, które składali nad traktem w pewnych odstępach. Zwozili w mnóstwo koni, przejechali przez Bredablik, a także przez Sellanrå, aż wreszcie spotkali się z inną partią, która zwoziła drągi z tamtej strony gór.

I tak mijał dzień za dniem bez poważniejszych wydarzeń. Co zresztą miało się wydarzyć? Wiosną zaczęto ustawiać drągi telegraficzne i znowu przy tym znalazł się Brede Olsen, mimo że czekały go przecież roboty wiosenne. „Że on też ma na to czas!” — pomyślał znowu Izak.

Izakowi starczyło zaledwie nieco czasu na jedzenie i spanie. Z trudem tylko zdołał wykończyć wszystko w odpowiedniej porze, pola jego rozszerzyły się, co się zowie.

Nareszcie! W czasie pomiędzy sianokosami a właściwymi żniwami wykończył budowę tartaku, należało już tylko piłę założyć, nic więcej. Proszę, drewniany ten budynek nie był

cudem piękności — budowa była niesłychanie masywna — ale gotowy był niezmiernie użyteczny. Piła już w ruchu, piła tnie już! Ho, ho, Izak nie w ciemną bity, on wszystko podpatrzył w tartaku na dole i zapamiętał sobie każdy szczegół. Zadowolony ze swego dzieła, wyciął nad drzwiami datę i swoje imię.

Lato tego roku na Sellanrå obfitowało w wydarzenia znacznie bogatsze niż zwykle.

Robotnicy przy linii telegraficznej postąpili już tak dalece, że pierwsza partia zapukała pewnego wieczoru do chaty, prosząc o nocleg. Odstąpiono im stodołę. Minęły dni, przyszła i druga partia i wszyscy znaleźli pomieszczenie na Sellanrå. Linie przeprowadzono już daleko poza Sellanrå, a robotnicy mimo to przychodzili tu w dalszym ciągu na nocleg. Pewnej soboty zaś wieczorem przybył inżynier z wypłatą.

Elizeusz, ujrawszy inżyniera, przeraził się i zemknął co prędzej na dwór, żeby uniknąć pytania o kolorowy ołówek. Ach, była to chwila nieszczęsna i na domiar Sywert, w którym by mógł znaleźć poniekąd oparcie, pozostał w chałupie! Niby upiór błady czaił się za węglem domu, aż wreszcie zoczył¹⁰³ matkę. Do niej więc zwrócił się z prośbą, żeby przysłała mu Sywerta.

Sywert mniej się tym przejmował, on wszakże nie był sprawcą owego złoczynstwa. Bracia oddalili się nieco, usiedli na kamieniu.

— Weź to na siebie! — rzekł Elizeusz.

— Ty jesteś mniejszy ode mnie, tobie nic nie robi.

Sywert zastanawiał się, wiedział, że brat jest w wielkich opalach, i to właśnie, że Elizeusz potrzebował jego pomocy, bardzo mu schlebiali.

— Tak, może bym i mógł tobie jakoś pomóc — odezwał się przemądrzale.

— Musisz! — krzyknął Elizeusz i wcisnął po prostu bratu do ręki pozostały kawałek ołówka. — Dam ci go na zawsze.

Mieli wrócić razem do izby, ale Elizeuszowi przypomniało się, że ma jeszcze coś do roboty przy tartaku i dlatego później dopiero przyjdzie. Wobec tego Sywert wrócił sam.

Inżynier siedział przy stole i wypłacał robotnikom za robociznę. Następnie Inger postawiła przed nim garnek mleka wraz z kubkiem. Dziękował i pił. Potem gawędził z Poldynką, a zauważywszy rysunki na ścianach, zapytał natychmiast, co za majster je robił.

— Czy ty może? — spytał Sywerta.

Inżynier pragnął widocznie w ten sposób wywdziżyć się za doznaną gościnę. Chwaląc rysunki, rozradował serce matki. Inger oznajmiła, że obaj chłopcy tak rysują i dodała, że dopóki jej w domu nie było, dzieci nie miały papieru i stąd bazgrały na ścianach, a jej żal było bazgroły te zmywać.

— Zostaw je tam, nie trzeba ich zmywać. A papier? — rzekł i wydobył z teki mnóstwo dużych arkuszy. — Macie, rysujcie tak jak najwięcej, gdy jeszcze raz tu przyjadę, zobaczę, coście zrobili. A jak z ołówkami?

Wtedy Sywert przystąpił po prostu i pokazał szczątek swego skarbu. I któż by się tego był spodziewał? — Inżynier dał mu nowy ołówek kolorowy, całkiem nowy, jeszcze w ogóle nienacięty!

— Rysujcie, a śmiało. Ale konie malujcie lepiej na czerwono, a kozła na niebiesko. He, he, czyś widział już kiedy niebieskiego konia?

Inżynier pożegnał się z Inger i poszedł.

Tego samego wieczora przywędrował ze wsi jakiś człowiek z dużym tornistrem na plecach. Wręczył robotnikom kilka butelek, po czym zaraz się oddalił. Lecz po jego odejściu zniknął jakoś dotychczasowy spokój na Sellanrå, zabrzmiała harmonijka, rozmawiano głośno, śpiewano i tańczono na podwórzu. Jeden z robotników zaprosił Inger do tańca i Inger — tak, kto ją przeniknąć zdoła? — chichotała i tańczyła kilka razy w kółko. Potem przyszli inni, którzy także chcieli z nią tańczyć, no i tańczyła żwawo i wesoło, jak się patrzy.

Kto zdoła przeniknąć Inger? Tańczyła tu może pierwszy swój błogi taniec. Ubiegali się o nią — trzydziestu chłopów, a ona sama jedna, jedyna, bez rywalki! A jakże mocno o nią się dobijali, dziarskie chłopcy owi robotnicy przy telegrafach! Czemuż więc nie potańcować? Mimo hałasu na dworze Elizeusz i Sywert spali w komorze jak zarżnięci,

¹⁰³zoczyć (daw.) — zobaczyć, dostrzec. [przypis edytorski]

Poldynka jednak była jeszcze na nogach i zdziwionymi oczyma przyglądała się skokom matki.

Izak tymczasem cały czas po wieczery bawił w polu. Gdy wrócił na spoczynek, jeden z robotników poczęstował go z butelki, więc pociągnął łyk jeden, nie więcej. Usiadł, wziął na kolana Poldynkę i przyglądał się tańcom.

— Przynajmniej raz możesz się porządnie wytańcować i swoje nogi rozruszać! — rzekł dobrodusznie do Inger.

Ale po jakimś czasie muzyka ucichła i zakończono tany. Robotnicy przygotowali się do drogi, żeby resztę nocy i dzień następny zabawić się we wsi i wrócić dopiero w poniedziałek rano. Niebawem też cisza zupełna zapanowała w Sellanrå, pozostało jeno kilku starszych chłopów, którzy legli spać w stodole.

Izak rozglądał się za Inger, żeby wróciła do izby i zajęła się Poldynką, lecz nigdzie jej nie dostrzegłszy, wrócił sam i dziecko do snu ułożył. Po czym również udał się na spoczynek.

Nad ranem zbudził się, ale Inger nie było. „Może jest w stajni?” — pomyślał. Wstał i poszedł do stajni.

— Inger?! — zawołał.

Żadnej odpowiedzi. Krowy obróciły łby i przyglądały się mu. Cisza zupełna. Z przyzwyczajenia przeliczył bydło i kozy, i owce.

— Inger! — zawołał ponownie.

Ale i teraz brak odpowiedzi. „Czyżby poszła z nimi do wsi?” — zastanawiał się.

Noc była ciepła i jasna. Izak zatrzymał się przed chatą, potem poszedł do lasu, żeby odszukać maciorkę. Odnalazł Inger. Ona tu? — Tak, Inger i jeszcze ktoś! Siedzieli we wrzosowisku, Inger zabawiała się czapką z daszkiem, rozmawiali z sobą wesoło, ho, ho, wesoło...

Izak podszedł ku nim po cichu. Inger obróciła się i ujrzała go. Wtedy pobladła, głowa opadła jej na piersi, wypuściła z rąk czapkę, była zdruzgotana.

— Hm! Czy wiesz, że maciorka znowu się gdzieś zapodziała? — przemówił Izak. — Tak, ale tego ty na pewno nie wiesz!

Młody robotnik telegraficzny podniósł swą czapkę i zniknął w zaroślach.

— Muszę pogonić za towarzyszymi — rzekł. — Ano, dobrej nocy! — powiedział i zniknął. Na pożegnanie jego nikt nie odpowiedział.

— Tak, więc tu siedzisz? — spytał Izak. — Czy musisz tu siedzieć?

Odwrócił się i poszedł ku domowi, a Inger podniosła się z trudem i szła za nim. Tak tedy wracali — mąż na przedzie, żona w tyle. Wrócili do chaty.

Inger wszakże miała dość czasu na opamiętanie się. I opamiętała się:

— Chciałam właśnie szukać maciorki — rzekła — bo zauważyłam, że jej nie ma. A potem przyszedł ów robotnik i pomógł mi szukać. Ledwieśmy usiedli, kiedyś ty przyszedł. Dokąd chcesz iść teraz?

— Ja? Szukać maciorki.

— Nie, idź spać. Jeżeli trzeba szukać, to niechże ja szukam. Idź do łóżka, tobie więcej potrzebny wypoczynek niż mnie. A zresztą, bo to pierwszozna, że maciorka na noc nie wróciła? Po co jej szukać?

— Tak, może chcesz, żeby ją jaki zwierz dziki pożarł?

— Nie, zostań! — wołała za nim i dogoniła go. — Ty się wyśpij, a ja pójdę.

Izak pozwolił się namówić. Ale on także słyszeć nie chciał o tym, żeby Inger miała się udać na poszukiwanie maciorki. Tak więc wrócili oboje.

Wtedy Inger zainteresowała się nagle dziećmi. Poszła do nich do komory, potem wróciła, przystąpiła do łóżka i zachowywała się tak jakby nigdy nic, ba, zaczęła nawet do Izaka mrugać i przymilać się, i wręcz nawet oświadczyła, że pożąda jego pieszczoty, takiej prawdziwej. O nie! Izak nie był tak skory do udobruchania się, wolałby widzieć u niej smutek wielki i łzy, i żal okrutny, i skrucę. To, że miała trochę strachu, że zdrętwiała trochę, gdy ją w lesie przydybał — co to pomoże, skoro tak szybko się z tego otrząsnęła?

Następnego dnia, w niedzielę, Izak wciąż jeszcze był nieprzejednany. Krążył poza domem, chodził do tartaku i do młyna, obchodził swe pola, już to z dziećmi, już też sam. Gdy Inger spróbowała raz przyłączyć się do niego, Izak zawrócił w inną stronę i rzekł:

— Muszę iść teraz w górę rzeki, muszę coś zobaczyć.

Było coś, co go widocznie gryzło, ale dusił to w sobie w skrytości i milczeniu i nie wybuchał piorunami. O, zaiste, wielki był Izak.

W poniedziałek panowała już atmosfera znacznie lżejsza i w miarę mijania dni zacieśniało się powoli nieznosne wrażenie owej nocy. Czas kaleczy i czas leczy. Izak wyszedł na tym jeszcze nie najgorzej, nie miał nawet pewności, czy go istotnie skrzywdzono, nadto inne sprawy zaprzętały jego myśli, wszakże zaczynały się żniwa. A niedługo przecież linię telegraficzną wykończą i wtedy znowu zapanuje na osiedlu spokój. Poprzez las wiódł teraz szeroki, jasny gościniec, a po jego obu stronach sterczały drągi z drutami.

Następnej soboty, gdy miała nastąpić ostatnia wypłata, urządził się Izak tak, żeby być poza osiedlem. Powędrował do wsi z masłem i serem i wrócił dopiero w nocy z niedzieli na poniedziałek. Robotnicy opuścili już stodołę, czy wszyscy? — Prawie wszyscy, ostatni wylaźli właśnie z podwórza z wielkim worem na plecach. Po koszyku do wiktuałów stojącym w stodole Izak jednak poznał, że powietrze nie całkiem jeszcze czyste, gdzie właściwie, nie wiedział i wiedzieć nie chciał, ale czapka z daszkiem spoczywała na koszyku jako dowód gorszący.

Izak wyrzucił na podwórze koszyk i czapkę, potem stodołę na klucz zamknął, poszedł do stajni i przez okno spozierał. „Kosz i czapka! Niech leżą!” — powtarzał sobie w myśli. „Nic mnie nie obchodzi, czyje to. Lichy to koszyk, pluje na niego!” — myślał zapewne. Ale gdy po niego przyjdzie, wtedy Izak wyjdzie mu naprzeciw i schwyci go za kark, że aż pozielenieje. I pokaże mu, kędy droga z obejścia¹⁰⁴.

Po chwili Izak opuścił swój posterunek przy okienku i udał się do krów. Nie miał spokoju. Koszyk związany był sznurkiem, sznur pękł — czyżby Izak za mocno go był schwycił? Mniejsza z tym, dosyć że w Izaku odezwały się nagle jakieś wątpliwości, czy aby naprawdę dobrze postąpił... Będąc we wsi, wypytywał się o swój nowy pług, szczególnie masywny, bo przeznaczony do karczowania ugorów na pustkowiu. Zamówił go swego czasu i teraz właśnie nadszedł; o, wspaniała maszyna, ósmy cud świata! I zdało mu się, że wraz z nią spływa na dom jego błogosławieństwo Boże. Moc wyższa, która kieruje każdym krokiem człowieka, znajdowała się teraz w pobliżu i śledziła go, czy na ono błogosławieństwo zasługuje, czy nie. Izak mózgownicę swoją zaprzętał stale myślą o wyższych mocach, ba, pewnej nocy jesiennej widział w lesie na własne oczy samego Boga, był to widok niezwykły...

Izak wyszedł na podwórze i zatrzymał się przy obcym koszyku. Namyslał się jeszcze, zsunął nawet kapelusz z czoła i drapał się po głowie, przy czym wyglądał zadzierzyscie i i zuchowato niby hidalgo¹⁰⁵. Ale wtedy zapewne myślał mniej więcej tak: „Oto stoję tu daleki od tego, żebym był człowiekiem wspaniałomyślnym i doskonałym, pies ze mnie!”. Po czym związał koszyk sznurkiem jak należy, podniósł czapkę i zaniósł wszystko z powrotem do stodoły na dawne miejsce. Oto stało się.

Wyszedszy ze stodoły, zwrócił swe kroki w stronę młyna, precz od swej chałupy, precz od wszystkiego! Inger nie stała przy oknie, nie, nie, niech tam, niechże sobie stoi, gdzie jej się żywnie podoba, zresztą leży niezawodnie w swoim wyrku, bo gdzież by indziej być miała? Ale dawniej, owych pierwszych lat na osiedlu przecież inaczej bywało, wtedy Inger niepokoiła się, gdy jego nie było, i oczekiwała przy oknie jego powrotu ze wsi. Teraz dzieje się inaczej, zmieniło się wszystko! Na przykład jak to było z pierścionkiem? Izak był skromny aż do przesady i daleki od tego, by mówić o szczerzonym pierścionku.

— Nic szczególnego — rzekł — wsadź jeno na palec i zobacz, czy nie za duży.

— Czy to złoto? — spytała.

— Tak, ale nie bardzo szeroki — odparł.

„Owszem, bardzo szeroki” powinna była odpowiedzieć, gdy tymczasem ona potwierdziła tylko jego słowa:

— Prawda, że wąski, ale w sam raz.

— Drobiazg ten możesz zatrzymać na zawsze — rzekł wreszcie przygnębiony.

Inger jednak była mu wdzięczna za pierścione, na prawej ręce go nosiła i błyskała nim podczas szycia. Kiedy niekiedy pokazywała go dziewczynom, swym klientkom, pozwalając

¹⁰⁴ *obejście* — słowo używane do określenia całego gospodarstwa wiejskiego: podwórza, domu, budynków gospodarczych takich jak stajnia, stodoła. [przypis edytorski]

¹⁰⁵ *hidalgo* — hiszpański szlachcic. [przypis edytorski]

im przymierzać go i przez chwilę z nim paradować. Czyżby Izak nie widział, jak dumna była z pierścionka?

Lecz siedzenie w młynie i przysłuchiwanie się przez całą noc pluskowi przelewającej się wody to rzecz naprawdę bardzo głupia. Izak nie popełnił przecież nic złego, dlatego opuścił młyn i udał się z powrotem do chaty...

I teraz dopiero Izak się zawstydził, wstydził się sam przed sobą, a jednocześnie rozradował się. W izbie siedział Brede Olsen, sąsiad, nikt inny, siedział i popijał kawę.

— Otóż i Izak! — rzekła Inger wesoło, wstając od stołu i nalewając kawę dla Izaka.

— Dobry wieczór! — rzekł Brede równie wesoło.

Izak domyślał się, że Brede uczestniczył również w festynie pożegnalnym robotników telegraficznych, niewyspanie jego było aż nadto widoczne, ale to nic, był wesół i uprzejmy. Oczywiście fanfaronował jak zwykle: niewiele właściwie ma czasu na zajmowanie się tym wściekłym telegrafem, boć ma przecież własne gospodarstwo, ale trudno odmówić, skoro inżynier tak bardzo na niego nalegał. I w końcu doszło do tego, że Brede jest obecnie zmuszony przyjąć urząd inspektora na całej tej górskiej linii telegraficznej. Nie chodzi mu przy tym, jak powiedział, o pieniądze, we wsi mógłby zarobić znacznie więcej, ale nie chciał okazać się nieuczynnym. Teraz też przytwierdzili do ściany w jego izbie małą wspaniałą maszynkę, która jest ogromnie zajmująca, prawie jak sam telegraf.

Izak mimo wszystko nie umiał się gniewać na Bredego, tego urodzonego samochwała i leniucha. Za to łez zrobiło mu się na sercu, gdy owego wieczora zamiast jakiegoś obcego przybłądy zastał w swojej chacie sąsiada. Izak posiadał tę równowagę chłopską: uczucia proste, krzepę byka, powolność wołu, przytakiwał Bredemu i kiwał głową nad jego płytkością.

— Masz jeszcze trochę kawy dla Bredego? — spytał.

Owszem, jest.

Poza tym Inger zachwycala się inżynierem, co to za niezwykle grzeczny człowiek. Oglądał rysunki i pisanie dzieci i powiedział, że wzięłby Elizeusza do siebie.

— Wzięłby do siebie? — spytał Izak.

— Tak, do miasta. Ma być w jego biurze pisarzem, tak bardzo podobały mu się rysunki i pisanie Elizeusza.

— Tak — rzekł Izak.

— I co ty na to? Chce on zająć się także jego konfirmacją¹⁰⁶. Wszakże piękne to widoki na przyszłość, prawda?

— I ja tak myślę — rzekł Brede. — Znam dobrze inżyniera i wiem, że co on powie, tego święcie dotrzyma.

— My tu na osiedlu nie mamy takiego Elizeusza, który byłby nam niepotrzebny — rzekł Izak.

Po tych słowach stało się w izbie dziwnie cicho i nieprzyjemnie. Rzecz prosta. Izak to nie człowiek do gadania.

— Jeżeli jednak chłopak ma ambicję i ma zdolności do czegoś wyższego?! — odezwała się w końcu Inger.

Znowu cisza. Lecz teraz przemówił z uśmiechem Brede:

— O, gdyby inżynier chciał zabrać które z moich dzieci! Mam ich dosyć. Ale najstarsze to Barbro, dziewczyna. W tym sęk.

— Tak, tak, z Barbro dziewczyna dobra i grzeczna — rzekła Inger, chcąc być uprzejmą.

— O tak, szczerą prawdą — potwierdził Brede. — Barbro to tęga¹⁰⁷ dziewucha, idzie teraz w służbę do sołtysa.

— Do sołtysa?

— Tak, musiałem przyrzec. Pani sołtysowa nie dawała mi spokoju.

Było już nad ranem, kiedy Brede zabrał się do odejścia.

— Czapkę moją i koszyk pozostawiłem w waszej stodole — rzekł. — O ile tylko nie zabrali mi ich nasi robociarze — dodał żartobliwie.

¹⁰⁶konfirmacja (łac.: potwierdzenie) — w Kościołach protestanckich: obrzęd uroczystego przyjęcia do wspólnoty kościelnej, odpowiednik jednocześnie pierwszej komunii i bierzmowania w Kościele katolickim. [przypis edytorski]

¹⁰⁷tęgi (daw.) — mocny, dzielny, dobry w swojej dziedzinie. [przypis edytorski]

XIV

Czas mijał.

Elizeusz poszedł, oczywiście, do miasta. — Inger postawiła na swoim. Po upływie roku był już konfirmantem, a potem ugrzązł na stałe w biurze inżyniera i coraz większą w pisaniu zdobywał wprawę. O, jakież on listy przysyłał do domu, niekiedy pisał je atramentem czerwonym i niebieskim — istne obrazki! A jaki w nich język, jakie zdania! Od czasu do czasu prosił o pieniądze, prosił o pomoc; potrzeba mu było pieniędzy na zegarek z łańcuszkiem, żeby rano nie zaspać, potem na fajkę i tabakę, bo wszyscy młodzi pisarze w mieście palą fajkę. Potem były mu potrzebne pieniądze na coś takiego, co nazywał kieszonkowym, potem na coś, co nazywał szkołą wieczorną, gdzie uczono rysunków i gimnastyki, i innych rzeczy niezbędnych do jego zawodu i stanowiska. Koniec końców, pobyt Elizeusza na posadzie w mieście kosztował niemało.

— Kieszonkowe? — spytał Izak. — Czy to pieniądze, które się ma w kieszeni?

— Tak, taki widocznie jest tam zwyczaj i potrzebny pewnie, żeby nie uchodzić za biedaka. Raz po raz talara to przecie nie tak wiele.

— Aha, akurat, tu talara i tam talara — odparł Izak gniewnie. Był zły, ponieważ brakło mu Elizeusza i chciał go mieć w domu. — Aż w końcu może ich zabraknąć — ciągnął dalej. — Co za wiele, to za wiele; napisz mu, że nie dostanie nic więcej.

— Dobrze już, dobrze — rzekła Inger obrażona.

— A czy Sywert dostaje jakie kieszonkowe? — spytał Izak.

— W mieście nigdy nie byłeś, więc się na tym nie znasz, Sywertowi kieszonkowe niepotrzebne. A zresztą Sywert będzie miał wszystko, gdy jeno wuj Sywert zamknie oczy.

— Tego ty nie wiesz.

— A właśnie, że wiem.

I było to prawdą do pewnego stopnia; wuj Sywert przyrzekł istotnie, że mały Sywert będzie jego spadkobiercą. Do Elizeusza zraziło go samochwalstwo jego i udawanie panicza w mieście. Wuj Sywert skinął głową, zacisnął usta i oświadczył, że krewniaczek, który nosi jego imię, nie będzie potrzebował głodować.

Ale jak właściwie przedstawiał się majątek wuja Sywerta? Czy oprócz zaniedbanego gospodarstwa i przewoźnictwa posiada istotnie tak wielki trzos złota i srebra, jak powszechnie przypuszczano? Pewności co do tego nikt nie miał. A na domiar wszystkiego wuj Sywert to straszny dziwak, uparł się, żeby mały Sywert u niego zamieszkał. Wuj Sywert zrobił z tego sprawę honorową; mógł być inżynier zabrać do siebie Elizeusza, tym większe prawo wuj Sywert mógł mieć do małego Sywerta. Ale jakże tu pozbyć się z domu Sywercika? Niepodobiestwo¹⁰⁸! Toć on jedyna pomoc ojca! Poza tym i chłopak nie miał ochoty przenosić się do wuja, sławnego kasjera powiatowego; był tam już raz, lecz powrócił do domu ojcowego chętnie i bez najmniejszej tęsknoty za wujem. Był już po konfirmacji, wyciągał się i rozrastał, pod nosem kielkował delikatny puszek i mocne miał ręce z twardiznami. Pracował jak dorosły.

Bez pomocy Sywerta Izak nigdy by nie był postawił owej nowej stodoły, która wznosiła się obecnie, imponująca swoim klepiskiem i okienkami w dachu, i pod względem swych rozmiarów nieustępująca zgoła stodole proboszcza. Ściany wykonane oczywiście z drewnianego tylko wiązania, ale niezmiernie mocno zbudowane, żelaznymi klamrami spojone w narożnikach i oszalowane całowymi deskami z własnego tartaku. Tak, i Sywert niejedną przybił tu zaworę i podnosił ciężkie belki dachowe, aż się pod nimi ugiął. Sywert z ojcem rozumieli się znakomicie — wdał się w ojca i podobnie jak on, idąc do kościoła, nacierał się lawendą rosnącą na hali. O wiele większe doprawdy uroszczenia i kaprysy posiadała Poldynka; nie dziwnego, dziewczynka i na dobitek jedynaczka! Teraz, latem, nie chciała ani rusz słyszeć o kaszy bez syropu, ale nie można powiedzieć, żeby od tego przytyła. I do roboty była także nie bardzo.

Inger nie porzuciła myśli o służącej i co wiosnę odgrzebywała ją na nowo, lecz Izak pozostał nieustępliwy. Ileż by więcej sukien mogła przykroić, ileż by więcej mogła uszyć i cienkiego sukna utkać, i pantofli wyhaftować, gdyby miała czas na to! Tak, naprawdę jednak Izak okazał się obecnie mniej uparty niż dawniej, jakkolwiek jeszcze mruczał.

¹⁰⁸niepodobiestwo (daw.) — coś niemożliwego a. nieprawdopodobnego. [przypis edytorski]

Ho, ho, pierwszym razem wygłosił na ten temat wielką mowę, nie tyle może z poczucia sprawiedliwości lub ze stanowiska rozumu, również nie z zrozumiałości, lecz, niestety, jedynie w poczuciu swej słabości, z wściekłości. Ale teraz zdawać się mogło, że zatwardziałość jego nieco skruszała.

— Gdybym mogła dostać kogoś do pomocy, to tylko teraz — rzekła Inger. — Później, gdy Poldynka podrośnie, pomoc obca będzie niepotrzebna.

— Pomoc? — spytał Izak. — Do czego potrzebna ci pomoc?

— Do czego potrzebna mi pomoc? Czy i ty obywasz się bez pomocy? A Sywert?

Co Izak miał odpowiedzieć na taki nierozum? Rzekł więc:

— Tak, tak, gdy zgodzisz dziewczkę, będziecie wy pewnikiem orać i sprzątać, i dbać o całe gospodarstwo. Wtedy ja i Sywert będziemy niepotrzebni.

— Tak czy owak — odparła Inger — w każdym razie teraz mogłabym zgodzić Barbro, która donosiła już o tym swemu ojcu.

— Jaką Barbro? Czy może Barbro Bredego?

— Nie inaczej, jest na służbie w Bergen.

— Każdą inną, jeno nie Barbro Bredego — rzekł Izak.

A więc nie odrzucał już myśli o służącej.

Do Barbro nie miał ani za grosz zaufania: była zmienna i powierzchowna jak ojciec, a może i jak matka, latawica bez odrobiny wytrwałości. U sołtysa siedziała niedługo, zaledwie rok, po konfirmacji przeszła do kupca, ale i tam utrzymała się z biedą rok jeden. Potem nagle spobożniała i gdy pewnego razu zjawiała się we wsi Armia Zbawienia¹⁰⁹, wstąpiła do niej, otrzymała czerwoną przepaskę na ramię, a do ręki gitarę. W takim moderunku odbyła na statku kupca podróż do Bergen. Było to w roku zeszłym i teraz właśnie przysłała ojcom swoją fotografię; Izak widział ją: całkiem nie ta sama, panna z kędzierzawą grzywką i długim łańcuchem na piersi. Rodzice byli ze swej córki srodze dumni i pokazywali fotografię każdemu, kto tylko w ich domu się pojawił. Aż dziwno, jaka z niej pannica, i na rękawie nie miała już przepaski ani gitary w ręku.

— Pokazałem ją pani sołtysowej, wcale jej nie poznała — rzekł Brede.

— Pozostaje w Bergen? — spytał Izak niedowierzająco.

— Pozostanie tam tak długo, dopóki będzie miała chleb w ręku... Jeżeli, rozumie się, nie wyjedzie do Chrystianii¹¹⁰. Po co ma w domu siedzieć? Ma teraz nową posadę, jest gospodynią u dwóch kawalerów, bogatych kantorzystów¹¹¹. A ile tam zarabia!...

— Ile? — spytał Izak.

— Tęgo nie pisała. Ale że musi to być bardzo dużo, domyślam się z tego, że otrzymała podarki gwiazdkowe i wiele innych upominków i z pensji jej tego nie potrącono.

— Hm — mruknął Izak.

— Tak, a może chciałbyś ją przyjąć na służbę?

— Ja? — wymknęło się Izakowi.

— Ależ nie, ha, ha, ją tylko... tego ten... tak na żarty. Barbro tam dobrze, niech siedzi tam jak najdłużej. Ale co ja to chciałem powiedzieć? Czy po drodze nie zauważyłeś jakiego uszkodzenia przy telegrafie?

— Przy telegrafie? Nie.

— Wiem, wiem, od czasu, jak objąłem linię, rzadko kiedy się coś przytrafia. Zresztą mam w izbie maszynę, która melduje natychmiast, gdy na linii coś nie w porządku. W najbliższych dniach jednak będę musiał zbadać wszystkie słupy. Ot, jak na jednego człowieka, za dużo mam obowiązków, stanowczo za dużo. Ale skoro już powierzono mi ten urząd inspektora linii, muszę wytrwać, co robić!

— Nie myślisz chyba o porzuceniu urzędu?

— Nie wiem jeszcze. Bo widzisz, ciągną mnie do wsi i wciąż napastują, żebym powrócił.

— Kto cię napastuje?

— Wszyscy. Sołtys chciałby mi dać dawny urząd woźnego, doktorowi brak mego furmanienia, a pani pastorowa byłaby już nieraz korzystała z mojej pomocy, gdyby nie ta

¹⁰⁹Armia Zbawienia — międzynarodowa organizacja dobroczynna zorganizowana na sposób wojskowy, a także międzynarodowe chrześcijańskie wyznanie protestanckie. [przypis edytorski]

¹¹⁰Chrystiania — dawna nazwa miasta Oslo, stolicy Norwegii. [przypis edytorski]

¹¹¹kantorzysta — człowiek pracujący w kantorze, urzędnik. [przypis edytorski]

droga daleka na mój folwark. A powiedz mi też, czy naprawdę dostałeś tyle pieniędzy za swoją górę?

— Tak, to prawda.

— Na co ją Geissler kupował? Mija rok za rokiem, a on nic, góra stoi jak stała, a jego ani śladu. Dziwny człowiek.

— Nie wiem — rzekł Izak. On już nieraz nad tym się głowił, rozmawiał o tym z sołtysem, dowiadywał się o adres Geisslera, żeby do niego napisać. Zaiste, dziwny człowiek.

Brede nie ukrywał swego żywego zainteresowania ową sprzedażą góry.

— Opowiadają, że tam na bezpańskiej ziemi jest więcej gór podobnych do twojej — rzekł. — Kto wie, jakie w nich skarby ukryte, a my chodzimy dokoła nich niby bydlęta i niczego nie widzimy. Postanowiłem przeto pójść tam zbadać.

— Aha, to ty znasz się na skałach i kruszczach? — spytał Izak.

— Tak, trochę, wypytywałem się także u innych. A zresztą mniejsza o to, muszę znaleźć coś dla siebie, bo z tego folwarku niepodobna wyżyć. Do licha, tak dalej być nie może! U ciebie całkiem co innego, ty masz las i ziemię orną. A tu u mnie nic, jeno trzęsawiska.

— Trzęsawiska to dobra gleba — odparł Izak. — Ja także mam trzęsawiska.

— Przecież osuszenie ich jest zupełną niemożliwością — rzekł Brede.

Ale osuszenie bagnisk nie należało do niemożliwości. Tego samego dnia zauważył Izak na drodze ku wsi nowe osiedla: dwa na dole blisko wsi, a jedno wysoko, pomiędzy Bredablik a Sellanrå.

O, na pustkowiu wrzała obecnie coraz większa praca, inaczej tu było w pierwszych latach pobytu Izaka — wszędzie panowała pustka i cisza. Trzej nowi przybysze przywędrowali z dalszych stron i byli to, jak się zdaje, ludzie rozumni. Przyszli i nie zaczęli od budowy chałup, lecz od przeprowadzenia rowów. To było pierwsze, co zrobili, po czym zniknęli jak kamfora. Przeprowadzić rowy, orać, siać — to sposób naprawdę mądry. Najbliższym sąsiadem Izaka był teraz Aksel Ström, człek dzielny, kawaler, rodem z Helgeland¹¹². Od Izaka wypożyczył sobie nowy pług do przeorania swej gleby bagnistej, a w drugim dopiero roku wzniosł szope do siana, urządził sobie gammę i sprowadził kilka sztuk bydła. Był bez pomocy kobiecej, o dziewczkę najemną było zresztą trudno z powodu zbyt odległego położenia osiedla, ale snadź znał się na swojej robocie. Alboż miał on podobnie jak Brede pobudować w pierw chałupę i sprowadzić żonę i dzieci, nie mając inwentarza ni roli, z czego by mieli żyć? Czyż Brede Olsen znał się na odwadnianiu grzęzawisk i karczowaniu ugorów?

Brede Olsen znał się, ale na zabijaniu czasu głupstwami. Oto pewnego dnia naprawdę powędrował w góry powyżej Sellanrå na poszukiwanie szlachetnych kruszców! Wrócił wieczorem, nie znalazłszy jednak nic pewnego. Wędrowkę swoją zamierzał ponowić niebawem, przy czym odgrażał się, że zbada również góry szwedzkie.

I prawda, Brede powrócił. Zasmakował w swym urzędowaniu i dlatego pilnie kontroluje całą linię telegraficzną. Gospodarstwo, zupełnie nietknięte, pozostało pod opieką żony i dzieci. Izakowi jednak sprzykrzyły się częste wizyty Bredego i dlatego, nie zważając na jego obecność, chatę co prędzej opuszczał. Ale wtedy Inger i Brede zabawiali się bardzo przyjacielską pogawędką. O czym też rozmawiali? O, Brede to bywalec, był we wsi częstym gościem i miał zawsze jakąś wiązkę nowości z życia tamtejszych luminarzy¹¹³, Inger natomiast miała dużo do opowiadania o swej sławnej podróży do Trondheim i o pobycie w zakładzie. W owych latach trondheimskich nauczyła się gadać, gadała z każdym, kto tylko się napatoczył. Nie, nie była ona już ową dawną Inger, ową szczerą, uczciwą, pracowitą żoną Izaka.

Wciąż jeszcze przybywały na Sellanrå kobiety i dziewczyny, każda z prośbą do Inger, to o krój, to o uszycie czegoś na maszynie. Inger żyła wtedy i gadała, dużo gadała. Przychodziła i Olina, pchała ją tu babska ciekawość, przychodziła wiosną i jesienią gładka jak węgorz, miękka jak masło i obłudna.

— Przyszłam zobaczyć, jak wam się powodzi — zwykła była mówić na wstępie. — Przygnała mnie tu tęsknota za chłopcami, przyrośli mi do serca niby aniołkowie mili. Tak,

¹¹²Helgeland — część regionu Północnej Norwegii położona na południe od koła podbiegunowego. [przypis edytorski]

¹¹³luminarz (z łac. *lumen*: światło) — osoba wybitna, sławna, znakomitość. [przypis edytorski]

tak, wyrosli oni już niczym dębczaki, ale ja wciąż ich pamiętam, jak to byli mali i pod moją opieką. A wy budujecie i budujecie, i folwark zamieniacie po prostu na wielkie miasto. Czy na dachu spichrza umieścicie także dzwon, tak jak to mają na plebanii?...

Olina przykuśtykała pewnego razu na Sellanrå w towarzystwie innej jakiejś kobiety; był to dla Inger piękny dzień. Im więcej ludzi widziała dokoła siebie, tym zamazyściej i szybciej operowała nożycami lub żelazkiem do prasowania, tym energiczniej szyła na maszynie. Przypominało jej to czasy pobytu w zakładzie, gdzie tak wiele miała towarzyszek. Inger bynajmniej się z tym nie tała, gdzie nabyła swe umiejętności i wykształcenie — nabyła je w Trondheim. I zdawało się, jakby przebywała tam, nie żeby pospolicie karę odsiedzieć, lecz żeby się kształcić. O więzieniu mówiła zawsze z pewnym zapalem, tak wiele było tam ludzi: naczelnik i dozorczy, i strażnicy. Powróciwszy do domu, z wielką przykrością odczuwała brak towarzystwa ludzkiego, do którego tak nawykła. Poza tym uważała, że powietrze tu na Sellanrå nie bardzo jej służy, jest po prostu za ostre dla niej. Do pracy poza domem powinna właściwie mieć jaką dziewczkę.

— To się wie, Bóg świadkiem — rzekła Olina — przecie ty ze swoją uczonością i z tak dużym gospodarstwem koniecznie powinnaś mieć służącą!

Prawdziwa to przyjemność spotkać się z takim uznaniem i zrozumieniem rzeczy. Inger rozpędziła się na swej maszynie, aż huczało, i błyskała swym pierścionkiem na palcu.

— No, przekonałaś się teraz naocznie — rzekła Olina do swej towarzyszki — że Inger dostała złoty pierścionek.

— Chcecie go zobaczyć? — spytała Inger, zdejmując go z palca.

Olina wzięła pierścionek, oglądała na wszystkie strony, niby mała orzech laskowy, obejrzała także stempel, po czym rzekła:

— Tak, tak, jest tak, jak mówiłam: z Inger to prawdziwa bogaczka.

Towarzyszka Oliny wzięła pierścionek ze złości i uśmiechała się nieśmiało.

— Pobaw się nim trochę — rzekła Inger. — Włóż go sobie na palec, nie zepsuje się!

Miła była Inger i dobra. Opowiadała o katedrze w Trondheim¹¹⁴ i tak rozpoczęła:

— Widziałyście kiedy katedrę w Trondheim? Ale prawda, wyście przecie nie byli w Trondheim!

Katedra stała się jednocześnie jedynym jej kościołem, broniła go, przechwalała się nim, opisywała jego wysokość i szerokość, ach, cudny jak bajka! Siedmiu księży głosi w nim kazania jednocześnie, a mimo to jeden drugiego nie słyszy.

— W takim razie nie widziałyście też studni świętego Olafa¹¹⁵! Znajduje się ona w środku katedry i jest bez dna, taka głęboka. Pewnego razu rzuciliśmy w nią kamień, ale on leciał i leciał, i do dna wcale nie doleciał.

— Nie doleciał do dna! — szeptały słuchaczki i kręciły głowami.

— Ale oprócz tego znajduje się w katedrze tysiące innych cudowności! — zawołała Inger z zachwytem. — Jest tam szata, cała z najszlachetniejszego srebra, która należy do świętego Olafa. Był tam też mały kościółek wykuty w całości z jednej bryły marmuru, ale kościółek ten zabrali nam podczas wojny Duńczycy...

Kobiety zabierały się do odejścia. Olina wyciągnęła Inger do spiżarni, gdzie, jak wiedziała, spoczywały liczne rzędy serów, i ostrożnie drzwi za sobą zamknęła.

— Czego chcesz? — spytała Inger.

— Os-Anders nie odważy się już tu zajrzeć — szepnęła Olina.

— Ach tak!

— Po tym wszystkim, co tobie wyrządził, zakazałam mu tu przychodzić.

— Dobrze, dobrze! Ale w tym czasie był już tu kilka razy, a zresztą niech przychodzi, nie boję się go!

— Nie — rzekła Olina — ale co wiem, to wiem, jeżelibyś chciała, mogłabym zrobić donos na niego.

— Tak — rzekła Inger — nie, to niepotrzebne.

¹¹⁴katedra Nidaros w Trondheim — gotycka katedra wybudowana w 1152 w norweskim mieście Trondheim; największa świątynia w Skandynawii, zbudowana w miejscu pochówku króla Olafa II, który wprowadził w Norwegii chrześcijaństwo. [przypis edytorski]

¹¹⁵Olaf II Haraldsson (995–1030) — król Norwegii, święty Kościoła katolickiego; zaprowadził w kraju chrześcijaństwo. [przypis edytorski]

A jednak nie było to rzeczą nieprzyjemną, że Olina trzymała jej stronę, kosztowało ją to wprawdzie mały kozik serek, lecz jakże pięknie Olina zań dziękowała:

— Zawsze mówiłam i mówić nie przestanę: Inger długo się nie namyśla, a gdy daje, daje hojną ręką. Ano, nie boisz się Os-Andersa, ale ja nakazałam mu, żeby ci w oczy więcej nie wlażył. Dla ciebie to zrobiłam.

— Może tu przyjść, już mi nie zaszkodzi.

Olina nastawiła uszu:

— Tak, dowiedziałas się o jakimś środku przeciwko temu?

— Nie będę już miała dzieci — rzekła Inger.

Trafiła kosa na kamień. Olina wiedziała przecie, że Lapończyk Os-Anders przed-wczoraj przeniósł się do wieczności...

Czemu Inger nie miała mieć więcej dzieci? Wszakże z swym mężem żyła w zgodzie, a nie jak pies z kotem! Każde z nich miało swoje przywary, lecz kłócili się rzadko kiedy, a jeżeli się pogniwiali, to nie na długo. Inger dzisiejsza umiała też czasami być ową Inger dawną, wtedy aż huczało od jej roboty w stajni i w polu i zdawało się, że się opamiętała i nawróciła. Wtedy też Izak patrzył na nią wdzięcznymi oczyma i gdyby należał do tych, którzy natychmiast swoje myśli wypowiadają, byłby rzekł niewątpliwie: „Co się dzieje? Hm! Chyba żartujesz!” lub jakie inne słowa uznania. Ale on milczał długo i spóźniał się ze swoją pochwałą.

Rodzic mogła być przecież i po pięćdziesiątce, a ona tymczasem wyglądała tak, jakby nie skończyła jeszcze czterdziestki. W więzieniu wszystkiego się nauczyła — czyżby poznała tam również i niektóre fortele kobiece? Przystawanie z innymi dzieciobójczyniami odsłoniło przed nią wiele tajemnic, a może też to i owo zasłyszała od panów dozorców, lekarzy? Kiedyś opowiedziała Izakowi, jak to pewien młody medyk wyraził się o jej przestępstwie:

— Po jakiego diabła sądy wymyślają kary za zabójstwo dzieci, choćby to nawet były dzieci zdrowe i nieułamne? Takie noworodki to przecież nic innego jak bryła mięsa.

Izak wybuchnął:

— To chyba był potwór?

— On?! — zawołała Inger i opowiadała następnie, jaki był dla niej dobry i że on właśnie namówił innego lekarza, żeby zoperował jej usta i zrobił z niej człowieka.

Tak, teraz miała tylko małą bliznę i teraz dopiero jest kobietą prawdziwie ładną, roslą, lecz nie opasłą, o śniadej cerze i bujnym włosie. Latem chodziła najczęściej boso z wysoko podkasaną kiecką. Izak wtedy przyglądał się chciwie nogom jej obnażonym aż po uda — któż by im się nie przyglądał?!

Nie swarzyli¹¹⁶ się, nie, Izakowi brakło daru wymowy, a Inger powróciła z zakładu z językiem nader obrotnym, Na kłótnię co się zowie, gruntowną, kłoc ten, mocny ten człowiek potrzebował dużo czasu do namysłu, w omłocie słów jej gubił się po prostu i niewiele z siebie wydobywał, oprócz tego zaś serce miał dla niej, miłość mocną i niezachwianą. Zresztą nieczęsto potrzebował się bronić, Inger nie atakowała go; pod wielu względami był to człek doskonały i jeżeli nie na pochwałę, to na naganę Inger nigdy sobie nie zasłużył.

Czemuż by miała się uskarżać? Dalibóg, nie było powodu, przecież gorszych chłopów nie brak! Czyż może zestarzał się i zdarł już siły swoje? — Owszem, od czasu do czasu nawiedzały go chwile zmęczenia, ale nie było to nic poważnego, co by mu mogło szkodzić. Dawne swoje zdrowie i krzepę zachował w zupełności, podobnie jak ona, a podczas współżycia wypełniał swój obowiązek co najmniej tak samo jurnie jak ona.

Nie grzeszył jednak nadmiarem elegancji i nadobności. Pod tym względem Inger go przewyższała. Nieraz też zapewne pomyślała, że widziała już bez porównania urodziwszych panów w pięknych garniturach i z laseczkami. Panów z chusteczką w kieszonce i w sztywnym kołnierzyku, o, ci miejscy panowie! Dlatego też traktowała Izaka jako tego tylko, kim był, jedynie według jego zasług. Był osadnikiem leśnym, gdyby nie owa nieszczęsną zającza warga, nie byłaby się za niego wydała. To było teraz dla niej jasne. Ognisko, którego kapłanką za sprawą Izaka się stała, bytowanie na bezludziu było w gruncie rzeczy bardzo mierne; mogła była wyjść za mąż w swej wsi rodzinnej i żyć między ludźmi,

¹¹⁶swarzyć się — spierać się, kłócić się. [przypis edytorski]

zamiast tu w górach na pustkowiu zdzićzeć zupełnie niby czarownica. O tak, inne miała teraz wymagania, już nie dla niej pobyt na pustkowiu...

Otóż to, jak zmieniają się poglądy! Inger nie umiała już cieszyć się przychówkiem szczególnie udatnego cielaczka albo klaskać w dłonie z nadmiaru podziwu, gdy Izakowi udał się jakiś nadzwyczajny połów ryb. Nie, przez sześć lat obracała się w stosunkach całkiem innych, światowych. Tak, tak, powoli też minęły owe dni uprzejmego i czułego zapraszania do stołu. Teraz przywoływała go mniej uprzejmie: „No, rusz się, obiad stygnie!”. Taki ton! Najpierw zdziwiła go ta nagła zmiana, ta tak opryskliwa i nieuprzejma forma zaproszenia, więc odparł: „Nie wiedziałem, że obiad na stole”. Lecz, gdy dowodzić poczęła, że powinien orientować się według słońca, wtedy zamilkł.

A raz jednak przydybał ją i ostro się do niej zabrał! Było to wtedy, gdy chciała mu ukraść pieniądze. Więc wściekł się, ale nie dlatego, jakoby był chciwy na grosze, jeno że pieniądze stanowiły jego wyłączną własność. Ho, ho, w takiej chwili mógłby uszkodzić ją na całe życie! A jednak Inger nie była przecież tak bezecna i bezbożna, nie dla siebie chciała tych pieniędzy, lecz dla Elizeusza, dla kochanego Elizeuszka w mieście, który znowu prosił o talary. Miałże z pustymi kieszeniami obracać się wśród elegantów miejskich?! Mogłoż pozwolić na to jej serce macierzyńskie?! Pierwszym razem prosiła Izaka o pieniądze, lecz bezskutecznie, dlatego sama wzięła. Jak się to jednak stało, czyżby jej Izak nie dowierzał, czy też był to ślepy traf, dosyć, że sprawka wydała się natychmiast i w tejże chwili chwycił ktoś Inger z tyłu za ręce, w górę podniósł i z siłą grzmotnął na ziemię. — Było to coś niespodziewanego, coś w rodzaju runięcia w przepaść. O, ręce Izaka były wciąż jeszcze niezdarne i żelazne! Inger jęknęła głośno, głowa jej w tył opadła, dygotała na całym ciele i wyciągnęła ku niemu drżącą rękę z talarem.

I teraz nawet Izak się nie rozgadał, aczkolwiek Inger wcale mu w tym nie przeszkadzała. Dysząc ciężko, wyrzucił z siebie jeno:

— Młócić cię trzeba, bo inaczej do cna się rozpuścisz!

Jak on się zmienił! O, raz wreszcie dał upust swej z dawna tłumionej złości!

Minął potem dzień bardzo smutny i bardzo długa noc, i jeszcze jeden dzień. Izak poszedł sobie i spał na dworze, Sywert towarzyszył ojcu. Inger miała Poldynkę i bydłatkę, ale mimo to czuła się osamotniona, płakała wciąż i potrzasała głową: tak silne wzruszenie przeżyła raz tylko, gdy udusiła swoje dziecko. O tym wciąż teraz myślała...

Matka, Pieniądz, Kradzież,
Mąż, Gniew, Przemoc

Gdzież się podział Izak z synem? Nie próżnowali, sianokosom wprowadzie uszczknęli dzień i jeszcze trochę, ale za to hen nad jeziorem górskim zbudowali łódź. Oczywiście był to sprzęt, pożal się Boże, niezdarny i bez jakichkolwiek ozdób, ale mocny i szczelny, jak wszystko, co wyszło z ich ręki. Nareszcie mieli łódź, odtąd mogli ryby łowić siecią.

Wracając, zastawali siano tak samo suche jak przedtem. Splatali niebu figla, jak się patrzy, i wygrali. Łódź gotowa i siano niezmoknięte. Nagle Sywert wskazał ręką i zawołał:

— Matka była przy sianie!

Ojciec spojrział na łękę i rzekł:

— Tak.

Izak dawno już był spostrzegł, że część siana zniknęła, a w tej chwili Inger kręci się zapewne przy domu. Po wczorajszej groźbie kijów i po potrząśnięciu wynik nadszpiewany. Było to siano dobre i ciężkie, musiała się więc nałożyć rzetelnie, a prócz tego miała dójkę¹¹⁷ wszystkich krów i kóz.

— Idź jeść! — rzekł Izak do syna.

— Ty nie będziesz jadł?

— Nie.

Sywert zniknął w chacie, a po chwili ukazała się na progu Inger. Stała pokornie i rzekła:

— Nie gniewaj się, chodź do izby i zjedz trochę.

Na to Izak jeno warknął i rzekł:

— Hm!

¹¹⁷dójka — tu: dojenie zwierząt hodowlanych. [przypis edytorski]

Ale widać Inger spokorniała, było to w ostatnich latach czymś tak niezwykłym, że roztajać musiał wszelki upór Izakowy.

— Gdybyś do mych grabi wsadził kilka zębów, mogłabym dalej grabić — rzekła. Z prośbą swoją zwróciła się do pana domu, do głowy domu i wdzięczna była za to, że nie dał jej odpowiedzi urągliwej i odmownej.

— Dosyć już zgrabiłaś i zwiozłaś — rzekł.

— Nie, nie dosyć.

— Teraz nie ma czasu na naprawę grabi, widzisz przecie, że niebo się chmurzy.

Co powiedziawszy, Izak poszedł do roboty.

Pragnął ją oszczędzać, tych kilka minut straconych na naprawę grabi nagrodziłoby się dziesięciokrotnie, gdyby Inger stanęła do dalszej pracy na łące. Mimo wszystko atoli Inger stawiała się ze swymi grabiami i zgarniała siano, aż się kurzyło. Zjawił się Sywert z koniem i wozem; wszyscy troje pracowali w największym natężeniu sił, pot ciurkiem z nich spływał, ale siano zwieziono. Był to prawdziwy majstersztyk sprawności i pośpiechu. Izak ugrzązał znowu po uszy w medytacjach: rozmyślał o mocy wyższej, która wszelkimi naszymi krokami kieruje, od kradzieży jednego talara poczynawszy, aż do zwózki olbrzymich kup siana. A nadto miał gotową łódź; tyle lat o niej myślał, a oto spoczywała już wykończona na górskim jeziorze.

— Hej, hej, mocny Boże! — westchnął głęboko.

XV

Wszystko razem wzięwszy, był to wieczór osobliwy, chwila przełomowa, Inger nareszcie znalazła się na właściwym miejscu przez jedno jedyne silne podniesienie z ziemi. O zdarzeniu tym nie wspominali w ogóle, nieco później Izak wstydził się nawet z powodu owego talara, drobiazgu, którego przecież pozbyć się musiał, ponieważ daleki był od skąpienia pomocy Elizeuszowi. A prócz tego czyż pieniądze jego nie były tak samo własnością Inger? Nastął czas, kiedy Izak rozgrzeszył ją i na siebie złożył całe brzemie winy. Różne bywały czasy, bardzo różne, oto Inger zmieniała swoje zapatrywania! Tak, powoli spuszczała z tonu i stała się znowu ową poważną, miłą kobietą na osiedlu. Że też to pięści męskie tak znacznych mogą dokonać przeobrażeń! Ale stało się tak, jak być powinno; szło tu o tęgą, dzielną kobietę, którą wykoleił długi pobyt w sztucznej atmosferze — godziła ona w męża, który wszelako stał na mocniejszych nogach. Swego przyrodzonego miejsca na ziemi, swej posiadłości ziemskiej ani na chwilę nie opuścił. Usunąć go stąd było niepodobieństwem.

Różne bywały czasy... Następnego roku panowała znowu susza i poważnie zmniejszały plony, i nadgryza otuchę osadników. Kłosa na polu paliły się, atoli ziemniaki — owe osobliwe ziemniaki — nie marniały, jeno kwitły, kwitły. Łąki powoli szarzały, ale ziemniaki kwitły. Wszystkimi sprawami kierowała moc wyższa, ale łąki poczynaly szarzeć.

Wtedy któregoś dnia zjawił się Geissler, dawny sołtys Geissler. Raz wreszcie się znowu pokazał. Łaska Boża, że żył i znowu przyszedł. Ciekawa rzecz, po co on przyszedł?

Tym razem wszelako nie przyniósł ze sobą dużego kufra ani dokumentów co do kupna gór itp. Przeciwnie, ubrany był bardzo skromnie, zarost jego posiwił, a oczy otoczone były czerwoną obwódką. Nie towarzyszył mu żaden tragarz, miał jeno tekę do akt, nic poza tym, ani nawet pospolitej torby podróźnej nie posiadał.

— Dzień dobry! — rzekł Geissler.

— Dzień dobry! — odpowiedzieli Izak i Inger. — Pan znowu podróżuje?

Geissler skinął głową.

— Dziękuję także za odwiedzenie mnie w Trondheim — dodała Inger.

Izak przytaknął również i rzekł:

— Tak, my oboje dziękujemy panu serdecznie.

Ale Geissler był szczery i oświadczył z miejsca:

— Spieszę na drugą stronę, do Szwecji.

Jakkolwiek susza srodze Izaków trapiła, to przecież rozweselili się obecnością Geisslera. Nowy duch w nich wstąpił. Ugościli go suto, promienieli radością, że mogą okazać mu serdeczność i wdzięczność — wszakże uczynił dla nich tyle dobrego.

Sam Geissler był swobodny, bynajmniej nie przygnębiony. Snuł natychmiast najróżniejsze plany, przez okno spoglądał na pola i z zadowoleniem kiwał głową. O, wciąż jeszcze trzymał się prosto i wyglądał tak, jakby miał przy sobie kilkaset talarów. Wraz z nim zstąpiło do chaty życie i radość, nie dlatego, jakoby był hałaśliwy, nie, jeno posiadał taki dziwnie ujmujący sposób prowadzenia rozmowy.

— Sellanrå to doprawdy wspinała miejscowość! — rzekł. — Coraz więcej ściąga tu ludzi, naliczyłem już pięć osad, a może jest ich więcej?

— Ogółem siedem, dwie znajdują się głębiej, z gościńca dojrzeć ich nie można.

— Siedem folwarków, czyli około pięćdziesięciu dusz. Powoli zabuduje się cała okolica. A macie już prawo do utrzymywania własnej szkoły?

— A jakże.

— Słyszałem coś o tym. Macie szkołę na gruncie Bredego, jako że znajduje się w samym środku pustkowia. He, he, więc Brede został gospodarzem! — Geissler uśmiechnął się lekceważąco. — O tobie, Izaku, dużo słyszałem, wszyscy opowiadają, że tęgi z ciebie majster. Bardzo się cieszę! To i tartak sobie postawiłeś?

— Tak, taki sobie. Ale przydatny. Niejedną już belkę przycięło się dla sąsiadów.

— Doskonale, tak być powinno!

— Nie chciałby go pan zobaczyć? Ucieszyłbym się, gdybym usłyszał, co pan o nim powie.

Geissler skinął na znak zgody i wyraził gotowość dokładnego zwiedzenia tartaku i wypowiedzenia swej opinii, zupełnie jakby się na tym znał. Jednocześnie spytał:

— Miałeś przecie dwu chłopaków, gdzie drugi? W mieście? W biurze? Hm! — rzekł Geissler. — Ale ten tutaj ci się udał, chłop jak świeca! Jak ci na imię?

— Sywert.

— A drugiemu?

— Elizeusz.

— I w biurze inżynierskim siedzi? Czegóż się tam uczy? Toć to psi chleb, wieczne głodowanie. Mógł być przyjść do mnie.

— O tak, to prawda — odparł Izak więcej z uprzejmości niż z przekonania. Żał mu było Geisslera. Poczciwy Geissler nie wyglądał na to, żeby mógł zatrudniać kogoś obecnie. Na pewno wiodło mu się teraz nie najlepiej, wystarczyło spojrzeć na jego postrzępione rękawy.

— Nie wzułby pan suchych pończoch? — spytała Inger, kładąc przed nim parę najpiękniejszych własnego wyrobu.

— Nie, dziękuję — odparł krótko, jakkolwiek z pewnością miał nogi do cna przemoczone. — Szkoda, że do mnie nie przyszedł — ciągnął dalej. — Bardzo by mi się przydał, — Co mówiąc, wyjął z kieszeni małą srebrną tabakierkę i bawił się nią w zamyśleniu. Była to może ostatnia kosztowność, jaka mu pozostała z dawniejszych czasów.

Ale niepokój jakiś trawił go aż nadto widocznie i w rozmowie przeskakiwał z przedmiotu na przedmiot. Schował tabakierkę i znowu zaczął o czymś nowym:

— Jakże szare twoje łąki! Poprzednio myślałem, że to cień. Czemu to właśnie u ciebie musi się wypalać? Sywert, chodź jeno ze mną!

Żwawo podniósł się od stołu, podziękował Inger za jedzenie i zniknął. Sywert poszedł za nim.

Udali się nad rzekę. Przez całą drogę Geissler śledził dokoła mądrymi oczyma, nagle przystanął i rzekł:

— Tutaj! — Po czym objaśnił: — Tak daleko być nie może, żeby wam się ziemia paliła. Przecież macie tu rzekę wszechmocną, skąd możecie czerpać wodę. Jutro łąka na nowo się zazieleni!

Zdumiał się Sywert i zdołał tylko wykrztusić:

— Tak!

— Teraz wykopiesz mały, spadzisty rów, grunt jest tu równy. Tu i przy rzece ustawimy rynny. Macie tartak, musicie więc mieć i trochę długich desek. Tak! A teraz przynieś motykę i łopatę i w tym miejscu zacznij kopać. Ja zaraz tu wrócę i naznaczę porządną linię.

Pobiegł do chaty, a w butach jego aż kłaskało, tak były przemoczone. Zapędził natychmiast Izaka do zbijania rynien: potrzeba wielu rynien i trzeba je ułożyć tam, gdzie

przekopywanie rowu nie jest wskazane. Izak próbował oponować, iż to daremna robota, ponieważ droga jest za daleka i ziemia za sucha oraz że woda w ziemię wsiąknie, zanim dopłynie do łąki. Geissler przyznał, że owszem, ziemia w rowie nałyka się najpierw do sytości, ale potem już popłynie dalej i napoi wilgocią wszystkie grunty.

— Jutro o tym czasie, zobaczysz, odżyją na nowo pola i łąka.

— Ano — rzekł Izak i zabrał się do zbijania rynien.

Geissler wrócił do Sywerta.

— Doskonale! — zawołał. — Tylko tak dalej! He, he, zaraz to spostrzegłem, że dzielny z ciebie chłopak! Rów poprowadzisz ściśle wedle kołków, które tu zatykam. — I znowu pobiegł do Izaka: — Jedna rynna gotowa, ale pamiętaj, sześć ich potrzeba. Spiesz się, spiesz, jutro wszystko się zazieleni i żniwa będą uratowane!...

Geissler przysiadł na pagórku i był zachwycony; gawędził, a myśli jego zmieniały się błyskawicznie.

— Masz trochę smoły i pakul? Doskonale, u ciebie niczego nie braknie. Bo widzisz, początkowo będą rynny przeciekały, potem jednak napęcznieją i staną się szczelne niby zalakowana butelka. Powiadasz, że pozostało ci nieco smoły i pakul po budowie łodzi, no, a gdzie masz tę łódź? Na górze, na jeziorze? Muszę ją zobaczyć!

O, Geissler tak wiele obiecywał! Był to trzpiot nie lada, jeszcze bardziej niespokojny niż dawniej. U niego wszystko się paliło, wszystko musiało się robić piorunem, szastu-prastu! Nie był on wolny od samochwalstwa. Oczywiście tkwiła w nim skłonność do przesady. Było wręcz niepodobieństwem, żeby pola i łąka miały zazielenić się w ciągu jednej nocy; ale Geissler niedługo się namyślał i prędko postanawiał. Człek doprawdy osobliwy.

— Ile już tam masz rynien? Za mało! Im więcej ich ustawisz, tym szybciej popłynie woda. Zobaczysz, nie pożałujesz, jeśli zbijesz z dziesięć albo dwadzieścia rynien dziesięciolokciowych. Co mówisz, posiadasz deski dwunastolokciowe? Bierz je, opłacą się na jesieni!

I znowu go coś poderwało. Wstał i pobiegł w górę do Sywerta.

— Doskonale! Ach setny¹¹⁸ chłop z ciebie, Sywercie! Doskonale! Ojciec twój robi rynny, będzie ich więcej, niż przypuszczałem. Biegnij teraz do ojca, a żwawo, i przynieś to, co gotowe, zaczniemy!...

Przez całe popołudnie trwało wściekle uganianie, wariacka praca w tempie wyścigowym, obcym im dotychczas. Nie spoczęli na chwilę, nawet na jedzenie nie mieli czasu. Ale patrzcie — woda już spływała! Tu i ówdzie musieli rów pogłębić, tu i ówdzie trzeba było naprawić położenie rynny, ale woda płynęła! Wszyscy trzej uwijali się do późnego wieczora, naprawiali i ulepszali swoje dzieło, do cna nim pochłonięci. A gdy woda poczęła już coraz szerzej rozlewać się na wyschłej ziemi, wtedy w sercach osadników rozbłysnął jasny promień radości.

— Zapomniałem zegarka, która jest teraz? — spytał Geissler. — Tak, zielono tu będzie jutro o tym czasie — rzekł.

W nocy Sywert zerwał się z posłania i pobiegł do ścieku. Tam też spotkał ojca, który również wyszedł, żeby się przekonać, jak woda leci. Ach Boże, co za naprężenie i co za zdarzenie na pustkowiu!

Ale następnego dnia Geissler długo nie ruszał się z łóżka, był do niczego, zapal go opuścił. Zabrakło mu nawet ochoty na obejrzenie łodzi i z wysiłkiem tylko zdobył się na to, że przynajmniej tartak zwiedził. Nawet i ściekiem przestał się zajmować. Gdy ujrzał, że łąka przez noc się nie zazieleniła, stracił otuchę; nie brał tego pod uwagę, że woda spływała bez przerwy, użyźniając coraz szersze łany. Mimo to trzymał się jako tako i rzekł:

— Być może, że dopiero jutro ujrzysz wyniki, ale bądź dobrej myśli.

Nad wieczorem przyczłapał Brede Olsen. Przyniósł próbki skałek, żeby pokazać je Geisslerowi.

— Moim zdaniem ich wartość jest niepospolita — rzekł Brede.

Ale Geissler na kamienie nawet nie spojrział.

— To ty w taki sposób zajmujesz się gospodarstwem, że wałęsas się po górach i bogactw szukasz? — spytał szyderczo.

¹¹⁸setny (daw.) — znakomity, wyborny. [przypis edytorski]

Brede atoli nie był już owym dawnym Breдем, nie mógł więc ścierpieć, żeby mu dawny sołtys w dalszym ciągu urągał. Zaperzył się tedy, zaczął go „tykać” i palnął:

— Ja tam twojego gadania wcale nie słucham!

— Nie mądrego dotychczas nie wymyśliłeś, robisz same głupstwa i tyle — odparł Geissler.

— A ty co? — rzekł Brede. — Coś zrobił przez cały ten czas? Kupiłeś górę, która jest bez wartości. He, he, tyś mi się udał, he, he, mądrała z ciebie, jakich mało!

— Precz stąd! — huknął Geissler.

I rzecz dziwna, Brede zastosował się do rozkazu bardzo skwapliwie, pospiesznie zarzucił na plecy wór z kamieniami i wyszedł bez pożegnania.

Geissler zajął dawne miejsce przy stole i jał pilnie przeglądać swoje papiery. Był czerwony jak burak. Chciał uprzytomnić sobie, jak się sprawa ma z ową górą miedzianą, z kontraktem, z analizą, przecież to prawie szczerą miedź, dobra ruda, musi z tym coś począć, nie powinien tego zaniedbywać.

— Bo widzisz, to jest właściwy powód, dla którego tu przyszedłem — odezwał się do Izaka. — Mam zamiar sprowadzić tu sporo robotników i urządzić wielką kopalnię. Co ty na to?

Izakowi zrobiło się znowu żal Geisslera, dlatego nie oponował.

— To nie jest dla ciebie sprawa obojętna — mówił Geissler dalej, — Wtedy przybyłoby tu wielu ludzi, rozlegałby się hałas i huk eksplozji, nie wiem, czyby ci się to podobało. Chociaż z drugiej strony rozpocząłby się tu wielki ruch przyjezdnych i nowe życie i mógłbyś dużo zarobić na sprzedaży sera, mleka, masła i tak dalej. Mógłbyś dużo na tym zarobić.

— Tak — rzekł Izak.

— A swoją drogą otrzymywałbyś wysokie procenty z kopalni. Zgarnąłbyś krocie!

— Już i tak za wiele mi pan wypłacił...

Nazajutrz Geissler opuścił folwark i powędrował na wschód, ku Szwecji. Izak chciał mu towarzyszyć, ale usłyszał odpowiedź: „Dziękuję, nie trzeba”. Dziwne rzeczy działy się w sercu Izaka na widok tak samotnie odchodzącego biedaka. Inger dała mu na drogę spory zapas żywności, nawet andrutów upiekła dla niego. Oprócz tego chciała dołączyć i śmietany butelkę, i dużo jaj, czego jednak nie przyjął. Inger bardzo się z tego powodu zmartwiła.

Geisslerowi przykro było rozstawać się z Sellanrå, ponieważ nie miał czym zapłacić za gościnę, on zaś lubił płacić za wszystko. Dlatego żegnając się, rzekł do Poldynki.

— Weź to na pamiątkę ode mnie! — I wręczył jej swoją tabakierkę, srebrną tabakierkę! — Możesz jej użyć do przechowywania szpilek. Co prawda nie bardzo ładna, w domu mam ładniejsze, miałbym tam niejedno dla ciebie...

Lecz po odejściu Geisslera pozostało jedno — ściek, który pracował dzień i noc, tydzień za tygodniem, dzięki któremu zazieleniły się pola, przekwitły ziemniaki i w kłosach ziarno dojrzało.

Sąsiedzi bliżsi i dalsi schodzili się jeden po drugim, żeby obejrzyć to чудо. Przyszedł i Aksel Ström, właściciel Månelandu, człek samotny i niemający nikąd pomocy, a przecież dający sobie radę z wszystkim. Był on dziś weselszej myśli, ponieważ przyrzeczono mu na lato dziewczynę do pomocy, skutkiem czego spadł mu kamień z serca! Nie wymieniał nazwiska dziewczyny i Izak nie wypytywał go o to, ale chodziło tu o Barbro Bredegę, potrzebne były tylko pieniądze na telegram do Bergen. No i Aksel, aczkolwiek był człowiekiem oszczędnym, ba, nawet wręcz skąpym, poświęcił pieniądze na telegram.

Aksela zwabiła tu sztuczna struga Izakowa, okazywał szalone dla niej zainteresowanie i przyjrzał się jej uważnie od końca do końca. Na jego osiedlu brakło wprawdzie większej rzeki, ale przepływał dość wartki strumyk. Brakło mu również desek do rynien, ale ściek można było przeprowadzić chyba równie dobrze za pomocą bardziej spadzistego rowu. W niższej części jego gospodarstwa stan wegetacji nie przedstawia się tak rozpaczliwie, gdyby jednak susza trwać miała dłużej, nawodnienie byłoby i tam konieczne.

Przyjrzawszy się wszystkiemu, zamierzał odejść. Wobec czego Izak i Inger zaprosili go do chaty, ale on oświadczył, że bardzo mu się spieszy, ponieważ dziś jeszcze pragnie rozpocząć kopanie rowu. I poszedł.

O, był to człowiek całkiem inny niż Brede!

Teraz też Brede zdobył ważny powód do wycieczek poprzez torfowiska, by popaplać o sztucznej strudze na Sellanrå!

— Tak to bywa, jeżeli się jest za pilnym na swym gospodarstwie — mówił. — Najpierw kopał i kopał rowy w celu osuszenia, a dziś musi kopać rowy, żeby pola swoje nawodnić.

Izak był cierpliwy, ale często, coraz częściej pragnął uwolnić się od tego próżniaka i gaduły. Brede miał obowiązek utrzymywania w porządku linii telegraficznej. Ale obowiązkowość i Brede to dwa wrogie sobie światy. Władza zwierzchnia kilkakrotnie już zmyła mu głowę i teraz właśnie po raz drugi zaproponowano Izakowi przyjęcie służby po Bredem. Ano, Brede zupełnie telegraf zaniedbał, a pochłonięty był jedyną myślą o kruszczach ukrytych w skałach górskich — był to jego bzik.

Obecnie coraz częściej zachodził do Izaka z coraz to nową wiadomością o odkrytym skarbie. Tajemniczo kiwał głową i mówił:

— Nie chwałę się, ale co znalazłem, to znalazłem! Ho, ho, świat się zdziwi!

Oto, na co marnotrawił swój czas i swoje siły. Gdy następnie zmęczony powrócił do swej chałupy, wtedy w kąt rzucał wór wypełniony nową kolekcją kamieni, prychał i sapał, i twierdził, że nikt tak nie pracuje na utrzymanie rodziny jak on, Brede. Na kwaśnym gruncie bagnistym zasadził nieco ziemniaków i kosił rosnące dokoła chaty liche trawsko — oto cała jego praca na roli. Właził na fałszywe drogi, brnął coraz dalej, beznadziejnie. Już teraz torfiasty dach jego chałupy rozlatywał się w strzępy i butwiały schody do kuchni, niewielkie toczydło wywrócone wałało się na ziemi, a wóz wciąż jeszcze stał pod gołym niebem.

Brede miał o tyle szczęśliwe usposobienie, że nie przejmował się podobnymi drobiazgami. Gdy dzieci zabawiały się kulaniem toczydła, kochany ojczulek pomagał im w tym, jakby był ich bez troskim rówieśnikiem. Lekkoduch i leniuch bez krzty powagi, najczęściej słodko uśmiechnięty, charakter słaby bez najmniejszego poczucia odpowiedzialności, lecz przemyślny w wydostawaniu środków na podtrzymanie roślinności swej rodziny. Żyli nędznie, jak zwykło się mówić — z ręki do ust. Ale kupcowi sprzykrzyło się już to wieczne żywienie Bredego i jego rodziny na kredyt, powiedział mu to już nie raz, a teraz powiedział w tonie ostrym. Brede oczywiście przyznał kupcowi słuszość i przyrzekł solennie, że niebawem ureguluje wszystko — sprzeda całe gospodarstwo, zarobi na tym, po czym spłaci wszelkie długi.

Tak, sprzeda grunt choćby i ze stratą, co mu po tym?! Tęsknił za wsią, za plotkami, próżniactwem i sklepem kupca — tęsknił za tym wszystkim, zamiast spokojnie na pracować i dorabiać się w zapomnieniu o wielkim świecie. Przepadał za ludźmi i za nowinkami, a tu, na pustkowiu, z kimże miał gadać? Był czas, że Inger była na pustkowiu jedyną istotą gadającą, ale od pewnego czasu zmieniła się, stała się znowu milczkiem.

Tak, wyprowadzając się ze wsi, skrzywdził siebie. Zazdrość go piekła na widok nowego woźnego w sołectwie i nowego woźnicy u doktora. Opuścił tych, którzy go potrzebowali i teraz radzili sobie bez niego. Jakież to woźny i jaki woźnica? Czyż nie powinni byli prosić jego, Bredego, o powrót na dawne stanowiska?!

Ale co z Barbro, czemu usiłował ulokować ją na Sellanrå? — O, dużo na ten temat gadał z swoją żoną. Gdyby się tak powiodło, czekałaby dziewczynę piękna przyszłość, a może i całą rodzinę Bredego. Posada gospodini u dwóch kawalerów w Bergen nie była zła, ale Bóg raczy wiedzieć, do czego by tam Barbro w końcu doprowadziła. Była ładna i powabna, a na Sellanrå było przecież dwu synów!

Brede atoli, zmiarkowawszy, że plan zawiódł, wymyślił plan inny. Zresztą, o co się martwić? Doprawdy, pokrewieństwo z Inger, osobą karaną, nie przynosiło zaszczytu, obecnie nie brak chłopaków na pustkowiu! Był przecież Aksel Ström. Miał grunty i gamkę, pracował i oszczędzał, i skupywał powoli inwentarz i tak dalej: był kawalerem i potrzebował babskiej pomocy.

— Tyle ci mogę powiedzieć, że w Barbro znajdziesz to, czego ci potrzeba — powiedział do Aksela. — Przyjrzyj się, oto jej fotografia...

Po kilku tygodniach przyjechała Barbro. Aksel był już w połowie sianokosów, nocą kosił, we dnie przewracał, a poza tym całe gospodarstwo spoczywało na jego barkach. Ale teraz przyszła Barbro. Zjawiała się niby dar niebios. Okazało się, że umie pracować, szorowała naczynia, prała bieliznę i gotowała, doila kozy i pomagała na łące przy grabieniu siana, a jakże, nawet siano pod dach zносиła. Była wszędzie. Aksel postanowił wynagrodzić ją sownicie.

Nie była tu tylko obrazkiem pięknej damy, o nie! Wysokiego wzrostu i smukłą, głos jej był nieco zachrypły, zdradzała dojrzałość i doświadczenie w wielu sprawach życiowych. O nie, podlotkiem już nie była. Aksela uderzyła twarz jej chuda i wynędzniała:

— Na fotografii jesteś zupełnie inna — zauważył.

— Podróż mnie tak zmarnowała, no i powietrze miejskie.

I rzeczywiście nie trwało długo, a znowu się zaokrągliła i nabrała rumieńców:

— Wierź mi, taka podróż i to szkodliwe powietrze miejskie bardzo człowieka marnują.

Dawała też do poznania, na jakie pokusy była narażona w Bergen. — O, tam trzeba się mieć na baczności! — Ale swoją drogą oświadczyła, że Aksel musi zaabonować dla niej „Gazetę Bergeńską”, ponieważ chce wiedzieć, co słychać w świecie. Nawykła teraz do czytania, do teatru i muzyki, a tu nudno, tak powiedziała.

Aksel był zadowolony z pomocy Barbro, dlatego zaabonował gazetę i tolerował jej rodzinę, która coraz częściej odwiedzała jego gamnę, nie żałując sobie jedzenia ni picia. Służącej swej pragnął sprawić przyjemność. Jakże śliczne były teraz wieczory niedzielne, gdy Barbro brzdąkała na gitarze, śpiewając jednocześnie zachrypłym nieco głosem. Aksel był tym do głębi wzruszony.

W ciągu lata poznał wprawdzie i ujemne strony Barbro, ale na ogół był z niej zadowolony. Miewała swoje humory i miała język nie od parady... Owej soboty, gdy Aksel zmuszony był zejść do wsi, do kupca, nie powinna była opuszczać gammy i inwentarza, pozostawiając wszystko na łasce opatrności. Powodem była nieznaczna kłótnia. I dokąd poszła? Do swoich tylko, do domu ojca. Aksel powrócił w nocy i nie zastał Barbro, zaopatrzył inwentarz, posilił się i udał na spoczynek. Barbro zjawiała się nad ranem.

— Chciałam sobie przypomnieć, jak się mieszka w chacie z drewnianą podłogą — rzekła szyderczo.

Co miał na to odpowiedzieć, skoro nie miał chaty, a tylko gamnę z podłogą z ubitej gliny. Oświadczył więc, że i on ma deski, i on kiedyś postawi dom jak się należy! Wtedy zdawało się, że Barbro zupełnie już się uspokoiła, i jakkolwiek była to niedziela, pobięła do lasu, przyniosła sporo gałązek jałowca, którymi wysłała gliniastą podłogę.

Ponieważ okazała tyle dobroci i troskliwości, przeto i Aksel chciał być dobry i wydobyl piękną chustkę kupioną poprzedniego wieczora. Pierwotnie zamierzał przechować ją aż do chwili, kiedy uzyska od niej coś wyjątkowego. Nie czekał jednak tej chwili, dał już teraz. Podobała jej się bardzo, przymierzała ją i pytała Aksela, czy jej do twarzy. O, nadzwyczajnie, zresztą jej we wszystkim do twarzy, choćby w koszyku na głowie! Na to roześmiała się głośno i pragnęła się odwzajemnić:

— W Bergen chodziłyśmy wszystkie w kapeluszach, naturalnie z wyjątkiem dziewczyn ze wsi. Ale ta chustka więcej mi się podoba niż kapelusz...

Tedy znowu prawdziwa przyjaźń!

A gdy Aksel wydobył przyniesioną wczoraj z poczty gazetę, Barbro usiadła natychmiast i rozczytywała się w najnowszych wiadomościach ze świata. Czytała o włamaniu u złotnika bergeńskiego przy ulicy Nadmorskiej, o bójce Cyganów, o zwłokach noworodka, zawiniętych w starą koszulę i znalezionych we fiordzie.

— Czyj to może być noworodek? — dociekała Barbro. Ulegając dawnym nawykom, przeczytała także i rubrykę z cenami targowymi.

Tak minął wieczór.

XVI

Na Sellanrå poważniejsze zmiany. Nie tak dawne lata, jak panowała tu pustka i dzicz zupełna, a dziś — nic z tego. Powstały więc najróżniejsze budynki, tartak i młyn, a na

miejscu ugorów — uprawne pola i łąki. Ale na tym jeszcze nie koniec. Najosobliwsza zmiana dokonała się w Inger, stała się znów całkiem inna i nad wyraz dzielna.

Zajście podczas minionego lata nie zdołało zapewne tak od razu pokonać jej lekko-myślności. W początkach zwłaszcza trudności były wielkie: kilka razy przyłapywała się na tym, że już, już chciała rozwodzić się na temat zakładu i katedry w Trondheim. Ach, takie nic nieznaczące, niewinne drobiazgi. Z palca zdjęła pierścionek, a swawolnie przykrótką spódnicę nieco przydłużyła. Była często zadumana, gwar na osiedlu przycichł, odwiedziny ustały, dziewczyny i kobiety ze wsi zachodziły tu coraz rzadziej, ponieważ Inger nie wda-wała się już w pogawędkę. Na wsi nie można ustawicznie śmiać się tylko i dowcipkować — radość to nie zabawa.

Na wsi każda pora roku przynosi swoje cuda, lecz wieczyste i niezmiennie pozostają tajemnicze, niedocieczone rozmowy¹¹⁹ nieba i ziemi, ciemnia boru, łaskawość drzew... Wszystko dokoła brzemienne jest życiem, myśl wszelka zrodzić się tam może. Na północ od Sellanrå znajdował się mały stawek, kałuża rozmiarów jakby akwarium. Uwijały się tam czeredy drobnutkiej ryby, zawsze malutkiej, nikłej, nigdy niewyrastającej, żyły i ginęły, i do niczego nie były przydatne, miły Boże, zgoła do niczego! Pewnego wieczora Inger tam przystanęła i nasłuchiwała dzwonków bydła. Nie słyszała dzwonków, cisza panowała dokoła, aż nagle usłyszała dobywający się z kałuży śpiew. Cichy był i zaledwie dosłyszalny jakby tchnienie przedśmiertne. Był to śpiew malutkich rybek.

Sellanrå położone było tak korzystnie, że mieszkańcy jego każdej jesieni i wiosny widzieli przelatujące ponad pustkowiem sznury dzikich gęsi i słyszeli ich zmieszany gęgot, który brzmiał przeciągle, niby nawoływanie tęskliwe i miłosne wabienie. I wtedy zdawało się, że na czas ciągu świat się zatrzymał. Wtedy obezwładniało ludzi jakieś uczucie słabości. Potem zabierali się na nowo do pracy, ale wprzód westchnęli głęboko. Musnęło ich tchnienie z tamtego świata...

Dokoła nich działy się ustawicznie wielkie dziwy. Zimą migotały gwiazdy i jaśniała zorza północna — firmament rozplomieniony, pożar na wysokościach u Boga. Kiedy niekiedy, nieczęsto, nawiedzał ich grzmot, głównie jesienią. I wtedy ludzie i zwierzęta stawali się dziwnie poważni i uroczyści. Bydło pasące się na łące stłaczało się trwożnie i nasłuchiwało wyczekująco. Czego? Czyżby końca świata? A czego oczekiwali mieszkańcy pustkowie, gdy podczas przeciągłego grzmotu i głuchego trzasku piorunów przerywali pracę i stali ze spuszczoną głową?

Wiosna — tak, wiosna ze swą nagłością, swawolą i zachwytem; ale jesień?! O, jesień nastrojała ludzi całkiem inaczej. Wtedy ćma¹²⁰ nocna napawała ich częstym lękiem i wtedy też uciekali się do modlitw wieczornych, stawali się jasnowidzami i słyszeli tajemnicze głosy prorocze.

Zdarzało się, że któregoś dnia jesiennego wychodzili z chaty — mężczyźni, żeby na przykład przynieść drzewa, kobiety zaś, żeby spędzić bydło goniące teraz jakby ogłupiałe za grzybami. Lecz wtedy wracali zawsze z sercem przepełnionym najróżniejszymi widziadłami. Czy nieogłędnie przydepnęli może odwłok mrówki, uniemożliwiając jej ruch i dalsze życie? Albo też przybliżyli się zbyt do jakiegoś gniazda śnieguły i samica wyleciała na-przeciw nich z groźnym sykiem? A nieraz i wielki wołak¹²¹ nie był bez znaczenia. Wszakże grzyb ten nie kwitnie i z miejsca się nie rusza, a przecież jest w nim coś ze wstrząsającej niezwykłości, jest to potwór podobny do płuca, które nagie i bez osłaniającej je powłoki żyje swym własnym życiem.

Na koniec opadła Inger melancholia, przytłaczało ją pustkowie, stała się pobożna. Czy mogło być inaczej? Taki już los każdego na pustkowie, gdzie nie tylko miejsce dla dążeń ziemskich i dla świeckości, ale gdzie wszystko usposabia do pobożności i bogobojności, a przede wszystkim do zabobonu. Inger uświadamiała sobie, że więcej niż ktokolwiek musi być przygotowana na karę niebios, która z pewnością jej nie ominie. Wiedziała, że Bóg chodzi wieczorami po całym pustkowie i że posiada wszystkowidzący wzrok. On na pewno ją odnajdzie. Zresztą cóż innego pozostało jej do roboty? O, wszakże nie potrzebowała się pysznić złotym pierścionkiem i mogła była pisywać do Eli-zeusza, żeby się nawrócił. Poza tym jednak powinna była pracować i nie oszczędzać się.

Zima

¹¹⁹rozhovor (daw., reg.) — rozmowa. [przypis edytorski]

¹²⁰ćma (daw., gw.) — ciemność. [przypis edytorski]

¹²¹wołak (daw.) — maślak (*Suillus bovinus*), grzyb jadalny. [przypis edytorski]

Tak, i jeszcze jedno — mogła była przywdziać na siebie szaty pokutne, a tylko w niedzielę zdobić szyję jedwabną wstążeczką niebieską dla uczczenia dnia świątecznego i odróżnienia go od dni powszednich. Był to wyraz pewnego rodzaju filozofii dobrowolnego poniżenia się, stoicyzmu¹²². Owa niebieska wstążeczka była znoszona, odpruta od za małej już czapeczki Poldynki, tu i ówdzie wyblakła i dosyć wybrudzona — oto jedyny obecnie strój odświętny Inger. Ano, przebierała miarę we wszystkim, udawała i w chacie biedę, wszędzie fałszywą biedę wystawiała na pokaz — czy zasługa jej byłaby znaczniejsza, gdyby zmuszona była żyć w takiej biedzie? Zostawcie ją w spokoju, on jej się należy!

Wspaniała była w swej przesadzie, robiła więcej niż należało. Wszakże na folwarku pracowali dwaj mężczyźni, ale Inger czatowała po prostu na chwilę, kiedy się oddalali, żeby pod ich nieobecność piłować pieńki. Na co tyle udręki? Była przecież czymś tak niewielkim, czymś tak całkiem przeciętnym o pospolitych zdolnościach. Kogo w kraju wzruszyłaby jej śmierć, kogo zajmować by mogło jej życie, z wyjątkiem oczywiście pustkowia? Tu była prawie wielką, a w każdym razie najznacniejszą personą i stąd wmawiała w siebie, że godna jest niewątpliwie wszelkich tych dobrowolnie na siebie nakładanych kar.

Pewnego razu rzekł do niej mąż:

— Rozmawiałem o tobie z Sywertem i powiedzieliśmy sobie, że drewna naszego piłować nie powinnaś i że masz się oszczędzać.

— Robię to dla spokoju mego sumienia — odparła Inger.

Dla spokoju sumienia? Dało to nowego bodźca do rozmyślań Izakowych; był to już teraz człek leciwy, powolny w myśleniu, ale ważki, gdy w końcu wypowiadał swój pogląd. Sumienie tedy musiało być naprawdę czymś bardzo silnym, skoro potrafiło zmienić Inger tak dokumentnie. Ostatecznie, jakkolwiek by było, nawrócenie jej oddziało i na niego, zapatrzył się w nią, stał się człowiekiem marzycielskim i łagodnym...

Zima szalała okrutnie sroga, rozpaczliwie mroźna; Izak szukał samotności, ukrywał się. Aby lasu swego oszczędzić, dokupił na pograniczu Szwecji kilka szlaków lasu rządowego z piękną drągowiną. Przy czym postanowił sobie, że drzewa będzie ścinał sam jeden, bez niejakej pomocy: w tym celu nakazał Sywertowi, żeby w domu pozostał i pilnował matki, żeby się nie przepracowała.

Krótkie były dni zimowe, przeto Izak wychodził do lasu o ćmie i wracał o ćmie. Księżyc i gwiazdy nie zawsze świeciły, śnieg nieraz zasypał w ciągu dnia ślady stóp i wtedy z trudem tylko udawało mu się orientować co do kierunku. Pewnego zaś wieczoru spotkała go dziwna przygoda.

Uszedł już większą część drogi, gdy w poświacie księżycowej ujrzał rozłożone poniżej naprzeciw na hali swoje Sellanrå, zabudowane ładnie i dostatnio, ale małe niby ferma podziemna tonąca w zaspach śniegu. Teraz jednak zdobył nowy budulec, ho, ho, zarówno Inger, jak i dzieci zdziwią się, na co mu tyle drzewa, jaką znów planuje budowlę niezwykłą. Usiadł w śniegu, aby nieco wypocząć; nie chciał, żeby w domu zauważono jego zmęczenie.

Cisza zupełna dokoła. Dzięki Najwyższemu za tę ciszę i za ten spokój wewnętrzny, jaki Izak zawdzięczał niewątpliwie niebu! Izak jest atoli osadnikiem, dlatego wzrok jego błądzi po osiedlu, gdzie jeszcze więcej musi przewrócić ugoru. W wyobraźni swej łamie i usuwa kamienie-olbrzymy oraz przeprowadza dalsze odwadnianie. Pamięta, że na gruncie jego rozpościera się jeszcze spory szmat bardzo głębokiego bagniska. Bagnisko to obfituje z pewnością w kruszec, dowodzi tego powłoka metaliczna na kałużach. Tak, bagnisko to osuszy teraz na pewno. Oczyma wyobraźni dzieli już nowy ten grunt na czworokąty, ho, ho, co do tych czworokątów ma on swoje plany i zamiary — użyźnić pragnie, żeby się wszystkie jak najpiękniej zazieleniły. O, pole wykarczowane i uprawione to wielkie dobro, które działało na niego jak porządek i prawo, a nadto jako rozkosz!...

Wstał — i... Hm! Co się z nim dzieje? Ot, wypoczął krzynkę¹²³ i tyle... Ale coś przecież stoi przed nim, jakaś istota, duch jakiś, szary jedwab — ech, głupstwo, przywidzenie. Uczuł się dziwnie nieswojo, uczynił krok naprzód, krok mały i niepewny w kierunku, gdzie majaczyły jakieś oczy, dwoje wielkich lśniących oczu, a jednocześnie osiny pobliskie

Zima, Noc

Diabel

¹²²stoicyzm — kierunek filozoficzny zalecający sumiennosc w obowiazkach, zachowanie umiaru i spokoju wewnętrznego niezależnie od okoliczności zewnętrznych, zapoczątkowany w III w. p.n.e. w Atenach przez Zenona z Kition. [przypis edytorski]

¹²³krzynka (gw.) — odrobinka. [przypis edytorski]

poczęły szeleścić i szeptać¹²⁴. Wiadomo, jak nieznosny, niesamowity wręcz szelest wydają listki osiny, ale czegoś podobnego jak w tej chwili nigdy jeszcze nie słyszał, dreszcz zimny przebiegł mu po grzbiecie. Ręką sięgnął naprzód przed siebie, lecz był to ruch może najbezzradniejszy, jaki kiedykolwiek ręka ta wykonała.

Cóż to jednak tam stało i czy miało to jakąś postać lub nie miało? W całym swym życiu nie wątpił ani na chwilę, że istnieje jakaś moc wyższa, i raz nawet ujrzał ją na własne oczy. Ale to, co zobaczył teraz, nie było podobne do Boga. Czyżby tak miał wyglądać Duch Święty? Ale czemu w takim razie stał on teraz tu na tym miejscu — w szczerym polu dwoje oczu i nic poza tym? A może to coś zjawilo się tu po jego duszę? — tedy niech się stanie, co się stać musi — dostąpi łaski zbawienia i królestwa niebieskiego...

Izak oczekiwał w naprężeniu tego, co się stanie, a zimny dreszcz wstrząsał nim bezustannie, od postaci tej szedł przecież mróz okropny. Był to chyba sam szatan!... Wykluczone nie jest, że to diabeł, ale czego on tu może chcieć? Na czymże mógł być przyłapać Izaka? Czyżby miała go gniewać myśl o uprawie bagniska? Nie, to niemożliwe! Innego grzechu sobie nie uświadamiał; znajdował się w drodze powrotnej z lasu, on, robotnik zmęczony i głodny włókł się powoli ku Sellanrå, ożywiony najlepszymi zamiarami.

I znowu wykonał krok naprzód, krok niewielki i natychmiast znowu się cofnął. Zjawia bowiem stała w miejscu nieporuszona. Izak czuł się coraz bardziej nieswojo. Jeżeli to naprawdę jest diabeł, niechże sobie będzie, on tak czy owak nie jest wszechmocny. Luter¹²⁵ przecież byłby go niegdyś o mały włos zabił, a wielu było takich, co przepędzili go znakiem krzyża, wymawiając jednocześnie imię Chrystusa. Nie jakoby z pustoty¹²⁶ chciał zmierzyć się z niebezpieczeństwem, ale poniekawszy myśli o śmierci i raju wiecznym, wyprężył się, posunął się ostro ku zjawie o dwa kroki, przeżegnał się i zawołał:

— W imię Jezusa!

Hm?... Usłyszawszy swój głos, zdało mu się, że nagle się ocknął i znowu ujrzał przed sobą rozłożone na hali Sellanrå. Osiny przestały szeleścić, a dwoje oczu rozpląnęło się w powietrzu...

Nie zwlekając ruszył naprzód. Nie wyzywał już niebezpieczeństwa na rękę. Znalazłszy się jednak u drzwi swej chaty, odchrząknął mocno i z ulgą, wyprostował się i wszedł do izby z głową podniesioną jako mąż, ba, jako bohater.

Inger zdziwiła się i spytała, czemu on tak okropnie błąd.

Wobec tego nie przeczył, że spotkał diabła.

— Gdzie? — spytała.

— W tamtej stronie. Naprzeciw nas.

Inger nie okazała najmniejszej zazdrości. Tak, niekoniecznie go za to chwaliła, ale w wyrazie jej twarzy nie było nic takiego, co by przypominało jakie obelżywe słowo. Ach, przeciwnie, humor Inger w ostatnich dniach nieco się rozjaśnił, stała się pogodniejsza. I teraz oto zapytała:

— Czy to naprawdę sam diabeł?

Izak potwierdził kiwnięciem głowy.

— A jak uwolniłeś się od niego?

— Uderzyłem na niego z imieniem Jezusa.

Inger oniemiała, słaniała się w lewo i prawo i dużo upłynęło czasu, zanim nieco się opamiętała i przygotowała wieczerzę.

— Teraz już w żadnym razie nie puszczę cię samego do lasu — rzekła.

Okazała mu dużo troskliwości, więc czuł się dobrze. Udawał, że nie boi się diabłów i że nie zależy mu wcale na czymkolwiek towarzystwie podczas wycieczek do lasu, udawał, żeby przestraszyć Inger cokolwiek zmytygować. Wszakże był mężem i głową rodziny, opiekunem ich wszystkich.

¹²⁴osiny pobliskie poczęły szeleścić i szeptać — liście osiki mają długie, wiotkie ogonki, dlatego poruszają się pod wpływem nawet lekkiego powiewu wiatru; stąd wyrażenie „drzeć jak osika” lub „trząść się jak osika”. [przypis edytorski]

¹²⁵Luter, Marcin (1483–1546) — niemiecki teolog i reformator religijny; współtwórca luteranizmu, od 1539 państwowego wyznania w Norwegii; wg legend, kiedy przebywał na zamku w Wartburgu i pracował nad przekładem Biblii na niemiecki, diabeł nie chciał dopuścić do ukończenia dzieła i dręczył go w dzień i w nocy, aż Luter rzucił w niego kałamarzem, a na ścianie pozostała widoczna do dziś plama. [przypis edytorski]

¹²⁶pustota (daw.) — lekkomyślność. [przypis edytorski]

Inger przecież odgadła jego myśli i rzekła:

— Tak, tak, ja wiem, że chcesz mnie tylko uspokoić, ale teraz nie puszczę cię już bez Sywertu.

Izak milczał, a tylko uśmiechnął się lekceważąco.

— Mógłbyś zachorować w lesie i zmarnieć; boję się, że z twoim zdrowiem w ostatnim czasie coś niezupełnie w porządku.

Izak ponownie lekceważąco się uśmiechnął. On chory? Sterany i zmęczony — to owszem, ale chory? — Inger nie powinna go ośmieszać, on jest i pozostanie zdrowy, je, śpi, pracuje i posiada po prostu niezniszczalne zdrowie. Pewnego razu drzewo podcięte runęło na niego i oderwało mu ucho, wtedy to ucho podniósł, przyłożył tam, gdzie należy, nasadził czapkę, której nie zdejmował ani na chwilę, i ucho przyrosło, jak się patrzy. Na wewnętrzne dolegliwości miał środek wypróbowany: lukrecję rozgotowaną w mleku — na poty. Gdy przypadkiem siekierą rąbnął się w rękę, wtedy ranę wodą przepłukał, nasolił i rana zablizniała się w kilku dniach. Zaiste na Sellanrå lekarz był dotychczas całkiem zbyt cenny.

Nie, Izak nie był chory. Przygoda z diabłem nie pozostawiła na tym najzdrowszym z ludzi najmniejszego śladu. Przeciwnie, zdaje się, jakby niebezpieczna ta awantura dodała mu nowych sił. W miarę przybliżania się wiosny głowa rodziny czuła się coraz więcej bohaterem:

— Ho, ho, znam ja się na tym! Jeno się nie dać, od biedy i umiem opętywać!...

Dni stawały się dłuższe i jaśniejsze. Wielkanoc minęła, zwieziono ścięte drzewa, wszystko promieniało, ludziska odetchnęli po szczęśliwie przebytej zimie.

Uspokobienie Inger coraz więcej się poprawiało, była po prostu w doskonałym humorze. Skąd to? — Ho, ho, miało to swoje sprawiedliwe powody, toż znowu przytyła, znowu będzie miała dziecko. W życiu jej wyrównywało się wszystko, wszystko dopisywało. Po tym wszystkim, co przeszkobała, było to łaską najwyższą, największym szczęściem, szczęście ją ściagało! Izak zauważył to któregoś dnia i zapytał:

— Jak widzę, znowu się na coś zanosi, jak to możliwe?

— Tak, chwała Bogu, zanosi się na coś — odparła.

Oboje byli tym zaskoczeni i bardzo się dziwili.

Inger oczywiście nie była jeszcze taka stara i Izak także nie był za stary. Mimo to jednak znowu dziecko, tak, tak! Na Bredablik nie mieli już takich berbeciów, a nadto Poldynka wyrosła już na pannicę co się zowie.

Minęło kilka dni i nadeszła sobota. Izak, nic nie mówiąc, wyruszył do wsi. I patrzajcie, wrócił w poniedziałek, ale nie sam. Przyprowadził służącą, a imię jej było Jensyna.

— Zbzikowałaś — rzekła Inger — na co mi ona?

Izak odparł, że owszem, teraz służąca będzie jej potrzebna.

Był to, dalaibóg, tak piękny i serdeczny gest ze strony Izaka, że zupełnie Inger zastydził i do głębi wzruszył. Służąca była córką kowala, a przyszła tu tylko na lato, żeby później pojechać dalej.

— A oprócz tego — rzekł Izak — telegrafowałem po Elizeusza.

Inger drgnęła. Telegrafował? Tyle dobroci na raz!

Od dawna już szczerze nad tym bolała, że Elizeusz w mieście, w tym bezbożnym mieście się zatracą. Pisywała do niego nieraz o Bogu wszechmocnym i o tym, że ojciec pozwoli się starzeje, a gospodarstwo coraz się powiększa, że Sywert nie podola wszystkiemu, zwłaszcza gdy odziedziczy kiedyś spadek po wuju Sywercie i pewnego razu dołączyła do listu — na wszelki wypadek — pieniądze na podróż. Ale Elizeusz przyoblekł się w skórę bywalca miejskiego i wcale za życiem wieśniaczym nie tęsknił. Przeto odpisał, że w domu na nie by się nie przydał: bo czyż miałby zabrać się teraz do roboty w polu i zaprzepaścić całą swoją wiedzę i swoją uczoność? „A zresztą nie mam do tego najmniejszej ochoty” — pisał. „Gdyby mi matka trochę płótna przysłała na bieliznę, nie potrzebowałbym się z tego powodu zadłużać”. Tak pisał Elizeusz... I owszem, matka posyłała płótno, ale po pewnym czasie, gdy się ustatkowała i spobożniała, wtedy jakby jej bielmo spadło z oczu,

Zima, Wiosna

Matka, Syn, Pieniądz,
Miasto

przejrzała, iż Elizeusz płótno sprzedawał, a uzyskane w ten sposób pieniądze zużywał na co innego.

To samo i ojciec przeczuwał. Nie wspomniał jednak o tym ani słowem, wiedząc, że Elizeusz był oczkiem w głowie matki i często z powodu niego płakała i głową trzęsła. Lecz mimo wszystko znikła z domu jedna sztuka po drugiej; toteż Izak jasno sobie uświadamiał, że nie ma na świecie takiego człowieka, co by tak wiele mógł zdzierać bielizny. Rozważywszy to wszystko, postanowił wkroczyć jako mąż i głowa rodziny. Tak, telegram, wysłany za pośrednictwem kupca, kosztował wprawdzie kupę pieniędzy, ale zawszeć co telegram, to telegram: raz, że wywrze na synalku wrażenie piorunujące, po wtóre, że wysyłka telegramu była dla samego Izaka czymś wielce niezwykłym — dopieroż to zdziwi się Inger. O to szło przede wszystkim! Wracając ze wsi, niósł nawet na swych barkach kufer nowej służącej, a przecież nie czuł się tak dumny i wielki jak w owym dniu, gdy przyniósł dla Inger złoty pierścionek...

I jeszcze coś wspaniałego! Inger wcale sobie nie uświadamiała, jak pocziwą i pożyteczną miała odegrać rolę. Często obecnie mawiała do swego męża jak ongi, za dawnych lat: „Dla ciebie nie ma nic trudnego, ty, wszystko zdzierzysz”. A innym razem: „Człowieku, ty się chyba na śmierć zaharujesz!”. To znowu: „Nie, teraz dosyć tego; chodź do izby i posil się, napiekłam dla ciebie kołaczy¹²⁷!”. Chcąc sprawić jej przyjemność, spytał:

— Powiedz mi, czy się domyślasz, co zrobisz z tej belki?

— Nie, skądżebym ja to mogła wiedzieć? — odparła i srodze się napuszyła.

Było teraz tak, jak dawniej bywało. I byłby chyba głazem lub psem, gdyby po narodzinach dziecka — przybyła im dziewczynka duża i foremna — nie miał słać do Boga modłów dziękczynnych. Lecz co on właściwie zamyślał budować? Ho, ho, to coś dla Oliny, będzie mogła o tym plotkować: przybudówkę do chaty, jeszcze jedną izbę. Wszakże rodzina na Sellanrå znacznie się teraz powiększyła: mieli służącą, spodziewali się powrotu Elizeusza i przybyła im całkiem nowiuteńka, maluchna dziewczynka. Dawną izbę trzeba więc zamienić na łóżnicę, nie ma innej rady.

Rzecz prosta, że długo swej tajemnicy przed Inger ukrywać nie mógł, któregoś dnia musiał jej wszystko opowiedzieć — taka była ciekawa, tyle razy się dopytywała. I lubo¹²⁸ Inger wiedziała już może o wszystkim od Sywerta — często bowiem coś po kątach szachrowali — to przecież udała ogromne zdziwienie, opuściła bezwładnie ręce i zawołała:

— Ty chyba ze mnie żartujesz?!

Och, Izaka szczęście nieomal rozsadzało, przeto rzekł:

— Tyle mi dajesz dzieci, gdzież mam je podziąć?

Izak i Sywert zabrali się teraz ostro do wyłamywania kamieni potrzebnych do nowego fundamentu. Siły ich były obecnie mniej więcej równe; jeden młodzieńczy i elastyczny tudzież szybki w decyzji i w rozpoznaniu najstosowniejszych kamieni, drugi postarzały i mocny o długich ramionach i zakładający łopatę przedziwnie rozważnie.

Gdy pewnego razu odrobili już spory kawał owej twardej roboty olbrzymów, odsapnęli na chwilę i rozpoczęli zabawną i swobodną pogawędkę.

— Słyszałem, że Brede chce swoje sprzedać — rzekł ojciec.

— Aha — odparł syn.

— Ile on też żąda?

— Ano, ile?

— Nie wiesz?

— Nie, chociaż owszem, wiem: dwieście!

Ojciec zamyślił się, po czym rzekł:

— Jak myślisz, czy będzie z tego kamień węgielny?

— Zależy od tego, czy się nam uda gałgana tego wydostać — odparł Sywert i zerwał się na równe nogi, podał ojcu podbijak, a sam wziął do ręki przybijak. Wypreżył się, aż mu żyły na czoło wystąpiły i świsnął przybijakiem, wypreżył się znowu i znowu grzmotnął — dwadzieścia takich równych uderzeń, dwadzieścia gromów! Nie szczędził młota ni siebie, pracował dzielnie; koszula wylazła mu z portek i odsłoniła brzuch, a on walił z niesłabnącym rozmachem: dwadzieścia razy!

¹²⁷kołacz — rodzaj pszennego pieczywa (chleba lub ciasta) w kształcie koła (stąd nazwa). [przypis edytorski]

¹²⁸lubo (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

— Obaczmy teraz! — zawołał ojciec.

Syn przerwał robotę i zapytał:

— Czy pękł już?

Położyli się na ziemię i badali kamień, badali tę szelmę, tego gałgana. Nie, nie było śladu rysy.

— Teraz ja spróbuję młota — rzekł ojciec i wyprostował się.

Robota jeszcze dzielniejsza, robota prawdziwie olbrzymia, przybijak rozpalil się, ostrze się stępilo.

— Wylazi z trzonu — rzekł, wskazawszy na przybijak, i przestał uderzać.

— Zmęczyłem się — rzekł Izak.

O, to nieprawda, on wcale jeszcze nie czuł się zmęczony. Ojciec, ten mocarz, skromny, pełen cierpliwości i dobroci, pragnął jedynie odstąpić synowi zaszczyt ostatniego uderzenia i rozplatania kamienia.

I rzeczywiście, jeszcze jedno i drugie uderzenie i kamień leżał rozwalony na dwie części.

— Tak, ty to umiesz — rzekł ojciec. — Hm, z Bredabliku można by coś zrobić.

— Tak, gdyby się przeciągnęło rowy i osuszyło.

— Chałupę trzeba by całkiem przebudować i byłoby tam wściekle dużo do roboty, ale... Jakże tam, słyszałeś coś o tym, czy matka wybiera się w niedzielę do kościoła?

— Tak, mówiła coś o tym.

— Hm, no, chodźmy, teraz czeka nas robota — trzeba wyszukać ładną przycieś¹²⁹ dla dobudówki.

Potem dalej pracowali.

W kilka dni później uznali zgodnie, że dosyć już kamieni. Było to pewnego wieczora piątkowego, kiedy siedli, żeby odsapnąć i pogawędzić.

— Hm, jak myślisz, może byśmy pogadali sobie trochę o Bredabliku?

— Czemu? — spytał Sywert. — Co nam po tym?

— Ano, tego nie wiem. Tam jest obecnie szkoła, i to pośrodku folwarku.

— I co z tego? — spytał syn.

— Ano, sam nie wiem, co by z tym począć, bo to do niczego.

— Czy myślałeś o tym?

— Nie — odparł ojciec. — Jeno o Elizeuszu myślałem, czy chciałby tam pracować.

— Elizeusz?

— Tak, jeno że tego właśnie nie wiem.

Obaj rozmyślali długą chwilę. Następnie ojciec zebrał wszystkie narzędzia, wziął na ramię i ruszył ku chałupie.

— Tak mi się wydaje, że ojciec powinien z nim o tym pogadać — odezwał się wreszcie Sywert.

A ojciec zakończył rozmowę tymi słowy:

— I dziś znowu nie znaleźliśmy porządnego kamienia pod próg.

Następnego dnia była sobota. Wstali wcześniej niż zwykle, żeby z dzieckiem zdążyć na czas na tamtą stronę gór. Jensynę, służącą, zabrali ze sobą, miała trzymać do chrztu, jako chrzestnego zamierzali uprosić któregoś z krewniaków Inger.

Inger ubrała się nadzwyczajnie, w całkiem nową i strojną suknię perkalikową, a nadto szyję i ręce ozdobiła białymi wstążeczkami, zawiązanymi w piękne kokardki. Dziecko było całe w bieli, a tylko przez falbankę przeciągnięto nową wstążeczkę z jasnoniebieskiego jedwabiu. Ale bo też było to dziecko naprawdę niezwykle: uśmiechało się i już gaworzyło, i wytrzeszczało zabawnie ślepki do ściennego zegara.

Tym razem wybrał dla niej imię ojciec. Początkowo wahał się pomiędzy Jakobiną a Rebeką, aż w końcu zwrócił się do Inger z nieśmiałym zapytaniem:

— Hm. Co byś powiedziała na Rebekę?

— Tak, bardzo ładne.

Mąż

¹²⁹przycieś (bud.) — podstawa wykonana z belek, na której opiera się ściana domu. [przypis edytorski]

Usłyszawszy to, wyprostował się i rzekł w tonie stanowczym, jak na pana domu przystało:

— Chcę, żeby jej było na imię Rebeka!

Co Rebeka, to Rebeka, zawsze Rebeka Izakowi najbliższa¹³⁰. Rzecz prosta, że i on zabrał się do kościoła, Rebeka musi mieć przy chrzcie porządną asystę. Brodzisko ładnie sobie przystrzygł i zaczesał, i wystroił się, jak za dawnych lat, w czerwoną koszulę. A choć upał panował na dworze, wziął na siebie zimowy przyodziewek, bo był nowy i ładny. Lecz Izak nie był człowiekiem rozrutnym i bezmyślnym, dlatego przywdział na nogi parę swych bajecznych butów siedmiomilowych; nic dziwnego, w górach buty łatwo się psują — szkoda więc lepszych...

Sywert i Poldynka pozostali w domu ze względu na inwentarz.

Towarzystwo popłynęło małą łodzią Izakową poprzez jezioro górskie na przelaj, skracając sobie tym sposobem drogę. Lecz na środku jeziora, w chwili gdy Inger podawała dziecku pierś, Izak zauważył coś błyszczącego, zawieszonego na tasie mce u szyi matki — cóż to być mogło? W kościele zaś zauważył złoty pierścionek na jej palcu: Och, Inger, Inger, tej przyjemności nie umiała sobie odmówić!

XVII

Elizeusz powrócił.

Kilka lat już przebywał poza domem i wzrostem swym przewyższał teraz ojca, miał białe ręce i ciemny wąs. Nosa nie zadzierał, a przeciwnie — usiłował być stworzeniem naturalnym i miłym. Matka bardzo się z tego powodu dziwiła, ale jednocześnie bardzo się i cieszyła.

Umieszczono go w komorze razem z Sywertem; bracia żyli z sobą w zgodzie i przyjaźni i niejednego splatali figła, z którego następnie śmiali się do rozpuku. Elizeusza zaprzęgnięto oczywiście do roboty przy przybudówce, ale niewiele z niego było pociechy: męczył się szybko, siły wypowiadały mu posłuszeństwo. Nic w tym dziwnego, nie był przyzwyczajony do pracy fizycznej. Najgorzej się działo wtedy, kiedy Sywert zmuszony był odejść od roboty — o tak, wtedy ojciec miał z Elizeuszem więcej kłopotu, więcej utrapienia niż pożytku.

A dokąd właściwie Sywert odszedł? — Jakże, czyż to Olina nie przywędrowała któregoś dnia z wiadomością zza gór, że wuj Sywert jest bliski końca? I czyż nie zażądał natychmiastowego przybycia swego krewniaka? Żądanie wuja przyszło bardzo, ale to bardzo nie w porę, lecz trudno było sprzeciwić się jego woli.

Olina rzekła:

— Wcale a wcale nie miałam czasu na chodzenie do was, ale co robić — miłość do waszych dzieci, a szczególnie do waszego Sywerta wypchała mnie tu, żeby dopomóc mu do dziedzictwa.

— Ach, czy wuj Sywert naprawdę taki chory?

— Ach ty mój Boże, toć topnieje z dnia na dzień!

— Czy leży?

— Leży? Obraża boska takie gadanie! Stary Sywert nie skacze już po naszej ziemi!

Po takiej odpowiedzi nabrali przekonania, że z wujem Sywertem już bardzo krucho; przeto Inger napędzała syna do pośpiechu, żeby poszedł natychmiast.

Lecz wuj Sywert — ten szelma! — o, daleko mu było do śmierci, ba, nawet w łóżku nie leżał. Sywert Izakowy, zawitawszy do wuja, zastał wszystko w straszliwym nieładzie i zaniedbaniu, roboty wiosenne nie były ukończone, ba, nawet mierzwy zimowej nie rozrzucono! Wuj był już wprawdzie starcem przeszło siedemdziesięcioletnim, zgrzybiałym, nieubrany laził, postęgując, z kąta w kąt, często pokładał się na łóżku i w wielu rzeczach nieodzownie potrzebował usługi.

Sywert, pobywwszy tam jakie pół godziny i przekonawszy się, jak się rzeczy mają, zamierzał wracać natychmiast do domu.

— Chcesz wracać? — spytał starzec.

— Ano, budujemy nową izbę, muszę ojcu pomóc.

— To tak — rzekł starzec — a czy tam nie ma Elizeusza?

¹³⁰ *Rebeka Izakowi najbliższa* — biblijna Rebeka była żoną patriarchy Izaaka. [przypis edytorski]

— Jest, ale on do takiej roboty nieprzyzwyczajony.

— Po coś w takim razie przychodził?

Sywert opowiedział, z jaką wiadomością przybiegła Olina.

— Co, powiedziała, że już umieram? A, to babisko paskudne!

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Sywert.

Starzec spojrział na niego urażony i rzekł:

— Z umierającego się śmiesz, a ty przecie mój imiennik!

Za młody był Sywert Izakowy na to, żeby stroić się w maskę rozpacz; wuj był mu obcy i obojętny, przeto pragnął odejść stąd co prędzej.

— To ty taki... myślałeś, że już konam i dlatego tylko tu przygnałeś...

— Olina tak powiedziała i mówiła, że wuj kazał mi przyjść.

Wuj chwilę podumał, a potem odezwał się:

— Jeżeli mi tę dużą sieć naprawisz, pokażę ci coś...

— Tak, a co takiego?

— To ciebie nic nie obchodzi — odburknął starzec i włożył znowu do łóżka.

Rozprawa wymagała widocznie czasu i namysłu. Sywert nie wiedział, co począć; wyszedł więc na dwór i rozejrzał się — wszędzie okropne zaniedbanie; rozpoczynanie tu jakiegokolwiek roboty byłoby największym głupstwem. Po chwili wrócił do chaty — starzec siedział już przy piecu.

— Widzisz to? — spytał i wskazał ręką na skrzynię dębową stojącą u jego nóg na podłodze. Była to jego skrzynka na pieniądze. W rzeczywistości służyła ona dawniej jako walizka podróżna, obecnie jednak stary kasjer powiatowy przechowywał w niej rachunki i pieniądze.

Och, sławna to była skrzynka, legenda głosiła, że są w niej zawarte wszelkie bogactwa świata, a ludzie ze wsi zwykli byli gadać: „O, gdybym choć połowę tego miał, co Sywert w swej skrzyni!”.

Wuj dobył ze skrzyni jakiś papier i rzekł uroczyście:

— Umiesz czytać pisane? Przeczytaj ten dokument!

Sywercik nie był biegły w piśmie, to nie jego specjalność, lecz tyle jednak umiał przeczytać, iż wuj mianuje go jedynym spadkobiercą całej swej spuścizny.

— Tak, a teraz wybieraj — rzekł starzec i złożył dokument z powrotem do skrzyni.

Sywerta jakoś nie bardzo to wzruszyło. Dokument nie zawierał nic ponad to, o czym dawno już wiedział, o czym słyszał od dziecka. Co innego, gdyby mu był pokazał skarby ukryte!

— Pewnikiem dużo tam pięknych rzeczy w tej skrzynce — rzekł.

— Więcej, niż przypuszczasz — odparł wuj krótko, skrzynkę na klucz zamknął i znowu poczłapał do łóżka. Był rozczarowany co do Sywerta i bardzo się na niego gniewał. Leżąc, mówił tonem gderliwym:

— Od trzydziestu lat już jestem w tej wsi najwyższym urzędnikiem i panem kapitałów i nie potrzebuję niczyjej łaski. Gdybym jeno chciał, mógłbym posłać po doktora choćby i trzech ludzi. Nie pozwolę wam kpić z siebie. I ty, Sywercie, nie potrzebujesz czekać, aż ducha wyzionę. Tyle ci jeno powiem: przeczytałeś dokument i widziałeś, że schowałem do skrzynki z pieniędzmi. Więcej nie powiem. Ale jeżeli ty ode mnie odejdiesz, wypraw do mnie swego brata, Elizeusza. Nieochrzczony on wprawdzie moim imieniem, ale niech tylko tu przyjdzie!

Mimo ukrytej w tych słowach groźby Sywert niedługo się zastanawiał i rzekł:

— Dobrze, powiem wszystko Elizeuszowi, niech tu przyjdzie...

Powróciwszy do domu, Sywert zastał jeszcze Olinę. Nie próżnowała: szwendała się w tym czasie po okolicy i zalaża nawet do osady Aksela Ströma i Barbro, po czym powróciła z miną bardzo tajemniczą:

— Barbro, powiadam wam, grubiej — plotkowała zaraz na wstępie — ale to chyba nic takiego? Jeno nie powiadajcie o tym nikomu! A co, Sywert już tu? Nic innego, wuj pewnie już pomarł? Tak, tak, staruszką już był. Ledwo zipał... Co — jeszcze żyje? Dziękuj ci, Boże!... Co, gadałam po próżnicy, tak mówisz? Obym tak zawsze była bez

winy! Czy mogłam przypuszczać, że twój wuj tak kłamie? Topnieje z dnia na dzień, to były moje słowa i powtórzę je kiedyś przed majestatem boskim. Co ty gadasz, Sywercie? Tak, ale czy wuj nie leżał w łóżku, czy nie składał rąk na piersi i czy nie mówił: „Teraz już koniec ze mną”?

Rozpoczynanie sprzeczki z Oliną to pewna przegrana, przegadałaby po prostu każdego swego przeciwnika. Usłyszawszy zaś, iż wuj Sywert przywołuje do siebie Elizeusza, ukuła na poczekaniu odpowiedni dla siebie argument.

— Sami teraz widzicie, czy na wiatr gadałam. Stary przywołuje do siebie swych krewniaków, bo czuje, że już niedługo będzie dychał. Jenó się nie ociągaj, Elizeuszu, spiesz się, żebyś wuja przy życiu jeszcze zastał. Ja też muszę wracać za góry, pójdziemy razem.

Przedtem jednak odciągnęła na bok Inger, żeby trochę na Barbro naplotkować:

— Teraz pewnie myśli, że zostanie panią osady. Niektórzy ludzie sięgają wysoko, chociaż na początku nie znaczyli więcej jak ziarneczko piasku na brzegu morskim. I któż by się tego po niej spodziewał? Aksel to człek bardzo pracowity... A tak wielkich gospodarstw i dworów jak tu, na pustkowiu, nie posiadamy po tamtej stronie gór — ty przecie najlepiej wiesz, bo z naszej wsi pochodzisz. Barbro ma tam w skrzyni kilka funtów wełny, ale to tylko wełna zimowa. Za taką wełnę dziękuję i ona zresztą wcale nie okazała ochoty, żeby mi jej choć trochę darować. Myśmy powiedziały sobie jeno: „Niech będzie pochwalony” i „Dzień dobry”, chociaż znam ją, gdy jeszcze smarkułą była, z tych czasów, kiedy tu, na Sellanrå gospodarzyłam, a ty hen byłaś na edukacji...

— Rebeka płacze — przerwała Inger pospiesznie, po czym wcisnęła Olinie sporą garść wełny.

— Aha, ja też zaraz do Barbro powiedziałam, że tak szczodrej ręki jak u Inger nie znajdzie na świecie całym. Nie pyta, a daje hojnie, nawet przy tym nie mruknie. Tak, tak, spiesz się do aniołeczka, nigdy jeszcze nie widziałam dziecka, które by do swojej matki tak było podobne jak Rebeczka do ciebie. Czy pamiętasz jeszcze, jakie się zarzekała, że nie będziesz już miała więcej dzieci? A widzisz! Tak, tak, trzeba słuchać starszych, którzy mieli dużo dzieci, bo niezbadane są wyroki opatrności. — Tak mówiła Olina.

Następnie podreptała za Elizeuszem przez górskie lasy, ciężarem starości przygarbiona, biała i siwa, i wścibska, wiecznie ta sama. Teraz zajrzy do starego Sywerta i powie, że to ona, Olina, namówiła Elizeusza, żeby przyszedł do niego.

Lecz Elizeuszowi nie trzeba było dwa razy mówić. Patrząc, był on istotnie lepszy, niżby sądzić było można po jego powierzchowności. Był to chłopak dobry na swój sposób, pocziwy i miły, a tylko bez krzepy męskiej. To zaś, że niechętnie powracał na wieś, miało swój uzasadniony powód: wszakże wiedział, że matka siedziała w więzieniu za dzieciobójstwo; w mieście nikt o tym nie słyszał, za to na wsi wiedzieli o tym zapewne wszyscy. Czyż nie przestawał wiele lat z kolegami miejskimi, między którymi nabrał ogłady? Czyż widelec nie był tak samo potrzebny jak nóż? Przez tyle lat obliczał codziennie według koron i öre, gdy tymczasem tu obliczano wciąż jeszcze według przestarzałych talarów! O, jakże chętnie wędrował za lasy i góry, w całkiem inną okolicę. W domu zmuszony był ukrywać się ze swoją pańską wyższością. Usiłował dostosować się do otoczenia i to mu się też udawało, ale zawsze musiał się na baczności. I tak, wracając z miasta, przyszedł w jasnopopielatym płaszczu, mimo że dopiekał skwar sromotny. Zawieszając płaszcz w izbie na gwoździu, mógł być zawiesić go w ten sposób, aby widoczny był wszyty w podszewkę wielki, srebrny monogram. A jednak tego nie uczynił. Podobnie rzecz się miała z laseczką. Była to wprawdzie laseczka — pożał się Boże! — wydartą ze starego parasola, lecz na Sellanrå nie miał odwagi paradować z nią i szarmancko wywijać, o nie, ukrywał ją stale.

Nie, nie było w tym nie dziwnego, że Elizeusz kwapił się na tamtą stronę gór. Nie nadawał się do budowy domu; za to nadawał się do pisania liter, a tego byle kto nie potrafił. Ano, w jego domu nie było nikogo, kto by ocenić umiał należycie jego uczoność i jego talenty, z wyjątkiem może jednej matki. Tak tedy kroczył lasem w wesołym usposobieniu, dążył przed Oliną, galopował po prostu. Chyłkiem prawie wymknął się z domu, lękał się, żeby go nie spostrzeżono, ponieważ ubrał się w płaszcz i dzierzył w ręku laseczkę. Spodziewał się, że po tamtej stronie spotka eleganckich panów i że sam będzie mógł grać rolę pana, kto wie, może nawet do kościoła pójdzie. Z tego jedynie powodu pocił się w zgoła zbytecznym płaszczu.

Przy budowie domu nie odczuwano wcale jego braku. Przeciwnie, ojciec odzyskał znowu swego Sywerta, a Sywert to chłop naprawdę użyteczny, harujący nieustrudzenie od rana do wieczora. Budowa domu zresztą nie wymagała wielkiego czasu, była to tylko przybudówka, szło jedynie o trzy ściany. Pewnego pięknego południa nowa izba stała już istotnie całkiem gotowa, pokryta powalą¹³¹ i dachem, z podłogą z desek naciętych w Izakowym tartaku tudzież z wprawionymi oknami. Resztę roboty, jak oszalowanie i pomalowanie, odłożyli na później, bowiem nastała pora żniw.

I wtedy nagle zjawił się zza gór Geissler w wielkiej asyście! Towarzystwo przybyło konno na wspaniałych rumakach. Byli to zapewne jacyś bogaci podróżni, same ciężkie grubasy, aż konie stękały pod ich ciężarem. Wśród tych wielkich panów jedynie Geissler kroczył pieszo. Ogółem przybyło czterech panów i Geissler, nadto dwóch koniuszych, z których każdy prowadził jednego konia jucznego.

Na dziedzińcu obejścia jeźdźcy zeskoczyli, a Geissler zawołał:

— Oto i sam Izak, nasz margrabia! Dzień dobry ci, Izaku! Jak widzisz, znowu tu jestem. Dotrzymałem słowa!

Geissler, ach, ten Geissler! Zawsze ten sam! Jakkolwiek szedł pieszo i miał na sobie kurtkę mocno już wyszarżaną i wyświechtaną, zachowywał się wobec swych towarzyszków z pewną wyższością, patrząc na nich z góry.

— Ci panowie i ja — rzekł do Izaka — mamy zamiar zwiedzić twoje góry; spaśni są, jak widzisz, i chcieliby tu trochę schudnąć.

Panowie okazali się zresztą uprzejmi i dobrodusznymi; na słowa Geisslera uśmiechnęli się i przepaszali za najazd. Prowianty przywieźli ze sobą, nie będą więc gospodarstwa objadać, wdzięczni by jednak byli za nocleg. Może by w tym nowym budynku mogli przenocować?

Wypocząwszy nieco — Geissler odwiedził w tym czasie Inger i dzieci — wyruszyli w góry i pozostali tam aż do późnego wieczora. Po południu mieszkańcy Sellanrą słyszeli rozlegające się raz w raz jakieś głuche detonacje, strzały. Wracając, przynieśli panowie wory pełne nowych próbek skalnych.

— Miedź — rzekli, pochyleni nad kamieniami.

Wywiązała się ożywiona i uczona dyskusja, przy czym co chwila spoglądano na mapkę, jaką naszkicowali w grubych konturach. Wśród gości znajdował się jeden rzeczoznawca i jeden inżynier, trzeciego tytułowano starostą, a czwarty był właścicielem huty. „Kolej linowa” mówili, „kolej wisząca” mówili. Geissler dorzucał raz po raz jakieś słowo, które po prostu skwapliwie pochłaniano i które usuwało różne ich wątpliwości.

— Do kogo należy ziemia po południowej stronie za wodą? — spytał Izaka starosta.

— Do rządu — odparł pośpiesznie Geissler.

Postępował czujnie i mądrze, posiadał w ręku dokument, podpisany niegdyś przez Izaka.

— Już raz przecie oświadczyłem, że to własność rządu, dlaczego więc pytasz? Jeżeli mi nie wierzysz, proszę!

Później, tego samego wieczora Geissler zamknął się z Izakiem w komorze i rzekł:

— No cóż, sprzedamy górę miedzianą?

— Pan sołtys przecie już raz ją odkupił i za nią zapłacił.

— Słusznie, kupiłem górę. Ale ty masz otrzymać także procent od dalszej sprzedaży lub od uruchomienia kopalni. Czy procenty te chcesz sprzedać?

Izak nie umiał się w tym wszystkim połapać, przeto Geissler zmuszony był wytłumaczyć mu rzecz całą na przykładzie. Izak nie umiałby uruchomić kopalni, ponieważ jest rolnikiem i ma inne zajęcia; on zaś, Geissler, nie mógłby również zajmować się kopalnią. Mniejsza o pieniądze, o kapitały. Może ich dostać tyle, ile zechce. Ale brak mu czasu, ma różne plany przed sobą, podróżuje, musi dbać swe dobra na północy i na południu. Teraz chciałby górę sprzedać owym Szwedom, oni wszyscy są krewnymi jego żony i pieniędzy mają w bród. Są przy tym fachowcami, więc mogliby urządzić tu kopalnię i zarządzać nią. Czy Izak teraz to wszystko pojmuje?

— Godzę się na to, na co pan się zgodzi — rzekł Izak.

Szczególna rzecz, jak mile to ślepe zaufanie Izaka połaskotało biednego Geisslera.

¹³¹powalą — drewniany strop; sufit. [przypis edytorski]

— Ano, nie wiadomo, czy dobrze na tym wyjdiesz — rzekł i zamyślił się. Lecz nagle wyprostował się i ciągnął dalej: — Ale jeżeli pozostawisz mi swobodę działania, przeprowadzę rzecz na pewno lepiej od ciebie.

— Hm. Pan był zawsze dla nas taki dobry...

Geissler zmarszczył brwi i przerwał Izakowi:

— A więc zgoda!

Nazajutrz goście zasiedli do pisania. Spisywali słowa bardzo poważne: najpierw akt kupna góry miedzianej za czterdzieści tysięcy koron, następnie dokument, mocą którego Geissler całą tę kwotę przeznaczył na rzecz swojej żony i dzieci. Przywołał Izaka i Sywerta do złożenia podpisów w charakterze świadków transakcji. Uporawszy się i z tym, panowie zaproponowali Izakowi sprzedaż jego procentów za pięćset koron. Lecz Geissler przerwał im, rzucając krótko:

— Wolne żarty!

Izak niewiele z tego rozumiał, raz przecież sprzedał i zapłatę otrzymał, a zresztą korony to nie pieniądze, to nie talary. Sywert natomiast myślał całkiem co innego, uderzył go ton pertraktacji: była to z pewnością jakaś sprawa rodzinna, którą tu łagodzą i regulują. Jeden z tych panów powiedział przecież: „Mój kochany, nie potrzebowałbyś doprawdy mieć dokoła oczu tak czerwonych obwóddek!”. Na co Geissler odparł dowcipnie, choć wymijająco: „Nie, nie potrzebowałbym istotnie. Ale tak już zwykle bywa, że świat nie uznaje prawdziwej zasługi...”.

Może więc bracia i krewniacy pani Geissler pragną z jej mężem stanąć na czysto, może jednym zamachem pragną uwolnić się raz na zawsze od wizyt nie milego krewnego? Góra miedziana posiada może znaczniejszą wartość, lecz miała ona swoje „ale” — zbyt była oddalona. Powiedzieli też bez ogródek, że kupują ją teraz po to tylko, by ją dalej przehandlować. Nie było w tym nic dziwnego. Otwarcie także powiedzieli, że trudno przewidzieć dochody z góry. Być może, iż po otwarciu okaże się, że czterdzieści tysięcy koron to cena śmiesznie mała. Jeżeli jednak góra pozostanie nadal „nienaruszona”, nataneczas będzie to pieniądze zmarnowane z kretesem. Na wszelki jednak wypadek pragną być „w porządku” i dlatego ofiarują Izakowi za jego udział pięćset koron.

— Jestem pełnomocnikiem Izaka — rzekł Geissler — i udziału jego nie sprzedam poniżej dziesięciu procent od ceny kupna.

— Cztery tysiące?! — zawołali panowie.

— Cztery tysiące! — obstawał Geissler. — Góra ta była własnością Izaka i on otrzymał tylko cztery tysiące. Do mnie zaś nie należała, a ja wezmę czterdzieści tysięcy. Proszę się nad tym zastanowić!

— Owszem, owszem, ale cztery tysiące!

Geissler wstał i rzekł:

— Tak, cztery tysiące, albo odstępuję od sprzedaży.

Obliczali, szachrowali coś między sobą i wyszli na podwórze, by całą sprawę jeszcze raz dokładnie omówić. Po czym zawołali na swych koniuszych: „Konie osiodłać!”.

Jeden z panów udał się do Inger i zapłacił po królewsku za kawę, jajka i za nocleg. Geissler chodził pozornie obojętny, lecz mimo to czujny na wszystko.

— Jakże tam poszło w zeszłym roku z wodociągiem? — spytał Sywerta.

— Uratował nam całe żniwa.

— Jak widzę, wykarczowaliście w ostatnim czasie szmat grzęzawiska.

— Tak.

— Powinniście sprawić sobie jeszcze jedną szkapę — rzekł Geissler. Wszystko widział.

— Chodź do nas na chwilę, żebyśmy już raz z tym skończyli! — zawołał właściciel huty.

Po czym wszyscy razem udali się do nowej przybudówki, gdzie Izakowi wypłacono cztery tysiące. Geisslerowi wręczyli kontrakt: schował go do kieszeni niedbale niby świstek bezwartościowy.

— Nie zgub go — upominali panowie — a książeczkę bankową dostarczymy w najbliższych dniach twojej żonie.

Geissler ściągnął brwi i rzekł:

— W porządku!

Interes

Ale z Geisslerem sprawa nie była jeszcze załatwiona. Nie znaczy to, jakoby żądał jeszcze czegoś dla siebie, o nie. Lecz oto stał on przed nimi i oni to widzieli; możliwe, że i dla siebie zawarunkował jakąś drobną część ze sprzedaży góry. Możliwe. Dość, że gdy właściciel huty wręczył mu paczkę banknotów, Geissler głową tylko kiwnął i rzekł ponownie:

— W porządku.

— A teraz napijemy się z Geisslerem — rzekł właściciel huty.

Napili się, teraz już naprawdę w porządku ze wszystkim, więc pożegnali się z Geisslerem.

W tym samym momencie zjawił się Brede. Czego on tu szukał? Brede, słysząc wcześniejsze detonacje, domyślił się oczywiście, co w górach się święci. Przybiegł więc, żeby i swoje pokłady górskie spieniężyć.

Na Geisslera nawet nie spojrzął, tylko wprost do panów się zwrócił i powiedział, iż odkrył bardzo ciekawe skały kruszcowe, po prostu cudowne, jedne czerwone jak krew, inne znów białe jak srebro; zna on te góry jak własną kieszeń i mógłby panów zaraz tam zaprowadzić, wie o kilku długich i grubych żyłach kruszczowych.

— Masz próbki? — spytał ekspert górnik.

— Mam, ale czy nie byłoby lepiej, gdyby panowie pofatygowali się w góry?... Próbki, tak, tak, próbki! Mam ich pełne wory i skrzynie! Nie przyniosłem ich, co prawda, ale mam je w domu. Pobiegnę po nie i zaraz wrócę...

Panowie jednak potrząsnęli tylko głowami i pojechali.

Brede strapiiony długo za nimi patrzył. Błoga nadzieja zabłysła mu na chwilę i znikła sromotnie.

Nieszczęście po prostu go ścigało. Całe szczęście w tym, że niczym długo się nie przejmował. Patrzył za jeźdźcami, aż wreszcie rzekł:

— Ano, szczęśliwej drogi!

I teraz nagle spokorniał wobec Geisslera, swego byłego przełożonego; nie „tykał” go już, a przeciwnie, pokłonił się nisko i tytułował go „panem”. Geissler pod jakimś tam pozorem wydobył swój notes, żeby pokazać, jak obfituje w banknoty.

— Czy nie mógłby mi pan dopomóc, panie sołtysie? — rzekł Brede.

— Wracaj do domu i przekop swe bagniska! — rzekł Geissler. Tylko tyle, ani słowa więcej.

— Mógłbym przywieźć pełną taczkę próbek, ale kto to mógł przewidzieć, że oni, przyjechawszy tu, nie będą chcieli zbadać pokładów moich na miejscu?

Geissler, udając, że nie słucha gadania Bredego, zwrócił się do Izaka:

— Nie widziałeś przypadkiem, gdzie zapodziałem mój kontrakt? Bo to dokument ważny na wiele tysięcy koron... Ach, oto i on, wsunął się między banknoty.

— Co to byli za ludzie, czy pan sołtys zna ich? — spytał niestrudzony w gadaniu Brede.

Geissler znajdował się poprzednio w stanie silnego napięcia nerwowego, teraz napięcie to mijało w sposób widoczny, ustępując miejsca apatii czy wyczerpaniu. Mimo to pozostało mu dość jeszcze ochoty, żeby zająć się tym i owym. Zabrał więc ze sobą Sywertę na górę miedzianą, gdzie na dużym arkuszu naszkicował granicę od południowej strony jeziora. — Do czego mu to, w jakim celu to robił? Brede czekał w chacie Izaka na powrót Geisslera. Lecz Geissler, wróciwszy po upływie kilku godzin, był już wyczerpany i apatyczny i wszelkie zapytania Bredego zbywał milczeniem lub co najwyżej machnięciem ręki.

Zasnął snem twardym, ale nazajutrz wstał o wschodzie słońca całkiem już wypoczęty.

— Sella nr! — rzekł, stanąwszy na podwórzu i rozejrzawszy się dookoła.

— Czy te pieniądze, które wczoraj dostałem... Hm, jakby to powiedzieć... czy one wszystkie mają być moje? — spytał Izak.

— Czemu pytasz? — odparł Geissler. — Czy ty tego nie rozumiesz, że właściwie należy się tobie znacznie więcej? Według naszej umowy powinienś otrzymać pieniądze ode mnie, ale widziałeś przecie, że nie dało się zrobić inaczej. Ile dostałeś? Według dawniejszej rachuby tylko tysiąc talarów... Wiesz co, gdy tak rozmyślam, widzę, że tobie przydałby się jeszcze jeden koń. Wiem, kto by sprzedał. Obecny woźny u sołtysa Heyerdala ma

już dosyć gospodarstwa, milsze mu wałęsanie się i fantowanie¹³² biedaków. Część swego inwentarza już wyprzedał, teraz zaś chciałby się pozbyć swej szkapy. — Geissler zatoczył ręką dookoła siebie wielkie koło i dodał: — Do margrabiego należy tu wszystko! Dom posiadasz i inwentarz, i pola uprawne, nikt już nie zdoła ciebie ogłodzić!

— Ano — odparł Izak — mamy wszystko, co Bóg dał.

Geissler chodził jeszcze chwilę po podwórzu, aż nagle zawrócił i podążył do Inger.

— Czy mogłabyś dać mi trochę prowiantu na drogę? Może parę kołaczy, ale bez masła i sera. Powiadam ci, bez masła i bez sera, wystarczą suche... i nie tak dużo... po co mam tyle dźwigać?...

I znowu wyszedł. Różne myśli zapewne nie dawały mu spokoju. W przybudówce zasiadł do stołu i pisał.

— Jest to podanie do rządu — rzekł do Izaka — do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Tak dużo spoczywa na mojej głowie!

Otrzymałszy prowiant, pożegnał się z gospodarzami. W drzwiach jednak zatrzymał się, jakby sobie nagle coś przypomniał:

— Ach, prawda, gdy tu był ostatni raz, zapomniałem... tak, wyjąłem z portfela paperek i w zamyśleniu włożyłem go z powrotem do kieszonki w kamizelce. W drodze spostrzegłem się, co za głupstwo palnąłem, ale nie chciałem już wracać. Człek ma zawsze tak wiele spraw na głowie.

Co powiedziawszy, wcisnął do ręki Inger banknot i poszedł.

Zdaje się, że był jak najlepszej myśli. Bynajmniej nie poszedł na dno i żył jeszcze długo, w Sellanrå pokazał się jeszcze kilka razy i zmarł po wielu dopiero latach. Izak pragnął poradzić się go co do Bredabliku, ale nie zdążył. Geissler też byłby mu niezawodnie odradził kupno gospodarstwa na pustkowiu dla takiego zaciętego kantorzysty, jakim był Elizeusz.

XVIII

A jednak wuj Sywert był blisko śmierci. Elizeusz bawił u starca mniej więcej trzy tygodnie, a po upływie tego czasu wuj ducha wyzionął. Elizeusz zakrzętnął się około pogrzebu i dużo wykazał pod tym względem talentu. Z różnych domów wydostał kilka ładnych fuksji, wypożyczył skądś chorągiew i zawiesił na dachu domu na pół masztu; kupił czarnej krepy i przysłonił nią okna. Izak i Inger, otrzymawszy wiadomość, przyszli na pogrzeb. Elizeusz był tu istnym gospodarzem i panem, zaproszonych wspaniale ugościł, ba, wygłosił nawet kilka stosownych słów nad trumną, co matkę jego napełniło taką dumą i tak mocno wzruszyło, że aż musiała wydobyć chusteczkę. Wszystko szło jak z płatka.

Pogrzeb

W drodze powrotnej do domu Elizeusz szedł w towarzystwie ojca. Laseczkę swoją ukrył znowu skrupulatnie w rękawie. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie przypadek: wchodząc do łodzi Izakowej na jeziorze górskim, zawadził o krawędź i — rozległ się trzask.

— Co się stało? — spytał Izak.

— O, nic takiego — odparł Elizeusz.

W chacie Elizeusz jął szukać jakiejś obrączki stosownej do spojenia złamanych części.

— Nie można by go po prostu zaklinić? — spytał Sywert sowizdrzał¹³³. — Popatrz, obie części można by wsadzić na mocny klin i owiązać dratwą...

— Bacz, żebym ja ciebie przypadkiem dratwą nie owiązał! — odparł Elizeusz.

— Ha, ha, ha! Ach, tak, teraz już wiem — ty byś wolał pewnie zamiast dratwy czerwoną podwiązkę?

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Elizeusz, po czym udał się do matki; od niej wycygał stary naparstek. Czubek naparstka odpiłował i tym sposobem znalazł się w posiadaniu pięknej obrączki. O, długie palce Elizeusza nie były pozbawione pewnej zręczności!

Bracia wciąż jeszcze wzajemnie z siebie żartowali.

— Czy schedę po wuju Sywercie ja dostanę? — spytał Elizeusz.

— Czy ty dostaniesz? A ile tam jest? — spytał Sywert.

— Ha, ha, ha! Toś ty taki? Najpierw chcesz wiedzieć, ile tam jest, ty kutwo!

— Zgoda, możesz wziąć wszystko — rzekł Sywert.

¹³²fantować — zabierać mienie ruchome, np. na potrzeby egzekucji długu. [przypis edytorski]

¹³³sowizdrzał — człowiek niepoważny, żartowniś. [przypis edytorski]

— Będzie tam jakie pięć do sześciu tysięcy...

— Talarów? — zawołał Sywert mimo woli.

Elizeusz dawno już przestał obliczać kategoriami talarowymi, ale w tej chwili nasunął mu się dowcip, więc potwierdził tylko skinieniem głowy i pozostawił Sywerta w tym przekonaniu aż do dnia następnego.

Nazajutrz Elizeusz poruszył tę sprawę na nowo.

— Teraz pewnie żal ci wczorajszego zrzeczenia się na moją korzyść? — spytał.

— Głupstwa pleciesz i tyle! — Tak wprowadzie brzmiała odpowiedź Sywerta, ale pięć tysięcy talarów, to nie byle co; jeżeli brat nie jest sknerą albo ladaco; w takim razie podzieli się z nim.

— No, to ci powiem — odezwał się wreszcie Elizeusz — nie przypuszczam, żebym spadkiem tym się utuczył.

Sywert zbaraniał:

— Co?!...

— Tak, spadek nieszczerólny i nietłusty *par excellence*¹³⁴...

Elizeusz znalazł się przecież na rachunkach, skrzynkę wuja, sławną na cały powiat skrzynkę, otworzył, przejrzał dokładnie wszelkie papiery i sporządził zestawienie kasowe. Wuj Sywert nie sprowadził swego krewniaka do roboty w polu lub naprawy sieci, lecz zaprzęgnął go do okropnego śmietnika cyfr i rachunków. Jeżeli któryś z opłacających podatek dał przed dziesięciu laty zamiast pieniędzy kozę lub skrzynkę ryby suszonej, natenczas rzecz nie była wprowadzie zapisana w księgach, ale za to w pamięci starego Sywerta. Takiego uiszczającego starzec odgrzebywał ze swych wspomnień i dekretował:

— Zapłacili!

— W takim razie trzeba pozycję przekreślić — zauważył Elizeusz.

W ogóle Elizeusz był tu człowiekiem wprost wymarzoną: uprzejmy i delikatny w obejściu, chorego starca pokrzepiał i pocieszał zapewnieniem, iż stan jego interesów jest doskonały. Ot, żyli się ze sobą jak dziadek z wnuczką.

— Bóg mi ciebie zesłał, Elizeuszu! — zwykł był powtarzać starzec.

Do pomocy sprowadzili Olinę. I ona była tu osobą jedyną, wymarzoną. Nikt do prawdy nie zdołałby zastąpić Oliny przy obiedzie lub wieczery, albo przy rozpuszczaniu najfantastyczniejszych opisów o dogorywającym starcu. I wszyscy byli z siebie wzajemnie zadowoleni.

— Myślę, że i Olinie trzeba by w testamencie coś niecoś zapisać — rzekł wuj — jest wdową i będę klepie, nieboraczka. Dla Sywercika pozostanie i tak jeszcze dosyć.

Elizeusz więc machnął kilka razy piórem i Oliną figurowała na liście spadkobierców.

— O tobie też pamiętam — rzekł do niej starzec — bądź spokojna, gdy zamknę oczy, nie będziesz potrzebowała biedować.

Na to zawołała Oliną, że brak jej po prostu słów i mówić nie może. Ale to nieprawda; była wzruszona, szlochała i dziękowała, i trąkotała, że nikt pewnie na świecie całym takiego szczęścia jak ona nie dostąpił, że o nikim pewnie nie pamiętają nieba tak jak o niej, że przez usta kasjera przemówił Bóg, żeby ją, biedną Olinę, wynagrodzić.

O nie, Olinie słów nigdy nie zabrakło.

A Elizeusz? Jeżeli początkowo uspokajał starca co do stanu jego interesów, to później, po dokładniejszym ich zbadaniu, trudno mu było prawdę w bawelną owijać. Napomknął o tym w sposób ogólny:

— Kasa nie ze wszystkim w porządku — rzekł.

— Może być, ale to jest też wszystko, co w ogóle zebrałem.

— Tak, a poza tym umieściłeś pewnie jakie pieniądze w bankach? — badał Elizeusz, ponieważ głosiła tak wielogłębna fama.

— No, tak... w każdym razie mam przywilej rybołówstwa, mam gospodarstwo i budynki, i inwentarz, mam krowy białe i krowy czerwone! Co ty pleciesz, Elizeuszu?

Elizeusz niezupełnie się w tym orientował, ile wart ów przywilej rybołówstwa, ale inwentarz widział na własne oczy: składał się z jednej krowy. Była łaciata: biała i czerwona. Wuj Sywert prawdopodobnie majaczył. Elizeusz nie znalazł się także na wszystkich rachunkach. Panował w nich straszny bezład, zwłaszcza w owym roku, kiedy w mieście

Własność, Pieniądz

¹³⁴*par excellence* (fr.) — w całym tego słowa znaczeniu; w najwyższym stopniu. [przypis edytorski]

talarów zaprowadzono korony. Kasjer powiatowy często wtedy małe korony zapisywał jak pełne talary.

Nic dziwnego więc, że uważano go powszechnie za bogacza! I Elizeusz obawiał się, że kiedyś, po uporządkowaniu wszystkiego, niewiele z majątku wuja pozostanie, ba może nawet nie wystarczy na pokrycie niedoborów kasowych.

O, brat Sywert mógł śmiało ze schedy po wuju zrezygnować!

Bracia dowcipkowali na temat spadku. Sywert byłby może naprawdę się markocił, gdyby wiadomość o owych pięciu tysiącach talarów okazała się prawdziwa. Wiedział, że na chrzcie dano mu imię wuja z pospolitego wyrachowania, poza tym niczym wujowi się nie zasłużył. Teraz należał już wręcz na Elizeusza.

— Tak, nie może być inaczej, tobie jednemu należy się spadek, chodź, spiszemy umowę! — rzekł. — Nie gardź tym, życzę ci żebyś się stał bogaty!

Lubili się. Tak po prawdzie Sywert był tym, który najwięcej ułatwiał Elizeuszowi życie w domu rodzicielskim, bez Sywerta miałby on tu życie bez porównania cięższe.

Trzytygodniowy pobyt po tamtej stronie gór popsuł go, rozbudził dawne jego miejskie narowy. Stroił się, grał eleganta i spotykał się z młodymi panienkami. Nie było ich w domu na Sellanrå. Jensyna, służąca, nie wchodziła w rachubę — to prosty wół roboczy, stosowny bardziej dla Sywerta.

— Ciekaw jestem, jak wygląda teraz Barbro Bredego.

— Zejdź na dół do Aksela Ströma i przekonaj się — odparł Sywert.

Pewnej niedzieli Elizeusz wybrał się w drogę. A jakże, odżył w gammie Aksela. Barbro, dziewczyna niczego sobie, a w każdym razie na pustkowiu jedyna, grała na gitarze i była dowcipna, a włosy swe zlewała pachnącą wodą. Elizeusz napomknął w rozmowie z nią, że przyjechał do domu tylko na czas wakacji, że biuro zgłosi się po niego niebawem. Bądź co bądź przyjemnie jest zabawić trochę w domu ojców i odświeżyć dawne wspomnienia, szczególnie, gdy się ma swój osobny pokój. Ale zawsze to nie to, co miasto.

— Oj, to, to, Bóg świadkiem, że w mieście inaczej niż na pustkowiu — powtórzyła Barbro.

Na Aksela nie zwracali oboje najmniejszej uwagi.

Skądżeby, oni przecież byli z miasta, nie inaczej. Aksel więc nudził się i dlatego wyszedł na pole. Teraz dopiero byli swobodni i Elizeusz był zdumiewający. Opowiadał o swym pobycie we wsi sąsiedniej, gdzie urządził pogrzeb swego wuja, przy czym nie omieszkiał zaznaczyć, że nad trumną wygłosił mowę żalobną.

Odchodząc, zaproponował Barbro, aby go cokolwiek odprowadziła.

— Czy to takie miejskie zwyczaje, by damy odprowadzały panów? — spytała.

Wówczas Elizeusz spiekl raka po same uszy i zrozumiał, że damę obraził.

Mimo to następnej niedzieli udał się znowu do gammy sąsiada, tym razem jednak paradował z naprawioną laseczką. Oboje zabawiali się pogawędką i znowu na Aksela nie zwracali uwagi.

— Ojciec twój ma teraz wielkie gospodarstwo i sporo znowu pobudował — rzekł Aksel.

— O tak, i ma duże kapitały na budowę. Ojciec może mieć teraz wszystko, co tylko zechce — odparł Elizeusz chęliwie. — Nam, nieborakom, nie idzie tak łatwo.

— Jak to?

— Ano, czyście nie słyszeli? Niedawno przecie odwiedzili go milionerzy ze Szwecji i kupili od niego górę miedzianą.

— Co ty mówisz. I dużo mu zapłacili?

— O, bardzo dużo. Tak, tak, bez przesady, sporo tysięcy... A jakże tam z twoją budową? Widziałem, że budulec już zwiozłeś, kiedy zaczniesz budować?

— Nigdy — rzuciła Barbro.

Nigdy! Była to złośliwość lub przesada. Ostatniej jesieni wydobył Aksel sporo kamieni, a zimą zwiózł je; latem zaś wybudował fundament i piwnicę, teraz należało już tylko wzniesć mury i chałupa gotowa. Powiedział też, że na jesieni będzie miał chałupę pod dachem oraz że chciałby poprosić Sywerta do pomocy na kilka dni, jak zapatruje się na to Elizeusz?

— O, bardzo dobrze — rzekł Elizeusz — Ale i ja mógłbym ci pomóc — dodał z uśmiechem.

— Wy? — spytał Aksel z szacunkiem i nagle zaczął mówić do niego „wy”. — Wy do czego innego stworzeni.

Jaka to miła rzecz spotkać się z uznaniem nawet tu, na pustkowiu.

— Obawiam się, że moje ręce do takiej roboty wcale się nie nadają i na nic się nie przydadzą — przyznał Elizeusz i udawał wielce dystygowanego.

— Pokaż — zawołała Barbro, chwytając go za rękę.

Aksel czuł się znowu odepchnięty, dlatego wyszedł i ponownie znaleźli się oboje sam na sam. Byli w równym wieku, razem do szkoły uczęszczali, bawili się, baraszkowali i całowali się. I teraz oto odświeżali dawne wspomnienia z lat dziecięcych, przy czym Barbro przybierała różne pozy i wdzięczyła się w sposób widoczny. Elizeuszka nie było można oczywiście porównywać z owymi eleganckimi kantorzystami z Bergen, co to mieli binokle¹³⁵ i złote zegarki, ale za to tu, na pustkowiu, był on jedynym, prawdziwym panem. I następnie pokazała mu swoją fotografię z Bergen.

— Tak wyglądałam dawniej, a dziś?...

— A czegoś brak ci dzisiaj?

— Ach, więc uważasz, że mi nic nie ubyło?

— Ubyło? Tyle ci mogę powiedzieć raz na zawsze, że obecnie jesteś jeszcze ładniejsza i w ogóle foremniejsza... Ubyło? Nie, to klasyczne!

— Ale jak ci się podoba moja bluzka na fotografii, wycięta tak ślicznie przy szyi i na plecach? Miałam też wtedy, jak widzisz, łańcuszek srebrny, prezent od jednego z kantorzystów, u których byłam długi czas. Ale później kiedyś łańcuszek zgubiłam, właściwie nie zgubiłam, jeno pieniędzy mi brakło na podróż do domu.

— Daj mi tę fotografię...

— A co dasz mi w zamian?

O, Elizeusz powiedziałby coś, ale brak mu odwagi.

— Gdy wrócę do miasta, każę się sfotografować i potem prześlę ci moją fotografię.

Ona jednak wzięła fotografię i rzekła:

— Nie dam, ta jedna mi tylko została.

Wtedy chmura legła na młodym jego sercu i tęskliwie sięgnął ręką po fotografię.

— Dobrze, a co dostanę od ciebie zaraz, w tej chwili? — zaśmiała się.

O, wtedy nabrał odwagi, schwycił ją i łakomie wycalował.

Teraz byli już całkiem swobodni ze sobą. Oczkowali¹³⁶ i śmiali się, i dowcipkowali.

— Masz ręce tak delikatne i miękkie, jakby z aksamitu — powiedziała. — Tak, tak, wkrótce pojedziesz do miasta i potem już o mnie na pewno zapomnisz...

— Za kogo mnie masz? — odparł Elizeusz.

— Czy naprawdę nie masz tam kogo, kto cię ciągnie?

— Nie. Między nami mówiąc, jestem dotychczas wolny.

— Ehe, akurat!

— Szczera prawda!

Długo jeszcze zabawiali się, dowcipkowali i oczkowali. Elizeusz zakochany po uszy.

— Będę pisywał do ciebie, pozwolisz?

— Dobrze.

— Tak, dlatego pytam, bo nie chciałbym się naprzykrzać. — Lecz nagle wybuchła w nim zazdrość i spytał: — Opowiadają, żeś zaręczona z Akselem, prawda to?

— Z Akselem! — rzekła z pogardą i to go uspokoiło. — Sparzy się on mocno! — wyrzuciła zbyt pośpiesznie. Ale niebawem spostrzegła się i dodała dla złagodzenia wrażenia: — Z Aksela człek dobry. Gazetę dla mnie „ambonuje” i dużo daje prezentów, to prawda...

— Pewnie, pewnie, to chłop dobry i pocziwy, niezrównany — rzekł Elizeusz — ale zawsze to tylko nieokrzesany chłop...

Na wspomnienie jednak o Akselu Barbro zaniepokoiła się nieco, zerwała się z miejsca i oświadczyła:

— Teraz musisz już odejść, mam robotę w stajni!

¹³⁵binokle — rodzaj okularów bez uchwyty, mocowanych na nosie za pomocą sprężynki. [przypis edytorski]

¹³⁶oczkować (pot.) — kokietować spojrzeniami. [przypis edytorski]

Następnej niedzieli wybrał się Elizeusz znacznie później niż niedziel poprzednich. Wolnym krokiem podążał ku Akselowej zagrodzie, a w kieszeni na piersi pieścił list. O, co zaś list! Wymyśliły go i wypracowały zachwyty i męka wysiłków mózgowych całego tygodnia! „Do Panny Barbro Bredesen. Dwa razy spotkało mnie to niewypowiedziane szczęście widzenia się z Tobą...”

Gdy stanie tam tak późnym wieczorem, Barbro będzie pewnie już po robocie, kto wie, może nawet już w łóżku. Ale to nic, przeciwnie, tak właśnie byłoby najlepiej.

Barbro była jeszcze na nogach, siedziała w gammie. Zachowała się przecież tak, jakby na czułości najmniejszej nie miała ochoty. Elizeusz odniósł wrażenie, że boi się Aksela, że Aksel ją wykrzyczał.

— Proszę, oto obiecany list.

— Dziękuję! — powiedziała, otwierając go i czytając bez okazania choćby cienia radości. — Ja bym tak samo umiała napisać — oświadczyła nareszcie.

Był rozczarowany, co jej się stało? I gdzie był Aksel? Poszedł. Zapewne dosyć miał już tych głupich wizyt niedzielnych, a może miał naprawdę coś ważnego do załatwienia, dość że wczoraj wieczorem poszedł do wsi. W każdym razie poszedł!

— Czemu więc siedzisz tu, w tej zatęchłej gammie, skoro tak ślicznie na dworze? Chodźże trochę na dwór! — rzekł Elizeusz.

— Czekam na Aksela!

— Na Aksela? Czy bez niego żyć nie możesz?

— Owszem, ale gdy wróci, będzie głodny... Czy chcesz, żeby głodny spać poszedł?

Czas mijał... czas stracony. Cierpliwość Barbro trzymała go z dala. Próbował znowu opowiedzieć o swym pobycie we wsi sąsiedniej, przy czym nie zapomniał o swej mowie żalobnej:

— Wiele co prawda nie miałem do powiedzenia, niektórych jednak wzruszyłem do łez, zanosili się od płaczu.

— Ach, ach! — rzekła.

— A innej znowu niedzieli byłem w kościele.

— Spiknąłeś się tam z którą?

— Czy się z którą spiknąłem? Rozglądałem się tylko, i nic więcej. Kazanie było, moim zdaniem, liche; pastor miał kiepski widocznie dzień.

Czas mijał.

— Jak myślisz, co by też Aksel powiedział, gdyby cię tu zastał o tak późnej godzinie? — odezwała się niespodzianie.

Ach, pytaniem tym zdeptała go doszczętnie. Czyżby zapomniała już o zeszłej niedzieli? Czy nie umówili się co do dzisiejszego wieczoru? Czuł się do żywego dotknięty i mruknął:

— Mogę przecież odejść!

To jakoś nie przeraziło jej.

— Co ci takiego zrobiłem? — szepnął głosem drżącym.

— Coś mi zrobił? Ach, tyś mi w ogóle nie nie zrobił!

— Co w takim razie dziś się z tobą dzieje?

— Ze mną? Ha, ha, ha! Ale zresztą nie dziwiłabym się, gdyby Aksel wpadł w złość.

— Więc pójdę — powtórzył Elizeusz.

Lecz i tym razem jakoś się nie przeraziła, lekceważyła go i obojętna jej była jego osoba, jego obecność i jego udręka. O, kanalia!

Teraz zaczęło się w nim gotować. Najpierw gniew swój uzewnętrznił w formie wytwornej: płci swojej nie przynosi naprawdę zaszczytu! A gdy to nie pomogło — o, czemuż on nie milczał?!

— Gdybym był wiedział, żeś ty taka, nie byłbym tu dziś przychodził!

— I cóż z tego? — odparła. — Wtedy nie byłbyś mógł paradować swoim kijaszkiem. Ha, ha, ha!

O, Barbro była w Bergen, widziała inne laski, laski prawdziwe, dlatego mogła była szydzić i pytać beczelnie, skąd wyrwał ten sztukowany kijek od starego parasola.

Połknął tę nową pigułkę milcząco.

— A może chcesz, żebym ci fotografię zwrócił? — spytał.

Był to ostatni jego argument; jeżeli ten nie poskutkuje, natenczas przepadło wszystko. Odbieranie bowiem z powrotem raz ofiarowanych podarków było na pustkowiu rzeczą po prostu niesłychaną, ostateczną ostatecznością.

— Cóż ci na niej zależy? — odpowiedziała wymijająco.

— Dobrze — rzucił hardo — natychmiast ją odeślę. Oddaj mi mój list!

Co rzekłszy, powstał.

Owszem, list wręczyła mu, ale jednocześnie humory jej wywróciły kozła i w oczach jej ukazały się łzy. Najniespodziewaniej. Dziewczyna wzruszona była do głębi, opuszczał ją przyjaciel, żegnał na wieki!

— Możesz zostać — odezwała się — zupełnie mi obojętne. co Aksel sobie pomyśli.

Lecz Elizeusz chciał okazać swoją wyższość i dlatego pożegnał się.

— Jeżeli dama zachowuje się tak jak ty, natenczas ja... odchodzę — powiedział.

Wyszedł krokiem powolnym, poświstywał i wywijał laską, i udawał całkiem beztroskiego. Ba, zaraz też Barbro wybiegła za nim, wołając, żeby wrócił. Owszem, przystanął, to prawda, ale miał minę obrażonego lwa. Przycupnęła wśród wrzosu i jakby żałując swego postępowania, targała w zamyśleniu gałązki. Powoli opamiętał się, tak, nawet o pocałunek ją poprosił — „pocałunek pożegnalny” — powiedział.

Nie, na to przystać nie chciała.

— Bądźże przynajmniej taka, jaka byłaś zeszłej niedzieli!

Zachodził dokoła niej z różnych stron i coraz natarczywiej polując na jaką taką sposobność. Ale ona znowu się zmieniła, zerwała się na równe nogi i stanęła naprzeciw niego z wyrazem złości na ustach. Wtedy kiwnął tylko i poszedł. Bez słowa.

Gdy zniknął w oddali, wówczas nagle zza krzaków wychynął Aksel. Barbro drgnęła z przerażenia i zapytała:

— Jakże to? Z góry wracasz?

— Nie, z dołu wracam, ale widziałem was...

— To tak? No, to niewiele złowiłeś! — krzyknęła naraz rozwścieczona. Jak widać, humor jej nie poprawił się. — Po kiego diabła węszysz? Co ciebie to obchodzi?

Aksel okazał równie mało ochoty do grzeczności:

— He, he, więc dziś znowu tu przylazł?

— No i co z tego? Czego chcesz od niego?

— Czego od niego chcę? A czego chcesz ty od niego? Mogłabyś się wstydzić!

— Wstydzić? Czego mam się wstydzić? Jak stara mumia siedzę w twojej gammie, tak, żebyś wiedział! Może chcesz nająć sobie gospodynię, to sobie zaraz stąd pójdę. Ale wara ci do tego, żebyś sobie mną pysk wycierał! Taka jest moja odpowiedź! Teraz pójdę, żeby ci żarcie przygotować, a potem zrobię to, o czym już dawno myślę!...

Tak wykrzykując zniknęła w gammie.

Nie, nie, Aksel i Barbro nie zawsze żyli w przykładowej zgodzie. Od dwóch lat już była u niego i co chwila wybuchały między nimi kłótnie, z tego głównie powodu, że Barbro raz w raz chciała go opuścić. Nalegał na nią, żądał, by pozostała z nim na zawsze, by po prostu stała się towarzyszką jego życia. Wiedział aż nadto, co go czeka bez takiej pomocy — i ona też kilka razy już przyrzekała przyjąć jego oświadczenia, ba, podczas wybuchów wyjątkowej czułości wyznawała, że nie umie już wyobrazić sobie życia bez Aksela i jego gammy. Skoro jednak zawrzała między nimi kłótnia, natychmiast groziła odejściem. Odejść, odejść. Co by zrobić, żeby ją do siebie przywiązać?

Przywiązać? Na ten temat szydziła z niego bezlitośnie.

— Tak, to i odejść chcesz teraz? — odezwał się.

— Czemu by nie?

— Czy mogłabyś teraz jechać?

— Czemu by nie? Myślisz, że przed zimą trudno o zajęcie, to się mylisz; w Bergen przyjmą mnie zawsze.

— Tymczasem jednak jechać nie możesz! Czy nie spodziewasz się dziecka?

— Dziecka? O jakimże dziecku bajesz?

Aksel skamieniał. Czyżby Barbro zwariowała?

Inna rzecz, że Aksel postępował może cokolwiek nieroztropnie. Od czasu bowiem, jak zaszła w ciążę, stał się nieco zbyt pewny siebie; było to niemądre. Potrzebne to było, że tak często się jej sprzeciwiał, albo że wiosną kazał jej sadzić ziemniaki, skoro on sam

mógł to być zrobić? Po ożenku całkiem co innego, wtedy będzie mógł jej rozkazywać, ale do tego czasu powinien mieć rozum i ustępować.

Ale najhaniebniejsza właśnie rzecz to ten kantorzysta, Elizeusz, który się tu szwenda i gładkimi słówkami zawraca jej głowę. Czy to uchodzi, żeby przyzwoita dziewczyna, i to w takim stanie, w podobny sposób się bałamuciła? Niesłychane! Dotychczas Aksel był sam, tak, a teraz miał rywala! Położenie się zmieniło!

— Tu są nowe gazety dla ciebie — odezwał się Aksel. — A tu mam drobnostkę, którą kupiłem dla ciebie. Zobacz, czy ci się podoba.

Pozostała niewzruszona. Jakkolwiek oboje pili dopiero co zagotowaną, a więc wściekle gorącą kawę, mimo to odpowiedziała w tonie zimnym jak lód:

— Mogłabym przysiąc, że to pierścionek złoty, któryś obiecał mi już przed rokiem.

Zagalopowała się, gdyż był to naprawdę pierścionek. Nie był co prawda złoty i takiego zresztą nigdy jej nie obiecywał, ale zawsze był to pierścionek srebrny z dwiema złączonymi w uścisku rączkami. Ach, ale ten nieszczęsny pobyt w Bergen. Ona widziała tam prawdziwe pierścionki zaręczynowe, więc na próżno stara się ją otumanić!

— Możesz go sobie zatrzymać — oświadczyła w końcu.

— A czego mu brak?

— Czego mu brak? Niczego — odpowiedziała.

Wstała i zaczęła sprzątać ze stołu.

— Tymczasem możesz przecie go zatrzymać, a później znajdzie się może inny — rzekł Aksel.

Lecz Barbro milczała.

Zresztą była tego wieczora bardzo niedobra. Czy taki srebrny pierścionek jest bez wartości? Nic innego, jeno ten kantorzysta, elegant, zawrócił jej głowę. I Aksel nie mógł się powstrzymać, żeby o nim nie gadać.

— Czego on chce od ciebie?

— Ode mnie?

— Tak, czy on nie widzi, jakaś ty obrządzona?

Barbro stanęła tuż przed Akselem, podparła się w biodrach i rzekła:

— To tak? To ty myślisz, żeś mnie tym do siebie przykuł? Zobaczysz, żeś się omylił!

— Hm! — rzekł Aksel.

— Tak, i zobaczysz, że tu nie wysiedzę...

Na te słowa Aksel uśmiechnął się tylko, i to całkiem nieznacznie, żeby jej nie drażnić. Po czym rzekł mitygująco jakby do rozkapryszonego dzieciaka:

— No, przestań już grymasić. No, Barbro... przecie wiesz... ty i ja.

Oczywiście, grymasy minęły dopiero późną nocą, zakończyły się tym, że Barbro znowu stała się grzeczna i miła, tak że zasnęła nawet ze srebrnym pierścionkiem na palcu.

O, to się znowu wszystko ułoży!

I rzeczywiście, ułożyło się między Akselem i Barbro, lecz tym gorzej się stało dla Elizeusza. Doznany despekt¹³⁷ bardzo go bolał. Ponieważ nie miał pojęcia o histerii, przeto był przekonany, że zadrwiła sobie z niego z wrodzonej, pospolitej złośliwości. Stanowczo za wiele sobie pozwalała...

Fotografię odesłał jej w ten sposób, że pewnej nocy odniósł ją osobiście, zakradłszy się na strych z sianem, gdzie zwykła była sypiać. Postąpił przy tym nie ordynarnie, brutalnie, lecz przeciwnie, bardzo delikatnie: długo, długo manipulował przy drzwiach, żeby ją zbudzić. Ona, usłyszawszy to, wsparła się na łokciach i spytała:

— No dalejże, coś się stało, że dziś trafić nie umiesz?

To poufale zapytanie ukuło go niby szpilką lub sztyletem, ale mimo to nie krzyknął, nawet nie jęknął, jeno fotografię położył na podłodze tuż przy drzwiach. Potem zaś wrócił i poszedł. Poszedł? Gdzież tam — pobiegł! Pędził na przód jak oszalały, a serce łomotało mu w piersi niby młot kowalski. Zatrzymał się dopiero za większym jakimś krzakiem i spojrzał za siebie. — Nie, nie wyszła i nie pobiegła za nim! Ach, a on się łudził! Gdybyż, och, gdybyż była mu okazała bodaj szczyptę przychylności... Tam do licha, jeżeli za nim nie wybiegła w koszuli i spódnicy, w takim razie i on uciekać nie potrzebuje.

¹³⁷despekt (daw.) — obraza, afront. [przypis edytorski]

Włókł się do domu, noga za nogą, ociężale, bez laski i bez pogwizdywania. Nie, nie czuł się w tej chwili wielkim panem. Był zdruzgotany jej poufałym zapytaniem, które nie do niego się odnosiło. Sztych w serce to nie drobnostka.

Czy na tym się skończyło?

Którejś niedzieli o świcie udał się tam znowu, aby wybadać sytuację. Z niesłyszana, maniacką wręcz cierpliwością leżał na czatach, ukryty w gęstwinie krzaków i patrzył, patrzył bezustannie na gammę. Gdy nareszcie zaczął się tam ruch i życie, wtedy zdało się, że nastąpił dla niego koniec świata. Z chałupy wyszli oboje, Aksel i Barbro, idąc do stajni. Szli przytuleni do siebie, złączeni uściskiem ramion. Niechże ich!

Elizeusz przyglądał im się z miną delikwenta. Być może, że tak mniej więcej myślał w tej chwili: „Z Akselem idzie pod rękę... jak się to stać mogło, tego nie wiem... ale to wiem, że niedawno ręce jej przyciskały mnie do siebie...”.

Zniknęli za wrotami stajni.

Niech tam! Ba! Czy miał leżeć tu w krzakach i... Tak, tak robi, rozciągnie się jak długi na brzuchu i wścieknie się. Kim ona jest? Ale on jest tym, kim jest! Ba!

Wstał, przeciągnął się i otrząpał spodnie z liści i wrzosu. Gniew jego i buta utorowały sobie drogę w formie szczególnej: w tonie desperackim zaczął śpiewać piosenkę niezupełnie przyzwoitą. Miejsca sprośne śpiewał możliwie najgłośniej i wtedy właśnie na twarzy jego malował się wyraz największej tkliwości.

XIX

Izak wrócił ze wsi ze szkapą.

Tak, usłuchał rady Geisslera i kupił konia u wóźnego sądowego. Zapłacił dużo, bo dwieście czterdzieści koron, czyli okrągłe sześćdziesiąt talarów. Konie podrożały obecnie niesłychanie, dawniej, za czasów Izakowego dzieciństwa, płacono za najlepszego konia najwyżej pięćdziesiąt talarów.

Czemuż jednak on sam nie zajął się hodowlą koni? O, on dobrze sobie tę sprawę rozważył, myślał o rocznym żrebacku, około którego musiałby chodzić z rok albo i dwa lata. Lecz na to mógł sobie pozwolić ten, kto mniej ma roboty w polu, taki, kto nie potrzebował być dbać o grzędzawiska i ich uprawę.

Sprawa nabycia drugiego konia dawno już zaprzętała myśl Izaka, od kilku lat w nim pokutowała; ho, ho, Geissler przyszedł ze swym projektem znacznie później. Z tego też powodu dawno już przygotowywał różne urządzenia, aby nowy nabytek od razu znalazł jak najlepsze pomieszczenie dla siebie. A więc przygotował drugą drabinę stajenną i drugie koryto, a także wbił na łące drugi kolek na porę letnią; miał już kilka wozów i okar¹³⁸, a jesienią zbuduje dalsze. Nie zapomniał również o najważniejszym ze wszystkiego: o obroku; z tego tylko powodu tak ostro zabrał się w zeszłym roku do przewrócenia i uprawienia nowej polaci odłogów. Tam właśnie zastał teraz zieloną paszę, przeznaczoną dla krów cielných.

Tak, obmyślił wszystko zawczasu. Inger miała znowu słuszny powód do kłaśnięcia w dłoń, jak to zwykła była czynić za dawnych lat, gdy nad czymś bardzo się dziwiła.

Ważną nowinę przywiózł Izak ze wsi: Bredablik miało pójść pod młotek. I to wszystko, a więc uprawione nieliczne pola i półka ziemniaczane, a także bydło i nierogaczyna.

— To on z wszystkiego chce się wyprzedać? — zawołała Inger. — A dokądże on się uda?

— Do wsi.

Istotnie, Brede zamierzał wyprowadzić się na wieś. Co prawda najpierw próbował roztasować się u Barbro, czyli u Aksela. Ale to się jakoś nie udało. Brede nie chciał za nic w świecie rozbijać stosunku swej córki z Akselem, dlatego tylko był ostrożny i wystrzegał się być natrętnym. Inna rzecz, iż to właśnie pokrzyżowało mu wszelkie plany. Aksel zamyslał wykończyć nową chatę do jesieni, czy więc nie mógłby odstąpić opróżnionej gammy Bredemu i jego rodzinie? Nie! Brede nie rozumiał po prostu pewnych

¹³⁸okar, właśc. okara — wóz o dwóch wysokich kołach, przeznaczony do przewożenia ciężarów; wielka taczka. [przypis edytorski]

Koń, Pieniądz

Chłop, Zwierzęta

konieczności osadnika, nie rozumiał, że Aksel budował chatę po to głównie, aby gamę zamienić na stajenkę dla pomnażającego się inwentarza. Na nic się tu zdały wszelkie tłumaczenia Aksela.

— Ludziom chyba należy się pierwszeństwo przed bydłem — upierał się Brede.

Osadnik był całkiem innego zdania. Wpierw bydło, a potem ludzie, którzy zawsze jakoś sobie poradzą. Wówczas wmieszała się do rozmowy Barbro:

— Aha, więc bydło jest tobie miłsze od ludzi? Dobrze o tym wiedzieć!

Zaiste, Aksel ściągnął na siebie oburzenie całej rodziny. Ale mimo to nie ustąpił. Nie był on zresztą taki głupi, wiedział, co robi. Uświadamiał sobie, że z chwilą takiego rozkwaterowania się przybyłoby do wyżywienia tyle a tyle żołądków.

Brede uspokajał córkę, dając jej do zrozumienia, że najchętniej by na wieś powrócił. Twierdził, iż pustkowie bardzo źle na niego działa i że z tego powodu pozbywa się swego gospodarstwa.

Tak, ściślej jednak biorąc, nie Brede sprzedawał swoje gospodarstwo, lecz wyprzedawali go bank i kupiec pragnący dojść do swych pieniędzy; dla pozorów wszelako obwieścili licytację w imieniu Bredego. Wytłumaczył sobie, iż tym sposobem uniknie hańby licytacji przymusowej. I stąd też nie czuł się bynajmniej przygnębiony. Zetknąwszy się z Izakiem, brawurował, że w dalszym ciągu jest inspektorem linii telegraficznej, skąd ma stałe dochody, a z czasem zdobędzie na nowo dawne stanowisko we wsi, dawny urząd „asystenta sołtysa”.

Okazał oczywiście także i trochę wzruszenia i markotności. Tak wypadło: bo to taka przykra rzecz rozstawać się z gospodarstwem, które się umiłowano i na którym tyle lat się żyło i pracowało w pocie czoła. Ale poczciwy Brede nie przejmował się niczym głęboko i na długo, to było jego rysem dodatnim, ujmującym, a może rozbajającym. Niegdyś przyszła mu ochota uprawiania gleby na pustkowiu, nie był to pomysł szczęśliwy, ale w podobnie lekki sposób próbował innych rzeczy, a przecież z lepszym powodzeniem.

Tak, kto zresztą zdoła przewidzieć, czy ze swymi próbami kruszców nie zrobi jeszcze kiedyś olbrzymiego interesu? W każdym razie Barbro dobrze ulokował. Ona od Aksela odejść już nie może, to jasne! Tak, dopóki mu zdrowie służy, wszystko w porządku; on, Brede Olsen, myśli za wszystkich. I teraz akurat dzieci jego powoli podrastają i pracują już na siebie. Helga zajęta już przy połowie śledzi, a Kaśka idzie na służbę do doktora. Czyli że w domu pozostanie tylko dwoje młodszych — co prawda przywędruje wkrótce jeszcze trzecie, ale...

Izak przyniósł ze wsi ważną nowinę: pani sołtysowa powiła dziecko!

Inger ożywiła ta wiadomość nadspodziewanie, więc spytała zaciekawiona:

— Chłopca czy dziewczynkę?

— Tego nie wiem — odparł Izak.

A więc pani sołtysowa ma dziecko, ona, która w stowarzyszeniu kobiet tak energicznie występowała przeciwko narastaniu liczby urodzeń wśród biedoty... „Kobiecie należy przyznać prawo głosowania oraz to, aby mogła sama wpływać na swój los” — tak zwykła była głosić i często powtarzać z namaszczeniem i ze świętym ogniem w oczach. I oto wpadła dokumentnie. „Tak — rzekła pani pastorkowa — ona wpływa na swój los, ale losowi swemu mimo to nie uszła!”

Dowcip ten o pani Heyerdal krążył po całej wsi, od chałupy do chałupy, bardzo wielu na nim się poznało, poznała się na nim i Inger, jeno nie Izak.

Izak znał się tylko na swojej robocie. Był teraz bogaczem na wielkim folwarku, lecz nie umiał użyć tych wszystkich talarów i koron, które los szczęścia tak obficie do kieszeni mu sypał. On składał je wszystkie w skrzyni. Pustkowie go ocaliło.

Gdyby Izak był mieszkał na dole we wsi, wtedy wielki świat byłby może i na niego cokolwiek działał; wszakże tak wiele znajdowało się tam pięknych rzeczy, takie pańskie stosunki, kupowałby fatalaszki zbytkowne i na co dzień stroiłby się w czerwoną koszulę. Pustkowie atoli chroniło go od wszelakiej rozrzutności, żył na świeżym powietrzu, mył się w niedzielę, a kąpał się, gdy się znalazł nad górskim jeziorem. Ów tysiączek talarów — owszem, dar niebios, całość do odłożenia, ani grosza uronić z nich nie można! Na co by zresztą? Swoje pospolite wydatki Izak pokrywał z łatwością, sprzedając plony swych pól i przychówek z inwentarza.

Kobieta, Dziecko

Elizeusz wprawdzie doradzał ojcu lokatę pieniędzy w banku. Możliwe, że miał słuszość, mimo to przecież jakoś się z tym zwlekąło z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień — może to i nigdy w ogóle nie nastąpi. Nie jakoby Izak radę syna lekceważył, o nie! Elizeusz nie był taki zły, Izak to stwierdził w ostatnim czasie. Teraz zaś podczas sianokosów imał¹³⁹ się nawet kośby¹⁴⁰. Ano, daleko mu w tym było do mistrzostwa i trzymał się stale w pobliżu Sywerta, ponieważ sam kosi nie umiał klepać, ale Elizeusz posiadał długie ramiona i załapywał siano jak stary. On i Sywert, Poldynka i Jensyna uwijali się obecnie na łące i pierwsze siano składali w kupki, Elizeusz obracał przy tym grabiami z rozmachem, aż mu bąble wyskoczyły, tak że z obwiązanymi rękoma musiał wrócić do chaty. Coś się w nim przełamywało; wyglądało to tak, jakby jakaś nieszczęśliwa przygoda miłosna lub coś w tym rodzaju, jakieś wielkie cierpienie serca lub rozczarowanie na dobre mu wyszło. Wyobraźcie sobie, wypalił resztkę tytoniu przywiezionego z miasta i nawet się z tego powodu nie indyczył i drzwiami nie trząskał; owszem, Elizeusz usatkwował się obecnie, trzymał się twardo, okazał się dojrzałym mężczyzną.

Co jednak strzeliło do głowy temu sowizdrzałowi, Sywertowi, żeby go drażnić?

Bracia mianowicie wylegiwali się w danej chwili na głazach sterczących pośrodku rzeki. Wtedy Sywert w pustocie swej zaproponował, że dostarczy mu tytoniu z zasuszonego mchu.

— Albo może wolałbyś kopcić świeży mech? — spytał.

— Dam ja ci tytoń — odparł Elizeusz i w okamgnieniu zanurzył brata w wodzie po uszy. — Ha, ha, masz tytoń!

„Coś mi się widzi, że z Elizeusza wyrośnie jeszcze tegie chłopisko” — rozmyślał ojciec, przyglądając się synowi przy robocie.

— Hm. Zaczynam wierzyć, że Elizeusz pozostanie już teraz w domu na stałe; jak myślisz? — rzekł do Inger.

— A bo ja wiem? Chociaż wątpię — odparła wymijająco.

— Hm, czy gadałaś z nim?

— Ach, nie... Chociaż niby tak, trochę... Ale ja się domyślam.

— Chciałbym też wiedzieć, jakby on sobie radził na własnym gospodarstwie?

— Niby jak?

— Ano, czyby zajął się uprawą?

— Na pewno nie.

— Hm, gadałaś z nim o tym?

— Czy z nim gadałam? A bo to nie widzisz, jaki on zmieniony? Nie poznaję go wcale.

— Widzę tylko, że robota idzie mu coraz lepiej.

— Ano może, może — odparła Inger nieśmiało.

— Nie rozumiem, czego chcesz od tego chłopaka! — huknął nagle Izak rozsierdzony. — Robota jego co dzień lepsza, czego chcesz więcej?!

— On już nie jest tym dawnym naszym Elizeuszem — bąknęła. — Zacznij z nim tylko mówić o kamizeli, to się sam przekonasz.

— O kamizeli? Czemu?

— Opowiada, że latem nosił w mieście tylko białą kamizelę.

Izak długo się nad tym zastanawiał i żadną miarą nie mógł dociec sensu tej relacji.

— No, czemuż by nie miał dostać białej kamizeli? — spytał wreszcie. Ot, babskie gadanie i tyle. Biała kamizela! I cóż stąd? Chłopak ma słuszość, należy mu się to sprawiedliwie i basta! Aby jednak szybko uporać się z tą sprawą, zapytał: — Co byś powiedziała na to, gdyby dostał do uprawy osadę Bredego?

— Niby kto?

— Elizeusz.

— Osadę Bredego? Niech ręka boska broni!

Sedno sprawy bowiem spoczywało w tym, że matka omówiła już zamysły ojca poprzednio z Elizeuszem. Zamysły te zdradził jej Sywert. No i jakaż była odpowiedź Elizeusza? Taka sama jak ongi w listach jego z miasta: „Nie mogę zmarnować tego, czegom się nauczył, żeby znowu zostać zerem”. Tak brzmiała jego odpowiedź. Wtedy matka zaczęła

¹³⁹imać się czegoś (daw., gw.) — chwycić się za coś; brać się za coś. [przypis edytorski]

¹⁴⁰kośba — koszenie zboża lub trawy. [przypis edytorski]

go przekonywać, ale Elizeusz pozostał niewzruszony, dowodząc, że inny jest cel jego życia. Serce młodzieńcze miało swe niezbadane powody; możliwe też, że po tym, co zaszło, nie chciał być sąsiadem Barbro. Tego matce oczywiście nie powiedział, ale powiedział co innego. Mianowicie, że w mieście mógłby dostać posadę o wiele lepszą niż obecna, na przykład pisarza w sądzie lub u starosty. Należy iść coraz wyżej. Po kilku latach zostanie może sołtysem lub strażnikiem na latarni morskiej, lub otrzyma stanowisko w urzędzie celnym. Tak wiele istnieje możliwości dla tego, kto się czegoś nauczył.

I tak się jakoś stało, że matkę nie tylko przekonał, ale nawet zapalił do swoich „możliwości”. Czy Elizeusz mógłby naprawdę zostać sołtysem?

— Naturalnie — odrzekł Elizeusz. — Wszakże sołtys Heyerdal był dawniej także tylko pisarzem biurowym.

Wielkie widoki na przyszłość! Takiego człowieka szkoda dla pustkowia!

Ale czemu w takim razie Elizeusz tak pilnie garnał się do pracy na gospodarstwie ojcowym? Bóg raczy wiedzieć, w jakim celu to robił! Pewną rolę odgrywała tu niewątpliwie niewygasła iskierka ambicji chłopskiej: nie chciał być gorszy od innych. Poza tym jednak myślał o dniu rozstania z pustkowiec; na chwilę tę pragnął zabezpieczyć sobie życzliwość ojca. Prawdę mówiąc, posiadał on w mieście różne małe długi; uregulowanie ich po powrocie z pustkowia zapewniłoby mu nowy, większy kredyt. A szło tu nie tylko o stukoronówkę, lecz o coś całkiem innego.

Nieglupi był Elizeusz, przeciwnie, był nawet na swój sposób przebiegły. Podpatrzył, kiedy ojciec wrócił do domu, i domyślił się, że w tej chwili siadł przy oknie i obserwował go. Przeto Elizeusz z podwójną gorliwością jął pracować, aby się dobrze w oczach ojcowych zapisać.

Elizeusz posiadał coś niecoś ogłady, lecz jednocześnie był i coś niecoś spaczony, jakby wykoślawiony wewnątrz; nie był on złym chłopcem, ale cokolwiek uparty był na pewno. Czyżby to była wina braku silnej ręki w latach minionych? Cóż matce wypadało teraz czynić? Pomagać mu tylko i nic ponadto. Mogła była się łudzić nadzieją, że syna jej czeka wielka przyszłość, i dlatego mogła go była bronić przed grożącym ze strony ojca zamachem.

Ostatecznie jednak odporne jej stanowisko rozsierzdziło Izaka; wierzył, że plan jego nie jest wcale taki zły. Przejeżdżając dziś przez Bredablik, zatrzymał się nawet na chwilę, żeby doświadczonym swym okiem jeszcze raz zbadać zaniedbane osiedle: pracowitych rąk tam potrzeba, nic więcej.

— Czemuż nie miałbym zaryzykować? — spytał żony. — Elizeusz tak przypadł mi do serca, że chciałbym mu dopomóc.

— Ach, jeżeli go naprawdę miłujesz, to nie namawiaj go.

— Czemu?

— Bo on ma daleko większe zamiary.

Izak nie czuł się tak bardzo pewny siebie, ale gniewało go to, że plan swój odsłonił tak nieopatrnie, i dlatego może uparł się.

— Zrobi tak, jak ja każę! — zdecydował nagle głośno i groźnie. — Tak, tyle ci jeno powiem. Jest tam szkoła i pół drogi do wsi... A jakie są te jego wielkie zamiary? Z takim jak on synem rychło bym z głodu umarł. Ale teraz chciałbym też wiedzieć, skąd to pochodzi, że moja własna krew buntuje się przeciwko... mojej własnej krwi? — Izak umilkł. Zdawał sobie sprawę z tego, że im więcej mówił, tym gorzej mówił. Po chwili przeto zdecydował: — Spróbuj z Elizeuszem jeszcze raz, może zmieni swoje zamiary.

— Lepiej by było, żebyś ty sam z nim pogadał. Mnie on nie słucha! — odparła Inger.

Owszem, Izak jest głową rodziny, to się wie. Ale czy to z obawy przed porażką, czy też z innego powodu, dosyć że Izak chciał tego uniknąć.

— Ano, mógłbym z nim pogadać — rzekł. — Ale teraz mam co innego na głowie, ważne sprawy.

— Ach tak? — zdziwiła się Inger.

Izak wyszedł co prawda tylko do granicy swojej posiadłości. Oslania się jakąś tajemniczością i chce być sam jeden, bez świadków. Rzecz cała w tym, że powrócił dziś ze wsi z trzecią nowością, a była ona ważniejsza od obu poprzednich, o, bardzo ważna, niezwy-

Ojciec

Maszyna

kła, ukrył ją na skraju lasu. Oto stoi tam zawinięta w papier i rogożę¹⁴¹. Rozpakowuje ją i oczom ukazuje się duża maszyna. Czerwona i niebieska, cudowna, z wielu zębami i wielu nożami, z kierownicami, ramionami, kołami i śrubami — żniwiarka!

Rzecz prosta, że drugiej szkapy nie byłby dziś właśnie sprowadzał, gdyby nie żniwiarka. Do żniwiarki potrzebny drugi koń.

Izak przyglądał się jej bacznie ze wszystkich stron i przypominał sobie sposób obchodzenia się z nią według wskazówek odczytanych przez kupca. A więc najpierw przymocował sprężynę stalową i wsunął wałek, następnie naoliwił każdą dziurkę i każdą szparkę. Potem jeszcze raz wszystkiemu się przyjrzał. Przebóg, podobnej chwili nie przeżywał jeszcze! Wziąć pióro do ręki i na dokumencie swój podpis umieścić — tak, to trud wielki i niebezpieczny. Tak samo ma się rzecz z pługiem do karczowania, zapatrzonym w wiele zakrzywionych noży. I nareszcie piła obrotowa w tartaku, która musi być przytwierdzona ściśle dokładnie na włoskę, żeby się nie chwiała lub zgoła nie wyskoczyła ze swegołożyska. Ale żniwiarka to prawdziwe gniazdo sroki, złożone z gałązek stalowych i grabi, mechanizmów i setek śrub. O, maszyna do szycia to zaiste zabawka w porównaniu ze żniwiarką!

Następnie Izak sam się zaprzął i próbował maszyny w ruchu. To właśnie była owa wielka chwila. Z tego tylko powodu chciał wpierw być z nią sam na sam, w ukryciu przed innymi.

Jakżeby wyglądało, gdyby maszyna zmontowana była fałszywie i odmówiła posłuszeństwa albo też pękła z hukiem? Ale to się nie stało, maszyna kosiła trawę. Niechby tylko nie kosiła! Izak, zatopiony w studium mechanizmu, ani się spodziewał, jak wiele godzin minęło i słońce już zaszło. Zaprzęga się znowu i próbuje, maszyna kosi trawę. Niechby tylko...

Gdy po ciepłym dniu spadła rosa, obaj bracia stali już na łące, każdy ze swą kosą, gotowi do kośby. Wtedy to Izak wyłonił się niespodzianie w pobliżu nich i rzekł:

— Dajcie dziś spokój waszym kosom. Ubierzcie nową szkapę i przyprowadźcie ją do lasu.

To powiedziawszy, nie wstąpił do domu na wieczerzę, zawrócił na miejscu i poszedł ponownie tam, skąd przyszedł.

— Czy zaprząć wóz? — zawołał za nim Sywert.

— Nie — odrzekł ojciec i szedł dalej.

Aż strach, jaki był tajemniczy, a duma go po prostu rozsadza. Kroczył pijany wielkością chwili.

Za nim podążyli chłopcy z koniem. Teraz dopiero zauważyli maszynę i stanęli jak wryci. Była to pierwsza żniwiarka na pustkowiu, pierwsza również i we wsi, czerwona i niebieska, wspaniała. Ojciec, głowa domu, zawołał tonem najobojętniejszym w świecie, zupełnie jakby nic a nic nie zaszło:

— Chodźcie jeno zaprząć szkapę do żniwiarki!

Zaprzęgli.

Potem ruszyli z miejsca, ojciec pojeżdżał. „Brrr” — warknęła maszyna i ciąła trawę. Synowie szli za nim i uśmiechali się, szli z próżnymi rękoma, szli ot, jakby na spacer. Teraz ojciec przystaje i spoziera za siebie — ano, mogłaby lepiej ciąć. W kilku miejscach przykręcił śruby, aby kosy więcej ku ziemi opuścić, i próbował od nowa. Źle, tnie nierówno. Pochwa z kosami chyboce się i skacze. Ojciec zamienia kilka słów z synami. Elizeusz trzyma w ręku instrukcję i czyta.

— Tutaj pisze, że trzeba sięść na kozioł, żeby maszyna szła spokojniej — rzekł.

— Hm — odparł ojciec. — A jużci, wiem o tym, przecie studiowałem już wszystko dokładnie.

Siada na kozioł i jedzie dalej. Maszyna idzie spokojnie. Lecz nagle przestaje ciąć i milknie; od razu znieruchomiały wszystkie kosy. Ho, co teraz? Ojciec zeskakuje z siedzenia, a duma jego nagle gdzieś przepadła; nad maszyną pochyła się oblicze stroskane, pełne zwątpienia i niepewności. Ojciec i synowie patrzą na nią okiem osowiałym. Coś jest nie w porządku, ale co? Elizeusz dzierży w ręku instrukcję.

— A co tu leży? O, mała zatyczka — woła Sywert, podnosząc ją z ziemi.

Maszyna

Maszyna

¹⁴¹rogoża (daw.) — mata upleciona z łyka lub z sitowia. [przypis edytorski]

— Ach tak, dobrze, żeś ją znalazł — odzywa się ojciec, jakby o nią tylko chodziło. — Ale teraz oto nie mogę znaleźć właściwej dziurki; gdzież, do diaska, zapodziała się dziurka zatyczkowa?

— O, tu — rzekł Elizeusz, wskazując palcem.

Elizeusz czuł w tej chwili, jak rośnie; któż odważyłby się teraz zaprzeczyć jego umiejętnościom w posługiwaniu się instrukcją. Aż nadto długo trzymał palec na dziurce i cedził z powagą:

— Tak, sądząc z obrazka, zatyczkę należy tu wsadzić.

— Tak jest — rzekł ojciec — tam ją też wsadziłem. — Ażeby zaś ratować swój autorytet, kazał Sywertowi szukać dalszej jeszcze zatyczki. — Musi tam być jeszcze jedna... poszukaj jeno w trawie... Co, nie możesz znaleźć? Ano, to zapewne siedzi jeszcze w swojej dziurze.

Potem znowu zamierzał jechać.

— Ale to się przecie nie zgadza! — zawołał Elizeusz. Elizeusz dzierży w ręku rysunek, dzierży instrukcję, prawo, nie wolno go lekceważyć. — Ta sprężyna musi być umieszczona na wierzchu.

— Tak? — spytał ojciec.

— Naturalnie, a ona jest na spodzie, źle ją ojciec przymocował. Jest to sprężyna stalowa, musi spoczywać na wierzchu, bo inaczej zatyczka znowu wyskoczy. O, widać to na rysunku.

— Nie mam przy sobie okularów, dlatego nie widzę tak dokładnie — rzekł ojciec nieśmiało. — Masz lepsze oczy, przyśrubuj ty sprężynę. A pamiętaj, zrób to porządnie, jak należy. Gdyby nie było tak daleko do domu, poszedłbym po okulary...

Maszyna już w porządku i ojciec siada na niej, i cmoka na konia. Elizeusz rzuca jeszcze jedną uwagę:

— Należy jechać trochę prędzej, wtedy lepiej kosi. Tak piszą w instrukcji.

Izak jedzie i jedzie bez przerwy, a maszyna zgrzyta: „brrr”. Pozostawia za sobą szeroki, równy szlak pokosu, gotowy do ustawiania w kupki. Tymczasem dostrzeżono z chaty Izaka na kosiarce i wszystko, co żyje, wybiegło na łąkę. Inger z Rebeką na rękę, Poldynka i Jensyna — cztery kobiety z szeroko rozwartymi oczyma biegną co tchu i tłoczą się dokoła cudownej maszyny. O, jakże teraz potężny jest Izak i dumny! Swobodnie siedzi na koźle żniwiarki, ubrany odświętnie, w surducie i z kapeluszem na głowie, jakkolwiek pot kapie mu z czoła. Wybrał odpowiedni szmat łąki, jedzie tam i z powrotem, tam i z powrotem, przejeżdża mimo oniemiałych z podziwu kobiet, a maszyna bezustannie zgrzyta: „brrr, brrr”.

Izak zatrzymuje się wreszcie i zsiada. Rad by już zapewne usłyszeć, co oni powiedzą. Słyszy ciche wykrzykniki, nie chcieli przeszkadzać mu w tak ważnej pracy, więc zadawali sobie tylko nawzajem lękliwe pytania, które Izak dobrze słyszał. Przeto pragnąc się okazać dobrotliwym ojcem wszystkich, starał się ich ośmielić.

— Tak, tak, dziś jeszcze skoszę ten kawałek łąki, a jutro będziecie już mogli zgarniać w kupki.

— Widział to świat? Teraz to już pewnie i na jedzenie nie będzie miał czasu? — rzekła Inger oszołomiona tym, na co patrzała.

— Ano, mam teraz co innego do roboty — odrzekł.

Następnie jeszcze raz naoliwił maszynę i dał wszystkim do zrozumienia, że to sprawa ściśle naukowa. Po czym pojechał dalej i znowu kosił. Kobiety udały się nareszcie do domu.

Szczęśliwy Izak. Szczęśliwi ludzie na Sellanrå.

Izak oczekuje sąsiadów z dołu, którzy przybiegną tu niewątpliwie. Aksela Ströma bardzo wszystko zajmowało, on na pewno już jutro przybiegnie. Ale Brede gotów dziś jeszcze przybiec, dziś w nocy. Izak chętnie by im pokazał cały mechanizm i popisałby się swoją sprawnością w prowadzeniu maszyny. Wykaże im, że kosa ręczna nigdy tak równo nie wykosi. Ale co też taka wspaniała na niebiesko i na czerwono pomalowana żniwiarka kosztuje, to aż strach powiedzieć!

Szczęśliwy Izak.

Gdy jednak po raz trzeci zatrzymał maszynę, aby ją naoliwić, wtedy akurat z kieszeni wypadły mu okulary. Dalibóg — okulary. A rzecz najgorsza w tym, że synowie

to spostrzegli. Czyżby moc wyższa wdała się w sprawę, czyżby to był znak przestrogi, ażeby w pysze swej nieco się ustatkował? W drodze powrotnej ze wsi studiował przecież instrukcję przez okulary, jeno że nie bardzo ją zrozumiał. I wtedy właśnie niezbędny okazał się Elizeusz. Hej, mocny Boże, wiedza to wielkie dobro. Tak. I ażeby upokorzyć siebie samego, Izak postanowił zaniechać myśli o przerobieniu Elizeusza na rolnika. Nie dlatego, jakoby chłopcy natrzęsali się z niefortunnego wypadku z okularami, o nie, przeciwnie, udali, że nic takiego nie zauważyli. A tylko Sywert, ten niepoprawny sowizdrzał, nie umiając się pohamować, uszczypnął Elizeusza i zawołał:

— Chodź, pójdziemy teraz do domu i spalimy nasze kosy: ojciec za nas będzie kosił! Żart ten zjawił się w porę.

CZĘŚĆ DRUGA

I

Sellanrå dawno już przestała być miejscowością bezludną — siedmioro ludzi tu żyło, wielcy i mali. A na domiar w krótkotrwałym okresie sianokosów ten i ów przybył w odwiedziny, wszyscy zaciekawieni żniwiarką. Pierwszym był naturalnie Brede; ale i Aksel przyszedł, i wszyscy sąsiedzi z pustkowiec, a nawet ludzi z doliny nie brakło na Sellanrå. I Olina przyszła, przyszła zza gór.

I tym razem nie przyszła z próżnymi rękoma, przyniosła nowiny od swojaków: ukończono już obliczenie spuścizny po starym Sywercie i, jak się okazało, nie pozostało ani grosza.

To powiedziawszy, Olina zacisnęła usta i obrzuciła wszystkich spojrzeniem badawczym, wyczekującym. No, jakże, nikt nie wdycha, nikt nie lamentuje? Elizeusz nawet się uśmiechnął.

— Cóż ty na to, czy na chrzcie nie dali ci imienia wuja Sywerta? — spytał szeptem Sywerta.

— Owszem — odparł Sywert podobnie. — Ale wszakże zrzekłem się wszystkiego na twoją korzyść.

— A ile było tego?

— Pięć albo i dziesięć tysięcy.

— Talarów?

Olina wtrąciła, że nie pora teraz na żarciki. Ach, jakże ją oszukano, a ona wszakże tyle lez wylała nad trumną starego Sywerta!

Elizeusz wie przecież najlepiej, co pisał z woli umierającego: „Tyle i tyle jako podporę starości dla Oliny”. Ładna mi podpora. Kijek spróchniały!

Biedna Olina, żeby bodaj jaki okruszek była odziedziczyła po Sywercie. Byłaby to jedna przynajmniej jasna chwila w jej życiu. Znarowiona przecież nie była. Doświadczona w zlu, owszem, nawykła z czasem przepychać się przez życie z dnia na dzień za pomocą fortelów i drobnych oszustw, przy tym była wielką mistrzynią w sztuce plotkowania, język jej był postrachem dla wszystkich. Tak, nic już nie mogło wpłynąć na pogorszenie jej, spadek w każdym razie mniej niż wszystko inne. Przez całe swe życie pracowała, rodziła dzieci, nauczyła je tego i owego, żebrała dla nich, a może kradła, ale mimo wszystko wyżywiła je i wychowała. Zabiegała, jak mogła, dla siebie i swoich, wyzyskiwała każdą sposobność i przepychała się. Tu zdobyła serek, tam garść wełny, a gdzie indziej kawał chleba albo i placka. Możliwe, że stary Sywert przypomniał sobie Olinę z owego czasu, gdy jeszcze była młoda, rumiana na twarzy i ładna. Tak, tak, minęły te czasy, teraz była stara i brzydka, ruina, wołałaby już nie żyć! I gdzież ją pochowają? Nie posiada ona własnego grobu rodzinnego, toteż pewnikiem zakopią ją kiedyś na jakimś cmentarzu, obok obcych i nieznanych szczątków. Taki jej koniec. Olina urodziła się i umarła. I ona była niegdyś młoda. Mały spadek teraz jeszcze, w jedenastej godzinie jej życia! — Tak jest, jedyna jasna chwila, ręce niewolnicy pracy byłyby choć trochę wypoczęły. Widziałyby w tym spóźnioną nagrodę opatrności za to, że dla dzieci swych żebrała, może i kradła, a w każdym razie za troskę o nie, za żywienie ich. Na chwilę przynajmniej, bo niebawem dusza jej znowu zanurzyłaby się w ciemnościach, znowu by zezem patrzyła, a ręce jej szukałyby niespokojnie i macały: „Ile tego?” — rzekłaby. — „Co, tylko tyle?” — wydziwiałaby. I znowu miałyby rację. Była matką wielu dzieci i znała się na życiu, a to było wiele warte.

Wszystko zawiodło. Rachunki starego Sywerta po przejrzeniu ich przez Elizeusza były obecnie zapewne nieco pogmatwane — ale nieruchomości i krowa, i przewoźnictwo, i zaległości z biedą tylko pokryły braki kasowe. A jeżeli w ogóle jako tako szczęśliwie udało się sprawy załatwić, to zasługa przede wszystkim Oliny. Zawzięła się bowiem, żeby wydostać jakąś nadwyżkę — dla siebie. Dlatego wydłubywała pozycje całkiem już zapomniane, o których jednak jako zawodowa plotkara dobrze była poinformowana, albo też należności takie, które rewizor rozmyślnie pominął, ażeby oszczędzić różne wielkości gminy. Wszystkich wyciągnęła na światło dzienne, ta nieznośnica. Nie winiła tu starego

Kobieta

Sywerta, broń Boże. On z dobrego serca uczynił zapis i pozostawił też dużo pieniędzy, tak... Ale ci dwaj panowie z urzędu powiatowego, którzy przyjechali sprawy uporządkować, oni ją oszukali.

— Ale kiedyś i ta krzywdą dojdzie uszu Wszechmocnego — groziła Olina.

Mieszkańcy Sellanrå przyjęli tę nieszczęsną wiadomość ze spokojem. Jednej tylko Inger trudno było pogodzić się z tym.

— Wuj Sywert taki bogacz — rzekła.

— Przed tronem Pana mógł być stanąć jako człek sprawiedliwy i bogaty, ale oni go ograbili — odparła Olina.

Izak wstał i zabierał się w pole, ale Olina wstrzymała go, mówiąc:

— Izak, bardzo to nieładnie, że chcesz wyjść, nie pokazawszy mi przedtem swej żniwiarki. Czy może powiesz, że żniwiarki nie masz?

— Ano, mam.

— Tak, mówią o tym wszyscy dokoła. Mówią też, że kosi ona szybciej niż sto kos naraz. Tak, taki bogacz jak ty, Izak, może kupić wszystko, o czym tylko pomyśli. Nasz pleban kupił teraz pług z dwoma lemieszami, ale co tam pleban w porównaniu z tobą! To mogłabym mu wprost oczy powiedzieć.

— Sywert może ci ją pokazać, on już o wiele lepiej ode mnie to potrafi — rzekł Izak i wyszedł.

Izak poszedł. Na osiedlu Bredego licytacja, chciał być przy tym. Nie dlatego, żeby kupić osiedle, ale była to pierwsza w puszczy licytacja. Chciał się przypatrzeć.

Przechodząc przez Måneland, spotkał Barbro. Chciał iść dalej, nie zatrzymując się, ale Barbro zagadała go i spytała, czy idzie „tam na dół”.

— Tak — odparł krótko. Wszakże ma być licytowany dom rodzinny Barbro, dlatego pragnie jak najmniej mówić.

— Na licytację idziesz?

— Na licytację? Hm... idę tak sobie. A gdzie Aksel?

— Aksel? Bo ja wiem? Poszedł na licytację, żeby obłowić się za psie pieniądze.

Jakaż jednak gruba w pasie była Barbro, jaka zjadliwa, całkiem wściekła.

Licytacja już się zaczęła. Izak słyszy wywoływanie sołtysa i widzi dużo ludzi. Podszedłszy bliżej, spostrzegł wielu obcych, których nie znał; zeszli się tu różni z dalszych stron, ale Brede paradytuje wśród nich w najlepszym ubraniu, wesół i bardzo rozmowny.

— Dzień dobry, Izak. Wielki to dla mnie honor, żeś i ty przyszedł na moją licytację. Dzięki. Długie lata byliśmy sąsiadami i dobrymi przyjaciółmi i nigdy też nie padło między nami krzywe słowo. — Brede rozrzewnia się: — Przykro pomyśleć, że się ma opuścić gospodarstwo, dla którego się żyło i pracowało i do którego serce przylgnęło. Ale co robić, gdy taka jest wola przeznaczenia.

— Może to i lepiej dla ciebie — pocieszał go Izak.

— Tak, trzeba ci wiedzieć, że i ja tak myślę — wtrącił Brede pośpiesznie. — Na roli nie znalazłem ja miodów, nie. Teraz będzie lepiej, dzieci podrastają i wkrótce z gniazda wyfruną w świat. Kobięcisko co prawda znowu się tam nosi z jakimś pisklęciem, ale mimo wszystko. — I nagle Brede rzuca z nonszalancją: — Wiesz, podałem się do dymisji w urzędzie telegraficznym.

— Co takiego? — spytał Izak.

— Podałem się do dymisji w urzędzie telegraficznym.

— Podałeś się do dymisji?

— Tak, od Nowego Roku. Co mi po tym? Przeszkadzałoby mi tylko w pracy i zarobkach. Nie, nic z tego. Może się tym zajmować ktoś, kto ma dużo czasu na zbyciu. Kontrolować całą linię telegraficzną, uganiać się po górach i dolinach za psią zapłatę, nie, to nie dla Bredego. A oprócz tego pokłóciłem się z moją władzą przełożoną...

Licytacja toczy się w dalszym ciągu; cenę za nieruchomość podbito już do kilkuset koron, stąd licytanci stają się powściągliwsi i ten i ów dorzuca jeszcze po kilka zaledwie koron.

— Jak Boga kocham, teraz zaczyna Aksel licytować! — krzyknął Brede i podbiegł zaciekawiony do Aksela.

— To ty chcesz kupić moje grunty? Masz mało swoich?

— To dla znajomego — odparł Aksel wymijająco.

Maszyna

— No tak, toć to dla mnie sprawa obojętna.

Sołtys podnosi młotek — jeszcze ktoś się odzywa, dorzucając od razu aż sto koron, a potem cisza, nikt więcej nie licytuje. Sołtys wywołuje ostatnią cenę raz, drugi i trzeci, trzyma jeszcze przez chwilę w górę wzniesiony młotek i następnie przybija.

— Kto podał ostatnią cenę?

Aksel Ström — dla swojego znajomego!

Sołtys wpisuje do protokołu: „Aksel Ström, w zastępstwie”.

— Dla kogo kupujesz? — spytał Brede. — Chociaż nic mnie to właściwie nie obchodzi.

Lecz nagle jakieś poruszenie przy stole sołtysa. Siedzi tam przedstawiciel banku, kupiec, ze swym pomocnikiem. Coś się stało... Pretensje wierzycieli nie zostały pokryte. Przywołują Bredego, podszedł z uśmiechem i niedbale skinął głową, owszem, przyznaje w zupełności.

— Któż by się był spodziewał, że taki folwark tak mało przyniesie — rzekł. I nagle odwrócił się do licytantów i obwieścił głośno: — Korzystam z obecności pana sołtysa, który był łaskaw trudzić się tu na moje zaproszenie, i oddaję na licytację wszystko, co tu posiadam. Wóz, inwentarz, widły, toczydło. Wszystko to mi niepotrzebne. Sprzedam wszelkie graty.

Licytują słabo, bez zapału.

Bredowa tymczasem, mimo okazałej swej objętości, zakrzętnęła się równie żwawo jak i wesoło około przygotowania kawy na sprzedaż. Urządziła na poczekaniu na stole przed domem „kawiarnię” i aż promienieje z radości, tak zabawnym znajduje to nowe zajęcie. Nawet od Bredego zażądała zapłaty za kubek kawy. I Brede naprawdę dobił chudej sakiewki i zapłacił.

— Widzieliście kiedy taką kobietę? — zwrócił się do zgromadzonych. — Ona do tego jedyna!

Licytacja. Wóz niewiele wart — za długo stał pod gołym niebem — ale Aksel dorzucił jeszcze pięć koron i wóz stał się jego własnością. Nic więcej już Aksel nie kupuje; wszyscy jednak się dziwią, że ten ostrożny i skromny człeczyna tak wiele zakupił.

Teraz przyszła kolej na inwentarz. Bydło umieszczono dziś w stajni, by mieć je pod ręką. Co Brede miał z nim począć, skoro już nie miał pastwiska? Krów nie posiadał, gospodarstwo swoje rozpoczął z dwiema kozami, teraz miał ich cztery. Konia nie posiadał, ale za to miał sześć owiec.

Jedną z owiec, płaskouchą, kupił Izak. Gdy ją zobaczył, przystąpił natychmiast do licytacji. Wywołało to prawdziwą sensację. Izak na Sellanrå był wszakże człekiemy bogatym i powszechnie poważanym. Posiadał już dosyć owiec, na co mu jeszcze jedna? Bredowa przerywa na chwilę swoją sprzedaż kawy i woła:

— Tak, ta maciorka warta polecenia; stara już, bo stara, ale rokrocznie rodzi dwa lub trzy jagnięta!

— Tak, wiem o tym — odpowiedział Izak i patrzy jej prosto w oczy. — Ja znam ją dobrze...

Zabiera się w drogę powrotną wspólnie z Akselem i na powrózku prowadzi owcę. Aksel jest milczący, czymś widocznie zgryziony¹⁴². Izak spogląda na niego i myśli, że właściwie nie ma on powodu do zmartwienia. Osiedle jego dobrze zagospodarowane, a obecnie buduje sobie dom. Aksel działa powoli, ale niezawodnie. W ostatnich czasach sprawił sobie nawet konia.

— Kupiłeś osiedle Bredego — przemówił Izak. — Czy chcesz na nim gospodarzyć?

— Nie, nabyłem je dla innego.

— Hm.

— Jak myślisz, czy nie za drogo kupiłem?

— O, nie. Dobra tam gleba borowinowa, trzeba ją tylko odwodnić.

— Nabyłem dla brata swego z Helgeland.

— Hm.

— Po trosze jednak myślałem o tym, żeby się z nim zamienić.

— Zamienić?

¹⁴²zgryziony — tu: naznaczony zgryzotą, ciężkim zmartwieniem. [przypis edytorski]

— Tak, gdyby naturalnie Barbro tego pragnęła.
Uszli znowu milcząco kawał drogi. Po czym odezwał się Aksel:
— Nastają na mnie, żebym przyjął dozór nad linią telegraficzną.
— Dozór? Hm. Tak, słyszałem, że Brede wypowiedział służbę.
— Aha — uśmiechnął się Aksel. — Niezupełnie tak było, bo właśnie Bredemu dali terminatkę¹⁴³.

— Ano — zauważył Izak w tonie usprawiedliwiającym Bredego — telegraf zabiera dużo czasu.

— Powiedzieli mu, że jeżeli się nie poprawi, zwolnią go na Nowy Rok.

— Aha.

— Jak myślisz, czy mógłbym przyjąć ten urząd?

Izak długo się zastanawiał, po czym zauważył:

— Ano, urząd daje pieniądze.

— Chcą mi dać więcej.

— Ile?

— Jeszcze raz tyle.

— Jeszcze raz tyle? Tak, to warto się namyślić.

— A linia jest teraz dłuższa. Nie, sam nie wiem, co zrobić. Teraz jednak nie można wydobyć z lasu tyle, ile niegdyś, gdyś ty tu osiadł, a mnie brak jeszcze sporo narzędzi. Gotówki brak zawsze, a inwentarz za mały, żebym mógł z niego co sprzedać... Może by jednak nie zawadziło spróbować na rok...

Żadnemu z nich nie przyszło na myśl, że Brede mógłby się poprawić i pozostać nadal na swym stanowisku.

Zaszedłszy do Måneland, zetknęli się z Oliną. Tak, ta ciekawa Olina, tłusta i okrągła, łązi wszędzie niby liszka¹⁴⁴. Ma już przeszło siedemdziesiątkę, a wciąż jeszcze sobie radzi. Siedziała w gammie i popijała kawę, ale zauważywszy zbliżających się mężczyzn, rzuciła wszystko i wybiegła na ich powitanie.

— Dzień dobry ci, Aksel, już po licytacji? Nie weźmiesz mi chyba za złe, że odwiedziłam Barbro? Widzę, że nowy dom stawiasz i że coraz większy z ciebie pan. A ty, Izak, kupiłeś, jak widzę, owcę...

— Tak, nie poznajesz jej?

— Czy ją poznaję? Nie.

— Popatrz jeno, przecie to płaskoucha.

— Płaskoucha? To co, że płaskoucha? Ale, ale, co ja to chciałam powiedzieć: aha, a kto kupił osiedle pocziwego Bredego? Właśnie zastanawialiśmy się z Barbro nad tym, kto teraz będzie jej sąsiadem. Biedna Barbro, siedzi tam i nic, jeno płacze i płacze. Ano, nie możesz jej się dziwić. Ale Pan Bóg miłosierny dał jej tu na Måneland nowe ognisko... Płaskoucha? Wiele już w swym życiu widziałam owiec z płaskimi uszami. I to jest święta prawda, że twoja maszyna nie na mój rozum. I nie pytam już wcale, ile kosztowała, bo tyle liczenia to też nie na mój rozum. Gdy ją zobaczyła, myślałam, że Eliasza¹⁴⁵ widzę na jego ognistym wozie. Boże, przebac mi...

Po sprzątnięciu siana Elizeusz przygotowywał się do wyjazdu. Doniósł inżynierowi, że niebawem wróci, lecz otrzymał na to dziwną odpowiedź, że mianowicie nastąpiły złe czasy, że trzeba się ograniczać, że inżynier nie ma obecnie wolnej posady, ponieważ musi teraz sam wszystko pisać.

Paskudna sprawa.

„Gdybyś jednak koniecznie chciał wrócić — pisał dalej inżynier — zobaczymy, co się da zrobić. Może się uda umieścić Cię w jakimś innym biurze, chociaż będzie to bardzo trudno. Tak wielu młodzieńców pcha się obecnie do biur... Pozdrawiam Cię”.

¹⁴³terminatka (daw. reg.) — wypowiedzenie pracy w określonym terminie. [przypis edytorski]

¹⁴⁴liszka (pot.) — gąsienica. [przypis edytorski]

¹⁴⁵Eliasz (bibl.) — biblijny prorok, działający w IX w. p.n.e. w Izraelu, słynący z cudów; miał zostać za życia zabrany do nieba na ognistym rydwanie, ciągniętym przez ogniste rumaki (2 Krl 2, 11). [przypis edytorski]

Ależ naturalnie, Elizeusz chciał powrócić do miasta. Jakże, czy miałby tu zmarnieć? Wszakże chciał być czymś w świecie. Dlatego nie zdradził się z tym, co go zaskoczyło — na nic by to się nie zdało, a poza tym było to trochę niemiłe. Dlatego milczał. Życie na Sellanrą poczęło znowu oddziaływać na niego ujemnie; była to roślinność szara i pozbawiona podniet, cicha i senna, nie było tam nikogo, przed kim by mógł się pokazać, nikogo, kto by mu dorównał. Istotę jego rozdzieliło życie miejskie, wyprowadziło go na pana, lecz zarazem zrobiło zeń człowieka słabego. Wszędzie czuł się nieswojo, tułaczem bezdomnym. To, że zasmakował znowu w zapachu lawendy — niczego nie dowodziło. Wszakże sensu jednak pozbawione były myśli, jakie chłopaka wiejskiego nawiedzały w chwili, gdy wieczorem asystował matce przy dojeniu krów: „Promień mleczny, który spływał w kubek... Szelest ten stanowi coś w rodzaju cudownej pieśni, całkiem innej niż muzyka waltornistów lub Armii Zbawienia w mieście albo świst parowca...”.

Zdradzanie swych uczuć nie należało do zwyczajów mieszkańców Sellanrą, przeto Elizeusz lękał się chwili pożegnania. Był obecnie znakomicie wyposażony — miał otrzymać nowy postaw¹⁴⁶ płótna, a ojciec przygotował pieniądze, które miano wręczyć Elizeuszowi po wyjściu za próg domu. Pieniądze — czy Izak miał istotnie pieniądze na zbyciu? Ale trudno, nie uchodziło inaczej. Inger dawała przecież do zrozumienia, że to jeszcze ten raz tylko, ostatni raz. Elizeusz będzie już teraz sam na siebie pracował.

— Aha — rzekł Izak i odliczył pieniądze.

Zapanował świąteczny nastrój, w domu nastała cisza. Podczas biesiady pożegnalnej otrzymał każdy po jednym gotowanym jajku, a Sywert oczekiwał już na dworze, gotów do towarzyszenia Elizeuszowi i niesienia pakunków. Wszystko gotowe do pożegnania.

Rozpoczął od Poldynki. Tak, powiedziała mu: „Bądź zdrow”, i powiedziała to bardzo ładnie. Podobnie powiedziała służąca Jensyna, zajęta w tej chwili gręplowaniem wełny. Obie jednak srodze na niego się gapiły, prawdopodobnie dlatego tylko, że oczy miały nieco zaczerwienione. Z kolei przystąpił do matki i podał jej rękę. Ale matka, oczywiście na nic niepomna, wybuchnęła głośnym płaczem.

— Niech cię Bóg prowadzi — rzekła, szlochając.

Najgorsza rzecz to pożegnanie z ojcem. Z tysiąca powodów: tak bardzo był spracowany i tak nieskończenie im wszystkim oddany: nosił ich na ręku, opowiadał im o mewach i innych ptakach, i o zwierzętach, i o wszelkich cudach pól i lasów. Nie tak dawno temu...

Ojciec stoi przy oknie, aż nagle odwraca się, chwytając rękę syna i mówi głośno, jakby gniewnie:

— Tak, tak, bądź zdrow... Widzę, że nasz nowy koń się tam zerwał.

I co tchu wybiegł z izby. Ach, przecież to on sam zaczął się przed chwilą i konia odwiązał, a ten obwieś, Sywert, musiał go akurat przy tym podpatrzeć, nic nie mówił, a tylko patrzył i uśmiechał się. Niecnota, dobrze wiedział, czemu ojciec konia odwiązał.

Elizeusz gotów już do drogi. Wychodzi.

Wtem jednak matka dogania go na progu, szlocha więcej niż przedtem i rzece:

— Niech cię Bóg prowadzi! — a jednocześnie wciska mu coś w rękę. — Masz i nie dziękuj mu, bo on tego nie lubi. I pisz też często!

Dwieście koron.

Elizeusz spojrzął na łaskę. Ojciec wysił się okropnie przy wbijaniu w ziemię kołka; robota szła mu jakoś dziwnie opornie, mimo że gleba łaski była pulchna.

Bracia poszli naprzód ostrym krokiem. Mijają już osiedle Aksela. Barbro, siedząca właśnie na przyzbie¹⁴⁷, zagadnęła ich i zachęciła do wstąpienia do chaty.

— Jak widzę, Elizeusz znowu odjeżdża. O, wobec tego musisz wstąpić i wypić na pożegnanie bodaj filiżankę kawy.

Wchodzą do gammy. Elizeusz zdołał się już wyleczyć z dawnej swej wariacji miłosnej i ze strasznych zamiarów samobójczych. Tak, siadając, układa troskliwie na kolanach swój jasny płaszcz wielkim monogramem na wierzch, po czym chusteczką gładzi włosy, a następnie rzuca na wskroś dystyngowaną uwagę:

— Kłasyzną mamy dziś pogodę!

¹⁴⁶postaw — dawna miara tkanin, licząca średnio 30 łokci (ok. 14 m) długości i ¾ łokcia szerokości (ok. 1 m). [przypis edytorski]

¹⁴⁷przyzba — ława usypana z ziemi i gliny wzdłuż zewnętrznej ściany domu; dawniej ludzie na wsi zwykli odpoczywać, siedząc na przyzbie i mając za oparcie ścianę chałupy. [przypis edytorski]

Barbro również nie straciła rezonu; zabawia się swym srebrnym pierścieniem u jednej ręki, a złotym u drugiej — dalibóg, dostała i złoty pierścione! Ma na sobie długą, szeroką zapaskę sięgającą od szyi aż do stóp i zasłaniającą do pewnego stopnia jej znacznie już zmienioną figurę. Podawszy kawę, zajęła się robótką. Barbro nie okazała najmniejszego zakłopotania, dzięki czemu rozmowa toczyła się w tonie zupełnie swobodnym.

— A gdzie Aksel? — spytał Sywert.

— Aksel? Nie wiem — odparła Barbro, po czym zwróciła się do Elizeusza: — Tak, teraz to już pewnie na wieś nigdy nie wrócisz?

— Nie przypuszczam — odparł.

— Tak, kto raz przyzwyczaił się do miasta, temu wieś już nie smakuje. Gdybym mogła, zaraz bym z tobą pojechała.

— Ach, żartujesz chyba.

— Myślisz, że nie? O, ja doświadczyłam, jak jest w mieście, a jak na wsi. Byłam w większych miastach niż ty. Dlatego nie ma w tym nic dziwnego, że mi się tu nie podoba.

— Zapewne, przecie w Bergen nawet byłaś — zauważył pośpiesznie. Straszna rzecz, jaka ona zarozumiała!

— Tak, gdyby mi nie przysyłano gazety, uciekłabym stąd natychmiast!

— A Aksel, no i wszystko inne?

— Ach, Aksel... rzuciłabym wszystko. A z tobą jak? Przyznaj się, czy za tobą nikt w mieście nie tęskni?

Elizeuszowi nie pozostało teraz nic innego, jak przybrać odpowiednią pozę, zmrużyć oczy i zwlekać z odpowiedzią, jakby chcąc dać poznać, że istotnie ktoś tam za nim tęskni, a wreszcie oświadczył:

— Ach, głupstwo!

— Aha — rzekła nadąsana — głupstwo! Znam się na tym!

Lecz Elizeusz nie żywił już najmniejszego dla niej afektu¹⁴⁸, diablo mało mu na niej zależało; twarz jej szpeciły żółte plamki, a stan, w jakim się znajdowała, nie uszedł nawet jego dziecięcym oczom.

— Nie zagrałabyś nam trochę na gitarze? — spytał.

— Nie — odparła szorstko. Po czym w całkiem innym tonie zwróciła się do Sywerta: — Słuchaj jeno, czy nie przyszedłbyś do nas na kilka dni, żeby pomóc Akselowi przy budowie nowego domu? Może byś zatrzymał się u nas zaraz jutro, wracając ze wsi?

— Mógłbym, ale brak mi mego ubrania roboczego — odrzekł po chwili namysłu.

— W takim razie pójdę po nie dziś wieczorem.

— Ano, zobaczę.

— Tego nam przecie nie odmówisz! Idzie o to, żeby dom był pod dachem, zanim nastanie jesień. Aksel już nieraz chciał ciebie prosić, ale za każdym razem jakoś zbrakło mu odwagi. Nie, tej przysługi nam nie odmówisz...

— Jeżeli mogę być w czym pomocny, to z chęcią...

Sprawa przeto załatwiona.

Ale teraz Elizeusz czuł się dotknięty. Miał słuszny do tego powód. Uznał co prawda, że Barbro, starając się o pomoc przy budowie domu, postąpiła mądrze, jednocześnie jednak zbyt jawnie i nietaktownie. Wszakże nie jest jeszcze panią domu, a poza tym nie tak dawno jeszcze, jak ją całował. Taka dziewczka! Bezwstydna!

— Tak, ja tu jeszcze wrócę... ale w kumotry¹⁴⁹ do ciebie — zgrzytnął nagle Elizeusz.

Barbro obrzuciwszy go jadowitym spojrzeniem odcięła się z miejsca:

— W kumotry? Przede wszystkim kumotr musi być najpierw potrzebny... A jeżeli kiedyś potrzebny mi będzie, wtedy napiszę do ciebie.

Elizeusz nie wiedział, co odpowiedzieć, przeto zakłopotany uśmiechnął się tylko.

— Dzięki za kawę — wmieszał się Sywert, zabierając się do pożegnania.

— Tak, dziękuję za kawę — powtórzył Elizeusz, ale był sztywny i nie uklonił się ani trochę.

¹⁴⁸ *afekt* (z łac.) — emocja, silne uczucie; daw.: skłonność, sympatia, miłość. [przypis edytorski]

¹⁴⁹ *kumoter* (daw.) — kum, ojciec chrzestny; w *kumotry*: na chrzciny. [przypis edytorski]

— Pokaż tylko swój monogram — rzekła Barbro. — Tak, kantorzyści, u których ja byłam, mieli również takie, ale znacznie większe... A więc, Sywercie, wstąpisz do nas, wracając, i będziesz tu nocować? Rzeczy twoje przyniosę dziś jeszcze...

Takie było pożegnanie.

Bracia podążyli w dalszą drogę. W rozmowie swej omijali skrupulatnie wszystko, co by mogło wywołać jakiekolwiek wzruszenie, jak dziwne zachowanie się ojca podczas pożegnania i łzy matki. Aby zaś uniknąć zatrzymania się u Bredego, nadłożyli spory kawał drogi, setnie¹⁵⁰ się tym bawiąc. Nadrabiali minami. Ale nadeszła chwila, kiedy serca ich zmiękły. Stało się to wtedy, gdy wyłoniли się z lasów pustkowie i ujrzeli przed sobą wieś. Tam mieli się rozstać. Sywert odezwał się nieśmiało:

— Przypuszczam, że trochę nudno będzie teraz bez ciebie.

Zaledwie to powiedział, Elizeusz zaczął pogwizdywać. Świstał bohatersko, koło trzewików swych coś grzebał, przetrząsał swe kieszenie, szukając papierów — w ogóle okropnie był zajęty! I byłoby na pewno doszło do większego rozmazgajenia się, gdyby nie Sywert, który uratował obu w sam czas:

— Masz! Ostatni poczęstunek! — zawołał, grzmotnął brata w plecy i uciekł.

To pomogło; krzyknęli sobie jeszcze kilka słów pożegnania, po czym każdy poszedł swoją drogą.

Przeznaczenie lub traf szczęśliwy! Elizeusz pomimo wszystko powrócił do miasta i otrzymał posadę, ale tak samo i Aksel Ström uzyskał robotnika. Dnia 21 sierpnia przystąpił do budowy chaty drewnianej, a w dziesięć dni później dom był pod dachem. Ach, nie był to dom nadzwyczajny i wysoki, ale był przecież dom, a nie lepianka. Inwentarz Aksela otrzyma teraz przynajmniej wspianą stajnię na zimę w gammie, która dotychczas służyła za mieszkanie dla ludzi.

II

Trzeciego września Barbro zniknęła, a raczej niezupełnie zniknęła, lecz tylko nie można jej było odszukać w obrębie zagrody.

Aksel mozolił się, jak umiał, nad stolarką, pochłonięty był właśnie wprawianiem okna i drzwi do nowego budynku. Gdy jednak minęła pora obiadowa i wciąż jeszcze nie wołano go do stołu, poszedł do gammy. Nie było tam nikogo. Wyszukał sobie trochę jedzenia i podczas tego rozglądał się dokoła; przyodziewek Barbro wisiał na swoim miejscu, czyli że nie uciekła. Posiliwszy się, udał się znowu do swojej pracy, ale po pewnej chwili zajrzał ponownie do gammy — w dalszym ciągu nie ma w niej żywej duszy. Nie innego, jeno się coś przydarzyło.

— Barbro! — woła. Cisza. Szuka dokoła zagrody, idzie dalej i szuka w zaroślach, szuka długo, może już godzinę albo i dłużej, huka, woła — wszystko na nic, nikt nie odpowiada! Nareszcie! Nareszcie znajduje ją daleko, ukrytą w chaszczu nad strumykiem. Leży rozciągnięta na ziemi, a nogi jej zanurzone po kostki w wodzie, zmaczana po sam pas.

— Tu leżysz? — przemówił po chwili. — Czemuś nie odpowiedziała, gdym cię wołał?

— Nie mogłam — szepnęła do cna zachrypnięta.

— Co... w wodzie leżałaś?

— Tak, pośliznęłam się... Och!

— Czy ci się coś stało?

— Tak... Już po wszystkim!

— Po wszystkim?

— Tak. Teraz musisz mnie zaprowadzić do domu.

— A gdzie jest?

— Co takiego?

— Gdzie dziecko?

— Było nieżywe.

— Nieżywe?

— Tak.

Aksel nie rusza się z miejsca, stoi jakby przygwożdżony.

¹⁵⁰setnie (daw.) — bardzo; świetnie. [przypis edytorski]

— Gdzie ono? — spytał.
 — Tego ty nie potrzebujesz wiedzieć — odparła. — Pomóż mi dojść do domu. Było nieżywe. Pójdę sama, tylko schwyć mnie trochę pod ramię.
 Aksel niesie ją do domu i usadza na stołku, woda spływa z niej dużymi kroplami.
 — Nieżywe było? — spytał.
 — Przecie już powiedziałam.
 — Gdzieś je podziła?
 — Już znowu coś wieszysz? Jadłeś już?
 — Czegoś tam szukała nad potokiem?
 — Czego szukałam nad potokiem? Chciałam narwać jałowca.
 — Jałowca?
 — Tak, do czyszczenia skopków.
 — Jałowiec przecie nie rośnie tam wcale.
 — Idźże już do swojej roboty! — zachrypiała zniecierpliwiona. — Czego szukałam nad potokiem? Chciałam naciąć witek brzoźowych. Czyś już jadł? Pytam się!
 — Czym jadł? — powtórzył jak echo. — Czyś bardzo chora?
 — Ach nie!
 — Pójdę po doktora.
 — Jeszcze czego! — odparła. Wstała i sięgnęła po spódnicę ze ściany, żeby się przebrać. — Ty już pewnie wcale nie wiesz, na co wyrzucać pieniądze?

Aksel wraca tymczasem do swojej roboty, ale robota jakoś niesporo¹⁵¹ mu idzie. Postukuje jednak młotkiem i coś niecoś hebluje, ot, tak sobie, dla oka, żeby Barbro słyszała; ostatecznie zaklinił okno i uszczelnił je mchem.

Wieczorem Barbro pozostawiła wieczerzę prawie nietkniętą, nie ma apetytu, ale krząta się po trosze, idzie nawet do dółki, ostrożniej tylko niż zwykle przechodzi przez próg. Poszła spać jak zawsze do szopy na siano. W ciągu nocy Aksel dwa razy do niej zajrzał, spała twardo. Miała dobrą noc.

Nazajutrz Barbro czuła się prawie zupełnie zdrowa, a tylko głos straciła z powodu chrypki i dlatego owinęła sobie szyję długą pończochą. Nie mogli rozmawiać z sobą. Dni mijały, wypadek owego dnia przechodził powoli w niepamięć, wypchnęły go inne sprawy. Trzeba się było przeprowadzić do nowej chaty i należało co tchu urządzić odpowiednio stajnię. Gdy się z tym uporano, należało zsieć żyto i wybrać ziemniaki. Życie potoczyło się zwykłym trybem.

Lecz Aksel węszył coś niedobrego. Po wielu drobnych i znaczniejszych zjawiskach zmiarkował, że ich wzajemny stosunek rozluźnił się. Barbro nie czuła się tu już panią domu ani nawet służącą. Coś się popsło z chwilą, gdy dziecko umarło. Aksel od dawna już przyzwyczał się do tej myśli: „Poczekaj tylko, aż dziecko przyjdzie na świat!”

Ale dziecko przyszło i znowu poszło. Na dobitkę Barbro zdjęła oba pierścionki i przestała je nosić.

— Co to ma znaczyć? — spytał.

— Co to ma znaczyć? — rzekła i spojrzała na niego z góry.

Tak, nic innego, jak tylko podstęp z jej strony i zdrada.

Nad brzegiem potoku znalazł obecnie zwłoki noworodka. Nie szukał ich, domyślił się, gdzie mogą spoczywać, ale nie szukał. Przypadek to zrządził: nad miejscem tym zaczęło krążyć ptactwo, najpierw sroki krzykliwe i kruki, a niebawem ukazała się na wysokościach para orłów. Wyglądało tak, jakby mała sroka pierwsza podpatrzyła, iż tu coś złożono; ona też nie mogąc języka utrzymać na uwiezi — zupełnie jak człowiek — rozpalała wiadomość o tym wzdłuż i wszerz. Przeto i Aksel zbudził się z dotychczasowej bierności i upatrzwszy chwilę odpowiednią, zakradł się na miejsce wypadku dnia owego. Znalazł zwłoki, zawinięte w dużą szmatę płócienną, spoczywały ukryte pod stertą mchu, gałęzi i kamieni. Ze zmieszaniem uczuciem ciekawości i grozy rozwinął tłumoczek — oczy zamknięte, włosy ciemne, chłopak, nóżki założone jedna na drugą, nie ujrzał nic więcej. Szmata była wilgotna.

Zakopać zwłoki jak najprędzej — taka była pierwsza myśl Aksela, powstała może pod wpływem obawy o siebie i gospodarstwo. Pobiegł przeto do chałupy, przyniósł szpadel

Trup

Grób

¹⁵¹niesporo (daw., gw.) — niełatwo, z trudem. [przypis edytorski]

i począł kopać grób. Ale miejsce to okazało się zbyt bliskie potoku, woda sączyła się do dołu. Z tego powodu należało wybrać inne miejsce cokolwiek dalej na wzgórzu. Podczas tego pierchnął z jego piersi wszelki lęk: Barbro może przyjść teraz i zastać go przy tej robocie — rozmyślał butnie — owszem, niech przyjdzie i niech zawinie trupka porządnie, po ludzku, bez względu na to, czy urodził się nieżywy lub żywy! Uświadamiał sobie aż nadto dobrze, co utracił ze śmiercią tego dziecka; ujrzał przed sobą przyszłość czarną, przewidywał, że w nowej chacie osiadzie bez pomocy, i to teraz właśnie, gdy inwentarz jego potroił się. Proszę bardzo, niechby nie przyszła! Możliwe jednak, iż podpatrzyła go, dość, że nie przyszła; owinął przeto ciało i ułożył w świeżym grobie. Następnie zasypał ziemią, obłożył darniną i zatarł wszelkie ślady.

Wróciwszy do domu, spotkał Barbro w podwórzu.

— Gdzieś był? — spytała.

Rozgoryczenie snadź ustąpiło z jego serca, gdyż odpowiedział:

— Nigdzie. A gdzieś ty była?

Lecz Barbro wyczytała widocznie coś niedobrego w jego oczach, przeto bez słowa odwróciła się i weszła do chaty.

Aksel udał się za nią.

— Co to ma znaczyć, że nie nosisz już swych pierścionków? — spytał bez ogródek.

Uznała widocznie za słuszne ustąpić cokolwiek, więc roześmiała się i rzekła:

— Tak srogo mówisz, że aż muszę się śmiać. Jeżeli jednak zależy ci na tym, żebym je zmarnowała przy robocie, mogę je nosić! — powiedziawszy to, dobytek je z pudełka i założyła na swe palce.

Ale teraz oto spostrzegła, że twarz jego przybrała wyraz głupkowatego zadowolenia z siebie, przeto spytała w tonie zuchwałym:

— Czy masz mi jeszcze co do zarzucenia?

— Nie — odparł. — Idzie mi tylko o to, żebyś znowu była taka, jaka dawniej byłaś, w samych początkach.

— Nie tak łatwo być wciąż taką samą.

— Przecież osiedle twojego ojca kupiłem dlatego tylko, żeby tobie dogodzić. Myślałem, że będziesz wołała tam mieszkać, Co byś powiedziała na to, gdybyśmy się tam przeprowadzili?

Ha, tym odezwaniem się przegrał dokumentnie; domyśliła się, że obawa nim trzęsie o utratę jej pomocy, o inwentarz i gospodarstwo.

— Jużes raz o tym wspominał — zauważyła.

— Owszem, ale nie dałaś mi odpowiedzi.

— Odpowiedzi? Nie ścierpię, żebyś jeszcze raz się z tym wyrwał.

Aksel mniemał, że bardzo dużo okazał jej życzliwości. Wszakże całą rodzinę Bredego pozostawił był na osiedlu i jakkolwiek cały plon do niego należał, zwiózł do siebie kilka zaledwie fur siana, a sprzęt ziemniaków pozostawił rodzinie Bredego w całości. Toteż boczenie się Barbro na niego musiał nazwać szkaradną niedorzecznością. Lecz ona, nie zważając na to bynajmniej, spytała, jakby do głębi obrażona:

— Czy po to mamy się przeprowadzać do Bredablik, żeby rodzinę moją na bruk wyrzucić?

Czy dobrze słyszał? Otworzył usta szeroko i siedział tak przez długą chwilę. Potem odchrząknął kilka razy, jakby szykując się do dłuższej przemowy... Ale nic z tego. Ostatecznie spytał jeno:

— Czy oni nie myślą wyprowadzić się do miasta?

— Tego ja nie mogę wiedzieć — odparła. — Czyś im wynajął tam może jakie mieszkanie?

Aksel nie myślał dłużej się z nią prawować¹⁵², ale trudno mu było powstrzymać się od wyrażania swego zdziwienia co do jej postępowania.

— Dziwię się, że z dniem każdym stajesz się coraz bardziej uparta i kłótlawsza — zauważył — ale wiem, że nie myślisz tak źle.

¹⁵²prawować się (daw.) — prowadzić z kimś proces sądowy; tu: spierać się. [przypis edytorski]

— Myślę tak, jak mówię!... Zresztą chciałabym wiedzieć, czemu by nie miało być lepiej, żeby oni tu się sprowadzili? Wtedy bym przynajmniej miała jakąś pomoc w matce. Ale ty uważasz, że mnie pomoc niepotrzebna!

Miała oczywiście słuszność, ale i nie miała. W takim bowiem razie rodzina Bredego zajęłaby gamnę i Aksel znowu by miał biedę z pomieszczeniem inwentarza. Do czego zmierzała, czego chciała, zwariowała czy co?

— Jeżeli chcesz, sprowadzę ci służącą. Tak byłoby lepiej.

— Teraz, na zimę, kiedy robota mniejsza? Nie, dziękuję. Wtedy powinnam ją być mieć, gdy mi była potrzebna. Tak!

Znowu miała słuszność do pewnego stopnia. Gdy znajdowała się w stanie odmiennym, powinna być mieć służącą. Niewątpliwie. Ale Barbro nigdy ze swoją robotą nie zalegała, zawsze była równie dzielna, robota przez cały ten czas odchodziła jej jak z płatka i ani słowem nie wspominała o służącej. Tak, mimo wszystko powinna ją być mieć.

— Ano, nic już teraz nie rozumiem — rzekł zniechęcony.

Milczenie.

— Słyszałam — spytała po chwili Barbro — że chcesz objąć telegraf po mym ojcu.

— Co takiego, kto to powiedział?

— Tak ludzie gadają.

— Tak, wykluczone nie jest — oświadczył Aksel.

— Aha!

— Czemu pytasz o to?

— Mam do tego powody. Zabrałeś już ojcu mojemu dom grunty, a teraz chcesz mu zabrać jego zarobek.

Milczenie.

Lecz Aksel miał już dosyć wszystkiego, do trzeciej skóry mu dogryzło. Przeto rzekł głośno i dobitnie:

— Tyle ci powiem, że nie jesteś warta tego, com dobrego świadczył tobie i twojej rodzinie.

— Aha...

— Tak, nie jesteś warta! — krzyknął i pięścią w stół grzmotnął, i z ławy się zerwał.

— Nie myśl, że się ciebie boję — zapiszczała słabym głosem i posunęła się bliżej ściany.

— Boję! Boję! — przedrzeźniał ją Aksel i splunął ze wzgardą. — Ale dosyć tego! Teraz mi powiesz, coś zrobiła z dzieckiem! Utopiłaś je?

— Utopiłam?

— Tak, było przecie w wodzie.

— Utopiłam? Czy widziałeś to? — rzekła. I byłaby może powiedziała coś więcej, gdyby naprawdę nie bała się w tej chwili. — A więc widziałeś?

— Przekonałem się, że leżało w wodzie.

— Ach, to nie nowina... W wodzie przecie się urodziło... pośliznęłam się i nie mogłam się podnieść.

— Aha, tyś się pośliznęła?

— Tak i wtedy akurat się urodziło.

— Tak... Ale tyś zabrała z sobą szmatę... Czyś przeczuwała, że się poślizniesz?

— Szmatę zabrałam?

— Tak, duży biały płat, wydarty z mojej koszuli.

— Owszem, wzięłam ze sobą płat, żeby nanieść w nim jałowca.

— Jałowca?

— Tak, jałowca. Czym ci już nie mówiła, że poszłam po jałowiec?

— Tak, albo po różgi brzozone!

— Ach, to jest obojętne, po co...

Ale mimo tak ostrego starcia znowu zgoda zapanowała między nimi, a raczej nie tyle zgoda, ile jako tako znośne stosunki. Barbro była sprytna i spokojna — wietrzyła niebezpieczeństwo. W takich jednak warunkach życie w Måneland nie mogło odzyskać dawnej swobody, owszem, coraz bardziej stawało się napięte i coraz nieznowniejsze, znikło wzajemne zaufanie, znikła wesołość, a wzrastała czujność.

Spoglądali na siebie spoje. Ciężkie było takie życie, ale Aksel zmuszony był je

Sluga

ścierpieć, jak długo się dało. Wziął Barbro do siebie, przyhołubił, sercem do niej przyrósł. Tak, niełatwa to rzecz po tylu latach zmienić siebie i całe swoje życie. Bo nie ulegało wątpliwości, że była mu potrzebna, Barbro wpracowała się tu, wiedziała o wszystkim, wiedziała, gdzie przechowywany był cały jego dobytek, kiedy krowy cielić, a kozy kocić się będą, czy wystarczą zapasy paszy zimowej, które mleko należało zużyć na sery, a które do użytku domowego. Tak, nowa dziewczka nie wyznałaby się w tym wszystkim i nowej pewnie by wcale nie dostał.

Ach, Aksel jednak często myślał o tym, jakby się pozbyć Barbro i zastąpić ją inną dziewczką. Była to przewrotna złoźnica, wiecznie szukała jakiejś zwady i bywały chwile, że się jej bał. Ale ładna była i niegdyś umiała być miła i dobra, i mocno go do siebie przyciskać. Tak, było tak, ale już nie jest. Nie, dziękuję, drugi raz nie chce tego przechodzić! Niełatwa to jednak rzecz zmienić siebie i swoje życie.

— Potem zaraz się pobierzemy — nacierał Aksel.

— Zaraz?... Nie zaraz... Najpierw pojedę do miasta i każę sobie zęby wprawić, bo jestem szczerbata...

A więc w dalszym ciągu tak samo jak dotychczas: Barbro nie otrzymywała stałych zasług, ale otrzymywała znacznie więcej, a ilekroć zażądała pieniędzy, dostawała je i dziękowała za nie jakby za prezent. Aksel co prawda nieraz w głowę zachodził, na co jej tyle pieniędzy tu na pustkowiu. Czyżby składała? Ale po jakiego diaska ta oszczędność?

Wiele było takich spraw, których Aksel nie potrafił ogarnąć swym rozumem: czyż nie ofiarował jej pierścionka zaręczynowego, ba, nawet pierścionka złotego? Podarunek sprawił, że zapanowały pomiędzy nimi dobre stosunki na czas dłuższy. Ale czas ten nie trwał wieki, a Aksel nie mógł przecież wciąż kupować nowych pierścionków. Ostatecznie, czy Barbro chciała wydać się za niego, czy też nie chciała?

Dalipan, kobiety to stworzenia dziwne! Bo jakże, czy Barbro miała do wyboru wielu takich, którzy by posiadali tak ładny inwentarz i nowy dom? Aksel miał wszelkie prawo walić pięścią w stół z powodu głupoty i przekorności kobiet.

Rzecz całkiem osobliwa, że w głowie Barbro, zdaje się, pokutowała tylko jedna myśl: życie w mieście, życie w Bergen. Ale na miłość boską, po co w takim razie tu przyjeżdżała? Telegram ojca nie byłby jej do tego nakłonił, musiał istnieć inny powód. Tu, w tej północnej puszczy, była stale niezadowolona, od rana do wieczora, przez cały boży rok, przez lata całe od chwili przyjazdu. Gniewały ją różne rzeczy, a więc naczynia drewniane zamiast blaszanych i żelaznych, ustawiczne chodzenie do udoju zamiast przechadzki do mleczarni, buty chłopskie, worek siana pod głową, brak ludzi, muzyki i tańców.

Po owym wielkim starciu swarzyli się jeszcze nieraz, nawet często.

— Mamyż o tym gadać albo wcale nie gadać, jak chcesz? — rzekła Barbro. — Ty pewnie zupełnie nie zdajesz sobie sprawy, coś wyrządził mojemu ojcu?

— Tak, a co takiego?

— Ty wiesz sam najlepiej. Ale inspektorem tak czy owak nie zostaniesz.

— Co takiego?

— Nie, nie uwierzę, dopóki nie zobaczę.

— Myślisz pewnie, że jestem na to za głupi.

— Za głupi albo i nie za głupi, ale nie umiesz czytać ani pisać, nawet gazety do ręki nie weźmiesz.

— Czytać i pisać umiem tyle, ile mi potrzeba, ale ty, tyle ci powiem, ty masz psi ozór i gębę jak wrota.

— Kiedy tak, masz tu swój pierścionek! — wrzasnęła i cisnęła na stół srebrny pierścionek.

— Aha, a gdzie jest ten drugi? — spytał po chwili.

— Jeżeli żądasz z powrotem, coś mi raz już ofiarował, masz, weź sobie — rzekła, z trudem ściągając z palca złoty pierścionek.

— Gardzę tobą — rzekł i wyszedł.

Niedługo oczywiście trwało, a oba pierścionki znalazły się znowu na rękach Barbro.

Aksel dał jej do zrozumienia, że podejrzewa ją o rozmyślne zgłodzenie dziecka. Pierwotnie ubodło ją to, ale nie na długo. Harda dusza gwizdała na wszystko. Nie przyznała się do niczego, ale powiedziała:

Kobieta, Zaręczyny

Kłótnia

— Chociażbym je była utopiła, to i cóż z tego! W borach tu siedzisz i nie masz pojęcia o tym, co się w świecie dzieje.

A gdy przy którejś sposobności znowu z tego powodu się poczuli, postanowiła przekonać go, że zbyt poważnie bierze całą sprawę. Opowiedziała przeto o dwóch dziewczynach z Bergen, które zabiły swe noworodki; jedną z nich uwolniono zupełnie, a drugą skazano na kilka miesięcy więzienia, ponieważ była głupia — zamiast dzieciaka sprzątnąć w ukryciu, ona wystawiła go na mróz.

— Nie, pod tym względem dzisiejsze prawo nie jest już tak niehumanitarne jak dawniejsze — snuła Barbro swą opowieść. — A oprócz tego nie zawsze się wyda. Jedna z panien służących hotelowych w Bergen pozbyła się dwóch noworodków; pochodziła ona z Chryścianii i chodziła w kapeluszu z piórami. Za drugiego dzieciaka dostała trzy miesiące, ale co do pierwszego, nic się nie wydało.

Aksel słuchał i dreszcz grozy przenikał go do głębi. Wydała mu się potworna, bał się jej coraz więcej. Próbował zorientować się w tym wszystkim, błąkał się w ciemnościach, szukając czegoś uchwytne, ale w gruncie rzeczy przyznawał jej słusność. Stanowczo za bardzo się przejmował. Barbro, zepsuta do szpiku kości, nie była tego warta. Dzieciobójstwo nie przedstawiało w jej pojęciu nic nadzwyczajnego, było to objawem całej tej moralnej nędzy i lekkomyślności, tak pospolitych u służących. Okazało się to również w kilka dni później: Barbro nie popadła ani na chwilę w smutną zadumę, po owym wypadku paplała tak jak przedtem — służąca w każdym calu.

— Muszę wyjechać dla poratowania moich zębów — rzekła. — Oprócz tego muszę sobie sprawić mantylę¹⁵³.

Ten rodzaj pelerynki był ongiś w modzie, przeto Barbro pragnęła ją posiadać.

Jeżeli Barbro traktowała wszystko z tak lekkim sercem, cóż pozostało Akselowi innego, jak się również uspokoić. Zachwiał się w swym podejrzeniu; wszakże nie przyznała się do niczego, a nawet wypierała się wszelkiej winy, i to kilkakrotnie, za każdym razem bez złości, bez przekorności, ale — do kata — zawsze tak samo jak służąca, która zaprzecza, jakoby stłukła wazę, mimo że na pewno ją stłukła.

Minęło tak kilka tygodni i cierpliwość Aksela wyczerpała się; pewnego dnia zatrzymał się nagle na środku izby i miał objawienie. Ależ na miłość boską, wszyscy przecież widzieli ją w odmiennym stanie, widzieli jej figurę! A teraz była znowu smukła, gdzież więc dziecko? Jeżeli teraz wszyscy, którzy ją w takim stanie widzieli, przyjdą i wzruszą ramionami, i zrobią wielkie oczy? — Wtedy nadejdzie dzień, kiedy zażądają wyjaśnienia. Jeżeli naprawdę nie popełniła nic złego, czemu w takim razie nie pochowała dziecka na cmentarzu? Byłoby to zaiste o wiele uczciwsze i pewniejsze.

— Nie, to przysporzyłoby mi nieprzyjemności — oświadczyła Barbro. — Wzięłoby dziecko do zbadania, a mnie pozywaliby na przesłuchanie. Niepotrzebne korowody, których wolałam uniknąć.

— Oby później tylko coś gorszego z tego nie wynikło!

— Czemu tak dużo o tym rozmyślasz? Pozostaw je w spokoju w krzakach! — odparła Barbro i dodała z uśmiechem, tak, z uśmiechem: — A może ty się boisz, że ono przyjdzie tu za tobą? Nie bój się, nie przyjdzie, tylko weź głowę na kłódkę i przestań się troszczyć.

— Tak, ano.

— Czy ja może utopiłam dzieciaka? A widzisz, sam się utopił, gdy w wodę wpadłam. Nie do wiary, o co ty mnie posądzasz! A zresztą to się nigdy nie wyda!

— Z Inger na Sellanrå także się wydało — zauważył.

Barbro zamyśliła się na chwilę, po czym rzekła:

— To mnie wcale nie niepokoi! Prawo zmieniło się od tego czasu; wiedziałbyś o tym, gdybyś czytał gazetę. Wiele dziewczyn rodzi dzieci i uśmierca je, i żadna im z tego powodu krzywdy!

Barbro tłumaczy mu w dalszym ciągu, ona się na tym zna, wszakże nie na darmo była w szerokim świecie, nie lada z niej bywalec; dużo tam słyszała i widziała, i nauczyła się dużo. Miała pod ręką trzy główne argumenty: po pierwsze nie uczyniła tego, po wtóre — a choćby, nie byłoby to wcale tak straszne i niebezpieczne, a po trzecie — w ogóle się nie wyda.

¹⁵³mantyla (daw.) — krótka peleryna damska. [przypis edytorski]

— A ja myślałem, że wyda się wszystko...

— O nie, nie ma obawy — odparła. I jakby pragnąc go do reszty zaambarasować¹⁵⁴, czy też odwagi mu dodać, a może z próżności czy samochwalstwa, dość iż w tymże momencie rzuciła bombę:

— Ja sama niegdyś popełniłam coś takiego, co wcale na jaw nie wyszło — oznajmiła.

— Ty? — spytał niedowierzająco. — Coś zrobiła takiego?

— Co zrobiłam? Zabiłam!

Być może, że zagalopowała się wbrew zamiarowi. Stało się, musiała teraz brnąć dalej, wszakże siedział tam naprzeciw z wytrzeszczonymi gałami. Ach, nie była to z jej strony bezgraniczna bezczelność, ile przede wszystkim kłótniowość i pyszałkostwo. Chciała okazać mu swoją wyższość i mieć ostatnie słowo:

— Nie wierzysz mi? — wrzasnęła. — Przypominasz sobie owe zwłoki dziecka wyłowione w porcie? To moje dziecko!

— Co mówisz! — krzyknął.

— No, nie pamiętasz? Czytaliśmy o tym w gazecie!

Milczał. Po dłuższej chwili dopiero wybuchnął:

— Potwór!

Ale przerażenie jego wzmocniło ją, dodało nowych sił, jakby nadprzyrodzonych, tak że z pewnego rodzaju lubością ją opisywać szczegóły:

— Tak, było nieżywe, urządziłam tak zaraz po urodzeniu. Potem wpakowałam w mój kufer, poszłam do portu i wrzuciłam do wody.

Aksel siedział skamieniały i milczał, a Barbro snuła dalej swoją opowieść. Dawno to już było, przed wielu laty, wtedy gdy wyjeżdżała do Måneland. Aksel przekonał się więc teraz, że nie wszystko wychodzi na jaw. Jak on sobie wyobraża — co by się to działo, gdyby wszystko, co ludzie złego robią, miało się wydać? A co dopiero wyprawiają małżeństwa w mieście? Zabijają swe dzieci, zanim się urodzą, są do tego specjaliści doktorzy. Nie chcą mieć więcej jak jedno albo najwyżej dwoje dzieci i dlatego doktor zabija je w łonie matki. Aksel może jej wierzyć, że w szerokim świecie nie biorą tych spraw tak tragicznie.

— Ano, w takim razie zabiłaś i to drugie dziecko? — spytał znieczeka.

— Nie — odparła bez zachłyśnięcia. — Nie miałam potrzeby.

I ponownie zaczęła przedkładać, że nie byłoby w tym nic niebezpiecznego. Zdaje się, że z myślą tą zupełnie już się otrzaskała, i dlatego wobec całej sprawy zachowywała się z taką obojętnością.

Pierwszym razem bała się wprowadzić i dreszcz grozy wstrząsał nią na myśl o mordowaniu dziecka, ale drugim razem? Przystępowała do tego z pewnego rodzaju historyczną medytacją: raz się stało, powtórzy się i po raz drugi.

Aksel opuścił izbę z ciężką głową. Nie przejmował się tym zgoła, że Barbro zabiła swe pierwsze dziecko, nic go to nie obchodziło. Również nie było warto zastanawiać się nad tym, że przedtem w ogóle miała dziecko. Niewiniątkiem nie była i wcale się też pod tym względem nie maskowała, a przeciwnie, nie ukrywając swych doświadczeń, pouczyła go w niejednym. Ale to drugie dziecko byłby chętnie zatrzymał przy sobie — taki mały chłopaczek, białe stworzonko zawinięte w szmatę! Jeśli ona była przyczyną śmierci dziecka, natenczas wyrządziła mu straszną krzywdę, zerwała węzeł wielkiej dla niego wagi, którego niczym już zastąpić nie będzie można. Ale możliwe też jest, że posądzeniem swym krzywdził ją; nie jest wykluczone, że naprawdę pośliznęła się w potoku i nie miała sił, by się podnieść. Co prawda była tam szmata, połowa koszuli, którą zabrała ze sobą...

Mijały godziny, zbliżyło się południe i nadszedł wieczór. Aksel położył się do łóżka i długo wpatrywał się w ciemność, a gdy zasnął, spał do rana. Nastął nowy dzień, a po dniu tym nastąpiły jeszcze inne dni.

Barbro pozostała zawsze ta sama. Była w świecie i знаła świat, i z obojętnością odnosiła się do takich drobiazgów, które na pustkowiu wyglądały groźnie i budziły przestrasz. I było w tym coś krzepiącego, była rozsądna za oboje i za oboje spokojna. Poza tym nie wyglądała wcale niebezpiecznie. Barbro potworem? Jeszcze czego! Przeciwnie — była dziewczyną ładną, z niebieskimi oczami i zadartym nosem, a robota paliła jej się w ręku. Do osiedla miała cokolwiek odrazy, z odrazą odnosiła się również do drewnianych naczyń,

¹⁵⁴ambarasować (daw.) — niepokoić, kłopotać. [przypis edytorski]

które tak częstego wymagały szorowania, a może i Aksel budził w niej odrazę, jak w ogóle całe to przekłęte życie w samotności. Mimo wszystko jednak nie zakatrupiła żadnego bydlęcia i nie zjawiała się nocą z podniesionym na niego nożem.

Raz tylko jeszcze zgadali się o dziecku spoczywającym w borze. Aksel wyrwał się ponownie, że należałoby dziecko pochować na cmentarzu, na święconym miejscu, lecz Barbro obstawała przy swoim, że postąpiła zupełnie słusznie, że nie popełniła nic zbrodnego. Przy tej sposobności okazało się, że rozważyła sobie wszystko dokładnie i z całą przebiegłością.

— I choćby się wydało, cóż z tego? Pogadam z sołtysem, służyłam u niego, pani sołtysowa na pewno mi pomoże. Nie wszystkie miały za sobą takie plecy, a mimo to uwolniono je. A poza tym ojciec mój ma duże stosunki wśród panów, jest woźnym sądowym i wszystkim.

Aksel nie odpowiedział, a tylko głową potrząsnął.

— Nie wierzysz?

— Co ty sobie wyobrażasz, że twój ojciec Bóg wie co może?

— Nie gadaj, gdy się na tym nie znasz! — krzyknęła rozzłoszczona. — Pamiętaj, żeś ty go pchnął w nędzę, żeś wydarł mu gospodarstwo i chleb z ręki.

Co miał na to odpowiedzieć Aksel? Milczał. Był człowiekiem zgody, człowiekiem pracy.

III

Pod zimę Aksel pozostał znowu sam jeden, Barbro poszła sobie. Tak, taki był koniec.

Powiedziała, że w mieście zabawi niedługo. Przecież nie jedzie do Bergen, ale trudno — musi ratować swoje zęby, bo w końcu wypadłyby jej wszystkie i miałaby gębę jak cielak.

— Ile to będzie kosztować? — spytał Aksel.

— Bo ja wiem? — odparła. — Bądź spokojny, ciebie to nic kosztować nie będzie, sama zarobię na moje zęby.

Wy tłumaczyła mu też, dlaczego teraz właśnie wyjeżdża. Obecnie są tylko dwie krowy dojne; na wiosnę zaś dwie się ocielą, kozy okocą się, a nastanie czas sianokosów i robota już nie ustanie aż do lipca.

— Rób, jak chcesz — rzekł Aksel.

Nic go to nie miało kosztować, zupełnie nic. Ale trochę pieniędzy przydałoby się na podróż i dla dentysty, oprócz tego potrzebna jej będzie mantyla i różne inne drobiazgi.

— Dałem ci już dosyć pieniędzy — zauważył Aksel.

— Tak — odparła. — Co z tego, kiedy ich już nie mam.

— Nic sobie nie odłożyłaś?

— Czy sobie co odłożyłam? Przejrzyj mój kufer! W Bergen również nie zdołałam sobie nic oszczędzić, chociaż miałam tam pensję o wiele większą.

— Dla ciebie pieniędzy nie mam — oświadczył.

Aksel nie wierzył w jej powrót, a postępowaniem swym dojadła mu już do żywego, tak że począł ją nienawidzić. Nie pozwolił przeto wycisnąć z siebie pieniędzy, ale za to przez palce patrzył na jej przygotowania do podróży, gdy do kufra swego spakowała olbrzymie zapasy żywności. Tak, nawet ją odwiózł na dół do wsi, do przystani.

Tak więc stało się.

Mógłby obyc się spokojnie bez nijakiej pomocy, gdyby nie inwentarz. Musiał być ktoś, kto by obiegał bydło podczas jego nieobecności w domu. Kupiec doradził mu wziąć Olinę, która niegdyś kilka lat już gospodarzyła na Sellanrå; postarzała się wprawdzie, ale wciąż jeszcze jest ruchliwa i pracowita. Tak, Aksel posłał po Olinę, lecz Olina nie przyszła.

Aksel, oczekując jej, ścina drzewo w lesie, młóci swój niewielki sprzęt żyta i obiega swój inwentarz. Pusto dokoła niego i głucho. Kiedy niekiedy spotykał Sywerta jadącego do wsi lub powracającego, zwoził on na dół drewno opałowe albo skóry, albo ser, a wracał zazwyczaj bez niczego — folwark Sellanrå nie potrzebował kupować wielu towarów.

Czasem spotkał wędrującego przez Måneland Bredego Olsena — w ostatnim czasie spotykał go częściej niż dawniej — Bóg jeden wie, czemu on się tu tak pilnie kręci, czego tu szuka! Zdawać się mogło, że bodaj w ostatnich tygodniach swej służby na linii

Pieniądz

Pieniądz

telegraficznej pragnął okazać swoją dzielność i gorliwość, żeby tym sposobem utrzymać się w dalszym ciągu na stanowisku. Odkąd Barbro wyjechała, omijał z daleka dom Aksela, lekceważył go widocznie, co jednak nie przeszkadzało mu mieszkać w dalszym ciągu w Bredablik, własności Aksela. Pewnego dnia, gdy zamierzał właśnie przejść mimo zagrody na Måneland, Aksel niespodzianie zastąpił mu drogę i pytał, kiedy właściwie zamierza wyprowadzić się z Bredablik.

— A jak rozstałeś się z Barbro? — spytał Brede.

Od słowa do słowa, przymówili sobie dosyć dokuczliwie.

— Wygnałeś ją bez jakichkolwiek środków utrzymania, ani grosza nie dałeś na drogę! Niewiele brakło, a nie byłaby dojechała do Bergen! — rzucił twardo Brede.

— Tak, to ona w Bergen?

— Ma się rozumieć. Ostatecznie dojechała tam, ale jak pisze, nie tobie to zawdzięcza.

— Dosyć tego! Teraz zrób, żebyś się co prędzej wyniósł z Bredablik, bo inaczej ja ciebie wygonię! — warknął Aksel.

— Tak, tak mówi dobry człowiek — odparł Brede drwiąco. — Nie potrzebujesz się trudzić, po Nowym Roku sami się wygonimy — rzekł Brede i poszedł swoją drogą.

Tak, Barbro pojechała do Bergen, a więc stało się, jak przypuszczał. Nie martwił się z tego powodu. Czemużby miał się martwić? Kłótnicą była, jakiej by drugiej nie znalazł pod słońcem, ale dotychczas nie pozbył się mimo wszystko nadziei, że Barbro powróci do niego. Nie zdawał sobie sprawy z tego, co się z nim działo, oraz że coś tam w głębi serca wiązało go odrobinę z Barbro, z tym wcielonym potworem. Często umiała być bardzo miła, niesłychanie miła i dlatego właśnie, aby przeszkodzić wyjazdowi jej do Bergen, skąpił pieniędzy przy pożegnaniu. I mimo to dała sobie radę, i pojechała. Oto wisiały tu na haku te i owe części jej przyodziewku, a na strychu spoczywał kapelusz słomkowy z piórem, owinięty w papier; ona jednak nie zgłaszała się po swoją własność. Ano, może przecież cokolwiek się martwił. A gazetę jej wciąż jeszcze otrzymywał, przysyłać ją będą pewnie aż do Nowego Roku. Dziwnie działał na niego widok tej gazety, zdawało mu się, że gazeta natrąsa się z niego i szydzi.

Ale ostatecznie musiał się opamiętać — trzeba było pomyśleć o innych sprawach.

Na wiosnę czekała go nowa robota — do północnej ściany chaty należało przybudować stodołę. Zimą przeto trzeba było naciąć belek i desek. Aksel nie posiadał na swym gruncie lasu zwartego z wysoką drągowiną, tu i ówdzie przecież sterczały potężne sosny. Wyszukiwał je zwłaszcza na drodze w pobliżu Sellanrå, a to z powodu łatwiejszej dostawy ich do Izakowego tartaku.

Pewnego poranka zaopatrzył cały swój inwentarz w większą niż zazwyczaj ilość paszy, ażeby wystarczyła na cały dzień aż do wieczora. Następnie pozamykał drzwi i poszedł do lasu; oprócz siekiery i zapasu chleba i sera zabrał z sobą szufłę do odgarniania śniegu. Pogoda dziś ładna; wczoraj jeszcze szalała straszna zamieć śnieżna, dziś jednak uciszyło się zupełnie. Idzie drogą wzdłuż linii telegraficznej, wreszcie zatrzymuje się, zdejmuje kurtkę i zabiera się do ścinania drzew. Z każdego ściętego drzewa obrąbuje natychmiast gałęzie i zgarnia je w osobne, równe sterty.

Brede Olsen kroczy drogą, widocznie zawierucha wczorajsza wyrządziła na linii jakieś szkody, które spieszył obecnie naprawić. Przeszedł obok Aksela i nawet go nie pozdrowił.

Aksel miarkuje, że zanosi się na gwałtowną zmianę pogody. Wichura zrywa się coraz silniejsza, Aksel jednak nie trwoży się i roboty swej nie przerywa. Południe dawno już minęło, a on o jedzeniu nawet nie pomyślał. Ścina właśnie olbrzymią sosnę... Sosna skrzypi, jęczy, trzeszczy, aż nagle wali się i ciężarem swym przygniata Aksela. Jak się to stało? Nieszczęście czyha na każdym kroku. Olbrzym chwije się na swym korzeniu; człowiek, podcinając go siekierą, wyznaczył mu dokładnie kierunek upadku, gdy tymczasem wichura wyznaczyła mu kierunek inny. Człowiek przegrywa. Byłoby pół biedy, gdyby nie drugi nieszczęsny przypadek: śnieg pokrywał grunt skalisty, Aksel odskakując w bok, chybił i jedną nogą dostał się w szczelinę skalną. Tak tedy leżał teraz przygnieciony olbrzymim kadłubem sosny i na dobitkę z jedną nogą wszczepioną między skały.

Wprawdzie kości, o ile zdołał wymiarkować, miał całe, ale za to leżał w pozycji diabelnie wykręconej i pozbawionej jakiejkolwiek możliwości wydostania się spod ciężaru olbrzyma. Po chwili zdołał oswobodzić jedną rękę, na drugiej jednak sam leży. Na próżno

Niebezpieczeństwo, Los

wysła się, aby sięgnąć leżącą opodal siekierę. Rozgląda się dokoła i medytuje, i szamoce się niby zwierzę w potrzasku. Daremne jego wysiłki, olbrzym ani drgnie. Pociesza się, że wracający tędy Brede poratuje go...

Jak dotąd nie przejmował się zbyt swym położeniem, a złościło go tylko, że przez taki głupi, nędzny przypadek leżeć tu musi beczynnie; ani śladu w nim troski o zdrowie własne i własne życie. Co prawda czuje wyraźnie, jak ręka, na której leży, powoli coraz więcej martwieje i jak martwieje i kostnieje noga wtłoczoną w szczelinę. Ale i tym się nie przejmując. Niebawem przecież nadejdzie Brede!

Bredego jednak jak nie widać, tak nie widać... Zadyмка wzmaga się, potężnieje i sypie śniegiem prosto w twarz Aksela. „To nie przelewki!” — myśli, ale wciąż jeszcze nie traci fantazji. Śnieg sypie i sypie, wichura wyje, las stęka. — Ho, ho, to naprawdę nie przelewki!...

— Ratunku! — krzyczy z całych sił.

Ale wołanie to stłumił zupełnie łomot wichru... chociaż, kto tam wie, może głos jego poleciał wzdłuż linii i dotrze do uszu Bredego. Aksel bałamuci się bezwartościowymi myślami: gdyby jeno siekierę mógł sięgnąć, wtedy by niezawodnie przerąbał pień i uwolnił się! Gdybyż przynajmniej wydobyć mógł spod siebie drugą rękę! Spoczywała ona na jakimś ostrym kamieniu, który wrzynał się w dłoń powoli a gruntownie. Gdybyż przynajmniej nie ten przeklęty kamień! Ale nikt dotychczas nie zauważył, żeby kamień posiadał właściwości dobrego serca i umiał się wzruszyć czyjaś niedolą.

Czas mija, śnieżycy hula coraz wścieklej. Aksel, zasypywany śniegiem, leży bezradny. Śnieg swawolnie układa się na jego twarzy; najpierw topniał, lecz gdy policzki jego i głowa, i szyja dostatecznie zziębły, wtedy śnieg przestał topnieć. Teraz to już naprawdę źle! Przeto krzyknął dwa razy i nasłuchiwał... .

Śnieg przyproszył tymczasem siekierę, widoczny był jeszcze jeno kawałeczek obsady. A tam na drzewie wisi jego plecak z chlebem i serem, gdybyż go mógł sięgnąć, zaraz by rzetelnie sobie podjadł. I kurtka jego tam wisi, oj, przydałaby się, bo zaczyna być zimno. I znowu krzyknął z całych sił...

Patrzcie — Brede! Brede Olsen w swojej osobie! Zatrzymał się i spogląda na wołającego. Chwileczkę jeno stoi i patrzy, jakby pragnął zbadać, co się stało.

— Chodźże i podaj mi siekierę! — krzyczy Aksel nieco płaczliwie.

Brede przekonawszy się dostatecznie, co się stało, spojrzał co prędzej w górę ku drutom telegraficznym i zaczął pogwizdywać! Czyżby zwariował?

— Chodźże i podaj mi siekierę, drzewo mnie przywaliło! — powtórzył Aksel jeszcze głośniejsze.

Ale Brede sprawował teraz swoją służbę tak gorliwie, tak całkowicie oddany był swej pracy inspektorskiej, że poza drutem telegraficznym nic zgoła nie widzi i tylko gwizdże i gwizdże z coraz większą pasją, gwizdże, jakby wygwizdywać chciał całą swoją radość zemsty.

— Aha, chcesz, żebym tu zdechł, nawet siekiery nie chcesz mi podać! — wrzasnął Aksel.

Ale teraz Brede uznał snadź za konieczne ruszyć w dalszą drogę. Jeszcze chwila i Brede zniknął wśród zamieci.

Tak, ano! Ale teraz Aksel dokonałby prawdziwego zamachu stanu, gdyby mimo wszystko udało mu się dosięgnąć siekierę! Napręża się z całych sił, aby przygniatającego go olbrzyma bodaj trochę unieść — na próżno. Wpada w złość i dobywa resztek sił — na próżno. Próbuje jeszcze kilka razy i — daje za wygraną.

Powoli zapada mrok. Brede poszedł, gdzie on może teraz być? Chyba niedaleko... Aksel woła tedy, krzyczy i gada zapalczywie:

— Chcesz, żebym tu szczerł, ty zbroju! — wrzeszczy. — Czy nie myślisz wcale o zbawieniu swej duszy?... Czy to nie wiesz, że za jedno jedyne podanie mi siekiery dałbym ci krowę? Ale pies z ciebie, Brede, parszywy pies, ty dybiesz na moje życie! Poczekaj, bratku, nauczę cię jeszcze... Zapamiętaj sobie, ja ciebie oskarżę!... Jakże, nie przyjdiesz i nie podasz mi siekiery?...

Cisza. Aksel znowu wpada w złość i napręża kark i piersi, i tułów, i uniósł wprawdzie cokolwiek olbrzyma, lecz tyle tylko zyskał, że posypały się na niego wielkie płaty śniegu.

Wtedy poddał się swemu losowi... Stęka i jęczy, czuje się słaby, wyczerpany i senny także... Co się tam dzieje teraz? Bydelko jego kręci się w gammie niespokojnie i porykuje żałośnie — od rana nikt się o nie nie zatroszczył... Barbro nie dała im paszy. Uciekła i zabrała na dobitkę oba pierścionki... Ciemno już, tak, wieczór, a potem nastąpi noc, długa noc... Jakoś by to było, gdyby nie ten mróz paskudny — broda i wąsy zlodowaciały, maluczko a zamarzną i oczy — przydałaby mu się kurtka, która tam wisi bez nijakiego użytku... Czy to możliwe, jednej nogi nie czuje wcale, bezwładna i martwa aż do kolana...

— Wszystko w ojcowskim ręku Boga! — rzekł; gdy Aksel chce, umie gadać całkiem nabożnie.

Ciemno, owszem, może umrzeć i bez zapalanej świecy. Serce mu odtajało, jest łagodny i ażeby zupełnie już się upokorzyć, uśmiecha się przyjaźnie do śnieżycy — wszakże to śnieg Najwyższego, śnieg niewinny, śnieg święty. Tak, i Bredego także już nie oskarży, da mu pokój...

Aksel milknie, coraz większa ogarnia go senność i bezwład, jakby był zatruty. Tyle bieli ma przed oczyma, widzi lasy i równiny, wielkie jakieś skrzydła, białe welony, białe żagle, wszystko białe, białe — co to może być? Głupstwo, przywidzenie, wie przecież doskonale, że to śnieg, że leży przygnieciony sosną, że to nie szal. Potem woła znowu na chybił trafił, ryczy i ryczy, i ryczy, aż mu w płucach pęka, ryczy, że chyba bydło w gammie usłyszy, ryczy bez przerwy, raz po razie...

— Świnia jesteś i potworem! — woła za Bredem. — Czy pomyślałeś, coś zrobił? Czy nie podasz mi siekiery? Pytam się! Bydlę z ciebie pospolite, czy człowiek? Ale powiadam ci: nic z tego! Niech cię Pan Bóg ma w swojej opiece!...

Widocznie zasnął — leży sztywny i bez życia, ale oczy jego rozwarłe, wprawdzie otoczone skorupą lodu, ale rozwarłe; czyżby spał z otwartymi oczami? Może zdrzemnął się jeno, a może i godzinę całą przespał, Bóg jeden wie, dosyć, że teraz stała nad nim Olina... Olina! Aksel słyszy, jak ona mówi:

— O, Jezu Nazareński, żyjesz jeszcze?

Słyszysz, jak wydziwia nad nim, czemu tu leży, czy zwariował?

Tak, to była naprawdę Olina!

Tak, Olina ma węch, ma w sobie coś z szakala, wyłoni się wszędzie w ślad za nie-szczęściem, posiada węch doskonały. Jakżeby inaczej dała sobie radę w życiu, gdyby nie była tak usługowa i nie miała tak dobrego węchu? Oświadczyła z miejsca, że na wezwanie Aksela wyruszyła zaraz w góry mimo swej siedemdziesiątki, żeby być mu pomocną. Wczorajsza zawierucha zatrzymała ją na Sellanrå, dziś jednak podążyła do Måneland i nie zastawszy nikogo w domu, napasła bydło, potem stanęła przed domem i nasłuchiwała, potem wydoła krowy i kozy i znowu nasłuchiwała, i nie wiedziała, co to wszystko ma znaczyć...

I wtedy usłyszała wołanie i powiedziała sobie: „Albo jest to Aksel, albo też jaki duch piekielny. Tak czy owak warto się potrudzić i zobaczyć, i mądrość wieczystą opatrności zbadać podczas takiej zamieci w lesie... Nie bałam się, czego bym się miała bać, ja mizerna sługa Jego...?”

I oto jest tu przy nim.

Siekiera? Olina grzebie w śniegu i grzebie, i siekiery nie znajduje. Próbuje pomóc bez siekiery, przykładą się, jak może, żeby drzewo usunąć, ale mozoli się niby dziecko i udaje się jej zaledwie gałęziami potrząsnąć. Przeto znowu szuka siekiery — ciemno — grzebie w śniegu rękami i nogami. Aksel objaśnia dokładnie, gdzie siekiera przedtem leżała, ale tam jej nie ma.

— Gdybyż przynajmniej do Sellanrå nie było tak daleko! — stęknął Aksel.

Olina zaczyna teraz szukać siekiery, idąc za swoim węchem, i nagle podnosi się i mówi:

— A co to?

— Znalazłaś?

— Tak, z pomocą boską — odparła wyniośle.

I na co mu siekiera, wszakże nie może się wcale ruszać. Tak, Olina sama drzewo rozrąbie. O, Olina umie obchodzić się z siekierą, nieraz już w swym życiu rąbała drzewo!

Aksel jest wolny, ale iść nie może: jedna noga bezwładna aż do kolana, krzyż jakby przetrącony, ostre klucia i darcia, że mógłby wyc z bólu, słowem — czuje się na wpół umarły, część z niego spoczywa wciąż jeszcze pod drzewem.

— Tak mi jakoś dziwnie, że nic zgoła nie rozumiem — odezwał się.

Rozumie to jednak Olina i wyjaśnia wszystko niezwykle wręcz słowy: tak, od śmierci niechybnej uratowała człowieka i tyle wie, że Wszechmocny użył jej jako swe mizerne narzędzie, ponieważ na ziemski ten padół nie chciał zsyłać swych zastępów niebieskich. Czy Aksel nie widzi w tym Jego mądrego zrządzenia? I gdyby Wszechmocnemu spodobało się wysłać na pomoc jakiegoś robaka spod ziemi, byłby Aksel tak samo uratowany.

— Tak, to prawda, ale tak mi jakoś dziwnie — rzekł Aksel.

— Dziwnie?

Niech tylko troszkę poczeka, niech się trochę rozrusza, najlepiej pochylić się i wyprostować, pochylić i wyprostować... tak, dobrze, niech też odzieje się kurtką, przędź się rozgrzeje. Póki życia nie zapomni anioła Bożego, który ją przed dom sprowadził i pozwolił usłyszeć wołanie z lasu. Było to tak, jak owych dni rajszych, kiedy trąby grały pod murami Jerycha¹⁵⁵...

Zadziwiające! Ale podczas tej paplaniny Aksel rozruszał się tak, że mógł już iść.

Wracali do domu powoli i potykając się co chwila; Olina wciąż jeszcze jest wybawcą w potrzebie i troskliwie Aksela podpira. Doskonale. Uszedłszy kawał drogi, spotykają Bredego.

— Cóż się stało? — spytał Brede. — Czyś chory? Mam ci pomóc?

Aksel milczał i jeno głową wykonał ruch odmowny. Ślubował Bogu, że nie będzie mścił się na Bredem, że go nie oskarży przed sądem, ale dalej też w swym ślubowaniu się nie zapuścił. I w jakim celu Brede laź tu znowu pod górę? Czy dostrzegł może Olinę w Måneland i domyślił się, że ona wołanie Aksela usłyszy?

— Tak, więc przybyłaś w nasze strony, Olino — zaczął Brede młynkować. — Gdzie odnalazłaś go? Czy może pod drzewem? Tak, dziwnie się z nami plecie! Robiłem właśnie przegląd linii telegraficznej, gdy doleciało mnie jakieś wołanie. Oczywiście, podążyłem natychmiast co tchu, żeby w razie potrzeby nieść pomoc. Więc to tyś wołał ratunku, Aksel? I ciebie drzewo przygniotło?

— Tak, mnie przygniotło, a ty, przechodząc koło mnie, słyszałeś i widziałeś, co się stało, ale mimo to poszedłeś dalej swoją drogą — odparł Aksel.

— Boże miłosierny! — wybuchnęła Olina, zgorszona tak czarną niegodziwością.

Brede tłumaczył, jak się to przytrafiło:

— Ja ciebie widziałem. Tak, widziałem cię doskonale. Ale trzeba było wołać na mnie, czemuś nie wołał? Doskonale cię widział, ale myślałem, żeś się położył, aby trochę wypocząć.

— Nie kłam! — krzyknął Aksel groźnie. — Tyś mnie naumyślnie tam zostawił!

Olina w lot zorientowała się, że musi się teraz mieć na baczności, aby jej akcja ratunkowa nie poniosła uszczerbku. Dlatego nie dopuszcza Bredego, żeby był w czymkolwiek pomocny Akselowi, ba, nie pozwala mu nawet ruszyć plecaka lub siekiery Aksela. O, Olina jest w tej chwili całkowicie po stronie Aksela; jeżeli później kiedyś zajdzie do Bredego i przy kubku kawy zasiądzie, będzie na pewno całkowicie po stronie Bredego.

— Pozwól przynajmniej, że poniosę siekiere albo szufłę — rzekł Brede.

— Nie! — wtrąciła pospiesznie Olina. — Aksel sam poniesie.

Brede upiera się przy swoim:

— Czemuś nie zawołał na mnie? Przecie nie pogniewaliśmy się tak dalece, żebyś aż przemówić do mnie nie mógł. Tyś wołał? Ano, powinienes być głośniejsz krzyczeć, wszakże widziałeś, jaka szalała wichura. I oprócz tego trzeba było ręką kiwnąć.

— Ręką kiwnąć, kiedy nie miałem jej wolnej. Przecie widziałeś, że leżałem tam jak skrzepowany!

¹⁵⁵trąby (...) pod murami Jerycha — wg biblijnej *Księgi Jozuego* miasto Jerycho, oblężone przez Izraelitów, zostało zdobyte dzięki temu, że kiedy towarzyszący wojsku kapłani zadęli w trąby, a wojownicy wzniesli okrzyk wojenny, potężne mury miasta runęły (Joz 6, 1–20). [przypis edytorski]

— Nie, tego nie widziałem. Coś podobnego nie zdarzyło mi się jeszcze w życiu całym! Daj, pomogę ci nieść narzędzia, słyszysz!

— Dajże pokój Akselowi! Chory jest i tyle!

Tymczasem jednak mózgownica Aksela przyszła jako tako do siebie. Dawniej niejedno już słyszał o starej Olinie i oto nagle zrozumiał, że stałaby mu się zbyt kosztownym w przyszłości ciężarem, gdyby jej jednej tylko miał zawdzięczać uratowanie życia. Pragnie więc uszczknąć nieco jej triumfu i dlatego godzi się na to, żeby Brede naprawdę niósł plecak, łopatę i siekierę, ba rzuca nawet jakieś słowa, że lżej mu znacznie, odkąd Brede ujął mu ciężaru. Olina wszakże nie chce się na to zgodzić, wydziera z rąk Bredego plecak i dowodzi, że tylko ona ma prawo nieść rzeczy Akselowe. Chytra, czatująca głupota walczy na wszystkich frontach. Olina szamocze się z Bredem, a Aksel stoi tymczasem bez podpory. I Brede istotnie ulega, puszcza plecak, lecz w okamgnieniu znajduje się przy boku Aksela, obejmuje go troskliwie i podtrzymuje, mimo że Aksel stoi na nogach zupełnie pewnie.

I w ten sposób ruszają teraz w dalszą drogę: Brede prowadzi osłabionego Aksela, a Olina niesie plecak i narzędzia. Dźwiga, dźwiga i okropnie się złości. Pozwoliła sobie narzucić najgorszą część zadania. Czego, do diaska, chce tu Brede?

— Ty, Brede — odzywa się kąśliwie — co ja słyszę? Twoje gospodarstwo podobno zlicytowali wierzyciele i wyprzedali cię z wszystkiego.

— Czemu się pytasz? — odparł Brede hardo.

— Czemu się pytam? Nie przypuszczałam, że to ma być tajemnicą

— Głupstwa pleciesz, należało ci przyjść i moje gospodarstwo kupić!

— Ja kupić? Kpisz sobie ze starowiny.

— Tak, czy nie jesteś to teraz bogaczką? Nazywa się przecie, że odziedziczyłaś żelazną kasę starego Sywert, ha, ha, ha!

Przypomnienie niedoszłego spadku jeszcze bardziej ją rozwściekiło.

— Tak, stary Sywert niczego mi nie żałował, tyle mogę powiedzieć — odparła. — Po jego śmierci jednak znaleźli się tacy, co zrabowali cały jego majątek. Przecie ty, Brede, wiesz najlepiej, jak to jest, gdy człowieka obrabują i pozostawia go bez dachu nad głową. Ale stary Sywert przebywa teraz w wielkich salach i pałacach niebieskich, a ja i ty, Brede, włóczymy się jeszcze po tym padole ziemskim i każdy nami pomiata.

— Gadaj sobie do śniegu, a nie do mnie — odciął się Brede, po czym rzekł do Aksela: — Cieszę się, że przyszedłem w porę, aby ci pomóc w powrocie do domu. Czy nie za prędko idę?

— Nie.

Ale z Oliną sprawa niełatwa, szermierka z nią na słowa to pewna przegrana dla strony przeciwnej! Nie ustąpiła nigdy i nikt też nie sprostął jej w mieszanii nieba i ziemi w jedno ciasto złościwości i przyjaźni, trucizny i paplaniny. Na dobitkę wszystkiego i to jeszcze musiała usłyszeć, że nikt inny, tylko Brede zaprowadził Aksela do domu.

— Co ja to chciałam powiedzieć — zaczęła. — Aha, czyś ty naprawdę pokazał swoje worki z kamieniami owym wielkim panom, co to swego czasu bawili na Sellanrą?

— Wiesz co, Aksel, będzie najlepiej, gdy cię wezmę na plecy i do domu zaniosę — zaproponował niespodzianie Brede.

— Nie — odparł Aksel. — Dziękuję ci jednak za dobre chęci.

Tymczasem posuwają się coraz dalej; znajdują się już blisko chałupy i Olina uświadamia sobie, że nadeszła ostatnia chwila działania, bo inaczej przepadnie z kretesem.

— Szkoda, Brede, żeś ty nie uratował Aksela od niechybnej śmierci — rzekła. — Ale jak to właściwie się stało, Brede, widziałeś go w nieszczęściu, słyszałeś jego wołanie i mimo to poszedłeś dalej bez podania ręki nieszczęśliwcowi?

— Radzę ci, zamknij swoją szpetną gębę! — krzyczał Brede.

Milczenie byłoby dla niej istotnie rzeczą najwygodniejszą, brodziła bowiem w głębokim śniegu i ugiwała się pod ciężarem; dyszała srodze, ale gęby mimo to nie zamknęła. W zanadru chowała jeszcze jeden pocisk, najniebezpieczniejszy, czy miała go zaryzykować?

— A co z Barbro, poszła znowu w świat? — spytała.

— Tak — odparł Brede lekkomyślnie. — I dzięki temu będziesz miała służbę przez całą zimę.

Słowo

Ale teraz dopiero napatoczyła się Olinie dobra sposobność wykazania, jak bardzo jest pożyteczna i poszukiwana w całej okolicy, wszędzie. W ostatnim czasie miała dwa, a nawet trzy miejsca do wyboru. Na plebanię także ją zapraszano. A jednocześnie dodała głośno, aby Aksel każde słowo usłyszał: zaofiarowano jej tyle i tyle, do tego parę nowych trzewików i paszę dla jednej owcy. Ona jednak wie, że tu na Måneland żyje wyjątkowo dobry człowiek, który sowicie ją wynagrodzi i dlatego wołała przyjść tutaj. Tak, Brede niepotrzebnie o nią się troszczy; dotychczas przecież sam Ojciec Niebieski o niej pamięta i drzwi jedno po drugich gościnnie przed nią otwiera, i do wstąpienia wzywa. Palec Boży widoczny jest w tym choćby, że przyszła dziś na Måneland i uratowała człowieka od niechybnej śmierci...

Aksel słabnie nagle i stąpać nie może zakleszczoną przez cały dzień nogą. Rzecz osobliwa, jak dotąd bowiem przybywało mu sił i w miarę rozgrzewania się szedł coraz pewniej. Teraz jednak niezbędna okazała się pomoc Bredego, bez tej pomocy ległby jak długi! Pogorszyło mu się wtedy właśnie, gdy Olina ponownie wspomniała o uratowaniu mu życia. Czyżby zasługę jej pragnął gwałtem obniżyć? Bóg raczy wiedzieć, ale mózg jego był już całkiem w porządku. Gdy znaleźli się w pobliżu zagrody, Aksel zatrzymuje się i prawie jęczy:

— Nie, nie mogę dalej...

Brede, nie namyślając się długo, bierze go na plecy. I ruszają dalej, Olina z przewracającą się zółcią, Aksel jak długi na plecach Bredego.

— Jakże tam z Barbro, czy już po kłopotach?... Czy ma już dziecko?

— Dziecko? — stęka Brede pod swoim ciężarem.

Niezwykły to pochód. Aksel każe się nieść aż do progu izby.

Brede okropnie zadyszany.

— Ano, dziecko, czy może już przedtem miała dzieci? — spytała Olina.

Tu nagle wmieszał się Aksel, zagadując Bredego:

— Nie wiem doprawdy, jakbym do domu dziś wrócił, gdyby nie twoja pomoc! — Lecz o Olinie także nie zapomina i mówi: — I tobie, Olino, dzięki, tyś pierwsza mnie znalazła. Dzięki wam obojgu.

Było to wieczoru, kiedy uratowano Aksela.

Następnych dni Olina nie chce mówić o niczym innym jak tylko o tym wielkim zdarzeniu. Aksel za dużo ma do czynienia, żeby ją w tym względzie okiełznać. Olina może pokazać to miejsce, gdzie była wtedy, kiedy anioł Pański stanął w drzwiach i nakazał jej posłuch dla wołania Aksela. Aksel rozmyśla o czymś zgoła innym. Przystąpił na nowo do ścinania drzew w lesie, a gdy się z tym uporał, zwoził je na Sellanrå do tartaku.

Przyjemna to praca zimą: pnie w górę wwozić, a zwozić na dół gotowe już deski! Należało się wszakże spieszyć, aby ukończyć przed Nowym Rokiem, zanim nastąpią tradycyjne mrozy i tartak zamarznie. Robota idzie składnie, wszystko ukończone w porę. Sywert, wracający właśnie ze wsi z próżnymi saniami, zabrał również jeden duży pień, by pomóc sąsiadowi. I jadąc potem razem, zabawiali się wesołą pogawędką.

— Co tam nowego w dolinie? — spytał Aksel.

— Nic — odparł Sywert. — Ma tu przybyć nowy osadnik.

Nowy osadnik, o, to nie „nic”, to jeno taki sposób przedstawiania rzeczy ważnych przez Sywerta. Co roku przybywał w tych okolicach nowy osadnik, poniżej Bredablik osiadło ich już pięciu, na wyższych jednak stokach górskich kolonizacja dokonywała się w tempie powolniejszym, mimo że gleba ku południowi była bez porównania stalsza i znacznie mniej posiadała bagnisk. Osadnikiem, który odważył się osiąść na najwyższym krańcu, był Izak, kiedy zakładał Sellanrå; był on najodważniejszy i najrozumniejszy. W jego sąsiedztwie osiadł Aksel Ström. Teraz okupił się tu nowy człowiek. Nowy ten człowiek zakupił podobno spory szmat bagnisk w celu odwodnienia oraz sporo lasu poniżej Måneland.

— Czy dowiedziałeś się, co to za jeden? — spytał Aksel.

— Nie — odparł Sywert. — Przybywa tu podobno z gotowymi domami blokowymi, które w mig ustawić można.

— Tak, to zapewne jaki bogacz?

— Zapewne. Przyjeżdża z rodziną: z żoną i trojgiem dzieci. Ma też bydło i konie.

— Tak, to na pewno bogacz — zauważył Aksel. — Czy jeszcze co o nim słyszałeś?

— Nic. Ma trzydzieści trzy lata.
— A jak się nazywa?
— Aron, tak go nazywają. A osiedle swoje nazwał „Storborg”.
— Aha, Storborg, wielki zamek.
— Przybywa z wybrzeża. Mówią, że dotychczas trudnił się handlem ryb.
— W takim razie ciekawe, czy zna się na rolnictwie — rzekł Aksel. — Czy jeszcze co o nim słyszałeś?

— Nie. Przy podpisaniu kontraktu zapłacił wszystko gotówką. Poza tym nic o nim nie słyszałem. Ale powiadają też, że na swych rybach zarobił sumy neapolitańskie¹⁵⁶. Teraz tu zamieszka i zamierza prowadzić handel.

— Co, handel chce prowadzić?

— Tak, tak mówią.

— Hm, chce więc handlować!

Była to wiadomość najważniejsza i obaj sąsiedzi omawiali ją szczegółowo ze wszystkich stron. Była to wielka nowina, najważniejsza może w całej historii pustkowia i nasuwało się pytanie: z kim nowy osadnik handlować zamyśla? Czy z owymi tylko ośmioma osadnikami? Czy też liczył na odbiorców z doliny, ze wsi? Tak czy owak handel jego może mieć duże znaczenie, może przysporzyć osadników i wpłynąć na zwyczaj cen na grunty, któż to przewidzieć zdoła?

Aż dziw, jak niestrudzenie tę sprawę omawiali! Dwaj ci chłopcy przykładali do tego, co ich zajmowało, i do słów swych tę samą miarę co wszyscy inni na szerokim świecie, ich światem była wieś, praca, pory roku, Żniwa, zdarzenia przebyte. Czy było w tym też jakie napięcie nerwów? Ho, ho i jakie jeszcze! Często należało nie dojeść i nie dospać, żeby tylko z robotą wydołać; byli wytrzymali na wszystko, potrafili rąbać sosny choćby i siedem godzin bez przerwy i bez posiłku — nic im nie mogło zaszkodzić, gdy tylko kości były całe. Życie w małym światku, zabitym deskami. Tak! Ale jak się ten światek teraz rozszerzy, jak wielki się stanie, gdy Storborg jeno swój handel rozpocznie na pustkowi! Rozprawiano o tym aż do Bożego Narodzenia...

Akselowi wręczono list, wielki list z nadrukowanym u góry lwem. Był to list rządowy: ma odebrać od Bredego Olsena druty telegraficzne, narzędzia i automat i od Nowego Roku poczynszy, ma objąć dozór nad linią...

IV

Na pustkowi wielki ruch. Liczne zaprzęgi zwożą poprzez grzęzawiska domy i meble, i różności dla nowego osadnika. Wozy ładowne toczą się dzień za dniem i zatrzymują się w miejscu, które zwać się ma odtąd Storborg. Posiadłość ma być kiedyś snadź bardzo wielka, ponieważ czterech chłopów zajętych jest w górach przy kamieniołomach w celu dostarczenia nowemu osadnikowi kamieni do muru i dwóch piwnic.

A wozy jadą i jadą. Każda belka przycięta już najdokładniej i zaopatrzona jest w swój numer. Cudownie to obmyślane. Niczego tu nie braknie, ani drzwi, ani okien, są nawet szyby kolorowe do werandy. A któregoś dnia przyjechał wóz ze sporym ładunkiem żerdzi. Do czego to? Jeden z osadników, który przybył tu z południa, zna się na tym.

— To jest płot ogrodowy — objaśnił.

A zatem nowy osadnik zamyśla założyć tu ogród, wielki ogród.

Zapowiadało się wszystko jak najlepiej. Nie pamiętano jeszcze podobnego ruchu w puszczy; właściciele furmanek zarabiają ładny grosz i obliczali już, ile w przyszłości będą zarabiać, gdy trzeba będzie zwozić kupcowi towary zamówione z kraju i zagranicy.

Tak, zapowiadały się wielkie rzeczy... Wozy i jadą, i coraz to coś nowego zwożą, a młody dozorca czy pełnomocnik coraz to woźniców przynagla i jeszcze więcej poszukuje furmanek... Sywert z Sellanrå przejeżdża właśnie od strony wsi z próżnym jak zwykle wozem. Pełnomocnik zatrzymuje go i pyta:

¹⁵⁶sumy neapolitańskie (fraz.) — ogromna suma pieniędzy; w 1556 królowa Bona, wyjeżdżając po śmierci męża do rodzinnego księstwa Bari we Włoszech, wywozła z Polski zawrotną kwotę ok. 430 tys. dukatów w złocie, którą pożyczyła królowi hiszpańskiemu i neapolitańskiemu Filipowi II Habsburgowi; po śmierci Bony, mimo trwających 150 lat starań Zygmunta II Augusta, a następnie skarbu Rzeczypospolitej, udało się odzyskać tylko drobną część pożyczonej sumy. [przypis edytorski]

— Czemu jedziesz z próżnym wozem? Nie mogłeś to zabrać jakiego transportu dla nas?

— Mogłem, ale nie wiedziałem, że mam zabrać — odparł Sywert.

— On jest z Sellanrå, oni tam mają dwa konie — szepnął ktoś pełnomocnikowi.

— Prawda to, że macie dwa konie? — spytał. — Przyjedź z obydwoma, potrzebujemy furmanek, możesz dużo zarobić.

— Tak, opłaciliby się — odparł Sywert. — Ale teraz akurat nie mamy czasu.

— Jak to, nie masz czasu zarabiać? — spytał pełnomocnik.

Tak, na Sellanrå nieczęsto rozporządzano wolnym czasem, było tam zawsze aż nadto wiele do roboty. Obecnie zaś ugodzili po raz pierwszy do pomocy dwóch robotników, murarzy ze Szwecji, do łamania kamieni pod nową stajnię.

Stajnia od wielu lat zaprzętała poważnie myśl Izaka. Gamma nie wystarczała już dla jego inwentarza, była ciasna i licha. Potrzebna stajnia kamienna z podwójnym murem i z prawdziwą, jak się patrzy, gnojownią. Ale tak wiele jeszcze było do zrobienia, jedna robota pociągała za sobą drugą i tak w kółko, lata całe; na Sellanrå budowano zawsze... Izak posiadał już tartak i młyn, i stajnię letnią, czemużby więc nie miał posiadać i kuźni? Tak, mała kuźnia przydałaby się — oszczędziłoby się drogi do wsi w razie potrzeby nowych podków albo gwoździ, albo łopaty lub motyki. Palenisko i kowadło — czemu by tego nie miał posiadać? Na ogół w taki przecież sposób powstawały na Sellanrå budynki wielkie i małe.

Folwark Izakowy stale się powiększa, olbrzymieje; bez służącej niepodobna się już obyć i Jensyna musi pozostać już na stałe. Ojciec jej, kowal wioskowy, dowiaduje się o nią przy sposobności, kiedy nareszcie do domu wróci, ale nie nagli, owszem, okazuje się nawet niezwykle ustepliwy; ma w tym widocznie jakiś cel ukryty. Sellanrå zajmuje najwyższe stoki i połoniny¹⁵⁷ i stale rozrasta się, coraz rozleglejsze jego pola i łąki, coraz liczniejsze jego budynki — jeno ludzie pozostali zawsze jeszcze ci sami. Lapończycy dawno już przestali włączyć się po Sellanrå. Wolą omijać je z daleka, a jeżeli czasem zapuszczają się w pobliże domu, nie mają już odwagi wejść do środka, jeno co najwyżej zatrzymują się przed domem. Lapończycy bowiem chętnie wałęsają się w puszczy i mrokach kniei. wyprowadzeni jednak na światło i wolną przestrzeń, łąją jak roztocze i robactwo. Kiedy niekiedy zniknie wprowadzić z najbardziej oddalonych pastwisk jaki cielaczek lub owieczka — ale rady na to nie ma. Taką stratę Sellanrå oczywiście może z łatwością przeboleć. I choćby Sywert umiał strzelać, to i tak strzelby nie wziąłby do ręki; on jednak strzelać nie umie, wesół jest i zupełnie niewojowniczego usposobienia, wielki sowizdrzał. „Na Lapońce zresztą czas ochronny” — zwykł był dowcipkować.

Sellanrå jest wielkie i potężne, ale i ono ma swoje troski. Tak, każdy ma swoje! Inger nie zawsze jest zadowolona z siebie i ze swego życia, o nie — odbyła niegdyś wielką podróż do Trondheim, gdzie uległa pewnego rodzaju zgubnemu wyczerpaniu. Okresy takie mijają i znowu powracają. Jest pilna i pracowita jak ongi, za najlepszych swych czasów, i w oczach swego męża, tego mocnego człowieka, jest kobietą ładną i zdrową. Ale czy nie ma ona swych wspomnień z Trondheim? Czy nigdy o nich nie marzy, nie tęskni za tymi czasami? Owszem, i szczególnie powtarza się to w porze zimowej. Wtedy fermentuje w niej całkiem diabelska radość życia, a ponieważ sama ze sobą nie może puścić się w tany, przeto na Sellanrå nie urządza się balów. Rozmyślenia pokutne i modlitewnik? Ach, tak, owszem, ale Bogu wiadomo, że to drugie jest także piękne i wspaniałe! Dziś już nie ma wielkich pretensji, przestaje na małym; bądź co bądź, dwaj murarze szwedzcy są to w każdym razie ludzie obcy, ale jednocześnie są to ludzie starsi i spokojni, którzy nie bawią się, lecz pracują. Na bezrybiu jednak i rak ryba, wnieśli wszakże z sobą trochę nowego życia — jeden z nich śpiewa ślicznie i Inger staje często dziwnie zasluchana. Śpiewakowi temu na imię Hjalmar...

Ale są i inne troski na Sellanrå. Na przykład przykre rozczarowanie co do Elizeusza. Nadesłał list, w którym donosi, że skończyła się dawna posada u inżyniera, ale że dostanie nową, jeno musi na nią poczekać. Następnie przysłał drugi list: czekając na poważne stanowisko w pewnym biurze, nie może przecież żyć powietrzem. A gdy mu z domu przysłano stukoronówkę, doniósł, że starczyła właśnie na pokrycie kilku drobnych długów.

Pieniądz, Syn marnotrawny

¹⁵⁷ *połonina* — górską łąką położoną powyżej granicy lasów. [przypis edytorski]

— Hm — rzekł Izak. — Obecnie jednak mamy murarzy i różne inne wydatki; zapytaj jeno Elizeusza, czy nie wolałby do nas przyjechać i nam pomóc!

Inger napisała, ale Elizeusz nie chciał powrócić, woli raczej głodować niż jeszcze raz odbywać taką niepotrzebną podróż.

Wszystkie poważniejsze posady biurowe w mieście były widocznie zajęte i Elizeusza był może zbyt nieśmiały, żeby przebojem utorować sobie drogę życiową. A może też posiadał pewne braki? Niewątpliwie był pilny i dzielny w przepisowywaniu, ale czy też dostatecznie był rozgarnięty i sprytny? Co z niego będzie?

Gdy powrócił do miasta ze swymi dwustu koronami, musiał najpierw popłacić dawne rachunki, a następnie potrzebna się okazała modna laseczka. Potrzebne były również inne rzeczy, a więc czapka futrzana na zimę — taka, jaką mieli wszyscy prawie jego koledzy — a więc para łyżew, a więc srebrna wykałaczka do zębów w celu dodania szyku, gdy w gronie koleżków zasiądzie się przy kieliszku lub szklaneczce piwa. I dopóki pieniędzy starczyło, fundował innym; zaraz po przyjeździe należało urządzić bibę powitalną, więc zafundował pół tuzina butelek piwa.

— Co, kelnerce dajesz dwadzieścia öre napiwku? — pytano go z niedowierzaniem. — My dajemy tylko dziesięć.

— Nie należy być małostkowym! — odparł Elizeusz.

Małostkowym zaiste nie był, o nie. Nie wypadało być małostkowym, wszakże z wielkiego dworu pochodził, tak, z dworu wielkopańskiego; jego ojciec, margrabia, posiadał nieprzemierzone lasy i cztery konie, krów trzydzieści i trzy żniwiarki. Błagierem Elizeusz nie był i nie on też wymyślił ową legendę o majątku wielkopańskim na Sellanrã; rozpowszechnił ją swego czasu inżynier powiatowy chełpiąc się w całym mieście, jakiego to zatrudnia u siebie praktykanta. Elizeusz jednak nie gniewał się zbyt, że po trosze wierzono w prawdziwość tej legendy. Osobiście będąc zerem, mógł być przynajmniej synem wielmoży, a to otwierało kredyt i dawało możliwość przepchnięcia się przez życie. Ale i to kiedyś się skończyło i wtedy Elizeusz znalazł się na lodzie. I wtedy jeden z kolegów wyrobił mu posadę w handlu swego ojca. Był to kram wszelkich towarów, w którym przebywała przeważnie klientela wiejska; z braku laku dobry i opłatek¹⁵⁸. Nie bardzo to przyjemna rzecz dla młodzieńca, który marzył o zajęciu urzędu sołtysa, zaczynać praktykę u kramikarza, zarobił jednak przynajmniej na swoje utrzymanie. Najgorsze to nie było. Elizeusz zachowywał i tu dawną swoją uprzejmość i klientela go lubiła.

Ale to właśnie było powodem przykrego rozczarowania jego matki. Kramarzacy Elizeusz nie był niczym więcej od subiekta¹⁵⁹, zajętego u kupca wioskowego w dolinie. Dawniej reprezentował coś bez porównania znamienitszego, był on jedynym w całej wsi i okolicy górskiej, który poświęcał się pracy biurowej. Czyżby zaniechał swych wielkich aspiracji? Inger, nie w ciemnię bita, wiedziała, że istnieje różnica pomiędzy zwyczajnym i nadzwyczajnym, chociaż nie znała się może na tym zbyt dokładnie. Izak był naiwniejszy i prostszy, w rachubach swych coraz mniej liczył na Elizeusza; najstarszy syn wysliznął się do pewnego stopnia z jego widnokładu myślowego — coraz mniej myślał o podziale Sellanrã między obu swych synów.

Wiosną zjawili się inżynierowie i robotnicy ze Szwecji: mieli budować drogi i baraki, mieli wystarać się o dostawę prowiantów, o najem furmanek — na co to wszystko? Czy nie znajdujemy się w puszczy, gdzie panuje cisza i martwota? Owszem, ale obecnie miała powstać na górze miedzianej pierwsza sztolnia, sztolnia próbna.

Tak, a więc jednak na coś się zanoszą. Geissler nie gadał na wiatr...

Dostojnicy, którzy ongi tu się stawiali, tym razem nie przybyli, brakło starosty i właściciela huty, przybyli natomiast dawny rzeczoznawca i dawny inżynier. Wykupili u Izaka wszystkie jego niepotrzebne tarcice, zakupili bardzo dużo żywności i dobrze za wszystko zapłacili, po czym gawędzili z Izakiem, byli bardzo grzeczni i podziwiali Sellanrã.

¹⁵⁸z braku laku dobry i opłatek (fraz.) — dawne powiedzenie odnoszące się do zwyczaju zaklejania listów gorącym lakiem, na którym odciskano pieczęć, oraz zastępczego używania do tego celu opłatka: cienkiego krążka z mąki i wody, który przylepiano do listu. [przypis edytorski]

¹⁵⁹subiekt (daw.) — sprzedawca w sklepie. [przypis edytorski]

— Tak, trzeba będzie urządzić tu kolej linową — mówili — kolej napowietrzną od szczytu góry aż do jeziora.

— Co, ponad trzęsawiskami? — spytał Izak, ponieważ nie bardzo to wszystko rozumiał.

Ach, i wtedy wybuchnęli śmiechem!

— Nie po tej, lecz po tamtej stronie góry, wprost na dół do morza, tam właśnie jest ostry spad, strome zbocze i przestrzeń niedługa. Wydobyty kruszec spuszczać się będzie na dół w żelaznych dzieżach, zobaczysz, jaka to wspaniała rzecz! Z początku jednak będziemy kruszec zwozić furmankami i w tym celu wybudujemy drogę. Zajmiemy wtedy co najmniej pięćdziesiąt koni i to będzie nie mniej wspaniałe. Nie myśl przypadkiem, że tylko zatrudniać będziemy robotników, ilu obecnie widzisz. O, przekonasz się! Z tamtej strony naciąganie tu wielka partia robotników wraz z gotowymi barakami i magazynem, i narzędziami, i wszystko to rozlokuje się na szczycie góry. Tak, teraz dopiero cała sprawa nabierze rozmachu, milionami obracać się będzie i kruszec pojedzie do Ameryki Południowej.

— A gdzie starosta? — spytał Izak.

— Jaki starosta? Ach, ten! Ho, wycofał się, udziały swoje sprzedał!

— A właściciel huty?

— Także swoje sprzedał. Tak, pamiętasz ich jeszcze? Tak, oni sprzedali swoje udziały. Potem ci, co od nich kupili, sprzedali je dalej. Obecnie cała góra miedziana należy do wielkiego towarzystwa złożonego z samych milionerów.

— A gdzie też przebywa teraz Geissler? — spytał Izak.

— Geissler? Nie znam go.

— Sołtys Geissler, który wówczas zajmował się sprzedażą góry miedzianej.

— Ach ten! Więc to był Geissler? Bóg wie, gdzie go pognało. To i jego pamiętasz?

Potem pożegnali się i rozpoczęli prace w górach z licznymi zastępami robotników. Rozpoczęto na wielką skalę: Inger uprawiała ożywiony handel mlekiem i serem; bawiło ją to niewymownie, iż tylu nieznanym ludzi do niej zachodziło. Izak wszelako kroczył jak zwykle i jak zwykle uprawiał swe pola, nic nie mogło wytrącić go z równowagi. Dwaj murarze i Sywert budowali stajnię; był to wielki budynek, a budowa jego trwała długo, za mało ludzi przy niej pracowało, a nadto Sywert często musiał się odrywać, żeby pomóc w polu. Dobrze, że mieli przynajmniej żniwiarkę i trzy tęgie dziewczki do przewracania siana.

Wszystko działo się jak najlepiej. Pustkowiu zbudziło się do życia, zewsząd sypały się pieniądze.

Spojrzyjcie tylko na faktorię w Storborgu, czyż nie był to interes w wielkim stylu? O, Aron to wyga nad wygi, słyszy, jak trawa rośnie. Nikt jeszcze nie wiedział o projektowanej kopalni, a on już sprowadził się tu ze swym kramem; działał, o, działał jak minister, ba, jak sam król. Najpierw sprzedawał wszelkiego rodzaju sprzęty domowe i ubrania robocze, ale górnicy zarabiający dużo niezupełnie liczą się z groszem i kupują wszystko, co w rękę wpadnie. Związszcza licznie zjawiali się w Storborgu w wieczory i sobotnie. O, wtedy Aron zgarniał pieniądze aż do późnej nocy, wtedy i subiekt jego, i żona, i on sam uwijali się za ladą i mieli pełne ręce roboty. I ziściły się przepowiednie właścicieli furmanek we wsi: do Storborgu zwożono olbrzymie transporty towarów, drogę musiano z tego powodu rozszerzyć w różnych miejscach i równać, był to teraz trakt, co się zowie, do pierwotnej Izakowej ścieżki przez puszcę całkiem już niepodobny. Ze swym handlem i traktem Aron stał się prawdziwym dla całej okolicy dobrodziejem. Nie nazywał się on zresztą Aron, Aron to imię jego chrzestne, a nazwisko: Aronsen, tak przynajmniej nazywał siebie i swoją żonę. Udawali oni wielkie państwo i mieli dwie służące i parobka.

Grunty na Storborgu leżały na razie odłogiem, na uprawę nie stało czasu i któż by miał ochotę marnować siły na osuszanie bagnisk?! Zamiast tego Aronsen urządził sobie ogród z krzakami porzeczkowymi, astrami, jarząbkami i różnymi sprowadzonymi tu z dolin drzewkami, ogród otoczony wysokim płotem żerdkowym, pański ogród. Pośród niego prowadził szeroki ganek, po którym co niedzielę przechadzał się Aronsen, pykając

z namaszczeniem długą swą fajkę. Od tylnej strony domu mieściła się weranda, oszklona czerwonymi i żółtymi szybami. Troje ładnych bachorków biegało wesoło; dziewczynka miała wyrosnąć na dystygowaną córkę wielkiego kupca, a synowie mieli się wyuczyć kupiectwa — o, troje dzieci z świetną przyszłością!

Gdyby Aronsen nie myślał o przyszłości, nie byłby tu w ogóle przywędrował. Byłby mógł zostać przy swym rybactwie i zarabiać w dalszym ciągu duże pieniądze. Ale handel rybami to handel gatunku pośledniejszego: handlarz ryb nie cieszył się tak znacznym poważaniem, nie czapkowano przed nim. Aronsen dotychczas tylko wiosłował, w przyszłości pragnął popłynąć żaglowcem. Ulubionym jego powiedzeniem było „bom konstant”: brzmiało to z pańska i wskazywało, że Aronsen nie pochodzi z pospólstwa. Dzieci jego mają posiadać więcej od niego. „Bom konstant” — mówił i miał na myśli zapewnienie im lepszego bytu.

Jak na początek sprawy zapowiadały się wyśmienie, czapkowano zarówno przed nim, jak i przed jego żoną, ba nawet przed dziećmi. Górnicy przybywali tu z wysokich skał i od dawnego czasu nie widzieli dzieci. Pędraki Aronsena obskakiwały ich, przeto roboczarze od razu się z nimi zaprzyjaźnili i bawili niby z trzema pudłami. Obdarowywali je chętnie groszakami, ale ponieważ to dzieci kupca, przeto nie bardzo to uchodziło i dlatego wygrywali im na drumli¹⁶⁰. Najbardziej przepadały za Gustawem, młodym figlarzem, który jawił się tu zawsze z kapeluszem zadartym na bakier i najczęściej z nimi baraszkował. Dzieci z daleka go poznawały i przybiegały naprzeciw przed zagrodę, on zaś brał wszystkie troje na plecy i tańczył jak szalony. „Ho!” — wykrzykiwał Gustaw i tańczył. Potem dobywał drumli wygrywał piosenki i arie, a grał tak pięknie, że obie służące wybiegały z kuchni i ze łzami w oczach przysłuchiwały się grze Gustawa. Gustaw wiedział, co robi, ten obwieś swawolny!

Po takim wesołym wstępie przed domem zniknął w kramie, dzwonił sakiewką i wyładowywał swój plecak po brzegi najróżniejszymi różnościami. Wracając w góry, dźwigał na sobie cały kram, z którym zatrzymywał się na Sellanrå. Tam plecak rozpakowywał i prezentował swój nabytek. Czego on nie posiadał? Miał papier listowy z kwiatkami i fajkę nową, i nową koszulę, i chustkę na szyję z frędzelkami, miał łańcuszek z kompasem i szczyryk. Tak, wiele miał tam pięknych rzeczy, a między nimi nawet rakiety, które zakupił na niedzielę dla zabawienia siebie i innych. Inger poczęstowała go dużym kubkiem mleka, a on dowcipkował z Poldynką i Rebekę bujał wysoko w powietrzu.

— No, kiedyż będziecie gotowi ze stajnią? — spytał swych ziomeków, murarzy, z którymi również był na przyjaznej stopie.

— Nie tak prędko, za mało nas — odparli murarze.

— W takim razie ja wam pomogę — rzucił Gustaw żartem.

— O, to byłoby doskonale — zauważyła Inger — bo ze względu na bydło stajnia musi być gotowa do jesieni.

Gustaw zabrał się teraz do fajerwerków, zapalił jedną racę, drugą, trzecią; całe pół tuzina wypuścił w powietrze, a kobiety i dzieci z zapartym oddechem podziwiały te czary i czarodzieja. Inger nigdy jeszcze nie widziała zapalanej racy, ale niezwykle te ognie przypominały jej świat inny, wielki świat. Co wobec tego znaczy taka maszyna do szycia! A gdy w końcu Gustaw zagrał na drumli, wtedy Inger, wzruszona do głębi, byłaby poszła za nim choćby na koniec świata...

Robota w kopalni postępuje naprzód i kruszec zwożą końmi na dół, na brzeg morski; jeden załadowany parowiec odpłynął już do Ameryki Południowej, a drugi czeka. Ruch olbrzymi. Kto żyw, spieszy w góry, by ujrzeć te cuda, i Brede Olsen tam był z swymi worami próbek, lecz odprawiono go z kwitkiem, ponieważ rzeczoznawca odjechał do Szwecji. Co niedziela odbywały się z doliny i z całej okolicy istne wędrowniki ludów, nawet Aksel Ström, któremu przybywało obecnie roboty z powodu dozoru nad linią telegraficzną, już kilka razy tam zaszedł. I Inger tam zachodzi, wystrojona w najpiękniejsze swe szaty i ze złotym swym pierścieniem na palcu.

Czego ona tam szuka?

¹⁶⁰*drumla* — prosty ludowy instrument muzyczny w postaci metalowej ramki ze sprężynującym języczkiem, wkładanej w czasie gry do ust. [przypis edytorski]

Właściwie niczego nie szuka, kopalnia nie zaciekawia jej wcale, ona chce po prostu pokazać się. Spostrzegłszy, że inne kobiety spieszą na górę miedzianą, uznała, że i ona tam być powinna. Górną jej wargę szpeci co prawda blizna czerwona i ma dzieci już dorosłe, ale to jej nie może powstrzymać. Gniewa ją, że inne są młode, lecz ona zmierzy się z nimi, tym bardziej teraz, gdy nie zaczęła jeszcze rozszerzać się w pasie, gdy jest przystojna, tęga i ładna. Wprawdzie jej delikatna, brzoskwiniowa cera dawno już zniknęła, ale ona wszystkie zakasuje.

Robociarze odnoszą się do niej bardzo przyjaźnie, niejeden już otrzymał od niej garnek mleka i znają ją; oprowadzają ją po kopalni, po barakach, stajni, kuchni, piwnicy i składnicy prowiantowej. Zuchwalsi zabierają się do niej nieco obcesowo i biorą pod ramię, i obejmują, ale Inger nie gniewa się o to, przeciwnie. Gdy idzie po schodach, podnosi wysoko spódnicę i pokazuje swe łydki, ale czyni to w sposób obojętny, jakby nigdy nic. „To jest kobieta jak należy!” — myślą robociarze.

Starucha już, a mimo wszystko wzruszająca; wdzięczna była za każde gorętsze spojrzenie i odwzajemniała się nie mniej gorąco, pochlebiali jej, że znajduje się w niebezpieczeństwie, że ściga ją ogień pożądliwości — była kobietą jak każda inna. Była cnotliwa z braku pokusy zapewne.

Taka starucha!

Gustaw również się zbliżył. Dwie dziewczyny ze wsi pozostawił kamratom, aby tylko być w towarzystwie Inger. Gustaw, bywalec, wiedział, jak należy się zachować; na powitanie szarmancko potrząsnął dłonią Inger, ale daleki był od natręctwa.

— No jakże, Gustawie, kiedy przyjdiesz do nas i pomożesz przy budowie stajni? — pytała Inger i pokraśniała po same uszy.

Gustaw odpowiedział, że owszem, zgłosi się niebawem. Kamraci jego słyszą to i zapowiadają, że wkrótce przybędą wszyscy.

— Jak to, czy zimą nie będziecie tu pracowali? — spytała Inger.

Robotnicy dali odpowiedź wymijającą, ani tak, ani nie, ale jakoś nie zanosì się na to. Gustaw jest odważniejszy, nie owija w bawełnę i wybuchając śmiechem, twierdzi, że maluczko, a wydrapią już resztkę miedzi.

— To chyba nieprawda! — wybuchnęła Inger.

— Nie — zawołali inni, Gustaw powinien mieć się na baczności z takim gadaniem.

Ale Gustaw nie miał się na baczności i śmiejąc się, powiedział znacznie więcej jeszcze, a co się tyczy Inger, zdobył ją sobie niepodzielnie, mimo że wcale się nie narzucał. Ktoś inny, również młody robotnik, grał na harmonijce, ale to nawet w przybliżeniu nie to samo, co muzyka Gustawa na drumli. Trzeci robociarz, również junak¹⁶¹ zadzierzysty, usiłował zwrócić na siebie uwagę tym, że piosenki śpiewał w takt harmonijki; ale i to nie było nic nadzwyczajnego, mimo że posiadał głos huczący jak bas organowy. Niewiele minęło chwil, a Gustaw dzierżył już na swym małym palcu, dalibóg, złoty pierścionek Inger. Jakże się to stało, skoro wcale się jej nie narzucał? Ejże, przystawiał się do niej, ale w zupełnej skrytości, podobnie jak i ona to czyniła; gdy zabrał się do jej ręki, udawała, że nie nie spostrzega. Zasiadłszy następnie w kuchni barakowej przy kawie, usłyszała na dworze jakiś hałas i klótnie i zaraz też się domyśliła, że to o nią idzie. To ją podnieciło; stara cieciora tam siedzi i przysłuchuje się przyjemnym szelestom.

Jak Inger wróciła owego wieczoru niedzielnego do domu? Ho, wyśmienicie, cnota jej nie poniosła najmniejszego uszczerbku. Towarzyszyło jej wielu robotników i żaden nie chciał opuścić jej dopóty, dopóki Gustaw był przy niej, byli nieubłagani! Nigdy w życiu, nawet hen w szerokim świecie, nie spotkała jej taka przyjemność!

— Niech się Inger dobrze zastanowi, czy jej co nie zginęło — zagadywali robotnicy.

— Zginęło? Nic, co miałoby zginąć?

— Złoty pierścionek! — huknęli.

Zdechł pies! Gustaw miał przeciwko sobie całą armię.

— Dobrze, żeś go znalazł — odezwała się Inger i spieszenie pożegnała się ze swym orszakiem.

¹⁶¹ *junak* — odważny młody mężczyzna. [przypis edytorski]

Szła teraz sama, krętą percią¹⁶² zbliżała się i Sellanrå i ujrzała wiele dachów — tam jej dom! I od razu zbudziła się w niej dawna, dzielna kobieta; zbacza w stronę obory letniej, aby zajrzeć do inwentarza, a po drodze przechodzi koło miejsca, które doskonale pamięta: tu pochowała niegdyś małą dziecinę, nakryła ją ziemią i zatknęła mały krzyżyk. Ach, ile to już czasu minęło! I w tejże chwili myśl jej ogarnia troska: czy jeno dziewczyny były już u doju i czy przygotowały wszystko do wieczery?

Praca w kopalni idzie swoim trybem, ale coraz częściej przebąkuje się, że góra nie da tego, czego się po niej spodziewano. Rzeczoznawca znowu przyjechał, tym razem w towarzystwie drugiego rzeczoznawcy; wiercili i rozsadzali skały, i przeprowadzali gruntowne badania. O co właściwie chodzi? Miedź jest niezła, ale żyła jest cienka, w kierunku na południe jest coraz grubsza, a właściwa jej grubość, przebijeczna, rozpoczyna się dopiero na pograniczu terytorium towarzystwa, potem zaczyna się znowu ziemia niczyja. Pierwsi nabywcy widocznie nie zdawali sobie z tego sprawy; była to rada familijna, krewniacy, którzy kupili część na spekulację, nie zabezpieczywszy sobie całego łańcucha górskiego aż do najbliższej doliny. Tak, kupili zaledwie kawałek terenu z Izakowego Sellanrå i kawałek od Geisslera i wszystko zaraz dalej sprzedali.

I co teraz? Inżynierowie i rzeczoznawcy dochodzą do przekonania, że należy co prędzej wejść w układy z rządem. Wysyłają przeto do zarządu towarzystwa sztafetę z listem, sami zaś cwałują do sołtysa, aby cały łańcuch górski na południe od morza obłożyć aresztem. Ale teraz dopiero wyłaniają się najróżniejsze trudności. Są obcokrajowcami, a przeto prawo zabrania im kupna bezpośredniego. Wiedzą o tym i posiadają już odpowiednie do tego zabezpieczenie. Co się tyczy owej południowej części gór — już sprzedana, a o tym nie wiedzieli.

— Sprzedana? — pytali przerażeni.

— Dawno już, przed wielu laty.

— Kto kupił?

— Geissler.

— Co za Geissler? Ach ten?!

— Tak, rząd sprzedał mu — rzekł sołtys. — A ponieważ są to tylko nagie skały, przeto nabył je za bezcen.

— Ależ do diaska, co to za jeden ów Geissler, o którym co chwila słyszymy? Gdzie on?

— Bóg raczy wiedzieć, my nie wiemy...

Trzeba więc było posłać nową sztafetę do Szwecji i starać się odszukać Geisslera. Tymczasem jednak należało zwolnić część robotników.

Teraz też i Gustaw przyciągnął na Sellanrå; na plecach przydźwigał cały swój dobytek i rzekł:

— Oto jestem!

Tak jest, Gustaw porzucił kopalnię, czyli innymi słowy zeszłej niedzieli wyraził się zbyt otwarcie o górze miedzianej, doszło to do uszu sztygara i inżyniera i Gustawowi dano terminatkę. Szczęśliwej drogi! Zda się jednak, że terminatka była mu na rękę; teraz bowiem, idąc do Sellanrå, uwolnił się od wszelakich podejrzeń. Natychmiast też znalazł robotę przy budowie stajni.

Stajnia rośnie, gdy zaś po kilku dniach przybył tu jeszcze jeden robotnik z kopalni, wtedy była już prawie pewność, że na jesieni stajnia będzie gotowa.

Ale z gór nadciągali robotnicy jeden po drugim — wszystkim dano terminatkę i wszyscy też wracali do Szwecji. Sztolnia doświadczalna ma być lada dzień zamknięta. Cień smutku zamroczył całą wieś w dolinie; ano, ludziska byli głupi, nie mogli zrozumieć, że sztolnia doświadczalna to sztolnia na próbę tylko. Zniechęcenie i złe przeczucia ogarnęły mieszkańców wsi, pieniądź stawał się coraz trudniejszy do zdobycia, płace obniżono, faktoria na Storborgu opustoszała... A przecież tak ładnie wszystko się zapowiadało, Aronsen sprawił sobie dopiero co wysoki maszt i sztandar okazały, dla sań swych kupił na

¹⁶²perć — ścieżka w górach. [przypis edytorski]

zimę wspaniałą skórę z białego niedźwiedzia, a całą rodzinę zaopatrzył w najmodniejsze garnitury i kostiumy.

Ale były to tylko drobiazgi, nie brakło i wypadków ważnych: hen, wysoko, pomiędzy Måneland a Sellanrå dwaj nowi osadnicy nabyli dla siebie karczowiska. Zdarzenie nie było jakie! Urządzili sobie gammy, trzebili i osuszali bagna; byli pilni i w krótkim czasie wiele zdziałali. Przez całe lato zaopatrywali się w środki żywnościowe w Storborgu, gdy jednak ostatnim razem tam zeszli, nie znaleźli prawie nic. Co Aronsenowi po towarach, skoro kopalnia zamknięta? Tak, towarów nie miał już prawie wcale, miał tylko pieniądze. On w całej okolicy był może najbardziej zniechęcony, przeliczył się w swych rachubach. Gdy mu zaś doradzano, żeby zabrał się do uprawy gruntów, odparł:

— Co, grunt uprawiać? Nie, nie po tośmy tu przyszli...

Ostatecznie Aronsen jednak postanowił przekonać się osobiście, jak stoją sprawy kopalni. Było to w niedzielę. Po drodze wstąpił do Sellanrå po Izaka; ale odkąd kopalnia była w ruchu, Izak ani krokiem nie ruszył się poza Sellanrå, na swej hali czuł się najlepiej. Inger wmieszała się do rozmowy:

— Idźże, skoro cię Aronsen zaprasza — rzekła.

Patrzajcie, Inger nie ma widocznie nic przeciw temu, żeby Izak przeszedł się w góry! Była niedziela, widocznie pragnęła pozbyć się go bodaj na kilka godzin. Tak tedy poszedł z Aronsenem.

Na grzbiecie góry miedzianej ujrzeli nowości wszelkiego rodzaju; Izakowi trudno było połapać się w tym nowym mieście baraków, wozowni i jam otwartych. Pan inżynier oprowadził ich osobiście. Poczciwy inżynier nie łudził się zbyt nadzieją, ale mimo to usiłował przeciwdziałać przygnębieniu, jakie legło na całej okolicy i wsi. I oto nadarzyła się dobra sposobność, gdy zjawili się na miejscu w swych własnych osobach margrabia z Sellanrå i kupiec ze Storborgu.

Inżynier objaśniał zawartość gładów: piryty¹⁶³, piryty miedziorodny zawierający miedź, żelazo i siarkę. Tak, on zna górę na wylot, wie wszystko, co ona we wnętrznościach swych ukrywa, wie, że nawet trochę srebra zawiera i złota. Nie otwiera się kopalni, jeżeli nie jest się pewnym swego!...

— I czy wszystko to ma teraz ustać? — spytał Aronsen.

— Ustać? — zdumiał się inżynier. — Byłaby to dla Ameryki Południowej zaiste niedźwiedzia przysługa. Sztolnię doświadczalną zamyka się obecnie na jakiś czas, ponieważ przekonano się dostatecznie o wartości góry. Teraz zbuduje się kolej napowietrzną, a potem dopiero rozpocznie się właściwa eksploatacja góry w kierunku południowym. Czy Izakowi nie wiadome przypadkiem, gdzie znajduje się Geissler?

— Nie!

— Ho, ho, odnajdą go na pewno. A wtedy przystąpimy do roboty całą parą. Ustać? Nie ma mowy o tym!

Całkowitą uwagę Izaka pochłonęła pewna nieduża maszynka, wprowadzana w ruch przy pomocy deptania; od razu poznał, że to mała kuźnia przenośna.

— Co kosztuje taka maszyna? — spytał Izak.

— Ta? Kuźnia polna? O, niewiele

Mają takich więcej, ale to drobiazgi w porównaniu z innymi maszynami i urządzeniami, zbudowanymi na dole nad morzem, o, są tam maszyny olbrzymie, jakich nigdy jeszcze z pewnością nie widziano. Rozumie się, że takich przepaści i wysoczyzny nie można opanować przy pomocy szpilek i gwoździ, ha, ha, ha...

Idą dalej i inżynier opowiada, że w najbliższych dniach zamyśla wyjechać do Szwecji.

— Ale pan wróci? — spytał Aronsen.

— Oczywiście!

Izak manewrował tak, aby jeszcze raz zatrzymać się przy owej kuźni.

— Ile taka kuźnia przenośna może kosztować? — spytał.

— Ile?

Tego inżynier doprawdy już nie pamięta. Coś niecoś zapewne kosztuje, ale przy tak olbrzymim przedsięwzięciu nie wchodzi to w ogóle w rachubę. Nieoceniony ten pan inżynier, niewesoło mu było na duszy, ale do ostatniej chwili zachował pozór człowieka

¹⁶³piryt — minerał żelaza z gromady siarczków, występujący w różnych rodzajach skał. [przypis edytorski]

niezachwianego i najswobodniejszego. Czy kuźnia taka Izakowi potrzebna? Może ją wziąć spokojnie. Jego towarzystwo może sobie pozwolić na taki prezent!

W godzinę później Izak i Aronsen wędrują do domu. Aronsen uspokoił się, pokrzepiony szczyptą nadziei, Izak zaś dźwiga na plecach skarb cenny. O, był on przyzwyczajony do noszenia ciężarów! Inżynier zaofiarował się, że następnego dnia przyśle mu kuźnię przez robotnika, ale Izak podziękował i oświadczył, że to zbyt cenne. Radował się myślą, jaki podziw wzbudzi wśród swoich, gdy powróci z kuźnią na plecach!

Ale nikt inny, jeno sam Izak miał się zdziwić, wróciwszy do domu.

Oto na podwórzu zajechał był właśnie wóz z niezwykłym transportem. Jakiś chłop ze wsi furmanił, a obok wozu kroczył jakiś pan, na którego widok Izak stanął jak wryty: był to pan Geissler.

V

Izak miałby jeszcze niejedną powód do zdziwienia, ale na szczęście nie umiał myśleć o kilku rzeczach naraz.

— Gdzie Inger? — spytał przechodząc koło kuchni, ponieważ myślał tylko o tym, jakby najlepiej ugościć Geisslera.

Inger? Była w żurawinie na jagodach, poszła tam z Gustawem zaraz po odejściu Izaka do kopalni. Taka starucha zakochała się po same uszy i szalała; miało się jej na jesień już i zimę, a czuła w sobie gorącość lata, serce jej kwitło.

— Chodź ze mną, gdzie rosną żurawiny — rzekł Gustaw.

Któż mógłby się temu oprzeć? Uciekła do swej komory i przez kilka minut była poważna, a nawet nabożnie skupiona, ale Gustaw stał w drugiej izbie i czekał, świat kusił ją i ciągnął za nogi. Przeto przyczesła włosy, obejrzała się z wszystkich stron w zwierciadle i wyszła. Tak, kto by inaczej postąpił na jej miejscu?! Kobiety nie umieją odróżnić mężczyzny jednego od drugiego, nie zawsze co prawda, ale i nierzadko.

Idą więc na jagody i zrywają, zrywają żurawiny, z jednego pagórka włączają na drugi, ona spódnice unosi wysoko i odsłania swe łydki. Cisza dokoła, śnieguła nie syczy złowrogo, ponieważ śniegułatka wyrosły już na samodzielne śniegułki; na każdym kroku wabi i nęci śliczna, miękka murawa, osłonięta gęstą krzewiną. Nie minęła jeszcze godzina, jak wyszli z domu, a już wypoczywają.

— Toś ty taki! — zauważyła Inger.

Ach, ona jest taka słaba wobec niego, uśmiecha się wstydliwie, bo on bardzo w niej rozmiłowany. Ach, miłość, jakże ona słodka i gorzka zarazem! Dobry ton nakazuje bronić się. Niewątpliwie, aby w końcu ulec. Inger jest w nim zakochana, bardzo, na zabój. Jest dla niego dobra i pragnie go uszczęśliwić. W starym piecu diabeł pali.

— Gdy ukończycie stajnię, pójdziesz sobie — rzekła markotnie.

Nie, nie pójdziesz. Oczywiście, kiedyś będzie musiał rozstać się z nią, ale nie zaraz w pierwszym tygodniu.

— Nie pójdziemy już do domu? — spytała.

— Nie.

Zbierają jagody. Po chwili znajdują się znowu na miękkiej murawie wśród gęstych zarośli i Inger szepnęła:

— Gustawie, tyś chyba zwariował!

Godziny mijają, teraz snadź zasnęli w zaroślach. Zasnęli? Doskonale, pod gołym niebem wśród puszczy, w raju! Nagle Inger zrywa się, nasłuchuje i mówi:

— Wydaje mi się, że słyszę na drodze turkot wozu...

Słońce znika powoli; czarne cienie kładą się już na pagórki, gdy zakochani ruszyli w drogę powrotną. Przechodzą obok wielu miejsc zacisznych, osłoniętych bujnymi krzewami, Gustaw widzi je i Inger widzi, ale ona utrzymuje z uporem, że ktoś jedzie przed nimi. Do domu jednak jeszcze daleko, czy więc możliwe to, aby tak długo oprzeć się mogła kuszeniom tego szaleńca? Inger jest bardzo słaba, uśmiecha się tylko i mówi:

— Nie, jak żyję, nie widziałam takiego skrzata!

Inger ukazuje się w obejściu sama, bez Gustawa. Całe szczęście, że teraz przyszła, gdyby choć o minutę później nadeszła, mogłoby być jeszcze gorzej. Izak bowiem z Aronsenem wkroczyli dopiero na podwórze i wóz jakiś zatrzymał się w tejże chwili przed drzwiami.

Starość, Miłość

Miłość

— Dzień dobry! — zawołał Geissler i powitał następnie Inger.

Oto stoją wszyscy i spoglądają na siebie. Lepiej stać się nie mogło.

Geissler powrócił! Przez kilka lat nie pokazał się tu ani razu, teraz jednak wrócił, postarzały nieco i posiwiasty, ale żwawy jak zwykle. Ubrany wytwornie, ma białą kamizelkę i złoty łańcuszek. Licho wie, co on za jeden!

Czyżby otrzymał wiadomość, że z górą miedzianą na coś się zanoszą i dlatego przybył zbadać sprawę na miejscu? Mniejsza z tym, dobrze, że jest! Byстрыm okiem obrzuca budynki i pola i spostrzega wielkie zmiany, margrabia rozszerzył znacznie swoje państwo. Geissler kiwa z zadowoleniem.

— Co ty tam znowu dźwigasz? — spytał Izaka. — Przecie to ciężar dobry dla konia, ale nie dla człowieka.

— Kuźnia polowa — objaśnia Izak. — Na osiedlu nieraz mi się przyda — mówi i wciąż jeszcze nazywa Sellanrą osiedlem.

— Skąd ją wyrwałeś?

— Inżynier z góry miedzianej ofiarował mi ją.

— Co, inżynier jest tam na górze? — spytał Geissler zdziwiony. — Słyszałem, że sprawiłeś sobie żniwiarkę, dlatego przywiozłem ci „tygrysa”, rozumiesz, grabie konne do siana i zboża — rzekł i wskazał ręką na wóz.

Stała tam istotnie maszyna, pomalowana na czerwono i niebiesko, zaopatrzona w olbrzymie pazury stalowe, prawdziwe grabie konne! Znieśli maszynę i oglądali ją z wszystkich stron, potem Izak zaprzął się i próbował jej na gołej ziemi. Otworzył głowę jak wrota. Same cuda na Sellanrą.

Maszyna

Mówili o górze miedzianej i o kopalni.

— Bardzo się o pana dopytywali — rzekł Izak.

— Kto się dopytywał?

— Inżynier i wszyscy panowie. Powiedzieli, że muszą pana koniecznie odnaleźć.

Ach, Izak zanadto może przesadzał, nie powinien był tego robić ze względu na samego Geisslera.

— Więc jestem, jeżeli mnie potrzebują, niech się do mnie zgłoszą — rzekł Geissler.

Następnego dnia wrócili z Szwecji obaj kurierzy, a wkrótce potem przycwałowali dwaj właściciele kopalni. Na Sellanrą zatrzymali się po to tylko, żeby poinformować się o dalszą drogę. Byli wyniośli, dumni i udawali, że Geisslera wcale nie widzą, jakkolwiek stał tuż obok. Panowie pojechali natychmiast, a kurierzy z końmi jucznymi zatrzymali się na godzinny popas; gawędząc z murarzami, dowiedzieli się, że starszy pan w białej kamizelce to Geissler. Pojechali. Ale tego samego jeszcze wieczoru wrócił jeden z nich z poleceniem ustnym, aby Geissler stawiał się jak najprędzej u panów na górze w kopalni.

— Powiedz, że jeżeli sobie życzą, mogą mnie spotkać tu, we dworze margrabiego — rzekł Geissler.

Wspaniała był ten Geissler w swej wielkości, był snadź przeświadczony, że cały świat ma w swej kieszeni, albo też może czuł się dotknięty poleceniem ustnym? Panowie, otrzymawszy jego odpowiedź, radzi nieradzi zmuszeni byli potrudzić się do Sellanrą. Towarzyszyli im inżynier i dwaj rzeczoznawcy.

Długo, bardzo długo czekali, zanim ukazał się Geissler. Nie rokowało to nic dobrego. Wystąpił niezwykle wyniośle.

Panowie byli nad wyraz uprzejmi i przepaszali Geisslera, że ośmielili się wczoraj przysłać po niego, ale bardzo byli zmęczeni całodzienną podróżą. Geissler okazał się nie mniej uprzejmy i twierdził, że i on był bardzo strudzony podróżą, inaczej bowiem byłby przyszedł do nich niewątpliwie. Tak, lecz teraz do rzeczy: czy chciałby sprzedać skały, położone na południowej stronie morza?

— Czy występujecie panowie w charakterze nabywców czy agentów?

Była to oczywista złośliwość ze strony Geisslera, ponieważ wiedział przecież, kogo ma przed sobą.

— Jaka cena? — pytali.

— Tak, jaka cena? — zastanawiał się Geissler. — Dwa miliony — rzekł po chwili.

— Aha! — rzekli panowie i uśmiechnęli się.

Geissler wszakże nie uśmiechnął się.

Inżynier i rzeczoznawcy zbadali góry, wywiercili i rozsadzili skały tu i ówdzie, i zdawali obecnie sprawę z swych dochodzeń. Na ugrupowanie się pokładów miedzi wpłynęły erupcje; pokłady są bardzo nierówne, według dotychczasowych badań największe pokłady znajdują się na samej granicy pomiędzy terytorium Spółki a Geisslera, na dalszym zaś terytorium słabną, a na ostatnim półmilionowym kawałku tracą w ogóle na wartości.

Sprawozdaniu temu przysłuchiwał się Geissler z największą obojętnością. Dobył z kieszeni kilka dokumentów, w których zatopił całą uwagę, nie były to jednak mapy i Bóg jeden wie, czy w ogóle dotyczyły góry miedzianej.

— Wiercenia były widocznie niedostatecznie głębokie — zauważył, jakby czytał z swych dokumentów.

Panowie przyznali to bez protestu, a jeno inżynier się zdziwił, skąd Geissler to wie, skoro w ogóle żadnych nie przeprowadził wierceń. W odpowiedzi Geissler uśmiechnął się tajemniczo, jakby istotnie przeprowadził był wiercenia na kilkaset metrów w głąb, zasypawszy następnie skrupulatnie wszystkie otwory wiertnicze.

Targi toczyły się do południa, po czym panowie spojrzeli na zegarki. Geissler ustąpił w swych pretensjach do ćwierć miliona, lecz o dalszych ustępstwach słyszeć nie chciał. Tak, czuł się snadź dotknięty stanowiskiem tych panów; wychodzili bowiem z założenia, że na sprzedaży mu zależy, że jest do niej zmuszony brakiem pieniędzy — ho, ho, mylili się, i to bardzo!

— Piętnaście do dwudziestu tysięcy to przecież duże pieniądze — dowodzili panowie.

— Owszem — odparł Geissler — dla tego, kto ich potrzebuje, ale dwieście pięćdziesiąt tysięcy to pieniądze większe.

Wtedy jeden z panów sięgnął po argument uczuciowy:

— Ach, byłbym o mały włos zapomniał: mamy dla pana ukłony i pozdrowienia od rodziny pańskiej żony ze Szwecji.

— Dziękuję! — bąknął Geissler.

— A propos! — pospieszył inny z panów widząc, że argument poprzedni zawiódł. — Ćwierć miliona! Przecież idzie tu nie o pokłady złota, lecz o piryty miedziorodny.

— Tak, o pokłady piryty miedziorodnego — skinął Geissler.

Wówczas naprawdę zniecierpliwili się panowie, pięć rąk sięgnęło po zegarki, nie było czasu na dalsze żarty, już południe. Panowie odrzucili propozycję obiadowania na Sellanrå, siedli na konie i pojechali do kopalni.

Tak minęły pierwsze układy.

Geissler pozostał sam.

Nad czym on się zastanawiał? Może nad niczym, może było mu wszystko obojętne? O nie, myśl jego pracowała, jeno że się z tym nie zdradzał. Po obiedzie rzekł do Izaka:

— Zamierzam właśnie przejść się w moje góry i zabrać z sobą Sywerta.

Izak zgodził się bez wahania.

— Nie, on ma co innego do roboty.

— Tak, on natychmiast z panem pójdzie — oświadczył Izak i odwołał Sywerta od murarki.

Ale Geissler wznosił rękę i zdecydował stanowczo:

— Nie!

Wąłęsał się po całym podwórzcu i gospodarstwie, kilka razy zaszedł do budującej się stajni i gawędził żywo z robotnikami. Spokój jego był imponujący.

Fortuna uśmiechała się do niego w sposób zgoła nieoczekiwany. Sprzedawszy krewniakom swej żony małą górę, nabył co tchu resztę łańcucha górskiego. Czemu to uczynił? Czy krewniaków chciał zagniewać najbliższym swym sąsiedztwem? Nabył na własność wielki kompleks skalisty, ponieważ ofiarowano mu go prawie za darmo. A więc przypadek zrządził, że stał się królem gór.

Sprzedana częśćka przechodziła w Szwecji z ręki do ręki i o jej losach Geissler stale się informował. Pierwsi nabywcy zakupili ją oczywiście w sposób niesłychanie głupi; rada rodzinna, nie mając o tym najmniejszego pojęcia, nie zabezpieczyła sobie prawa pierwokupu sąsiedniego terenu, a myślała jeno o pozbyciu się z karku Geisslera. Lecz terazniejsi właściciele okazali się nie mniejszymi głuptasami; bogacze pozwolili sobie na

Interes, Pieniądz

żart i podczas jakiejś libacji kupili sobie „górkę”. Gdy jednak wzniesli na niej pierwszą sztolnię i sprawa stała się poważna, znaleźli się przed wysokim twardym murem, na którym widniało jedno: Geissler.

— Dzieciaki! — rzucił Geissler z swej wysoczyzny, butny i hardy.

Próbowali oblać go zimną wodą, sądzili, że mają do czynienia z potrzebującym i dlatego gadali coś o piętnastu do dwudziestu tysiącach. Dzieciaki! Nie znali Geisslera! Oto on — niech wiedzą!

Tego dnia panowie zatrzymali się w kopalni i do Geisslera nie wrócili, spekulowali na zwłokę. Wrócili jednak nazajutrz w towarzystwie luzaków¹⁶⁴, zabranych do podróży powrotnej do Szwecji. Ale wtedy właśnie nie było w domu Geisslera.

Co, Geissler wyszedł?

Nie pozostało im nic innego, jak zsiąść z koni i czekać. Dokąd poszedł? — Nikt nie umiał powiedzieć; wiadano tylko, że zajmuje go wszystko, co dzieje się na Sellanrå, widziano go tu i tam, a ostatnio zauważono go przy tartaku. Rozesłano na wszystkie strony gońców, ale znajdował się snadź bardzo daleko, skoro na wszelkie wołania nie dawał odpowiedzi. Panowie spojrzeli na zegarek i strasznie się gniewali i wykrzykiwali:

— Nie pozwolimy robić z siebie błaznów! Jego rzeczą czekać na nas, skoro ma coś do sprzedania!

O, ale szybko ochłonęli i czekali, ba, nawet dowcipkowali, że wypadnie im tu nocować i czekać może aż do sądnego dnia...

Nareszcie przyszedł Geissler. Obszedł cały majątek i wraca prosto z obory letniej.

— Zdaje mi się, że i obora letnia za mała już dla twego dochowku — rzekł do Izaka. — Ile masz obecnie bydła na pastwisku?

Tak tylko on umiał mówić, nie zwracając uwagi na obecność panów stojących z zegarkami w ręku. Geissler miał dziwnie ogniste rumieńce jakby od alkoholu.

— Och, a tom się zgrzał! — rzekł.

— Spodziewaliśmy się, że pan zaczeka na nas — powiedział jeden z panów.

— Szkoda, że panowie nie uwiadomili mnie przedtem, byłbym oczekiwał panów z całą pewnością.

A jakże ze sprawą transakcji? Czy Geissler zgodzi się na ich uczciwą ofertę? Czy takie piętnaście do dwudziestu tysięcy często wpadają mu do kieszeni? Ten ostatni przytyk odczuł Geissler jako nowy kamień obrazy. Tak przemawiać do niego nie należy! I panowie zapewne nie byłiby do niego w ten sposób przemówili, gdyby nie ich złość z powodu czekania. I Geissler zapewne nie byłby tak gwałtownie pobladł, gdyby poprzednio nie był na osobności, gdzie tak poczerwieniał. Teraz zbładł i rzekł chłodno:

— Ja nie wchodzę w to, ile panowie mogą zapłacić, wiem tylko, ile żądam. Pragnąłbym, abyście panowie zaprzestali już tej niepotrzebnej gadaniny. Cena dziś jest ta sama, co wczoraj.

— Čwierć miliona koron?

— Tak.

Panowie dosiedli swych koni.

— Jeszcze słowo, Geissler — rzekł jeden z nich. — Damy dwadzieścia pięć tysięcy.

— Jak widzę, pan w dalszym ciągu żartuje — odparł Geissler. — Wobec tego proponuję panom całkiem na serio coś innego: sprzedajcie mi waszą część góry.

— Tak, nad tym można by się zastanowić — odpowiedzieli panowie, zaskoczeni nieco tą propozycją.

— Chętnie ją odkupię — oświadczył Geissler.

Och, ten Geissler! Pełno ludzi stało dokoła niego, wszyscy mieszkańcy Sellanrå i murarze, i panowie, i kurierzy, wszyscy słyszeli jego słowa. Co on wygadywał? Czyż miał tyle pieniędzy? Któż zdoła go przeniknąć? W każdym razie dopiął swego: wywołał wśród panów małą rewolucję. Czy chciał ich wywieść w pole? Czy mniemał, że takim postępowaniem góra jego zyska na wartości?

Panowie zaczęli rzeczywiście naradzać się ponownie, zeskoczyli z koni i rozprawiali szeptem. I wtedy wmieszał się inżynier i oświadczył stanowczo:

— Nie sprzedamy.

¹⁶⁴luzak — niezaprężony, idący luzem koń. [przypis edytorski]

— Nie? — spytali panowie.

— Nie!

Jeszcze chwilę szeptali zawzięcie, potem znowu wsiedli na konie, a jeden z panów zawołał:

— Dwadzieścia pięć tysięcy!

Geissler nic na to nie odpowiedział, odwrócił się na pięcie i poszedł do murarzy.

I tak minęło ostatnie spotkanie.

Wynik jej zdawał się być Geisslerowi najzupełniej obojętny. Jak zwykle, wałęsał się po gospodarstwie, zachodził tu i tam, gadał o tym i owym. Teraz oto zaprzętnęło jego uwagę pokrywanie stajni potężnymi belkami dachowymi. Miała być wykończona jeszcze w tym tygodniu, kiedyś później zbudują jeszcze nad stajnią strych na siano.

Sywert nie pracował dziś na budowie — Izak nakazał mu, żeby był gotów do towarzyszenia Geisslerowi w góry. Zbyteczna przezorność, Geissler bowiem pierwotnego swego zamiaru zaniechał albo też zgola o nim zapomniał. Zabrawszy od Inger trochę żywności na drogę, powędrował nad wieczorem na dół ku wsi.

Po drodze rozmawiał z kolonistami obu nowych osad, położonych poniżej Sellanrå i zaszedł aż do Måneland, aby przekonać się o stanie gospodarstwa Ströma. Nie zdziałał on w ostatnich latach tyle co Izak, ale wykarczował przecież spory szmat ziemi. Geissler i tym osiedlem bardzo się zainteresował.

— Czy konia masz?

— Mam.

— Na dole, w stronach południowych, mam żniwiarkę i pług dwuskibowy, mogę ci je przysłać.

— Co? — zawołał Aksel i nie mogąc sobie wyobrazić podobnej szczodrości, myślał o zapłacie.

— Podaruję ci je — rzekł Geissler.

— To niemożliwe! — zauważył Aksel.

— Za to jednak żądam, żebyś swym dwóm nowym sąsiadom pomagał przy karczowaniu gruntu.

— O, nie poskąpię im swej pomocy! — zapewnił Aksel skwapliwie, ale w głowie mu się to wszystko nie chciało pomieścić.

— To pan ma na południu posiadłość ziemską i maszyny? — spytał.

— Ach, ja mam różności...

Czy miał naprawdę? Być może, że niczego nie posiadał, ale to już był taki jego sposób. Puszyl się. Ową żniwiarkę i pług mógł być przecież kupić w pierwszym lepszym mieście.

Długo potem jeszcze rozmawiał z Akselem o osadnikach w okolicy, o faktorii na Storborgu, o bracie Aksela, który ożenił się niedawno i teraz osusza pilnie grzęzawiska na Bredablik. Aksel uskarżał się na brak odpowiedniej dziewczki; posługuje się jeno starym babskiem, któremu na imię Olina; pomoc jej niewiele warta, ale zawsze lepszy rydz niż nic. Latem musiał być przez jakiś czas pracować dzień i noc, tyle do roboty, a pomocy znikąd. Dziewkę jakąś byłby może dostał ze wsi rodzinnej, z Helgeland, ale w takim razie oprócz zasług musiałby jej zwrócić kosztą podróży. A on i tak już ma dosyć wydatków. Aksel opowiedział następnie, że przejął dozór nad linią telegraficzną, czego jednak obecnie do pewnego stopnia żałuje.

— To jest coś dla takich jak Brede — zauważył Geissler.

— Tak, to prawda — przyznał Aksel. — Ale zależało mi na pieniądzach.

— A ile masz krów? — spytał Geissler.

— Cztery. I byczka; musiałem go kupić, bo do byczka na Sellanrå jest mi za daleko.

Ale Aksel miał jeszcze jedno zmartwienie, o wiele większe, co do którego pragnął zasięgnąć rady Geisslera. Przeciwno Barbro wytoczono śledztwo. Tak, wszystko się oczywiście wydało. Znajdowała się w błogosławionym stanie, ale potem tak urządziła, że wyjechała stąd bez dziecka. Jak się to stało? Geissler zmiarkowawszy, o co chodzi, rzekł krótko:

— Chodź ze mną!

Zaprowadził Aksela daleko od zagrody. Geissler przybrał minę urzędową, jakby co najmniej był sędzią śledczym. Usiedli na skraju lasu, po czym Geissler rzekł:

— Tak, teraz opowiadaj!

Ano, musiało się wszystko wydać, jakże mogło być inaczej! Pustkowie nie było obecnie już tą krainą dawną, bezludną, a oprócz tego przyszła Olina. Co Olina miała z tym wspólnego? Och, ta! I na dobytek Brede się z nią pokłócił. Teraz trudna z nią sprawa, wściekle trudna; mieszkała na miejscu i zrazu domyślała się czegoś. Znowu coś wietrzyła, a do tego ona jedyna! Właściwie za stara już była na chodzenie koło gospodarstwa domowego i oprzet bydła; powinna była wyrzec się tego, ale było to możliwe? Czyż mogła była porzucić spokojnie zagrodę, w której tak wielka ukrywała się tajemnica? Przez całą zimę harowała ponad siły, a krzepiła ją tylko nadzieja, że coś brzydkiego będzie mogła dowieść córce Bredego. Zaledwie rozpoczęły się pierwsze roztopy wiosenne, a już zaczęła myszkować. Wnet też natknęła się na mały pagórek nad potokiem i natychmiast poznała, że nakryty jest kawałkiem darni. Szczęście sprzyjało jej: któregoś dnia podpatrzyła Aksela, jak mogiłkę przydeptywał i z ziemią równał. A więc Aksel również o tym wiedział. Olina potrząsnęła swą siwą głową, tak, teraz nadszedł czas jej działania.

Czy chciałaby oszczędzić Aksela? Aksel nie był tak zły, aby nie można było wytrzymać u niego, ale miał jedną brzydką wadę: był zbyt dokładny i liczył swe sery, i wiedział, ile pasem wełny posiada. Olina czuła się skępowana. A czy po uratowaniu mu życia okazał wdzięczność i hojność? Nie, przeciwnie, obstawał, że to nie jej wyłączna zasługa. Owszem, przyznawał, że gdyby nie Olina, byłby owej mocy zamarzł, ale jedynie przecież przy pomocy Bredego dostał się do domu! Takie było podziękowanie! Olina mniemała, że to prawdziwa obraza boska! Czy Aksel nie powinien był wyprowadzić z obórki jakiej krowy i powiedzieć: „To twoja krowa, Olino!”. Ale nic z tego.

Teraz idzie jeno o to, czy cała ta chryja nie będzie kosztowała go więcej niż oszczędzona na Olinie krowa...

Nastąpiło lato i Olina czatowała na każdego zabłąkanego tu wędrowca, zagadywała go i szeptem zwierzała się ze swej tajemnicy.

— Ale cicho, pst, nikomu ani słowa! — nakazywała.

Olina była także kilka razy na dole we wsi. I oto w całej okolicy krążyły i furkotały najróżniejsze pogłoski, tajemnicze i potworne, które wtłaczały się niby mgłą wnikliwa do uszu każdego; nawet dzieci, uczęszczające do szkoły na Bredablik, poczęły tajemniczo szeptać coś między sobą. W końcu i sołtys musiał się ruszyć, by złożyć raport władzy przełożonej. Pewnego dnia przyszedł on do Måneland z swym pisarzem i badał, i pisał, i znowu poszedł. Zaledwie jednak minęły trzy tygodnie, przyszedł ponownie i znowu badał, i znowu pisał. Ale tym razem rozkopał mały zielony pagóreczek nad potokiem i wydobył z niego zwłoki dziecka.

Podczas tej czynności wystąpiła w całej pełni niezbędność pomocy Oliny. W nagrodę za to musiał udzielić wyjaśnień na rozliczne jej zapytania i wtedy też powiedział pomiędzy innymi, że owszem, można by jeszcze pogadać o tym, czy nie należałoby zaarrestować Aksela. I wtedy Olina załamała ręce nad tym bezceństwem, w jakie pozwoliła się wciągnąć, i pragnęła jednego tylko, żeby jak najprędzej mogła się wydostać z tego błota!

— A co z nią się stanie, z Barbro? — zapytała szeptem.

— Osadzona już w więzieniu bergeńskim — odparł sołtys. — Ręka sprawiedliwości spoczęła na niej — dodał, po czym zabrał ze sobą zwłoki i poszedł.

Nic dziwnego przeto, że Aksel obecnie srodze się niepokoił. Zeznał przed sołtysem wszystko, niczego nie zataił. Dziecko było jego dzieckiem i grób dla niego wykopał własnoręcznie. I teraz wypytywał się Geisslera, co on o tym myśli i co go czeka. Czy zawezwą go do miasta, czy o tym myśli i co go czeka. Czy zawezwą go do miasta, czy czeka go tam przesłuchanie o wiele gorsze i jakieś inne przykrości.

Ale Geissler nie był już ten sam co przedtem. Szczegółowa, rozwlekła opowieść Aksela zmęczyła go, ogarnęła go senność. A może to nie wina opowieści, może po prostu opuściła go energia, jaka wybuchła w nim dzisiejszego ranka? Spojrzał na zegarek, wstał i rzekł:

— Sprawa wymaga gruntownego namysłu. Zobaczmy. Przed wyjazdem jeszcze otrzymasz moją odpowiedź.

I poszedł.

Nad wieczorem wrócił do Sellanrå, zjadł coś niecoś i udał się na spoczynek. Spał długo, aż do południa, spał i wypoczywał, wyczerpany zapewne wczorajszym spotkaniem z właścicielami kopalni. Po dwóch dniach dopiero przysposobił się do wyjazdu. Wtedy

Zbrodnia

stał się wspaniałomyślny i wielki, pozostawił sowitą zapłatę za gościnę, a małej Rebecce podarował nową, srebrną koronówkę.

Przy pożegnaniu wyłożył Izakowi obszernie swoją rzecz:

— Nic nie szkodzi, że nie przyszło teraz do sprzedaży, mam czas. A tymczasem unieruchomię im całe przedsiębiorstwo. Zachowali się jak smarkacze, myśleli, że będą mogli mnie wyzyskać. Słyszałeś, dawali dwadzieścia pięć tysięcy koron?

— Tak — rzekł Izak.

— Dwadzieścia pięć tysięcy! — powtórzył Geissler z druzgocącą pogardą. — Dla was tu w górach nie będzie to krzywda, gdy uniemożliwię im dalszą eksploatację, a nawet przeciwnie, chłopci tym rzetelniej zabiorą się tu do uprawy swych gruntów. Ale tam na dole, we wsi, tam na pewno odczują zamknięcie kopalni. Latem przecie zarobili masę pieniędzy, starczyło im na stroje i łakocie, nauczyli się zbytkować; teraz skończą się dla nich dobre czasy. Tak, tak, gdyby nie byli mnie wygryźli, inaczej by się dziś mieli. Teraz ja tu pan!...

Co prawda jednak nie bardzo wyglądał w tej chwili na wielmożnego pana; odchodząc, niósł w ręce zawiniątko z żywnością, a kamizelka jego pozostawiała dużo do życzenia. Kto zdoła go przeniknąć? Wracał jako król pasma gór, jako właściciel skarbów nieprzebranych, ale ukrytych w skalnej powłoce. Poza tym był może goły jak święty turecki!

Geissler nie zapomniał wstąpić do Aksela.

— Myślałem o twojej sprawie, ale teraz, gdy śledztwo w toku, nie można nic zrobić. Dostaniesz wezwanie na przesłuchanie i i będziesz musiał złożyć zeznanie...

Była to pospolita gadanina, nic ponadto. Geissler bowiem prawdopodobnie wcale o sprawie tej nie myślał. Aksel stał przed nim niepocieszony. Na koniec jednak Geissler napuszył się, przybrał znowu minę mocarza, brwi zmarszczył i rzekł zamyślony:

— Czy mógłbym w tym czasie przyjechać do miasta i być obecny na rozprawie?

— Ach, gdyby to było możliwe! — zawołał Aksel.

I po chwili już Geissler zadecydował:

— Zobaczę, czy będę miał czas; mam wprowadzić dużo do czynienia na południu, ale zobaczę, czy nie mógłbym się urwać na kilka dni. Tymczasem bądź zdrow! A maszyny przyślę ci...

I poszedł.

Ciekawa rzecz, czy była to ostatnia jego podróż w te strony?

VI

Ostatnia partia robotników z góry miedzianej znajduje się w drodze do swych domów rodzinnych; kopalnię zamknięto — góra zamilkła i opustoszała.

I stajnia murowana na Sellanrå również gotowa. Na zimę tymczasem pokryto ją dachem z darni. Spory budynek podzielono wewnątrz na kilka mniejszych, jasnych izb, w pośrodku olbrzymi salon, a po obu końcach wielkie gabinety, tak zupełnie jakby na mieszkanie dla ludzi. Niegdyś mieszkał tu Izak z swymi kozami w nędznej gammie; obecnie zaś ani śladu gammy na całym Sellanrå.

W stajni urządziła się teraz przedziały, drewniane przepierzenia i koryta. Ażeby jak najszybciej się z tym uporać, zatrzymano jeszcze obu murarzy. Ale Gustaw twierdzi, iż na ciesiołce się nie zna i dlatego chce Sellanrå opuścić. Przy murarce Gustaw okazał się pracownikiem niezwykle dzielnym, a belki i kamienie dźwigał niby niedźwiedź. Wieczorami zaś wszystkich bawił; grał na drumli i nadto pomagał kobietom nosić wodę. Teraz jednak musi wędrować. Nie, nie zna się wcale na ciesiołce, więc musi iść dalej. Tak uparcie obstawał przy swoim, że zdawać się mogło, iż pragnie stąd odejść jak najprędzej.

— Mógłbyś pozostać przynajmniej do jutra rana — rzekła Inger.

Nie, nie ma już roboty dla niego, a zresztą chce się przyłączyć do ostatniej partii powracających robotników.

— Kto pomoże mi teraz przy noszeniu wody? — mówi Inger z żalosnym uśmiechem.

Gustaw pospiesza natychmiast z życzliwą radą i wymienia Hjalmar.

Hjalmar to młodszy z obu murarzy, ale obaj nie byli tak młodzi jak Gustaw i... daleko im do jego dzielności!

— Ach, co tam Hjalmar! — odparła Inger lekceważąco. Lecz nagle myśl jakaś strzeliła jej do głowy i poczęła Gustawa drażnić. — Owszem, Hjalmar nie jest wcale tak zły, a przy tym śpiewa ślicznie jak rzadko kto.

— O, to urodzony bałamut! — zauważył Gustaw, bynajmniej nie rozgniewany.

Ale przez noc mógłby jeszcze pozostać, namawiała Inger.

Nie, bo wtedy utraciłby towarzystwo kamratów.

Inger jest naprawdę smutna, tak, w zbłąkanej swej wierności posuwa się nawet do rozpacz. Niedobra to dla niej sprawa. Zakochana w nim bowiem, zakochana — bez przesady — szczerze i uczciwie. I ucuć swych wcale się nie zapiera, jest kobietą mocną, pełną słabości, krew w niej gra, trawiona żarem namiętności jesiennych... Przysposabia dla Gustawa nieco prowiantów na drogę, a pierś jej faluje i drży niespokojnie od nadmiaru żądz nieokielzanych. Nie zastanawia się nad tym wcale, czy ma prawo do tego lub jakie wyniknąć by mogły następstwa, nie, ona oddaje się całkowicie, bez zastrzeżeń, oszalała chciwością użycia. Izak mógłby ją ponownie unieść aż pod powalę i jeszcze raz grzmotnąć o ziemię — owszem, mimo to nie zdołałaby się pohamować...

Pożądanie

Wychodzi z izby z gotowym zawiniątkiem i wręcza je Gustawowi. Jednocześnie wskazuje stojące obok schodów kadzie w tej myśli, że Gustaw pomoże jej raz jeszcze, po raz ostatni, zanieść je do rzeki. Może zwierzyć się chciała z czegoś przy pożegnaniu na osobności, może chciała dać mu swój złoty pierścionek — Bóg raczy wiedzieć, ona zdolna do wszystkiego. No ale czas skończyć. Gustaw dziękuje za prowiant. „Bądź zdrowa” — mówi. I odchodzi!

A ona pozostała. Pozostała! Stoi w miejscu jakby przykuta, jakby sparaliżowana...

— Hjalmar! — krzyknęła głośno. I było w tym coś z krzyku hardego buntu i coś z krzyku rozpacz.

Gustaw odchodzi...

Jesień. Na wszystkich osadach górskich ta sama robota: wykopywanie ziemniaków, zwożenie zboża, wypuszczanie bydła na pastwiska, plużkowanie ściernisk. Ogółem jest na pustkowiu osiem osad i wszędzie mają ręce pełne roboty, wszędzie spieszą się z jej wykończeniem, ale w faktorii na Storborgu nie mają bydła ani ziemi uprawnej, a tylko ogród posiadają i nic więcej, nawet składu już nie mają, dlatego na Storborgu nie ma robót pilnych.

Na Sellanrå mają w tym roku nowy gatunek okopowizny — ćwikłę pastewną; zieleni się wielkolistni jak bór. A krowy, rycząc, rzucają się na nią chciwie. Dlatego stać tam muszą na straży Poldynka i mała Rebeka, która z prętem w ręku uwija się w podskokach i z niesłabnącym zapalem odpędza precz natrętne krówska. Ojciec pracuje opodal i co pewien czas nadchodzi, dotyka jej nóg i rąk i zapytuje, czy jej nie zimno. Poldynka zaś, która jest już prawie dorosła, robi tymczasem pończochy i skarpetki na zimę. Urodziła się w Trondheim i pięć lat już miała, gdy przywieziono ją do Sellanrå; wspomnienie wielkiego miasta i dalekiej podróży parowcem zatarło się niemal zupełnie w jej pamięci. Jest dzieckiem osady górskiej i nie zna innego wielkiego świata poza wsią w dolinie, dokąd ojciec ją kilka razy do kościoła zawiózł i gdzie w zeszłym roku była u konfirmacji...

Po uporaniu się z najważniejszymi pracami przyszła kolej na roboty poboczne. A więc naprawa drogi wiodącej w dół ku wsi, w kilku miejscach zupełnie przerwanej. Ponieważ ziemia nie była jeszcze zmarznięta, przeto Izak z Sywertem zabrali się do okopania drogi i przeciągnięcia wzdłuż niej rowów. Pozostały jeszcze dwa pola mokradeł, które należy osuszyć.

Aksel przyrzekł swoją pomoc, ponieważ i on ma konia i drogi tej używa. Lecz teraz oto ma on do załatwienia coś nader pilnego w mieście, i to naprawdę coś bardzo ważnego. I dlatego zastąpi go przy naprawie drogi brat jego z Bredablik, Fredryk.

Był to chłop młody i dopiero co ożeniony. Sowizdrzał nie lada, ale i do roboty skory. On i Sywert to jakby bracia rodzeni. Idąc dziś do roboty, wstąpił po drodze do najbliższego swego sąsiada, Aronsena na Storborgu, i ma teraz dużo do opowiadania o tym, co w faktorii usłyszał. Zaczęło się od tego, że Fredryk zażądał paczki tytoniu.

— Dałbym ci paczkę tytoniu, gdybym go miał na składzie — rzekł Aronsen.

— Jak to, nawet tytoniu już nie macie?

— Nie i nie sprowadzę, bo i tak nikt nie kupuje. Dosyć już mam strat.

Aronsen był w złym humorze i twierdził, że szwedzkie towarzystwo kopalniane wystrychnęło go na dudka. Sprowadził się do puszczy, ażeby prowadzić handel, a tymczasem kopalnię zamknęli.

Fredryk uśmiecha się zadowolony i natrzasa się z Aronsena:

— He, he! Ani kawałka gruntu nie uprawił i dla inwentarza swego nie ma ani krzysiana; siano przecież można kupić! Był u mnie po siano. Ale ja tam siana nie mam na sprzedaż. „Tak, to tobie pieniądze niepotrzebne?” — spytał Aronsen. Według niego, ten ma wszystko, kto ma pieniądze; rzucił na stół stukoronówkę i rzekł:

— Oto pieniądze!

Na to powiedziałem mu:

— Tak, pieniądze to ładna rzecz.

— To bom konstant — powiedział.

Zdaje się, że czasami brak mu piątej kleпки, a kobieta jego oblatuje za jasnego dnia z zegarkiem na łańcuszku. Ciekaw jestem, co to za ważna godzina, o której tak bardzo musi pamiętać.

Sywert zapytał:

— Czy Aronsen nie wspomniał nic o jakimś Geisslerze?

— A jakże, mówił, że to Geissler wszystkiemu winien, bo nie chciał sprzedać swej części góry. Wściekł się po prostu:

— Zdegradowany sołtys — mówił — nędzarz, który pewnie i pięciu koron nie ma w kieszeni, zastrzelić by go należało!

— Musicie trochę poczekać — powiedziałem — może jeszcze się namyśli i później sprzeda.

— Nie — odpowiedział — zbytne złudzenia. Jako kupiec doskonale to rozumiem, iż interes na pewno nie dojdzie do skutku, gdy jedna strona żąda dwieście pięćdziesiąt tysięcy, a druga ofiaruje tylko dwadzieścia pięć tysięcy; są to zbyt wielkie różnice. Ale szczęście Boże! Szkoda tylko, że pozwoliłem się nabrać, że osiadłem tu na tym bezludziu.

— Ano, czy chcecie Storborg sprzedać? — spytałem.

— Tak — odpowiedział — o tym właśnie myślę. Te bagna i ta pustka bezludna, jakby na wygnaniu! Obecnie przecież korony nie utarguję przez cały dzień — powiedział.

Wszyscy trzej śmiali się z Aronsena, śmiali się bez cienia współczucia.

— Czy myślisz, że naprawdę chciałby sprzedać? — spytał Izak.

— Tak, przecie powiedział. I nawet parobka oddalił. Tak, to doprawdy człek śmieszny. Zwolnił parobka, który by mu na zimę drwa rąbał i siano zwiózł, ale zatrzymał subiekta. Towaru nie ma, niczego nie sprzedaje, na co mu więc subiekt? Tak mi się widzi, że to nic innego, jak głupia pycha. Musi chęć utrzymywaniem człowieka, który by stał przy pulpicie i w wielkich księgach smarował. Ha, ha, tak, Aronsen jest na pewno troszkę niespełna...

Pracowali we trzech aż do południa, potem spożyli przy niesione z sobą zapasy i wypoczywając, chwilę gawędzili. Mieli swoje sprawy do omówienia, sprawy dobre i przykre, dotyczące pustkowie i osadników. Nie są to bynajmniej sprawy byle jakie, lecz oni omawiają je ze spokojem, są stateczni, nerwy ich nieużyte nie dopuszczają się wybryków.

Fredryk opowiada o Bredabliku oraz że niewiele tam jeszcze mógł być dokonać.

— A jednak — zauważył Izak — dużo już zdziałałeś, przekonałem się o tym naocznie.

Pochwała ta z ust najstarszego i niedoścignionego osadnika na pustkowiu pochlebia widocznie Fredrykowi gdyż zapytał:

— Czy naprawdę tak myślicie? Nie, musi być coraz lepiej. W tym roku sporo miałem przeszkód. Chałupę trzeba było naprawić, starą i lichą szopę na siano musiałem zburzyć i zbudować nową. Gamma okazała się za małą dla moich krów i cieląt, których Brede nie posiadał — rzekł nie bez pewnej słusznej dumy.

— Podoba ci się tu? — spytał Izak.

— Tak, i mojej żonie także, czemu by nie miało się nam podobać? Z osiedla naszego roztacza się szeroki widok na wszystkie strony i ku górze, i ku dolinie. Mały laszek przy domu podoba nam się również bardzo, brzozy w nim i wierzby, a gdy będę miał trochę więcej czasu, zasadzę więcej drzew także od drugiej strony podwórza. Wydziwić się nie mogę, jak szybko osuszyły się mokradła, odkąd na wiosnę przekopałem rowy. Zobaczmy

teraz, co na tym urośnie! Czy nam się podoba? Jakżeby nie, skoro kobieta i ja mamy zagrodę i grunta, i inwentarz!

— Ano, czy zamierzacie siedzieć zawsze tak we dwoje? — spytał Sywert chytrze.

— O, to niepowiedziane, możliwe, że tam jeszcze co przybędzie — odparł Fredryk wesoło.

Pracują aż do późnego wieczora. Od czasu do czasu wyprostowują się nieco i bają.

— Aronsen nie sprzedał ci więc tytoniu? — spytał Sywert.

— Nie, i wcale się o to nie gniewam, ponieważ nie palę.

— Nie palisz?

— Nie. Zaszedłem do Aronsena, żeby usłyszeć, co powie.

Wybuchnęli na to szelmowskim śmiechem, oczywiście Fredryk tylko i Sywert, dwa sowizdrzały.

W drodze powrotnej ojciec i syn milczą jak zwykle. Izak wszakże widocznie coś sobie wymyślił, gdyż odezwał się:

— Ty, Sywert?

— Co takiego? — spytał Sywert.

— Ech, nic szczególnego — rzekł Izak.

Uszli dalszy kawał drogi w milczeniu, po czym ojciec znowu przemówił:

— Czyż Aronsen może handlować, nie mając towaru?

— Nie — rzekł Sywert. — Mało teraz ludzi, więc co mu po towarach?

— Tak myślisz? Ano, może masz słuszność.

Sywerta zdziwiły po trosze słowa ojca, a Izak ciągnie dalej:

— Dotychczas mamy tu co prawda osiem osad, ale z czasem może ich być więcej.

Kto wie, ile ich potem będzie.

Sywert zaczął się zastanawiać, do czego ojciec zmierza. O, do niczego. I znowu idą kawał drogi, milcząc, i są już blisko domu. I wtedy stary odezwał się niespodzianie:

— Hm. Jak myślisz, ile by Aronsen zażądał za swoje osiedle?

„Aha, o to idzie!” — myśli Sywert. Po czym odzywa się żartobliwie:

— Czy chciałbyś je kupić?

Lecz w tejże chwili zrozumiał, do czego ojciec zmierza: myśli o Elizeuszu. Ho, ho, stale o nim pamiętał, tak samo jak matka, jeno na swój sposób, bliższy ziemi, a także bliższy Sellanrå. Przeto odparł:

— O, zażąda z pewnością sporo.

Ze słów tych Izak domyślił się, że syn zrozumiał jego intencję i jakby bał się coś więcej powiedzieć, rzucił pospiesznie kilka zdawkowych słów o dokonanej naprawie drogi.

Następnych dni Sywert z matką coś zawzięcie szachrowali, po kątach siadywali i naradzali się, i dużo do ucha sobie szeptali, także i list jakiś napisali, a gdy nadeszła sobota, Sywert nagle ujawnił nieprzewidywaną ochotę pójścia do wsi.

— Czego tam znowu szukasz we wsi, niepotrzebne zdzieranie butów i tyle! — rzekł ojciec bardzo rozsierdzony i twarz okrutnie nasrożył, jakkolwiek w głębi duszy wcale tak źle nie myślał, zmiarkował bowiem, że Sywert chce iść na pocztę.

— Chciałbym pójść do kościoła — rzekł Sywert.

Trudno byłoby o lepszy wybieg i ojciec przyzwolił:

— Ano, skoro musisz iść, to już idź...

Ale skoro Sywert wybiera się do kościoła, to niechże zaprzęże i zabierze z sobą Rebeke. Nie skąpić jej tej pierwszej w życiu przyjemności, tak gorliwie przecież pilnowała bydła, żeby nie wchodziło w ćwikłę. Tak, Rebeka to naprawdę kwiat i perła na Sellanrå, to oczko w głowie wszystkich. Zaprzężono więc i Rebecę dodano do towarzystwa Jensyng, czemu Sywert wcale się nie sprzeciwiał.

Po ich odjeździe przyszedł gość ze Storborgu. No i cóż? Ech, nic szczególnego, tyle tylko, że był to subiekt, nazwiskiem Andresen; miał udać się w góry, przysłał go pryncypał¹⁶⁵. Nic poza tym. I wypadek ten nie wywarł większego na Sellanrå wrażenia; dziś już nie jest tak, jak dawniej bywało, kiedy widok obcego przybysza należał na osiedlu do rzadkości i wyprowadzał Inger z równowagi. Tak, Inger ma znowu swój okres skupienia, jest cicha i pokorna.

¹⁶⁵pryncypał (daw.) — zwierznik, przełożony. [przypis edytorski]

Cudowna rzecz taka książka do nabożeństwa, to jakby przewodnik anielski, jakby uścisk najtkliwszy! Zatraciwszy się samochcąc i zbłądziwszy w żurawińcu, odnalazła siebie znowu na wspomnienie swej komory i książki do nabożeństwa i znowu stała się zadumana i nabożna. Przypomina sobie dawno minione lata, kiedy to przy szyciu, ukłuwszy się czasem w palec, zwykła była mówić: „Psiakrew!”. Nauczyła się tego od swych towarzyszek w szwalni więziennej. Obecnie zaś może się aż do krwi ukłuć, a mimo to milczy. Do takiego nawrócenia potrzeba nie lada przewyciężenia się! Lecz Inger posunęła się jeszcze dalej. Gdy stajnię już do reszty wykończono i murarze powędrowali, i Sellanrą znowu opustoszało, wtedy nastąpił przełom w usposobieniu Inger i wtedy często płakała i srodze cierpiała. Kajała się w pokorze, biorąc wyłącznie na siebie całe brzemie winy. Gdyby bodaj pogadać mogła z Izakiem, by sercu swemu ulżyć; ale na Sellanrą nikt z uczuć swych się nie zwierzał ani do błędów się przyznawał. Tak więc nie stawiała już przed domem, aby z daleka przywołać Izaka na obiad; o nie, ona chodziła teraz na miejsce, gdzie w danej chwili pracował i pokornie do jedzenia zapraszała. Wieczorami zaś naprawiała jego bieliznę i ubrania i przyszywała guziki. Tak; Inger posunęła się jeszcze dalej. Którejś nocy wsparła się na łokciu i szepnęła:

— Izak.

— O co chodzi? — spytał Izak.

— Ty nie śpisz?

— Nie.

— Ach, nic takiego — rzekła Inger. — Ale ja nie byłam taka, jaką powinnam być.

— Co takiego? — spytał Izak mimo woli. Teraz i on wsparł się na łokciach.

— Nie byłam dla ciebie taka, jaką być powinnam, i dlatego bardzo mi żal...

Te proste słowa wzruszyły go, wzruszyły człowieka spiżowego, więc pragnąłby ją pocieszyć. Wprawdzie nie wie, o co idzie, ale jedno mu wiadomo, że takiej jak Inger nie ma drugiej na świecie.

— Nie płacz — rzekł — przecież my wszyscy nie tacy, jakimi być powinniśmy.

— Ach nie — rzekła z wdzięcznością.

O, Izak traktował wszystkie sprawy ze stanowiska swego zdrowego, chłopskiego rozumu i na wszystko znalazł wytłumaczenie. Któż jest taki, jakim być powinien? Ma słuszość Amor¹⁶⁶, który jest przecież bogiem, a mimo to szuka awanturniczych przygód, swawolnik i lekkoduch: pewnego dnia wyłoni się z krzaku róż i buja się na jego gałęziach, z zadowoleniem i z lubością oblizuje swoje usta, następnego zaś dnia nadeptnie na kolec i wyciąga go z minką zrozpaczoną. Czy musi zaraz umierać z tego powodu? — Ani mowy! Pozostał tak samo zdrow. Jeszcze by tego było potrzeba, żeby dla takiego głupstwa miał umierać!

Podobnie stało się i z Inger, przewyciężyła się, ale modlitw swych nie zaniechała, znajdując w nich ukojenie. Inger jest pracowita i cierpliwa, i bardzo dobra; Izaka stawia najwyżej pośród wszystkich mężczyzn, szanuje go i nie życzyłaby sobie nikogo innego. Sowizdrzałem on oczywiście nie jest ani śpiewakiem, ale za to jest, ho, ho, ona wie najlepiej, jaki on jest! I oto znowu się potwierdziło, iż wielka wygrana przy tym, kto nabożny.

A więc był gość, subiekcik ze Storborgu, Andresen; przyszedł do Sellanrą w niedzielę. I Inger bynajmniej nie straciła swej równowagi ducha, owszem, nawet nie wyszła do niego z garnkiem mleka. A ponieważ Jensyna była w domu nieobecna, przeto posłała gościowi mleko przez Poldynkę.

I Poldynka weszła z gracją do świetlicy, postawiła mleko na stole i powiedziała: „Proszę!”, i zapłonila się po uszy, mimo że ubrana była odświętnie i nie miała na sobie nic takiego, czego by musiała się powstydić.

— Dziękuję, to łaskawość zbyt wielka — rzekł Andresen — Czy zastałem ojca?

— Owszem, pewnie na polu.

Andresen wypił mleko, usta chusteczką starannie wytarł i spojrzał na zegarek.

— Czy daleko stąd do kopalni? — spytał.

— O nie, zaledwie godzina drogi.

¹⁶⁶Amor (mit. rzym.) — bóg i uosobienie miłości. [przypis edytorski]

— Mam pójść tam z polecenia Aronsena, u którego jestem pomocnikiem, aby stwierdzić obecny stan kopalni.

— Aha.

— Tak, wszakże się znamy, przecie kupowałaś już u nas.

— Tak.

— Pamiętam ciebie bardzo dobrze, byłaś u nas dwa razy.

— Nigdy nie przypuszczałam, że pan sobie mnie przypomni — odparła Poldynka, z tą chwilą jednak opuściły ją siły tak, że usiadła.

Ale Andersen posiadał jeszcze dość sił w zapasie, przeto odezwał się:

— Czemuż bym nie miał sobie ciebie przypomnieć? — A następnie zapytał: — Nie przesyłałaś się ze mną do kopalni?

Z Poldynką działy się dziwne rzeczy, przed oczyma jej poczęły krążyć czerwone kółeczka i koła, podłoga spod nóg jej uciekała, a głos pana subiekta Andersena dochodził jakby z oddali, gdy pytał.

— Czy nie masz czasu?

— Nie — odpowiedziała.

Bóg jeden wie, jak ona znalazła się z powrotem w kuchni. Matka spojrzała na nią zdziwiona i spytała:

— Co tobie?

— Nic...

Naprawdę nic? O, na pewno nie! Patrzajcie, teraz na Poldynkę przyszła kolej tracenia równowagi, odwieczne koło zahaczyło teraz o nią i porwało w swój wir. Miała wszelkie po temu warunki; foremna i ładna, i już po confirmacji, słowem — budziła smak i jako piękna ofiara. W krągłej jej piersi ćwierka ptaszyna, a ręce jej podobnie jak u matki: pełne tkliwości, pełne kobiecości. A czyż tańczyć nie umiała? Ho, ho, aż dziwo, gdzie i kiedy się nauczyła, ale to pewne, że nauczyła się tańczyć na Sellanrå; umiał Sywert i Poldynka umiała, i jak jeszcze! Tańczyli tańce wiejskie, szalone wywijasy, kółeczka, obroty i skoki, tańczyli szkockiego, mazurka, nadreńczyka i walca. I czemuż by Poldynka nie mogła się stroić i być zakochana, i marzyć z otwartymi oczyma? Wszystkie inne robią tak samo. Gdy przystępowała do confirmacji, matka pożyczyła jej swego złotego pierścionka — nie widzieli w tym nic zdrożnego, bo nic zdrożnego przy tym nie myśleli. Przed ołtarzem przecież mogła była stanąć ze złotym pierścionkiem na palcu, wszakże była córką potentata, margrabiego!

Subiekcik Andresen, powracając z kopalni, spotkał Izaka, który gościnnie do izby go zaprosił. Poczęstowano gościa obiadem i kawą. Obecni teraz byli wszyscy domownicy i wszyscy brali udział w rozmowie. Subiekt nadmienił, że Aronsen wysłał go na wierchy¹⁶⁷, ażeby przekonał się naocznie, co się dzieje z kopalnią i czy są widoki rychłego uruchomienia jej. Czy pan subiekt przypadkiem nie łgał? Wszakże jest wykluczone, aby w tak krótkim czasie mógł być zająć do kopalni i z powrotem.

— Tak, z daleka trudno zobaczyć, jak stoją sprawy kopalni — zauważył Izak.

Subiekt przyznał rację Izakowi, no, ale prawdą jest, że przyszedł tu z polecenia Aronsena, jako że czworo oczu widzi więcej niż dwoje.

Lecz Inger nie umiała już dłużej pohamować swej ciekawości i spytała:

— Czy prawda to, co ludzie opowiadają, że Aronsen chce swoje sprzedać?

— Nieraz o tym wspominał — rzekł subiekt — zresztą taki jak on może sobie na wszystko pozwolić, bo ma pieniędzy jak lodu.

— Hm, czy on naprawdę taki bogaty?

— O, bardzo.

I Inger znowu pali ciekawość, i nie może milczeć żadną miarą:

— A ile też chciałby za swoją posiadłość?

Teraz jednak sam Izak wtrąca się do rozmowy; trawi go zapewne jeszcze większa ciekawość niż Inger, ale nie chce dopuścić do tego, ażeby od niego najpierw wyszła propozycja kupna Storborgu, i dlatego udął, iż go to nic nie obchodzi.

— Czemu o to pytasz? — spytał Izak obojętnie.

— Ach, tak tylko — odparła.

Młodość, Taniec, Uroda

¹⁶⁷wierch (reg.) — szczyt górski. [przypis edytorski]

Oboje spoglądali na subiekta i w napięciu oczekują odpowiedzi.

Pan subiekt wszakże nie spieszy się i jest bardzo powściągliwy w słowach. Ceny posiadłości nie zna, ale wie, i to od samego Aronsena, ile Storborg kosztował.

— No ile? — spytała Inger, która galopuje, nie umiejąc trzymać języka za zębami.

— Szesnaście set koron — odparł subiekt.

— Ach tak! — westchnęła Inger.

Szesnaście set koron to na pustkowiu suma zaiste niemała i Inger drży już na samą myśl, że suma ta odstraszy Izaka. Izak jednak jest niewzruszony i rzuca tylko krótką uwagę:

— To z powodu owych dużych domów.

— Tak — potwierdził subiekt Andresen — jedynie z powodu tych olbrzymich domów.

Poldynka wycofała się nieznacznie, krótko przed odejściem subiekta. Bardzo to dziwne, ale wydaje się jej czymś całkiem niemożliwym, aby mogła mu podać rękę. Znalazła sobie tymczasem dobry punkt obserwacyjny: przyczała się mianowicie w nowej stajni przy oknie. Na szyi ma teraz piękną niebieską wstążkę jedwabną, czego przedtem nie miała. A oto i on! Przechodzi mimo stajni, niski i dosyć okrągławy, nie tyle kroczy, ile drepcze, ma jasny zarost i jest starszy od niej o jakieś osiem do dziesięciu lat.

Późno w nocy z niedzieli na poniedziałek wrócili pielgrzymi z kościoła. Wszystko poszło jak z płatka; w drodze powrotnej Rebeka spała jak borsuk, tak że śpiącą wynieśli ją z wozu wprost do łóżka. Sywert nabierał we wsi sporo nowinek, mimo to jednak na zapytanie matki: — Co słyhać nowego? — odpowiedział obojętnie:

— O, nic osobliwego. Aksel ma żniwiarkę i pług dwusobowy.

— Co ty mówisz? — zawołał ojciec. — Widziałeś je?

— Ano, widziałem, stoją w przystani.

— Hm, to dlatego tak mu spieszo było do miasta! — rzekł ojciec.

A Sywert siedzi wypchany zgola innymi nowinami, ale milczy jakby za pieniądze. Niech sobie ojciec będzie przeświadczony o tym, że Aksel pojechał do miasta po żniwiarkę i dwusobowiec; matka może być tego samego mniemania. He, he, ale starzy nie bardzo w to wierzyli, oni również słyszeli pogłoskę, iż podróż Aksela miała związek z jakimś nowym dzieciobójstwem w okolicy.

— No kładź się już! — zdecydował w końcu ojciec.

Sywert, napęczniały wiadomościami, jest posłuszny i idzie do łóżka. Aksela pozwano na rozprawę, a była to sprawa bardzo poważna, nawet sołtys pojechał z nim. No i pani sołtysowa, która dopiero co znowu rodziła, pozostawiwszy maleństwo, pojechała do miasta. Wyjeżdżając, powiedziała, iż pogadać musi z sądem.

I teraz dopiero pękły wszelkie hamulce i plotka stugębna frunęła na całą wieś przybijając coraz to nowe kształty. Sywert domyślał się, że wygrzebywano z pamięci wspomnienie o pewnym dawno, przed wielu, wielu laty popełnionym dzieciobójstwie i szeptano o nim zawiście. Gdy zbliżał się do stojącej przed kościołem gromady, urywały się nagle wszelkie szepty i gdyby Sywert nie był Sywertem, gromada na pewno by pokazała mu plecy. O, bo Sywert to nie byle kto; po pierwsze pochodził z wielkiej majątności i był synem bogacza, a po wtóre Sywert osobiście to chłop setny i doskonały pracownik. Wszyscy go cenili i szanowali, i po wszystkie czasy cieszył się przychylnością całej gminy. Gdyby przynajmniej Jensyna nie usłyszała za wiele, zanim wróci do domu. Sywert miał i tak zresztą dosyć własnych powodów do obawy. Widział Jensynę wychodzącą z Rebeką z kościoła i ona widziała go, ale przeszła obok bez zwrócenia nań uwagi. Wobec tego poczekał chwilę, a następnie zajechał po nie do kowala.

U kowala siedzieli już wszyscy przy obiedzie, przeto i Sywerta zaproszono do stołu, lecz on podziękował, tłumacząc się tym, że już jadł. Wiedzieli przecież, że przybędzie o tym czasie, powinni więc byli poczekać na niego. Na Sellanrå postąpiono by tak z pewnością, ale tu nie czekano.

— Tak, tak, przyzwyczajony jesteś do czegoś lepszego — rzekła kowalowa.

— Cóż tam nowego słyhać w kościele? — spytał kowal, mimo że sam był w kościele.

Plotka

A gdy Jensyna wsiadła na wóz z Rebeką, wtedy kowalowa rzekła niespodziewanie do córki:

— Tak, tak, Jensyno, nie zwlekaj zbyt długo i wracaj do nas jak najprędzej:

Sywert zdumiał się, ale nie wtrącał się do rozmowy. Gdyby coś więcej na ten temat mówiły, coś wyraźniejszego, byłby może dał jakąś odpowiedź. Nasrożył się tylko i czekał — nadaremno, nie usłyszał nic więcej.

Wracają i Rebeka jest jedyną, która gada. Pełna wrażeń z pobytu w kościele, zachwyca się pastorem w czarnej todze z srebrnym krzyżem na piersiach, zachwyca się blaskiem jarzących się świec i muzyką organów.

Ujechali już spory kawał drogi, gdy odezwała się nareszcie Jensyna:

— Doprawdy, haniebna jest sprawa Barbro!

— Powiedz mi, co twoja matka miała na myśli, namawiając cię do najrychlejszego powrotu? — spytał Sywert.

— Kiedyś przecie będę musiała powrócić.

— Prr! — woła Sywert i wstrzymuje konia. — Jak chcesz, możemy zaraz zawrócić! — wybuchnął Sywert.

Jensyna spojrzała na niego, był blady jak trup.

— Nie — odparła i rozplakała się.

Jakże dobrze się stało, że zabrali ze sobą Rebekę. Ona od razu ujęła się za Jensyną, głaskała i pocieszała ją na swój sposób, tak że wywołała jej uśmiech. A jednocześnie odgrażała się bratu, że z wozu wyskoczy i kija poszuka, i mocno go wybije. Wtedy Sywert rozpogodził się i uśmiechnął.

— Ale teraz powiedz mi, co ty sobie przy tym myślał? — spytała Jensyna.

— Pomyślałem sobie — odparł bez namysłu — że musielibyśmy obyć się bez ciebie.

I znowu ujechali spory kawał drogi, gdy Jensyna westchnęła i rzekła:

— Tak, tak, Poldynka jest już duża i może mnie zastąpić w robocie...

Smutny to był powrót.

VII

Jakiś człowiek kroczy polem. Sroży się zawierucha i leje deszcz, pierwsza ulewa jesienna, ale człowiek nie zważa na to, jest wesół i szczęśliwy. To Aksel Strøm wraca z rozprawy, gdzie uwolniono go od winy i kary. Dwa są powody jego zadowolenia: po pierwsze na dole w przystani czekają na niego żniwiarka i pług, a po wtóre jest wolny. Do zamordowania dziecka się nie przyczynił. Przeto może odejść!

Jakże ciężkie jednak przeżył chwile! Owo zeznawanie przed sądem, na wielkiej sali, wobec tylu zgromadzonych ludzi, to była najcięższa praca jego życia. W powiększeniu winy Barbro nie widział nic pożytecznego dla siebie, stąd więc miał się na baczności, żeby nie powiedzieć choćby słowa za wiele. Ba, nie powiedział nawet tego wszystkiego, co wiedział; o każdy szczegół musiano się go z osobna wypytować i najczęściej wydobywano z niego lakoniczne jeno „tak” lub „nie”. Czyż nie było to wystarczające? Czyż należało sprawę pogarszać? O, niejedną tam przeżył chwilę okropnej trwogi. Ale panowie sędziowie, choć groźnie im z oczu patrzyło, nie pragnęli snadź jego zniszczenia. Oprócz tego zaś były w ruchu moce potężne w celu uratowania Barbro, co również wyszło mu na pożytek.

Cóż zresztą, do licha, mogło mu być grozić?

Barbro z pewnością nie złożyłaby obciążających go zeznań, ponieważ za wiele o niej wiedział — zarówno o tym, jak i o pierwszym jej dzieciobójstwie. Barbro nie była taka głupia. O, ona była aż nadto przebiegła; wychwalała Aksela, oświadczyła, że o jej poro-dzie nie miał najmniejszego pojęcia, że dowiedział się wówczas dopiero, gdy już było po wszystkim. Jest on trochę dziwak i stąd nie bardzo się zgadzali, ale w każdym razie jest człekiem spokojnym i rzetelnym. Wykopał co prawda nowy grób i pochował w nim zwłoki dziecka, ale to stało się znacznie później i dlatego tylko, że pierwotny grób wydawał mu się niedostatecznie suchy.

Cóż więc mogło grozić Akselowi, skoro Barbro na swoje barki wzięła całą winę? Na korzyść Barbro jednak pracowały moce bardzo wpływowe; czynna była pani soltysowa Heyerdal.

Poruszyła wszystkie sprężyny, wielkie i małe, i dopięła tego, że dopuszczono ją do

Świątynia, Ksiądz

Sąd, Kobieta,
Społeczeństwo

rozprawy w charakterze świadka. Kiedy kolej na nią przyszła, stanęła przed trybunałem jako dama wytworna i biegła w słowach, kwestię dzieciobójstwa ujęła w całej rozciągłości, wygłaszając pewnego rodzaju wykład. Można było myśleć o pani sołtysowej, co się chciało, ale jedno należało jej przyznać: umiała przemawiać, a przy tym uczona była w polityce i we wszelkich zagadnieniach socjalnych. Dziwne, skąd ona tyle różnych słów wzięła. Od czasu do czasu zdawało się co prawda, że przewodniczący upomni ją, aby mówiła do rzeczy, ale snadź nie miał serca, by jej przerwać. Na koniec udzieliła kilku użytecznych objaśnień i uczyniła trybunałowi sensacyjną propozycję.

Wywody jej brzmiały mniej więcej tak:

— My, kobiety, stanowimy najniezwyklejszą i najbardziej uciśnioną połowę ludzkości. Mężczyźni ustanawiają prawa, nie troszcząc się wcale o naszą opinię. A czyż mężczyzna potrafi wmyślić się w położenie kobiety skazanej na rodzenie dziecka? Czy odczuł kiedy jej lęk i jej nieopisany ból i czy wydawał z siebie kiedy jej jęki i krzyki porodowe? W danym wypadku mamy do czynienia ze służącą, która powiła dziecko. Jest niezamężna, a więc przez cały czas ciąży musi ukrywać starannie swój stan. Czemu musi się z tym ukrywać? Bo tak chcą przesady ludzkiej społeczności. Społeczność pogardza niezamężną żywiącą dziecię w swym łonie. Nie tylko nie opiekuje się nią, ale nadto obrzuca ją kamieniami wzgardy i potępienia. Nie jestże to okropne? Owszem, i każdy posiadający bodaj okruszynę serca musi zapłonąć z tego powodu słusznym oburzeniem! Dziewczyna nie tylko musi przeżyć cierpienia porodowe, ale nadto musi stanąć pod pręgierzem! Ja ze swej strony tyle tylko mogę powiedzieć, że dla naszej oskarżonej było prawdziwym szczęściem, iż dziecko jej przyszło na świat skutkiem nieszczęśliwego wypadku w potoku górskim i natychmiast przeniosło się na drugi świat. Było to prawdziwe szczęście dla niej i dla samego dziecka. Dopóki społeczność nie zmieni swych przesądów, dopóty nie należałoby karać matki niezamężnej, chociażby swe dziecko nawet z rozmysłem zgładziła!

Tu rozległo się jakieś słabe mruknięcie z ust przewodniczącego.

— A przynajmniej nie należałoby jej karać surowo — powiedziała pani sołtysowa. — Oczywiście, wszyscy zgadzamy się w jednym, że życie dziecka powinno być zachowane — powiedziała — ale czy pośród wszystkich praw ani jedno nie ma bronić nieszczęśliwej matki? Wyobraź pan sobie, panie przewodniczący, co ona przeżyła podczas ciąży, jakie męki przecierpiała, aby tylko stan swój ukryć, oraz to, że na próżno szukała drogi wyjścia zarówno dla siebie, jak i dla dziecka. Nikt nie zdoła się wczuć należycie w położenie takiej matki — powiedziała. — Dziecko zabrała w każdym razie śmierć dobrodziejka. Matka kocha swe dziecię i dlatego tak sobie, jak dziecku pragnie zaoszczędzić męki życia w hańbie, przeto dojrzewa w niej plan zgładzenia dziecka. I tak stara się urodzić je w ukryciu, i w ciągu dwudziestu czterech godzin przeżywa tak wiele, że czynu swego dokonywała już właściwie w stanie nieporozumienia. Czyli że nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi... Ale, rzecz prosta, wszyscy pragniemy, ażeby wszystkie dzieci pozostały przy życiu — i tylko ubolewać trzeba, że zdarzają się wypadki dzieciobójstwa. Lecz jest to wina wyłącznie społeczności, tej beznadziejnie nielitościwej, oszczerczej, prześladowczej i chciwej ofiar, złośliwej społeczności, która każdego czasu czatuje na to tylko, aby matkę niezamężną wszelkimi środkami po prostu ukamienować i zdeptać! Ale nawet po takim traktowaniu ze strony społeczności sponiewierane matki często się podnoszą. Bardzo często te właśnie dziewczęta, które raz zbłądziły, rozwijają w sobie utajone najlepsze i najszlachetniejsze walory. Można się o tym przekonać u przełożonych przytułków dla niezamężnych matek! I na podstawie doświadczeń stwierdzono, że te właśnie dziewczyny, które — tak, które społeczność popchnęła do dzieciobójstwa, stają się najwzorowszymi piastunkami. Nasuwa to dużo do myślenia. Lecz zachodzi tu jeszcze drugie pytanie: czemu pozostawia się bezkarnie mężczyznę? Matkę, która dopuściła się dzieciobójstwa, prześladowuje się i wtrąca do więzienia, jego jednak, ojca dziecka, uwodziciela, nie pociąga się do odpowiedzialności. Ale dopóki on jest sprawcą, że tak powiem: autorem dziecka, dopóty uważany być musi za współwinnego mordy, a odpowiedzialność jego musi być tym większa, ponieważ bez niego nieszczęście w ogóle nie byłoby się przytrafiło. A czemu mimo to uchodzi mu wszystko bezkarnie? Ponieważ prawa sprawiedliwości ustanawiają sami mężczyźni! Oto jedyna odpowiedź. Te dotychczasowe prawa tak zwanej sprawiedliwości męskiej wołają głosem wielkim o pomstę niebios! I stan ten nie zmieni się nigdy na lepsze, dopóki my, kobiety, nie będziemy miały prawa głosu przy wyborach i w instytucjach ustawodaw-

czych. Ale — powiada pani sołtysowa — jeżeli okrutne to prawo godzi w niezamężne matki, które dopuściły się dzieciobójstwa, co w takim razie powiedzieć o tych niewinnych, które są tylko podejrzane o zabójstwo, lecz dzieciobójstwa wcale nie dokonały? Jakie zadośćuczynienie da swej ofierze społeczność? — Żadnego!

Zaświadczam uroczyście, że siedzącą tu oskarżoną znam od dziecka; była u mnie w służbie, a ojciec jest woźnym u mego męża. My, kobiety, odważamy się pod względem rozumowania i odczuwania przeciwstawić się męskim oskarżycielom i prześladowcom i wypowiedzieć odmienne na całą sprawę zapatrywanie. Dziewczynę tę uwięziono pod zarzutem zatajonego porodu i zamordowania noworodka. Jestem przeświadczona, że nie popełniła ani jednego, ani drugiego. Wysoki Trybunał dojdzie niewątpliwie sam do tego jasnego jak słońce wniosku. Zatajony poród? Urodziła przecież za jasnego dnia. W chwili owej była wprawdzie sama, ale któż miał być przy niej? Mieszkała wysoko w puszczy górskiej, a jedyną żywą duszą na miejscu był mężczyzna; czyż w chwili takiej mogła była przywoływać na pomoc mężczyznę? Na samą myśl o tym my, kobiety, rumienimy się ze wstydu... A potem — ona miała zabić noworodka? Dziecko urodziło się w potoku górskim, ona w chwili rodzenia spoczywała tam w wodzie zimnej jak lód. Jakim sposobem dostała się do potoku? Oskarżona jest służącą, a więc niewolnicą, która w pocie czoła spełniać musi swoje obowiązki. Do lasu udała się po jałowiec do szorowania skopków. Przechodząc przez strumień, pośliznęła się i upadła. I tak też już pozostała, przyszły bóle, nie mogła się podnieść, zległa i dziecko udusiło się w wodzie...

Pani sołtysowa przerwała na chwilę, rozejrzała się dokoła i przekonała się, jak doskonała była jej mowa, skoro w sali cicho, jak makiem zasiał, a tylko Barbro przykłada od czasu do czasu chustkę do oczu płacząc z nadmiaru wzruszenia. Więc pani sołtysowa kończy swą przemowę:

— My, kobiety, mamy serce! Moje własne dzieci pozostawiłam na łasce obcych ludzi, aby przyjechać tu i złożyć świadectwo niewinności nieszczęśliwej oskarżonej. Prawa mężczyzny nie mogą zabronić kobiecie myśleć; a ja myślę, że dziewczynę tę, która nie popełniła właściwie nic złego, spotkała już i tak sroga kara przez osadzenie jej na ławie oskarżonych, kara za winy niepopołnione. Jeżeli Trybunał oskarżoną uwolni, natenczas ja zabiorę ją do swego domu i posiadę w niej najdoskonalszą piastunkę!...

Pani sołtysowa skończyła.

Przewodniczący zauważył:

— Tak, czy jednak, jak to powiedziała pani sołtysowa, dzieciobójczynie stają się owymi doskonałymi piastunkami?

Och, ale przewodniczący nie ma zamiaru sprzeczać się z panią sołtysową, przeciwnie, i on ma serce. Podczas gdy prokurator zadawał różne pytania pani sołtysowej, przewodniczący siedział spokojnie i spisywał swoje uwagi.

Skończyło się na jednodniowej rozprawie, ponieważ świadków było niewielu, a poza tym sprawa była całkiem jasna. Aksel przysłuchiwał się rozprawie pełen dobrej myśli, lecz nagle prokurator i pani sołtysowa zaczęli się łączyć w zgodnym zapatrywaniu w celu wyrządzenia mu przykrości z tego powodu, że pochował zwłoki bez doniesienia władzy o zgonie. Wzięto go więc w krzyżowy ogień pytań i Aksel nie byłby może umiał dać należytego co do tej kwestii wyjaśnienia, gdyby nie zauważył siedzącego w końcu sali Geisslera. A jakże, tam siedział Geissler! Aksel uczuł coś w rodzaju podpory, nie czuł się już tak osamotniony i opuszczony wobec władzy, która dobierała się już do jego skóry. Geissler skinął ku niemu życzliwie.

Owszem, Geissler przybył do miasta. Nie zgłosił się wprawdzie jako świadek, ale przecież stawiał się. Już na kilka dni przed rozprawą zajął się zbadaniem akt i spisaniem tego, co zapamiętał z relacji Aksela w Måneland. Większa część załączonych do akt dokumentów to, zdaniem Geisslera, świstki bezwartościowe. Sołtys Heyerdal był człowiekiem widocznie bardzo ograniczonym; śledztwo swoje poprowadził zaraz od samego początku celem przygwoźdżenia Aksela jako współwinnego dzieciobójstwa. Taki osioł! Głuptas! Nie miał pojęcia o stosunkach życiowych na pustkowiu i nie umiał zrozumieć, iż dziecko miało być właśnie owym łańcuchem, który by siłą kobiecą na zawsze przykuł do domu Akselowego.

Geissler przedstawił właściwy stan rzeczy prokuratorowi, lecz odniósł wrażenie, że był to krok całkiem niepotrzebny: Aksel nie potrzebował być żadnej pomocy. Sprawa przedstawiała się przecież dla samej Barbro wysoce korzystnie, jeżeli zaś uwolni ją, to

Sąd

i zarzut współwiny Aksela upadnie bez wszystkiego. Zależało teraz wszystko od tego, co zeznają świadkowie.

Po przesłuchaniu kilku świadków — Oliny nie pozwano, a tylko sołtysa, Aksela, rzeczoznawcę i kilka dziewczyn ze wsi — zarządzono przerwę obiadową i Geissler udał się ponownie do prokuratora. Tak, pan prokurator wciąż jeszcze był zdania, że Barbro nic nie grozi. Wielkie wrażenie wywarła też mowa pani sołtysowej Heyerdal. Teraz zależy już wszystko od przysięgłych.

— Czy panu zależy specjalnie na uwolnieniu dziewczyny? — spytał prokurator.

— Do pewnego stopnia — odparł Geissler — lecz przede wszystkim chodzi mi o Aksela Ströma.

— Czy ona u pana niegdyś służyła?

— Nie.

— Aha, więc chodzi o Ströma? Ale dziewczyna? Prawo jest po jej stronie.

— Nie, ona nie służyła u mnie nigdy.

— Sprawa z Strömem jest bardziej powikłana — rzekł prokurator. — Mianowicie budzi podejrzenie fakt, że poszedł do lasu sam jeden i bez świadków zakopał zwłoki dziecka.

— Chciał je tylko należycie pochować — rzekł Geissler — ponieważ pierwotny grób uznał za niedostateczny.

— Oczywiście, przecież Barbro jest kobietą, więc nie ma tej siły, jaką rozporządza chłop. A poza tym, jeżeli weźmiemy pod uwagę stan, w jakim się wówczas znajdowała, to zrozumiemy, że nie mogła być wykopać grobu, jak należy. W ogólności biorąc, doszliśmy już szczęśliwie do bardziej ludzkiego poglądu na istotę dzieciobójstwa. Gdybym był sędzią, musiałbym ją uwolnić, jako prokurator zaś muszę zaniechać wniosku o ukaranie jej.

— To bardzo radosna wiadomość — rzekł Geissler z ukłonem.

Ale prokurator snuł dalej swoje zapatrywania:

— Jako człowiek prywatny uniewinnilibym z góry każdą niezamężną, która by zgłaziła swoje dziecko.

— Jak widzę, pan prokurator ma zupełnie te same poglądy na sprawę co pani Heyerdal; bardzo to ciekawe.

— Ach, ona! Mówiła zresztą dobrze. Na co wszelkie te kary? Matka niezamężna przechodzi uprzednio już tak wiele udręki, bywa tak sponiewierana przez srogą brutalność świata, że to samo już starczy za wszystkie kary.

— Tak, ale dzieci? — zauważył Geissler.

— Niewątpliwie dzieci są pożałowania godne. Ale ostatecznie i dla dzieci jest to pewnego rodzaju dobrodziejstwem. Bo ileż przykrości i upokorzeń spotyka na każdym kroku dzieci nieślubne?! I co z nich wyrasta?

W Geisslerze zbudził się duch przekory i snadź zawział się, aby rozgniewać nieco opasłego prokuratora:

— Erazm był także dzieckiem nieślubnym.

— Erazm?

— Tak, Erazm z Rotterdamu¹⁶⁸.

— Ach ten.

— I Leonardo był dzieckiem nieślubnym.

— Leonardo da Vinci¹⁶⁹? No tak, wyjątki zdarzają się, ale one potwierdzają regułę.

— Otaczamy opieką ptaki i zwierzęta, a noworodki opieki tej mamy pozbawić? Brzmi to, dalibóg, wielce osobliwie!

Prokurator sięgnął powoli a z godnością do akt na znak zakończenia spotkania. Geissler wobec tego wstał, wyszukany słowy podziękował za tak nadzwyczajnie pouczającą rozmowę i odszedł.

Geissler zawczasu zajął miejsce w audytorium sali sądowej, aby nie uronić nic z rozprawy. Siedział tu jako zwykły słuchacz, lecz dzierzył w sobie ukrytą potęgę: wiedział

Sąd, Społeczeństwo

¹⁶⁸Erazm z Rotterdamu właśc. *Gerrit Gerritszoon* (1467–1536) — niderlandzki filolog i filozof, jeden z czołowych przedstawicieli renesansowego humanizmu; był nieślubnym dzieckiem katolickiego księdza i córki lekarza. [przypis edytorski]

¹⁶⁹Leonardo da Vinci (1452–1519) — włoski artysta, uczony i wynalazca; najwybitniejszy przedstawiciel renesansu; był nieślubnym dzieckiem notariusza i kobiety z klasy niższej. [przypis edytorski]

o pewnej podartej koszuli, z którą udano się do lasu... po różgi brzoźowe, i wiedział o pewnym noworodku, znalezionym niegdyś w odmętach pewnego portu miejskiego; mógłby pohulać z trybunałem, jedno słowo z ust jego podziałałoby jak grom z pogodnego nieba. Ale Geissler nie ma zamiaru wypowiedzenia tego słowa bez potrzeby. Wyborne, nawet oficjalny oskarżyciel stał po stronie oskarżonej!

Sala wypełniała się i niebawem też pojawił się trybunał.

Była to ucieszna komedia małomiejaska: surowa powaga prokuratora i wzruszająca wymowa obrońcy. A panowie przysięgli siedzieli i słuchali w skupieniu, co należało im myśleć o Barbro i śmierci jej dziecka.

Bez wątpienia, sprawa nie była prosta ani łatwa. Prokurator był z pewnością człowiekiem bardzo ludzkim, ale coś jednak musiało zająć krótko przedtem, co zepsuło mu humor. Dziwne to i wręcz niepojęte, jak bardzo się zmienił podczas przerwy południowej. Napiętnował ostro zbrodnię, jeżeli istotnie miała miejsce, gdyż jest to całkiem ciemna i strona sprawy, którą będą musieli rozstrzygnąć panowie przysięgli. On sam jednak pragnąłby zwrócić uwagę na trzy punkty: po pierwsze, czy zachodzi tu poród zatajony; pytanie to wyjaśnił przysięgłym kilku ogólnikowymi uwagami. Po wtóre: sprawa podartej koszuli, czemu oskarżona zabrała ją wtedy akurat do lasu? Czy spodziewała się, że będzie jej potrzebna? Ten punkt objaśnił nieco obszerniej. Po trzecie: chodzi o wysoce podejrzany pogrzeb, zatajony wobec pastora i sołtysa, i to stanowi punkt najważniejszy całej sprawy. Bowiernie nie ulega najmniejszej wątpliwości, że człowiek ten działał w charakterze powiernika, i jeżeli zwłoki dziecka pochował na własną rękę, natenczas służąca jego musiała być popełnić zbrodnię, której on stał się współnikiem...

— Hm! — rozległo się w sali.

Aksel przeczuwał zbliżające się znowu niebezpieczeństwo. Rozejrzawszy się po sali zauważył, że oczy wszystkich spoczywały na mówcy. Ale w tyle sali siedział znowu Geissler i miał na twarzy wyraz największej pewności siebie, ba, dumy, zda się, niepohamowanej; siedział tak z wysuniętą dolną wargą i z twarzą zwróconą ku niebu. Ta niesłychana obojętność, granicząca z lekceważeniem powagi sądu, i to głośnie „hm” podziałało na Aksela pokrzepiająco.

Ale w tejże chwili bomba pękła. Prokurator uznał snadź, że dostatecznie już przedstawił obraz współwiny Aksela. Co więcej, pan prokurator jakby z miejsca nagle zawrócił i nie żądał nawet ukarania Barbro. Oświadczył po prostu, że po wysłuchaniu zeznań świadków cofa swoje oskarżenie.

„Bardzo dobrze” — pomyślał Aksel. „W takim razie nastąpi zaniechanie dalszej rozprawy”.

Ale teraz zabrał głos obrońca, młody aplikant sądowy, któremu powierzono obronę w tej wspaniałej sprawie. Nie było dotychczas adwokata, który by tak mocno był przeświadczony o niewinności bronionego obiektu. W gruncie rzeczy wyprzedziła go już pani sołtysowa Heyerdal, która podczas rozprawy przedpołudniowej sprzątnęła mu po prostu sprzed nosa szereg argumentów, zwłaszcza bardzo był niezadowolony, iż wyzyskała argument o społeczności. O, bo i on wziął na kiel opinię społeczną! Na przewodniczącego się zżymał, że pani Heyerdal nie odebrał głosu. Przecież wygłosiła całkiem prawidłową mowę adwokacką; cóż więc pozostało dla niego?

Rozpoczął tedy od życiorysu Barbro: wychowała się w warunkach skromnych jako córka pracowitych zresztą i poważnych rodziców. Zmuszona wyjść z domu bardzo młodo, poszła na służbę najpierw do pani sołtysowej. Słyszeliśmy dziś opinię o niej z ust chlebowodawczyni jej, pani Heyerdal, i musimy przyznać, że trudno byłoby o lepsze świadectwo. Następnie Barbro udała się do Bergen. Obrońca rozwodzi się nad pochlebnym świadectwem jakie wystawili jej dwaj kantorzyści bergeńscy, u których zajmowała odpowiedzialną posadę. Następnie powróciła w strony rodzinne i objęła posadę gospodyni u starego kawalera w górskiej puszczy. I tu rozpoczął się okres jej nieszczęść.

— To, co między nimi zaszło, zdarza się bardzo często. Szanowny pan prokurator wskazał tu, w sposób najogólniejszy, na możliwość zatajonego porodu. Czy Barbro ukrywała swój stan odmienny, czy się go zapierała? Stojące tu w charakterze świadków dwie dziewczyny z jej wsi rodzinnej stwierdziły przecież, że spotykały ją w owym czasie i widziały, że jest brzemienna, a na ich zapytanie nie zapierała się tego, lecz zbyła je krótką odpawą. A poza tym, czy był kto, komu by zwierzyć się mogła, czy była tam na pustko-

wiu jaka kobieta? Nie, ona była na gospodarstwie sama. Był wprawdzie i chlebowodawca, ale takie młode dziewczę nie posiada odwagi zwierzania się z podobnych tajemnic przed swym chlebowodawcą. Tak więc widzi się osamotnioną w swej udręce, nie mówi o tym do nikogo, ba, nawet szeptem nie przemówi, jest jak gdyby trapistką¹⁷⁰. Nie ukrywa się, ale szuka samotności.

Dziecko przyszło na świat, po urodzeniu się żyło i oddychało, lecz udusiło się. Panowie przysięgli znają dokładnie wszelkie szczegóły tego porodu; przechodziła w bród potok, przewróciła się i nagły ten wstrząs przyspieszył poród. Jest więc zupełnie zrozumiałe, że w takiej chwili zabrakło jej sił i przytomności do ratowania dziecka, a gdy się ocknęła, musiała myśleć przede wszystkim o ratowaniu siebie. Dziecko nie miało śladu zadanego gwałtu, nikt jego śmierci nie pragnął, udusiło się w wodzie. Czy można wyobrazić sobie śmierć bardziej naturalną?

Pan prokurator zwrócił uwagę na strzęp koszuli dowodząc, że to najciemniejsza strona sprawy. Punkt to, moim zdaniem, jasny jak słońce. Zabrała ze sobą pierwszą z brzegu szmatę, która by mogła związać naręcze jałowca. Równie dobrze mogła była wziąć, powiedzmy, poszewkę albo prześcieradło; ona jednak wzięła kawał koszuli, coś wszakże musiała była zabrać, bo trudno żądać, żeby większą ilość gałęzi jałowcowych niosła w gołych rękach. Tak, co do tego więc panowie przysięgli mogą być spokojni, gdyż szczegół ten jest najzupełniej obojętny.

Ale zachodzi tu jeszcze jedna kwestia, niezupełnie dotychczas wyświetlona. Czy mia- nowicie otoczono oskarżoną troskliwą opieką, jak tego wymagał jej stan ówczesny? Czy chlebowodawca jej wiedział, że należy ją ochraniać? Jeżeli wiedział i dbał o nią, tym lepiej. Dziewczyna wyraziła się o nim z uznaniem, co dowodzi tylko jej zacności i szlachetności. On sam zaś, Aksel Ström, w zeznaniach swych był bardzo powściągliwy i nie zeznał nic takiego, co by obciążyć mogło oskarżoną. I tu podnieść należy, że zeznając tak właśnie, postąpił mądrze, ponieważ w uwolnieniu jej widział i uwolnienie swoje. Czyli że obwiniając ją, obwiniałby jednocześnie siebie.

Zagłębiając się w akta tej sprawy, niepodobna uchronić się od najgłębszego współczucia dla oskarżonej i okropnego jej położenia. Mimo wszystko jednak nie potrzebuje ona apelować do litości, a tylko do rozumu i sprawiedliwości. Ona i jej chlebowodawca są do pewnego stopnia zaręczeni, ale niezgoda i sprzeczne ich interesy nie dopuszczają do małżeństwa. Szczęście tej dziewczyny przy boku takiego człowieka jest wykluczone. Nieprzyjemna to rzecz mówić o tym, ale raz jeszcze wrócić należy do zabranej przez nią płachty, ponieważ szczegół ten posiada przecież znaczenie głębsze. Wszakże dziewczyna nie zabrała z sobą strzępu własnej koszuli, lecz koszuli chlebowawcy. Od samego początku niepokoiło nas pytanie: koszula jego, a więc on dał jej koszulę do zużytkowania takiego czy innego — rzekł obrońca. — W danym wypadku przeto mogłaby zachodzić możliwość, że Aksel działał tu z premedytacją i był główną sprężyną nieszczęścia...

— Hm! — rozległo się znowu w tyle sali. A brzmiało tak gniewnie i głośno, że aż mówca się zachłysnął. Oczy wszystkich zwróciły się w kierunku, skąd doleciał głos, szukając sprawcy, a i przewodniczący cisnął w tę stronę piorunujące spojrzenie.

— Ale — podjął na nowo obrońca po pewnej chwili — i ten szczegół możemy pominąć spokojnie dzięki zeznaniom samej oskarżonej. Jakkolwiek słusznie ratować się mogła przez zepchnięcie z siebie przynajmniej połowy odpowiedzialności, to przecież tego nie uczyniła. Obroniła Aksela z całą stanowczością od zarzutu, jakoby był wiedział cokolwiek o zabranej przez nią koszuli, mam na myśli ów strzęp koszuli zabranej przez nią w celu przyniesienia w nim wiązki jałowca. Zeznania oskarżonej nie mogą wzbudzić najmniejszego powątpiewania co do ich prawdomówności. Zeznawała tu szczerze i otwarcie, nie uciekając się do wybiegów przez niedomówienia lub zwalanie winy na innych. Ten piękny rys świadczenia wszystkim jak najwięcej dobrego przebija się u niej na każdym kroku, ujawnił się na przykład i w tym, że zwłoki noworodka otuliła i pochowała z największą starannością i miłością. Tak znalazł je sołtys złożone w mogiłce.

¹⁷⁰trapistki — żeński zakon cystersów o surowej regule, zakładającej pełną izolację od świata, klauzulę milczenia, posty, oddanie się modlitwie oraz pracy fizycznej. [przypis edytorski]

Pan przewodniczący przerywa obrońcy pragnąc — ze względu na ścisłość — zauważyć, że grób znaleziony przez sołtysa był już grobem drugim, w którym zwłoki dziecka złożył przecież Aksel.

— Owszem, słusznie, i za łaskawe zwrócenie mi uwagi dziękuję panu przewodniczącemu jak najuprzejmiej. Owszem, tak jest istotnie. Ale wszakże sam Aksel oświadczył tu, że zwłoki dziecka przeniósł tylko z pierwszego grobu do drugiego. I to jest wszakże rzeczą niewątpliwą, nieulegającą dwóm zdaniom, że kobieta zna się lepiej na zawijaniu dzieci niż mężczyzna. A kto może zawnąć je i otulić najlepiej? Przecież nie kto inny, jak tylko matka, kochające i pieczołowite ręce matki!...

Przewodniczący skinął z zadowoleniem.

— A zresztą, gdyby oskarżona istotnie należała do wiadomego gatunku kobiet, czyby wówczas nie była porzuciła dziecka gdzie bądź, niepochowanego? Wszakże mogła je była wrzucić do śmietnika. Mogła była pozostawić je na ziemi pod drzewem, ażeby zamarzło, to znaczy, o ile by już przedtem nie umarło. W stosownej chwili mogła je była wrzucić do pieca i spalić. Mogła była zanieść do rzeki na Sellanrå i wrzucić w głębię wodną. Lecz ona nie popełniła nic podobnego, a tylko jako prawdziwa matka zawnęła dziecko miłośnie i do grobu złożyła. I jeżeli znaleziono je tak starannie zawnięte, to było to dziełem rąk kobiecych, a nie męskich.

Obrońca zwrócił się teraz do ławy przysięgłych, podnosząc, że do nich należy sąd, czy oskarżona Barbro ponosi jakąś winę czy nie. Zdaniem obrońcy jednak jest ona zupełnie niewinna. Co najwyżej można by jej zarzucić, mianowicie, iż nie zameldowała zgonu dziecka. Tak, lecz dziecko nie żyło już, a droga z górskiego pustkowia do pastora i sołtysa bardzo daleka, dlatego do wiecznego snu ułożono je w ślicznej, leśnej mogiłce. Gdyby tego rodzaju pochowanie miało być przestępstwem, natenczas ojciec dziecka by odpowiedzialność w równej mierze z oskarżoną. Takie jednak wykroczenie można śmiało puścić płazem. W nowszych czasach coraz powszechniejsze jest przekonanie, że przestępców nie tyle należy karać, ile dawać im możliwość do poprawy. Dawniej karano za ładą głupstwo, dominował wtedy duch prawa odwetu, duch Starego Testamentu streszczający się w słowach: oko za oko, ząb za ząb. We współczesnym prawodawstwie nie rządzi już duch prawa zemsty, lecz prawa ludzkości względem nieszczęśliwych upadłych; dzisiejsze prawodawstwo stara się przede wszystkim wypośrodkować założenia psychiczne danego indywiduum i jego mniej lub więcej występne skłonności!

— Dlatego uwolnijcie tę dziewczynę od kary! — wołał z patosem obrońca. — Nie idzie tu o ujęcie jeszcze jednego przestępcy, nie, tu idzie o przysporzenie społeczeństwu członka dobrego i użytecznego!

Obrońca zwrócił jeszcze uwagę i na to, że oskarżonej ofiarowano obecnie nową posadę, w której będzie miała zapewnioną najtroskliwszą opiekę. Pani sołtysowa Heyerdal, idąc za głosem swego macierzyńskiego doświadczenia, otwarła przed nią na oścież podwoje swego domu, ponieważ zna Barbro od wielu lat. W końcu obrońca dziękował prokuratorowi za cofnięcie wniosku o ukaranie podsądnej, czym dał dowód swego głębokiego znawstwa duszy ludzkiej.

Obrońca usiadł.

Dalsza część rozprawy nie zabrała już wiele czasu. Nastąpiło sprawozdanie z dotychczasowego przebiegu rozprawy, suche, nudne, a pełne godności.

Zapalono dwie lampy wiszące: oświetlenie nędzne, przy którym przewodniczący z trudem tylko odczytać mógł swoje uwagi. W ostrych słowach skarcił opieszałość w spełnieniu obowiązków względem władzy, czyli niezawiadomienie o śmierci dziecka:

— Ale — powiedział. — było to obowiązkiem raczej ojca dziecka niż matki, która w danych okolicznościach była słaba i wyczerpana. Obecnie przychodzi kolej na sędziów, którzy raczą rozstrzygnąć, czy zachodzi tu fakt rozmyślnie zatajonego połogu i dzieciobójstwa.

Po czym nastąpiły dalsze objaśnienia dla przysięgłych, dalekie zwrócenie uwagi na wielką odpowiedzialność przy powzięciu decyzji, a w końcu znana rada, ażeby w sprawach wątpliwych rozstrzygano raczej na korzyść obwinionej.

Teraz było już wszystko należyte wysświetlone.

Panowie przysięgli opuścili salę, udając się do gabinetu sąsiedniego na naradę. Po pięciu minutach powrócili i z zaprzeczeniem wszystkich pytań.

Nie, niezamężna Barbro nie zabiła swego dziecka!
 Przewodniczący, podając to do wiadomości, dodał jeszcze kilka słów i ogłosił niezamężną Barbro wolną od winy i kary.
 Publiczność opuściła salę. Koniec komedii...
 Ktoś chwyta Aksela za ramię, był to Geissler.
 — No, nareszcie pozbyłeś się awantury z karku — zagadnął Geissler.
 — Tak — rzekł Aksel.
 — Zupełnie niepotrzebnie cię pozwali.
 — Tak — rzekł Aksel ponownie. Po chwili jednak, jakby dopiero teraz oprzytomniał, dodał: — Mimo wszystko jestem rad, że z całej tej chryi wylazłem cało.
 — Tego by jeszcze brakło! — zawołał Geissler, podkreślając dobitnie każde słowo.
 Z tych słów Aksel wymiarkował, że Geissler wmieszał się w tę sprawę. I Bóg jeden raczy wiedzieć, czy to właściwie nie Geissler kierował rozprawą i czy nie zarządził ich uwolnienia. Tajemnicza rzecz i niepojęta.
 Jedno wszakże Aksel pojmował jasno, mianowicie, że Geissler przez cały ten dzień stał po jego stronie.
 — Tak, dziękuję panu serdecznie — rzekł, sięgając po dłoń Geisslera.
 — Za co?
 — Za... ano za wszystko.
 — Ani mi w głowie nie powstało robić tu cokolwiek, z góry wiedziałem, że nie było warto choćby palcem ruszyć.
 Lecz Geissler nie protestował przeciwko podziękowaniu ze strony Aksela, owszem, zdawać się nawet mogło, że czekał na nie.
 — No, a teraz muszę już iść — rzekł. — Czy jutro rano wracasz do domu? Doskonale. No, bądź zdrów i do widzenia!
 Geissler pobiegł w dół ulicy...

W drodze powrotnej Aksel zetknął się na parowcu z soltyssem i jego żoną, z Barbro i dwiema dziewczynami, które uczestniczyły w procesie w charakterze świadków.
 — No jakże tam, jesteś zadowolony z wyniku procesu? — spytała pani soltysowa.
 — Owszem — odparł Aksel.
 Również i soltys wmieszał się do rozmowy i rzekł:
 — To już drugi proces o dzieciobójstwo w czasie mego urzędowania; pierwszy dotyczył Inger z Sellanrå, no i drugiego równie szczęśliwie się pozbyłem. Tak, podobnych wypadków nie można zbywać milczeniem, sprawiedliwości musi stać się zadość.
 Ale pani soltysowa domyślała się, że Aksel czuje do niej słuszną urazę z powodu jej zeznań wczorajszych. Obecnie zaś pragnęła wrażenie mowy swej załagodzić i Aksela udobruchać.
 — Domyśliłeś się chyba, dlaczego wczoraj przeciwko tobie zeznawałam? — rzekła.
 — Tak, naturalnie — rzekł Aksel.
 — Tak, nie przypuszczałeś chyba, że chcę ci zaszkodzić? Ja ciebie zawsze miałam za doskonałego człowieka, tyle mogę ci powiedzieć.
 — Tak — oto wszystko, co odpowiedział Aksel; w głębi duszy wszakże był wesół, a nawet i wzruszony.
 — Owszem, występowałam przeciwko tobie. Do tego jednak byłam zmuszona. Bo widzisz, gdybym część winy nie była złożyła na ciebie, wtedy by Barbro skazano, a wraz z nią i ciebie. Postąpiłam tak dla waszego wspólnego dobra.
 — Owszem, tak, pokornie pani dziękuję za to.
 — Ja to, a nie kto inny, biegłam po mieście od Annasza do Kajfasza¹⁷¹ i gardłowałam za wami...
 — Tak — bąknął Aksel.

¹⁷¹*chodzić od Annasza do Kajfasza* (fraz.) — bezskutecznie próbować załatwić sprawę, chodząc od jednej osoby lub instytucji do drugiej; być stale odsyłanym w coraz to inne miejsca (wg biblijnej *Ewangelii wg Jana* Jezusa z Nazaretu po pojmaniu zaprowadzono na przesłuchanie do byłego arcykapłana, członka Wysokiej Rady Annasza, który odesłał więźnia do swojego zięcia, arcykapłana Kajfasza). [przypis edytorski]

— Tak, ja ciebie zawsze ceniłam wysoko, ale na sądzie musiałam tak gadać, żeby was oboje uwolnić. Ba, ja zawsze twierdziłam, że z ciebie człek dobry jak mało kto.

Jak przyjemnie to słyszeć po tylu upokorzeniach! Aksel czuł, jak mu serce topnieje i zapragnął dać sołtysowej jakiś dowód swej wdzięczności, może ofiaruje jej na jesień jaką sztukę bydła tucznego. Może jakiego skopa...

Pani sołtysowa dotrzymała słowa: wzięła Barbro do siebie. Zaopiekowała się nią już na parowcu, dbając o to, żeby jej było ciepło i żeby miała co jeść, tudzież nie pozwoliła na figle Barbro ze sternikiem. Gdy po raz pierwszy to zauważyła, nie powiedziała nic, a tylko przywołała Barbro do siebie pod błahym pozorem. Ale niewiele minęło czasu, gdy Barbro znowu znalazła się w pobliżu sternika, przekomarzając się z nim, przekrzywając głowę, mówiąc gwarą bergeńską i wdzięcznie się uśmiechając. Wtedy pani Heyerdal ponownie przywołała Barbro i rzekła:

— Nie podoba mi się, Barbro, że już teraz zadajesz się z kawalerami. Pomyśl, coś w tych czasach ostatnich przeszła i skąd wracasz!

— Słyszałam, że on z Bergen, i dlatego byłam ciekawa, co tam nowego — odparła Barbro.

Aksel nie rozmawiał z nią wcale. Zauważył jednak, że twarz jej pobladła i wydelikatniała oraz że miała ładne zęby. Pierścionków swych nie widział na jej ręku...

I oto Aksel wędruje znowu poprzez pustkowie. Zawierucha szaleje i deszcz leje jak z cebra, ale w sercu jego wesele: na dole w przystani widział żniwiarę i pług dwuskibowy. Ach, ten Geissler! Ani słowem nie wspomniał w mieście o tej cudownej przesyłce. Dalibóg, osobliwy pan!

VIII

Aksel nie miał czasu na wypoczynek. Z chwilą nastania zawieruch jesiennych rozpoczął się nowy dla niego okres trudów i przykrości, które samochcąc wziął na swoje barki: aparat na ścianie meldował co chwila, że linia telegraficzna nie w porządku.

Ach, urząd kontrolera przyjął tylko z tego powodu, ponieważ bardzo był chciwy na pieniądze! Od samego początku nałykał się sporo nieprzyjemności, Brede Olsen wygrażał się w chwili, gdy Aksel odbierał od niego wszelkie narzędzia i przybory telegraficzne.

— Zapomniałeś już o tym, że zimą uratowałem ci życie? — rzekł Brede.

— Życie uratowała mi Olina — odparł Aksel.

— Tak, a czyż na własnych swych barkach nie zaniósłem cię do chałupy? A oprócz tego w lecie czyhałeś tylko na to, żeby nabyć moją posiadłość i na zimę z chałupy mnie wygnać.

Tak, Brede czuł się niewymownie pokrzywdzony.

— Zabierz sobie, zabierz — powiedział — cały ten telegraf. Ja z moją rodziną wyprowadzimy się na wieś i tam założymy coś, o czym ty nawet pojęcia nie masz, coś na podobieństwo hotelu, gdzie ludzie będą mogli przychodzić na kawę. O, myślisz pewnie, że nie dam sobie rady? Moja kobieta zajmie się sprzedażą prowiantów, a ja będę robił interesy, przy których o wiele więcej zarobię niż ty. I tyle ci jeszcze powiem, Aksel, pamiętaj, że mogę ci wyrządzić najrozmaitsze psikusy, bo ja znam całą linię telegraficzną, ho, ho, bardzo dobrze znam i mógłbym drągi wywracać i zrywać druty, tak że byś musiał przerywać ustawicznie robotę w gospodarstwie, choćby najpilniejszą, dla naprawy linii. Tak, tyle mogę ci powiedzieć...

Teraz właśnie Aksel powinien pojechać do przystani po swoje maszyny — ach, każda z nich tak ładnie złożona i ślicznie pomalowana jakby obrazek jaki. I dziś właśnie chciałby im się przyjrzeć i dokładnie poznać sposób ich użycia. Ale nic z tego, muszą pozostać na dole. Niedobrze, jeżeli z powodu telegrafu musi zaniedbywać ważne i pilne roboty. Ale telegraf dawał przecież pieniądze!

Wysoko w górach, na górze miedzianej, spotkał Aronsena. Kupiec Aronsen stał tam smagany wichurą i patrzył, tak stał tam niby widmo. Czego on tam szukał? Snadź niepokoiło go coś; przyszedł tu osobiście, aby przekonać się naocznie o sprawach kopalni. Tak, niepokoiła go troska o przyszłość jego i rodziny. I oto ma przed sobą górę opuszczoną,

obraz nędzy i zniszczenia: zardzewiałe maszyny, narzędzia, wózki, wiele z tego porzucono pod gołym niebem. Beznadziejny obraz zniszczenia. Tu i ówdzie widniały na ścianach baraków napisy zabraniające uszkodzenia budynków, narzędzi i wozów.

Aksel zagaduje gniewnego kramarza:

— Pan na polowaniu?

— Tak, gdybym go tylko spotkał!

— Kogo?

— Kogóż by, jak nie tego, który mnie i całą okolicę wtrąca w nieszczęście?

— Czy pan o Geisslerze mówi?

— Tak, tego łotra mam na myśli. Zastrzelić by go trzeba jak psa wściekłego!

Aksel roześmiał się i rzekł:

— Geisslera mógł być pan spotkać przed kilku dniami w mieście. Ale ja myślę, że lepiej by było, gdyby go pan nie tykał.

— Co takiego?! — wybuchnął Aronsen.

— Boję się, że on by pana połknął.

Dłuższą chwilę jeszcze się sprzeczali i Aronsen wpadał w coraz większą wściekłość. Na koniec Aksel zapytał żartem:

— Ale chyba nas pan nie opuścisz, co byśmy tu w puszczy robili bez pana?

— Czy myślisz, że będę tu gnął między waszymi bagnami, gdzie trudno zarobić choćby na szczyptę tytoniu? Jeżeli nastroczysz mi jakiego kupca, sprzedam w tej chwili!

— Kupca? — zawołał Aksel. — U was ziemia dobra, jeno uprawić ją trzeba. Wyżywi ona tego, kto o nią będzie dbał.

— Przecie słyszysz, że nie mam ochoty babrać się w ziemi! — krzyknął Aronsen. — Mam coś lepszego do roboty!

Aksel zauważył, że nietrudno będzie o kupca, ale Aronsen wyszydził go:

— W całej puszczy nie ma takiego, który by mógł mi zapłacić za mój Storborg.

— Ano, kto wie, może by się jednak znalazł.

— Tu na pustkowiu sama biedota i nędzarze! — wykrzykiwał Aronsen.

— Tak, to prawda — odparł Aksel obrażony. — Ale jest Izak z Sellanrå, a on mógłby wam w każdej chwili wypłacić gotówką tyle, ile byście jeno chcieli.

— Nie wierzę.

— Mało mnie to obchodzi — odparł Aksel i zabierał się w dalszą drogę.

Lecz Aronsen powstrzymał go:

— Zaczekaj chwilkę! Czy ty naprawdę myślisz, że Izak mógłby mnie uwolnić od Storborgu?

— Tak, gdyby chciał, mógłby!...

Aronsen, idąc w górę, ominął Sellanrå z daleka, teraz jednak, wracając, wstąpił do domu Izaka i odbył z nim dłuższą rozmowę.

— Nie — rzekł Izak, potrząsając głową — nigdy o tym nie myślałem i nigdy się na to nie skuszę.

Ale gdy Elizeusz przyjechał do domu na Boże Narodzenie, wtedy Izak nie był już tak nieugięty w swym postanowieniu. Chęć nabycia Storborgu uważał wprawdzie za pospolite wariactwo, skoro jednak Elizeusz mniemał, że byłby to interes dla niego, to inna rzecz — można się nad tym zastanowić.

Elizeusz wahał się. Nie był ani za, ani przeciw. Gdyby pozostał teraz w domu, w takim razie koniec z nim; puszcza to nie miasto. W ostatnich latach nauczył się lekceważyć chłopów, bo oni należeli do innego świata. Obecnie zaś miałby do tego świata wrócić?

Matka zachęcała go do kupna, Sywert namawiał również, i pewnego pięknego poranka oboje z Elizeuszem pojechali na dół do Storborgu na oględziny.

Aronsen wszakże, spostrzegłszy, o co idzie, uderzył natychmiast w ton całkiem inny: Nie ma on potrzeby sprzedawania Storborgu! Jeżeli się wyprowadzi, to i cóż? Dwór pozostanie dworem, posiadłość wspaniała, na którą zawsze — oczywiście, gdy zechce — znajdzie nabywcę. Gleba storborska jest „bom konstant”!

— Wy byście i tak nie mogli zapłacić tego, co ja żądam — twierdził Aronsen.

Mieszczanin, Chłop

Zwiedzili dom, stajnię, spichrz, obejrzeni oplakane resztki towarów faktorii: kilka drumli, kilka łańcuszków do zegarka, kilka kartoników papieru różowego, jakieś lampy wiszące — ot wszystko to, co wśród osadników pustkowia nie ma najmniejszego popytu. Poza tym znajdowała się tam jeszcze reszta materiału bawełnianego oraz kilka skrzynek gwoździ.

Elizeusz przybrał odpowiednią pozę i przeglądał wszystko okiem znawcy.

— Na tego rodzaju towary nie miałbym zapotrzebowania — zauważył.

— Toteż nie zmuszam pana do kupna — odparł Aronsen.

— No ostatecznie mogę dać panu za cały Storborg z budynkami, towarami, inwentarzem i ze wszystkim tysiąc pięćset koron — rzekł Elizeusz. O, w gruncie rzeczy cała ta historia była mu srodze obojętna, podał więc śmieszną cenę, ot, żeby coś powiedzieć i pochwalić się swoją znajomością rzeczy.

Pożegnali się z Aronsenem i wrócili znowu do domu. Nie, nic z tego nie będzie. Elizeusz zaproponował tak haniebnie niską cenę, że Aronsena wręcz obraził.

— Wcale nie słucham tego, co gadasz — oświadczył Aronsen i w najbezcześniejszy sposób zaczął „tykać” takiego bywalca światowego, jakim był Elizeusz.

— O ile ja wiem, nie piliśmy dotychczas braterstwa — rzekł Elizeusz, obruszony poufałością.

Tak, teraz wszystkie mosty spalone, nieprzyjaźń gotowa na całe życie!

Czemu jednak Aronsen od pierwszej chwili ich przyjazdu tak się nadymał niby ro-pucha i udawał, że nie zależy mu na sprzedaży? Miało to swój powód, Aronsen łudził się nowymi nadziejami.

We wsi odbyło się zebranie w celu omówienia położenia, wytworzonego przez to, że Geissler nie chciał sprzedać swej góry. Z tego powodu ucierpiało nie tylko pustkowie, ale całemu obwodowi groziło widmo śmierci głodowej. Lecz czemu ludzie ci nie chcieli już żyć tak samo jak ongi przed powstaniem sztolni doświadczalnej? Ano, nie umieli! Przyzwyczaili się teraz do białej kaszy i białego chleba, do strojenia się w miejski przyodziewek, do wysokich zarobków i lekkomyślnego życia, tak, przyzwyczaili się ludziska do wielkich pieniędzy. Lecz potok złota wysechł nagle i nastąpiła bieda. Jakaż droga wyjścia, gdzie szukać deski ratunku?

Nie ulegało wątpliwości, że dawniejszy sołtys, Geissler, chciał się zemścić na wsi, która zażądała usunięcia go z sołectwa, a jednocześnie nie ulegało wątpliwości, że gmina nie doceniała wartości tego człowieka. Teraz wieś poczuła jego rękę. Sposobem tak prostym jak zażądanie za kawałek góry ćwierć miliona powstrzymał cały rozwój i egzystencję wsi. Człek to okrutnie potężny! Aksel Ström z Måneland może coś o tym powiedzieć, bo rozmawiał z nim niedawno. Barbro, córkę Bredego, aresztowano i przed sąd stawiono, ale ją uwolniono; Geissler tam był w czasie całego procesu! A kto by wyobrażał sobie, że Geissler na psy zszedł i się biedoli, ten niech się jeno przyjrzy owym drogim maszynom, które Aksel dostał od niego w podarku!

Człowiek ten trzymał w swych rękach los całego powiatu, należało więc trafić do niego za wszelką cenę. Najpierw trzeba się upewnić, za jaką cenę Geissler sprzedałby ostatecznie swoją górę. Szwedzi ofiarowali dwadzieścia pięć tysięcy, na co jednak Geissler nie zgodził się. Lecz gdyby gmina dodała resztę do tej sumy? Tak, gdyby Geissler dość znacznie opuścił, opłaciłoby się. Zarówno kupiec ze wsi, jak i Aronsen ze Storborgu dołożyliby w skrytości część swoich kapitałów, boć wyłożone na ten cel, wróciłyby im się w dwójnasób.

Ostatecznie upoważniono dwóch delegatów, ażeby pojechali do Geisslera i przeprowadzić z nim pożądane układy. Spodziewano się wkrótce ich powrotu.

Oto dlaczego Aronsen nabrał znowu otuchy i dlaczego traktował z góry kogoś, kto zamierzał kupić Storborg. Małuczko jednak, a pan Aronsen z pewnością spokojnie.

Po upływie tygodnia dwaj delegaci wrócili z odpowiedzią bezwzględnie odmowną. Ach, najgorsze z wszystkiego było, że jednym z delegatów był Brede Olsen — miał on najwięcej czasu, dlatego wysłano go, ale to właśnie sprawę popsulo. Zaszli do Geisslera, lecz ten, wysłuchawszy ich, potrząsnął jeno głową i roześmiał się.

— Wracajcie co tchu do domu! Nie sprzedam! — powiedział i dał im pieniądze na jazdę powrotną.

Tak tedy cały obwód skazany na zagładę!

Aronsen wściekał się jakiś czas i szalał, i coraz bardziej widział swoją bezradność. Gdy się zaś jako tako wysapał i uspokoił, wybrał się pewnego dnia na Sellanrå i dobił targu. Elizeusz otrzymał to, co chciał, a więc grunty z budynkami, inwentarzem i towarem za półtora tysiąca koron. Przy przejmowaniu całości okazało się wprawdzie, że Aronsenowa przywłaszczyła sobie większą część bawelnianki, ale o podobne drobiazgi nie dbał człowiek tej miary co Elizeusz.

— Nie należy być małostkowym! — powiedział.

Na ogół wszakże Elizeusz czuł się bardzo daleki od zachwyty lub zadowolenia. Teraz bowiem zawarły się bramy jego przyszłości, puszcza stanie się jego grobem. Gmach marzeń niebosiężnych runął bezpowrotnie; biurowym już nie jest, sołtysem nie zostanie, tak, nawet obywatelem miejskim nie jest. Wobec ojca i reszty rodzeństwa puszył się co prawda swoją znakomitą znajomością rzeczy, że nabył Storborg za tyle, ile on zaciął. Lecz ten drobny triumf nie na długo wystarczył. Miał jeszcze i inny powód do zadowolenia, mianowicie, że wraz ze składem mógł być przejąć i subiekta Andresena. Elizeusz uczuł dziwnie słodkie laskotanie, gdy Andresen przystąpił do niego z zapytaniem, czy nie mógłby nadal pozostać; wtedy po raz pierwszy ujrzał się panem i szefem.

— Możesz zostać! — powiedział wspaniałomyślnie. — Zastępca będzie mi tu potrzebny, zwłaszcza w czasie mych podróży handlowych, jakie zamyslałem odbyć w celu nawiązania stosunków handlowych w Bergen i Trondheim — powiedział wyniośle.

I Andresen okazał się niezłym zastępcą szefa, był pracowity, pilny i zapobiegliwy. Podczas nieobecności szefa doglądał wszystkiego i pilnował, żeby nic na marne poszło...

Gdy na wiosnę bagniska nieco odtajały, zjawił się Sywert z Sellanrå i jął przekopywać rowy na posiadłości brata. I wtedy udał się na bagna subiekt Andresen i pomagał kopać rowy. Dalibóg! Czemu on to uczynił, skoro nie miał obowiązku? Tego rodzaju człowiekiem był Andresen. Ziemia mało jeszcze była rozmiękła, tak że robota szła opornie i wymagała wielkiego wysiłku, lecz mimo to upchnęli tymczasem co najmniej połowę roboty. Była to myśl Izaka, żeby na Storborgu osuszyć bagna i zaprowadzić gospodarstwo rolne; kramik miał zejść na plan ostatni i istnieć po to tylko, aby mieszkańcy pustkowia nie byli zmuszeni po łada kłębek nici wędrować do wsi.

Tak więc Sywert i Andresen kopali rowy, a od czasu do czasu wypoczywali po trosze, oddając się wesołej pogawędce. Andresen był posiadaczem złotej dwudziestokoronówki i w Sywertcie zbudziła się chętka wyłudzenia tej monety. Andresen jednak nie chciał rozłączyć się ze skarbem, jeno starannie zawinął go w jedwabną bibułkę i schował do swej skrzynki. Sywert zaproponował losowanie lub zapasy o monetę, lecz Andresen był uparty. Wówczas Sywert zaofiarował mu w zamian za monetę papierową dwudziestokoronówkę, a nadto, że przekopie za niego resztę rowów. Lecz na tę propozycję subiekt Andresen obraził się i rzekł:

— Tak, żebyś potem w domu rozповідаł, iż ze mnie niedołęga, co nawet rowów kopać nie umie!

Ostatecznie ugodzili się: Andresen miał dostać za monetę dwadzieścia pięć koron w papierach. Też nocy jeszcze Sywert pobiegł w górę na Sellanrå i otrzymał od ojca życzone pieniądze papierowe.

Koncept młodzieńczy, fantazja młodzieży zacnej i tęgiej! Noc nieprzespana, miła drogi w górę, miła z powrotem, następnego dnia znowu ciężka robota — to wszystko było drobnostką dla takiego dziarskiego młodzieńca, wszystko drobnostką wobec tak ślicznej monety. Nie było wykluczone, że Andresen po tak dobrej dla siebie transakcji natrząsał się nieco z Sywerta; ale na to Sywert miał skuteczne lekarstwo: wystarczyło, że rzucił jakieś słówko o Poldynce, na przykład: „Ach prawda, mam pozdrowienie dla ciebie od Poldynki!”, aby Andresen natychmiast przestał szydzić i poczerwieniał jak burak.

Przyjemne to były dni dla obu, gdy razem na bagnach pracowali i swarzyli się, i znowu pracowali, i znowu się swarzyli. Niekiedy i Elizeusz do nich zaszedł i pomagał się, ale niewiele było z tej jego pomocy, bo szybko się męczył: nie miał on ani ciała silnego, ani silnego ducha, mimo wszystko był to przecież kompan najmilszy pod słońcem.

— Patrzaj, Olina idzie! — wrzasnął sowizdrzał Sywert. — Dymaj¹⁷² piorunem i sprzedaj jej pół funta kawy!

¹⁷²dymać (pot.) — iść prędko, biec, pędzić. [przypis edytorski]

O, Elizeusz na to jak na lato. Pobiegł do swego kramu i sprzedał Olinie ten lub ów drobiazg. Wtedy przynajmniej nie potrzebował przewracać grudy.

A biedna Olina bez kawy żyć nie mogła; kupowała ją sobie w kramie Elizeusza już to za grosze wyludzone niekiedy od Aksela, już też w zamian za jakiś serek kozi. Zmieniła się w ostatnim czasie i postarzała: służba w Måneland była w gruncie rzeczy za ciężka na jej wiek, ale ona nie przyznawała się do tego. Ho, ho, gdyby jeno Aksel odważył się dać jej terminatkę, wygarnęłaby mu, aż by mu w pięty poszło! Była po prostu niezdarta, dawała sobie jakoś radę z wszystkim w gospodarstwie, a nawet znalazła jeszcze czas na wędrówkę w sąsiedztwo, żeby się trochę nagać, Aksel bowiem nie był rozmowny.

Z wyniku procesu była bardzo niezadowolona, gniewał ją brak jakiegokolwiek kary sądowej. Jak to, Inger z Sellanrå zasądzono na osiem lat, a Barbro za to samo uwolniono zupełnie? Nie, tego nie mogła zrozumieć i dlatego złościła się całkiem nie po chrześcijańsku.

— Ale Wszechmocny nie objawił jeszcze swojej woli, tak, Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy! — powiedziała Olina i potrzęsała głową. I dawała upust swojej złości zwłaszcza podczas sprzeczki z Akselem; o, wtedy umiała być bardzo kąśliwa: — Tak, nie wiem, jakie tam dzisiejsze prawo na rozpustników z Sodomy i Gomory¹⁷³, jestem na to za głupia. Ja się wciąż trzymałam tego, co Bóg przykazał...

Ach, Aksel miał już dosyć swojej gosposi i wzdychał jeno, żeby ją jak najprędzej diabli wzięli. Wiosna teraz, a on znowu sam jeden w polu. Potem nastaną sianokosy, co on wtedy pocznie sam jeden jak kolek. Ładne widoki! Szwagierka jego z Bredablik napisała do swoich w Helgeland, żeby postarali się dla niego o jakąś mocną dziewczkę, ale dotychczas czekają na próżno. Gdyby zaś znalazła się jakaś, wówczas musiałby w każdym razie dać jej pieniądze na podróż.

Tak, Barbro postąpiła nikczemnie: dziecko sprzątnęła i sama uciekła. Dwie zimy już i jedno lato zmuszony był posługiwać się Oliną i zanosilo się na to, że w dalszym ciągu tak pozostanie. Ale czy ta nikczemnica, Barbro, okazała bodaj trochę skruchy? Zimą rozmawiał z nią któregoś dnia, ale ani jedyna łezka nie spłynęła jej po policzkach.

— Gdzieś podziła moje pierścionki, które ci niegdyś dałem? — spytał Aksel.

— Pierścionki? — spytała Barbro.

— Tak, pierścionki.

— Już ich nie mam.

— Już ich nie masz?

— Pomiedzy nami skończyło się wszystko, dlatego też nie mogłam nosić twych pierścionków.

— Chciałbym jeno wiedzieć, coś z nimi zrobiła?

— Czy chcesz, żebym ci je oddała?

— Nie przypuszczałem, że będziesz taka ordynarna. — Aksel zastanowił się nieco, a potem dodał: — Wynagrodziłbym cię za nie; nie wziąłbym ich przecie za darmo.

Ale nic z tego.

Barbro nie była zresztą taka ordynarna i brzydka, o nie, była ładna i ładnie się nosiła. We wsi opowiadana cichaczem, że znalazła sobie znowu jakiegoś kochanka, ale może to było tylko złośliwą plotką. Pani sołtysowa w każdym razie trzymała ją krótko i nie pozwoliła jej nawet pójść na tańce gwiazdkowe.

I trzeba przyznać, że pani sołtysowa miała ją naprawdę stale na oku. Gdy Aksel i Barbro, stojąc na ulicy, zajęci byli rozmową o pierścionkach, wtedy pani sołtysowa znalazła się nagle między nimi i rzekła:

— Barbro, uciekaj do kuchni, bo woda kipi!

Barbro uciekła, a pani sołtysowa zwróciła się do Aksela z zapytaniem:

— Czy nie mógłbyś mi sprzedać jakiejs sztuki bydła na zabicie?

— Hm! — odpowiedział Aksel.

Wszakże nie kto inny, jeno pani sołtysowa wychwalała go jesienią podczas powrotu z procesu i nazwała go najznakomitszym człowiekiem w całej okolicy. Aksel znał z dawna miejscowy zwyczaj obowiązujący wobec dostojników władzy i już wówczas jesienią powziął

¹⁷³*Sodoma i Gomora* — biblijne miasta nad Morzem Martwym, które z powodu grzechu i zepsucia zostały zniszczone przez Boga deszczem ognia i siarki (Rdz 18–19). [przypis edytorski]

zamiar ofiarowania pani sołtysowej młodego skopa. Ale mijały dni, jesień minęła, mijały miesiące, a Aksel jakoś nie kwapił się do uszczuplenia swego dobytku. Tak, tak, jeżeli zaoszczędzi sztukę bydła, nic złego się nie stanie, a jeżeli ją wyda, będzie o jedną sztukę uboższy.

— Hm. Dzień dobry! Nie, nie mam nic takiego na zabicie — odparł Aksel, potrząsając głową.

— Słyszałam, że masz cielaka — zauważyła pani sołtysowa.

— Owszem, cielaka mam.

— Na chów go trzymasz?

— Tak, na chów.

— Aha. A nie masz jakiego skopa?

— Nie, teraz nie mam.

— Ano, w takim razie nic z tego — rzekła pani sołtysowa, skinęła głową i poszła.

Aksel powracał do domu, ale wciąż jeszcze rozpamiętywał rozmowę z sołtysową i lękał się, czy jednak nie postąpił zbyt głupio. Pani sołtysowa była przecież niegdyś świadkiem niezwykle ważnym, świadczyła wprawdzie przeciwko niemu, ale ostatecznie i za nim. Różne rzeczy mu zarzucano, a mimo to wyszedł z opresji bez szwanku. Nie ma rady, będzie musiał pozbyć się skopa!

Dziwne zresztą, jak myśl ta kojarzyła się jakoś w odległych krańcach z Barbro. Gdyby do jej chlebowadczyny zaszedł ze skopem, wywarłoby to na Barbro z pewnością wielkie wrażenie.

Ale znowu mijał dzień za dniem i Aksel nie dopatrywał się szkody w zwłoce. I gdy mu znowu wypadło jechać do wsi, nie zabrał skopa, jeno jagnię. Duże jagnię to także nie bagatela.

— Ze skopa mięso twarde — rzekł do pani sołtysowej — dlatego przyniosłem pani coś naprawdę dobrego.

Pani sołtysowa jednak nie chciała nic słyszeć o darowiźnie.

— Powiedz, ile chcesz za to jagnię? — obstawała przy swoim.

Nie, ona nie zwykła przyjmować podarków od obywateli gminy.

I ostatecznie Aksel otrzymał za jagnię sowitą zapłatę.

Barbro nie spotkał nigdzie. Pani sołtysowa, ujrawszy go nadchodzącego, usunęła Barbro co prędzej z kuchni. No, taki już jego los! Barbro oszukała go i dzięki niej od półtora roku musi się obywać bez dziewczki!

IX

Na wiosnę gruchnęła wiadomość zupełnie nieoczekiwana o niesłychanej doniosłości: kopalnia miała być na nowo uruchomiona, Geissler sprzedał swoją górę! Czyżby naprawdę stał się cud? Ach, ten Geissler to człowiek, dalibóg, niezgłębiony, prawdziwie — władca tajemniczy! Jednym potrząśnięciem głowy potrafił wieś zdeptać i zmiażdżyć i jednym kiwnięciem głowy umiał znowu wieś ożywić i wywołać jej uśmiech radosny. Czarodziej, nie człowiek!

Czy nareszcie ruszyło go może sumienie i powiedziało mu, że dosyć już kary dla gminy, której był ongiś sołtysiem, że dość już razowego chleba i chudych sakiewek? A może uzyskał żądane ćwierć miliona? Czy też może Geissler dla braku pieniędzy zmuszony był sprzedać górę za byle co? Dwadzieścia pięć lub pięćdziesiąt tysięcy to ostatecznie także ładny grosz. Opowiadano poza tym, że sprzedaży dokonał w imieniu Geisslera syn jego.

Bądź co bądź, w kopalni znowu ruch. Ten sam inżynier wrócił z oddziałem robotników i rozpoczęto znowu robotę. Owszem, tę samą robotę, lecz całkiem innym sposobem, akurat odwrotnym.

Jak dotąd wszystko zapowiadało się jak najlepiej: Szwedzi przyszli z robotnikami i dynamitem, i z pieniędzmi, czegoż więc było potrzeba? I Aronsen powrócił, kupiec Aronsen koniecznie chciał kupić Storborg.

— Nie — oświadczył Elizeusz — nie sprzedam.

— A jeżeli dobrze zapłacę?

— Także nie!

O, Elizeusz nie sprzedaje już Storborgu. Pierwotnie szedł tu jak na ścieżkę, lecz z czasem zasmakował w tym nowym życiu na pustkowiu. Wszakże miał werandę wspianą z kolorowymi szybami i subiekta, który za niego pracował, on sam zaś mógł być podróżować. Tak, podróżować pierwszą klasą razem z wytwornymi panami. Gdyby kiedy wyjechać mógł do Ameryki, och jakże często myślał i marzył o przejażdżce do Ameryki. Ale i podróże handlowe do miast południowej części kraju miały swój urok. Nie dlatego przypadkiem, jakoby na własnym parowcu je odbywał lub żył hucznie i orgie wyprawiał. On i orgie! Człowiek z niego doprawdy osobliwy: o pleć nadobną wcale już nie dbał, dziewczęta nie budziły w nim już najłżejszego dreszczu tęsknoty, po prostu nie istniały dla niego. Tak, ale był przecież synem margrabiego, który jeździł pierwszą klasą i wiele, bardzo wiele skupował towarów. A z każdej takiej podróży wracał wytworniejszy i bardziej wystrojony. Ostatnim razem wrócił w kaloszach.

— Jak to, w dwóch parach butów chodzisz? — zapytywano go.

— Tak, cierpię na chroniczne zimne nogi.

I ludziska litowali się serdecznie nad jego chronicznie zimnymi nogami.

Błogosławione czasy, życie pańskie i próżniactwo! Nie, Storborgu nie sprzedaje. Czy miałby znowu wrócić do miasteczka, stanąć na nowo za ladą i być znowu subiektem? Nadto i on żywił obecnie nadzieję, że handel jego na Storborgu rozwinie się wkrótce do niebywałych granic: Szwedzi przyszlizli i zarzucają całą okolicę pieniędzmi. Byłby ostatnim osłem, gdyby sprzedał; Aronsen odszedł z niczym przeklinając własną głupotę, że tak samochcąc wyprowadził się z puszczy.

Ach, ludzie, więcej umiarkowania! Aronsen niepotrzebnie się złości i Elizeusz niepotrzebnie oddaje się tak wielkim nadziejom, a przede wszystkim mieszkańcy wsi powinni być powściągliwi w swych nadziejach i nie zacierać rąk z nadmiaru radości, bo tym dotkliwsze może być rozczarowanie. Czy bowiem uwierzycie: pracę kopalni rozpoczęto wprawdzie, ale z tamtej strony góry, o dwie mile dalej, od południowej strony własności Geisslera, w całkiem innej parafii. Stamtąd miała się eksploatacja posuwać powoli ku północy aż do pierwotnej kopalni miedzi i wtedy dopiero miał spaść na pustkowie i wieś deszcz złota.

Świadomość tego podziałała ogłuszająco jak najstraszniejszy wybuch dynamitu. Na mieszkańców wsi padły lęk, rozpacz i zwątpienie. Niektórzy lżyli Geisslera: przeklęty Geissler, znowu spłatał im figla! Inni urządzili zebranie i wysłali nową delegację, tym razem do zarządu kopalni, do inżyniera. Daremny trud; inżynier tłumaczył im, że roboty należy rozpocząć od strony południowej, ponieważ stamtąd bliżej do morza, tam nie potrzeba kolejki napowietrznej, stąd wielkie zaoszczędzenie kosztów transportu. Tak, zacząć trzeba od strony południowej — i basta!

Wobec tego Aronsen pojechał tam natychmiast po złote runo. Chciał zabrać i subiekta Andresena:

— Na co ci tu dłużej siedzieć — rzekł. — Będzie o wiele korzystniej dla ciebie, jeżeli pójdziesz ze mną.

Ale subiekt Andresen był uparty, chciał żyć w puszczy. Rzecz niepojęta! Bardzo mu się teraz w puszczy podobało i zda się, że coś go tu trzymało na uwięzi, coś, co silniejsze było od ponęt lepszych zarobków. Snadź zmiany jakieś dokonały się w Andresenie, boć puszcza pozostała ta sama, niezmienną. Ludzie tutejsi i stosunki utrzymały się te same jak ongi, przed laty. Kopalnia znikła, lecz żaden z mieszkańców pustkowia nie rozpacział z tego powodu, mieli oni swoje gospodarstwa, swoje żniwa i swój inwentarz. Gotówki wprawdzie mieli teraz mniej, ale za to mieli wszystko, co im do życia potrzebne. Nawet Elizeusz nie rozpacział zbyt, że złote runo nie do jego kieszeni wpadło; najgorsze było to, że w pierwszym zapale zaopatrzył się w mnóstwo niepotrzebnych towarów. Ano, muszą leżeć tymczasem i czekać szczęśliwszej chwili; służyły w każdym razie na ozdobę składu, a jemu na chwałę.

Nie, mieszkaniac pustkowia nie stracił głowy. Powietrze tutejsze służyło mu, dla swego nowego ubrania znajdował tu dostateczny podziw, nie odczuwał braku brylantów, a wino znał tylko z wesela w Kanie Galilejskiej¹⁷⁴. Mieszkaniac pustkowia nie trapił się

Sztuka, Pieniądz

¹⁷⁴wesela w Kanie Galilejskiej — epizod z biblijnej *Ewangelii wg Jana* (J 2, 1–12): gdy podczas wesela w miejscowości Kana w Galilei zabrakło wina, Jezus polecił sługom napełnić naczynia wodą, a następnie przemienił ją w wino. [przypis edytorski]

brakiem różnych wspaniałości — sztuka, gazety, różne zbytki i polityka tyle akurat są warte, ile ludzie chcą za nie zapłacić, więcej ani trochę. Atoli dochód z osady musiał być wypracowany bezwzględnie, to było podstawą, źródłem wszystkiego.

Co, życie mieszkańca pustkowia puste i smutne? Ho, ho, nic podobnego! Miał on swoje wyższe moce, swoje marzenia, swoje porywy miłosne i swój bogaty świat zabobonów. Sywert szedł pewnego wieczoru wzdłuż rzeki, aż oto stanął nagle jak wryty: na wodzie ujrzał dwie dzikie kaczki, kaczkę i kaczora. Spostrzegły go, ujrzały człowieka i spłoszyły się; jeden z ptaków powiedział coś, wyrzucił z siebie krótkie ostrzeżenie, melodię w trzech tonach, i drugi odpowiedział w tym samym tonie. W tej chwili zerwały się, niby dwa kółka skrzydlate, pofrunęły w górę rzeki i opadły z powrotem na wodę w odległości rzutu kamieniem. I wtedy jeden z nich znowu coś powiedział i drugi odpowiedział, znowu ta sama rozmowa, co przedtem, ale taka jakaś radosna i błoga: tony jej nastrojone wyżej o dwie oktawy. Sywert stoi i patrzy na ptaki, potem wzrok jego ucieka dalej i dalej, aż hen w krainę marzeń. Głos jakiś odezwał się w głębi jego duszy, jakaś słodycz przedziwna w nim weszła, zbudziło się w nim jakieś wspomnienie czegoś dzikiego a uroczenie pięknego zarazem, czegoś dawno, bardzo dawno przeżytego, czego już nie pamiętał. Zadumany poszedł do domu, nikomu nie o tym nie powiedział, bo słowa ludzkie są zbyt nikłe i słabe. Tak, był o Sywert z Sellanrą, ten chłop młody, prosty i pospolity, który pewnego wieczora, wyszedłszy nad rzeczkę, przeżył tak tajemniczą przygodę.

I nie była to jedyna jego przygoda, przeżył ich znacznie więcej. Nadto przeżyć musiał i to, że Jensyna opuściła Sellanrą. Fakt ten wywołał wielki nieład w usposobieniu Sywerta.

Tak, Jensyna poszła naprawdę, odeszła z własnej woli. Do tego doszło. Ach, Jensyna nie była pierwszą lepszą! Sywert zaproponował jej któregoś dnia, że ją znowu do domu powiezie, i wtedy nagle rozplakała się ni stąd, ni zowąd. Później żałowała swych łez i dała dowód, że ich żałuje: wypowiedziała służbę. Owszem, całkiem w porządku

I Inger niczego nie pragnęła tak gorąco jak odejścia Jensyny; Inger poczęła być niezadowolona z Jensyny. Dziwne to, ponieważ niczego zarzucić jej nie mogła, ale już sama obecność jej w domu drażniła ją. Miało to zapewne jakiś związek z obecnym stanem usposobienia Inger: przez całą zimę była melancholiczna i nabożna.

— Chcesz odejść? Owszem, nie trzymam cię — rzekła Inger.

Widziała w tym błogosławieństwo, wysłuchanie modlitw nocnych. Przecież były w domu dwie dorosłe kobiety, Inger i Poldynka, na co więc dłużej trzymać Jensynę, dziewczę tryskającą świeżością i bujnością dojrzałego owocu? Na młodzieńczą tę bujność spoglądała Inger z niechęcią, myśląc niewątpliwie: „Taka sama, jaką ja byłam wówczas!”.

Wciąż jeszcze trwała w wielkiej swej nabożności. Grzesznicą w gruncie rzeczy nie była nigdy, skosztowała wprawdzie krzynek z drzewa złego, ale nie brnęła w zło stale i nieustannie aż do starości. Myśl o tym, myśl-pokusę, odpychała od siebie z przerażeniem. Kopalnię zamknięto i wszyscy robotnicy zniknęli. — Boże miłosierny, toż nie mogło stać się lepiej! Cnota bowiem to nie tylko rzecz znośna, ale konieczna, dobro niezbędne, łaska.

Świat atoli jest zepsuty. Patrzcie jeno, jest tam i Poldynka, niedawno mała Poldyneczka, dzieciak, a już oto kipiąca zdrowiem i grzechem. Niechby tylko kto ramiona przed nią rozwarł, zaraz by w nie wpadła, fuj! Na twarzy jej poczęły ukazywać się wągry, oznaka gorącej krwi; tak, matka przypominała sobie dobrze, że u niej gorącość krwi tak samo się zaczęła. Matka nie potępiała swej córki z powodu owych wągrów, lecz postanowiła położyć im kres. Bo czegoż szukał na Sellanrą ów subiekt Andresen? Przychodził tu co niedzielę i bał z Izakiem o gospodarstwie. Czy wyobrażali sobie może, że Poldynka nie ma oczu ani uszu? A wągry to co? Och, ta młodzież! Zwariowana była zawsze, już przed laty trzydziestu, czterdziestu, ale młodzież dzisiejsza była znacznie gorsza niż dawniejsza.

— Hm! — rzekł Izak, gdy o tym rozmawiali. — Wiosna teraz i Jensyna poszła sobie, kogoż weźmiemy na żniwa?

— Obie pójdziemy do roboty, Poldyna i ja — oświadczyła Inger. — Choćby mi przyszło pracować dzień i noc! — zawołała wzburzona, bliska płaczu.

Izak nie wiedział, o co jej właściwie idzie, ale on miał swój pogląd, dlatego wziął motykę i łopatę, poszedł na skraj lasu i jął obrabiać kamień. Nie, doprawdy, Izak nie mógł zrozumieć, dlaczego Jensyna odeszła, szkoda jej, taka dzielna. Ano, wielu rzeczy nie rozumiał, na ogół rozumiał to, co mu było najbliższe: pracę, robotę legalną i naturalną.

Ptak

Marzenie

Cnota

Młodość, Pożądanie

Krępy a rozrosły, nie miał w sobie nic z powiewności ciała astralnego¹⁷⁵, jadł, jak przystało na prawdziwego mężczyznę, i jedzenie służyło mu, dlatego też niezmiernie rzadko wypadł z równowagi.

A więc robota przy kamieniu koło lasu. Było wiele innych kamieni, z którymi nareszcie trzeba było zacząć. Izak czuł, że zbliża się ów dzień, kiedy będzie musiał pobudować tu domek, kącik dla siebie i Inger. Pragnął przygotować odpowiednie miejsce i wyrównać ziemię, zanim Sywert wróci ze Storborgu, gdyż inaczej musiałby się przed synem tłumaczyć, a tego chciałby koniecznie uniknąć. Oczywiście kiedyś nadejdzie dzień, kiedy Sywert zajmie wszystkie budynki na majątku, a wtedy też rodzicom potrzebna będzie inna chałupa. Na Sellanrą wiecznie coś budowano; strych na siano nad nową stajnią także jeszcze niewykończony, lecz belki i tarcice do niego leżą już gotowe.

A więc robota przy kamieniu. Oceniając sterczący nad ziemią czub granitu, zdawać by się mogło, że to kamień niezbyt wielki; mimo to jednak nie można go było ruszyć, czyli że był to kawałek niezgorszy. Izak wykopał dokoła niego głęboki rów i próbował podważyć go rydłem, ale kamień ani drgnął. Kopał jeszcze głębiej i znowu nic. Więc wykopaną ziemię odgarnął i znowu kopał i próbował — i nic. „A to dopiero kamyczek!” — pomyślał Izak w niewyczerpanej swej cierpliwości. Długo już kopał i mozolił się, lecz końca kamienia jak nie widać, tak nie widać. Można by głaz rozsadzić, ale wtedy by detonacja zwabiła wszystkich domowników. Przeto Izak kopał w dalszym ciągu, potem przyniósł z domu potężny drąg żelazny, próbując nim podważyć — ale znowu na próżno. I znowu kopał. Teraz jednak zaczął się po trosze złościć na uparciucha. Wpatrywał się w niego, nasrożył brwi i krytykował, że taki okrągły i głupi i nigdzie zahaczyć się nie pozwoli. Miałże go rozsadzić? Jeszcze czego, szkoda prochu dla takiego uparciucha! Co, przed kamieniem ustąpić?!

Izak kopał. Wysilał się w pocie czoła i z jakimże wynikiem? Nareszcie udało mu się koniec drąga założyć poniżej kamienia — spróbował — kamień ani drgnął. Co za lichy w nim siedzi? Czyż to mało kamieni wydobył na Sellanrą? A może postarzał się? Śmieszne, he, he! Doprawdy śmieszne! Niedawno wprowadzie doświadczył czegoś, co wskazywałoby na ubytek sił, lecz nie przejmował się tym tak dalece, wmawiając w siebie, iż to przywidzenie. A teraz oto historia z kamieniem; wykluczone, żeby mógł go wyważyć.

Proszę patrzeć — jak Izak całym swym ciężarem kładzie się na drąg i natęża wszystkie swe siły — to nie bagatela! Ot, leży pochylony naprzód, potężnymi łapskami tłoczy drąg i tłoczy niby cyklop¹⁷⁶. Wspaniały obraz!

Mimo to kamień ani drgnął.

Nie ma rady, trzeba głębiej kopać. Czyżby jednak nie było lepiej rozsadzić go? Milcz! Głębiej kopać i basta! I jeszcze gorliwiej zabrał się do roboty. Musi go wydostać i basta! W owym rozpędzie i zawziętości Izaka nie było nic z perswazji; była to po prostu dawna pasja chłopca do karczowania gleby. Zgrzał się z nadmiaru gorliwości. Znowu założył drąg i — nic. A to dopiero harda sztuka! Ho, ho, a jednak! Izak próbuje raz jeszcze i nabiera otuchy. Wtem drąg wysliznął się i Izak runął jak długi. „A do pioruna!” — stęknął mimo woli i splunął.

W tej samej chwili nadchodziła Inger i już z daleka wołała głosem serdecznym:

— Izak, czas na obiad, proszę bardzo!

— Dobrze — odrzyknął i jednego tylko pragnie, żeby się nie zbliżała; nie ma ochoty na rozmowę.

Inger wszelako niczego się nie domyślała i jakby na złość zmierza wprost na kamień.

— Cóżes znowu sobie wymyślił? — spytała, pragnąc mu tym podmaslić¹⁷⁷.

Lecz Izak jest bardzo zły, okrutnie zły, warknął tylko:

— Nie wiem!

I Inger w naiwności swej istotnie niczego się nie domyśliła, zamiast odejść, wypytuje o wszystko i gada, gada.

— Ano, skoro już tu jesteś, na co ukrywać... kamień ten muszę wyjąć — powiedział.

¹⁷⁵*astralny* (z łac.) — gwiazdny; w astrologii i spirytyzmie: niematerialny. [przypis edytorski]

¹⁷⁶*cyklopi* (mit. gr.) — olbrzymi z jednym okiem na środku czoła; przypisywano im wzniesienie tzw. murów cyklopowych, w istocie konstrukcji kultury egejskiej i mykeńskiej wykonanych z wielkich, jedynie powierzchniowo obrobionych kamieni, dopasowanych do siebie bez spajania zaprawą. [przypis edytorski]

¹⁷⁷*podmaslić* (daw.) — przypochlebić się; dać łapówkę. [przypis edytorski]

— Aha, chcesz go wyjąć?

— Tak.

— A czy nie mogłabym ci pomóc?

Izak potrząsnął głową. Ale był to przecież ładny rys jej charakteru, który Izaka zupełnie rozbroił.

— Zaczekaj chwilkę — powiedział i pobiegł do domu po dłuto i młot kowalski.

Jeżeli z kamienia odlupie się kawałek w miejscu właściwym, natenczas będzie można zaczepić go należycie drągiem. Inger trzyma więc dłuto, a Izak uderza w nie z rozmachem. Powiodło się, odpadł spory odlamek.

— Dzięki ci za pomoc — rzekł Izak. — Nie czekaj na mnie z obiadem, najpierw muszę się uporać z tym kamyczkiem.

Inger jednak pozostaje, a Izak nie gniewa się o to; on nigdy nie gniewał się o to, że Inger podziwiała jego pracę. Patrząc, co za wspaniałą zaczepkę znalazł teraz dla drąga; podnosi — kamień się ruszył!

— Rusza się! — woła Inger.

— Nie kpj ze mnie — odparł Izak.

— Nie kpię! On się naprawdę rusza!

A więc tak, kamień poruszył się, czyli że Izak wygrał sprawę z kamieniem. Reszta to już drobnostka, raz-dwa go pokona. Izak zapiera w dalszym ciągu drąg żelazny, pcha i podnosi, podnosi i pcha — ale wszystko to nie prowadzi do niczego. Kamień porusza się bardzo leniwie. Nagle przejrzał! Przejrzał, że brak mu dawnej krzepy. Tak, nie inaczej, osłabł, dawne siły poczęły wątleć. I serce tego pokornego człowieka załała straszna gorycz. Gdybyż przynajmniej Inger nie była tego świadkiem!

Izak wściekł się, rznął sztabę i porwał za młot. Wielkimi krokami biegał dokoła kamienia i patrzył na niego, jakby go pragnął zastraszyć, co więcej, jakby zamyślał go zdruzgotać na drobne kawałki. I czemu by nie miał go zdruzgotać? Roztrzaskanie kamienia, którego się nienawidzi, to tylko kwestia formalna. A może kamień stawia opór i nie pozwoli się zdruzgotać? O, to się pokaże, kto kogo przeżyje!

Inger zmiarkowawszy, co się w nim dzieje, spytała strwożona:

— A może byśmy spróbowali podnieść go we dwoje?

— Nie — warknął Izak wściekle. Ale po chwili zastanowienia rzekł: — Zresztą, skoro już tu jesteś... chociaż nie rozumiem, czemu nie wracasz do domu. No, spróbujemy!

I powiodło się! Udało się wywrócić kamień na kant. Doskonale.

— Phu! — sapnął Izak.

Lecz teraz właśnie oczom ich ukazało się coś zgoła nieoczekiwanego! Spód kamienia jest płaski — duża piękna płaszczyzna, równa i gładka jak stół. A więc jest to tylko połowa kamienia, druga połowa musi znajdować się gdzieś w pobliżu. Izak wiedział, że każda z obu części kamienia może przybrać inne położenie w ziemi oraz że z powodu mrozów mogą się z biegiem czasu znacznie od siebie oddalić. Zdobyć ta ucieszyła go jednak niepomiernie. O, kamień ten będzie niezwykle użyteczny, będzie z niego wspaniały próg. Zdobyć większej sumy pieniędzy nie byłaby uradowała jego serca tak, jak zdobyć tego właśnie kamienia.

— To będzie ładny próg do chałupy — rzucił dumnie, a Inger spytała w najlepszej wierze:

— Nie rozumiem, po czym poznałeś, że on akurat taki będzie na spodzie?

— Hm! — odrzekł Izak. — Czy myślisz, że bym się nim trudził, gdybym nie miał pewności?

Do domu wracają już razem, Izak uzyskał dla siebie podstępnie podziw niezасłużony, ale i tak niewiele się różni w smaku od podziwu zasłużonego. Dowodził, że dosyć długo już polował na porządną próg, aż i znalazł. Teraz przynajmniej pod pozorem szukania drugiej połowy progu będzie mógł tam spokojnie pracować około przygotowania placu pod budowę chałupy, będzie mógł karczować i wyrównywać powoli. Mimo wszystko przecież po powrocie Sywerta ze Storborgu wziął go do pomocy.

Skoro jednak do tego doszło, że przy wyważaniu kamienia nie może się obejść bez pomocy, natenczas dużo się już zmieniło i wyglądało zgoła niebezpiecznie; sprawa budowlą stała się pilna. Starość wlaźła na jego barki, teraz poczynił być zdatny na kompost.

Starość

Triumf, jaki przywłaszczył sobie przy sposobności znalezienia progu, rozwił się szybko, był fałszywy, przeto nietrwały. Izak chodził teraz nieco przygarbiony.

Tak, niedawno jeszcze słowa takie jak „kamień” albo „rów” budziły jego najwyższą uwagę i zagrzewały, i nie dawały spokoju. Teraz atoli z dnia na dzień słuchał ich z coraz większym spokojem. Hej, mocny Boże! Nic już nie działo się tak jak dawniej bywało, cała puszcza się zmieniała. Dawniej nie prowadziła przez las szeroka droga telegraficzna i wierchy górskie stały spokojnie, we wnętrznościach ich nie wiercono. A ludziska? Czy słyszy się jeszcze „Niech będzie pochwalony” na powitanie, a na pożegnanie „Ostańcie z Bogiem”? Tak dawniej mawiano, a dziś? Dziś ludziska głową tylko kiwną, a i to nie zawsze.

Ale dawniej nie było też Sellanrą, a tylko gamma torfem obłożona, no i margrabiego nie było.

Tak, i cóż ostatecznie pozostało dziś z margrabiego? Nic, jeno żalosny i zwiędły strzęp chłopa. Na co jeść i świadczyć żołądkowi dobrodziejstwo, skoro stąd sił już nie przybywało? Tak, teraz Sywert miał krzepę i dzięki Bogu, że ją miał! Co po takim kole, które zaczyna wolniej się kręcić? Pracował, jak przystało na prawdziwego mężczyznę, dźwigał na swych barkach ciężary niby wół, a teraz co? Nie udźwignie nawet tyle, co stara zjeżdżona szkapka.

Izak jest niezadowolony. Izak jest smutny.

Hej, ładne to były czasy, gdy ścinał w lesie dragowinę na drewno sążniowe, a Inger przychodziła do niego, przyglądała się robocie i podziwiała. Były to najładniejsze lata w jego życiu. A gdy nastał marzec i kwiecień, wtedy on i Inger kochali się tak jak owe ptaszki i zwierzyzna leśna... Gdy zaś nadszedł maj, wtedy siał ziarno, sadził ziemniaki i pracował we dnie i w nocy. Była praca i spoczynek, miłość i marzenia. Tak, tak, był on jak pierwszy jego byczek, a to był przecież okaz paradny¹⁷⁸, wielki i wspaniały niby król... Tak, takiego maja już się nie doczeka, skończyły się ładne czasy. Hej, mocny Boże!

Przez kilka dni z rzędu Izak był przygnębiony. Ciężkie to były dni. Ani ochoty nie miał, ani sił do nadbudowania strychu nad nową stajnią. Ano, będzie to kiedyś rzeczą Sywerta, obecnie należało się zabrać do zbudowania chatki dla... nieużytków. Trudno było kryć się z tym dłużej przed Sywertem, więc pewnego dnia zaprowadził go na skraj lasu i rzekł:

— Patrz, jaki ładny kamień, może byśmy zaczęli znowu coś budować? I ten tu kamień jest także niezgorszy.

— Paradny — odparł Sywert.

— Jak myślisz? Tak długo już ryję tu w poszukiwaniu drugiego progu, że ani się spodziewałem, jak ładny powstał plac budowlany. Ale może się myłę?

— Tak, to naprawdę ładny plac do zabudowania — potwierdził Sywert, rozglądając się dokoła.

— Tak myślisz? Moglibyśmy tu postawić jaki domeczek dla gości, o ile czasem kto przyjedzie.

— Tak.

— Może izbę i komorę? Widziałeś przecie, jaka była bieda, gdy ostatnim razem zamiechali do nas panowie ze Szwecji. Ale jak myślisz, mała kuchenka też by się pewnie przydała na wypadek, gdyby chcieli sobie coś ugotować.

— Tak, naturalnie, gdyby nie mieli kuchni, wyśmieliby nas.

— Tak myślisz?

Ojciec zamilkł. Tak, z Sywerta był naprawdę chłopak zadziwiający; jakże szybko poplątał się, że dla przybywających z Szwecji panów potrzebny jest domek. I o nic się nie wypytywał, jeno zauważył:

— Gdybym był tobą, ojczu, przybudowałbym do ściany północnej małą stodółkę. Przydałaby im się na przykład do suszenia rzeczy, gdyby w deszczu przemokli.

— Prawdę mówisz! — potwierdził ojciec skwapliwie.

Tak więc, porozumiawszy się co do budowy nowej chatki, zamilkli i wzięli się do obróbki kamieni. Po dłuższej chwili ojciec zapytał:

— Czy Elizeusz jeszcze nie wrócił?

Przemijanie

Starość

Wspomnienia

¹⁷⁸paradny (daw.) — reprezentacyjny, wspaniały. [przypis edytorski]

— Wróci niebawem — odparł Sywert wymijająco.

Elizeusz wyjeżdżał bardzo często, ba, on wciąż by tylko podróżował. Czyżby towarów swych nie mógł zamawiać pisemnie? Nie, po wszystko sam jeździł; kupował co prawda taniej, lecz za to ileż kosztowała go podróż! Taka już osobliwa była jego kalkulacja. Na co jednak sprowadzał takie mnóstwo czepeków jedwabnych do chrztu, czarnych i białych kapeluszy słomkowych, fajek długich i materiałów bawełnicowych? Wszystko to przecież nie miało najmniejszego popytu wśród mieszkańców pustkowia, a ludzie z dołu, ze wsi, przychodzili na Storborg wówczas tylko, kiedy nie mieli pieniędzy. Elizeusz był dzielny w swoim rodzaju, ho, wystarczyło przyjrzeć się, z jaką biegłością pisał na papierze lub zliczał kredką! „Tak, gdybym ja mógł poszczycić się taką głową!... Tak, nie każdy może mieć taki rozum!” — zachwycali się w takich razach kupujący. Pięknie, ale za wiele kredytował. Ludzie z dołu nigdy wszakże nie płacili, a brali w nieskończoność; nawet taki nędzarz jak Brede Olsen przytryndał się zimą na Storborg i otrzymał na kredkę porcję materiału bawełnicowego i kawy, i syropu, i świec.

Izak sporo już wydał na Elizeusza i na jego kram, i na jego podróże, tak że już niewiele pozostało z owego bogactwa, jakie otrzymał był za górę miedzianą.

— Jak myślisz, jak długo jeszcze pójdzie tak z Elizeuszem? — spytał Izak niespodziewanie.

— Z Elizeuszem? — spytał Sywert, aby zyskać czas do namysłu.

— Nie zanosz się na to, żeby się miało zmienić na lepsze.

— On sam jednak jest dobrej myśli — zauważył Sywert.

— Tak, czy rozmawiałeś z nim o tym?

— Nie, Andresen tak mówił.

Ojciec myśli i myśli, a potem głową potrząsa i mówi:

— Nie, nie zmieni się... Szkoda chłopca!

I ojciec zasępią się jeszcze więcej.

Wtedy Sywert wyrusza z nową wiadomością:

— Obecnie przybywa tu kilku nowych osadników.

— Aha!

— Tak, dwu nowych osadników. Okupili się wyżej od nas.

Izak przerywa robotę i prostuje się. Tak, to wielka nowina i dobra nowina, jedna z najlepszych.

— W takim razie na pustkowiach będzie nas razem dziesięciu osadników — rzekł.

A dowiedziawszy się od Sywerta, gdzie nowi osadnicy się okupili, skinął głową i oświadczył:

— Tak, dobrze wybrali, tam mają dobry las opałowy i budulcowy. Ich grunty mają spadek na południowy wschód.

Tak, Izak miał w głowie geografię całego pustkowia.

Osadnicy przybywali na pustkowie coraz liczniej; nie było takiej siły, która by ich od tego powstrzymała. Kopalnia wprawdzie zamarła, ale to właśnie wyszło na korzyść rolnictwu. Nieprawda, jakoby na pustkowie panowała pustka i martwota, przeciwnie, życie tam wrzało. Przybyło więc znowu dwu osadników, a więc czworo rąk do pracy, a przeto powstaną nowe pola, łąki, domy. Ach, te rozległe, w odwiecznych lasach wykarczowane połoniny, chaty i źródła, dzieci i zwierzęta! Żyto rośnie na bagniskach, gdzie dawniej skrzyp się panoszył, dzwonki niebieskie wabią i nęcą z pagórków, a przeloty¹⁷⁹ i nostrzyki¹⁸⁰ złocą się przed domami. I są tam ludzie, którzy mówią i myślą, i stanowią całość z niebem i ziemią.

I tu oto stoi on, ten, który pierwszy osiadł na pustkowie. Gdy tu przyszedł, brodził po kolana w błotach i wrzosowisku; wyszukał słoneczną halę i założył osadę. Po nim przyszli inni i poprzez nieznaną ziemię wydeptali ścieżkę. Potem przyszli jeszcze inni i ścieżka zamieniła się w szeroki gościniec pnący się wysoko aż na Sellanrå i jeszcze wyżej. On dał podstawę do nowego życia na pustkowie, on przeto jest istotnym margrabią.

¹⁷⁹*przelot* (bot.) — roślina o żółtych liściach, rosnąca na suchych łąkach i wapiennych skałach gór. [przypis edytorski]

¹⁸⁰*nostrzyk* (bot.) — roślina motylkowa o żółtych lub białych kwiatach, rosnących w wielokwiatowych grobach. [przypis edytorski]

— Tak, tak, musimy skończyć nareszcie z karczowaniem tego placu, bo inaczej nie wydolamy w tym roku ze strychem nad stajnią — rzekł Izak.

I powiedziawszy to, omal nie wybuchnął, w serce jego bowiem wstąpiła nowa radość, nowa ochota...

X

Kobieta jakaś wędruje w górę wśród kniei pustkowia. Ciepły deszcz kropi obficie, kobieta przemokła do suchej nitki, ale ona nie zważa na to, trapią ją inne myśli, mianowicie niepokoi ją pytanie, czy... Jest to Barbro, nikt inny, tylko Barbro, córka Bredego. Tak jest, ma słuszny powód do gorączkowego niepokoju, ponieważ trudno jej przewidzieć, jaki obrót weźmie cała ta awantura; wszakże pani sołtysowa wydalila ją ze służby. Otóż to.

Z dała omija wszystkie osiedla na pustkowiu, aby nie spotkać się z ludźmi. Domyśliliby się przecież natychmiast celu jej wędrowki, ponieważ na plecach dźwiga tobole z rzeczami. Tak jest, do Måneland wędruje i tam pragnie pozostać.

U pani sołtysowej służyła dziesięć miesięcy. Czas to bardzo długi, gdy się go przeliczy na dni i noce, ale jeszcze dłuższy, gdy się uwzględni przymus i wyrrywające się myśli i chęci. O, wtedy dziesięć miesięcy równało się wieczności. W początkach było naprawdę dobrze; pani Heyerdal troszczyła się o Barbro i opiekowała się nią jak matka, dawała jej fartuchy i inny piękny przyodziewek. Paradowanie w pięknym stroju przez wieś do kupca po sprawunki, ach, to przyjemność nad przyjemnościami. Wszakże Barbro pamięta wieś z czasów dzieciństwa. Z tych czasów znała wszystkich mieszkańców; tu chodziła do szkoły i całowała chłopaków, i w kamyczki bawiła się, i w muszelki, i w różne inne gry. Przez kilka miesięcy panowała zgoda. Ale ani Heyerdal posunęła się w swej gorliwości opiekuńczej nieco za daleko i w okresie zabaw gwiazdkowych stała się wręcz sroga. I na co to wszystko, chyba po to tylko, by podkopać dotychczasowe dobre stosunki! Barbro w ogóle by długo na tej służbie nie wytrzymała, gdyby nie posiadała dla siebie kilku wolnych godzin nocnych: od drugiej do szóstej rano czuła się mniej więcej wolna od kontroli, przeto w tych właśnie godzinach pozwalała sobie na niejedną skrytą uciechę. A kucharka co na to, nie naskarzyła na Barbro? Była ona zgoła pospolitą służącą i sama również urządziła niedozwolone wycieczki poza dom. Kucharka i Barbro, Barbro i kucharka, obie pełniły straż na przemian.

I wiele minęło czasu, zanim je wysledzono. Barbro nie była taka lekkomyślna, aby miała afiszować nadmiar swego zepsucia. Barbro zepsuta? O, ona umiała oprzeć się pokusie, ale tyle tylko, ile było potrzeba. Gdy jakiś parobczak zapraszał ją na tany gwiazdkowe, dawała mu pierwszym razem odpowiedź odmowną, drugim razem również, lecz trzecim razem rzekła nie bez wahania:

— Zobaczę, czy będę mogła się uwolnić od drugiej do szóstej.

Widzicie, tak odpowiada przyzwoita dziewczyna! Była służącą i nie znała innej przyjemności jak swawolę. I tego tylko pożądała. Pani sołtysowa nie szczędziła jej wielkich mów i pożyczala jej książki umoralniające, pouczające, pannie Barbro, która była w Bergen, czytała gazety i uczęszczała do teatru! Przecież ona nie wieśniaczka, a panna miejska!

Lecz pani sołtysowa powzięła widocznie jakieś podejrzenie: pewnej nocy około trzeciej nad ranem stoi pod drzwiami komory dziewczyn i woła:

— Barbro!

— Tak — odpowiada kucharka.

— Gdzie Barbro? Otwórz!

Kucharka otwiera i udziela umówionych poprzednio wyjaśnień, mianowicie, że Barbro musiała wyjść nagle do rodziców.

— Nagle, do rodziców? Przecie to noc, już godzina trzecia — dziwi się pani Heyerdal.

Nazajutrz nastąpiło przesłuchanie: przywołano Bredego i pani sołtysowa powitała go z miejsca chytrym zapytaniem:

— Czy Barbro była u was dzisiejszej nocy o trzeciej?

Brede nie był wprawdzie przygotowany na podobne indagacje¹⁸¹, lecz mimo to nawet się nie zająknął.

¹⁸¹ indagacja (z łac.) — dopytywanie się, wypytywanie. [przypis edytorski]

— Owszem, o trzeciej w nocy. Siedzieliśmy tak długo, ponieważ mieliśmy omówić coś bardzo ważnego — odrzekł ojciec Barbro bez zająknięcia.

Na to oświadczyła pani sołtysowa uroczyście:

— Od dzisiejszego dnia Barbro nie będzie wychodzić nocą!

— Ależ oczywiście, nie będzie — odparł Brede. — Słyszałaś, Barbro! Ja ci to zaraz mówiłem! — rzekł ojciec.

— Gdy będziesz chciała, pozwolę ci czasami pójść do rodziców, ale tylko w porze popołudniowej — oświadczyła pani sołtysowa.

Ale mimo wszystko czujna pani sołtysowa nie pozbyła się swych podejrzeń; po tygodniu urządziła nową próbę, o godzinie czwartej nad ranem.

— Barbro! — zawołała.

O, lecz tym razem kucharka była na zabawie, a Barbro stała na straży. Pani sołtysowa znalazła się w kłopotcie, co odpowiedzieć, przeto spytała:

— Czyś zabrała wczoraj wieczorem bieliznę z ogrodu?

— Tak!

— To dobrze, bo zanosi się na burzę. Dobranoc.

Taka nocna kontrola nie należała zresztą do przyjemności, dlatego pani sołtysowa poprzestała na tej jednej udanej próbie. Poza tym niech się dzieje, co chce, więcej razy kontrolować nie będzie.

I gdyby szczęście nie było opuściło ich zdradziecko, Barbro byłaby wytrzymała ze swoją panią choćby i rok w takich warunkach. Ale niestety przed kilku dniami nastąpiła między nimi katastrofa.

Działo się to w kuchni wczesnym rankiem. Zaczęło się od tego, że Barbro pogniwała się trochę z kucharką. Właściwie nie trochę, ale znacznie. Kłóciły się coraz głośniej i głośniej i zapomniały do cna o pani Heyerdal. Kucharka postąpiła nieładnie; kolej korzystania z nocki niedzielnej przypadła na Barbro, a kucharka mimo to uprzedziła ją w sposób zdradziecki i pierwsza wymknęła się cichaczem. I czy usprawiedliwiła się przed Barbro? Czy powiedziała bodaj, że musiała wyjść, aby pożegnać kochaną siostrę, która wyjeżdża do Ameryki? Nie, nic z tego, nie tylko że się nie usprawiedliwiła, ale nadto miała tę czelność twierdzić, iż nocy tej doskonale użyła.

— Ty fałszywce bezwstydnym, ty podła szmato! — wrzeszczy Barbro.

I wtedy to pani Heyerdal znalazła się pod drzwiami. Być może, że początkowo miała zamiar poprosić dziewczyny o wyjaśnienie powodu tak głośnej kłótni, powiedziała im nawet dzień dobry, lecz nagle spojrzała ostro na Barbro, pochyliła się naprzód i uparczywie wpatrywała się w jeden punkt na jej chustce. Chwila to była groźna. Gdy nagle pani sołtysowa wydała z siebie krzyk przerażenia i wykonała ręką ruch rozkazujący ku drzwiom. „Cóż, na Boga, się stało?” — myśli Barbro i spogląda na okrywającą ją chustę. Boże święty, takie głupstwo jak wesz! Barbro uśmiecha się mimo woli i strzepuje wesz na podłogę.

— Co, na podłogę! — wrzasnęła pani sołtysowa. — Czyś zwariowała?! Podnieś natychmiast tego stwora!

Barbro nachyliła się i szuka, i udaje, że znalazła i wykonując wspaniały gest, wrzuca wesz w ogień.

— Skąd ją przywlokłaś? — zapytała pani wzburzona.

— Skąd? — odrzekła Barbro.

— Tak, chcę wiedzieć, gdzieś była i skąd ją przywlokłaś! Odpowiadaj!

I oto Barbro popełniła ten wielki błąd, iż nie powiedziała: „W kramie!”. To jedynie byłoby sprytne. Zamiast tego jednak Barbro powiedziała, że nie wie, skąd wesz na nią wlaźła, przy czym wcale niedwuznacznie dała do poznania, że najprawdopodobniej będzie to nabytek od kucharki. Tego było jeszcze potrzeba! Kucharka skoczyła jak oparzona:

— Co, ode mnie? Ty sama przynosisz z sobą wesz!

— Tak... A kto laufrował¹⁸² dzisiejszej nocy poza domem?

I znowu błąd wielki; Barbro powinna się była ugryźć w język, zanim coś podobnego powiedziała. Czy można dziwić się kucharce, że wobec tak jawnej zdrady rozpuściła swój

Owad

¹⁸²laufrować (daw. pot.) — włożyć się, wałęsać się. [przypis edytorski]

język? Tak więc sprawy nieszczęsnej nocy ujrzały światło dzienne. Pani Heyerdal oburzona do najwyższego stopnia; daje spokój kucharce, ale za to gromami swego gniewu godzi w Barbro, w tę, za którą ręczyła. I mimo wszystko sytuacja nie byłaby przegrana, gdyby Barbro się ugięła i padła do nóg pani sołtysowej, zaklinając się, że w przyszłości już się to nie powtórzy. Ale nic z tego, Barbro była głupia i stawiała się hardo. Tak, a może to chytrość z jej strony, może pragnęła doprowadzić do ostatecznego zerwania, żeby wydostać się stąd.

Pani Heyerdal rzekła:

— Z paszczy lwa cię wyrwałam.

— A kto panią prosił o to?

— Taka twoja wdzięczność?

— Ach, na co to gadanie! — odrzekła Barbro. — Gdyby mnie byli zasądzi, to w każdym razie nie na więcej jak na kilka miesięcy, a potem miałabym przynajmniej spokój!

Pani Heyerdal oniemiała na chwilę i stoi przed Barbro w najwyższym osłupieniu. A pierwsze słowo, które z jej ust się wydiera, to wypowiedzenie służby.

— Jak pani sobie życzy — oto wszystko, co odpowiedziała Barbro.

I odeszła, jakiś czas siedziała u rodziców. Ale nie mogła siedzieć tam wieki. Co prawda wiodło im się nieźle, matka urządziła kawiarnię, do której uczęszczało wielu bliższych i dalszych sąsiadów ze wsi; ale to nie starczyło na wyżywienie Barbro. Poza tym jednak miała i inne powody, aby znaleźć znowu jakieś stałe zajęcie. Dlatego wzięła dziś na plecy worek z rzeczami i powędrowała na pustkowie. Pytanie tylko, czy Aksel Ström zechce ją przyjąć ponownie!

Deszcz pada, droga błotnista, lecz Barbro nie zatrzymuje się. Już wieczór, ale ponieważ to jeszcze przed świętym Olafem¹⁸³, przeto nie ściemnia się. Biedna Barbro, nie oszczędza się, powzięła mocne postanowienie, ma cel przed sobą i dlatego podejmuje tę pierwszą walkę. W gruncie rzeczy nie oszczędzała się nigdy, nigdy nie była gnuśna i dlatego jest urodziwa, ładna i zgrabna. Jest pojętna, ale zdolności tej używa często na własną zgubę. Nie w tym dziwnego. Nauczyła się ratować z opresji tylko kłamstwem i wybiegiem. Mimo wszystko nie brak jej pewnych zalet: śmierć dziecka nie przeraża jej, ale dla dziecka żywego mogłaby mieć serce. Nadto była bardzo muzykalna, brzdąkała na gitarze miękko i harmonijnie, przyspiewując głosem nieco ochrypłym, co brzmiało przyjemnie i melancholijnie. Oszczędzać się? Na co? Ho, zatracić się bez najmniejszego nad sobą współczucia. Kiedy niekiedy płakała i wtedy zdało się, że z takiego lub innego powodu pęknie jej serce; tak, ale to pochodziło z owych wzruszających pieśni, jakie śpiewała — tak, to była poezja i błogość słodka, i smutek, czym oszukiwała często i siebie, i innych. Gdyby mogła zabrać z sobą gitarę, byłaby wzruszyła dzisiejszego wieczoru Aksela...

Kobieta

Muzyka, Śpiew

Urządza się tak, żeby stanąć u celu jak najpóźniej wieczorem. I rzeczywiście, kiedy wstępuje do zagrody, na Måneland panuje senna cisza. Któż by się był spodziewał — Aksel rozpoczął już w pobliżu sianokosy i nawet zwiózł do szopy część suchego siana! Teraz Barbro przystaje na chwilę i zastanawia się: stara Olina śpi zapewne w komorze, a Aksel w szopie na sianie, tam, gdzie ona sama niegdyś sypiała. Niby złodziej skrada się do znanych sobie drzwi, po czym woła przyciszonym głosem:

— Aksel!

— Kto tam? — rozlega się z wnętrza.

— To ja — rzekła Barbro, wchodząc do szopy. — Czy mogłabym tu przenocować?

Aksel patrzy na nią i nie spieszy się, siedzi w gatkach i patrzy na nią:

— Tak, toś ty? — przemówił. — Dokąd idziesz?

— Tak, to zależy przede wszystkim od ciebie i od tego, czy nie potrzebna ci pomoc na lato.

Aksel myśli, myśli, a potem pyta:

— Czy do sołtysów już nie wracasz?

— Nie, pożegnałam się na dobre.

— Tak, na lato przydałaby mi się jakaś pomoc... A może ty chcesz na stałe tu zostać?

¹⁸³ *dzień św. Olafa* — święto katolickie i prawosławne obchodzone 29 lipca, na pamiątkę śmierci Olafa II Haraldssona, króla Norwegii, który zaprowadził w kraju chrześcijaństwo. [przypis edytorski]

— Nie, nie kłopot się o mnie... Jutro zaraz mogę odejść, pójdę do Sellanrå i dalej, na tamtą stronę gór.

— Tak, toś się już zgodziła?

— Tak.

— Na lato przydałaby mi się pomoc — powtarza Aksel.

Barbro przemokła do suchej nitki, przeto musi się przebrać.

— Nie potrzebujesz się mną krępować — zauważył Aksel i cofnął się odrobinę ku drzwiom.

Barbro rozbiera się, a podczas tego rozmawiają ze sobą i Aksel zerka na nią ukradkiem.

— Ale teraz będziesz musiał wyjść na chwilkę — rzecze Barbro.

— Wyjść? — spytał Aksel.

Doprawdy, wychodzić na takie pieskie powietrze. Stoi przeto i przygląda się, jak coraz mniej na niej przyodziewku — dalibóg, oczu od niej oderwać nie może. Barbro swoją drogą postępuje bardzo bezmyślnie, przecież mogła była rozbierać się tak, aby wciągnąć na siebie jednocześnie części suchego przyodziewku. Ale nie, ona rozbiera się inaczej... Koszula jej, cieniuteńka i przemokła, przykleja się do ciała; rozpina ją na jednym ramieniu i odwraca się — posiada wielką wprawę. I w tej chwili Aksel milknie nagle i podziwia, z jaką zręcznością Barbro zrzuca z siebie koszulę. Tak, Barbro postępuje bardzo bezmyślnie, bo oto stoi tak, jak ją Pan Bóg stworzył...

Później, tak, później leżą w sianie i gawędzą. Owszem, nie inaczej, pomoc na lato bardzo mu potrzebna.

— Ano, mówiono mi o tym — przywtórzyła Barbro.

Również i w tym roku Aksel był zmuszony rozpocząć kośbę bez niczyjej pomocy, Barbro może sobie to z łatwością wyobrazić... Swoją drogą przecież nie kto inny, jeno Barbro porzuciła go i pozostawiła samego, bez wyręki; tak, wyrzuciła mu krzywdę niepowetowaną, której nie może zapomnieć. I pierścionki także zabrała. I na domiar wszelkiej sromoty¹⁸⁴ nadchodziła w dalszym ciągu gazeta, „Gazeta Bergeńska”, od której nie mógł się uwolnić, za którą musiał zapłacić prenumeratę z góry na cały rok.

— Ach, to haniebne gazecisko — rzekła Barbro i przytuliła się do niego mocniej.

Ale wobec tak wielkiej z jej strony uległości zmiękł i Aksel; przyznał, iż mogła być mieć słuszny żal do niego z tego powodu, że pozbawił jej ojca stanowiska dozorczy telegrafu.

— Zresztą ojciec mógłby na powrót objąć to stanowisko, bo ono zabiera mi tylko drogi czas, potrzebny do rzeczy ważniejszych.

— Tak — odpowiada Barbro.

Aksel umilkł, a po chwili zapytał bez ogródek:

— Tak, powiedz mi, czy chcesz zostać u mnie tylko przez lato?

— Ach, będzie tak, jak ty zechcesz — odrzekła Barbro.

— Tak, czy mówisz szczerze?

— Nie inaczej, czego ty chcesz, tego chcę i ja. Teraz możesz mi już zupełnie ufać.

— Tak.

— I jeszcze ci coś powiem... dałam w kościele na zapowiedzi.

Aha. Wiadomość niezła. Aksel nie ruszył się i rozmyślał. Jeżeli to była prawda, a nie nowy jaki niecny podstęp, natenczas posiadałby własną żonę i pozbyłby się biedy na wszystkie czasy.

— Mógłbym dostać żonę zza morza — rzekł. — Pisała, że chciałaby się wydać za mnie, jeno że musiałbym jej posłać pieniądze na podróż powrotną z Ameryki.

— Aha, to ona w Ameryce? — zapytała Barbro.

— Tak, pojechała zeszłego roku, ale tam jej się nie podoba.

— Nie, nie myśl o niej... Co by się wtedy ze mną stało? — rzekła Barbro i zaczęła płakać.

— Dlatego też nie odpowiedziałem jej nic stanowczego.

Lecz teraz przyszła kolej na Barbro; nie chciała być czymś gorszym i wyznała, że w Bergen mogłaby wyjść za mąż za piwowara zatrudnionego w bardzo wielkim browarze.

¹⁸⁴sromota (daw.) — wstyd, hańba. [przypis edytorski]

— On na pewno wciąż jeszcze się martwi i za mną tęskni — mówiła Barbro, łkając.
— Gdy jednak dwoje tyle ze sobą przeżyło, co my, ty i ja, wtedy nie możesz się dziwić, że nie mogłam o tobie zapomnieć, mimo że ty dawno o mnie zapomniałeś.

— Kto, ja? — odrzekł Aksel. — Nie, w takim razie nie masz powodu płakać, bo ja nigdy o tobie nie zapomniałem.

— Aha.

Wyznanie to było dla Barbro niezmiernie cenne, przeto rzekła:

— Głupstwo, na co masz wydawać tyle pieniędzy na podróż z Ameryki, skoro to niepotrzebne!

W ciągu nocy porozumieli się całkowicie. Przecież nie byli sobie obcy i dawniej nieraz już o tym mówili. Ślub miał się odbyć jeszcze przed świętym Olafem; nie mieli powodu do dalszego udawania i Barbro — któż by się był tego spodziewał — tak, Barbro starała się dzień ślubu przyspieszyć. Aksela nie dziwiło to wcale, iż Barbro tak spieszo ze ślubem, przeciwnie, jej pośpiech schlebiał mu i usposobił go radośnie. Tak jest, Aksel był mieszkańcem pustkowia, człowiekiem niezachwianym; były sprawy, których nie brał tak dokładnie i subtelnie, do różnych rzeczy był po prostu zmuszony, skoro na oku miał tylko korzyść własną. Do tego doszło jeszcze jedno: Barbro rzuciła na niego całkiem nowy urok, wydała się mu ładniejsza i ponętniejsza niż kiedykolwiek. Była niby świeże jabłko i on go zakosztował — wszakże zapowiedzi już zgłoszone.

O nieszczęsnym dziecku i rozprawie sądowej oczywiście nie wspominali ani słowem.

Natomiast naradzali się co do Oliny, mianowicie, w jaki sposób mogliby się jej pozbyć.

— Tak, ona musi stąd odejść — oświadczyła Barbro. — Nie zasłużyła na nasze względy i wdzięczność. Ta plotkara, ta jędza obrzydła!

Ale pozbyć się Oliny to nie lada zadanie.

Zaraz też następnego dnia rano, gdy tylko Barbro pojawiła się w izbie, Olina zmiarkowała, co ją czeka. Strach ją ogarnął, ale nie zdradzając się z tym, podała przybyłej krzesło. Wszakże dobrze się żyło na Måneland, dzień za dniem mijał szczęśliwie: Aksel nosił wodę i drewno na opał i w ogóle odjął jej najcięższe roboty, pozostała reszta roboty nie była ciężka, nie nadwężała Oliny. Z biegiem czasu postanowiła pozostać na osiedlu aż do śmierci. Lecz oto zjawiała się Barbro i cały ten plan obraca wniwecz.

— Gdybym bodaj ziarnko kawy miała w domu, poczęstowałabym cię — rzekła Olina.

— Czy idziesz dalej w góry?

— Nie — odrzekła Barbro.

— Aha, to nie idziesz w góry?

— Nie.

— Toć to mnie nic do tego... Wracasz więc do wsi?

— Nie, tu pozostanę.

— Aha, więc chcesz znowu tu pozostać?

— Tak, na tym pewnie się skończy.

Olina nie odpowiedziała zaraz; stara jej głowa, pełna polityki, pracuje usilnie.

— Tak — odezwiała się po chwili — w takim razie mogę stąd odejść. Nareszcie... Bardzo się z tego cieszę.

— Czyż z Aksela taki srogi pan? — spytała Barbro żartobliwie.

— Srogi? On? Żartujesz chyba ze starowinki, która wyczekuje już jeno swego wyzwolenia. On, Aksel, to jakby dobry ojciec i opiekun jedyny na moje stare lata; zgrzeszyłabym, gdybym powiedziała co innego. Aleć nie mam ja tu w całej okolicy nikogo ze swoich, sterczę tu sama jak kolek, zdana na łaskę obcych, a wszyscy moi znajdują się po tamtej stronie gór.

Mimo to Olina pozostała. Aż do ślubu obecność jej jest tu niezbędna i Olina długo się broniła, lecz w końcu uległa, owszem, nie poskąpi im swej łaski i w czasie ich ślubu pozostanie na straży dobytku i będzie oprzątać inwentarz. Ślub wyrwał ich z osady na dwa dni. Jednak po powrocie nowożeńców Olina... nie odeszła. Jakoś nie było jej spieszo, odkładała chwilę rozstania się z osiedlem z dnia na dzień; raz czuła się niedobrze, to znowu zanosilo się na deszcz i tak w kółko. Pochlebiała pani młodej na każdym kroku, twierdziła, że teraz przynajmniej całkiem inne jedzenie na Måneland, o, i kawy teraz w domu nie

brak! Ho, Olina nie cofała się przed niczym; zapytywała Barbro o radę w sprawach, na których sama o wiele lepiej się знаła.

— Jak myślisz, czy mam doić krowy po kolei, tak jak stoją w stajni, czy też najpierw zacząć od Bordeliny?

— Zrób, jak chcesz.

— A co, nie mówiłam! Z ciebie przecież bywalec, obracałaś się w szerokim świecie między godnymi osobistościami i dużo się nauczyłaś. Mnie, biedulce, nie powiodło się tak dobrze!

Tak, Olina nie cofała się przed niczym, lecz politykowała w dzień i noc. Więc opowiadała pani młodej, jak to z jej ojcem, Brede Olsenem, się przyjaźniła! Ho, przegawędziła z nim niejedną przyjemną godzinkę, ho, to człek bardzo miły i przyjacielski, z ust jego nie padnie nigdy jakiegokolwiek przykre słowo!

Ale tak dłużej być nie mogło; zarówno Aksel, jak Barbro pragnęli pozbyć się jej jak najrychlej i Barbro zagarnęła teraz wszelką robotę około gospodarstwa domowego. Olina nie żaliła się, ale zezując okrutnie w stronę Barbro, powiedziała zmienionym głosem:

— Tak, teraz z was wielcy ludzie... Aksel odbył zeszłej jesieni wielką podróż do miasta, czy nie spotkałaś go tam?... Ach prawda, ty byłaś przecie w Bergen. Miał tam do załatwienia jakieś ważne sprawy i przy tej sposobności kupił żniwiarkę i pług dwuskibowy. Czymże wobec was są Izakowie z Sellanrą? Nawet porównać nie można!

Olina szczypała przy każdej sposobności, ale i to się na nic nie zdało, małżeństwo nie bało się jej, Aksel zaś oświadczył któregoś dnia bez ogródek, że teraz już będzie musiała stanowczo odejść.

— Odejść? — spytała Olina. — Jakże to? Czy chcesz, żebym poczołgała się stąd na czworakach?

Broniła się z całych sił pod pozorem, że niezdrowa i że z biedą tylko na nogach się trzyma. Zresztą mogło to być i prawdą: gdy odebrano jej wszelką robotę, gdy pozbawiono ją wszelakiego zajęcia, wtedy coś się w niej załamało i była naprawdę chora. Przez tydzień jeszcze włóczyła się z kąta w kąt. Aksel obrzucał ją wściekłym wzrokiem, ale Olina pozostała, pozostała na złość wszystkim, aż w końcu położyła się.

Gdybyż przynajmniej leżała spokojnie, oczekując swego wyzwolenia! Ale nie — godzinami całymi gadała o tym tylko, że niebawem wyzdrowieje. Zachciało się jej doktora, wielkość dotychczas nieznana na pustkowiu.

— Doktora? — spytał Aksel. — Czyś ty już całkiem niespełna rozumu?

— Czemu? — spytała Olina łagodnie. Tak złagodniała niesłuchanie i radowała się tym, że nie potrzebuje być nikomu ciężarem; doktora może przecież sama zapłacić.

— Aha, możesz zapłacić? — rzekł Aksel.

— Naturalnie, stać mnie na to. Chyba nie będę potrzebowała tu skończyć niby jakie bydlę?

Barbro wmieszała się do rozmowy i spytała nieostrożnie:

— Czego tobie właściwie braknie? Przecie jadła ci nie szczędzę, a kawy nie dają dla tego, żeby ci nie zaszkodziła.

— Czyś to ty, Barbro? — spytała Olina i jedynie oczyma zwraca się ku niej. Jest bardzo mizerna, a z tymi oczyma wywróconymi wygląda wręcz niesamowicie. — Pewnie, pewnie, łyżeczka kawy, ba, nawet kropelka kawy mogłaby mi bardzo zaszkodzić.

— Gdybyś była w moim położeniu, myślałabyś o czym innym niż o kawie — rzekła Barbro.

— A co, nie mówiłam? Tyś nikomu jeszcze nie życzyła śmierci!... Ale co ja widzę? Czyś ty już znowu w błogosławionym stanie?

— Co takiego? — wrzasnęła Barbro i dodała z wściekłością: — Na śmietnik wyrzucić by cię należało za twój ózór szkaradny.

Chora umilkła na chwilę, a usta jej drżały, jakby stłumić pragnęła uśmiech niedozwolony.

— Dzisiejszej nocy słyszałam czyjeś wołanie — rzekła.

— Ona bredzi — szepnął Aksel.

— O nie, ja nie bredzę. Słyszałam, jak ktoś wołał, a wołanie szło z boru albo może z potoku. Dziwne to było wołanie, zupełnie jakby krzyk małego dziecka... Czy Barbro wyszła?

Lekarz, Choroba, Chłop

— Tak — rzekł Aksel — nie chciała słuchać bzdurstw, jakie wygadujesz.

— Ja nie wygaduję bzdurstw, nie myślcie, że mnie rozum opuścił — rzekła Olina. — Nie, nie jest to życzenie i woła Wszechmocnego, żebym już teraz stanęła z tym wszystkim, co wiem o Måneland, przed tronem Baranka. Pewnikiem niedługo ozdrowię. A którąż to krowę mi dasz?

— Jaką krowę?

— Krowę, którą mi przyrzekłeś. Czy Bordelinę?

— Bajesz!

— Czyś nie przyobiecał mi krowy wtedy, gdy tobie życie uratowałam?

— Nie, nic o tym nie wiem.

Wówczas Olina uniosła głowę i spojrzała na niego. Jest łysa jak kolano i z boków tylko zwisają gdzieś tam kosmyki siwych włosów, głowa jej osadzona na szyi długiej, ptasiej, jest w niej coś strasznego, coś z czarownicy. Aksel cofa się przerażony i chwytając klamkę u drzwi.

— Tak — rzekła Olina — toś ty taki! W takim razie nie mówmy o tym tymczasem. Mogę żyć i bez krowy i już więcej nie wspomnę o niej. Ale dobrze, żeś się pokazał takim, jaki jesteś, zapamiętam to sobie...

Lecz w nocy Olina zmarła, nie wiadomo, o której godzinie, w każdym razie rano, gdy weszli, była już zimna. Stara Olina, urodziła się i umarła...

Nikt się z tego powodu nie smucił, ani Aksel, ani Barbro. Teraz przynajmniej nie potrzebowali się mieć na baczności, mogli żyć swobodnie i szczęśliwi.

Barbro narzeka znów na ból zębów, poza tym jednak wszystko idzie jak z płatka. Ale ta wieczna chustka wełniana na jej ustach, to naprawdę plaga. I Aksel pojąć nie może, skąd ten ustawiczny ból zębów.

— Czyś nie kazała sobie wprawić nowych zębów?

— Owszem.

— Czyżby one także bolały?

— Nie sztydź tak ze mnie! — odpowiada Barbro rozgniewana, jakkolwiek on naprawdę w dobrej wierze się spytał. I w gniewie swym Barbro zdradza się z tym i owym: — Widzisz przecie, na co się u mnie zanosi.

Na co się zanosi? Aksel przygląda się jej uważniej i spostrzega, że zaczęła się już nieco rozszerzać.

— Nie jesteś chyba przy nadziei? — zapytał.

— Ano, toć widzisz.

Aksel patrzy na nią osłupiały. Siedzi całym swym ciężarem i oblicza: tydzień, dwa tygodnie, w trzecim tygodniu.

— Nie rozumiem — rzekł po chwili.

Barbro rozmowa ta bardzo rozdrażniła, przeto wybucha głośnym płaczem.

— Ach, żebym mogła umrzeć w tej chwili, wtedy przynajmniej uwolniłbyś się ode mnie! — zawodzi.

Rzecz osobliwa, jakie powody kobiety umieją sobie wynaleźć, żeby płakać!

Nie, Aksel nie chce, aby Barbro umarła, to człek mocny, który ogląda się za własną korzyścią; nie ma ochoty na romantyczne bujania.

— Latem wobec tego nie będziesz mogła w polu pracować? — spytał.

— Co, nie będę mogła w polu pracować?! — odparła przerażona.

Boże miły, jakże łatwo znajdują kobiety powód, żeby się uśmiechnąć! Skoro przekonała się, że Akselowi o to tylko idzie, a nie o co innego, wtedy dreszcz radości histerycznej przebiegł ją od góry do dołu i krzyknęła:

— Za dwie będę pracowała! Zobaczysz, że podołam wszystkiemu, do czego mnie zaprzęgniesz. Harować będę za dwie i szczęśliwsza będę przy tym, skoro ty tylko będziesz zadowolony!

I znowu łzy i uśmiechy, i czułości. Byli sami na pustkowiu, nikogo już bać się nie potrzebowali — drzwi otwarte, ciepło lata, brzęczenie much... O, jakże ona uległa jest i oddana, pragnęła tego wszystkiego, czego on pragnął...

Po zachodzie słońca Aksel zaprzęga szkapę do żniwiarki, żeby dziś jeszcze skosić kawałek. Wtem Barbro wybiega z izby, pędzi do niego jakby z czymś okropnie ważnym i woła:

Starość

— Aksel, słuchaj jeno, jakżeś ty mógł w ogóle pomyśleć o tym, aby sprowadzić sobie kogoś tam z Ameryki? Toć ona nie byłaby tu przyjechała prędzej, jak na zimę. I na co by ci się wtedy przydała?

Ale wszystko to było, zaiste, zbytćne. Aksel uznał to od pierwszej chwili, że przyjmując Barbro z powrotem, pozyskał wyrękę na cały boży rok. Ten człowiek nie chwiał się i nie wzdychał do gwiazd na niebie. Teraz oto ma w domu własną żonę, przeto będzie mógł zatrzymać nadal dozór nad linią telegraficzną. Wszakże przynosi to rocznie ładny grosz, a pieniądze są mu bardzo potrzebne, skoro z plonów swego gospodarstwa niewiele jeszcze może sprzedać. Wszystko można z sobą pogodzić i złączyć, on stoi w pośrodku rzeczywistości. I od Bredego, który jest obecnie jego teściem, nie obawia się już napadu na linii telegraficznej.

Szczęście poczyną się uśmiechać do Aksela...

IX

Czas mija, zima mija, nastaje wiosna. Izak miał znowu któregoś dnia ważną sprawę we wsi. Na zapytanie, jaka to sprawa, odpowiadał:

— Hm, nie wiem jeszcze dokładnie.

Ale mimo to ochędożył starannie wóz, umieścił na nim ławę i pojechał. I zabrał z sobą oczywiście duże zapasy prowiantów dla Elizeusza na Storborgu. O, dla Elizeusza było zawsze coś do zabrania z Sellanrą.

Jazda Izaka do wsi to zdarzenie obecnie całkiem niepowszednie; jeździł tam teraz rzadko kiedy — od czego miał Sywerta, który go w tym wyręczał? W pierwszych dwóch osiedlach ludzie stoją przed ganną i powiadają sobie:

— Patrzcie, dziś sam Izak jedzie, chciałbym wiedzieć, czemu on dziś jedzie.

Przejeżdża przez Måneland; przy oknie stoi Barbro z dzieckiem na ręku, a ujrawszy go, myśli sobie: „Toż to Izak!”.

Wjeżdża na Storborg i przystaje:

— Prrr! Elizeusz w domu?

Elizeusz wychodzi naprzeciw. Owszem, jest w domu, nie wyjechał jeszcze, ale zamierza wyjechać; pragnie odbyć wycieczkę wiosenną do miast w południowej części kraju.

— Matka przysłała ci tam coś — oznajmił ojciec. — Nie wiem, co takiego, ale pewnikiem nic osobliwego.

Elizeusz zdejmując z wozu naczynia różne i paczki, dziękuje i zapytuje:

— A nie masz jakiego listu do mnie lub coś podobnego?

— Ach, mam — odpowiada ojciec i szuka w kieszeniach. — To pewnie od Rebeki.

Elizeusz odbiera list. Czekał na niego; waży go w palcach — jest gruby i ciężki.

— Szkoda, żeś tak rychło przyjechał, o dwa dni za rychło. Ale gdybyś trochę zaczekał, mógłbyś zabrać ze sobą moją walizę.

Izak schodzi z wozu i przywiązuje konia do drzewa. Następnie idzie na pola. Subiekcik Andresen to rolnik niezgorszy na gruncie Elizeusza, Sywert wprowadził pomagał mu końmi z Sellanrą, ale on i na własną rękę przeprowadził odwodnienie torfowisk i sprowadził chłopą do pomocy przy umocnieniu rowów kamieniami. W tym roku nie potrzeba było już kupować paszy, a w roku przyszłym będzie można i konia na Storborgu wyżywić. Tak, to wszystko Elizeusz zawdzięczał zamięłowaniu Andresena do rolnictwa.

Po niejakiem czasie Elizeusz woła do ojca, że waliza spakowana. On sam także już gotów do jazdy: ma na sobie piękne, granatowe ubranie, na szyi ma biały kołnierzyk, na nogach kalosze, a w ręce elegancką laskę. Co prawda zmuszony będzie czekać na dole dwa dni na odjazd parowca pocztowego, ale to nic, może zaczekać we wsi — obojętnie przecież, gdzie czeka.

Odjeżdżają — ojciec i syn. Subiekt Andresen stoi przed drzwiami faktorii i życzy:

— Szczęśliwej podróży!

Ojciec pragnie wygody dla syna i dlatego pozostawia mu całą ławę, lecz Elizeusz nie godzi się na to i siada obok ojca. Przejeżdżają przez Bredablik i oto nagle przypomina sobie Elizeusz, że zapomniął czegoś.

— Prrr! Co takiego? — spytał ojciec.

O, zapomniął zabrać parasola, lecz nie chce się do tego przyznać, dlatego mówi:

- Nie ma co, jedźmy dalej!
- Czy nie lepiej zawrócić?
- Nie warto, jedźmy dalej!

Bądź co bądź, paskudna rzecz z takim zapominalstwem! Wszystkiemu winien ten przeklęty pośpiech. Teraz nie pozostaje Elizeuszowi nic innego, jak w Trondheim kupić nowy parasol. To nic, że będzie miał dwa parasole. Mimo wszystko jest zły na siebie, jest tak zły, że aż z wozu wyskoczył i idzie za nim.

Skutkiem tego niewiele mogą rozmawiać z sobą.

— Na długo wyjeżdżasz? — pyta ojciec.

— Na trzy do czterech tygodni.

Ojciec dziwi się, że ludzie nie pobilądzą w tak wielkich miastach, ale Elizeusz dowodzi, że przyzwyczaił się do wielkich miast i nigdy jeszcze nie zablądził. Po chwili ojciec znów upiera się, że byłby to prawdziwy wstyd, gdyby on sam miał jechać na wozie:

— Teraz jedź ty, a ja pójdę.

Elizeusz jednak protestuje energicznie i przysiadł się do ojca. Teraz pokrzepili się rzetelnie z zapasów ojca, a potem ruszyli w dalszą drogę.

Nareszcie przejeżdżają przez oba ostatnie osiedla, położone już w dolinie. Nietrudno się domyślić, że znajdują się w sąsiedztwie wsi: białe firanki u okien chałup, a na kalenicy strychu na siano sterczy małe drzewce ze sztandarem gwoli uczczenia Siedemnastego Maja¹⁸⁵.

— Patrzcie, Izak jedzie! — powtarzają sobie mieszkańcy obu osiedli na widok przejeżdżających.

Elizeusz zdołał nareszcie oderwać myśli od swojej osoby i swoich spraw. Więc zapytał:

— Po co jedziesz dziś do wsi?

— Hm! właściwie po nic takiego — odpowiada ojciec.

Ale ostatecznie Elizeusz wyjeżdża, więc coś by szkodziło, gdyby dowiedział się o planach ojca?

— Jadę po Jensynę, kowalównę — przyznał ojciec.

— I dlatego sam się trudzisz, czy nie mogłeś to posłać Sywerta?

Widzicie go, powiedział, co wiedział: Sywert miał jechać po Jensynę, skoro Jensyna już raz zadarła nosa i z Sellanrą odeszła?

Tak, ze sprzętem siana szło zeszłego roku bardzo powolnie. Inger wprawdzie starała się, jak mogła, Poldynka również się nie leniła, no i grabki konne mieli do pomocy. Siano atoli składało się przeważnie z ciężkiej tymotki i łąki leżały bardzo daleko od domu. Sellanrą to majątek obecnie olbrzymi, kobiety miały tam teraz co innego do roboty niż sprzęt siana: należało oprzątać cały ten niezliczony inwentarz, trzeba było przygotować na czas jedzenie, trzeba było wyrabiać masło i sery, należało pamiętać o praniu i wypiekanii chleba, tak, matka i córka miały aż nadto dużo roboty. Drugiego takiego lata Izak nie chciał przeżyć, dlatego też postanowił, że sprowadzi Jensynę. Inger tym razem nie sprzeciwiała się zamiarowi Izaka, odzyskała dawny swój rozum i rzekła:

— Owszem, rób jak chcesz.

O, Inger ustatkowała się teraz znacznie, nie lada to rzecz wrócić znowu do rozumu. Inger nie potrzebowała już ukrywać swych żarów gorących, nie potrzebowała walczyć z ogniem namiętności, zima przyszła na nią i ostudziła ją; żarów wewnętrznych wystarczyło jej zaledwie na zaspokojenie potrzeb domowych. Zaczęła obecnie tyć i wyglądała ładnie i okazale. Szczególna rzecz, jak mało się postarzała; może to stąd pochodziło, że tak późno zakwitła. Bóg raczy wiedzieć, skąd to pochodzi — nic bowiem nie dzieje się z jednego tylko powodu, wszystko ma swój splot powodów! Co na przykład miała jej do zarzucenia kowalowa? Oszepecona twarz pozbawiła Inger wiosny życia, później przeniesiona została w atmosferę sztuczną, skutkiem czego ukradziono jej sześć lat z pełnego lata; ponieważ atoli posiadała krew gorącą, przeto nic dziwnego, że jesień jej obfitowała w dzikie pędy. Inger jest lepsza niż taka kowalowa; jest wprawdzie krzynecką uszkodzona, ale z tym wszystkim jest dobra, jest dzielna...

¹⁸⁵święto 17 maja — norweskie święto państwowe, dzień konstytucji, ustanowionej w 1814 po 434 latach zależności od Danii. [przypis edytorski]

Ojciec i syn jadą dalej, aż przed gospodę Bredego Olsena, tam zatrzymują się i wprowadzają konia do szopy. Wieczór już, przeto weszli do chałupy.

Brede Olsen wydierzał chałupę tę od kupca; jest to właściwie oficyna¹⁸⁶, w której urządzono dwie izby i dwie komory. Znośnie tu, położenie korzystne; schodzą się tu liczni goście na kawę ze wsi i z okolicy, zwłaszcza tacy, którzy wybierają się w podróż parowcem.

Brede, zdaje się, raz przynajmniej miał szczęście; znalazł się nareszcie na odpowiednim dla siebie miejscu, co zawdzięczał wyłącznie swej żonie. Bredowa wpadła na tę kapitalną myśl ongi, gdy podczas licytacji na Bredabliku sprzedawała kawę. I odkąd powrócili do wsi, wiedzie im się nieźle; Bredowa z godnością sprzedaje kawę i przyjmuje na nocleg wszystkich, którzy są bez dachu nad głową. Wszyscy ją chwalą, podróżni także. Oczywiście ma pomocnicę, jest nią córka jej, Kasia, dziewczyna już dorosła, dzielna i zwinna. Jest to co prawda tylko kwestia niedalekiej przyszłości, że Kasia z domu rodzicielskiego wyfrunie w szeroki świat. Tymczasem jednak jest w kawiarni ruch, są obroty, a to rzecz najważniejsza. Początek był świetny i mogłoby być jeszcze lepiej, gdyby kupiec zaopatrzył się dostatecznie w precelki i ciastka; ludziska zebrali się w gospodzie, aby święcić dzień Siedemnastego Maja i na próżno wołali o placek do kawy! I wtedy dopiero kupiec nauczył się pamiętać o uroczystościach wsi.

Brede i cała rodzina utrzymywali się z tego, jak się dało. Ho, wiele ich obiadów składało się nie z czego innego jak kawy i pozostałych resztek placka. Ale i przy takim pożywieniu dusza i ciało trzymały się kupy, a dzieci miały przynajmniej wygląd delikatniejszy. „Nie wszyscy mogą sobie pozwolić na placek do kawy” — zwykli byli powtarzać ludzie wsiowi. Widać, że dobrze im się wiedzie, skoro i psa mają, który szwenda się wśród gości, chwyta, co ze stołu spadnie, i tyje. Taki gruby psiak to też reklama dla gospody!

Brede Olsen jest tu gospodarzem, ale oprócz tego ma różne zajęcia poboczne. Był znowu woźnym u sołtysa i miał dużo roboty. Ale minionej jesieni córka jego, Barbro, pokłóciła się z panią sołtysową o głupstwo, o wesz, i od tego czasu niechętnie go u siebie widzą. Lecz Brede niewiele na tym stracił, on ma innych państwa, którzy na przekór pani sołtysowej odwiedzają go i dają mu zajęcie — jest woźnicą u doktora, pani pastorowa przyzywa go do bicia świń, więc w ogóle ma dużo pracy.

Niekiedy co prawda i teraz jeszcze głód kucharuje w rodzinie Bredego i nie wszyscy są takimi tłuszciochami jak pies. Brede jednak, dzięki Bogu, umie się zawsze pocieszyć:

— Dzieci są co dzień większe — powiedział — prawda i to, że nowe wciąż przybywają. Te, które wyrosły, poszły w świat i same już na siebie zarabiają, i od czasu do czasu przysyłają coś niecoś.

Barbro wyszła za mąż na Måneland, a Helga ma zajęcie przy polowie śledzi. Dają one rodzicom i prowianty, i pieniądze, jak się zdarzy, a Kasia usługująca gościom w gospodzie dała raz ojcu nawet całą pięciokoronówkę.

— Ho, Kasia to szczerze złoto! — zachwycił się Brede i nie dochodził tego wcale, od kogo i za co otrzymała owe pieniądze. Tak, dzieci powinny zawsze pamiętać o swych rodzicach!

— A, to dopiero rzadka wizyta! — zawołał Brede, wprowadzając Izaka i Elizeusza do izby. — Ale co ja widzę, chyba ty, Izaku, nie masz zamiaru wyjeżdżać!

— Nie, mam jeno do kowala pewną sprawę.

— Aha, zapewne więc Elizeusz puszcza się znów na wojaż po miastach!

Elizeusz przyzwyczał się do życia hotelowego, przeto jest tu jak u siebie w domu, zawiesza płaszcz i laskę i żąda kawy. Ojciec ma w plecaku coś do przekąszenia. Kasia przynosi kawę.

— Nie, od was nie biorę ani grosza — oznajmił Brede. — Tyle razy już ugościliście mnie na Sellanrå, a oprócz tego mam długi u Elizeusza. Kasiu, żebyś nie wzięła ani öre!

Elizeusz jednak płaci, wyciąga sakiewkę i płaci, i dodaje jeszcze dwadzieścia öre na piwku.

— Cicho być i brać, kiedy płacę!

Izak idzie do kowala, a Elizeusz zostaje.

¹⁸⁶oficyna — boczne skrzydło budynku, zwykle przeznaczone na pomieszczenia gospodarcze. [przypis edytorski]

Z Kasią tyle tylko rozmawia, ile potrzeba, nie więcej, chętniej natomiast rozmawia z jej ojcem. Tak, Elizeusz nie jest łasy na dziewczęta, raz się na nich zawiódł, przeto teraz trzyma się od nich z daleka. A kto wie, może właściwie ów prawdziwy impet miłosny nie odezwał się w nim nigdy. Osobliwy to mężczyzna na pustkowiu, pan posiadający delikatne ręce pisarczyka i niczym kobieta rozmiłowany w strojach i parasolu, i laseczce, i w kaloszach. Odepchnięty, przeinaczony, całkiem dziwny, stary kawaler. Ust jego nie zdobi nawet wąs rzetelny. Niegdyś może nie brakło w nim gruntu dobrego i dobrego wyposażenia od natury, ale przeflancowany w warunki sztuczne spaczył się i wykoleił. I oto dziś jest taki, jaki jest: układny i beznamiętny, trochę słabowity i trochę bierny, i schodzi coraz więcej i więcej na bezdroża. Miałby prawo zazdrościć każdemu chłopu na pustkowiu z osobna, ale nawet do tego nie jest zdolny.

Kasia lubi z gośćmi żartować, dlatego też naciąga Elizeusza, że jedzie zapewne znowu na południe do swej kochanki?

— Mam inne sprawy na głowie — odparł Elizeusz. — Muszę nawiązać poważniejsze stosunki handlowe.

— Kasiu, uważaj, kogo masz przed sobą. Pan Elizeusz to nie byle kto, nie trzeba się tak narzucać — upomina ją ojciec.

Ho, Brede Olsen jest wobec Elizeusza uprzedzająco grzeczny, wręcz uniżony. Ma on swoje słuszne do tego powody, ma długi na Storborgu, czyli że stoi tu wobec swego wierzyciela. A Elizeusz? Ho, on lubi takie objawy uniżoności i odplaca się za to dobrocią i łaskawością.

— Wyobraź sobie, mój ty dobrodzieju — nazywa Bredego dobrodziejem i przybiera przy tym odpowiednią pozę. Opowiada o zapomnianym parasolu. — Wyobraź sobie dobrodzieju, gdyśmy przejeżdżali przez Bredablik, przypomniałem sobie o parasolu...

— Dziś wypijecie sobie zapewne u waszego przyjaciela, kupca, szklaneczkę toddy? — spytał Brede.

— Tak, gdybym był sam! Ale przecie jestem z ojcem.

Brede odpowiada:

— Pojutrze spodziewam się pewnego gościa, który wraca do Ameryki.

— W odwiedziny przyjechał?

— Owszem. Pochodzi z sąsiedztwa. Długie lata bawił za oceanem, a ostatniej zimy przyjechał tu w strony rodzinne. Walizę jego przywieźli dziś właśnie, ho, co to za waliza, olbrzym, nie waliza!

— Ja także myślałem już o wyjeździe do Ameryki — wyznaje Elizeusz całkiem szczerze.

— Wy? — krzyknął Brede. — Przecie wam to niepotrzebne.

— Przypuszczam, że nie pozostałbym tam na wieki. Ale tyle już podróżowałem po kraju, że raz przynajmniej chciałbym wyruszyć trochę dalej.

— Zapewne. A przy tym w Ameryce zarobić można furę pieniędzy. Weźmy na przykład owego gościa, o którym wspominałem. U siebie we wsi fundował wszystkie zabawy gwiazdkowe, płacił za wszystko z własnej kieszeni. A kiedy przyszedł do mnie, rzekł zaraz na wstępie: „Podaj mi cały kociołek kawy i wszystek placek, jaki masz w domu!”. Tak, tak powiedział. Czy chcecie zobaczyć jego walizę?

Wyszli na ganek i przyglądali się kufrowi. Siódmy cud świata, z wszystkich stron błyszcząły okucia metalowe, trzy zatrzaski, a nadto spory zamek.

— Złodziej nie dobierze się do takiego kufra — objaśniał Brede w taki sposób, jakby próbował już dobrać się do niego.

Wrócił do izby, lecz Elizeusz dziwnie jakoś zamilkł. Ów gość z Ameryki zadał mu klina; występował on w podróży jakby najwyższy jakiś dostojnik i imponował światu i ludziom, i Bredemu. Elizeusz zażądał więcej kawy i usiłował również grać rolę bogacza, kazał sobie podać placek, który dużymi kawałkami rzucał psu. Ach, mimo wszystko czuł się mały i zdruzgotany. Czymże była jego walizka w porównaniu z owym cudem amerykańskim? Poczekajcie — i on kupi sobie kufer wspaniały, niech no zajędzie do miasta!

Jedna myśl zrodziła myśl inną! Przerwał rozmowę z Bredem i udał się do szopy, gdzie stał koń ojca. Tam rozerwał kopertę, aby się przekonać, ile zawierała pieniędzy. Często

otrzymywał takie listy i zawsze znalazł w nich jakiś banknocik. Ale cóż to? Duży szary papier, zamalowany w całości przez najmłodszą siostrzyczkę, a przy tym liścik od matki. Poza tym nic więcej. Najmniejszego śladu pieniędzy!

Matka tłumaczyła, dlaczego nie załącza tym razem pieniędzy. Z całego bogactwa, uzyskanego niegdyś za górę miedzianą, pozostało już niewiele. Zużyto je na kupno Storborgu i towarów dla faktorii oraz na rozliczne podróże Elizeusza. Tym razem będzie musiał wystarać się o pieniądze skądinąd, ponieważ pozostałą resztkę trzeba zachować dla Sywerta, Poldynki i Rebeki. Serdeczne pozdrowienia i szczęśliwej podróży!

Ani śladu pieniędzy!

Elizeusz był goły, ponieważ w kasie znalazł niewiele. Ach, jakże był głupi, wyrównując niedawno różne rachunki dostawców. Mogli poczekać. Drugie głupstwo palnął, oczywiście, kiedy wybierał się w podróż, nie zajrawszy uprzednio do listu. Byłby zaoszczędził sobie jazdy do wsi z tą nędzną walizką. Teraz siedzi...

Ojciec powrócił od kowala z miną zadowoloną! Jensyna jedzie z nim jutro. Tak, Jensyna nie była żadną miarą kozłem upartym, od razu zrozumiała, że na Sellanrą potrzebna pomoc na lato, i zgodziła się chętnie. Z Jensyną więc sprawa załatwiona.

Podczas opowiadania ojca Elizeusz rozmyśla o własnej biedzie. Pokazuje ojcu kufer Amerykanina i mówi:

— Jakżebym się cieszył, gdybym w tej chwili znajdował się tam, skąd kufer ten przywieziono!

— Tak, to nie byłoby najgorsze — odparł ojciec...

Następnego dnia ojciec przygotowuje się do drogi powrotnej; zjadł śniadanie, zaprzęga i zajeżdża przed dom kowala, aby zabrać Jensynę i jej skrzynkę. Elizeusz spogląda za nim długo, dopóki nie zniknęli w lesie, potem płaci w gospodzie za nocleg i daje znowu napiwek.

— Niech moja walizka pozostanie tu aż do mego powrotu — rzekł do Kasi i poszedł.

Dokądże idzie Elizeusz? Jedna tylko jest miejscowość, do której może śmiało podążyć — Storborg. Wziął więc nogi za pas, aby być możliwie najbliżej ojca i Jensyny, a jednocześnie trzymał się zarośli, aby go nie zobaczyli. Idzie i idzie, i teraz naprawdę zaczyna zazdrościć chłopom na pustkowiu.

Szkoda Elizeusza, życie obeszło się z nim po macoszemu.

Czyż nie posiada faktorii na Storborgu? Owszem, ale na co się zda, za wiele podróżuje w celach handlowych, a podróże kosztują, zwłaszcza, jeżeli się nie oszczędza. „Nie trzeba być małostkowym!” — powtarzał Elizeusz i dawał stale dwadzieścia öre napiwku, kiedy wystarczyło dać dziesięć. Tak rozrutnego pana, rzecz prosta, faktoria nie może utrzymać, potrzeba więc zapomogi od rodziców. Obecnie sprzątają na Storborgu ziemniaki, siano i żyto, ale omastę na chleb musi dostarczać Sellanrą. Czy tylko na tym się kończy? Sywert musi zwozić za darmo wszelkie przesyłki z przystani. Matka musi wyłudzać od ojca pieniądze na wszelkie jego podróże. Czy to wszystko? Ho, jeszcze nie, i to właśnie jest najgorsze!

Elizeusz prowadzi swój handel jak głuptas. Schlebia mu to, gdy przychodzą do niego po towary ludzie z dołu, ze wsi, schlebia mu to do tego stopnia, że daje im na kredyt. I gdy tylko rozeszła się o tym wieść, biegną do niego coraz liczniej i liczniej i wszyscy kupują na kredyt. Skład jego opróżnia się z towarów i znowu zapełnia. A towary kosztują pieniądze. Kto zapłaci? — Ojciec!

Początkowo matka była mu troskliwą orędowniczką: Elizeusz to najmędrsza głowa w rodzinie, trzeba mu uczciwie dopomóc.

— Pomyśl jeno, jak tanio kupiłeś dla niego Storborg i jak on świetnie oszacował, ile za Storborg można zapłacić!

A gdy ojciec przy jakiejś sposobności zauważył, że cały handel Elizeusza zamienia się powoli w kosztowną zabawkę, wtedy matka odparła:

— Co to znowu za gadanie?!

Tak, matka sama przecież była w wielkim świecie i podróżowała, dlatego miała wyrozumienie dla Elizeusza. Prawda, że zbyt wiele kredytował biedakom; ale wszakże nie czynił tego ze złośliwości, aby rodziców zrujnować, nie, on czynił to, idąc za popędem szlachetnego serca, aby dopomóc biednym.

Tak, matka rozumiała Elizeusza doskonale.

Handel

Ale ojciec, który nie bardzo się w tym wyznawał, otworzył jej któregoś dnia oczy i uszy i powiedział:

— Patrz, oto reszta pieniędzy za górę miedzianą!

— Ano widzę — odrzekła. — A gdzie się podziały wszystkie te pieniądze?

— Wszystko otrzymał Elizeusz!

Wówczas załamała ręce i rzekła stanowczo:

— W takim razie niech sobie odtąd sam radzi!

Biedny Elizeusz, do cna roztargniony i spaczony. Powinien był trzymać się roli, byłby przynajmniej czymś. A tak co? Jest panem umiającym pisać litery, ale pozbawionym ducha przedsiębiorczego i głębi. I urwipolciem także nie jest ani zakochanym, ani ambitnym, właściwie jest niczym, jest zerem, nawet wielkim złoczyńcą nie jest.

Pocziwy inżynier powiatowy zwabił go swego czasu do miasta, aby zrobić z niego coś. Zamiast tego odciął chłopaka od korzenia i dlatego zwiądl. Wszystko, do czego się teraz zabiera, nosi na sobie ślady tego uwiązdu...

Elizeusz idzie i idzie. Ojciec przejechał obok faktorii, nie zatrzymawszy się. Elizeusz nadkłada drogi i omija Storborg z daleka; nic go tam nie ciągnie. Ojciec zjechał na Sellanrå późnym wieczorem, Elizeusz idzie tuż za nimi. Widzi, jak Sywert wybiega na podwórze i jak zdziwione oczy robi na widok Jensyny; podali sobie ręce i uśmiechają się do siebie. Potem chwyta konie za cugle i prowadzi do stajni.

Teraz i Elizeusz wylazł z ukrycia, on, chluba rodziny, wylazi z ukrycia. Nie idzie, a skrada się, chyłkiem dociera do stajni i tam zastaje Sywerta.

— To ja — rzekł.

— Co, ty także tu? — krzyknął Sywert i znowu się dziwi.

Bracia rozmawiają z sobą szeptem, idzie mianowicie o to, czy Sywert zdoła nakłonić matkę, aby dała mu pieniędzy na podróż, w czym widzi jedyny ratunek.

Elizeusz ma dosyć wszystkiego, dotychczasowe życie wychodzi mu gardłem. Nieraz już o tym myślał i dzisiejszej nocy stanie się to, co się stać musi: pojedzie do Ameryki, i to dzisiejszej jeszcze nocy.

— Do Ameryki? — spytał głośno Sywert.

— Pst! Często nad tym rozmyślałem, teraz musisz namówić matkę, żeby dała pieniędzy... Dłużej już nie wytrzymam... Nieraz o tym myślałem.

— Do Ameryki! — szepce Sywert. — Nie, nie wolno ci jechać.

— Muszę! Zaraz stąd odejdę, aby zdążyć na parowiec.

— Ale zanim odejdiesz, musisz się najeść.

— Nie jestem głodny.

— Nie prześpisz się trochę?

— Nie.

Sywert stara się brata powstrzymać, Elizeusz jednak jest stanowczy, po raz pierwszy w życiu stanowczy. Sywert jest do cna oszołomiony, najpierw, gdy ujrzał Jensynę, działa się z nim dziwne rzeczy, obecnie zaś Elizeusz chce opuścić na zawsze pustkowia, co poniekąd równa się jego śmierci.

— A co się stanie ze Storborgiem? — spytał.

— Może zostać przy Andresenie.

— Przy Andresenie? Jak to rozumiesz?

— Czyż nie dostanie on Poldynki?

— Tego nie wiem. A zresztą możliwe...

Sywert mniema, że byłoby najlepiej, gdyby Elizeusz rozmówił się z ojcem w cztery oczy, ale Elizeusz nie godzi się na to. On nigdy nie stawiał się wprost i zawsze potrzebował pośrednictwa. Brakło mu odwagi.

— Znasz matkę — zauważył Sywert. — Z nią daleko nie zajdziesz, zaczniesz płakać i lamentować, dlatego też nie powinna się o tym dowiedzieć.

— Tak — przyznaje Elizeusz — ona nie powinna się o tym dowiedzieć.

Sywert udał się do izby, siedzi tam wieczność całą i wraca nareszcie. Ma pieniądze, dużo pieniędzy.

— Popatrz, to jest wszystko, co posiada. Jak myślisz, wystarczy? Przelicz, bo ojciec pieniędzy nie liczył.

— Co mówił ojciec?

- Nic takiego. Zaczekaj trochę, zabiorę się i pójdę z tobą.
- Nie, idź spać.
- Aha. To ty może boisz się ciemnej stajni? — próbował Sywert żartować.

Sywert pospieszył się. Nie trwało długo, jak powrócił ubrany do drogi i z plecakiem ojca pełnym żywności. W chwili jednak, gdy wychodzą z obejścia, staje przed nimi nagle ojciec:

- Co ja słyszę, chcesz jechać tak daleko? — przemówił pierwszy.
 - Tak — odrzekł Elizeusz — ale ja wrócę.
 - No, nie zatrzymuję — bąknął stary pod nosem i odwrócił się. — Szczęśliwej drogi!
- mówi dziwnie zdławionym głosem i wchodzi do chaty.

Bracia wędrują obok siebie, a po pewnym czasie siadają przy drodze i jedzą. Elizeusz jest głodny, przeto je, je i nasycić się nie może. Najcudniejsza dziś noc wiosenna, głośniejsza tokiują na wszystkich wzgórzach, a swojskie te odgłosy zatrważają na chwilę emigranta.

Wiosna

- Ładna dziś pogoda — rzekł. — Teraz jednak wróć się.
- Tak — odpowiada Sywert i idzie dalej.

Minęli Storborg i Bredablik minęli, a w ślad za nimi idzie zewsząd granie głośniejszych, nie jest to miejska muzyka trąbek, o nie, lecz jest to granie dziwnie szaleńcze, szalone pierwszą radością życia, jest to zapowiedź wiosny. Nagle z wysoczyzny jakiegoś drzewa dochodzi ich głos pierwszego śpiewaka leśnego, śpiew jego budzi inne i niebawem rozbrzmiewa dokoła już nie śpiew ptactwa, ale wielka, potężna pieśń pochwalna. Emigrant czuje, jak w nim wzbiera coś w rodzaju tęsknoty za domem, jakaś bezsilność i nieporadność... Nie, nie! On musi jechać do Ameryki, nie każdy jest tak powołany do tej podróży jak on!

Wiosna, Ptak

- Teraz jednak wracaj już do domu — odezwał się Elizeusz.
- Tak — odparł Sywert — skoro tak ci na tym zależy...

Siadają na skraju lasu i widzą u swych stóp rozłożoną wieś: dom kupca, przystań, gospodę Bredego. Na parowcu pocztowym wielki ruch, ludzie biegają w tę i tamtą stronę i przygotowują się do odjazdu.

- Czas na mnie — przemówił Elizeusz i wstał.
- Szkoda, że wyjeżdżasz tak daleko — powiedział Sywert.
- Zobaczysz, że wrócę — odparł Elizeusz. — I wtedy wrócę z dużym kufrem amerykańskim!

Podczas pożegnania Sywert wcisnął bratu do ręki jakiś mały przedmiot, coś, co było starannie zawinięte w jedwabny papier.

- Co to takiego? — spytał Elizeusz.
- A pisz często! — mówi Sywert i odchodzi.

Elizeusz rozwija papierek i przygląda się uważnie: jest to moneta, dwadzieścia koron w złocie!

- Nie, na co mi to dajesz? Zatrzymaj sobie! — krzyknął za bratem.

Ale Sywert idzie dalej. Idzie jeszcze chwilę, ale potem wraca i siada znowu na skraju lasu. Dokoła parowca wzrasta się ruch, widzi, jak ludzie wchodzi na pokład, a między nimi widzi i brata. Tam oto Elizeusz jedzie do Ameryki.

Emigrant

Pojechał i przepadł na zawsze. Nie wrócił już nigdy.

XII

W górę na Sellanrå zdąża osobliwy pochód, może jak na pochód trochę śmieszny, ale i nie tylko śmieszny: trzech mężczyzn z potwornymi ładunkami na plecach tudzież z worami przewieszonymi przez ramię. Idą gęsiego i raz po raz rzucają sobie jakieś słowo żartobliwe. Żartują, ale pot spływa po nich obfitymi kroplami. Na czele pochodu kroczy subiekt Andresen; on zresztą wyprawę tę zorganizował, przywoławszy do pomocy Sywerta z Sellanrå i Fredryka Ströma z Bredablik. Subiekt Andresen to chłop diablo zawzięty; ugina się pod ciężarem aż do ziemi, cały mokry od potu, ale dźwiga, sapie i pryca, a dźwiga.

Nie kupił Storborgu ani kramu, brakło mu na to pieniędzy, wołał poczekać trochę, kto wie, może dostanie wszystko za darmo. Andresen jednak umie sobie radzić, wydzierzawił tymczasem Storborg i handluje w dalszym ciągu.

Najpierw tedy dokonał przeglądu towarów nagromadzonych w faktorii odkładając na bok mnóstwo przedmiotów całkiem nieużytecznych na pustkowiu, a więc od szczoteczek

do zębów aż do haftowanych ozdób na stół i kanapę, ba, aż do ptaszków na drucikach, które piszczały naciśnięte w odpowiednim miejscu.

Z tymi wszystkimi towarami wyruszył teraz poza faktorię, postanowił rozprzedać je pomiędzy górników po tamtej stronie gór. Pamiętał jeszcze z czasów Aronsena, że górnicy mają pieniądze i kupują wszystko, co im tylko w ręce wpadnie. W drodze złości się na siebie, że nie zabrał również owych pół tuzina koni na biegunach, które Elizeusz zakupił za ostatniej swej bytności w Bergen.

Karawana wstępuje w obejście Sellanrå, gdzie wędrowcy składają swe ładunki. Nie odpoczywają długo: napili się mleka i żartując, zachwalali wszystkim swe towary. Niebawem jednak wzięli je na bary i poszli dalej ścieżyną leśną w kierunku południowym.

W południe zatrzymują się znowu, posilają się chlebem i serem i znowu wędrują aż do wieczora. Następnie rozniecają ognisko i kładą się na spoczynek. Sywert śpi, siedząc na granitowym głazie, który nazwał swym fotelem. Tak, Sywert posiada doświadczenie mieszkańca puszczy, całodzienne słońce rozgrzało kamień, a więc wypoczynek na nim nie grozi żadnym niebezpieczeństwem. Koledzy jego nie mają tego doświadczenia i nie słuchają też jego rady, lecz wyciągają się wygodnie we wrzosowisku, a nazajutrz budzą się zziębnięci i zakatarzeni. Potem spożywają śniadanie i idą dalej.

Teraz zaczynają nasłuchiwać, czy nie ma jakichś detonacji, i pocieszają się, że w ciągu dnia napotkają robotników i dotrą do samej kopalni. Roboty wszakże mogły się być posunąć tymczasem daleko od jeziora, bliżej Sellanrå. Cisza dokoła, nie słychać detonacji. Już południe, a nie spotkali jeszcze żywej duszy, jakkolwiek od czasu do czasu natrafiali po drodze na wielkie jamy — wiercenia próbne. Co to znaczy? Nic innego, jak tylko to, że po tej stronie góry znajdują się szczególnie bogate pokłady czystej miedzi i że skutkiem tego górnicy wciąż jeszcze zajęci są nad jeziorem.

Po południu natrafiają na coraz liczniejsze jamy, lecz ludzi wciąż jeszcze nie spotykają. Idą dalej, wieczór już, u swych stóp daleko widzą morze, gdzie okiem rzucą, tam jamy opustoszałe — i cisza dokoła, ani jednej detonacji. Dziwne to i osobliwe, ale cóż robić, trzeba i na tę noc rozpaść ognisko. Naradzają się; czyżby kopalnie były już zamknięte? Czyżby więc ze swymi ładunkami mieli wracać?

— Ani mowy o tym! — postanowił subiekt Andresen.

Wczesnym rankiem ktoś zbliża się do ich obozowiska, człek jakiś błądy i zgryziony, który ściąga brwi i przygląda im się uważnie.

— Czyś to ty, Andresenie? — spytał.

Jest to Aronsen, kupiec Aronsen. Chętnie przysiada do nich i uczestniczy w śniadaniu.

— Spozrzegłem dym, więc chciałem przekonać się, skąd pochodzi — mówi. — Myślałem, że górnicy znowu wrócili do pracy w kopalni! Dokąd idziecie?

— Tu, do kopalni.

— A co tam macie w waszych workach?

— Towary.

— Towary? — krzyczy Aronsen. — Czy tu chcecie je sprzedać? Tu już nikt nie mieszka! W sobotę odeszli.

— Kto odszedł?

— Wszyscy, kopalnia zamknięta. A zresztą ja mam dosyć towarów, pełen kram. Mógłbym sam dużo sprzedać...

Ach, kupiec Aronsen wyszedł na swym kramie jak panna z tańca — kopalnia zamknięta!

Uspokajają go drugim kubkiem kawy i wypytują.

Aronsen, doszczętnie zdruzgotany, potrząsa tylko głową i powtarza kilka razy:

— Niepojęta rzecz, trudno opowiedzieć!

Zapowiadało się jak najlepiej, sprzedawał dużo i dużo zagarniał pieniędzy. Cała parafia dokoła rozkwitła, ludzie zarabiali dużo, mogli raczyć się białą kaszką i paradować w miejskich trzewikach, a parafia mogła była sobie pozwolić na nową szkołę. I wtem panowie stwierdzili, że kopalnia już się nie opłaca i zamknęła ją. Nie opłaca się! Pełno tu miedzi i nie opłaca się! To jest oszustwo najpospolitsze!

— I nie pomyślą nawet o tym, że tym samym mnie rujnują — rozwodził się Aronsen.
— Ale wszystko to sprawił na pewno, jak mówią, znowu ten przeklęty Geissler! Zjawił się tu akurat wtedy, kiedy kopalnię zamykano; wygląda to tak, jakby posiadał węch diabelski!

— Czy Geissler jest tu?

— Czy jest? Zastrzelić by go należało! Któregoś dnia przyjechał tu parowcem pocztowym i zapytał inżyniera: „No, jakże się wiedzie?”. „Dobrze, o ile mi wiadomo”, odrzekł inżynier. „Aha, więc dobrze?”, spytał jeszcze raz Geissler. „Tak, wyśmienicie, o ile mi wiadomo”, odrzekł inżynier. No, dziękuję! Zaledwie jednak doręczono pocztę, inżynier znalazł list i telegram z rozkazem zlikwidowania kopalni, ponieważ się nie opłaca.

Członkowie karawany spojrzeli po sobie, ale przywódca wyprawy, spryciarz Andresen, nie stracił otuchy.

— Wracajcie, szkoda drogi! — radzi Aronsen.

— Nie wrócimy — mówi Andresen i pakuje manatki.

Aronsen wytrzeszcza na nich oczy:

— Zwariowaliście czy co?... Dokądże chcecie iść z tym wszystkim?!

— Nie wiem — odparł Andresen.

Ale on zapewne ma plan gotowy, kto wie, czy nie myśli w tej chwili o wzbogaconych mieszkańcach parafii: wszakże wśród rozlicznych towarów ma perły szklane i pierścionki, i wiele innych ładnych rzeczy.

— Zabierajcie się, idziemy! — rzekł do kamratów.

Aronsen nie wraca do domu, nie, on idzie z nimi, a właściwie przed nimi i uparcie odradza im dalszą drogę. Jest wściekły, biega, skacze, potrząsa rękami, wrzeszczy, zagradza im drogę ku dolinie i stara się powstrzymać ich od wkroczenia na jego teren działania handlowego. W ten sposób docierają do baraków robotniczych.

Pusto tam i beznadziejnie. Ważniejsze narzędzia i maszyny umieszczone pod dachem, belki natomiast i deski, wozy strzaskane i skrzynie, i beczki — wszystko to leży porzucone w strasznym nieładzie. Tu i ówdzie widnieje na drzwiach plakat zabraniający wstępu niepowołanym.

— Toć widzicie! — wrzeszczy Aronsen. — Nigdzie żywej duszy tu nie ma! Dokąd więc chcecie iść? — I wyraża karawanie, i grozi sołtysem, i zapowiada, że ani na krok ich nie opuści, aby kontrolować, czy nie sprzedają czegoś zakazanego. Na dole kryminal ich czeka i galery, bom konstant!

Nagle rozlega się obcy głos, ktoś woła Sywerta. A więc baraki jednak nie wymarły doszczętnie. Jakiś człowiek stoi na narożniku i kiwa ręką. Sywert objuczony worami spieszy tam i natychmiast poznaje — Geisslera!

— A to traf! — mówi Geissler. Twarz jego kwitnąca, różowa, ale oczy, zdaje się, chore, ponieważ osłaniają je ciemne binokle! Ożywiony jak zwykle. — Dalibóg, szczęśliwe spotkanie — mówi. — Oszczędzę sobie drogi na Sellanrâ, ponieważ mam sporo roboty gdzie indziej. Doskonale. A ileż obecnie jest osad na pustkowiu?

— Dziesięć.

— Dziesięć osad? To mi się podoba, doskonale! Takich jak twój ojciec powinno być w kraju trzydzieści dwa tysiące według moich obliczeń! — rzekł i skinął głową.

— Sywert, idziesz? — nawołuje karawana.

Geissler słucha i odpowiada pośpiesznie:

— Nie!

— Przyjdę za wami! — woła Sywert i składa na ziemi ładunek.

Usiedli i rozmawiają. Geissler jest znów pełen zapału.

— Dalibóg, niezwykle spotkanie! Jedyne w swoim rodzaju! Cała moja podróż powiodła się znakomicie i na dobitkę spotykam tu ciebie! Wybornie, nie potrzebuję już iść na Sellanrâ! Cóż słysząc w domu?

— Dzięki za pamięć.

— Macie już wymurowany strych nad stajnią?

— Tak.

— Tak, okropnie jestem przepracowany, interesy wyrastają mi ponad głowę. Przyjrzyj się jeno, mój kochany, gdzie w tej chwili siedzimy... Na ruinach miasta. I pomyśl, że właściwie ja to wszystko sprawilem, to znaczy, że jestem jednym z pośredników w małej komedii przeznaczenia. Zaczęło się od tego, że ojciec twój znalazł w górach kilka kamieni,

które dał tobie właśnie do zabawy, kiedy byłeś jeszcze dzieckiem. Od tego się zaczęło. Wiedziałem dobrze, że te kamienie będą posiadać tylko taką wartość, jaką ludzie będą do nich przywiązywać, dlatego ustanowiłem na nie pewną cenę i kupiłem je. Od tej chwili kamienie wędrowały z ręki do ręki i ograbiały ich właścicieli. Minęły lata. Obecnie przybyłem tu przed kilku dniami i czy domyślasz się, w jakim celu? Aby kamienie te znowu odkupić!

Geissler milknie i spogląda na Sywerta. Jednocześnie utkwil wzrok w wielkim worze:

— Co tam niesiesz? — spytał.

— Towary — odpowiada Sywert. — Idziemy z tym na dół do parafii.

Ale Geissler, nie słuchając odpowiedzi, rozwodzi się w dalszym ciągu:

— Tak, tedy, jak widzisz, zamierzam kamienie te odkupić. Ostatnim razem poleciłem przeprowadzenie sprzedaży mojemu synowi, który jest młodzieńcem w twoim wieku i niczym więcej. W rodzinie mojej jest on błyskawicą, a ja mgłą. Ja należę do kategorii tych, którzy wiedzą, co czynić należy, ale sami tego nie czynią. On jest błyskawicą, obecnie oddał się na usługi przemysłu. Ostatnim razem sprzedał górę w moim imieniu. Ja jestem czymś, lecz on jest niczym, jest tylko błyskawicą, pospiesznym człowiekiem teraźniejszości. Błyskawica jednak jako taka jest bezpłodna. Weźmy na przykład was, ludzi z Sellanrą. Oczy wasze widzą codziennie dokoła góry: nie są to rzeczy zmyślane, lecz góry stare, czcigodne, które wznoszą się tam od prawników, ale które stały się wam nieodłącznymi towarzyszami. Tak tedy krocycie razem z niebem i ziemią, z niebem i ziemią stanowicie jedność, jedność z całą tą przestrzenią, stanowicie opokę. Niepotrzebny wam miecz w garści, nieuzbrojeni, jesteście niezbędni z całą pewnością. Wy podtrzymujecie życie. Oto tam jest cała przyroda, która należy do ciebie i twojej rodziny. Człowiek i przyroda nie toczą z sobą walki zawziętej, szanują nawzajem swoje prawa, nie współzawodniczą z sobą, wolni są od przesądów, kroczą zgodnie ręką w rękę. Tak krocycie wy na Sellanrą i darzycie się. Góry i lasy, i bagniska, łąki i niebo, i gwiazdy — ach, wszystko to nie jest przymierzone nędzie i skąpo, nie, wszystko to jest bez miary i granic! Uważaj, Sywert, na to, co mówię; bądź zawsze zadowolony ze swego losu! Macie wszystko, co wam do życia potrzebne, wszystko dla czego żyjecie, rodzicie się i rozmnażacie w dalszych pokoleniach, niezbędni jesteście na ziemi. Nie wszyscy są na ziemi niezbędni, ale wy jesteście niezbędni z całą pewnością. Wy podtrzymujecie życie. U was jedno pokolenie idzie w ślad za pokoleniem poprzednim, gdy jedno skona, następne zajmuje jego miejsce. W tym mieści się sens wieczności. I jakąż w zamian macie nagrodę? Bytowanie w nieskazitelnym prawie i nieskazitelnej sprawiedliwości, bytowanie w prawdziwej i szczerzej postawie w stosunku do wszystkiego. I cóż więcej macie? Wy na Sellanrą jesteście wolni, macie spokój i moc, i potęgę, otoczeni jesteście zewsząd ogromem przyjaźni. To posiadacie wy. Spoczywacie przy gorącej piersi i bawicie się miękką dłonią matczyną, i karmicie się do syta. Myślę o twym ojcu, on jest jednym z owych trzydziestu dwóch tysięcy. Czymże są inni? Ja jestem czymś — jestem mgłą, jestem tu i tam, fałuję tam i z powrotem, niekiedy jestem deszczem na wyschlym polu. Lecz inni? Mój syn jest błyskawicą, która jest właściwie niczym, błysnięciem bezużytecznym, on może zajmować się handlem. Syn mój jest typem człowieka naszych czasów, wierzy święcie w to, czego dzisiejsze czasy go nauczyły, czego nauczyli go Żyd i Jankes; ja jednak potrząsam nad tym głową. Ale nie ma we mnie nic tajemniczego, nie, ja tylko jestem mgłą we własnej rodzinie i oto siedzę i potrząsam głową. Cała rzecz w tym, że brak mi daru nieżałowania niczego. Gdybym dar ten posiadał, byłbym również błyskawicą. Tak więc jestem mgłą.

Geissler oprzytomniał nagle i zapytał:

— Jakże tam z murowanym strychem na siano nad stajnią, gotowy już?

— Tak. Ojciec wybudował oprócz tego jeszcze jedną chatę.

— Co, jeszcze jedną?

— Tak, na wypadek, gdyby ktoś przyjechał, gdyby pan sołtys do nas przyjechał.

Geissler myśli nad tym i oświadcza:

— W takim razie muszę przyjechać... Tak, powiedz ojcu, że przyjadę. Ale obecnie czekają mnie rozliczne sprawy. Przybyłem tu i powiedziałem inżynierowi: „Pokłoń się pan swym chlebobawcom w Szwecji i powiedz im, że kupię górę”. I teraz musimy zaczekać, co z tego wyniknie. Mnie to ani ziębi, ani parzy, nie spieszno mi. Powinieneś być widzieć minę inżyniera! Tutejsze przedsiębiorstwo utrzymywał w ruchu przy pomocy ludzi i koni,

Chłop, Natura

Chłop, Kondycja ludzka,
Obraz świata

Handel

i pieniędzy, i maszyn i wierzył w to, że postępuje słusznie. Inaczej nie umiał. Wierzył w to, że im więcej kamieni zamieni na pieniądze, tym lepsza jego praca, a przy tym wyobrażał sobie, że im więcej cała okolica zarobi pieniędzy, tym większa jego zasługa. Jednego tylko nie dostrzegł, mianowicie, jak wszyscy z nim razem staczają się na dno. Nie pieniędzy potrzeba krajowi, kraj posiada ich aż nadto. Ale krajowi potrzebni są ludzie tacy, jakim jest twój ojciec. Takich ludzi brak krajowi! Jeżeli się zważy, że to, co powinno być środkiem do celu, ogół stawia sobie za cel i jeszcze się tym chlubi! Są oni wszyscy chorzy i zwariowani, nie pracują, nie znają pługa, a znają tylko hazard. Czyż nie rozbijają się o własną głupotę? Czyż nie poświęcają dla niej wszystkiego? A gra ta to nie buta, nawet nie odwaga, a tylko lęk. I to jest ów błąd największy. Czy wiesz, czym jest gra hazardowa? Jest to lęk, lęk straszny, który pot z czoła wyciska. Wszyscy popełniają ten błąd, że nie chcą kroczyć w zgodzie z życiem, że chcą życie wyprzedzić i pędzą jak opętani. A gdy się zagalopują, wtedy już nie znajdują drogi wyjścia, wtedy następuje nieuchronne rozbicie! I potem rozpoczynają się skargi na życie, wybuchy wściekłości przeciwko życiu. Niektórzy może mają powód do skargi, liczniejsi jednak takiego powodu nie mają, atoli mimo wszystko nie wolno nikomu burzyć się przeciwko życiu. Życia nie powinno się osądzać surowo i nieubłagane, a przeciwnie, powinno się odnosić do niego z uczuciem miłosierdzia i bronić go! Pomyśl tylko, z jakimiż partnerami życie zmuszone jest prowadzić swą grę!

Geissler oprzytomniał znowu i mówi:

— Nie mówmy o tym. — Jest widocznie zmęczony, ziewa. — Idziesz na dół? — zapytał.

— Tak.

— Nic pilnego. Jesteś mi dłużny jeszcze daleką wycieczkę w góry, pamiętasz? Tak, ja wszystko pamiętam. Pamiętam nawet, kiedy byłem półtorarocznym dzieciakiem: pewnego razu stałem, chwytając się na wszystkie strony, na przęśle gumienym folwarku Garmo w Lom i wtedy uderzył mnie pewien specjalny zapach, który dziś jeszcze czuję. Ale nie mówmy o tym... Gdybyś nie miał z sobą bagażu, moglibyśmy pójść teraz w góry. Co masz w tym worku?

— Towary. Andresen pragnie je sprzedać.

— Tak, jestem więc człowiekiem, który wie, co czynić należy, ale który sam tego nie czyni — rzekł Geissler. — Należy rozumieć to dosłownie. Jestem mgłą. W najbliższych dniach odkupię zapewne górę, nie jest to wcale tak nieprawdopodobne. Ale w takim wypadku nie spojrzę w powietrze i nie powiem: „Kolej napowietrzna, Ameryka Południowa!”. Nie, to jest coś dla hazardowców. Ludzie tutejsi podejrzewają mnie, że trzymam z diabłem, ponieważ wiedziałem, kiedy nastąpi tu krach. We mnie nie ma jednak nic tajemniczego, cała sprawa przedstawia się bardzo prosto: nowe pokłady miedzi w Montanie! Jankesi to gracze sprytniejsi od nas, oni swą konkurencją w Ameryce Południowej pobijają nas zawsze. Nasze pokłady są zbyt ubogie. Syn mój jest błyskawicą, usłyszał, jak ptaszek o tym ćwierkał, dlatego zjawiłem się tu. Wyprzedziłem panów ze Szwecji tylko o kilka godzin, oto cała tajemnica.

Geissler znowu ziewa, przeciąga się, wstaje i oświadcza:

— Jeżeli zamierzasz iść na dół, to chodźmy.

Schodzą z góry razem, Sywert na przedzie, a w ślad za nim Geissler, zobojętniały nagle na wszystko i zmęczony...

Karawana zatrzymała się w pobliżu przystani, a wesoły Fredryk natrząsał się właśnie z Aronsena:

— Nie chcielibyście mi sprzedać trochę tytoniu?

— Ja ci dam tytoń! — krzyczy Aronsen.

Fredryk śmieje się i pociesza go:

— Nie smućcie się, panie Aronsen! My tylko towary te sprzedamy tu w waszej obecności, a potem zaraz się stąd wyniesiemy.

— Zamknij swoją brudną gębę! — wścieka się Aronsen.

— Ha, ha, ha, kto zaś widział tak się gniewać, panie Aronsen! Pan Aronsen powinien być zawsze spokojny niczym las w czasie pogody!

Geissler jest zmęczony, bardzo zmęczony, oczy kleją mu się gwałtownie mimo jasnego, wiosennego słońca.

— Sywert, bądź zdrow, kochany chłopaku! — odezwał się niespodziewanie. — Powiedz ojcu, że tym razem nie będę mógł przybyć na Sellanrą. Nie mam czasu. Ale powiedz mu, że kiedyś później przyjdę...

Aronsen spluwa za nim i powtarza zawzięcie:

— Zastrzelić by go trzeba!...

Przez trzy dni karawana wyprzedzała wszystko za dobrą cenę.

Zrobiono naprawdę złoty interes. Mieszkańcy parafii mimo krachu mieli jeszcze ba-
jecznie dużo pieniędzy i posiadali doskonałą wprawę w wydawaniu ich. Potrzebne im były
nieodzowne ptaszki na drucikach, którymi ozdabiali swe komody, dalej piękne rozcinacze
do papieru i wiele, wiele innych rzeczy. Aronsen szalał.

— W kramie moim znajdziecie znacznie więcej śliczności!

Aronsen znalazł się w położeniu nader kłopotliwym, chciał dozorować owych do-
mokrażców, gdy tymczasem rozdzielili się na trzy partie; każdy poszedł swoją drogą.
Aby przeprowadzić kontrolę nad wszystkimi, należało rozedrzeć się na trzy części, a tego
Aronsen nie chciał. I tak najpierw opuścił Fredryka, który posiadał język najostrzejszy.
Potem odczepił się od Sywerta, który na wszelkie jego zaczepki nie odezwał się słowem,
a tylko sprzedawał i sprzedawał, i zgarniał pieniądze do kieszeni. Wobec tego Aronsen
przyczepił się do swego byłego subiekta, Andresena, szkalując go wobec kupujących. Ale
Andresen dawał sobie także z nim radę i również sprzedawał, sprzedawał i zgarniał pie-
niądze do kieszeni. Przeto Aronsen opuścił i jego i wrócił do domu. Domokrażcy pozbyli
się dozoru.

Codziennie wieczorem schodzili się w umówionym miejscu, gdzie zdawali sobie na-
wzajem sprawę z przebytego dnia i dzielili między sobą niesprzedane towary. Andresen
zaś siadał z pilnikiem w rękę i usuwał już to niemiecką markę¹⁸⁷ fabryczną ze strzelby
myśliwskiej, już to nazwiska Fabera z ołówków. Andresen był i jest zuchem.

Sywert jednak zawiódł. Nie dlatego, jakoby był leniuchem i sprzedawał mało towarów,
ho, ho, on właśnie pozbył się ich najwięcej. Tak, sprzedał najwięcej, ale najmniej utargował
pieniędzy.

— Za mało zachwalasz, za mało się targujesz — orzekł Andresen.

Nie, Sywert nie bawił się w długie mowy, zachwalania i targi, był chłopem pustkowiec,
był milczący i cierpliwy. Na co długie gadanie? Oprócz tego Sywert pragnął uporać się
z tym wszystkim przed niedzielą, żeby wrócić prędzej do domu, ponieważ na Sellanrą
dużo roboty.

— Jensyna go ciągnie — twierdzi Fredryk.

Fredrykowi zresztą spieszyło się również, w domu czekała go uprawa wiosenna, lecz
mimo to ostatniego dnia nie może sobie odmówić przyjemności wstąpienia do Aronsena
i poswarzenia się z nim.

— Powiem mu, żeby odkupił puste worki — rzekł.

Andresen i Sywert zaczęli na niego. Z kramu dochodziła ich uszu wesoła i krzy-
kliwa rozmowa i wybuchający raz po raz śmiech Fredryka. Nagle Aronsen rozwarł drzwi
szeroko, nakazując gościowi wynosić się „na zbity łeb”. Ho, ho, ale Fredryk był uparty,
miał czas i gadał, gadał bez przerwy, aż w końcu zaofiarował Aronsenowi sprzedaż sześciu
koni na biegunach.

Następnie karawana ruszyła w drogę powrotną. Trzej młodzieńcy tryskający młodo-
ścią i zdrowiem. Wędrowali, śpiewając, a po krótkim wypoczynku w górach puścili się
w dalszą wesołą wędrowkę. I stanawszy w poniedziałek na Sellanrą, zastali Izaka przy
siejbie¹⁸⁸. Pogoda była w sam raz dla siewów: powietrze przesycone wilgocią, tu i ów-
dzie przedzierały się złote smugi słoneczne i nad całym pustkowiec zawisnął przecudny
olbrzymi łuk tęczowy.

Młodzieńcy pożegnali się: — Z Bogiem! Z Bogiem!...

Tam kroczy Izak, kroczy przez pola i sieje, Izak, człowiek mocny, człowiek spiżowy.
Ma na sobie przyodziewek własnej roboty, wełnę wziął z własnych owiec, a skórę na buty
z własnych cieląt i krów. Według nabożnego zwyczaju kroczy przez pola z gołą głową

¹⁸⁷marka — tu: znak wytwórcy, umieszczany na wyrobie w celu zaświadczenia o jego jakości i ochrony przed
podrabianiem. [przypis edytorski]

¹⁸⁸siejba — siew, sianie ziarna. [przypis edytorski]

i sieje; czub głowy ma łysy, poza tym jednak włos gęsty i długi otacza wieńcem jego skroń i oblicze. To jest Izak, margrabia.

Nie przestrzegaj ścisłości dat, nie myśl o nich i po cóż mu o nich pamiętać? Wszakże papierów wartościowych nie posiadał. Krzyżyki w kalendarzu służyły jedynie do oznaczania dnia, kiedy która z krów miała się celić. Wiedział natomiast, że do świętego Olafa na jesieni należało uładzić się ze sprzętem siana, oraz wiedział, kiedy na wiosnę odbywa się targ na bydło i że w trzy tygodnie potem niedźwiedź opuszcza swą norę. I wtedy siew musiał spocząć w glebie.

Izak to chłop pustkowia z krwi i kości, z krwi i kości rolnik. Zmartwychwstały z dawnych wieków, ukazujący przyszłość, człowiek z pierwszej epoki rolnictwa, człowiek znany wzdłuż i wszerz, w górach i dolinach, człowiek dziewięćsetletni, a przecież znowu człowiek dzisiejszy.

Nie, z owych pieniędzy otrzymanych za górę miedzianą nic mu już nie pozostało. Kopalnia zamknięta, przeto i dla innych przestało być źródło dochodu. Ale jest pustkowie, które doprasza się i czeka na dalsze setki osadników. Wszakże rośnie tu i darzy się wszystko: ludzie i bydło, i owoce pól.

Izak sieje... Zachodzące słońce oświeca ziarno rzucane pracowitą, świętą dłonią w szerokim łuku i ziarno spada na glebę niby deszcz złoty. I oto przybliży się Sywert i bronuje, potem wałkuje i następnie ponownie bronuje. Las odwieczny i odwieczne góry stoją dookoła i przyglądają się zbożnej pracy. Wszystko jest tu potęgą i dostojnością, przyczyną i skutkiem, wielką celowością.

„Bim, bim, bam, bim!” — śpiewają dzwonki bydła na hali, słysząc je coraz bliżej, bydło wraca do swej stajni. Piętnaście krów i czterdzieści pięć owiec i kóz. A tam oto dążą dziewczyny ze skopkami, dążą do stajni letniej na hali, na ramionach swych niosą nosidła z wiadrami. Trzy dziewczyny: Poldyna, Jensyna i mała Rebeka. Wszystkie trzy idą boso. Margrabina zaś, Inger, pozostała w domu i gotuje wieczerzę. Wysoka i okazała kroczy po domu niby westalka¹⁸⁹ stojąca na straży domowego znicza. O tak, Inger wypłynęła niegdyś na pełne morze i była w mieście, lecz teraz jest znowu tu przy ognisku domowym. Świat jest wielki, wirują na nim punkciki i Inger tam wirowała. Wśród ludzi, była prawie niczym, punkcikiem...

A teraz nastał zmierzch, wieczór już...

Chłop

¹⁸⁹westalka — w staroż. Rzymie: kapłanka strzegąca świętego ognia w świątyni Westy, bogini ogniska domowego. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/hamsun-blogoslawnistwo-ziemi/>

Tekst opracowany na podstawie: Knut Hamsun, *Blogosławieństwo ziemi*, tłum. Czesław Kędzierski, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (wolnelektury.pl). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Wolne Lektury.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-8053-5

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.